

# JEFFERY DEAMER



POKÓJ STRACENI

Prószyński i S-ka

Jeffery Deaver

Lincoln Rhyme Tom 10

Pokój Straceń

Przekład Łukasz Praski

Tytuł oryginału THE KILL ROOM

*Judy, Fredowi i Daxowi*

*Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale po kres swoich dni*

*będę bronić twojego prawa do ich głoszenia.*

EVELYN BEATRICE HALL

# I

**9 maja, wtorek**

**Trujące drzewo**

## **ROZDZIAŁ 1**

Ten błysk go zaniepokoił.

Białe albo bladożółte światło w oddali.

Na wodzie? Na pasie lądu za spokojną turkusową taflą zatoki?

Tu nie mogło być jednak żadnego zagrożenia. Był w pięknym ustronnym kurorcie. Ukryty przed jupiterami mediów i wzrokiem nieprzyjaciół.

Patrząc przez okno, Roberto Moreno zmrużył oczy. Ledwie dobiegał czterdziestki, ale miał słaby

wzrok. Poprawił oprawki na nosie i patrzył na ogród za oknem apartamentu, wąską białą plażę, pulsujące zielononiebieskie morze. Piękne, ustronne miejsce... i chronione. Jak okiem sięgnąć nie było żadnej łodzi kołyszącej się na fali. Gdyby nawet uzbrojony w karabin wróg wyszedł go tutaj i przekradł się niezauważony przez tereny przemysłowe na cyplu po drugiej stronie zatoki, oddalonym o prawie dwa kilometry, odległość i zanieczyszczenia powietrza uniemożliwiłyby mu oddanie strzału.

Nie było już żadnych błysków, żadnych światełek.

Jesteś bezpieczny. Oczywiście, że tak.

Mimo to Moreno trzymał się na baczności. Jak Martinowi Lutherowi Kingowi, jak Gandhiemu zawsze towarzyszyło mu zagrożenie. Takie już miał życie. Nie bał się śmierci. Ale bał się, że umrze, zanim dokończy pracę. W tak młodym wieku wciąż miał wiele do zrobienia. Na przykład wydarzenie, które skończył organizować mniej więcej przed godziną – dość ważne, na pewno przyciągnie uwagę wielu osób – było tylko jednym z kilkunastu, jakie planował na najbliższy rok.

A przyszłość rysowała się jeszcze bardziej obiecująco.

Krępy mężczyzna ubrany w skromny beżowy garnitur, białą koszulę i szafirowy krawat – w bardzo karaibskim stylu – nalał do dwóch filiżanek kawy z dzbanka, który przed chwilą przyniósł kelner, i wrócił na kanapę. Podał filiżankę dziennikarzowi przygotowującemu dyktafon.

– Mleko, cukier, señor de la Rua?

– Nie, dziękuję.

Rozmawiali po hiszpańsku, w języku, którym Moreno biegle się posługiwał. Nie cierpiał angielskiego i używał go tylko wówczas, gdy musiał. Kiedy mówił w swoim ojczystym języku, wyraźnie było słychać akcent z New Jersey, którego nigdy nie udało mu się pozbyć. Brzmienie własnego głosu wywoływało wspomnienia dzieciństwa w Stanach – ojciec pracował przez wiele godzin i nie pił, natomiast matka często była zamoczona alkoholem. Ponury krajobraz, łąbuzy z pobliskiej szkoły. Aż nadeszło wybawienie: przeprowadzka rodziny z South Hills do miejsca znacznie ładniejszego, gdzie nawet język był łagodniejszy i bardziej elegancki.

– Proszę mi mówić Eduardo – zaproponował dziennikarz.

– A ja jestem Roberto.

Gwoli ścisłości „Robert”, ale to imię kojarzyło się z prawnikami z Wall Street, politykami z Waszyngtonu i generałami, którzy usiali pola bitew na obcych ziemiach ciałami rdzennych mieszkańców jak tanim ziarnem.

Więc lepiej „Roberto”.

– Mieszkaś w Argentynie – powiedział Moreno do dziennikarza, drobnego, łysiejącego mężczyzny ubranego w niebieską koszulę bez krawata i przetarty czarny garnitur. – W Buenos Aires?

– Zgadza się.

– Wiesz, skąd się wzięła nazwa miasta?

De la Rúa zaprzeczył; nie był rodowitym mieszkańcem stolicy.

– Oznacza oczywiście „dobre powietrze” – rzekł Moreno. Dużo czytał, kilka książek tygodniowo, przede wszystkim literaturę i historię Ameryki Łacińskiej. – Ale nie chodziło o powietrze w Argentynie, tylko na Sardynii, we Włoszech. Miastu nadano nazwę siedziby Aragończyków na szczycie wzgórza w Cagliari. Nie docierały tam, powiedzmy, mało przyjemne zapachy starego miasta, dlatego nazwano je *Buen Ayre*. Kiedy hiszpański odkrywca dotarł do dzisiejszej stolicy Argentyny, nadał jej tę samą nazwę. Mówię o pierwszej kolonii. Osada została spalona przez rdzennych mieszkańców kontynentu, którym nie podobał się europejski wyzysk.

– Nawet pańskie anegdoty mają wydźwięk antykolonialny – zauważył de la Rúa.

Moreno parsknął śmiechem. Ale zaraz spoważniał i znów wyjrzał przez okno.

Przekłęte światelko. Mimo to nadal nic nie widział poza drzewami i roślinami w ogrodzie oraz odległym pasem ziemi zasnutym mgłą. Hotel stał na prawie pustym południowo-zachodnim brzegu New Providence, wyspy w archipelagu Bahamów, na której leżało Nassau. Teren był ogrodzony i strzeżony. Ogród pozostawał do wyłącznej dyspozycji gości apartamentu, od północy i południa chroniło go wysokie ogrodzenie, a od zachodu przylegał do plaży.

Nikogo tam nie było. Nie mogło być.

Może to ptak. Liść poruszony wiatrem.

Niedawno teren sprawdzał Simon. Moreno spojrział na milczącego, potężnie zbudowanego Brazylijczyka o ciemnej karnacji w eleganckim garniturze – trzydziestokilkuletni ochroniarz ubierał się lepiej niż swój chlebodawca, choć nie krzykliwie. Wyglądał odpowiednio groźnie, tak jak powinien w swojej profesji, ale nie był zbirzem. Zanim zaczął pracować w ochronie, służył jako oficer w wojsku. W obecnym fachu był też bardzo dobry. Zorientował się, co niepokoje szefa, natychmiast podszedł do okna i wyjrzał.

– Zobaczyłem tylko błysk jakiegoś światła – wyjaśnił Moreno.

Ochroniarz zaproponował, że zasunie zasłony.

– Chyba lepiej nie.

Moreno postanowił wcześniej, że Eduardo de la Rúa, który z miasta dobrego powietrza przyleciał tu klasą turystyczną na własny koszt, zasługuje na piękny widok za oknem. Jako zapracowany dziennikarz, znany z pisania prawdy zamiast laurek na cześć rekinów biznesu i polityków, nie miał wielkich szans na luksusy. Moreno postanowił też zaprosić gościa na lunch w wykwintnej restauracji w South Cove Inn.

Simon jeszcze raz popatrzył przez okno, po czym wrócił na swoje krzesło i wziął czasopismo.

De la Rúa włączył dyktafon.

– Czy już można?

– Proszę. – Moreno skierował całą uwagę na dziennikarza.

– Panie Moreno, pański Ruch Wspierania Podmiotowości Lokalnej właśnie otwiera swoje biuro w Argentynie, pierwsze w tym kraju. Proszę mi powiedzieć, jak powstał ten pomysł. I co robi pańska grupa.

Moreno wygłaszał ten wykład dziesiątki razy. Treść zmieniała się zależnie od publiczności czy dziennikarza zadającego pytania, ale jej istota była prosta: zachęcali społeczność lokalną do odrzucania wpływów rządu USA i amerykańskich korporacji poprzez promowanie samowystarczalności, zwłaszcza dzięki mikropożyczkom, mikrorolnictwu i mikrobiznesowi.

– Przeciwstawiamy się ekspansji amerykańskich korporacji. A także programom pomocowym i społecznym rządu amerykańskiego, ponieważ ich celem jest przecież uzależnienie nas od ich wartości. Nie widzą w nas istot ludzkich, tylko źródło taniej siły roboczej i rynek zbytu dla amerykańskich towarów. Rozumie pan, że to błędne koło? Naszych ludzi wykorzystuje się w fabrykach należących do Amerykanów, a potem kusi się ich do kupna produktów pochodzących z tych samych firm.

– Dużo pisałem o inwestycjach w Argentynie i innych krajach Ameryki Południowej – rzekł dziennikarz. – Wiem, że pańska organizacja też prowadzi takie inwestycje. Można by twierdzić, że występuje pan przeciwko kapitalizmowi, a jednocześnie pan z niego korzysta.

Moreno przyglądał ciemne, trochę za długie włosy przedwcześnie przyprószone siwizną.

– Nie, występuję przeciwko nadużyciom kapitalizmu, szczególnie nadużyciom popełnianym przez amerykański kapitalizm. Biznes to dla mnie broń. Tylko głupcy polegają wyłącznie na ideologii. Ideologia to ster. Siłą napędową są pieniądze.

Dziennikarz się uśmiechnął.

– Wykorzystam to w leadzie do artykułu. Niektórzy mówią – tak czytałem – że jest pan rewolucjonistą.

– Ha, jestem co najwyżej krzykaczem! Ale wspomni pan moje słowa: świat skupia się na Bliskim Wschodzie, nikt natomiast nie zauważa narodzin nowej, znacznie potężniejszej siły – Ameryki Łacińskiej. Ją właśnie reprezentuję. Nowy porządek. Nie można nas dłużej ignorować.

Roberto Moreno wstał i podszedł do okna.

Nad ogrodem górowało drzewo gatunku *Metopium toxiferum*, nazywane trującym drzewem, wysokości ponad dziesięciu metrów. Moreno często zajmował ten apartament i drzewo bardzo mu się

podobało. Trujące drzewa są potężne, dobrze sobie radzą w różnych warunkach i mają w sobie jakieś surowe piękno. Zgodnie ze swoją nazwą, są również toksyczne. Jeśli pyłek kwiatów albo dym palonego drewna i liści dostanie się do płuc, może wywołać bolesne oparzenia. Mimo to drzewo karmi piękne bahamskie motyle, a gołębie karaibskie żywią się jego owocami.

Jestem taki jak to drzewo, pomyślał Moreno. Dobry image do artykułu. Też o tym wspomnę...

Znów ten błysk.

Rzadkie liście drzewa drgnęły, wysokie okno eksplodowało, szyba rozprysła się w milion kryształków siekącego gradu. Moreno poczuł, jakby w jego piersi wybuchł pożar.

Zauważył, że leży na kanapie, która przed chwilą stała półtora metra za jego plecami.

Ale... ale co się stało? Co to było? Mdleję, mdleję.

Nie mogę oddychać.

Spoglądał na drzewo, które widać było wyraźniej, o wiele wyraźniej, gdy nie patrzyło się już przez szybę w oknie. Gałęzie kołysały się na łagodnym wietrze od morza. Liście wzdymały się i opadały. Drzewo oddychało za niego. Bo on już nie potrafił. Ogień w piersi i ból nie pozwalały mu oddychać.

Rozległy się krzyki, wołanie o pomoc.

Krew, wszędzie krew.

Zachodziło słońce, niebo coraz bardziej ciemniało. Ale to przecież poranek? Przed oczami mignęły mu twarze żony, jego kilkunastoletniego syna i córki. Myśli zaczęły się rozplływać, dopóki nie pozostała tylko jedna: drzewo.

Trucizna i siła, trucizna i siła.

Ogień w środku słabł, przygasał. Smutna ulga.

Ciemność gęstniała.

Trujące drzewo.

Trujące...

Tru...

**15 maja, poniedziałek**

**II**

**Kolejka**



## ROZDZIAŁ 2

Jest w drodze czy nie? – zapytał Lincoln Rhyme, nie próbując nawet ukrywać irytacji.

– Coś mu wypadło w szpitalu – odezwał się głos Thoma z korytarza, kuchni czy innego miejsca w domu. – Spóźni się. Zadzwoń, kiedy będzie wolny.

– „Coś”. Konkretnie, nie ma co. „Coś mu wypadło w szpitalu”.

– Tak mi powiedział.

– Jest lekarzem. Powinien się wyrażać precyzyjnie. I powinien być punktualny.

– Jest lekarzem – powtórzył Thom. – Czyli czasem musi się zająć nagłym wypadkiem.

– Ale nie powiedział „nagły wypadek”. Powiedział „coś”. Operacja jest zaplanowana na dwudziestego szóstego maja. Nie chcę, żeby ją odkładano. Zresztą to i tak za daleka przyszłość. Nie rozumiem, dlaczego nie mógłby jej przeprowadzić wcześniej.

Rhyme podjechał czerwonym wózkiem Storm Arrow do monitora. Zatrzymał się obok ratanowego fotela, na którym siedziała Amelia Sachs ubrana w czarne dzinsy i czarną bluzkę bez rękawów. Na szyi miała złoty wisiołek z brylantem i perłą na cienkim łańcuszku. Było jeszcze wcześnie i przez wschodnie okna wpadały promienie wiosennego słońca i odbijały się uroczo od jej rudych włosów starannie upiętych w kok grafitowymi spinkami. Rhyme ponownie skupił uwagę na ekranie, przebiegając wzrokiem raport z analizy dowodów w sprawie zabójstwa, którą pomagał zamknąć policji nowojorskiej.

– Prawie gotowe – powiedział.

Siedzieli w salonie jego domu na Central Park West na Manhattanie. W czasach Williama „Bossa” Tweeda był tu prawdopodobnie zaciszny pokój, gdzie przyjmowano gości i konkurentów, a dziś pełnił funkcję laboratorium kryminalistycznego, wyposażonego w urządzenia i narzędzia do badania dowodów, komputery i przewody. Przewody leżały wszędzie, utrudniając przejazd wózkowi, który co chwilę podskakiwał, choć Rhyme czuł to tylko od barków w górę.

– Doktor się spóźnia – mruknął do Sachs. Niepotrzebnie, bo siedziała trzy metry od niego, kiedy rozmawiał z Thomem. Wciąż jednak był rozdrażniony i dodatkowe słowo krytyki poprawiało mu samopoczucie. Ostrożnie przesunął rękę w kierunku panelu dotykowego i przewinął ostatnie akapity raportu na ekranie. – Dobrze.

– Wysłać?

Skinął głową i Sachs wcisnęła klawisz. Zaszifrowane sześćdziesiąt pięć stron tekstu popłynęło w eter, by ostatecznie trafić do wydziału kryminalistycznego nowojorskiej policji w Queens, dziesięć kilometrów od domu, gdzie raport miał się stać podstawą oskarżenia w sprawie przeciwko Williamsowi.

– Zrobione.

Zrobione... pozostało jeszcze tylko zeznanie na procesie barona narkotykowego, który wysłał na ulice East New York i Harlemu dwunasto-i trzynastolatka, zlecając im zabójstwa. Rhyme'owi i Sachs udało się odnaleźć i przeanalizować drobiny materiałów i mikroślady, które naprowadziły ich na trop butów jednego z chłopców; potem podłogi w pewnym sklepie na Manhattanie oraz wykładziny w lexusie doprowadziły ich do restauracji na Brooklynie i w końcu do domu samego Tye'a Williamsa.

Szef gangu nie był obecny przy morderstwie świadka, nie dotknął broni, nie było żadnego dowodu na to, że zlecił zabójstwo, a młody wykonawca wyroku był zbyt przerażony, żeby zeznawać przeciwko niemu. Ale te drobne przeszkody dla prokuratury nie miały większego znaczenia. Rhyme i Sachs uprzedli nic dowodów, która od miejsca zdarzenia prowadziła prosto pod drzwi Williamsa.

Resztę życia miał spędzić za kratkami.

Sachs objęła palcami lewą rękę Rhyme'a przypiętą do wózka i nieruchomą. Z napięcia ścięgien widocznych pod jasną skórą odgadł, że go uściśnieła. Wstała, przeciągnęła się. Pracowali nad zakończeniem raportu od wczesnego ranka. Obudziła się o piątej. Rhyme trochę później.

Zauważył, że skrzywiła się, idąc do stolika, gdzie stał jej kubek z kawą. Artretyzm w stawie biodrowym i kolanowym dawał się jej ostatnio we znaki. On w ogóle nie odczuwał bólu – po urazie rdzenia kręgowego stał się tetraplegikiem i był dosłownie znieczulony.

Pomyślał, że ciało każdego człowieka do pewnego stopnia go zawodzi. Nawet ci, którzy w tym momencie cieszą się dobrym zdrowiem i są w miarę zadowoleni, widzą niepokojące chmury na horyzoncie. Żał mu było sportowców, pięknych i młodych ludzi, którzy już z lękiem myśleli o przyszłym pogorszeniu formy.

Paradoksalnie jednak z Lincolnem Rhyme'em było odwrotnie. Po wypadku był już w dziewiątym kręgu piekieł, ale jego stan się poprawiał dzięki nowym metodom operacyjnego leczenia urazów rdzenia kręgowego, a także dzięki jego bezkompromisowej postawie wobec ćwiczeń i ryzykownych eksperymentalnych zabiegów.

Co znów mu przypomniało, że jest zły z powodu spóźnienia lekarza, który miał przyjść sprawdzić, w

jakim stopniu jest przygotowany do planowanej operacji.

Rozległ się gong przy drzwiach.

– Otworzę! – zawołał Thom.

Dom był oczywiście przystosowany do potrzeb osoby niepełnosprawnej i Rhyme mógł za pomocą komputera zobaczyć, kto czeka za drzwiami, porozmawiać z gościem i wpuścić go do domu. Albo nie wpuścić. (Nie przepadał za osobami wpadającymi po prostu go odwiedzić i na ogół je spławiał – czasem niegrzecznie – jeżeli Thom reagował za wolno).

– Kto to? Najpierw sprawdź.

To nie mógł być doktor Barrington, który miał zadzwonić, kiedy załatwi już to coś, co było przyczyną spóźnienia. Rhyme nie miał dziś ochoty przyjmować żadnych innych gości.

Okazało się jednak, że nie miało znaczenia, czy jego opiekun sprawdził, kto przyszedł, czy nie. Do salonu wkroczył Lon Sellitto.

– Jesteś w domu, Linc.

Miał jakieś wątpliwości?

Przysadzisty detektyw od razu wziął kurs na tacę z kawą i ciastkami.

– Chcesz świeżej? – spytał Thom. Szczupły asystent Rhyme’a był ubrany w odprasowaną białą koszulę, krawat w kwiaty i ciemne spodnie. Dziś miał jeszcze spinki do mankietów, hebanowe czy onyksowe.

– Nie, dzięki, Thom. Cześć, Amelia.

– Witaj, Lon. Co u Rachel?

– W porządku. Zaczęła pilates. Dziwne słowo. To jakieś ćwiczenia czy coś. – Sellitto wystroił się w wymięty jak zwykle garnitur, dziś brązowy, oraz wymiętą jak zwykle bladoniebieską koszulę. Jego krawat w szkarłatne paski – inaczej niż zwykle – był gładki jak oheblowana deska. Rhyme domyślił się, że to niedawno otrzymany prezent. Od jego dziewczyny Rachel? Był maj – miesiąc bez żadnych świąt. Może krawat to prezent urodzinowy. Rhyme nie miał pojęcia, kiedy Sellitto ma urodziny. Zresztą nie znał dat urodzin większości znajomych.

Sellitto popijał kawę i mozolił się z drożdżówką, której ugryzł zaledwie dwa kęsy. Stale był na diecie.

Rhyme i detektyw przed wielu laty służyli razem w policji jako partnerzy i głównie Lon Sellitto nakłonił Rhyme’a, aby wrócił do pracy po wypadku, nie przymilając się i nie nadskakując, ale po prostu zmuszając go, żeby ruszył tyłek i znów zajął się dochodzeniową robotą. (Ściślej mówiąc, w przypadku Rhyme’a, zmusił go raczej, żeby siedział na tyłku i zabrał się do pracy). Choć wiele razem

przeżyli, Sellitto nigdy nie wpadał do niego bez powodu. Detektyw pierwszej klasy pracował w wydziale specjalnym, urzędował w Centrali – komendzie głównej policji Nowego Jorku – i zwykle prowadził sprawy, do których wynajmowano Rhyme’a w roli konsultanta. Jego wizyta musiała coś zapowiadać.

– No? – Rhyme przyjrzał mu się uważnie. – Masz dla mnie coś dobrego, Lon? Jakąś ciekawą sprawę? Intrygującą?

Sellitto napił się kawy i skubnął ciastko.

– Wiem tylko, że dostałem telefon z góry z pytaniem, czy jesteś wolny. Powiedziałem, że właśnie kończysz sprawę Williamsa. Wtedy kazali mi od razu przyjechać do ciebie i spotkać się tu z kimś. Ci ludzie już są w drodze.

– Z kimś? Ci ludzie? – powtórzył cierpkim tonem Rhyme. – To równie konkretne jak „coś”, co zatrzymało mojego lekarza. Chyba zaraźliwa przypadłość. Jak grypa.

– Słuchaj, Linc, nic więcej nie wiem.

Rhyme posłał krzywe spojrzenie Sachs.

– Do mnie akurat nikt w tej sprawie nie dzwonił. A ty miałaś jakiś telefon, Sachs?

– Żadnego.

– Och, to z tego drugiego powodu – wyjaśnił Sellitto.

– Jakiego drugiego powodu?

– Wszystko, co się dzieje w tej sprawie, jest tajne. I takie ma pozostać.

Rhyme uznał, że to krok w stronę intrygującej zagadki.

### **ROZDZIAŁ 3**

Rhyme przyglądał się wchodzącym do salonu dwojgu gościom, zupełnie różnym od siebie.

Jednym z nich był pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna noszący się po wojskowemu, ubrany w granatowy, prawie czarny niedopasowany garnitur – co zdradzała szerokość ramion. Gładko ogolony, opalony, z obfitym podbródkiem, krótko ostrzyżony w stylu marines. Rhyme pomyślał, że to na pewno jakaś gruba ryba z dowództwa.

Drugim gościem była kobieta, która mogła mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Raczej mocno zbudowana niż z nadwagą – na razie. Matowe blond włosy czesała w niemodny sposób – wywinięte na zewnątrz i mocno utrwalone lakierem. Miała bladą cerę, ale Rhyme zauważył, że to z powodu grubej warstwy podkładu w cielistym kolorze. Nie dostrzegł śladów trądziku ani żadnych blizn, przypuszczał więc, że maska pudru to po prostu jej styl. Nie używała kredki ani cieni do powiek, przez co jej czarne oczy jeszcze bardziej odznaczały się na tle jasnej twarzy, przypominając wyloty luf pistoletów. Wąskie usta także były bezbarwne i suche. Rhyme domyślał się, że nieczęsto pojawia się na nich uśmiech.

Wybierała sobie jakiś obiekt – sprzęt, okno, Rhyme'a – po czym kierowała na niego wzrok przenikliwy jak laser, dopóki nie prześwietliła go na wylot i nie zrozumiała albo uznała za nieistotny. Miała na sobie szary kostium, niedrogi, zapięty na wszystkie trzy guziki. Ciemne krążki tworzyły odrobinę nierówną linię i Rhyme'owi przyszło do głowy, że być może znalazła idealny strój z niefortunnymi zapięciami i sama je wymieniła. Czarne buty na płaskim obcasie były nieco znoszone i zadrapania zostały niedawno zakryte maskującą pastą.

Aha, pomyślał Rhyme. Chyba już wiedział, kto jest jej pracodawcą. I to jeszcze bardziej zaostrzyło jego ciekawość.

– Linc, to Bill Myers – przedstawił mu mężczyznę Sellitto.

Gość skinął głową.

– Kapitanie, to dla mnie zaszczyt poznać pana. – Zwrócił się do niego, używając stopnia, jaki Rhyme nosił w nowojorskiej policji, zanim po wypadku został przeniesiony w stan spoczynku. Myers faktycznie był z dowództwa. I to dość wysokiego. Rhyme dobrze się domyślał.

Podjechał do gości elektrycznym wózkiem i wyciągnął rękę. Gruba ryba zauważyła ruch i po chwili wahania uściśnęła mu dłoń. Rhyme spostrzegł coś jeszcze: Sachs lekko zeszywniała. Nie podobało się jej, kiedy jej zdaniem niepotrzebnie używał ręki i palców, na przykład w sytuacjach towarzyskich. Ale nie potrafił się powstrzymać. Przez ostatnie dziesięć lat usiłował naprawić to, co zgotował mu los. Był dumny ze swoich skromnych zwycięstw i chętnie je wykorzystywał.

Poza tym po co mieć zabawkę, jeżeli człowiek nigdy nie może się nią pobawić?

Myers przedstawił drugiego tajemniczego „kogoś”. Kobieta nazywała się Nance Laurel.

– Lincoln – powiedział Rhyme, znów wyciągając rękę. Kobieta uścisnęła mu dłoń, chyba mocniej niż Myers, choć oczywiście nie potrafił tego ocenić. Umiejętności poruszania ręką nie towarzyszyło czucie.

Bacny wzrok Laurel zlustrował gęste brązowe włosy Rhyme’a, jego mięsisty nos, bystre ciemne oczy. Nie powiedziała nic więcej poza zdawkowym „dzień dobry”.

– A więc jest pani zastępcą prokuratora okręgowego – powiedział.

Jego konkluzja, która częściowo była tylko domysłem, nie spotkała się z żadną fizyczną reakcją z jej strony. Po chwili wahania Laurel odparła:

– Zgadza się. – Mówiła zdecydowanym głosem, wyraźnie zaznaczając syczące spółgłoski.

Następnie Sellitto przedstawił Myersowi i Laurel Amelię Sachs. Gruba ryba zmierzyła policjantkę takim spojrzeniem, jakby też dobrze знаła jej zasługi. Rhyme zauważył, że podchodząc do gości, aby podać im rękę, Sachs lekko się skrzywiła. Wracając na swoje krzesło, odrobinę zmieniła chód. Rhyme przypuszczał, że nikt poza nim nie widział, jak dyskretnie wrzuciła do ust dwie pastylki advilu i połknęła bez popijania. Bez względu na to, jak ją bolało, nigdy nie brała żadnych silniejszych środków.

Okazało się, że Myers jest również w randze kapitana i stoi na czele jednostki departamentu, o której Rhyme nigdy nie słyszał, pewnie nowej. Wydziału do Zadań Specjalnych. Z jego pewności siebie i przebiegłego spojrzenia Rhyme domyślał się, że ten zespół ma dość mocną pozycję w Departamencie Policji Nowego Jorku. Niewykluczone, że Myersowi rola się przyszoła we władzach miasta.

Rhyme’a nigdy nie interesowały gierki w instytucjach takich jak nowojorska policja, a tym bardziej sięgające jeszcze dalej, do Albany czy Waszyngtonu. A w tym momencie interesował go wyłącznie powód wizyty tego człowieka. Skoro zjawił się tu wysoki rangą gliniarz o tajemniczym rodowodzie służbowym w towarzystwie zaciętej jak pies gończy prokuratorce, zapowiadało się zadanie, które uchroni go przed nudą, jego największym i najstraszniejszym wrogiem od wypadku.

Serce zabiło mu z niecierpliwości, choć poczuł to tylko w skroniach, nie w pozbawionej czucia piersi.

Bill Myers oddał głos prokuratorce, mówiąc:

– Nance naświetli profil sytuacji.

Rhyme starał się pochwycić wzrok Sellitta i posłać mu krzywe spojrzenie, ale detektyw je zignorował. „Naświetli profil sytuacji”. Rhyme nie lubił takiego pretensjonalnego języka, jakim szpikowali swoje wypowiedzi biurokraci i dziennikarze. Ostatnio uwielbiali mówić o narracjach. I implementacjach. Słowa tego rodzaju przypominały jasnoczerwone pasemka we włosach kobiet w średnim wieku albo tatuaże na policzkach.

Po chwili wahania Laurel powiedziała:

– Kapitanie...

– Lincoln. Jestem w stanie spoczynku.

Znów chwila milczenia.

– Lincoln. Prowadzę sprawę i ze względu na pewną nietypowość zasugerowano mi, że mógłby pan pomóc w śledztwie. Pan i detektyw Sachs. Sądzę, że często pracujecie razem.

– To prawda. – Ciekawe, czy prokurator Laurel potrafi się kiedykolwiek rozluźnić. Raczej nie.

– Wyjaśnię – ciągnęła. – W zeszły wtorek, dziewiątego maja, w luksusowym hotelu na Bahamach został zamordowany obywatel Stanów Zjednoczonych. Dochodzenie prowadzi miejscowa policja, ale mam powody przypuszczać, że morderca jest Amerykaninem i wrócił już do kraju. Prawdopodobnie przebywa na terenie Nowego Jorku.

Przed prawie każdym zdaniem robiła przerwę. Dobierała najodpowiedniejsze słowa? A może oceniała konsekwencje, gdyby z jej ust padło niewłaściwe?

– Nie zamierzam stawiać sprawcom zarzutu morderstwa. Trudno uzyskać wyrok skazujący w sądzie stanowym w przypadku przestępstwa popełnionego w innym kraju. Wprawdzie byłoby to możliwe, ale trwałoby zbyt długo. – Dłuższa chwila zastanowienia. – A należy działać szybko.

Dlaczego? – pomyślał Rhyme.

Intrygujące...

– Chcę oprzeć akt oskarżenia na odrębnych zarzutach, które można postawić w Nowym Jorku – dodała.

– Współdział w przygotowaniu – domyślił się Rhyme. – Dobrze. Podoba mi się. W założeniu, że morderstwo zostało zaplanowane tutaj.

– Właśnie – przytaknęła Laurel. – Zabójstwo zlecił mieszkaniec Nowego Jorku i tutaj to zrobił. W związku z tym sprawa podlega mojej kompetencji.

Jak wszyscy policjanci, obecni i byli, Rhyme znał prawo równie dobrze jak większość prawników. Przypomniał sobie stosowny zapis w kodeksie karnym stanu Nowy Jork: Porozumienie w przygotowaniu zachodzi wtedy, gdy sprawca – z zamiarem popełnienia czynu zabronionego – wchodzi w porozumienie z inną osobą lub osobami w celu popełnienia lub stworzenia warunków do popełnienia takiego czynu.

– Może więc pani postawić zarzuty tutaj – dodał – nawet jeżeli do zabójstwa doszło poza granicami stanu, bo morderstwo jest w Nowym Jorku przestępstwem.

– Zgadza się – potwierdziła Laurel. Być może była zadowolona, że przeprowadził trafną analizę. Trudno powiedzieć.

– Powiedziała pani, że zabójstwo zostało zleczone – odezwała się Sachs. – W grę wchodzi przestępczość zorganizowana?

Wielu najgroźniejszych bossów mafii nigdy nie zostało aresztowanych i skazanych za wymuszenia, morderstwa i porwania; nigdy nie udało się udowodnić im związku z miejscem zdarzenia. Ale często trafiali do więzienia za współudział w przygotowaniu tych przestępstw.

Laurel odparła jednak:

– Nie. To coś innego.

Rhyme'owi myśli się kłębiły.

– Ale jeżeli zidentyfikujemy i zatrzymamy współsprawców, Bahamczycy będą się domagać ekstradycji. Przynajmniej mordercy.

Laurel w milczeniu przyglądała mu się przez chwilę. Jej pauzy stawały się coraz bardziej irytujące. W końcu powiedziała:

– Będę się sprzeciwiać ekstradycji. Oceniam swoje szanse na dziewięćdziesiąt procent.

Jak na trzydziestokilkuletnią kobietę wydawała się... młoda. Była w niej niewinność pensjonarki. Nie, Rhyme uznał, że „niewinność” nie jest właściwym słowem. Raczej determinacja.

Pasowałyby też do niej określenie „uparta jak osioł”.

– Mają państwo jakichś podejrzanych? – zwrócił się do Laurel i Myersa Sellitto.

– Tak. Nie znam jeszcze nazwiska mordercy, ale znam dwie osoby, które zleciły zabójstwo.

Rhyme lekko się uśmiechnął. Podsyciła jego ciekawość, czemu towarzyszyło odczucie, jakie przypuszczalnie zna wilk, zwietrywszy leciutką woń ofiary. Był pewien, że Nance Laurel czuje to samo, nawet jeśli entuzjazm trudno było dostrzec pod grubą elewacją firmy L'Oréal. Chyba już wiedział, do czego zmierza.

I sprawa zapowiadała się znacznie bardziej niż intrygująco.

– Morderstwo było selektywną eliminacją, innymi słowy egzekucją, zleconą przez urzędnika rządu Stanów Zjednoczonych. Szefa Krajowej Służby Wywiadowczo-Operacyjnej z siedzibą tu, na Manhattanie.

Do takich mniej więcej wniosków doszedł Rhyme. Obstawiał jednak CIA albo Pentagon.

– Jezu! – szepnął Sellitto. – Chcecie przymknąć federalnego? – Spojrzał na Myersa, który w żaden



sposób nie zareagował, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Laurel. – Może pani to zrobić?

Pauzy wystarczyłoby na dwa głębokie oddechy.

– Co pan ma na myśli, detektywie? – Była wyraźnie skonsternowana.

Sellitto prawdopodobnie nie miał na myśli nic więcej poza tym, co powiedział.

– Czy przed oskarżeniem nie chroni go immunitet?

– Prawnicy KSWO będą próbowali powoływać się na immunitet, ale znam się na tej tematyce. Pisałam artykuł w prasie prawniczej o nietykalności urzędników państwowych. Oceniam swoje szanse w sądach stanowych na dziewięćdziesiąt procent, w wyższej instancji na osiemdziesiąt. Jeżeli trafimy przed Sąd Najwyższy, możemy być spokojni.

– Co mówi prawo o immunitetach? – zapytała Sachs.

– Tę sprawę reguluje klauzula supremacji – wyjaśniła Laurel. – Konstytucyjny zapis, zgodnie z którym w przypadku konfliktu prawo federalne jest nadrzędne wobec stanowego. Nowy Jork nie może ścigać pracownika federalnego za przestępstwo stanowe, jeżeli działania pracownika mieściły się w zakresie jego uprawnień. Uważam, że w naszej sytuacji szef KSWO dopuścił się samowoli, wykraczając poza granice swoich obowiązków.

Laurel zerknęła na Myersa, który dodał:

– Uzależniliśmy od tego nasze działania. Uzyskaliśmy wiedzę pozwalającą przypuszczać, że ten człowiek zredefiniował swoje kompetencje i dla własnych celów manipuluje danymi wywiadowczymi, na których podstawie wydano rozkaz egzekucji.

Zredefiniował swoje kompetencje...

– Cóż to za cele? – spytał Rhyme.

– Dokładnie nie wiemy – odparł kapitan. – Wydaje się, że obsesyjnie pragnie chronić kraj i eliminuje każdego, kto zagraża jego bezpieczeństwu – nawet tych, którzy być może nie stanowią zagrożenia, ale których uważa za pozbawionych uczuć patriotycznych. Człowiek, którego polecił zabić w Nassau, nie był terrorystą. Po prostu...

– Mówił to, co myślał – dokończyła Laurel.

– Jedno pytanie – wtrąciła Sachs. – Prokurator stanowy dał na to zgodę?

Tym razem milczenie Laurel mogło oznaczać, że obruszyła się, słysząc pytanie o swojego szefa i jego pozwolenie na wszczęcie śledztwa. Trudno powiedzieć. Odparła spokojnie:

– Wiadomość o zabójstwie dotarła do naszego biura na Manhattanie, gdzie znajduje się siedziba KSWO. Przedyskutowaliśmy to z prokuratorem okręgowym. Chciałam prowadzić tę sprawę ze

względu na moje doświadczenie w kwestii immunitetów i dlatego, że ten rodzaj przestępstw bardzo mnie niepokoi. Uważam, że każda selektywna eliminacja jest niekonstytucyjna z powodu braku należytego postępowania sądowego. Prokurator okręgowy spytał mnie, czy wiem, że ta sprawa to mina. Powiedziałam, że wiem. Zwróciliśmy się do prokuratora stanowego w Albany, który dał mi wolną rękę. A więc tak, mam jego błogosławieństwo. – Spokojnie patrzyła w oczy Sachs, która z równym opanowaniem wytrzymała jej nieruchome spojrzenie.

Rhyme nie mógł nie zauważyć, że obaj prokuratorzy – okręgowy z Manhattanu i stanowy – pochodzą z partii będącej w opozycji wobec obecnej administracji w Waszyngtonie. Czy należy to brać pod uwagę? Uznał, że cynizm nie jest cynizmem, jeśli ma potwierdzenie w faktach.

– Ostrożnie, jesteśmy w gnieździe os – rzekł Sellitto, wywołując uśmiech na twarzach wszystkich z wyjątkiem Laurel.

– Dlatego właśnie, kiedy Nance się do nas zgłosiła, zaproponowałem pana, kapitanie – zwrócił się do Rhyme'a Myers. – Pan, detektyw Sellitto i detektyw Sachs działacie odrobinę bardziej niezależnie niż zwykli funkcjonariusze. Nie jest pan tak uwiązany do centrali jak większość śledczych.

Lincoln Rhyme pracował teraz jako konsultant policji nowojorskiej, FBI i każdej innej instytucji, która była gotowa zapłacić sowite honorarium, jakiego żądał za swoje usługi kryminalistyczne, pod warunkiem że sprawa będzie stanowić prawdziwie ambitne zadanie.

– Kim jest ten główny konspirator? – zapytał. – Szef KSWO?

– Nazywa się Shreve Metzger.

– Nie ma żadnych podejrzeń co do zabójcy? – spytała Sachs.

– Nie. Niewykluczone, że to żołnierz – albo żołnierka – co może nam utrudnić sprawę. A może na szczęście dla nas okaże się, że to osoba cywilna.

– Na szczęście dla nas? – zdumiała się Sachs.

Rhyme przypuszczał, że Laurel ma na myśli komplikacje, jakie mogłyby wyniknąć, gdyby wmieszało się sądownictwo wojskowe. Wytłumaczyła jednak:

– Przysięgli mają więcej współczucia dla żołnierza niż dla najemnika albo cywilnego zabójcy.

– Wspomniała pani o dwóch zleceniodawcach – powiedział Sellitto. – Jednym jest Metzger, a drugim?

– Och – odparła Laurel nieco lekceważącym tonem. – To prezydent.

– Prezydent czego? – dopytywał się Sellitto.

Bez względu na to, czy odpowiedź wymagała namysłu, Laurel i tak na chwilę zamilkła.

– Oczywiście Stanów Zjednoczonych. Jestem pewna, że każda selektywna eliminacja wymaga zgody prezydenta. Ale nie zamierzam go ścigać.

– Jezu, mam nadzieję – rzekł Lon Sellitto ze śmiechem, który zabrzmiał jak stłumione kichnięcie. – To więcej niż polityczna mina. To bomba jądrowa!

Laurel zmarszczyła brwi, jak gdyby musiała przetłumaczyć tę uwagę z islandzkiego.

– Polityka nie ma tu nic do rzeczy, detektywie. Nawet gdyby prezydent przekroczył swoje uprawnienia, zlecając zabójstwo, procedura karna w jego przypadku będzie polegała na wszczęciu procedury impeachmentu. Ale to naturalnie nie leży w moich kompetencjach.

## ROZDZIAŁ 4

Jego uwagę na moment przyciągnął zapach grillowanej ryby, chyba z limonką i bananem w liściu bananowca. I czymś jeszcze, jakąś przyprawą. Nie potrafił jej rozpoznać.

Jeszcze raz wciągnął nosem powietrze. Co to mogło być?

Krępy, krótko ostrzyżony mężczyzna o ciemnych włosach ruszył w dalszą drogę nierównym chodnikiem, a miejscami, gdzie nie było betonowych płyt, gruntową ścieżką. Unosił poły czarnej marynarki, żeby się ochłodzić, ciesząc się w duchu, że nie założył krawata. Przystanął jeszcze raz przy porośniętej chwastami działce. Uliczka niskich sklepików i pastelowych domków, która potrzebowała nieco więcej pastelowej farby, przed południem była pusta. Nie widział żadnych ludzi, tylko dwa wylegające się w cieniu kundle.

Po chwili się pojawiła.

Wyszła ze sklepu ze sprzętem do nurkowania Deep Fun Dive i skierowała się w stronę West Bay, trzymając w ręku powieść Gabriela Garcii Marqueza.

Opalona młoda kobieta miała rozjaśnione słońcem, splecione włosy z cienkim warkoczykiem ozdobionym koralikami, który spływał ze skroni na pierś. Miała figurę klepsydry, ale wąskiej klepsydry. Była ubrana w żółto-czerwone bikini i przewiązana w pasie półprzezroczystą pomarańczową chustą sięgającą kostek. Gibka, pełna energii i ponętna, z figlarnym uśmiechem, który często gościł na jej twarzy.

Tak jak teraz.

– Patrzcie, któż to taki – powiedziała, zatrzymując się obok niego.

Byli w spokojnej handlowej części Nassau, oddalonej od centrum. Dość sennej. Psy przyglądały się im ospałym wzrokiem spod opadających uszu przypominających zagięte rogi kartek w książce.

– Cześć. – Jacob Swann zdjął okulary Maui Jim, przetarł twarz i nałożył je z powrotem. Szkoda, że nie wziął ze sobą kremu z filtrem. Nie planował tego wyjazdu na Bahamy.

– Hm, może nie działa mój telefon – powiedziała kwaśno Annette.

– Pewnie działa – odrzekł Swann, krzywiąc twarz. – Wiem. Powiedziałem, że zadzwonię. Moja wina.

Ale w najgorszym razie popełnił niewielkie wykroczenie; Annette była kobietą, za której towarzystwo zapłacił, więc jej kokieteryjna uwaga nie zabrzmiała aż tak uszczypliwie.

Z drugiej strony w zeszłym tygodniu przeżył jednak coś więcej niż zwykłe spotkanie klienta z dziewczyną z agencji. Policzyła tylko za dwie godziny, ale poświęciła mu całą noc. Nie przypominało to oczywiście *Pretty Woman*, ale każde z nich dobrze się bawiło.

Kupione godziny upłynęły bardzo szybko, przez okno wpadał łagodny wilgotny wietrzyk, a ciszę zakłócał miarowy szum oceanu. Zapytał ją, czy zostanie, i Annette się zgodziła. W pokoju motelowym była mała kuchenka, więc Jacob Swann przyrządził późną kolację. Po przyjeździe do Nassau zrobił drobne zakupy spożywcze, zaopatrując się w koźlinę, cebulę, mleko kokosowe, oliwę, ryż, sos chili i miejscowe przyprawy. Fachowo oddzielił mięso od kości, pokroił na niewielkie kawałki i zamarynował w maślanie. Mięso dusiło się na wolnym ogniu sześć godzin i o jedenastej wieczorem było gotowe. Zjedli, popijając treściwym winem z Doliny Rodanu.

A potem wrócili do łóżka.

– Jak interesy? – zapytał, ruchem głowy wskazując sklep, żeby nie było wątpliwości, jaki interes ma na myśli, choć dzięki pracy w Deep Fun zyskiwała klientów, którzy płacili jej znacznie więcej niż za wypożyczenie fajki do nurkowania. (Uwagi ich obojga nie uszła zresztą dwuznaczność nazwy sklepu).

1 *Deep fun* – dosł.: głęboka przyjemność.

Annette wzruszyła cudownymi ramionami.

– Nieźle. Stan gospodarki zrobił swoje, ale bogaci ludzie ciągle chcą oglądać ryby i koralowce.

Zachwaszczoną działkę ozdabiały tyse opony i wyrzucone płyty chodnikowe, kilka pociętych skorup dawno wypatroszonych urządzeń. Z każdą sekundą robiło się coraz cieplej. Wszystko oblewał blask słońca i przykrywał kurz, wszędzie były puste puszki, gęste, nieprzycięte krzewy, wybijała trawa. Pachniało grillowaną rybą, limonką, bananami i dymem z palonych śmieci.

I tą przyprawą. Co to było?

– Nie pamiętam, żebym ci mówiła, gdzie pracuję. – Wskazała sklep.

– Owszem, mówiłaś. – Przejechał dłonią po włosach. Jego okrągłą czaszkę pokrywały kropelki potu. Znow uniósł marynarkę. Dobrze było poczuć chłodniejsze powietrze.

– Nie jest ci gorąco?

– Miałem służbowe śniadanie. Musiałem wyglądać urzędowo. Wróciłem tylko na dzisiaj. Nie znałem twojego planu dnia...

– Dziś wieczór? – zaproponowała Annette. Kuszącym tonem.

– Ach, mam następne spotkanie. – Trudno coś było wyczytać z twarzy Jacoba Swanna. Mówiąc to, po prostu patrzył jej w oczy. Żadnego grymasu żalu, żadnej chłopięcej kokieterii. – Miałem nadzieję, że teraz. – Przypuszczał, że ma w oczach pożądanie; czuł je.

– Co to było za wino?

– To, które podałem do kolacji? Châteauneuf-du-Pape. Nie pamiętam z której winnicy.

– Było przepyszne.

Jacob Swann rzadko używał tego słowa – właściwie nigdy – ale uznał, że tak, miała rację. Ona też wyglądała przepysznie. Cieniutkie tasiemki bikini jakby czekały, żeby je pociągnąć. Klapki odsłaniały niebieski lakier paznokci i dwa złote pierścionki, które nosiła na dużych palcach u stóp. Pasowały do kolczyków w uszach. Na ręce pobrzękiwał skomplikowany zestaw złotych bransoletek.

Annette też zmierzyła go wzrokiem, prawdopodobnie przypominając sobie jego nagie ciało, muskularne, o płaskim brzuchu, potężnej klatce piersiowej i ramionach. Nabrzmiące od mięśni. Ciężko nad tym pracował.

– Miałam inne plany, ale...

Zakończyła zdanie nowym uśmiechem.

Gdy szli do jego samochodu, wzięła go pod ramię. Odprowadził ją do drzwi pasażera. Kiedy wsiedli, wskazała mu drogę do swojego mieszkania. Uruchomił silnik, ale zanim wrzucił bieg, znieruchomiał.

– A, zapomniałem. Wprawdzie nie zadzwoniłem, ale przywiozłem ci prezent.

– Nie! – pisnęła radośnie. – Co to jest?

Z leżącego na tylnym siedzeniu plecaka, którego używał jako aktówki, wyciągnął pudełko.

– Lubisz biżuterię, prawda?

– A która dziewczyna nie lubi? – zapytała Annette.

Kiedy zaczęła otwierać pudełko, powiedział:

– Nie traktuj tego jak swoje honorarium. To dodatek.

– Och, proszę cię! – odrzekła z lekceważącym uśmiechem. Skupiła się na otwieraniu małego, wąskiego pudełeczka. Swann rozejrzał się po ulicy. Nadal pusta. Oceniał kątem oka, po czym wziął szeroki zamach lewą ręką – otwartą, trzymając kciuk i palec wskazujący daleko od siebie – i mocno uderzył ją w krtań w bardzo szczególny sposób.

Otworzyła szeroko oczy i straciła dech. Opadła w tył, ściskając rękami uszkodzoną szyję.

Zadanie ciosu wymagało zręczności. Należało uderzyć na tyle delikatnie, aby nie zmiążdżyć tchawicy – musiała umieć mówić – ale na tyle mocno, aby uniemożliwić jej krzyk.

Wpatrywała się w niego. Może próbowała wymówić jego imię – fałszywe, które podał jej w zeszłym tygodniu. Miał trzy paszporty amerykańskie i dwa kanadyjskie oraz karty kredytowe wystawione na pięć nazwisk. Naprawdę nie pamiętał, kiedy ostatni raz przedstawił się jako Jacob Swann komuś, kogo nie znał zbyt dobrze.

Patrzył na nią spokojnie, po czym odwrócił się, żeby wyciągnąć z plecaka taśmę izolacyjną.

Włożył cieliste lateksowe rękawiczki i oderwał z rolki kawałek taśmy. Zastygł na moment. Tak, to było to. Przyprawa, którą dodał do ryby gotujący niedaleko kucharz.

Kolendra.

Jak mógł nie rozpoznać?

## ROZDZIAŁ 5

Ofiarą był Robert Moreno – poinformowała ich Laurel. – Trzydzieści osiem lat.

– Moreno... brzmi znajomo – powiedziała Sachs.

– Było o nim głośno w mediach, detektywie – wyjaśnił kapitan Myers. – Trafił na pierwsze strony.

– Zaraz – rzekł Sellitto. – To ten antyamerykański Amerykanin? Tak go zdaje się nazwano w nagłówku.

– Zgadza się – przytaknął kapitan. – Palant – dodał od siebie, z goryczą w głosie.

Tu nie posłużył się żargonem.

Rhyme zauważył, że Laurel chyba nie spodobał się komentarz Myersa. Wydawała się też zniecierpliwiona, jak gdyby nie miała ochoty tracić czasu na czcze dygresje. Przypomniawszy sobie, że mówiła o konieczności szybkiego działania – powód był już jasny. Kiedy KSWO dowie się o śledztwie, prawdopodobnie podejmie kroki, żeby zatrzymać dochodzenie – na drodze prawnej i być może nie tylko.

Rhyme też czuł zniecierpliwienie. Chciał już poznać intrygującą zagadkę.

Laurel pokazała fotografię przystojnego mężczyzny w białej koszuli siedzącego przed mikrofonem radiowym. Miał zaokrągloną twarz, przerzedzone włosy.

– Zdjęcie zrobiono niedawno w studiu radiowym w Caracas. Miał amerykański paszport, ale mieszkał w Wenezueli. Wyjechał na Bahamy w sprawie służbowej i dziewiątego maja w pokoju hotelowym zastrzelił go snajper. Zginęły jeszcze dwie osoby – ochroniarz Morena i dziennikarz, który przeprowadzał z nim wywiad. Ochroniarz był Brazylijczykiem, mieszkał w Wenezueli. Dziennikarz Portorykańczykiem mieszkającym w Argentynie.

– Prasa jakoś się o tym nie rozpisywała – zauważył Rhyme. – Gdyby przyłapano rząd z palcem na spuście, że się tak wyrażę, byłby większy szum w mediach. Kto rzekomo miał być odpowiedzialny za to zabójstwo?

– Kartele narkotykowe – odparła Laurel. – Moreno założył organizację pod nazwą Ruch Wspierania Podmiotowości Lokalnej, która miała pracować na rzecz rdzennych ubogich mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Potępiał handel narkotykami. To mogło rozdrażnić kogoś w Bogocie i innych krajach Ameryki Środkowej. Nie udało mi się jednak ustalić faktów, które by potwierdzały, że jakiemuś kartelowi zależało na jego śmierci. Jestem przekonana, że Metzger i KSWO sfabrykowali te historie

o kartelach, żeby odwrócić uwagę od siebie. Poza tym o czymś nie wspomniałam. Wiem z całą pewnością, że zastrzelił go snajper KSWO. Mam dowód.

– Dowód? – spytał Sellitto.

Z mowy ciała Laurel, choć nie z jej rysów, można było wyczytać, że bardzo chętnie opowie o szczegółach.

– Mamy informatora w samym KSWO albo w kręgach zbliżonych. Od niego pochodził przeciek o rozkazie zlikwidowania Morena.

– Przeciek? Jak z WikiLeaks? – zapytał Sellitto. Po chwili przecząco pokręcił głową. – Nie, to chyba nie wchodzi w grę.

– Racja – zgodził się Rhyme. – Trąbiliby o tym we wszystkich wiadomościach. Informacja trafiła bezpośrednio i dyskretnie do prokuratury.

– Tak jest – potwierdził Myers. – Sygnał przekazano wąskim kanałem informacyjnym

Rhyme przestał zwracać uwagę na kapitana i jego osobliwy język.

– Proszę nam opowiedzieć o Moreno – zwrócił się do Laurel.

Spełniła prośbę, mówiąc z pamięci. Jego rodzina pochodząca z New Jersey wyjechała z kraju, kiedy Moreno miał dwanaście lat, i przeprowadziła się do Ameryki Środkowej ze względu na pracę ojca; był geologiem w jednej z amerykańskich firm naftowych. Z początku Moreno chodził do amerykańskich szkół, ale po samobójstwie matki przeniósł się do miejscowych, gdzie radził sobie całkiem dobrze.

– Samobójstwo? – zainteresowała się Sachs.

– Podobno miała trudności z adaptacją w nowym otoczeniu... a praca wymagała od męża częstych wyjazdów w teren do miejsc odwiertów badawczych i eksploatacyjnych. Rzadko bywał w domu.

Laurel odmalowała portret ofiary: już w młodym wieku Moreno zaczął nienawidzić wyzysku mieszkańców Ameryki Środkowej i Południowej przez rząd Stanów Zjednoczonych i amerykańskie korporacje. Po ukończeniu college'u w stolicy Meksyku został działaczem i dziennikarzem radiowym, który w swoich tekstach i audycjach ostro atakował Amerykę i jej działania, nazywane przez niego imperializmem dwudziestego pierwszego wieku.

– Zamieszkał w Caracas i utworzył Ruch Wspierania Podmiotowości Lokalnej, który miał stanowić alternatywę dla robotników, żeby byli samowystarczalni, nie musieli szukać pracy w amerykańskich i europejskich firmach i zwracać się o pomoc do Stanów. W całej Ameryce Południowej i Środkowej i na Karaibach jest kilka oddziałów organizacji.

Rhyme nie bardzo rozumiał.



– Nie wygląda mi to na biografię terrorysty.

– Właśnie – potwierdziła Laurel. – Muszę dodać, że Moreno przychylnie wypowiadał się na temat niektórych grup terrorystycznych: Al-Kaidy, Al-Shabaab, Islamskiego Ruchu Wschodniego Turkiestanu z Sinciang w Chinach. I wchodził w sojusze z kilkoma ekstremistycznymi grupami z Ameryki Łacińskiej: kolumbijską Armią Wyzwolenia Narodowego, Rewolucyjnymi Siłami Zbrojnymi Kolumbii i Zjednoczonymi Siłami Samoobrony Kolumbii. Sympatyzował też z Sendero Luminoso z Peru.

– Świetlistym Szlakiem? – upewniła się Sachs.

– Tak.

Wrogowie moich wrogów są moimi przyjaciółmi, pomyślał Rhyme. Nawet jeśli wysadzają w powietrze dzieci.

– Mimo wszystko – powiedział. – Egzekucja? Za to?

– Ostatnio w blogach i audycjach Morena pojawiały się coraz ostrzejsze tony antyamerykańskie – wyjaśniła Laurel. – Nazywał się Posłańcem Prawdy. I jego posłanie bywało naprawdę zjadliwe. Szczerze nienawidził swojego kraju. Krążyły plotki, że z jego inspiracji ludzie strzelali do amerykańskich turystów i żołnierzy albo atakowali bombami ambasady i zagraniczne przedstawicielstwa firm amerykańskich. Nie udało mi się jednak znaleźć ani jednego przypadku, żeby choć jednym słowem kazał czy nawet sugerował przeprowadzić jakikolwiek zamach. Inspiracja to coś innego niż konspiracja.

Mimo że Rhyme znał ją dopiero od kilku minut, przypuszczał, że pani Nance Laurel bardzo pilnie szukała słów tego rodzaju.

– Ale KSWO twierdzi, że otrzymała sygnał, iż Moreno naprawdę planuje przeprowadzić atak. Zamach bombowy w siedzibie przedsiębiorstwa naftowego w Miami. Podśłuchali rozmowę telefoniczną prowadzoną po hiszpańsku, a badanie spektrograficzne potwierdziło, że to był głos Morena.

Poszperała w sfatygowanej aktówce i zajrzała do notatek.

– Moreno mówi: „Chcę wziąć na cel rafinerię na Florydzie, American Petroleum Drilling and Refining. W środe”. Drugi niezidentyfikowany głos pyta: „Dziesiątego? Dziesiątego maja?”. Moreno: „Tak, w południe, kiedy pracownicy będą wychodzić na lunch”. Drugi głos: „A jak zamierzasz dowieźć?”. Moreno: „Ciężarówkami”. Dalej następuje nieczytelny fragment. Później Moreno mówi: „To dopiero początek. Mam w planach znacznie więcej takich sygnałów”.

Schowała do teczki zapis rozmowy.

– Ta rafineria – APDR – ma dwa obiekty na Florydzie i niedaleko półwyspu: południowo-wschodnią siedzibę w Miami i platformę wiertniczą niedaleko wybrzeża. Platforma nie wchodzi w grę,

ponieważ Moreno wspominał o ciężarówkach. KSWO była więc pewna, że celem zamachu miała być siedziba firmy na Brickell Avenue. Równocześnie analitycy służby dowiedzieli się, że firmy związane z Morenem w ciągu zeszłego miesiąca sprowadzały na Bahamy olej napędowy, nawozy sztuczne i nitrometan.

Trzy popularne składniki improwizowanych ładunków wybuchowych. Substancje, które zrównały z ziemią budynek federalny w Oklahoma City. Tam także dowieziono je ciężarówką.

– Metzger z pewnością sądził, że jeżeli Moreno zostanie zlikwidowany, zanim bomba zostanie przemycona na teren Stanów Zjednoczonych, jego poplecznicy nie zrealizują planu. Został zastrzelony dzień przed incydentem w Miami, dziewiątego maja.

Na razie można było odnieść wrażenie – bez względu na to, czy popierało się decyzję o egzekucji, czy nie – że Metzger uratował życie wielu ludziom. Rhyme właśnie zamierzał o tym powiedzieć, ale ubiegła go Laurel.

– Tylko że Moreno wcale nie mówił o zamachu. To miał być pokojowy protest. Dziesiątego maja w południe przed siedzibą APDR zjawilo się sześć ciężarówek. Nie przywiozły żadnych bomb; przywiozły demonstrantów. A przeznaczenie składników bomby było zupełnie inne. Sprowadzono je dla oddziału Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej na Bahamach. Olej napędowy był dla firmy transportowej. Nawóz dla spółdzielni rolniczych, a nitrometan miał być wykorzystany do produkcji chemicznych środków ochrony roślin. Wszystko legalne. W rozkazy zezwalającym na eliminację Morena wymieniono tylko te materiały, ale w tym samym transporcie sprowadzono tony ziarna, części zamienne do samochodów ciężarowych, wodę w butelkach i inne towary. KSWO udawała, że zapomniała o nich poinformować.

– To nie było zaniedbanie wywiadu? – spytał Rhyme.

Laurel zrobiła dłuższą niż zwykle pauzę, po czym odrzekła:

– Nie. Sądzę, że to była manipulacja informacją. Metzger nie lubi Morena, nie lubił jego retoryki. Odnotowano, że raz nazwał go niktzemnym zdrajcą. Uważam, że nie przekazywał swoim zwierzchnikom całej prawdy, dlatego Waszyngton wydał zgodę na realizację tego zadania, sądząc, że to zagrożenie zamachem bombowym, a Metzger wiedział, że jest inaczej.

– Czyli KSWO zabiła niewinnego człowieka – podsumował Sellitto.

– Tak – potwierdziła Laurel z nutą ożywienia w głosie. – Ale to dobrze.

– Co?! – krzyknęła Sachs, marszcząc brwi.

Krótką pauza. Laurel najwyraźniej nie zrozumiała konsternacji Sachs, która podobnie zareagowała na przypuszczenia prokuratora, że „na szczęście dla nas” zabójca może się okazać cywilem, nie żołnierzem.

– Tu też chodzi o ławę przysięgłych, Sachs – wyjaśnił Rhyme. – Będą bardziej skłonni skazać

oskarżonego, który zabił działacza korzystającego po prostu z Pierwszej Poprawki dającej mu prawo do wolności słowa, a nie zatwardziałego terrorystę.

– Dla mnie nie ma między nimi wielkiej różnicy moralnej – dodała Laurel. – Nie można na nikim wykonać wyroku bez właściwego przewodu sądowego. Na nikim. Ale Lincoln ma rację. Muszę brać pod uwagę nastawienie przysięgłych.

– Dlatego jeżeli sprawa ma mieć dobry punkt oparcia, kapitanie – zwrócił się do Rhyme’a Myers – potrzebny jest nam ktoś taki jak pan, mocno stojący na ziemi.

Kiepsko dobrał wyrażenie, zważywszy na środek lokomocji, jakim poruszał się kryminalistyk.

Rhyme w pierwszej chwili chciał się bez wahania zgodzić. Sprawa była intrygująca i stanowiła pod każdym względem ambitne zadanie. Zauważył jednak, że Sachs wbija wzrok w podłogę i drapie się jednym palcem w skórę głowy, jak miała w zwyczaju. Ciekawe, co ją niepokoiło.

– W sprawie al-Awlakiego nie ścigała pani CIA – powiedziała.

Anwar al-Awlaki, obywatel amerykański, był radykalnym imamem i głosicielem dżihadu, a także liderem jemeńskiej siatki Al-Kaidy. Był emigrantem, tak jak Moreno, i nazwano go bin Ladenem internetu, ponieważ w swoim blogu z zapałem nawoływał do ataków na Amerykanów. Zainspirował między innymi sprawcę masakry w Fort Hood w 2009 roku i niedoszłego zamachowca samobójcę, który w tym samym roku zamierzał wysadzić się w samolocie, oraz sprawcę nieudanego zamachu bombowego na Times Square w 2010 roku.

Al-Awlaki wraz z innym obywatelem USA, swoim wydawcą, zginęli w ataku samolotu bezzałogowego kierowanym przez CIA.

Laurel najwyraźniej nie rozumiała Amelii Sachs.

– Jak mogłam ich oskarżyć? Jestem zastępcą prokuratora okręgowego w Nowym Jorku. Nic nie łączyło zabójstwa al-Awlakiego z naszym stanem. Ale jeżeli pyta pani, czy wybieram sprawy, które moim zdaniem mogę wygrać, to odpowiedź jest twierdząca. Oskarżając Metzgera o zabójstwo znanego i niebezpiecznego terrorysty, prawdopodobnie nie miałabym żadnych szans. Podobnie w sprawie o zabójstwo obywatela innego kraju. Ale egzekucję Morena będę umiała sprzedać ławie przysięgłych. Kiedy uzyskam wyrok skazujący Metzgera i jego snajpera, będę mogła przyjrzeć się innym, mniej jednoznacznym sprawom. – Umilkła na chwilę. – A może rząd po prostu dokona rewizji swojej polityki i postanowi przestrzegać konstytucji... i przestanie wynajmować morderców.

Spoglądając na Rhyme’a, Sachs powiedziała do Laurel i Myersa:

– Nie wiem. Coś mi tu nie gra.

– Nie gra? – powtórzyła Laurel, zaskoczona jej wyrażeniem.

Pocierając dwa palce o siebie, Sachs dodała:

– Nie wydaje mi się, żeby to była praca dla nas.

– Dla pani i Lincolna?

– Dla żadnego z nas. To sprawa polityczna, nie kryminalna. Chce pani, żeby KSWO przestała likwidować ludzi, świetnie. Ale to chyba powinno być zadanie Kongresu, nie policji?

Laurel ukradkiem zerknęła na Rhyme'a. Sachs naturalnie miała rację i zwróciła uwagę na rzecz, która w ogóle nie przysłała mu do głowy. Jeśli chodziło o prawo, niewiele obchodziły go ogólne kwestie dobra i zła. Wystarczyło mu, że Albany, Waszyngton czy rada miasta zdefiniowała jakiś czyn jako przestępstwo. Jego zadanie było wówczas proste: musiał odnaleźć i zebrać dowody przeciwko sprawcy przestępstwa.

Podobnie jak w szachach. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie, że twórcy tej tajemnej gry postanowili, iż królowa jest najsilniejszą figurą, a skoczek porusza się po linii tworzącej kąt prosty? Nie. Ale skoro takie ustalono zasady, trzeba było ich przestrzegać.

Nie zwracając uwagi na Laurel, patrzył na Sachs.

Zastępczyni prokuratora okręgowego nagle zmieniła pozycję ciała – nieznacznie, choć zauważalnie. Rhyme z początku pomyślał, że to pozycja obronna, ale okazało się, że jest w błędzie. Laurel przystąpiła do argumentacji. Jak gdyby wstała ze swojego miejsca na sali rozpraw i podeszła do ławy przysięgłych – przysięgłych, którzy nie byli jeszcze przekonani do winy oskarżonego.

– Amelio, sądzę, że sprawiedliwość tkwi w szczegółach – zaczęła. – W drobiazgach. Nie oskarżam w sprawie o gwałt dlatego, że społeczeństwo traci stabilność, kiedy kobiety doświadczają przemocy seksualnej. Oskarżam w sprawach o gwałt, ponieważ ktoś popełnia czyn zabroniony w artykule sto trzydziestym paragraf trzydzieści pięć kodeksu karnego stanu Nowy Jork. Tak właśnie postępuję i wszyscy tak postępujemy.

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

– Proszę, Amelio. Znam pani życiorys. Chciałabym mieć panią w zespole.

Ambicja czy ideologia? – zastanawiał się Rhyme, przyglądając się krępej sylwetce Nance Laurel, jej sztywnym włosom, krótkim palcom zakończonym nielakierowanymi paznokciami, drobnym stopom w praktycznych czółenkach, na które nałożyła maskującą pastę z równą starannością jak podkład na twarzy. Naprawdę nie potrafił rozstrzygnąć, czym się kierowała, zauważył jednak coś, co zmroziło mu krew w żyłach – całkowitą beznamiętność w jej czarnych oczach. A niewiele rzeczy mogło zmrozić krew w żyłach Lincolnowi Rhyme'owi.

W ciszy, jaka potem zapadła, Sachs pochwyciła wzrok Rhyme'a. Chyba wyczuła, jak bardzo chciał przyjąć tę sprawę. To przesądziło o jej decyzji.

– Jestem w zespole – powiedziała.

– Ja też. – Rhyme nie patrzył jednak na Laurel ani Myersa, tylko na Sachs. Jego mina mówiła: dzięki.

– Chociaż nikt mnie nie pyta – burknął Sellitto – ja też chętnie spieprzę sobie dalszą karierę i przymknę federalną fiszę.

– Przypuszczam, że najważniejsza jest dyskrecja – rzekł Rhyme.

– Musimy utrzymać śledztwo w tajemnicy – przytaknęła Laurel. – Inaczej zaczną znikać dowody. Ale sądzę, że na razie nie musimy się o to martwić. W prokuraturze robimy wszystko, by nie wydostała się żadna informacja. Naprawdę wątpię, że KSWO cokolwiek wie o dochodzeniu.

## ROZDZIAŁ 6

Jadąc wypożyczonym samochodem w kierunku rafy przy południowo-zachodnim brzegu wyspy New Providence, niedaleko dużego parku narodowego Clifton, Jacob Swann usłyszał sygnał telefonu informujący o nadejściu SMS-a. Wiadomość dotyczyła śledztwa prowadzonego przez nowojorską policję w sprawie śmierci Roberta Morena i zarzutów o udział w przygotowaniu. W ciągu kilku najbliższych godzin Swann miał poznać szczegóły, łącznie z nazwiskami osób prowadzących sprawę.

Szybko działali. Znacznie szybciej, niż się spodziewał.

Usłyszał łomot dobiegający z bagażnika, gdzie leżała zwinięta w kłębek Annette Bodel, pechowa dziwka. Ale odgłos był słaby, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć, żadnych meneli grzebiących w śmieciach i wystających przy ulicach, jakich często widywało się na Bahamach, którzy popijali piwo Sands i Kalik, plotkując, dowcipkując i narzekając na kobiety i swoich szefów.

Nie było też żadnych samochodów ani łodzi na turkusowej tafli wody.

Karaiby to jedna wielka sprzeczność, pomyślał Swann, rozglądając się wokół siebie: blichtr przyciągający turystów i szarzyzna codzienności miejscowych. Uwaga skupiała się na punkcie, w którym dolary i euro spotykały się z rozrywką i usługami, a reszta mieszkańców czuła się po prostu zmęczona. Obojętna jak ten gorący, zachwaszczony i zaśmiecony pas piaszczystej ziemi niedaleko plaży.

Wysiadł i dmuchnął w rękawiczki, żeby ochłodzić spocone dłonie. Cholera, naprawdę gorąco. Był już tutaj w ubiegłym tygodniu. Po szczególnie trudnym, ale precyzyjnie oddanym strzale, który rozerwał na strzępy serce tego zdrajcy Roberta Morena, przyjechał tu i zakopał ubrania i inne dowody. Zamierzał zostawić je zagrzebane tu na wieki. Kiedy jednak otrzymał dziwną i niepokojącą wiadomość, że prokuratorzy w Nowym Jorku badają zagadkę śmierci Morena, uznał, że lepiej będzie je wydobyć i pozbyć się w bardziej skuteczny sposób.

Wcześniej jednak jeszcze jeden obowiązek... jeszcze jedno zadanie.

Otworzył bagażnik i spojrzał na zapłakaną, spoconą i cierpiącą Annette.

Próbowała oddychać.

Podszedł do tylnego siedzenia w samochodzie, z walizki wyciągnął jeden ze swoich skarbów, nóż do krojenia mięsa Kai Shun Premier. Klinga miała długość dwudziestu dwóch centymetrów i charakterystyczne dla wyrobów tej firmy wykończenie tsuchime wykonane przez kowala z japońskiego miasta Seki. Rdzeń ostrza ze stali VG-10 pokrywały trzydzieści dwie warstwy stali damasceńskiej. Rękojeść była zrobiona z orzechowego drewna. Nóż kosztował dwieście pięćdziesiąt dolarów. Swann miał inne modele tego samego producenta, różnych kształtów i rozmiarów, przeznaczone do różnych kuchennych celów, ale ten lubił najbardziej. Uwielbiał go już w dzieciństwie. Używał go do filetowania ryb, krojenia przezroczystych plasterków wołowiny na carpaccio i do motywowania ludzi.

Zawsze podróżował z dość sfatygowaną torbą na noże Messermeister oraz dwiema mocno zaczytanymi książkami kucharskimi – Jamesa Bearda i francuskiego mistrza Michela Guérarda, guru *cuisine minceur*. Celnicy nie przywiązywali szczególnej wagi do profesjonalnych noży, nawet wyglądających tak groźnie, spakowanych razem z książką kucharską. Poza tym przydawały się podczas pracy z dala od domu: zamiast włóczyć się po barach czy samotnie chodzić do kina, Jacob Swann często gotował.

Na przykład w zeszłym tygodniu oddzielał koźlinę od kości i kroił w kostkę, żeby ją udusić.

„Mój mały rzeźnik, mój kochany mały rzeźnik”...

Znów usłyszał łomot. Annette zaczęła kopać.

Wrócił do bagażnika i wywlókł ją stamtąd za włosy.

– Hnn, hnn, hnn...

Miała to być prawdopodobnie jej wersja „nie, nie, nie”.

Znalazł zagłębienie w piasku, porośnięte wysokimi roślinami, ozdobione zgniecionymi puszkami po piwie Kalik i butelkami po Red Stripe, zużyтыми prezerwatywami i gnijącymi niedopałkami papierosów. Położył Annette na wznak i usiadł jej na piersi.

Rozejrzył się. Nikogo. Dzięki uderzeniu w krtań wrzaski będą na pewno znacznie cichsze, ale nie

bezdźwięczne.

– Posłuchaj. Chcę ci zadać kilka pytań, na które musisz mi odpowiedzieć słowami. I to szybko. Potrafisz wymówić słowa?

– Hnn.

– Powiedz „tak”.

– Tch... tch... tchaaak.

– Dobrze. – Wysunął z kieszeni chusteczkę higieniczną, po czym drugą ręką zatkał jej nos, a kiedy otworzyła usta, chwycił przez chusteczkę jej język i wyciągnął koniuszek za wargi. Mocno potrząsnęła głową, ale zaraz się zorientowała, że to boli bardziej niż nos, który zaciskał palcami.

Z trudem udało się jej uspokoić.

Jacob Swann wysunął nóż Kai Shun – podziwiając ostrze i rękojeść. Narzędzia kuchenne często należą do najbardziej stylowo wykonanych przedmiotów. Promienie słońca odbijały się od karbów wykutych na górnej części ostrza jak od morskich fal. Delikatnie przesunął szpicem po czubku jej języka, rysując różową kreskę, ale nie przecinając do krwi.

Z jej ust wyrwał się jakiś dźwięk. Może „proszę”.

„Mały rzeźnik”...

Przypomniawszy sobie, jak przed kilkoma tygodniami tym samym nożem przygotowywał pierś kaczki, robiąc trzy płytkie nacięcia, żeby lepiej wytopił się tłuszcz. Pochylił się.

– Posłuchaj uważnie – szepnął. Tak przybliżył usta do jej ucha, że poczuł na policzku gorący dotyk jej skóry.

Tak jak w zeszłym tygodniu.

No, może trochę tak jak w zeszłym tygodniu.

Kapitan Bill Myers, gdy tylko przekazał pałeczkę Rhyme'owi i jego ekipie, wyszedł, zabierając ze sobą swój irytujący żargon.

Śledztwo w sprawie przygotowania zabójstwa Morena było wprawdzie przedsięwzięciem wielkiej wagi, ale poza nim w Nowym Jorku prowadzono tysiące innych dochodzeń, które także wymagały uwagi kapitana i jego tajemniczego Wydziału do Zadań Specjalnych.

Rhyme przypuszczał też, że Myers chce się zdystansować od sprawy. Udzielił wsparcia prokuratorce – kapitan musiał to oczywiście zrobić, ponieważ policja i prokuratura to bliźnięta syjamskie – lecz zaraz potem postanowił się wycofać i oddalić w niewiadomym kierunku. Rhyme zastanawiał się nad politycznymi ambicjami, które wcześniej wyczuł, i jeśli miał rację, gruba ryba z dowództwa będzie się z daleka przyglądać rozwojowi sprawy. Potem wróci w blasku chwały na trybunę honorową, aby przyjąć defiladę z ujętym sprawcą. Albo zupełnie zniknie, gdyby sprawa wybuchła, powodując katastrofę publicznego wizerunku policji.

Co było bardzo prawdopodobne.

Rhyme'a nic to nie obchodziło. Nawet się ucieszył, że Myers wyszedł. Nie potrafił nic zdziałać, jeżeli po kuchni kręcił się inny kucharz.

Lon Sellitto oczywiście został. Formalnie prowadzący śledztwo detektyw siedział na skrzypiącym ratanowym fotelu, wahając się, czy wziąć z tacy babeczkę, mimo że oskubał już pół drożdżówki. Dwa razy ścisnął brzuch, jak gdyby szukając potwierdzenia, że na najnowszej modnej diecie już wystarczająco stracił na wadze, by zasłużyć sobie na jeszcze jedno ciastko. Widocznie jednak nie.

– Co wiemy o Metzgerze, szefie KSWO? – zwrócił się do Nance Laurel.

Prokuratorka znów zaczęła mówić, nie zaglądając do żadnych notatek.

– Czterdzieści trzy lata. Rozwiedziony. Była żona jest prawniczką i prowadzi prywatną praktykę. Wall Street. Skończył Harvard w ramach programu szkoleniowego dla oficerów rezerwy. Potem wstąpił do wojska. Irak. Zaczynał służbę jako porucznik, skończył w randze kapitana. Mówiło się o dalszym awansie, ale nie doszedł do skutku. Z powodów, o których powiem później. Zwolniony ze służby, potem Yale, magisterium z polityki społecznej i prawa. Zaczął pracować w Departamencie Stanu, pięć lat temu wstąpił do KSWO jako dyrektor operacyjny. Kiedy w zeszłym roku szef Służby odszedł na emeryturę, Metzger dostał jego stanowisko, mimo że był jednym z najmłodszych członków kierownictwa. Podobno nic nie mogło go powstrzymać od przejęcia steru.

– Dzieci? – spytała Sachs.

– Co takiego? – zdziwiła się Laurel.



– Czy Metzger ma dzieci?

– Aha, myśli pani, że ktoś wywierał na niego presję, wykorzystując dzieci, żeby wykonywał niewłaściwe zadania?

– Nie – odparła Sachs. – Zastanawiałam się tylko, czy ma dzieci.

Laurel zrobiła zaskoczoną minę. Musiała sięgnąć do notatek.

– Ma syna i córkę. W wieku gimnazjalnym. Na rok pozbawiono go prawa do opieki. Teraz wolno mu się widywać z dziećmi, ale pozostają z matką.

Nazwać Metzgera jastrzębiem to mało. Powiedział podobno, że dwunastego września 2001 roku zaatakowałby Afganistan bronią jądrową. Otwarcie opowiada się za prawem do wyprzedzającej eliminacji nieprzyjaciela. Jego największymi wrogami są amerykańscy obywatele, którzy wyjechali za granicę i zaangażowali się w działalność według niego za antyamerykańską, na przykład przyłączyli się do rebelii albo głośno wspierają grupy terrorystyczne. Ale jego poglądy polityczne nie są dla mnie istotne. – Pauza. – Ważniejszą cechą jest jego brak równowagi psychicznej.

– Jak to? – zdziwił się Sellitto.

Rhyme zaczął tracić cierpliwość. Chciał się już zająć kryminalistyczną stroną sprawy.

Ale ponieważ Sachs i Sellitto mieli do każdej sprawy „podejście globalne”, jak mógłby powiedzieć kapitan Myers, pozwolił Laurel kontynuować, starając się wyglądać na zainteresowanego.

– Ma problemy emocjonalne – wyjaśniła prokuratorka. – Przede wszystkim z opanowaniem gniewu. Chyba głównie nim się kieruje. Został przeniesiony do rezerwy z czystym kontem, ale w trakcie służby miał kilka ataków, które zaszkodziły jego karierze wojskowej. Ataków furii, napadów szału, jakkolwiek to nazwać. Zupełnie tracił panowanie nad sobą. Raz nawet trafił do szpitala. Udało mi się dotrzeć do pewnych danych i wiem, że nadal chodzi do psychiatry i kupuje leki. Parę razy został zatrzymany przez policję za brutalne zachowania. Nigdy nie postawiono mu żadnych zarzutów. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że cierpi na paranoiczne zaburzenia osobowości. Nie jest to psychoza, ale z pewnością ma urojenia i jest uzależniony – od samego gniewu. Ściślej mówiąc, od reakcji na gniew. Z moich badań na ten temat wynika, że ulga, którą odczuwa, uzewnętrzniając emocje podczas ataku gniewu, uzależnia jak narkotyk. Wydaje mi się, że na niego działa w ten sposób chwila, gdy wydaje snajperowi rozkaz zlikwidowania znenawidzonej przez niego osoby.

Rzeczywiście przeprowadziła gruntowne badania. Mówiła jak psychiatra podczas wykładu dla studentów.

– Jak w takim razie udało mu się dostać to stanowisko? – zapytała Sachs.

Rhyme miał to pytanie na końcu języka.

– Ponieważ ma naprawdę wielki talent do zabijania ludzi. Tak przynajmniej wynika z przebiegu jego służby wojskowej. Trudno będzie przedstawić ławie przysięgłych wyniki badań jego osobowości,

ale zamierzam jakoś to zrobić. I mogę się tylko modlić, że będzie zeznawać. Byłabym szczęśliwa, gdyby wpadł we wściekłość na oczach przysięgłych. – Laurel spojrzała na Rhyme’a, a potem na Sachs. – Podczas śledztwa powinniście szukać wszystkiego, co potwierdzi brak zrównoważenia Metzgera, jego skłonność do wybuchów gniewu i brutalnych zachowań.

Tym razem Sachs odezwała się po chwili ciszy.

– To trochę podejrzanę, nie sądzi pani?

Bitwa na pauzy trwała.

– Nie bardzo rozumiem, co ma pani na myśli.

– Nie wiem, jakie moglibyśmy znaleźć dowody rzeczowe na to, że facet nie potrafi panować nad sobą.

– Nie mówię o dowodach rzeczowych. Mówię ogólnie o śledztwie. – Prokuratorka patrzyła na Sachs, która była od niej wyższa o dobre dwadzieścia centymetrów. – Ma pani w aktach dobre opinie, chwali się panią za umiejętność tworzenia profili psychologicznych i przesłuchiwania świadków. Jeżeli pani poszuka, na pewno będzie umiała pani coś znaleźć.

Sachs lekko przechyliła głowę i zmrużyła oczy. Rhyme też był zaskoczony na wiadomość, że prokuratorka sprawdzała jej akta – jego prawdopodobnie też.

Gruntowne badania...

– Dobrze. – Laurel wypowiedziała to słowo bez wahania. Sprawa została ustalona, będą szukać dowodów niezrównoważenia. Wszystko jasne.

Do pokoju wkroczył opiekun Rhyme’a. Niósł dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Kryminalistyk przedstawił go prokuratorce. Zauważył, że przykryta maską makijażu twarz lekko drgnęła, gdy Nance Laurel spojrzała na Thoma. W jej oczach pojawił się wyraźny błysk zainteresowania, choć Thom Reston, mimo swojego uroku i ujmującej powierzchowności, nie mógł być kandydatem na partnera dla tej kobiety – która nie nosiła żadnych obrączek ani pierścionków na serdecznych palcach. Chwilę później Rhyme doszedł jednak do wniosku, że jej reakcja nie wynikała z atrakcyjności jego asystenta, ale była spowodowana faktem, że Thom przypominał jej kogoś, kogo bardzo blisko zna lub znała.

Odwracając w końcu wzrok od młodego mężczyzny, Laurel podziękowała za kawę, jak gdyby pozwalając sobie na filiżankę, naruszyłaby etykę zawodową. Zaczęła szperać w swojej torbie, w której panował nienaganny porządek. Zakładki w teczkach były oznaczone różnymi kolorami, Rhyme dostrzegł pulsujące pomarańczowe diody, które wskazywały, że są tam też dwa komputery w stanie hibernacji.

– Chcielibyście zobaczyć rozkaz egzekucji? – zapytała, spoglądając na nich.

Kto mógłby odrzucić taką propozycję?

## ROZDZIAŁ 8

Oczywiście nie nazywają tego rozkazem egzekucji – zapewniła ich Nance Laurel. – To skrót. Oficjalnie nazywa się to RZS, rozkaz zadania specjalnego.

– Brzmi jeszcze gorzej – uznał Lon Sellitto. – Tak sterylnie. Aż ciarki chodzą po plecach.

Rhyme przyznał mu rację.

Laurel podała Sachs trzy kartki.

– Mogłaby je pani przykleić na tablicy, żeby wszyscy widzieli?

Sachs po chwili wahania spełniła prośbę prokuratoroki.

Laurel wskazała pierwszą kartkę.

– To e-mail, który w zeszły czwartek, jedenastego, przyszedł do prokuratury.

Sprawdźcie wiadomość o Robercie Moreno. Dołączam rozkaz w tej sprawie. Poziom Dwa to obecny szef KSWO. To jego pomysł. Moreno był obywatelem USA. SU oznacza straty uboczne. Kryptonim funkcjonariusza, który go zabił, brzmi Don Bruns.

Osoba z sumieniem

– Trzeba ustalić, skąd wysłano maila – powiedział Rhyme. – Rodney. – Zerknął w stronę Sachs, która skinęła głową.

Wyjaśniła Laurel, że często współpracują z wydziałem przestępczości komputerowej nowojorskiej policji.

– Wyślę im prośbę. Ma pani e-mail w formie cyfrowej?

Laurel wyciągnęła z aktówki plastikową torebkę z pendrive'em. Rhyme z uznaniem zauważył, że została do niej dołączona dowodowa karta ewidencyjna. Prokuratorka podała torebkę Sachs, mówiąc: – Mogłaby pani...?

Nie zdążyła dokończyć, gdy policjantka dopisała na karcie swoje nazwisko.

Sachs podłączyła pendrive'a do swojego komputera i zaczęła stukać w klawisze.

– Proszę zaznaczyć, że nadrzędną sprawą jest bezpieczeństwo.

Nie unosząc wzroku, Sachs odparła:

– Piszę o tym w pierwszym zdaniu. – Chwilę później wysłała prośbę do wydziału.

– Kryptonim brzmi znajomo – zauważył Sellitto. – Bruns, Bruns...

– Może snajper jest fanem muzyki country – powiedziała Sachs. – Jest taki autor i wykonawca piosenek country, folk. Całkiem niezły.

Laurel przechyliła głowę, jak gdyby w ogóle nie słuchała muzyki, a tym bardziej tak energetycznej jak country.

– Sprawdź w wydziale informacji – polecił Rhyme. – Niech przeczeszą bazy danych i poszukają Brunsa. Jeżeli ma status nieoficjalnego, może jest jeszcze obecny w rzeczywistym świecie.

Agenci ze statusem nieoficjalnego pracownika wywiadu mimo pracy pod przykryciem mają karty kredytowe i paszporty, dzięki którym – prawdopodobnie – można ich namierzyć i uzyskać wskazówki co do ich prawdziwej tożsamości. Wydział informacji był nową jednostką w departamencie policji zajmującą się eksploracją danych i należał do najlepszych tego typu komórek w całym kraju.

Gdy Sachs przesyłała prośbę, Laurel odwróciła się do tablicy i przykleiła drugą kartkę.

– A oto sam rozkaz.

Trzeci dokument na tablicy nosił nagłówek A i wymieniał informacje, o których Nance Laurel wspominała wcześniej – o dostawach nawozów, oleju napędowego i chemikaliów na Bahamy. Transport pochodził z Corinto w Nikaragui i z Caracas.

Teraz prokuratorka ruchem głowy wskazała pamięć flash, wciąż podłączoną do komputera.

– Informator przysłał również plik dźwiękowy z rozmową telefoniczną czy radiową między snajperem i prawdopodobnie jego dowódcą, przeprowadzoną tuż przed oddaniem strzału. – Spojrzała wyczekująco na Sachs, która zawahała się i z powrotem usiadła do komputera. Wcisnęła kilka klawiszy. Chwilę później w głośniczkach rozległa się krótka wymiana zdań:

– *W pokoju są chyba dwie, nie, trzy osoby.*

– *Możesz zidentyfikować Morena?*

– *Nie... razi mnie światło. Już lepiej. Tak. Mogę zidentyfikować obiekt. Widzę go.*

Na tym zapis się kończył. Rhyme miał poprosić Sachs, żeby zrobiła analizę spektrograficzną głosu, ale już to zrobiła.

– To nie jest dowód, że nacisnął spust – powiedział – ale na pewno był na miejscu. Do tego głosu

potrzebujemy jeszcze ciała.

– Specjaliści – zauważyła Laurel. – To widocznie oficjalna nazwa zabójców.

– A ten kod KSWO? – zapytał Sellitto.

– Używają go prawdopodobnie po to, aby mieć pewność, że wzięli na cel właściwego Roberta A. Moreno. Gdyby popełnili błąd, znaleźliby się w niezręcznej sytuacji. – Rhyme czytał tekst wiadomości. – Ciekawe, że informator nie podał nam nazwiska snajpera.

– Może go nie znał – stwierdził Sellitto.

Sachs:

– Wygląda na to, że resztę znał. Jego sumienie sięga tylko do pewnego punktu. Sypnie szefa organizacji, ale jest pełen zrozumienia dla wykonawcy zadania.

– Zgadzam się – powiedziała Laurel. – Informator musi je znać. Chcę, żeby je znał. Nie po to, żeby mu postawić zarzuty, ale dla naszej informacji. Tylko on może nas doprowadzić do snajpera, a bez snajpera nie będzie zarzutu o przygotowanie zabójstwa i nie będzie oskarżenia.

– Nawet jeżeli go znajdziemy, nie zdradzi nam jego nazwiska dobrowolnie – zauważyła Sachs. – Już by to zrobił.

– Kiedy dostanę tego informatora, będzie mówił... – odrzekła w zamyśleniu Laurel. – Będzie mówił.

– Rozważa się pociągnięcie Metzgera do odpowiedzialności za śmierć tamtych dwóch osób, ochroniarza i tego dziennikarza, de la Rui? – spytała Sachs.

– Nie, ponieważ w rozkazie egzekucji wymieniono tylko Morena, a oni zostali zaliczeni do strat ubocznych, którymi nie chcemy zaciemniać obrazu.

Kwaśna mina Sachs zdawała się mówić: chociaż nie żyją tak samo jak cel snajpera. Nie można mącić w głowach przysięgłym, co?

– Chcę poznać szczegóły samego zabójstwa – oznajmił Rhyme.

– Wiemy bardzo niewiele. Policja z Bahamów przedstawiła nam wstępny raport, ale potem wszelki kontakt się urwał. Nie odbierają telefonów. Wiadomo tylko, że Moreno został zastrzelony w swoim apartamencie. – Wskazała wydruk z rozkazem. – Numer 1200. W Pokoju Straceń, według ich określenia. Snajper strzelał z cypla tysiąc osiemset metrów od hotelu.

– No, no, mistrzowski strzał – powiedziała Sachs, unosząc brwi. Była niezłym strzelcem, często brała udział w zawodach i miała na koncie spore sukcesy w oficjalnych turniejach departamentu i w prywatnych rywalizacjach, choć wolała broń krótką. – Nazywamy to kulą za milion dolarów. Rekord snajpera wynosi dwa tysiące trzysta metrów. Ten snajper na pewno zna się na robocie.

– To dla nas dobra wiadomość – odrzekła Laurel. – Zawęźa krąg podejrzanych.

Rzeczywiście, pomyślał Rhyme.

– Co jeszcze wiemy?

– Nic więcej.

To wszystko? Jakieś maile, przeciek rządowego dokumentu, nazwisko jednego z konspiratorów.

Sz szczególnie widoczny był brak tego, na czym Rhyme'owi zależało najbardziej: dowodów rzeczowych.

Które kryły się gdzieś daleko stąd, na terenie innej jurysdykcji – i w innym kraju.

Czyli specjalista od zabezpieczania miejsc zbrodni nie miał miejsca zbrodni.

## **ROZDZIAŁ 9**

Shreve Metzger siedział bez ruchu przy swoim biurku na dolnym Manhattanie, a na jego ramię i pierś padały promienie porannego słońca odbite od stojącego w pobliżu wieżowca.

Patrząc na Hudson, wracał pamięcią do wczorajszego dnia. Ogarnęła go zgroza, gdy przeczytał zaszyfrowaną wiadomość od działu inwigilacji KSWO. Komórka organizacji w niczym nie ustępowała podobnym jednostkom CIA czy Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, ale nie działała tak jawnie, co oznaczało, że nie była aż tak spętana nakazami i resztą biurokratycznych rygorów, które narzucała ustawa o inwigilacji zagranicznych służb wywiadowczych. W związku z tym dostarczała informacji najwyższej jakości.

Wczoraj, późnym niedzielnym popołudniem Metzger był na ważnym meczu piłki nożnej, w którym grała jego córka – z bardzo trudnym przeciwnikiem, Wolverines. Za nic w świecie nie opuściłby

swojego miejsca na trybunach, przy samym środku boiska.

W kwestii dzieci postępował ostrożnie. Aż nazbyt dobrze się tego nauczył.

Ale gdy nałożył okulary w cienkich oprawkach – wyczyściwszy wcześniej szkła – i przeczytał z początku zaskakujące, potem niepokojące, wreszcie wstrząsające słowa, natychmiast spowił go Dym, bardziej przypominający żel niż parę, zamykając się ciasno wokół niego. Duszący Dym. Metzger zadrżał, zaciskając szczęki, zaciskając dłonie, czując ucisk w sercu.

Poradzę sobie, powtarzał. To też część zadania. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, że się dowiedzą. Upomniął sam siebie: Dym nie jest tobą, nie jest częścią ciebie. Możesz go rozpędzić, jeżeli tylko będziesz chciał. Ale musisz chcieć. Po prostu odpuść.

Trochę się uspokoił i rozluźnił ręce, poklepując się po kościstej nodze odzianej w spodnie od garnituru (inni ojcowie mieli na sobie džinsy, ale on po wyjściu z biura nie zdążył się przebrać). Metzger miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył sześćdziesiąt osiem kilogramów. W dzieciństwie był gruby, ale zgubił nadwagę i nigdy już nie pozwolił sobie przytyć. Przerzedzone ciemne włosy miał odrobinę za długie jak na funkcjonariusza państwowej służby, ale lubił taką fryzurę i nie zamierzał jej zmieniać.

Wczoraj, kiedy odłożył telefon, dwunastoletnia pomocniczka na boisku odwróciła się w kierunku jego sektora i się uśmiechnęła. Metzger odpowiedział szerokim uśmiechem. Sztucznym, czego być może Katie się domyśliła. Żałował, że nie można tu kupić szkockiej, ale był w gimnazjum w Bronxville w Nowym Jorku i w menu nie mógł znaleźć niczego mocniejszego niż kawa, chociaż waniliowe i czekoladowe ciastka serwowane przez komitet rodzicielski szkoły imienia Wilsona dostarczały całkiem miłych przeżyć.

Zresztą alkohol nie był sposobem na pokonanie Dymu.

Doktorze Fischer, wierzę panu. Tak sędzę.

Jeszcze wieczorem wrócił do biura i próbował zrozumieć wiadomość: jakiś wojujący zastępca prokuratora okręgowego z Manhattanu chciał go oskarżyć o śmierć Morena. Metzger, który sam był prawnikiem, zsumował prawdopodobne zarzuty i uznał, że najcięższym z nich będzie przygotowanie zabójstwa.

Jeszcze bardziej wstrząsnęła nim informacja, że prokuratura okręgowa dowiedziała się o śmierci Morena, ponieważ nastąpił przeciek rozkazu zadania specjalnego.

Jakiś cholerny kapuś!

Zdrajca. Zdradził mnie, KSWO, a co najgorsze – zdradził państwo. Och, ta myśl znów sprowadziła Dym. Metzger zobaczył w wyobraźni, jak okłada łopatą prokuratora, żeby zatłuc go na śmierć – nigdy nie wiedział, jaką wizję podsunie mu wściekłość. Ta szczególnie krwawa fantazja, z makabryczną ścieżką dźwiękową, niezwykle plastyczna i uporczywie powracająca, dziwiła go i równocześnie przynosiła głęboką satysfakcję.



Kiedy się uspokoił, zaczął dzwonić i wysyłać wiadomości otoczone kokonem skomplikowanego szyfru, robiąc wszystko, żeby rozwiązać problem.

Teraz, w poniedziałkowy rano, po nocy spędzonej w biurze, odwrócił się od rzeki i przeciągnął. Spał w sumie cztery godziny (bardzo niedobrze: zmęczenie dawało Dymowi siłę), a potem wziął prysznic w siłowni KSWO, więc jako tako funkcjonował. Siedział w swoim gabinecie sześć na sześć metrów, pustym, jeśli nie liczyć sejfów, szafek, komputerów, kilku zdjęć, książek i map, i popijał latte. Swojej sekretarce kupił to samo, ale Ruth dostała kawę z mlekiem sojowym. Może też powinien go spróbować. Twierdziła, że działa relaksująco.

Przyjrzał się oprawionej fotografii, którą zrobił sobie z dziećmi na wakacjach w Boone w Karolinie Północnej. Przypomniawszy sobie przejażdżkę konną w stajni dla turystów. Potem jeden z pracowników zrobił ich trójce pamiątkowe zdjęcie. Metzger zwrócił wtedy uwagę, że ubrany w strój kowboja człowiek miał aparat Nikon, tej samej firmy, która produkowała celowniki optyczne używane przez jego snajperów w Iraku. Myślał w szczególności o zdarzeniu, gdy jeden z jego ludzi posłał pocisk Lapua kalibru .338 z odległości tysiąca siedmiuset metrów w ramię Irakijczyka, który właśnie miał odpalić improwizowany ładunek. Nie wygląda to tak jak w filmach; pocisk tego rodzaju zabija bez względu na to, w co trafi. W ramię, w nogę, gdziekolwiek. Tamten rebeliant po prostu rozleciał się na kawałki i padł na piasek, a Shreve Metzger odetchnął z błogim spokojem i zadowoleniem.

„Proszę się uśmiechnąć, panie Metzger. Ma pan wspaniałe dzieci. Chce pan trzy odbitki osiem na dziesięć i tuzin zdjęć do portfela?”

Kiedy planował i wykonywał egzekucję zdrajcy, Dym nie zasnuwał mu głowy. Ani odrobina. Powiedział o tym doktorowi Fischerowi. Psychiatra wydawał się zaniepokojony i dalej już nie drążyli tego tematu.

Metzger zerknął na komputer i swój magiczny telefon.

Jego jasne oczy – koloru orzechowego, za którym nie przepadał, z niezdrowym żółtawozielonym odcieniem – znów skierowały się w stronę okna na Hudson. Widział to z biura dzięki garstce psychopatów, którzy pewnego pogodnego wrześniowego dnia usunęli budynki zasłaniające widok na rzekę. A przy tym nieumyślnie, na nieszczęście dla swoich ocalałych towarzyszy, pchnęli Metzgera do zmiany profesji.

Gdy o tym myślał, Dym zgęstniał, jak często się działo, kiedy wracał pamięcią do jedenastego września. Dawniej wspomnienia o tym dniu działały na niego obezwładniająco, teraz wywoływały tylko dojmujący ból.

Odpuść...

Zadzwonił telefon. Metzger spojrzawszy na wyświetlacz, gdzie odczytał komunikat, który można było przetłumaczyć: masz przesrane.

– Tu Metzger.

– Shreve! – zagrział wesoło głos w słuchawce. – Co u ciebie? Nie gadaliśmy całe wieki.

Metzger nie lubił Czarnoksiężnika z krainy Oz. To znaczy nie lubił postaci samego Czarnoksiężnika (film raczej mu się podobał). Czarodziej był podejrzanym manipulatorem i despotą, który zasiadł na tronie podstępem... a mimo to rządził niepodzielnie całą krainą.

Podobnie jak człowiek, z którym właśnie rozmawiał.

– Nie zadzwoniłeś do mnie, Shreve – skarcił go Czarnoksiężnik.

– Ciągłe ustalanie faktów – oznajmił swojemu rozmówcy, który akurat przebywał czterysta kilometrów na południe od niego, w Waszyngtonie. – Wielu szczegółów jeszcze nie znamy.

Co nie oznaczało zupełnie nic. Ale nie miał pojęcia, ile wie Czarnoksiężnik. W związku z tym musiał unikać jednoznacznych odpowiedzi.

– Wyobraź sobie, że mieliście lipne informacje o Morenie, zgadza się, Shreve?

– Na to wygląda.

– Zdarza się – rzekł Czarnoksiężnik. – Oczywiście, że się zdarza. Co za parszywy biznes. Czyli co, wasz wywiad zapiął wszystko na ostatni guzik, sprawdził dwa i trzy razy.

Wasz wywiad...

Jednoznaczny wybór zaimka nie uszedł jego uwagi.

– Oczywiście.

Czarnoksiężnik nie wytykał mu wprost, że akurat Metzger zapewniał go, iż śmierć Morena ocali życie innym ludziom, ponieważ emigrant zamierzał wysadzić w powietrze siedzibę American Petroleum w Miami. W rzeczywistości najgroźniejszego aktu przemocy dokonała jakaś uczestnicząca w demonstracji kobieta, która rzuciła pomidorem w policjanta i nie trafiła.

Ale rozmowy z Czarnoksiężnikiem opierały się głównie na podtekstach.

Metzger pracował z nim od kilku lat. Rzadko spotykali się osobiście, ale ilekroć go widział, krępy mężczyzna z dobrodusznym uśmiechem na twarzy zawsze miał na sobie granatowy garnitur z serży, cokolwiek to właściwie było, oraz niezwykle wzorzyste skarpety, a w klapie nosił wpiętą miniaturkę flagi amerykańskiej. Nigdy nie miał takiego problemu jak Metzger z Dymem, a kiedy się odzywał, zawsze mówił nadzwyczajnie spokojnym głosem.

– Trzeba było działać szybko – powiedział Metzger, niezadowolony, że musi się bronić. – Ale z naszej wiedzy wynika, że Moreno stanowi zagrożenie. Finansuje terrorystów, wspiera handel bronią, jego firmy piorą pieniądze i tak dalej.

Moreno stanowił zagrożenie, poprawił się w myślach Metzger. Został zastrzelony. Czas teraźniejszy

już go nie dotyczył.

Czarnoksiężnik z Waszyngtonu ciągnął swoim słodziutkim głosem: – Czasem po prostu trzeba działać szybko, Shreve. Parszywy biznes.

Metzger wyciągnął obciążki do paznokci i zabrał się do dzieła. Pracował powoli. To zajęcie trochę pomagało powstrzymać Dym. Dziwne, ale lepiej obcinać paznokcie, niż obżerać się ciastkami i frytkami. Albo wrzeszczeć na żonę czy dzieci.

Czarnoksiężnik znów zasłonił słuchawkę i zamienił parę słów z kimś obok.

Kto mógł być razem z nim w pokoju? – zastanawiał się Metzger. Prokurator generalny?

Ktoś z Pennsylvania Avenue?

Po chwili Czarnoksiężnik wrócił do rozmowy z Metzgerem i zapytał: – Podobno toczy się jakieś śledztwo?

A więc jednak. Niech to szlag. Wiedział. Jak to się wydostało? Przecieki są dla mnie takim samym zagrożeniem jak terroryści.

Nadciągał gęsty obłok Dymu.

– Chyba tak.

Zapadła cisza, która wyraźnie oznaczała: kiedy zamierzałeś nam o tym wspomnieć, Shreve?

Pytanie Czarnoksiężnika brzmiało jednak inaczej.

– Policja?

– Tak, departament nowojorski. Federalni nie. Ale są solidne podstawy, żeby powołać się na immunitet. – Jego dyplom z prawa od lat porastał kurzem, ale przed objęciem stanowiska Metzger bardzo uważnie przestudiował decyzję Sądu Najwyższego w sprawie Neagle’a i podobnych przypadków. Potrafił przez sen wyrecytować orzeczenie w tej sprawie: urzędników federalnych nie można ścigać za przestępstwa stanowe, pod warunkiem że działali w ramach swoich uprawnień.

– Ach, naturalnie, immunitet – powiedział Czarnoksiężnik. – Zbadaliśmy to oczywiście.

Już? Ale prawdę mówiąc, Metzger nie był zaskoczony.

Ciężkie milczenie.

– Cieszysz się, że nie przekroczyłeś swoich uprawnień, Shreve?

– Tak.

Boże, proszę, niech ten Dym nie ujdzie teraz na zewnątrz.

– Doskonale. Specjalistą był Bruns, zgadza się?

Przez telefon nie podawało się nazwisk ani kryptonimów bez względu na to, jak dobrze połączenie było zaszyfrowane.

– Tak.

– Policja z nim rozmawiała?

– Nie. Jest głęboko zakamuflowany. Niemożliwe, żeby ktokolwiek go odnalazł.

– Oczywiście nie muszę mówić – wie, że powinien uważać.

– Podjął konieczne środki ostrożności. Jak wszyscy.

Pauza.

– Dobrze, dość już o tej sprawie. Zajmij się tym.

– Zajmę się.

– To dobrze. Bo okazuje się, że zaczęły się jakieś dyskusje budżetowe w komisji wywiadu. Zupełnie nagle. Nie rozumiem po co. Nie były planowane, ale znasz takie komisje. Muszą się przyglądać, na co idą pieniądze. Chciałem ci tylko powiedzieć, że z jakiegoś powodu – powiem, że naprawdę mnie to wkurzyło – wzięli na celownik KSWO.

Dym się nie pojawił, ale Metzger osłupiał. Nie potrafił wykrztusić ani słowa.

Czarnoksiężnik jak gdyby nigdy nic ciągnął:

– To jakiś absurd, nie sądzisz? Przecież wiesz, jak walczyliśmy, żeby uruchomić twoją agencję. Niektórych bardzo zaniepokoiła. – Śmiech. Zupełnie wyprany z wesołości. – Naszym liberalnym przyjaciółom w ogóle nie podobało się to, co robicie. Niektórym z naszych przyjaciół z przeciwnej strony nie podobał się fakt, że odbierasz robotę Langley i Pentagonowi. Młotowi i kowadłu, można rzec. Tak czy inaczej, pewnie nic z tego nie będzie. No wiesz, pieniądze. Dlaczego zawsze wszystko sprowadza się do pieniędzy? Zresztą... Co u Katie i Seta?

– W porządku. Dzięki, że pytasz.

– Cieszę się. Muszę kończyć, Shreve.

Rozłączyli się.

Jezu.

Jest źle.

Wesoły Czarnoksiężnik o przesywających jak noże ciemnych oczach, w garniturze z serży i ekscentrycznych skarpetkach, w rzeczywistości powiedział mu: zlikwidowałeś amerykańskiego obywatela na podstawie złych informacji, a jeżeli sprawa zakończy się procesem przed sądem stanowym, położy się cieniem na całej krainie Oz. Wielu ludzi w stolicy będzie się uważnie przyglądać rozwojowi wypadków w Nowym Jorku, czekając, jak zakończy się sprawa śmierci Morena. Byli gotowi wysłać na KSWO swojego snajpera – oczywiście w przenośni – w formie obciętego budżetu. Służba skończyłaby żywot za pół roku.

A o całej historii byłoby cicho jak makiem zasiał, gdyby nie ten informator.

Zdrajca.

Oślepiony Dymem Metzger wezwał przez interkom sekretarkę i wziął kubek z kawą.

„Wasz wywiad zapiął wszystko na ostatni guzik, sprawdził dwa i trzy razy”...

Jeżeli o to chodzi...

Przemyśl całą sytuację, nakazał sobie Metzger. Gdzieś dzwoniłeś, wysyłałeś parę wiadomości. Sprzątanie trwało już w najlepsze.

– Tak, Shreve... wszystko w porządku? – Oczy Ruth spoczęły na jego palcach zaciśniętych na kartonowym kubku. Metzger uświadomił sobie, że jeszcze chwila, a wyleje letnią kawę na rękaw i kilka dokumentów, które miało prawo oglądać tylko kilkanaście osób w całej Ameryce.

Rozluźnił kurczowy uścisk i zmusił się do uśmiechu.

– Tak, oczywiście. To była długa noc.

Jego sekretarka niedawno przekroczyła sześćdziesiątkę, miała pociągłą twarz o atrakcyjnych rysach, wciąż pokrytą bladymi piegami, które ujmowały jej lat. Dowiedział się kiedyś, że parędziesiąt lat temu należała do dzieci kwiatów. Lato miłości w San Francisco. Mieszkała w Haight-Ashbury. Dziś jak zwykle związała siwe włosy w ciasny kok, a jej przeguby zdobiły kolorowe gumowe bransoletki symbolizujące poparcie dla różnych akcji i idei. Walki z rakiem piersi, nadziei, pojednania. Któż mógłby wiedzieć? Metzger wolałby, żeby ich nie nosiła; znaki tego rodzaju, mimo że niejednoznaczne, wydawały się niestosowne w państwowej agencji wykonującej takie zadania jak KSWO.

– Jest już Spencer? – zapytał.

– Mówił, że będzie za pół godziny.

– Przyślij go do mnie, gdy tylko przyjdzie.

– Nie ma sprawy. Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Kiedy Ruth wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi i pozostawiając ulotną woń olejku paczuli, Metzger wysłał jeszcze kilka wiadomości i kilka odebrał.

Jedna z nich brzmiała optymistycznie.

Przynajmniej trochę rozpędziła Dym.

## ROZDZIAŁ 10

Rhyme zauważył, że Nance Laurel przypatruje się swojemu niewyraźnemu odbiciu w metalowej obudowie chromatografu gazowego. W żaden sposób nie zareagowała na to, co zobaczyła. Nie należała raczej do kobiet mizdrzących się przed lustrem.

Odwróciła się i zapytała Sellitta i Rhyme'a:

– Jak panowie proponują, od czego zaczniemy?

Rhyme miał już w głowie jasny obraz sprawy.

– Przeanalizuję miejsce zdarzenia – powiedział. – Sachs i Lon dowiedzą się wszystkiego o KSWO, Metzgerze i jego wspólniku snajperze. Sachs, zacznij tablicę. Zrób listę bohaterów, chociaż na razie niewiele wiemy.

Wzięła pisak, podeszła do białej tablicy i zapisała skąpe informacje.

– Chcę namierzyć tego informatora – rzekł Sellitto. – Może być ciężko. Wie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Nie zdradził prasie, że jakaś firma dosypuje do płatków zgniłe ziarno; oskarża rządową agencję o morderstwo. Amelia?

– Wysłałam Rodneyowi informację o mailu i rozkazie – odparła Sachs. – Będę współpracować z nim i z wydziałem przestępczości komputerowej. Jeżeli ktoś potrafi namierzyć anonimową wiadomość, to na pewno on. – Po chwili namysłu dodała: – Zadzwońmy też do Freda.

Rhyme zastanowił się nad tym.

– Dobry pomysł.

– Kto to jest? – spytała Laurel.

– Fred Dellray. Z FBI.

– Nie – oznajmiła zdecydowanie Laurel. – Żadnych federalnych.

– Dlaczego? – zdziwił się Sellitto.

– Bo wiadomość może się przedostać do KSWO. Nie powinniśmy tak ryzykować.

– Fred specjalizuje się w pracy pod przykryciem – zaprotestowała Sachs. – Jeżeli powiemy, że sprawa wymaga dyskrecji, będzie dyskretny. Potrzebujemy pomocy, a Fred ma dostęp do znacznie lepszych informacji niż NCIC2 i stanowe bazy danych.

2 National Crime Information Center – Krajowe Centrum Informacji Kryminalnych FBI.

Laurel wyraźnie się wahała. Na jej okrągłej bladej twarzy – nawet ładnej, jeśli spojrzano się na nią pod pewnym kątem, o urodzie wiejskiej dziewczyny – zaszła bardzo subtelna zmiana. Niepokój? Irytacja? Opór? Jej mimika przypominała hebrajskie albo arabskie litery, w których maleńkie znaki diakrytyczne były jedynymi wskazówkami zupełnie innego znaczenia.

Sachs posłała krótkie spojrzenie prokuratorce i powtórzyła z uporem: – Powiemy mu, że sprawa jest poufna. Przyjmie to do wiadomości.

Zanim Laurel zdążyła coś więcej powiedzieć, policjantka wcisnęła przycisk GŁOŚNIK w stojącym niedaleko telefonie. Rhyme zobaczył, że prokuratorka zeszywniała, i zastanawiał się, czy podejdzie do aparatu i wciśnie widełki.

Pokój wypełnił głuchy sygnał.

– Dellray – odezwał się po chwili agent. Przytłumiony głos wskazywał, że Fred pracuje gdzieś w Trenton czy Harlemie i nie chce ściągać na siebie uwagi.

– Fred, tu Amelia.

– Proszę, proszę! Co u ciebie? Dawnośmy się nie słyszeli. Powiedz mi tylko, czy coś mi grozi, bo spokojnie mówię do telefonu, a całkiem możliwe, że po twojej stronie słychać mnie w Madison Square Garden. Nie cierpię gadać przez głośnik.

– Jesteś bezpieczny, Fred. Jest ze mną Lon, Lincoln...

– Cześć, Lincoln. Przegrałeś ten zakład o Heideggera, wiesz? Codziennie zaglądam do swojej skrzynki i do wczoraj nie było wiadomości o żadnym czeku. Wystaw go na Nieomylnego w Sprawach Filozofii Freda Dellraya.

– Wiem, wiem – mruknął Rhyme. – Zapłacę.

– Wisisz mi pięć dych.

– Właściwie część powinien zapłacić Lon – zauważył Rhyme. – To on mnie podpuścił.

– Gówno prawda – padła błyskawiczna odpowiedź detektywa.

Nance Laurel słuchała tej wymiany zdań skonsternowana. Na czele listy obcych jej upodobań z pewnością plasowała się skłonność do przerzucania się grepsami.

A może była po prostu zła na Sachs, że lekceważąc jej sprzeciw, zadzwoniła jednak do agenta FBI.

– Jest tu jeszcze zastępczyni prokuratora okręgowego – ciągnęła Sachs. – Nance Laurel.

– A więc to naprawdę szczególny dzień. Witam, pani Laurel. Ten wyrok na Dokerów to była świetna robota. Bo to pani, prawda?

Pauza.

– Tak, agencie Dellray.

– Nigdy bym nie pomyślał, że się pani uda. Słyszałeś o tym, Lincoln? O sprawie Joeya Barone’a w Okręgu Południowym? Postawiliśmy chłopakowi parę zarzutów z paragrafów federalnych, ale przysięgli potraktowali go dość łagodnie. A prokurator Laurel w sądzie stanowym ostro ruszyła na bramkę i chłopak zarobił dwadzieścia lat. Podobno prokurator federalny powiesił sobie w gabinecie pani zdjęcie... na tarczy do rzutek.

– Nic o tym nie wiem – brzmiała jej chłodna odpowiedź. – Cieszyłam się z decyzji sądu.

– No więc słucham. Co jest?

– Fred, mamy sprawę – zaczęła Sachs. – Poufną.

– Muszę przyznać, że ton twojego głosu jest zagadkowo intrygujący, więc mów dalej.

Rhyme zauważył, jak po twarzy Sachs przemknął uśmiech. Fred Dellray był jednym z najlepszych agentów Biura, znanym organizatorem siatek informatorów, ojcem rodziny... i filozofem amatorem. Ale po latach, które spędził na ulicy jako tajny agent, zaczął się posługiwać specyficznym językiem, równie dziwnym jak jego gust w doborze ubioru.



– Sprawca jest twoim szefem, pracuje w agencji federalnej.

Chwila ciszy.

– Hm.

Sachs zerknął na Laurel, która po krótkim wahaniu zabrała głos, referując poznane dotąd fakty na temat zabójstwa Morena.

Fred Dellray potrafił czekać ze spokojem i opanowaniem, Rhyme wyczuł teraz jednak po drugiej stronie telefonu nietypowe dla niego zdenerwowanie.

– KSWO? To właściwie nie my. Działają w swoim własnym wymiarze. Co niekoniecznie znaczy, że to dobrze.

Nie objaśnił tego szerzej; zdaniem Rhyme’a raczej nie musiał.

– Sprawdzę parę rzeczy. Chwila. – Stukot klawiszy zabrzmiał w głośniku jak odgłos łupin orzechów spadających na blat stołu.

– Agencie Dellray... – zaczęła Laurel.

– Proszę mi mówić Fred. Niech się pani nie martwi. Mam tu wszystko zaszyfrowane jak trzeba.

Zdziwiła się.

– Dziękuję.

– Przeglądam tylko nasze akta, nasze akta... – Długa pauza. – Robert Moreno alias Roberto. Faktycznie, są informacje o APDR, American Petroleum Drilling and Refining... Wygląda na to, że postawili na nogi nasze biuro w Miami, bo podobno groził jakiś zamach terrorystyczny, ale okazało się, że to fałszywy alarm. Chcecie posłuchać, co tu mam o Morenie?

– Tak, Fred. Mów. – Sachs usiadła przy komputerze i utworzyła plik.

– No dobra. Nasz ptaszek wyjechał z kraju ponad dwadzieścia lat temu i teraz przyjeżdża mniej więcej raz do roku. Znaczy się, przyjeżdżał. Co tam jeszcze... był na liście obserwowanych, ale nigdy nie został uznany za aktywne zagrożenie. Przede wszystkim gadał, więc był dla nas postacią z drugiego planu. Kręcił się koło Al-Kaidy i Świetlistego Szlaku, w tych klimatach, ale nigdy nie nawoływał do ataków. – Agent szeptał coś do siebie, po czym powiedział: – Mam tu zapis, że według oficjalnych informacji za zabójstwem mogły stać jakieś kartele. Ale nie można tego zweryfikować... Ach, mam.

Cisza.

– Fred, jesteś tam jeszcze? – zniecierpliwiał się Rhyme.

– Hm.

Rhyme westchnął.

– To się wam może przydać – odezwał się wreszcie Dellray. – Wiadomość z Departamentu Stanu. Moreno tu był. W Nowym Jorku. Przyjechał trzydziestego kwietnia wieczorem. Wyjechał drugiego maja.

– Masz coś konkretnego, co tu robił, dokąd poszedł? – zapytał Lon Sellitto.

– Nic. To chyba wasza działka, przyjaciele. Dobra, podrażę temat. Zadzwońię do moich ludzi na Karaibach i w Ameryce Południowej. Aha, mam zdjęcie. Chcecie?

– Nie – powiedziała nagle Laurel. – Trzeba zminimalizować kontakty z pana biurem. Wolałabym bezpośrednie telefony do mnie albo do detektywów Sellitta i Sachs, albo do Lincolna Rhyme’a. Niezbędna jest dyskrecja.

– Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami – wyrecytował Dellray. – Nie ma najmniejszego problemu. Ale że poruszę ten temat: jesteście pewni, że nasi przyjaciele o niczym jeszcze nie wiedzą? W KSWO?

– Nie wiedzą – odparła prokuratorka.

– Mhm.

– Nie wydajesz się do końca przekonany – zauważył Rhyme.

Agent zachichotał.

– Powodzenia wszystkim i każdemu z osobna.

Sachs wyłączyła telefon.

– Dobrze, gdzie mogę pracować? – zapytała Laurel.

– Jak to? – zdziwiła się głośno Sachs.

Prokuratorka rozglądała się po salonie.

– Będzie mi potrzebne biurko. Albo stół. Nie musi to być biurko. Po prostu coś dużego.

– Dlaczego chce pani tu zostać?

– Przecież nie mogę pracować w swoim biurze, prawda? – Jak gdyby to było oczywiste. – Przecieki. KSWO w końcu się dowie, że prowadzimy śledztwo, ale muszę to odwlec. Tamto miejsce by mi odpowiadało. Mogłabym je zająć?

Laurel wskazała stół w rogu.

Rhyme zawołał Thoma i polecił mu uprzątnąć z blatu książki i parę pudeł ze starym sprzętem kryminalistycznym.

– Mam komputery, ale potrzebuję własnej linii i routera wi-fi. Będę musiała mieć własne łącze, szyfrowane. I wołałabym z nikim nie dzielić sieci. – Zerknęła w stronę Rhyme’a. – Jeżeli da się to zrobić.

Sachs wyraźnie się nie podobał pomysł powiększenia zespołu o tę osobę. Lincoln Rhyme był z natury samotnikiem, ale nauczył się w trakcie pracy przynajmniej tolerować, choć nie lubić, obecność innych. Nie zgłosił żadnych zastrzeżeń.

Nance Laurel postawiła na stole aktówkę i swoją ciężką torbę, po czym zaczęła wypakowywać akta i układać je w osobnych plikach. Wyglądała jak studentka pierwszego roku wprowadzająca się do akademika, która rozkłada swój skromny dobytek na biurku i na nocnym stoliku, tak aby mieszkało się jak najwygodniej.

Po chwili uniosła wzrok, patrząc na wszystkich obecnych.

– Jeszcze jedno... chciałabym, żebyście w trakcie śledztwa szukali wszelkich dowodów jego świętości.

– Słucham? – zdumiała się Sachs.

– Wszystkiego, co by świadczyło, że Robert Moreno był świętym. Był znany z podburzających wypowiedzi. Często krytykował kraj. Dlatego chcę, żebyście znaleźli coś dobrego w jego życiorysie. Na przykład co zrobił jego Ruch Wspierania Podmiotowości Lokalnej. Budowa szkół, dożywianie dzieci z Trzeciego Świata i tak dalej. Kochający ojciec i mąż.

– Chce pani, żebyśmy to znaleźli? – indagowała Sachs. Nacisk na pierwsze słowo nadał pytaniu odcień niedowierzania... i dodatkowo ton wyraźnej irytacji.

– Zgadza się.

– Po co?

– Tak po prostu będzie lepiej. – Jak gdyby nie było co do tego żadnych wątpliwości.

– Aha. – Sachs milczała przez chwilę. – To przecież nie jest odpowiedź. – Nie patrzyła na Rhyme’a, który wolał unikać jej wzroku. Już i tak między Sachs a prokuratorką potężnie iskrzyło.

– Znow chodzi o przysięgłych. – Laurel zerknęła w stronę Rhyme’a, który poprzednio wsparł jej argumentację. – Muszę im pokazać, że był uczciwym i dobrym, etycznie postępującym człowiekiem. Obrona będzie się starała przedstawić Morena jako zagrożenie – tak jak adwokaci próbują na przykład ukazać ofiarę gwałtu jako osobę, która ubierała się prowokująco i flirtowała z napastnikiem.

– Między tymi dwoma scenariuszami jest wielka różnica – powiedziała Sachs.

– Naprawdę? Nie sędzę.

– Śledztwo ma przecież dotrzeć do prawdy.

Laurel przemyślała te słowa.

– Jeżeli nie wygrywa się w sądzie, jaki jest sens poznania prawdy? – Dla niej temat został zamknięty.

– I trzeba pracować szybko. Bardzo szybko.

– Racja – przytaknął Sellitto. – KSWO w każdej chwili może się dowiedzieć o sprawie. Mogą zacząć znikać dowody.

– To oczywiste – odrzekła Laurel – ale mówię o czymś innym. Spójrzcie na tablicę, na rozkaz egzekucji.

Wszyscy skierowali wzrok w tę stronę, łącznie z Rhyme'em, który nie potrafił jednak od razu wyciągnąć wniosku. Ale nagle zrozumiał.

– Kolejka.

– Właśnie – powiedziała prokuratorka.

– Nie umiem nic znaleźć na temat tego Raszida – ciągnęła. – Nie wiem, gdzie jest. Może jego Pokój Straceń to chata w Jemenie, gdzie sprzedaje części do bomby jądrowej. A jeżeli wziąć pod uwagę gorliwość Metzgera, może to pokój dzienny w domu Ridgefield w Connecticut, gdzie Raszid prowadzi bloga, w którym rzuca gromy na Guantanamo i obraża prezydenta. Wiemy jednak, że KSWO zamierza go zabić przed piątkiem. Jakie straty uboczne wchodzi wtedy w grę? Jego żona i dzieci? Jakiś przechodzień? Do piątku Metzger musi zostać zatrzymany.

– Ale to niekoniecznie oznacza, że nie dopuścimy do zabójstwa – zauważył Rhyme.

– Niekoniecznie, ale KSWO i Waszyngton dostaną sygnał, że ktoś bardzo uważnie przygląda się ich poczynaniom. Być może odłożą egzekucję, polecą jakiejś niezależnej osobie przejrzeć rozkaz i sprawdzić, czy są do niego podstawy. Nie dojdzie do tego, dopóki u władzy będzie Metzger.

Laurel zamasyżycie wyszła na środek jak oskarżyciel podczas mowy końcowej i teatralnym gestem wskazała rozkaz egzekucji.

- Widzicie te liczby u góry? Osiem/dwadzieścia siedem, dziewięć/dwadzieścia siedem? To nie są daty. To zadania w kolejce. Czyli ofiary. Moreno był ósmą osobą zabitym przez KSWO. Al-Barani będzie dziewiątą.
- W sumie dwadzieścia siedem – rzekł Sellitto.
- Tydzień temu – odparła natychmiast Laurel. – Kto wie, ile ich jest dzisiaj?

## ROZDZIAŁ 11

W drzwiach gabinetu Shreve'a Metzgera ukazała się postać przypominająca niewzruszonego, ciepłego ducha.

Dyrektor administracyjny KSWO – prawa ręka Metzgera w siedzibie organizacji – rozkoszował się błękitem nieba na brzegu spokojnego jeziora w Maine, gdy został wezwany przez szefa zaszyfrowanym SMS-em. Natychmiast przerwał wakacje. Jeśli był wściekły, a prawdopodobnie był, nie dał tego po sobie poznać.

To by było niestosowne.

Tak nie wypadało.

Spencer Boston reprezentował nieco wyblakłą elegancję poprzedniego pokolenia. Miał rysy dobrotliwego dziadka o wąskich ustach obramowanych zmarszczkami i gęste, falujące siwe włosy. Był starszy od Metzgera o dziesięć lat. Emanowały z niego niezmałowany spokój i rozsądek. Nie wiedział, co to Dym. Wszedł do gabinetu, instynktownie zamknął drzwi, odgradzając ich od wścibskich uszu, po czym usiadł naprzeciwko szefa. Nie odzywał się, ale jego wzrok zatrzymał się na telefonie komórkowym w ręku Metzgera. Rzadko używany aparat, którego nie wolno było wynosić z budynku, miał kolor ciemnoczerwony – akurat taki był dostępny w firmie od ręki. Metzger myślał o nim jako o swoim „magicznym telefonie”.

Dyrektor KSWO uświadomił sobie, że ściskanie aparatu wywołuje u niego skurcze mięśni.

Odłożył telefon i lekko skinął głową. Z Bostonem pracował od kilku lat, odkąd zastąpił poprzedniego szefa KSWO, którego pochłonał wir polityki. Nie było to udane zniknięcie.

– Dzięki, że przyszedłeś – rzucił chłodno Metzger, jak gdyby uznał, że musi jakoś skomentować brutalne przerwanie urlopu. Dym oddziaływał na niego na wiele różnych sposobów. Na przykład mieszał mu w głowie do tego stopnia, że nawet kiedy Metzger był wolny od gniewu, zapominał, jak się zachowywać normalnie. Jeśli pewna przypadłość rządzi życiem, człowiek zawsze ma się na baczności.

„Tatusiu... dobrze się czujesz?”.

„Przecież się uśmiecham”.

„Chyba tak. Ale to trochę... dziwnie wygląda”.

Dyrektor administracyjny poprawił się na krześle, które skrzypnęło. Spencer Boston nie był mężczyzną drobnej postury. Wypił łyk mrożonej herbaty z wysokiego plastikowego kubka i uniósł krzaczaste brwi.

– Mamy w firmie informatora – poinformował go Metzger.

– Co? To niemożliwe.

– Wiadomość jest potwierdzona. – Metzger opowiedział, co się stało.

– Nie – szepnął Boston. – Co zamierzasz z tym zrobić?

Ignorując prowokacyjne pytanie, Metzger dodał: – Musisz go znaleźć. Nie obchodzi mnie, co będziesz musiał zrobić.

Ostrożnie, upomniał się w duchu. Takie gadanie sprowadza Dym.

– Kto o tym wie? – zapytał Boston.

– W każdym razie na pewno on. – Szef skierował pełne czci spojrzenie na magiczny telefon.

Dalsze szczegóły były zbędne.

Czarnoksiężnik.

Boston skrzywił się, również zaniepokojony. Poprzednio pracował w innej rządowej agencji wywiadowczej i z dużymi sukcesami zdobywał osobowe źródła informacji w całej Ameryce Środkowej – sam wybrał ten region – w tak kluczowych krajach jak Panama. Specjalizował się w sztuce zmiany władzy. To było środowisko Bostona, nie polityka, wiedział jednak, że bez wsparcia Waszyngtonu każdy może być wystawiony do wiatru razem ze swoimi źródłami informacji w

najgorszym momencie. Kilka razy został wzięty do niewoli przez rewolucjonistów, powstańców czy szefów karteli, przesłuchiowano go, prawdopodobnie torturowano, choć nigdy o tym nie mówił.

I przeżył. W Waszyngtonie czyhały inne zagrożenia, ale wymagały takich samych umiejętności przetrwania.

Boston przejechał dłonią po swojej imponującej, choć siwej czuprynie i czekał.

– On... – rzekł Metzger tonem wskazującym, że wiadomo, o kogo chodzi – ...wie o śledztwie, ale nie powiedział ani słowa o żadnych przeciekach. Nie sądzę, żeby o nich wiedział. Musimy znaleźć zdrajcę, zanim wiadomość dostanie się do stolicy.

Popijając jasną herbatę, Boston jeszcze bardziej zmarszczył czoło, ukazując więcej bruzd na twarzy. Gdyby miał grać rolę starszego, dystyngowanego gracza politycznego, mógłby rywalizować z Donaldem Sutherlandem jak równy z równym. Metzger, choć dużo młodszy, miał znacznie rzadsze włosy niż Boston, był kościsty i chudy. Miał wrażenie, że wygląda przy nim jak szcurek.

– Co o tym sądzisz, Spencer? Skąd mógł przeciec RZS?

Boston spojrzał w okno. Ze swojego krzesła nie widział Hudsonu, tylko odbijające światło szyby wieżowca.

– Przecucie mi mówi, że to ktoś z Florydy. A jeżeli nie, to z Waszyngtonu.

– A Teksas i Kalifornia?

– Wątpię – odparł Boston. – Dostają kopie RZS, ale jeżeli rozkaz nie dotyczy jednego z ich specjalistów, nawet nie otwierają... I chociaż trudno mi to mówić, nie można zupełnie wykluczyć naszego biura.

Zgoda. Mógł ich sprzedać współpracownik z biura, choć przykro było o tym myśleć.

– Zapytam informatyków o serwery, koparki i skanery. Zbadam wariografem osoby z uprawnieniami do ściągania danych. Każę gruntownie przeczesać Facebook. Nie, nie tylko Facebook, ale blogi i wszystkie inne serwisy społecznościowe, jakie się da. Sprawdzę, czy ktokolwiek, kto ma dostęp do RZS, pisał jakieś krytyczne uwagi na temat rządu i naszej misji.

Misji. Zabijania przestępców.

Plan brzmiał sensownie. Metzger był pod wrażeniem.

– Dobrze. To sporo roboty. – Jego wzrok powędrował w kierunku widoku za szybą. Zobaczył czyściciela okien pracującego na rusztowaniu sto czy sto dwadzieścia metrów nad ziemią. Jak często przy takich okazjach pomyślał o ludziach skaczących z wieżowców jedenastego września.

Płuca wypełnił mu Dym.

Oddychaj...

Rozgoń Dym. Ale nie potrafił. Bo ludzie skaczący z okien tamtego straszego dnia nie mogli oddychać. Płuca mieli pełne gęstego dymu unoszącego się znad płomieni, które miały ich pochłonać w ciągu paru sekund, płomieni wdzierających się do biur cztery na cztery metry, pozostawiających tylko jedną drogę ucieczki – przez okna na wiekiusty beton.

Znów zaczęły mu drżeć ręce.

Zauważył, że Boston badawczo mu się przygląda. Od niechcienia poprawił fotografię zrobioną za pomocą precyzyjnego układu optycznego, który w tym przypadku utrwalił cenne wspomnienie, ale był bardzo podobny do celowników, które skutecznie pomagały skierować pocisk w serce człowieka.

– Policja ma dowód wykonania zadania?

– Nie, nie sędzę. Tylko tyle, że ma status zakończonego.

Rozkazy nie były niczym więcej niż instrukcjami eliminacji obiektów. Nie tworzono żadnej dokumentacji, która potwierdzałaby fakt przeprowadzenia egzekucji. Według standardowej procedury w przypadku jakichkolwiek pytań należało zaprzeczać, zaprzeczać i jeszcze raz zaprzeczać.

– Robimy coś...? – zaczął pytać Boston.

– Dzwoniłem już do kilku miejsc. Don Bruns oczywiście wie o śledztwie. I parę innych osób. Już... pracujemy nad rozwiązaniem problemu.

Niejednoznaczne orzeczenie i dopełnienie. Godne Czarnoksiężnika. Boston pytał o ludzi równie groźnych jak zdrajca: prokuratora i śledczych.

Pracujemy nad rozwiązaniem...



Spencer Boston o imponującej białej grzywie, z jeszcze bardziej imponującym życiorysem szpiega, znów wypił łyk herbaty. Słomka sięgnęła głębiej pod plastikową pokrywkę, wywołując lekkie wibracje jak smyczek przeciągnięty po strunie wiolonczeli.

– Nie martw się, Shreve. Znajdę go. Albo ją.

– Dzięki, Spencer. Czekam na wiadomości o każdej porze dnia i nocy. Zadzwoń, kiedy tylko się czegoś dowiesz.

Dyrektor administracyjny wstał i zapiął źle skrojoną marynarkę.

Kiedy wyszedł, rozległ się sygnał magicznego telefonu informujący Metzgera o nadejściu SMS-a z działu inwigilacji i eksploracji danych znajdującego się w piwnicy budynku.

Prokurator prowadzący sprawę: Nance Laurel. Wkrótce będą znane nazwiska śledczych z policji.

Dym znacznie się rozrzedził.

Nareszcie. Jest od czego zacząć.

Jacob Swann podszedł do swojego samochodu na parkingu przy Marine Air Terminal lotniska LaGuardia.

Ostrożnie włożył walizkę do bagażnika nissana sedana – w środku były jego noże. Oczywiście nie przewoził ich w bagażu podręcznym. Ciężko opadł na fotel kierowcy, przeciągnął się i głęboko odetchnął.

Był zmęczony. Niemal dwadzieścia cztery godziny temu wyszedł ze swojego mieszkania na Brooklynie, żeby polecieć na Bahamy, a spał w sumie może trzy godziny – głównie podczas podróży.

Spotkanie z Annette skończyło się szybciej, niż przypuszczał. Kiedy pozbył się ciała, trochę czasu zajęło mu znalezienie palących się śmieci, aby wrzucić do nich dowody swojego pobytu z zeszłego tygodnia. Następnie musiał się zająć dalszym sprzątaniem, odwiedzając mieszkanie Annette i podejmując ryzykowną, ale zakończoną powodzeniem wyprawę do miejsca egzekucji Morena: South Cove Inn.

Potem musiał opuścić wyspę w taki sam sposób jak w zeszłym tygodniu: z nabrzeża przy Millars Sound, gdzie znał kilku ludzi, którzy zbierali się tam codziennie, żeby pracować przy załadunku statków albo palić camele czy trawkę i pić sandsa, kalika, a najczęściej ciemny triple B. Od czasu do czasu zajmowali się jakąś dorywczą robotą. Robili różne rzeczy sprawnie i dyskretnie. Szybko wywieźli go małą łodzią na jedną z niezliczonych wysepek niedaleko Freeport, a stamtąd został przetransportowany helikopterem na pole na południe od Miami.

Taka była specyfika Karaibów. Z jednej strony kontrola celna, z drugiej celne sposoby obejścia kontroli. Dzięki tym drugim ludzie tacy jak Jacob Swann, z grubym plikiem banknotów w kieszeni – jego pracodawca miał ich oczywiście pod dostatkiem – mogli niepostrzeżenie dostać się, dokąd tylko chcieli.

Kiedy zrobił już kilka nacięć nożem i upuścił nieco krwi, był już przekonany, że Annette nikomu nie powiedziała o nim ani o pytaniach, jakie mimochodem zadał jej przed tygodniem, o South Cove Inn, apartament 1200, ochroniarza Morena i o samego Morena. Gdyby złożyć razem wszystkie te fakty, mogłyby doprowadzić do bardzo niekorzystnych dla niego wniosków.

Użył noża Kai Shun tylko kilka razy – kroił, kroił... Była tak przerażona, że przypuszczalnie w ogóle nie musiał tego robić. Ale Jacob Swann był bardzo skrupulatnym człowiekiem. Delikatny sos można zepsuć, dodając za szybko gorący płyn do zasmażki z masła i mąki. Kiedy już się to robi, nie ma szansy na poprawki. To kwestia kilku stopni i kilku sekund. Poza tym należy wykorzystywać każdą okazję, aby podszlifować swoje umiejętności.

Zapłacił gotówką w budce przy wyjeździe z parkingu, po czym jechał przez kwadrans Grand Central

Parkway, zatrzymał się i zmienił tablice rejestracyjne. Następnie ruszył w dalszą drogę do swojego domu na Brooklynie.

Annette...

Biedna prostytutka miała pecha, że wpadli na siebie właśnie wtedy, gdy planował zadanie w South Cove. Prowadził obserwację, gdy zauważył ochroniarza Morena, Simona Floresa, który rozmawiał i flirtował z tą kobietą. Wszystko wskazywało na to, że przed chwilą razem wyszli z pokoju, a z ich żartobliwej pogawędki i mowy ich ciała Swann domyślił się, co przed chwilą robili.

Ach, kobieta pracująca. Doskonale.

Czekał godzinę czy dwie, a potem zaczął krążyć po okolicy, dopóki nie znalazł jej w barze, gdzie zamawiała rozcieńczone drinki, wabiąc następnego klienta.

Swann, uzbrojony w tysiąc dolarów w gotówce niepozostawiającej żadnych śladów, ochoczo ruszył w jej stronę.

Po świetnym seksie i przy jeszcze lepszym duszonym mięsie zdobył mnóstwo cennych informacji potrzebnych do zadania. Ani przez chwilę nie spodziewał się jednak śledztwa, więc nie posprzątał skrupulatnie. Dlatego musiał znów udać się na wyspę.

Wyprawa była udana. W pełni go usatysfakcjonowała.

Wrócił do swojego domu w Brooklyn Heights niedaleko Henry Street i zaparkował w garażu w bocznej uliczce. Zostawił bagaż w korytarzu, zrzucił ubranie i poszedł wziąć prysznic.

Salon i dwie sypialnie były skromnie umeblowane, głównie w niedrogie starocie i parę produktów Ikea. Dom wyglądał jak mieszkanie typowego kawalera w Nowym Jorku, tylko dwa szczegóły odbiegały od schematu: solidny zielony sejf do przechowywania broni w garderobie, gdzie trzymał karabiny i pistolety, oraz kuchnia, której mógłby mu pozazdrościć niejeden zawodowy kucharz.

Ruszył właśnie do tego pomieszczenia, kiedy się wytarł i włożył szlafrok frotté i klapki. Sprzęt Viking, Miele, KitchenAid, Sub-Zero, a także oddzielna zamrażarka, chłodziarka do wina, płyty promiennikowe – zrobione przez niego własnoręcznie. Stal nierdzewna i dębowe drewno. Naczynia i utensylia znajdowały się w oszklonych szafkach zajmujących całą ścianę. (Wprawdzie wieszaki pod sufitem wyglądały efektownie, ale dlaczego miałyby coś myć, zanim zacznie w tym gotować?).

Przygotował sobie mocną kawę w tłokowym zaparzaczu. Sącząc ją, zastanawiał się, co zrobić na śniadanie.

Zdecydował się na hash z wołowiny. Uwielbiał wyzwania kulinarne i był autorem wielu przepisów, które z powodzeniem mogłyby wyjść spod ręki takich znakomitości jak Heston Blumenthal czy Gordon Ramsay. Wiedział też jednak, że danie wcale nie musi być skomplikowane. Kiedy służył w wojsku, wracał z zadania i w swojej kwaterze pod Bagdadem pichcił dla kolegów, korzystając z wojskowych racji i łącząc je z produktami, które kupował na arabskim bazarze. Nikt się nie

podśmiewał z jego pedantycznego i nabożnego podejścia do gotowania. Po pierwsze, jedzenie zawsze było wyśmienite, a po drugie, żołnierze wiedzieli, że Swann najprawdopodobniej spędził rano na zdzieraniu skóry z palców jakiegoś rebelianta, od którego próbował się dowiedzieć, co się stało z zaginioną dostawą broni.

Z takich ludzi żartowało się na własne ryzyko.

Wyciągnął z lodówki półkilogramowy stek z antrykotu i rozwinął gruby woskowany biały papier. Sam był odpowiedzialny za idealny rozmiar i kształt kawałka mięsa. Mniej więcej co miesiąc kupował półtuszę wołową, którą przechowywano w chłodni dla takich klientów jak on – rzeźników amatorów. Rezerwował sobie cały dzień, aby odkroić mięso od kości i podzielić na polędwicę, udziec, antrykot, szponder, rozbratel, łatę, mostek.

Niektórzy kupujący mięso luzem lubili mózdzki, jelita, żołądki i inne organy wewnętrzne. Swann nie przepadał za nimi, wyrzucał je. Nie miał żadnych oporów natury moralnej czy emocjonalnej wobec tych części zwierzęcia: dla niego mięso to było mięso. Któż nie lubi chrupiących smażonych grasic? Ale większość podrobów miała gorzki smak i na ogół było z nimi więcej kłopotu niż pożytku. Na przykład zapach nerek zostawał w kuchni na parę dni, a mózdzki nie miały smaku i były zbyt kaloryczne (poza tym pełne cholesterolu). Nie, przy swoim blisko stukilogramowym rzeźniczym bloku, odziany w fartuch i uzbrojony w nóż i piłę, wycinał z półtuszy tylko klasyczne części, chcąc uzyskać kawałki o doskonałym kształcie i pozostawić na kości jak najmniej. Traktował to jak sztukę, jak rozrywkę.

To mu poprawiało samopoczucie.

„Mój mały rzeźnik”...

Położył stek na desce – zawsze drewnianej, aby oszczędzać ostrza – i przesunął palcami po sprężystym mięsie, badając jędrność włókien, gładkość pasemek tłuszczu.

Zanim jednak zabrał się do krojenia, umył i naostrzył nóż Kai Shun na kamieniu Black Hard Arkansas, który kosztował prawie tyle co sam nóż i był najlepszym narzędziem do ostrzenia na świecie. Gdy Swann siedział na Annette, na chwilę oderwał nóż od jej języka, by zająć się palcem, i ostrze niefortunnie zetknęło się z kością. Należało mu teraz przywrócić doskonałą ostrość.

Wreszcie nóż był przygotowany i Swann wrócił do steku, starannie krojąc go w mniej niż centymetrową kostkę.

Mógłby pokroić na większe kawałki, zrobiłby to szybciej.

Ale po co skracać coś, co się lubi?

Kiedy skończył, oprószył kostkę mieszanką mąki z szałwią (modyfikując nieco klasyczny przepis) i podsmażył na żeliwnej patelni, zdejmując mięso, gdy było jeszcze różowe w środku. Następnie pokroił w kostkę dwa bataty i pół cebuli vidalia. Poddusił warzywa na oliwie, po czym z powrotem dorzucił mięso. Dodał odrobinę bulionu cielęcego i posiekanej włoskiej pietruszki, a potem wstawił

patelnię pod grill w piekarniku, aby potrawa zapiekła się od góry.

Po dwóch minutach danie było gotowe. Swann doprawił hash solą i pieprzem, wziął rozmarynową bułeczkę i zasiadł do posiłku przy bardzo drogim tekowym stole stojącym w wykuszu przy oknie. Bułeczki upiekł kilka dni temu. Z czasem zyskują na smaku, pomyślał. Zioła świetnie połączyły się z ręcznie zmieloną mąką.

Jak zawsze jadł powoli. Ludzie jedzący szybko, pochłaniający jedzenie, budzili w nim tylko litość graniczącą z pogardą.

Ledwie skończył, dostał e-maila. Wyglądało na to, że wielka wywiadowcza machina Shreve'a Metzgera pilnująca bezpieczeństwa państwowego nadal pracuje sprawnie.

Dostałem wiadomość. Dobrze, że wszystko się udało.

Przeszkody, które należy zminimalizować/wyeliminować:

Świadkowie i powiązane z nimi osoby, które mają wiedzę o operacji RZS.

Proponuję przeanalizować pobyt Morena w Nowym Jorku 30 kwietnia – 2 maja.

Prokurator prowadzący sprawę: Nance Laurel. Wkrótce będą znane nazwiska śledczych z policji.

Osoba, która ujawniła RZS. Ktoś już pracuje nad ustaleniem tożsamości. Być może masz pomysł, jak

ją zidentyfikować. Działaj według własnego uznania.

Swann zadzwonił do ludzi z wydziału technicznego i poprosił o znalezienie pewnych danych. Następnie włożył grube żółte gumowe rękawice. Aby oczyścić patelnię, wyszorował ją solą, po czym pokrył jej powierzchnię rozgrzanym olejem; oczywiście żeliwo absolutnie nie powinno mieć kontaktu z wodą i mydłem. Potem zaczął zmywać naczynia i narzędzia kuchenne w bardzo gorącej wodzie. Lubił tę pracę i odkrył kiedyś, że najlepiej mu się myśli, kiedy stoi przy zlewie i patrzy przez okno na miłorząb rosnący w niewielkim ogrodzie przed budynkiem. Nasiona tego drzewa były bardzo ciekawe. Wykorzystuje je kuchnia azjatycka – w Japonii są najważniejszym składnikiem wybornej kremowej zupy chawanmushi. Mogą być też trujące, jeśli spożyje się je w dużej ilości. Ale jedzenie potrafi być oczywiście niebezpieczne: kiedy siadamy do posiłku, któż od czasu do czasu nie zastanawia się, czy nie podano mu salmonelli albo bakterii *E. coli*? Jacob Swann jadł kiedyś w Japonii rybę fugu – osławioną rozdymkę o trujących organach. Danie nie przypadło mu do gustu nie ze względu na potencjalne zagrożenie (umiejętności kucharzy praktycznie uniemożliwiały zatrucie), ale ze względu na zbyt łagodny jak na jego podniebienie smak.

Szorował i szorował, usuwając jedzenie do najmniejszej drobinie z metalu, szkła i porcelany.

I intensywnie myślał.

Eliminacja świadków naturalnie rzuciłaby podejrzenie na KSWO i powiązane z nią organizacje, ponieważ rozkaz egzekucji był już publicznie znany. Szkoda, bo w innych okolicznościach próbowałby zaaranżować wypadki albo wprowadzić do gry fikcyjnych bohaterów, aby obarczyć ich winą za morderstwa, do których miało dojść: kartele, które według Metzgera były naprawdę odpowiedzialne za śmierć Morena, albo szukający zemsty przestępcy wsadzeni za kratki przez policję i prokuratora.

W tej sytuacji to się jednak nie mogło udać. Jacob Swann musiał po prostu zrobić to, co robił najlepiej; gdy Shreve Metzger będzie zaprzeczał, że rozkazy egzekucji w ogóle istniały, Swann dopilnuje, aby absolutnie żaden dowód ani świadek sprzątnięcia śladów nie mógł połączyć egzekucji z KSWO ani nikim związanym ze służbą.

Potrafił to zrobić. Jacob Swann był bardzo skrupulatnym człowiekiem.

Poza tym nie miał innego wyjścia i musiał wyeliminować te zagrożenia. Za nic nie mógł dopuścić, by ktoś naraził na szwank jego organizację; jej działalność była zbyt ważna.

Wytarł naczynia, sztućce i kubek po kawie grubą lnianą ścierką ze starannością chirurga

zakładającego szwy po udanym zabiegu.

## ROZDZIAŁ 13

### ZABÓJSTWO ROBERTA MORENA

- Miejsce zdarzenia 1.
- Apartament 1200, South Cove Inn, wyspa New Providence, Bahamy (Pokój Straceń).
- 9 maja.
- Ofiara 1: Robert Moreno.
- Przyczyna śmierci: rana postrzałowa, szczegóły na razie nieznane.
- Dodatkowe informacje: Moreno, 38 lat, obywatel USA, emigrant mieszkający w Wenezueli. Zaciekle antyamerykańskie poglądy. Pseudonim: Posłaniec Prawdy.

- Spędził trzy dni w Nowym Jorku, 30 kwietnia – 2 maja. Cel?
- Ofiara 2: Eduardo de la Rúa.
- Przyczyna śmierci: rana postrzałowa, szczegóły na razie nieznane.
- Dodatkowe informacje: dziennikarz przeprowadzający wywiad z Morenem. Urodzony w Portoryko, mieszkający w Argentynie.
- Ofiara 3: Simon Flores.
- Przyczyna śmierci: rana postrzałowa, szczegóły na razie nieznane.
- Dodatkowe informacje: ochroniarz Morena. Narodowość brazylijska, mieszkający w Wenezueli.
- Podejrzany 1: Shreve Metzger.
- Dyrektor Krajowej Służby Wywiadowczo-Operacyjnej.
- Niezrównoważony psychicznie? Kłopoty z opanowaniem złości.
- Manipulował dowodami, żeby nielegalnie zatwierdzić rozkaz zadania specjalnego?
- Rozwiedziony. Absolwent prawa, Yale.
- Podejrzany 2: Snajper.
- Kryptonim: Don Bruns.
- Wydział informacji szuka danych na temat Brunsa.
- Uzyskano spektrogram głosu.
- Na razie brak raportu z zabezpieczenia śladów na miejscu zdarzenia, raportu z sekcji zwłok, innych szczegółów.
- Za zabójstwo rzekomo odpowiadają kartele narkotykowe. Możliwość uznana za mało prawdopodobną.
- Miejsce zdarzenia 2.
- Gniazdo snajperskie Dona Brunsa, około 1800 metrów od pokoju straceń, wyspa New Providence, Bahamy.
- 9 maja.
- Na razie brak raportu z zabezpieczenia śladów na miejscu zdarzenia.



- Sledztwo uzupełniające.
- Ustalić tożsamość informatora z KSWO.
- NN, który ujawnił rozkaz zadania specjalnego.
- Anonimowo wysłany e-mail.
- Oczekiwanie na wyniki analizy z wydziału przestępczości komputerowej.

Amelia Sachs z rękami na biodrach przyglądała się uważnie informacjom na białej tablicy.

Zauważyła, że Rhyme patrzy na jej zamaszyste pismo dość obojętnie. Zainteresowałby się bardziej, gdyby na tablicy zaczęły się pojawiać twarde fakty, czyli w jego przypadku przede wszystkim dowody rzeczowe.

W tym momencie byli w pokoju we troje: Sachs, Laurel i Rhyme. Lon Sellitto pojechał do centrum po starannie dobrany zespół obserwacyjno-wywiadowczy złożony z funkcjonariuszy Wydziału do Zadań Specjalnych kapitana Billa Myersa; ponieważ dyskrecja miała kluczowe znaczenie w sprawie, Laurel nie chciała korzystać z policjantów ze zwykłej służby patrolowej.

Sachs wróciła za biurko. Nie czuła się najlepiej, tkwiąc w jednym miejscu, a od dwóch godzin siedziała uwięziona w czterech ścianach. Do głosu wróciły jej złe nawyki: wbijała paznokiec w paznokiec, drapała się po skórze głowy do krwi. Była z natury niespokojna i czuła wewnętrzny przymus, aby się wyrwać na zewnątrz, dokąds iść, dokąds jechać. Jej ojciec ukuł powiedzenie, które stało się jej hymnem: „Nie dopadną cię, kiedy jesteś w ruchu”.

Te słowa miały dla Hermana Sachsa więcej niż jedno znaczenie. Oczywiście mogły się odnosić do jego pracy – do ich pracy, bo także był policjantem i patrolował Czterdziestą Drugą i Times Square w czasach, gdy współczynnik morderstw w mieście osiągnął historyczny rekord. Kto szybko biegał, szybko myślał i szybko orientował się w sytuacji, mógł przeżyć.

Zasada dotyczyła również w ogóle życia. Ruch... Im krócej człowiek był wystawiony na niebezpieczeństwo, tym lepiej, wszystko jedno, czy chodziło o zagrożenie ze strony kochanków, szefów czy rywali. Herman Sachs powtarzał to córce często, aż do śmierci (przed pewnymi rzeczami, na przykład niedomaganiem własnego ciała, nie sposób uciec).

Ale każda sprawa wymagała papierkowej roboty i zmuśnego zbierania informacji – ta w szczególności, ponieważ nie mogli ustalić faktów i zbadać miejsca zdarzenia. Tak więc Amelia Sachs

siedziała przykuta do biurka, przekopując się przez dokumenty i dyskretnie zasięgając języka przez telefon. Odwróciła się od tablicy i znów usiadła, w roztargnieniu wbijając paznokiec kciuka w skórę paznokcia sąsiedniego palca. Dłoń przeszył ból. Zignorowała go. Na kartce z informacjami, które czytała, pojawiła się zygzakowata czerwona plamka, którą także zignorowała.

Winę za jej napięcie częściowo ponosiła Nadzorczyńni, jak Sachs zaczęła w myślach nazywać Nance Laurel. Nie była przyzwyczajona, żeby ktoś zaglądał jej przez ramię, nawet przełożeni – jako detektyw trzeciego stopnia Amelia Sachs miała ich wielu. Laurel wprowadziła się już na dobre, stawiając na stole dwa imponujące laptopy, które pracowały pełną parą, i każąc przywieźć jeszcze więcej pękatek segregatorów z aktami.

Czyżby zamierzała sobie jeszcze sprowadzić łóżko polowe?

Poważna i skupiona pani prokurator nie była nawet w najmniejszym stopniu zdenerwowana. Ślęczała nad dokumentami, z irytującym klekotem stukając w klawiatury i robiła notatki wyjątkowo drobnym i precyzyjnym pismem. Badała stronę po stronie, odnotowywała i odkładała na właściwe miejsce. Uważnie czytała akapit po akapicie na ekranie komputera, aby potem go odrzucić albo nadać mu nową postać za pomocą laserowej drukarki i włączyć do akt sprawy *Stan Nowy Jork przeciwko Metzgerowi i innym*.

Sachs wstała, jeszcze raz podeszła do tablic, po czym wróciła na okropne krzesło, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś o pobycie Morena w Nowym Jorku od trzydziestego kwietnia do drugiego maja. Dzwoniła do hoteli, wypożyczalni samochodów i firm transportowych. W dwóch trzecich przypadków łączono ją z żywymi ludźmi, w pozostałych zostawiała wiadomości.

Spojrzała na przeciwległy koniec pokoju w stronę Rhyme'a; rozmawiał przez telefon, starając się nakłonić do współpracy bahamską policję. Jego mina świadczyła, że szczęście nie dopisuje mu bardziej niż jej.

Nagle zabrzączał telefon Sachs. Dzwonił Rodney Szarnek z wydziału przestępczości komputerowej policji Nowego Jorku, elitarnej grupy około trzydziestu detektywów i personelu pomocniczego. Choć Rhyme był ekspertem tradycyjnej kryminalistyki, w ostatnich latach coraz częściej razem z Sachs współpracowali z tym wydziałem; komputery i telefony komórkowe – oraz przechowywane w nich wspaniałe dowody, które pozostawały tam chyba na zawsze – okazywały się kluczowe dla powodzenia współczesnego śledztwa. Szarnek w ocenie Sachs miał czterdzieści kilka lat, ale jego wiek trudno było dokładnie ustalić. Wydawał się młody – miał długie, potargane włosy, nosił uniform złożony z pogniecionych dżinsów i T-shirta i namiętnie kochał „skrzynki”, jak nazywał komputery.

Nie mówiąc już o jego zamiłowaniu do głośnej i na ogół kiepskiej muzyki rockowej.

Która właśnie łomotała w tle.

– Rodney – powitała go Sachs – moglibyśmy trochę ściszyć, jeśli łaska?

– Przepraszam.

Szarnek odgrywał kluczową rolę w poszukiwaniu informatora, który ujawnił rozkaz zadania specjalnego. Tropił anonimowego maila z załącznikiem w postaci rozkazu, zaczynając od adresata, prokuratury okręgowej na Manhattanie, i próbując ustalić miejsce pobytu denuncjatora w chwili nadania wiadomości.

– Trochę to trwa – oznajmił detektyw na tle basu i perkusji pulsujących cicho w rytmie na cztery czwarte. – Mail przeszedł serwerami proxy przez pół świata. Właściwie dookoła świata. Na razie z prokuratury namierzyłem remailer na Tajwanie, a stamtąd serwer w Rumunii. Powiem ci tylko, że Rumuni naprawdę nie są w nastroju do współpracy. Jednak mam parę informacji o skrzynce, z której korzystał. Próbował nas wykiwać, ale nóżka mu się powinęła.

– To znaczy, że znasz markę jego komputera?

– Być może. Aplikacja kliencka... Hm, wiesz, co to jest?

Sachs przyznała się, że nie wie.

– Mówię o informacjach, które twój komputer wysyła do routerów, serwerów i innych komputerów, kiedy podłączasz się do sieci. Każdy może je zobaczyć i dowiedzieć się, z jakiego systemu operacyjnego korzystasz i z jakiej przeglądarki. Otóż skrzynka waszego informatora pracowała pod systemem Apple'a MAC OS dziewięć dwa dwa i używała Internet Explorera pięć dla maca. To dawne czasy. Pole poszukiwań naprawdę się zawęża. Przypuszczam, że miał laptopa iBook. To był pierwszy przenośny mac z wbudowaną anteną, więc mógłby się podłączyć do wi-fi bez osobnego modemu czy serwera.

iBook? Sachs nigdy o nim nie słyszała.

– Ile lat ma ten sprzęt, Rodney?

– Ponad dziesięć. Pewnie facet kupił z drugiej ręki i zapłacił gotówką, żeby nie można go było namierzyć. Tak nas właśnie próbował wykiwać. Ale nie pomyślał, że potrafimy ustalić markę.

– Jak wygląda ten laptop?

– Jeżeli mamy szczęście, to będzie model Clamshell. Produkowano dwukolorowe obudowy, białe z jasnymi wstawkami, na przykład zielonymi czy pomarańczowymi. Miały kształt muszli, taki bardziej obły. Jest jeszcze standardowy kanciasty model, solidny, grafitowy. Ale był duży, dwa razy grubszy od dzisiejszych laptopów. Tak go można rozpoznać.

– Dobrze, Rodney. Dziękuję.

– Zostanę na tym routerze. Rumuni w końcu zmiękną. Trzeba tylko trochę ponegocjować.

Muzyka zabrzmiała głośniejsz, a po chwili w słuchawce zapadła cisza.

Sachs napotkała spojrzenie Nance Laurel – obojętne, a zarazem badawcze. Jak ta baba to robi? – zdziwiła się. Poinformowała prokuratorę i Rhyme'a o wynikach poszukiwań policjanta z wydziału

cyberprzestępczości. Rhyme bez przekonania skinął głową i wrócił do rozmowy telefonicznej. Nie odzywał się. Pewnie czekał na kolejne połączenie.

Laurel z aprobatą pokiwała głową.

– Mogłabyś sporządzić dokument i mi przesłać?

– Co takiego?

Pauza.

– Notatkę na temat tego, co właśnie mi powiedziałaś o ustaleniach detektywa i typie komputera.

– Właśnie zamierzałam to zapisać – odparła Sachs, ruchem głowy wskazując tablicę.

– Wolałabym jednak mieć wszystkie informacje udokumentowane, najlepiej w czasie rzeczywistym. – Prokuratorka wskazała swoje sterty akt. – Jeżeli byłabyś tak miła.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak cios.

Sachs nie miała ochoty być uprzejma, nie miała też jednak ochoty wdawać się w tę potyczkę. Szybko wstukała notatkę na komputerze.

– Dziękuję – dodała Laurel. – Prześlij mi ją mailem, proszę, wydrukuję już sama. Oczywiście wyślij przez zabezpieczony serwer.

– Oczywiście. – Sachs stuknęła w klawisz i wysłała dokument, uświadamiając sobie, że ręczne zarządzanie praktykowane przez prokuratorkę chyba nie obejmuje Lincolna Rhyme’a.

Zadzwonił jej telefon. Patrząc na wyświetlacz, zdziwiona uniosła brwi.

Nareszcie. Jakiś konkretny trop. Dzwoniła sekretarka z Elite Limousines, jednej z kilkadziesiąt firm wynajmujących limuzyny, z którymi rozmawiała wcześniej, próbując się dowiedzieć, czy pierwszego maja korzystał z ich usług Moreno. Okazało się, że korzystał. Kobieta powiedziała, że mężczyzna o takim nazwisku wynajął samochód z kierowcą, składając zamówienie ze wskazaniem, czyli podał kierowcy adresy miejsc, do których chciał się udać, gdy limuzyna po niego przyjedzie. Firma nie zapisała tych adresów, ale sekretarka podała nazwisko kierowcy i jego numer telefonu.

Sachs zadzwoniła do kierowcy, przedstawiła się i spytała, czy mogłaby przyjechać przesłuchać go w związku z pewnym śledztwem.

Głos z silnym obcym akcentem, który trudno było zrozumieć, odparł, że chyba tak, i podał jej adres. Sachs rozłączyła się i wstała, narzucając kurtkę.

– Mam kierowcę, który woził Morena pierwszego maja – powiedziała do Rhyme’a. – Jadę go przesłuchać.

– Zdążysz przed wyjściem zrobić notatki z informacji przekazanych przez agenta Dellraya? – spytała szybko Laurel.

– Zrobię to zaraz po powrocie.

Zauważyła, jak Laurel sztywnieje, ale odniosła wrażenie, że tym razem prokuratorka nie ma ochoty wdawać się w potyczkę.

## **ROZDZIAŁ 14**

W tej fazie normalnego śledztwa Lincoln Rhyme zwróciłby się o pomoc do prawdopodobnie najlepszego laboratoryjnego technika kryminalistyki w mieście, detektywa nowojorskiego departamentu policji Mela Coopera. Niestety, wobec braku jakichkolwiek dowodów rzeczowych obecność szczupłego, flegmatycznego Coopera była bezcelowa, więc Rhyme uprzedził go tylko, aby był pod telefonem, co dla kryminalistyka oznaczało, że miał być gotowy rzucić wszystko, może z wyjątkiem operacji na otwartym sercu, i stawić się w laboratorium. Na cito.

Na razie jednak wezwanie było mało prawdopodobne. Rhyme wrócił do pracy, która zajęła mu cały ranek: prób zdobycia prawdziwych dowodów rzeczowych w sprawie zabójstwa Morena.

Po raz czwarty kazano mu czekać na połączenie z funkcjonariuszem Królewskiej Policji Bahamów w Nassau. W końcu odezwał się melodyjny kobiecy alt: – Tak, słucham? Czym mogę służyć?

Nareszcie! Pohamował zniecierpliwienie, choć musiał tłumaczyć wszystko od początku.

– Mówi kapitan Rhyme z Departamentu Policji Nowego Jorku. – Przestał się już przedstawiać jako konsultant czy współpracownik. Brzmiało to zbyt skomplikowanie i wyraźnie wzbudzało podejrzenia. Poprosił wcześniej Lona Sellitta o formalne pełnomocnictwo, na wypadek gdyby ktoś zażądał jakiegoś potwierdzenia. (Chciał nawet, żeby go sprawdzono, bo sprawdzający to na ogół ludzie, którzy potrafią coś załatwić).

– Tak, z Nowego Jorku.

– Chciałbym rozmawiać z kimś z waszego wydziału kryminalistycznego.

– Tak, z kryminalistyki.

– Właśnie. – Rhyme wyobrażał sobie, że jego rozmówczyni to leniwa, niezbyt lotna cywilna urzędniczka siedząca w zakurzonej biurze pozbawionym klimatyzacji, pod obracającym się wolno wentylatorem.

Pewnie wyobrażenie było dla niej krzywdzące.

– Przepraszam, z którym wydziałem chciał pan rozmawiać?

Może jednak nie.

– Kryminalistycznym. Z naczelnikiem. Chodzi o zabójstwo Roberta Morena.

– Proszę zaczekać.

– Nie, tylko nie... Zaraz!

Trzask!

Niech to szlag.

Pięć minut później usłyszał w słuchawce głos funkcjonariuszki, która na pewno odebrała jego pierwszy telefon, chociaż wydawało się, że w ogóle go nie pamięta. A może tylko udawała. Powtórzył swoją prośbę i tym razem – w przeblysku natchnienia – dodał: – Przepraszam za natarczywość, ale ciągle wydzwaniamy do nas dziennikarze. Jeżeli sam nie podam im informacji, będę ich musiał odesłać do waszego biura.

Nie miał pojęcia, na czym właściwie miałyby polegać ta groźba; improwizował.

– Dziennikarze? – zapytała z niedowierzaniem.

– CNN, ABC, CBS, Fox. Wszyscy.

– Rozumiem. Chwileczkę.

Fortel jednak się powiódł, bo czekał na połączenie najwyżej trzy sekundy.

– Tu Poitier. – Głęboki, melodyjny głos z brytyjskim akcentem i karaibską intonacją, którą Rhyme dobrze znał; sam nigdy nie był na wyspach, ale przyczynił się do wsadzenia do nowojorskich więzień kilku osób pochodzących z tej części świata. Jamajskie gangi brutalnością były na głowę mafię.

– Halo, mówi Lincoln Rhyme z Departamentu Policji Nowego Jorku. – Miał ochotę dodać: „tylko

pod żadnym pozorem nie mów, że zaraz mnie połączysz, sukinsynu”, ale ugryzł się w język.

– Ach, tak. – W głosie bahamskiego policjanta brzmiał powściągliwy ton.

– Z kim rozmawiam? Słyszałem nazwisko Poitier, zgadza się?

– Starszy posterunkowy Mychal Poitier.

– Jest pan funkcjonariuszem kryminalistyki?

– Nie, prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Morena... Zaraz, powiedział pan Lincoln Rhyme? Kapitan Rhyme. Aha.

– Słyszał pan o mnie?

– Mamy w bibliotece jeden z pana podręczników kryminalistyki. Czytałem go.

Może dzięki temu uda się zdobyć cień szansy na współpracę. Z drugiej strony Poitier nie powiedział, czy książka mu się podobała ani czy okazała się przydatna. W ostatnim wydaniu w biogramie autora odnotowano, że Rhyme jest już byłym policjantem, na szczęście posterunkowy nie zwrócił na to uwagi.

Rhyme przystąpił do agitacji. Nie wskazując na Metzgera i KSWO, wyjaśnił, że nowojorska policja ma powody przypuszczać, że w sprawie zabójstwa Morena jest wątek amerykański.

– Muszę zadać kilka pytań na temat tego zdarzenia i dowodów w sprawie. Ma pan trochę czasu? Możemy porozmawiać?

Nastąpiła pauza godna Nance Laurel.

– Niestety nie, kapitanie. Sprawa Morena została na razie zawieszona i są...

– Słucham? Zawieszona?! – Otwarta sprawa zabójstwa, do którego doszło w zeszłym tygodniu? Przecież właśnie teraz powinno się toczyć najbardziej intensywne śledztwo.

– Zgadza się, kapitanie.

– Jak to? Zatrzymaliście podejrzanego?

– Nie. Po pierwsze, nie wiem, o jakim amerykańskim wątku pan mówi; zabójstwo popełnili najprawdopodobniej członkowie kartelu narkotykowego z Wenezueli. Przed dalszymi czynnościami czekamy na informacje od tamtejszych władz. Ja natomiast musiałem się skupić na pilniejszej sprawie. Właśnie zaginęła studentka, Amerykanka. W naszym kraju czasem dochodzi do przestępstw tego rodzaju. Ale rzadko – dodał obronnym tonem Poitier. – Bardzo rzadko. Rozumie pan, kapitanie. Znika ładna studentka, a prasa rzuca się na nas jak sępy.

Prasa. Może dlatego w końcu Rhyme’a z kimś połączono. Jego podstęp trafił w czułe miejsce.

– Jest u nas mniej gwałtów niż w Newark w New Jersey, znacznie mniej – ciągnął starszy posterunkowy. – Ale zaginięcie studentki na wyspach wyolbrzymia się do ogromnych rozmiarów. Muszę przyznać, z całym szacunkiem, że wasze programy informacyjne są bardzo niesprawiedliwe. Zresztą brytyjska prasa też. Ale właśnie zaginęła studentka z Ameryki, nie z Wielkiej Brytanii, więc zaraz zacznie nas szturmować CNN i reszta. Sępy. Z całym szacunkiem.

Plótl bez ładu i składu – Rhyme wyczuł, że policjant chce odwrócić jego uwagę.

– Panie posterunkowy...

– Bardzo niesprawiedliwe – powtórzył Poitier. – Przyjeżdża studentka z Ameryki. Przyjeżdża na wakacje – a w tym przypadku na jeden semestr studiów. I to zawsze nasza wina. Wygadują o nas niestworzone rzeczy.

Rhyme stracił resztki cierpliwości, ale wciąż usiłował zachować spokój.

– Możemy wrócić do morderstwa Morena? Niech pan posłucha, jesteśmy pewni, że kartele nie mają z jego śmiercią nic wspólnego.

Zapadła głucha cisza – zupełne przeciwieństwo wcześniejszej paplaniny.

– Robię teraz wszystko, żeby odnaleźć tę studentkę – odparł w końcu funkcjonariusz.

– Studentka mnie nie obchodzi – warknął Rhyme, może niezbyt elegancko, ale w tej chwili naprawdę nic go nie obchodziła. – Chodzi o Roberta Morena. Jest wątek amerykański i właśnie go badam. Sprawa jest pilna.

*Obiekt: Al-Barani Raszid (Kod KSWO: abr942pd5t) Urodzony: 2/73, Michigan* Rhyme nie miał pojęcia, kim jest ten al-Barani, następny w kolejce na liście rozkazu zadań specjalnych, i wątpił, czy to niewinny ojciec rodziny z Connecticut. Zgadzał się jednak z Nance Laurel, że ten człowiek nie powinien zginąć na podstawie błędnych czy spreparowanych informacji.

*Termin: 5/19...*

– Chciałbym dostać kopię raportu z zabezpieczenia śladów na miejscu zdarzenia – ciągnął Rhyme. – Zdjęcia miejsca i stanowiska, z którego strzelał snajper, protokoły sekcji zwłok i analiz laboratoryjnych. Całą dokumentację. I wszystkie dane na temat niejakiego Dona Brunsza, który był na wyspie w chwili zabójstwa. To fałszywe nazwisko. Pseudonim snajpera.

– Prawdę mówiąc, nie mamy jeszcze końcowego raportu. Trochę notatek, ale niekompletnych.

– Niekompletnych? – mruknął Rhyme. – Zabójstwo popełniono dziewiątego maja.

– Domyślam się, że to prawda.

Domyśla się?!



Nagle Rhyme'a ogarnął niepokój.

– Oczywiście ślady na miejscu zdarzenia zostały zabezpieczone?

– Tak, tak, naturalnie.

Co za ulga.

– Zabraliśmy się do tego zaraz na drugi dzień po śmierci pana Moreno – powiedział Poitier.

– Następnego dnia?

– Tak. – Poitier zawahał się, jak gdyby wiedział, że to gafa. – Tego samego dnia mieliśmy inne zdarzenie, inną sprawę. W centrum miasta zamordowano wybitnego prawnika w jego własnej kancelarii. Ta sprawa dostała pierwszeństwo. Pan Moreno nie był obywatelem naszego kraju. Adwokat był.

Miejsce zdarzenia z czasem staje się coraz mniej cennym źródłem informacji dla śledczych z powodu dwóch czynników. Pierwszym jest zanieczyszczenie śladów przez osoby paradujące przez miejsce zbrodni – nie wyłączając nieostrożnych funkcjonariuszy policji. Drugim czynnikiem jest upływ czasu między popełnieniem przestępstwa a zabezpieczeniem śladów. Dowody kluczowe dla ustalenia tożsamości sprawcy i jego skazania mogły dosłownie wyparować w ciągu kilku godzin.

Zwłoka jednego dnia mogła zmniejszyć ilość cennych dowodów o połowę.

– Czyli miejsce jest nadal zabezpieczone?

– Tak, panie kapitanie.

To już było coś. Przybierając odpowiednio poważny ton, Rhyme oznajmił: – Włączyliśmy się do tej sprawy dlatego, że naszym zdaniem zabójca Morena ma na celu następną ofiarę.

– Pańskim zdaniem to prawda? – Poitier wydawał się autentycznie zaniepokojony. – U nas?

– Nie wiemy.

Nagle do starszego posterunkowego odezwał się ktoś inny. Mikrofon słuchawki przysłoniła ręka i Rhyme słyszał tylko stłumione dźwięki. Po chwili odezwał się Poitier: – Proszę mi podać numer telefonu, panie kapitanie. Zadzwoń, jeżeli uda mi się znaleźć coś istotnego.

Rhyme zacisnął szczęki. Podał numer, po czym szybko zapytał: – Moglibyście jeszcze raz przeszukać miejsce zdarzenia?

– Z całym szacunkiem, panie kapitanie, w Nowym Jorku macie o wiele większe możliwości niż my tutaj. Poza tym, szczerze mówiąc, to wszystko trochę mnie przytłoczyło. To moja pierwsza sprawa zabójstwa. Zagraniczny działacz, snajper, luksusowy hotel i...

– Pańska pierwsza sprawa zabójstwa?

– No... tak.

– Z całym szacunkiem... mógłbym rozmawiać z pana przełożonym?

Poitier bez cienia urazy w głosie odparł:

– Proszę chwilę poczekać. – Słuchawkę znów przysłoniła ręka. Rhyme słyszał przytłumioną wymianę słów. Udało mu się pochwycić tylko „Moreno” i „Nowy Jork”.

Po chwili usłyszał Poitiera:

– Przykro mi, panie kapitanie. Wygląda na to, że w tym momencie nie da się skontaktować z moim przełożonym. Ale mam pański numer. Kiedy tylko dowiemy się czegoś więcej, chętnie do pana zadzwonię.

Rhyme podejrzewał, że to może być jedyna szansa. Myślał szybko.

– Proszę mi powiedzieć tylko jedno. Czy wydobyliście z ciała nieuszkodzone kule?

– Tak, jedną i... – Starszy posterunkowy urwał w pół zdania. – Nie jestem pewien. Bardzo przepraszam, muszę kończyć.

– Macie kulę? To klucz do całej sprawy – dorzucił Rhyme. – Proszę mi tylko powiedzieć...

– Przypuszczam, że mogę się mylić. Musimy zakończyć rozmowę.

– Z jakiego wydziału policji pana przeniesiono?

Znów na moment zapadła cisza.

– Kontroli działalności gospodarczej, koncesji i zezwoleń, panie kapitanie. Wcześniej byłem w wydziale ruchu drogowego. Muszę kończyć.

W słuchawce zapadła cisza.

Jacob Swann zaparkował szarego nissana altimę za domem kierowcy limuzyny, którą jeździł Robert Moreno.

Technicy stanęli na wysokości zadania. Dowiedzieli się, że podczas pobytu w mieście pierwszego maja Moreno korzystał z usług firmy Ellite Limousine. Swann odkrył też, że Moreno zawsze wynajmował tego samego kierowcę, który nazywał się Wład Nikołow. Jako stały szofer działacza prawdopodobnie miał informacje, które będą chcieli poznać prowadzący śledztwo. Swann musiał dopilnować, żeby na pewno nie poznali tych faktów.

Najpierw szybko zadzwonił z telefonu na kartę – „Przepraszam, pomyłka” – i dowiedział się, że kierowca jest w domu. W głosie mówiącym z twardym rosyjskim czy gruzińskim akcentem brzmiało znużenie, co oznaczało, że szofer prawdopodobnie był po nocnej zmianie. Świetnie. W najbliższym czasie nigdzie się nie wybierał. Swann wiedział jednak, że musi działać szybko; policja nie mogła tak bezkarnie eksplorować danych jak jego wydział techniczny, ale dzięki tradycyjnemu zbieraniu informacji też mogła poznać tożsamość kierowcy.

Wysiadł z samochodu, przeciągnął się i rozejrzał po ulicy.

W Queens mieszkało wielu szoferów limuzyn. Przyczyną była tragiczna sytuacja z miejscami parkingowymi na Manhattanie i niebotyczny poziom cen nieruchomości. A także fakt, że limuzyny często kursowały na lotniska LaGuardia i JFK i obydwie były położone w tej dzielnicy.

Dom Włada Nikołowa był skromny, ale, jak zauważył Swann, porządnie utrzymany. Klomb przed frontem parterowego budynku z beżowej cegły porastały kwitnące rośliny, gęste i soczyście kolorowe dzięki łagodnym wiosennym temperaturom i niedawnemu deszczowi. Trawa była skoszona, betonowe płyty chodnika prowadzącego do wejścia zamiecione i chyba nawet wyszorowane dzień czy dwa wcześniej. Honorowe miejsce na podwórku przed domem zajmowały dwa starannie przystrzyżone krzewy bukszpanu.

Z zebranych przez dział techniczny informacji uzyskanych z rachunków za media, w tym z odczytów inteligentnych liczników energii elektrycznej, a także z informacji o zakupach spożywczych i nie tylko wynikało, że czterdziestodwuletni Nikołow mieszka sam. Nie było to typowe dla emigrantów z Rosji czy Gruzji, którzy na ogół należeli do ludzi bardzo rodzinnych. Zapewne szofer zostawił rodzinę w ojczystym kraju.

Tak czy inaczej samotny tryb życia działał na korzyść Swanna.

Przeszedł przed domem, zerkając w okno przysłonięte firanką. Koronkową. Może Nikołow miał dziewczynę, która odwiedzała go od czasu do czasu. Raczej mało prawdopodobne, żeby Rosjanin kupował koronkowe firanki. Gdyby w domu był ktoś jeszcze, Jacob Swann miałby problem – nie

dlatego, że nie był gotów zabić dwóch osób, ale ponieważ dwie ofiary oznaczałyby większą liczbę ludzi, którzy mogli zauważyć ich zniknięcie i szybciej sprowadzić tu policję. Zdarzenie wywołałoby też więcej szumu w mediach. Liczył na to, że o śmierci kierowcy będzie jak najdłużej cicho.

Dotarł do skrzyżowania, zawrócił, nacisnął na głowę czapkę bejsbolową bez żadnych napisów, zdjął kurtkę, wyrzucił na lewą stronę i znów włożył. Świadkowie zwracają uwagę przede wszystkim na wierzchnie ubrania i nakrycia głowy. Gdyby ktoś obserwował ulicę, pomyślałby, że przed domem przeszły dwie zupełnie inne osoby, a nie dwa razy ten sam człowiek.

Nawet odrobina podejrzania ma znaczenie.

Przy drugim przejściu patrzył w przeciwną stronę – na wszystkie samochody zaparkowane przed domem i w jego pobliżu. Na pewno nie było żadnych radiowozów, nie wyczuł też, by któreś z aut było nieoznakowanym samochodem policyjnym.

Podszedł do drzwi, sięgając do plecaka po piętnastocalową zaślepioną rurkę wypełnioną ołowianym śrutem. Zacisnął na niej rękę w pięść. Rurka była po to, aby dać oparcie palcom i gdyby w momencie zadania ciosu jego dłoń zetknęła się z kością czy inną twardą częścią ciała ofiary, chroniłaby jego kości śródreżca. Przekonał się o tym na własnej skórze, gdy raz nie trafił w krtań i uderzył przeciwnika w policzek, łamiąc sobie przy tym mały palec. Sytuacja nie wymknęła mu się spod kontroli, ale ból był nie do zniesienia. Dowiedział się, że bardzo trudno zdzierać skórę nożem trzymany w lewej, mniej sprawnej ręce.

Wyciągnął też z plecaka zaklejoną kopertę bez żadnych napisów.

Rozejrzał się. Na ulicy nie było nikogo. Knykiem nacisnął dzwonek, przywołując na twarz życzliwy uśmiech.

Nikt nie otwierał. Szofer spał?

Wyciągnął z kieszeni papierową serwetkę i sprawdził klamkę. Zamknięte na klucz. W Nowym Jorku zawsze tak było. Inaczej niż na przedmieściach Cleveland albo Denver – gdzie w zeszłym miesiącu zabił pewnego brokera informacji. W Highlands Ranch wszystkie drzwi i okna były otwarte. Facet nie zamknął nawet swojego bmw.

Swann miał już obejść dom z drugiej strony, żeby poszukać okna, przez które mógłby się włamać, nagle jednak usłyszał jakiś głuchy łoskot, jakiś szcęk.

Zadzwoił jeszcze raz, żeby dać znać panu Nikołowowi, że jego obecność jest nadal pożądana. Tak zrobiłby każdy normalny gość.

Nawet odrobina podejrzania...

Odezwał się głos przytłumiony przegrodą z grubych drzwi. Bez nuty zniecierpliwienia – po prostu zmęczony.

Otworzyły się drzwi, a Swann ze zdziwieniem – i zadowoleniem – zobaczył, że ulubiony kierowca

Roberta Morena ma niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu i waży niewiele więcej niż siedemdziesiąt kilogramów, o dziesięć mniej niż Swann.

– Słucham? – zapytał twardym słowiańskim akcentem, patrząc na białą kopertę, którą Swann trzymał w lewej dłoni. Prawa była niewidoczna.

– Pan Nikołów?

– Zgadza się. – Mężczyzna miał na sobie brązową pizamę i kapcie.

– Mam dla pana zwrot od KTO. Musi pan podpisać.

– Od kogo?

– Od KTO. Zwrot, z Komisji Transportu Osobowego.

– A tak, KTO. Jaki zwrot?

– Policzyli panu za dużą opłatę.

– Pan od nich?

– Nie, pracuję u nich na zlecenie. Doręczam tylko czeki.

– Gnoje, nie ma co. Nie wiem, co to za zwrot, ale zdzierają z nas, gnoje. Zaraz, skąd mam wiedzieć, że mnie nie chcą okantować? Podpiszę i zobaczę, że zrzekłem się swoich praw? Może powinienem wziąć adwokata.

Swann uniósł kopertę.

– Może pan przeczytać. Wszyscy biorą te czeki, ale jest napisane, że nie musi go pan przyjmować i może zwrócić się do mediatora. Mnie jest wszystko jedno. Doręczam czeki. Jak pan nie chce, niech pan nie bierze.

Nikołów otworzył drzwi z moskitierą.

– To już wolę dostać.

Swann docenił jego brak poczucia humoru, ale bardzo go zaskoczył niefortunny dobór słów.

Kiedy otworzyły się drzwi, Swann zrobił krok naprzód i prawą ręką zaciśniętą na rurce z ołowiem wymierzył cios w splot słoneczny, celując nie w paskudną brązową tkaninę pizamy, lecz w punkt leżący około pięciu centymetrów głębiej – w brzuchu. Aby cios był najskuteczniejszy, właśnie tam zawsze należy mierzyć, bez względu na rodzaj powierzchni.

Nikołów stracił dech. Osunął się na ziemię wstrząsany torsjami.

Swann w ułamku sekundy ominął go, chwycił za kołnierz i zaciągnął do środka, zanim szofer zaczął wymiotować. Kopnął go raz w żołądek, po czym wyrztał przez zasłonięte koronkami okno.

Spokojna, sympatyczna ulica. Żadnego spacerowicza z psem, żadnego przechodnia. Ani jednego samochodu.

Włożył lateksowe rękawiczki, przekręcił zamek, schował rurkę.

– Halo? Haaalooo! – zawołał.

Cisza. Byli sami.

Znów łapiąc kierowcę za kołnierz, pociągnął go po świeżo wywoskowanej podłodze i zostawił w bocznym pokoju, z dala od okien.

Spojrzał na dyszącego mężczyznę, który krzywił się z bólu.

Polędwica wołowa, mięsień lędźwiowy większy przylegający do udźca i ligawy, to najdelikatniejsza część półtuszy – kiedy jest dobrze przyrządzona, wystarczy widelec, aby ją pokroić. Ale ten wydłużony trapezoid mięsa, znany z wołowiny wellington i tournedo, w surowym stanie jest znacznie mniej przyjemny i wymaga długiego przygotowania. Najbardziej czasochłonne jest operowanie nożem. Trzeba oczywiście pozbyć się wszystkich twardszych bocznych mięśni, ale największe wyzwanie to usunięcie cienkiej warstwy tkanki łącznej okrywającej większą część polędwicy.

Sztuka polega na tym, by usunąć białą błonę zupełnie, zostawiając jednocześnie jak najwięcej nietkniętego mięsa. Należy poruszać nożem jak podczas piłowania, trzymając ostrze pod dokładnie określonym kątem. Właściwe wykonanie tego zadania wymaga dużej praktyki.

Myśląc o tej technice, Jacob Swann wyciągnął nóż Kai Shun z pochwy z woskowanego drewna i przykucnął.

## **ROZDZIAŁ 16**

W drodze do domu kierowcy limuzyny Roberta Morena Amelia Sachs cieszyła się, że udało się jej wyrwać spod kontroli Nadzorczyńni.

No dobra, pomyślała, to nie fair.

Wydawało się, że Nance Laurel to dobra prokuratorka. Świadczyła o tym opinia Dellraya, świadczyło o tym przygotowanie tej kobiety do sprawy.

Co nie znaczy, że muszę ją lubić.

Amelio, dowiedz się, do jakiego kościoła chodził Moreno, ile pieniędzy wyłożył na szczytne cele i ilu starszkom pomógł przejść przez ulicę.

Jeżeli byłabyś tak miła...

Chybabym nie była.

Przynajmniej wyrwała się z tamtych czterech ścian. I poruszała się całkiem szybko. Jechała swoim bordowym fordem torino cobra, rocznik 1970, spadkobiercą modelu Fairlane. Pod maską wozu dudnił silnik o mocy 405 koni, który mógł się poszczycić momentem obrotowym 447 stopofuntów. Sachs miała oczywiście opcjonalną czterobiegową skrzynię biegów. Przekładnia Hurst chodziła dość ciężko i bywała kapryśna, ale dla Sachs nie było innego sposobu zmiany biegów – a w jej odczuciu właśnie skrzynia bardziej niż silnik działała na zmysły. Jedyłą osobliwością auta, poza anachronicznym wyglądem na ulicach współczesnego Nowego Jorku, był przycisk klaksonu z chevroleta camaro SS – pamiątka po jej pierwszym i ukochanym podrasowanym wozie, który kilka lat temu padł ofiarą tropionego przez nich sprawcy.

Wjechała na most Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy – most Queensboro. Ojciec mówił jej kiedyś, że o tym moście napisał piosenkę Paul Simon. Gdy jej o tym powiedział, zamierzała sprawdzić ją w iTunes. Zamierzała jej poszukać, kiedy zmarł. Zamierzała jej szukać mniej więcej raz w roku.

Nigdy tego nie zrobiła.

Piosenka pop o moście. Ciekawe. Sachs odnotowała w pamięci, żeby to sprawdzić.

Ruch na wschodniej nitce był całkiem znośny. Można było zwiększyć prędkość, więc Sachs wcisnęła sprzęgło i wrzuciła trójkę.

Zabolało. Skrzywiła się.

Cholera. Znowu kolano. A jeżeli nie kolano, to biodro.

Cholera.

Przez całe dorosłe życie dokuczał jej artretyzm. Nie było to reumatoidalne zapalenie stawów –

podstępna choroba układu odpornościowego atakująca wszystkie stawy. Cierpiała na powszechniej spotykane zwyrodnienie stawów, które miało podłoże genetyczne albo było skutkiem wyścigu motocyklowego, w którym brała udział w wieku dwudziestu dwóch lat – ściślej mówiąc, widowiskowego lądowania, kiedy benelli pół kilometra przed linią mety postanowił gwałtownie opuścić tor żużlowy. Bez względu na przyczynę choroba dręczyła ją bezlitośnie. Sachs przekonała się, że aspiryna i ibuprofen przynoszą pewną ulgę. Przekonała się, że chondroityna i glukozamina nie działają – przynajmniej w jej przypadku. Wybaczcie, zwolennicy chrząstki rekina. Brała zastrzyki z kwasem hialuronowym, ale stan zapalny i ból, jakie wywołały, na kilka dni wyłączyły ją z życia. Oczywiście kogucie grzebienie mogły być tylko tymczasowym rozwiązaniem. Nauczyła się łykać tabletki bez popijania i nie tykać niczego, co miało na etykiecie informację „Zażywać nie więcej niż 3 razy dziennie”.

Przede wszystkim jednak nauczyła się uśmiechać, udawać, że nie czuje żadnego bólu, a jej stawy funkcjonują jak u zdrowej dwudziestolatki.

Nie dopadną cię, kiedy jesteś w ruchu...

Niestety, z powodu bólu i odmawiających posłuszeństwa stawów nie mogła się poruszać tak szybko jak kiedyś. Miała nawet własną przenośnię: zardzewiała i luźna linka hamulca ręcznego, która nie potrafi do końca odblokować szczęk.

Wlokła się i wlokła...

Najgorsze ze wszystkiego było widmo bezczynności – obawiała się, że z powodu choroby odstawią ją na boczny tor. Znów wróciła do niej myśl: czy dziś rano kapitan Bill Myers skierował wzrok w jej stronę, kiedy zaczęła utykać? Ilekroć znalazła się w obecności kogoś z dowództwa, usiłowała ukryć swoją przypadłość. Czy dzisiaj się jej udało? Miała nadzieję, że tak.

Zjechała z mostu i zredukowała bieg do dwójki, zwiększając równocześnie obroty, aby chronić dziarski silnik. Zrobiła to, żeby sobie udowodnić, że wcale tak bardzo nie boli. Że przesadza i może sobie zmieniać bieg, kiedy tylko ma ochotę.

Tyle że gdy uniosła lewe kolano, by wcisnąć sprzęgło, całe ciało przeszła błyskawica bólu.

Do jednego oka napłynęła łza. Sachs starła ją z wściekłością.

Dalszą drogę pokonała z umiarkowaną prędkością.

Dziesięć minut później jechała przez sympatyczną dzielnicę Queens. Schludne, małe trawniki, przystrzyżone krzewy, drzewa w równiutkich kręgach ściółki.

Spojrzała na numery domów. Dom kierowcy Roberta Morena znalazła pośrodku odcinka między dwiema przecznicami. Jednopiętrowy bungalow, bardzo dobrze utrzymany. Na podjeździe przed garażem stał czarny lincoln town car, wypolerowany jak karabin rekruta na defiladę.

Zaparkowała na drugiego i rzuciła identyfikator policyjny na deskę rozdzielczą. Zerkając na dom,



zauważyła, że firanka w oknie salonu odrobinę się rozchyliła, a potem opadła.

Czyli kierowca był w domu. Świetnie. Czasem, gdy policja zapuka do drzwi, mieszkańcy nagle przypominają sobie o jakiejś sprawie do załatwienia na drugim końcu miasta. Albo po prostu chowają się w piwnicy i nie otwierają drzwi.

Postawiła na ziemi lewą nogę, żeby ją sprawdzić.

Może być, chociaż dalej bolało. Oparła się pokusie, by wziąć dodatkową dawkę ibuprofenu. Oszczędziła sobie kolejnego kroku prowadzącego do niewydolności wątroby.

Nagle straciła do siebie cierpliwość za to, że tak się nad sobą użala. Na litość boską, Rhyme władał tylko pięcioma procentami swojego ciała i nigdy się nie skarżył. Zamknij się i bierz się do roboty. Stojąc na werandzie, nacisnęła dzwonek, usłyszała w środku westminsterski kurant, który zabrzmiał nieco absurdalnie w tak małym domu.

Co kierowca powie? Czy Moreno zdradził mu, że ktoś go śledzi, że grożono mu śmiercią, że ktoś się włamał do jego pokoju hotelowego? Czy kierowca znał rysopis osoby, która obserwowała Morena?

Rozległy się kroki.

Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że ktoś patrzy przez firankę przysłaniającą okienko w drzwiach.

Od niechcenia uniosła i pokazała odznakę.

Szczęknął zamek.

Drzwi się otworzyły.

## **ROZDZIAŁ 17**

Dzień dobry, pani detektyw. Jest pani detektywem, prawda? Tak się pani przedstawiła przez telefon.

– Tak, jestem detektywem.

– A ja jestem Tash. Proszę mi mówić Tash. – Był ostrożny, tak jak wcześniej przez telefon, gdy do niego zadzwoniła, ale może dlatego, że była kobietą, i to całkiem atrakcyjną, uznał, że może zmniejszyć czujność. Mówił z tak samo silnym bliskowschodnim akcentem, lecz w bezpośredniej rozmowie łatwiej go było zrozumieć.

Rozpływając się w uśmiechach, zaprosił ją do domu ozdobionego głównie sztuką islamską. Był niewysoki, miał ciemną karnację, gęste czarne włosy i semickie rysy. Przypuszczała, że jest Irańczykiem. Ubrany był w białą koszulę i spodnie chinosy. Nazywał się Atash Farada i pracował jako kierowca w Elite Limousines od dziesięciu lat. Oznajmił to z niejaką dumą.

Gościa uprzejmie powitała kobieta w takim samym wieku jak on – w ocenie Sachs czterdziestokilkuletnia – i zaproponowała herbatę albo coś innego do picia.

– Nie, dziękuję.

– Moja żona, Faye.

Podaly sobie ręce.

– W pańskiej firmie, Elite, powiedziano mi, że Robert Moreno zwykle brał innego kierowcę, tak? – zwróciła się do Farady Sachs.

– Tak, Włada Nikołowa.

Sachs poprosiła go, aby przeliterował, po czym zanotowała imię i nazwisko.

– Ale pierwszego maja był chory, więc wezwali mnie do tego zamówienia. Mogłaby pani powiedzieć, o co chodzi?

– Muszę panu powiedzieć, że pan Moreno został zamordowany.

– Nie! – Farada sposepniał. Był wyraźnie zasmucony. – Proszę powiedzieć, co się stało?

– Właśnie staramy się to ustalić.

– To okropna wiadomość. Był prawdziwym dżentelmenem. Napad rabunkowy?

Z coraz większą niechęcią odparła:

– Chciałabym wiedzieć, dokąd pan zawiózł pana Morena.

– Nie żyje. – Odwrócił się do żony. – Nie żyje, słyszałaś? Straszne.

– Panie Farada, mógłby mi pan powiedzieć, dokąd go pan zawiózł? – powtórzyła Sachs z uporem.

– Dokąd jechaliśmy, dokąd jechaliśmy. – Wyglądał na zmartwionego. Na zbyt zmartwionego. Udającego zmartwienie.

Sachs nie zdziwiła się, gdy powiedział:

– Niestety, chyba nie pamiętam.

Ach, zrozumiała.

– Mam pomysł. Mogłabym pana wynająć, żebyśmy odtworzyli tę trasę. Zaczęlibyśmy tam, gdzie go pan zabrał. To mogłoby odświeżyć panu pamięć.

Odbiegł wzrokiem w bok.

– A. Tak, mogłoby. Ale gdybym w tym czasie dostał normalne zlecenie od Elite...

– Ode mnie dostanie pan podwójną stawkę – przerwała mu Sachs, myśląc o etyczności sytuacji, w której płaci się potencjalnemu świadkowi w sprawie zabójstwa. Ale akurat to śledztwo od początku obfitowało w moralne dwuznaczności.

– To może chyba być dobre rozwiązanie – rzekł Farada. – Tak mi przykro, że zginął. Proszę zaczekać, tylko zadzwonię.

Ruszył do innego pokoju, wyciągając po drodze telefon z futerału przy pasku.

– Niczego pani nie chce? – zapytała znowu żona Farady.

– Nie, dziękuję. Naprawdę nie.

– Jest pani bardzo ładna – powiedziała z podziwem i zazdrością kobieta.

Faye też była atrakcyjna, choć niska i pulchna. Sachs przeszło przez myśl, że człowiek zawsze zazdrości drugiemu cech, których sam nie ma. Kiedy zobaczyła Faye, od razu zauważyła, że gdy kobieta podeszła, aby podać jej rękę, w ogóle nie utykała.

Wrócił Farada, narzuciwszy czarną marynarkę.

– Jestem wolny. Możemy jechać. Mam nadzieję, że przypomnę sobie wszystkie miejsca, w których byliśmy.

Posłała mu znaczące spojrzenie, więc dodał szybko: – Kiedy ruszymy, pewnie te miejsca same do mnie wrócą. Tak przecież działa pamięć, prawda? Żyje swoim życiem.

Pocałował żonę i powiedział jej, że wróci przed kolacją – zerkając przy tym na Sachs, aby potwierdziła, że tak będzie.

– Przypuszczam, że to potrwa ze dwie godziny – zapewniła.

Wyszli z domu i wsiedli do czarnego lincolna town car.

– Nie woli pani usiąść z tyłu? – zapytał zdziwiony, że wybrała miejsce obok niego.

– Nie.

Amelia Sachs nie była miłośniczką limuzyn. Jechała takim samochodem tylko raz – na pogrzebie ojca. Nie miała złych skojarzeń z długimi czarnymi sedanami w związku z tym doświadczeniem; po prostu świadomość, że wozi ją ktoś inny, źle wpływała na jej samopoczucie, a czuła się jeszcze gorzej, gdy musiała siedzieć z tyłu.

Ruszyli. Farada umiejętnie radził sobie w dużym ruchu, prowadził pewnie, ale uprzejmie i w ogóle nie używał klaksonu, chociaż natknęli się na paru idiotów, na których Sachs chętnie by zatrąbiła, posyłając ich na chodnik. Pierwszym przystankiem był hotel Helmsley przy Central Park South.

– Tutaj go zabrałem około dziesiątej trzydzieści.

Sachs wysiadła i poszła do recepcji. Nic tam jednak nie wskórała. Recepcjoniści bardzo chcieli pomóc, ale nie mieli żadnych informacji istotnych dla śledztwa. Moreno kilka razy zamówił room service – raz prosił o przyniesienie posiłku do pokoju – ale nigdzie nie dzwonił i nie odebrał żadnych telefonów. Nikt nie pamiętał, by ktokolwiek go odwiedzał.

Wróciła do lincolna.

– Dokąd teraz? – spytała.

– Do banku. Nazwy nie pamiętam, ale pamiętam, gdzie to jest.

– Jedźmy.

Farada zawiózł ją do oddziału American Independent Bank and Trust na Pięćdziesiątej Piątej. Sachs weszła do budynku. Zbliżała się godzina zamknięcia i część pracowników już wyszła. Recepcjonistka wezwała kierowniczkę. Nie mając nakazu, Sachs mogła uzyskać niewiele informacji, ale kobieta, jedna z typowych, podobnych do siebie wiceprezesek, zdradziła jej, że celem wizyty Roberta Morena pierwszego maja było zamknięcie rachunków i przelanie środków do banku na Karaibach. Nie wiedziała, do którego.

– Ile? Może pani powiedzieć?

– Średnia sześciocyfrowa kwota – odparła enigmatycznie.

Czyli raczej nie prał wielkich pieniędzy karteli. Mimo to takie posunięcie budziło podejrzenia.

– Zostawił tu jakieś pieniądze?

– Nie. Wspominał też, że to samo robi ze wszystkimi kontami w innych bankach.

Wróciwszy do Tasha Farady, Sachs opadła ciężko na fotel pasażera.

– A potem?

– Piękna kobieta – rzekł kierowca.

Przez chwilę pomyślała, że Farada mówi o niej. Zaraz jednak zaśmiała się w duchu, ponieważ wyjaśnił, że później zawiózł Morena na East Side i zabrali tam kobietę, która towarzyszyła mu przez resztę dnia. Moreno podał adres – skrzyżowanie Lexington i Pięćdziesiątej Drugiej – i kazał kierowcy zatrzymać się przed wejściem.

Pojechali tam teraz. Sachs przyjrzała się budynkowi. To był wysoki i kanciasty szklany biurowiec.

– Co to była za kobieta?

– Brunetka – odpowiedział. – Może metr siedemdziesiąt wzrostu, trzydzieści kilka lat, ale wyglądała młodo, i jak mówiłem atrakcyjna. Zmysłowa. Miała krótką spódniczkę.

– Bardziej interesuje mnie jej nazwisko i profesja.

– Usłyszałem tylko imię. Lydia. A jeżeli chodzi o profesję... – Na twarzy Farady pojawił się filuterny uśmiech.

– Tak?

– Na pewno wcześniej nigdy się nie widzieli.

– To mi niewiele mówi – odrzekła Sachs.

– Widzi pani, detektywie, w tej pracy dużo się dowiadujemy. Poznajemy ludzką naturę. Są rzeczy, które klienci wolą przed nami ukryć, są rzeczy, o których sami nie chcemy wiedzieć. Mamy być niewidzialni. Ale jesteśmy spostrzegawczy. Siedzimy za kierownicą i nie zadajemy żadnych pytań oprócz: dokąd jechać, proszę pana? A jednak to i owo widzimy.

Ezoteryczna wiedza Tajnego Zakonu Kierowców Limuzyn zaczynała ją męczyć. Zniecierpliwiona Sachs uniosła brew.

Powiedział cicho, jak gdyby słuchał ich ktoś jeszcze: – Dla mnie było jasne, że to... Rozumie pani?

– Dziewczyna z agencji?

– Mówiłem, że wyglądała zmysłowo.

– Jedno niekoniecznie oznacza drugie.

– Ale nie powiedziałem jeszcze o pieniądzach.

– O pieniądzach.

– Nasza praca polega też na tym, żeby nauczyć się nie widzieć pewnych rzeczy.

Rany. Westchnęła.

– Jakie pieniądze?

– Widziałem, jak pan Moreno dawał jej kopertę. Po tym, jak ją trzymali, domyśliłem się, że w środku są pieniądze. Powiedział: „Zgodnie z umową”.

– A ona?

– „Dziękuję”.

Ciekawe, co pomyśli sztywna zastępczyni prokuratora okręgowego Nance Laurel o swojej szlachetnej ofierze, która w biały dzień postanawia skorzystać z usług prostytutki.

– Czy ta kobieta miała jakiś związek z budynkiem? Pracowała w którymś biurze?

– Kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem, czekała w holu.

Sachs miała wątpliwości, czy pod przykrywką jakiegoś biura mogła tu działać agencja towarzyska. Może Lydia była pomocą biurową albo miała inną pracę w niepełnym wymiarze godzin. Zadzwoiła do Lona Sellitta i powiedziała mu o kobiecie, opisując ją.

– I zmysłowa – wtrącił Tash Farada.

Nie zwracając na niego uwagi, Sachs podała detektywowi adres.

– Mam już ten zespół wywiadowczy z wydziału Myersa – powiedział Sellitto. – Zaczną od biurowca. Niech sprawdzą, czy ktoś słyszał o jakiejś Lydii.

Kiedy się rozłączyli, Sachs zapytała Faradę: – Dokąd potem chciał jechać?

– Na dolny Manhattan. Na Wall Street.

– No to jazda.

Szofer włączył się do ruchu. Nabierając prędkości, kolubryniasty lincoln przemykał między stłoczonymi na ulicach samochodami. Jeżeli już Sachs musiała siedzieć na miejscu pasażera, mogła się przynajmniej pocieszać, że kierowca nie jest drogowym oferem. Wolałaby raczej ryzykować stłuczkę, niż wlec się w żółwym tempie. Poza tym jej zdaniem szybciej oznaczało bezpieczniej.

Kiedy jesteś w ruchu...

W drodze na dolny Manhattan zapytała:

– Słyszał pan, o czym Moreno rozmawiał z Lydią?

– Tak, tak. Ale myślałem, że będą mówić o czymś innym. Nie rozmawiali wcale o jej pracy, że się tak wyrażę. Pan Moreno mówił przede wszystkim o polityce. Jakby dawał wykład. Lydia była uprzejma i czasem o coś pytała, ale jak ktoś obcy, kto przyszedł na wesele albo pogrzeb. Jakby w ogóle nie obchodziły jej odpowiedzi. Takie gadanie o niczym.

– Chcę wiedzieć, o czym mówił – nie ustępowała Sachs.

– Pamiętam, że wściekał się na Amerykę. To było przykre, naprawdę obraźliwe. Może myślał, że wolno mu mówić takie rzeczy w mojej obecności, bo mam taki akcent i pochodzę z Bliskiego Wschodu. Jak gdybyśmy mieli ze sobą coś wspólnego. A ja płakałem, kiedy zawaliły się wieże World Trade Center. Tamtego dnia straciłem klientów, którzy byli też moimi przyjaciółmi. Kocham ten kraj jak brata. Czasem człowiek wścieka się na brata. Pani się nie wścieka?

Wyprzedził autobus i dwie taksówki.

– Nie, nie mam rodzeństwa. – Starła się nie stracić cierpliwości.

– No więc czasami człowiek wścieka się na brata, ale potem się godzi i wszystko jest dobrze. Wtedy to jest prawdziwa miłość. Bo przecież więzy krwi łączą was na zawsze. Ale pan Moreno nie miał ochoty wybaczyć krajowi tego, co mu zrobił.

– Tego, co mu zrobił?

– Tak, zna pani tę historię?

– Nie – powiedziała Sachs, odwracając się do niego. – Proszę mi opowiedzieć.

## **ROZDZIAŁ 18**

W każdym przedsięwzięciu zdarzają się błędy.

Nie można tylko dopuścić, żeby reagować na nie emocjonalnie.

Starasz się ubić śmietaną, nie ochłodziwszy wcześniej miski i trzepaczek, i wyjdzie ci masło.

Razem z działem technicznym identyfikujesz stałego kierowcę klienta w firmie wynajmującej limuzyny i okazuje się, że akurat tego dnia, o który chcesz go zapytać, był chory. I jeżeli nawet starannie wykroisz mu kilka pasków ciała, nie zmusisz leżącego przed tobą człowieka, żeby podał nazwisko zastępcy. Co oznacza, że naprawdę nie wiedział.

Błona na polędwicy...

Jacob Swann pomyślał, że powinien o tym wiedzieć, powinien się wcześniej przygotować. Poczul się nieco upokorzony. Nie można opierać się na założeniach. Pierwszą zasadą każdego dobrego dania jest przygotowanie. Należy zawczasu wykonać niezbędne prace, posiekać, odmierzyć i zredukować wywar.

Wszystko.

Dopiero wtedy można zacząć łączyć składniki, ugotować i wykończyć danie.

Pospiesznie sprzątał w domu Włada Nikołowa, dochodząc do wniosku, że jednak ta godzina nie poszła na marne – zawsze warto poświęcić czas na doskonalenie umiejętności. Poza tym Nikołow mógł wiedzieć coś istotnego dla policji (choć, jak się okazało, nie wiedział). Ponieważ Swann miał się jeszcze zająć takimi ludźmi jak zastępczyni prokuratora okręgowego Nance Laurel i informator z KSWO, zależało mu, aby śmierć Włada Nikołowa jak najdłużej pozostała niezauważona. Owinął krwawiące zwłoki w kilkanaście ręczników, potem opakował workami na śmieci, które szczelnie zakleił taśmą. Zaciągnął ciało do piwnicy z głuchym łup, łup, łup po schodach i wsunął je do składziku. Wiedział, że zapach zacznie się wydobywać dopiero za mniej więcej tydzień.

Następnie wziął telefon komórkowy Nikołowa, zadzwonił do Elite Limousines i udając słowiański akcent, przedstawił się niepewnym angielskim jako kuzyn Włada Nikołowa. Poinformował, że kierowca dowiedział się o śmierci członka rodziny w swoim ojczystym kraju (nie wspomniał o Moskwie, Kijowie ani Tbilisi, bo nie wiedział, skąd pochodzi szofer). Wład przez kilka tygodni nie będzie mógł pracować. Dyżurny zaczął protestować – chodziło mu tylko o grafik, nie o to, że usprawiedliwienie brzmi niewiarygodnie – ale Swann przerwał połączenie.

Przyjrzał się miejscu przesłuchania i stwierdził, że zostawił bardzo niewiele śladów. Krew usunął za pomocą worków na śmieci i ręczników. Teraz resztę wyszorował wybielaczem, po czym wsadził ręczniki i telefon do worka na śmieci, który zamierzał zabrać ze sobą i wyrzucić do kubła gdzieś w drodze do domu.



Kiedy miał już wychodzić, dostał zaszyfrowanego e-maila. Wyglądało na to, że KSWO zdobyła bardzo ciekawe informacje. Tożsamość informatora nadal była nieznana, ale Metzger kazał się już tym zająć. Dział techniczny ustalił jednak nazwiska ludzi zaangażowanych w sprawę, poza prokuratorką Nance Laurel. Śledztwo prowadziły dwie osoby: detektyw nowojorskiej policji Amelia Sachs i konsultant, jakiś zagadkowy Lincoln Rhyme.

Czas na dalsze poszukiwania i eksplorację danych, pomyślał Swann, sięgając po telefon. W końcu siła najlepszej książki kucharskiej na świecie, *The Joy of Cooking*, nie polegała na zebraniu paru wyszukanych przepisów, ale na cierpliwym gromadzeniu i organizowaniu faktów – czyli na wiedzy.

## ROZDZIAŁ 19

Wie pani coś o Panamie? – zapytał Tash Farada. Jadąc w kierunku Wall Street, był ożywiony i slalom między samochodami sprawiał mu wyraźną przyjemność.

– Kanał – powiedziała. – Była tam jakaś inwazja czy coś takiego. Dobre parę lat temu.

Kierowca parsknął śmiechem i przyspieszył, żeby ominąć pełnący wolno sznur pojazdów na Franklin D. Roosevelt Drive.

– „Jakaś inwazja czy coś takiego”. Tak, tak. Dużo czytam o historii. Lubię. W latach osiemdziesiątych w Panamie zmieniła się władza. W wyniku rewolucji. Tak jak w naszym kraju.

– Tak, w Iranie. W siedemdziesiątym dziewiątym, zgadza się?

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

– To znaczy w Persji – poprawiła.

– Nie, mówię o 1776 roku. Jestem Amerykaninem.

Ach, tak. W naszym kraju.

– Przepraszam.

Znów zmarszczył czoło, jednak już udobruchany.

– No więc o Panamie. Noriega był kiedyś sojusznikiem Ameryki. Zwalczał komunistyczne zło. Pomagał CIA i DEA toczyć wojnę z plagą narkotyków... Oczywiście pomagał też szefom karteli toczyć wojnę z plagą CIA i DEA. W końcu ta gra obróciła się przeciwko niemu i w osiemdziesiątym dziewiątym Stany uznały, że mają tego dość. Dokonaliśmy inwazji. Problem w tym, że to była mała brudna wojna. Czytała pani George’a Orwella?

– Nie. – Może dawno temu czytała, ale nigdy nie uciekała się do blefu ani nie próbowała nikomu imponować wiedzą, której nie miała.

– W *Folwarku zwierzęcym* Orwell napisał: „Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre są równiejsze od innych”. Wszystkie wojny są złe. Lecz niektóre są gorsze od innych. Przywódca Panamy był skorumpowany, jego świta też. To byli niebezpieczni ludzie, którzy gnębili naród. Ale inwazja też nie przebiegła łatwo. Była bardzo brutalna. Robert Moreno mieszkał wtedy z rodzicami w stolicy.

Sachs wróciła pamięcią do rozmowy z Fredem Dellrayem, który im powiedział, że Robert Moreno używa także imienia Roberto. Ciekawe, czy zmienił je oficjalnie, czy latynoska wersja była tylko pseudonimem.

– Miał wtedy kilkanaście lat. Tego dnia w samochodzie mówił Lydii, swojej zmysłowej przyjaciółce, że jego życie rodzinne nie było najszcześniejsze, że ojciec często wyjeżdżał, a matka cierpiała na depresję. Nie bardzo się nim zajmowała.

Sachs przypomniała sobie o pracy ojca w firmie naftowej, której musiał poświęcać wiele godzin, i o samobójstwie matki.

– Chłopiec zaprzyjaźnił się podobno z jakąś rodziną mieszkającą w stolicy. Roberto zżył się z braćmi Enrico i José, o ile dobrze pamiętam imiona. Mówił, że byli w podobnym wieku.

Głos Tasha Farady zamarł.

Sachs wiedziała już, do czego zmierza opowieść.

– Bracia zginęli w czasie inwazji?

– Jeden z nich, najlepszy przyjaciel Roberta. Pan Moreno nie wiedział, kto właściwie do niego strzelał, ale wini Amerykanów. Powiedział, że władze zmieniły zasady. Nie zależało im na ludziach ani wolności, jak twierdziły. Chętnie popierały Noriegę i tolerowały jego narkotykowe interesy, dopóki miały w nim pewnego sojusznika. Potem zaczęły się niepokoić, że Panama może zamknąć kanał dla tankowców. Wtedy zaatakowały. – Zniżył głos do szeptu. – Pan Moreno znalazł ciało przyjaciela. Mówił Lydii, że z tego powodu ciągle dręczą go koszmary.

Choć w przeciwieństwie do życzeń Nance Laurel dowody mogły wskazywać, że Moreno nie był wcale taki święty, Sachs była poruszona tą smutną historią. Ciekawe, czy opowieść poruszyłaby Laurel. Pewnie nie.

– Kiedy opowiadał o tym Lydii – ciągnął kierowca – głos mu się łamał. Ale nagle zaczął się śmiać i pokazał przez okna na miasto. Powiedział, że żegna się z Ameryką i wcale tego nie żałuje. To miał być jego ostatni przyjazd. Wiedział, że nie będzie już mógł wrócić.

– Nie będzie mógł?

– Tak powiedział. Że nie będzie mógł. „Nie będę po niej płakał” – powiedział. Pomyślałem wtedy, że Ameryka też nie będzie po nim płakać – dodał szybko Tash Farada. – Kocham ten kraj. – Zamilkł na chwilę. – Wie pani, nie cieszę się, że zginął. Ale tak źle mówił o moim domu. A dla mnie to zawsze był najlepszy kraj na ziemi.

Kiedy zbliżali się do Wall Street, Sachs wskazała miejsce zamachów z jedenastego września.

– Chciał zobaczyć strefę zero?

– Nie – odrzekł kierowca. – Myślałem, że może będzie chciał. Że po tym wszystkim, co powiedział, chce tam pójść i napawać się tym dramatem. Wtedy wyprosiłbym go z samochodu. Ale nie chciał. Przestał się odzywać.

– Dokąd pan go zawiózł?

– Wysadziłem go dokładnie tutaj. – Zatrzymał się na Fulton Street, tuż przy Broadwayu. – Pomyślałem, że to dziwne. Wyszli po prostu na rogu ulicy. Powiedział, że będą za kilka godzin i jeżeli nie mogę zaczekać, zadzwonią po mnie. Dałem mu wizytówkę.

– Dlaczego uznał pan, że to dziwne?

– W tej części miasta limuzyna może prawie wszędzie dojechać, jeżeli nie ma po drodze żadnej budowy czy remontu. Ale miałem wrażenie, jakby nie chciał, żebyśmy widział, dokąd idą. Przypuszczałem, że do jakiegoś hotelu, do Millennium czy któregoś innego. W tamtą stronę poszli.

Na schadzke ze swoją zmyslową przyjaciółką? W takim razie dlaczego po prostu nie zostali w hotelu na górnym Manhattanie?

– Zadzwonił do pana? – Sachs miała nadzieję, że zdobędzie numer Morena, który mógł zostać na liście odebranych połączeń u kierowcy.

Farada odparł jednak:

– Nie. Zaczekałem tu. I wrócili.

Wysiadła z lincolna, po czym ruszyła w kierunku wskazanym przez kierowcę. Zasięgnęła języka w trzech hotelach położonych niedaleko od siebie, ale w żadnym nie odnotowano gościa o nazwisku

Moreno, który zameldowałby się pierwszego maja. Jeżeli w ogóle się zameldowali, być może zrobiła to Lydia, używając swojego nazwiska, choć bez bardziej szczegółowych informacji na jej temat trop nie prowadził donikąd. Sachs pokazała też zdjęcie Morena, lecz nikt go nie rozpoznał.

Może działacz zapłacił jej, żeby uprawiała seks z kimś innym? Może spotkali się z kimś w którymś hotelu albo biurze w okolicy? Żeby go przekupić albo zaszantażować? Sachs wyszła z ostatniego hotelu na zatłoczoną ulicę. Wokół setki budynków – biura, sklepy, mieszkania. Gdyby nawet policyjny zespół wywiadowczy spędził tu miesiąc, wypytyjąc o Roberta Morena i jego towarzyszkę, byłby na początku drogi.

Zastanawiała się, czy Lydia mogła dostać pieniądze z innego powodu. Może należała do komórki organizacji terrorystycznej, z którą Moreno współpracował? Spotykali się z inną grupą, która chciała wysłać kolejny krwawy sygnał w finansowym centrum miasta?

Choć hipoteza wydawała się jej sensowna, to należała do teorii, których Nance Laurel nie chciałyby słuchać.

Czyli nie można podchodzić do tego obiektywnie...

Sachs wróciła do limuzyny. Jak wcześniej usiadła obok kierowcy, przeciągnęła się i skrzywiła, bo znowu przeszył ją artretyczny ból, a potem wbiła paznokiec w paznokiec. Przestań, powiedziała sobie. Wbiła mocniej i wytarła krew w nogawkę czarnych dżinsów.

– Potem dokąd?

– Odwiozłem ich z powrotem do hotelu – odpowiedział Farada. – Kobieta wysiadła razem z nim, ale rozeszli się w różne strony. On wszedł do środka, ona poszła na wschód.

– Objęli się na pożegnanie?

– Niezupełnie. Musnęli się policzkami. To wszystko. Dał mi napiwek, całkiem spory, chociaż i tak jest wliczony.

– Dobrze, wracajmy do Queens.

Wrzucił bieg i ruszył na wschód przez gęsty ruch wieczornych godzin szczytu. Była mniej więcej siódma. Kiedy przebijali się przez ulice, Sachs zapytała:

– Nie miał pan wrażenia, że ktoś go śledzi? Zdradzał jakiś niepokój? Zachowywał się, jakby coś podejrzewał albo czegoś się obawiał?

– Hm. Mogę powiedzieć, że wydawał się ostrożny. Często się rozglądał. Ale nie obawiał się niczego konkretnego. Nie powiedział na przykład: „Jeździ za mną tamten czerwony samochód”. Sprawiał wrażenie kogoś, kto stara się orientować w otoczeniu. To akurat rozumiem. Tacy są biznesmeni. Chyba w dzisiejszych czasach muszą się tak zachowywać.

Sachs była niezadowolona. Nie dowiedziała się niczego pewnego na temat pobytu Morena w Nowym

Jorku. Miała w głowie więcej pytań niż odpowiedzi. Mimo to, myśląc o wymienionym w rozkazie al-Baranim, który miał być następną ofiarą, nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że musi się spieszyć.

KSWO zamierza go zabić przed piątkiem. Jakie straty uboczne wchodzi w grę? Jego żona i dzieci? Jakiś przechodeń?...

Byli na moście Williamsburg, kiedy zadzwonił jej telefon.

– Cześć, Fred.

– Hej, Amelia. Słuchaj, nasi ludzie przejrzeni dane z wywiadu elektronicznego w Wenezueli. Znaleźli głos Morena sprzed jakiegoś miesiąca. To może być dla was ważne. Mówił: „Tak, dwudziestego czwartego maja, zgadza się... zamknąć się w wieży z kości słoniowej. I żyć jak w raju”.

Dwudziesty czwarty był za niecałe dwa tygodnie. Czyżby Moreno planował jakiś zamach, po którym zamierzał zniknąć jak bin Laden?

– Jakieś sugestie? – zapytała.

– Nie, ale ciągle sprawdzamy.

Powtórzyła agentowi słowa Farady, jakoby miał to być ostatni pobyt Morena w Nowym Jorku, i opowiedziała mu o tajemniczych spotkaniach w pobliżu strefy zero.

– To by pasowało – rzekł Dellray. – No, całkiem możliwe, że miał jakieś wredne zamiary i chciał się zapaść pod ziemię. Logiczne, zwłaszcza jak usłyszysz, co jeszcze mam ci do powiedzenia.

– Mów. – Położyła na kolanach notes i chwyciła długopis.

– To też przechwycone z rozmowy przez telefon – rzekł agent. – Dziesięć dni przed śmiercią Moreno pytał: „A te wybuchowe niespodzianki? Kto może je przygotować?”. Mówił też o kimś, kto „może im nadmuchać”.

Sachs poczuła ucisk w żołądku.

– Zdaniem naszych magików wymienił datę trzynastego maja i Meksyk.

Czyli dwa dni temu. Sachs nie przypominała sobie żadnego incydentu, ale w prawie całym Meksyku wrzało i dochodziło tam do tyłu zamachów i zabójstw związanych z narkotykami, że rzadko zasługiwały na wzmiankę w wiadomościach amerykańskich telewizji.

– Sprawdzam, czy coś się tam wtedy stało. Na koniec trzecia sprawa. Mamy dane o podróżach Morena. Gotowa?

– Mów.

– Drugiego maja Moreno poleciał z Nowego Jorku do stolicy Meksyku – zaczął Dellray – być może

zaplanować zamachy bombowe. Następnego dnia do Nikaragui. Dzień później do San José w Kostaryce. Został tam przez kilka dni, a siódmego poleciał na Bahamy, gdzie dwa dni później miał okazję poznać wyborowe umiejętności strzeleckie pana Dona Brunsa.

W Meksyku i Kostaryce prowadzono luźną obserwację Morena – dodał agent. – Widziano go przed amerykańskimi ambasadami. Ale nic nie wskazywało na to, że może stanowić zagrożenie, więc go nie zatrzymano.

– Dzięki, Fred, pomogłeś nam.

– Będę dalej drążyć temat, choć muszę ci powiedzieć, że nie mam aż takiej masy czasu.

– Dlaczego, coś się dzieje? Coś grubszego?

– Aha. Zmieniam nazwisko i wyprowadzam się do Kanady. Wstępuję do Królewskiej Policji Konnej.

Trzask!

Nie roześmiała się. Jego uwaga była zbyt celna; cała sprawa przypominała niestabilny materiał wybuchowy.

Pół godziny później Tash Farada zaparkował lincolna na swoim podjeździe i wysiedli. Kierowca przyjął niedwuznacznie wyczekującą pozę.

– Ile jestem panu winna? – spytała Sachs.

– Zwykle liczymy od garażu do garażu, co nie byłoby fair wobec pani, bo samochód był tutaj. Czyli od godziny naszego wyjazdu do godziny powrotu. – Spojrzał na zegarek. – Wyjechaliśmy o szesnastej dwanaście, a teraz jest dziewiętnasta trzydzieści osiem.

To się nazywa dokładność.

– Dla pani zaokrąglę w dół. Od szesnastej piętnaście do dziewiętnastej trzydzieści. Czyli trzy godziny piętnaście minut.

A to się nazywa szybkie liczenie.

– Jaka jest godzinowa stawka?

– Dziewięćdziesiąt dolarów.

– Za godzinę? – zdumiała się, zanim zdążyła sobie uświadomić, że właśnie o to zapytała.

Uśmiech.

– W sumie trzysta osiemdziesiąt dwa dolary i pięćdziesiąt centów.

Cholera, pomyślała Sachs. Spodziewała się, że będzie trzy razy mniej. Jeszcze jeden powód, dla którego nie warto być miłośniczką limuzyn.

– I oczywiście... – zaczął.

– Zgodziłam się zapłacić podwójnie.

– Czyli całkowita suma to siedemset sześćdziesiąt pięć dolarów.

Westchnęła.

– Zawiezie mnie pan w jeszcze jedno miejsce? – spytała Sachs.

– Jeżeli to nie zajmie dużo czasu. – Ruchem głowy wskazał dom. – Rozumie pani, kolacja.

– Tylko do najbliższego bankomatu.

– Ach, tak, tak... Za ten kurs nie policzę pani ani centa!

## **ROZDZIAŁ 20**

Wyobraźnia płatała jej figle?

Nie.

Wracając torino cobrą na Manhattan, Sachs nabrała pewności, że ktoś ją śledzi.

Kiedy wyjeżdżała z tunelu Queens Midtown, we wstecznym lusterku zauważyła, że jedzie za nią jakiś jasny samochód, którego marki i modelu nie potrafiła rozpoznać. Nijaki. Szary, biały czy srebrny. Tu i na ulicach, gdy oddalała się od domu Farady.

Ale jak to możliwe? Nadzorczyńni zapewniała ją, że KSWO, Metzger i snajper nic nie wiedzą o

śledztwie.

Gdyby się nawet dowiedzieli, jak mogli zidentyfikować i zlokalizować jej samochód?

Mimo to Sachs pamiętała ze sprawy, którą prowadzili z Rhyme'em kilka lat temu, że każdy, kto ma do dyspozycji podstawowy system eksploracji danych, potrafi bez trudu ustalić czyjeś położenie. Zarejestrowane przez kamery tablice rejestracyjne, systemy rozpoznawania twarzy, rejestry połączeń telefonicznych i płatności kartami kredytowymi, GPS, nadajniki pobierania opłat E-ZPass, identyfikatory RFID – i KSWO na pewno miałyby znacznie więcej niż podstawowe dane. Zachowała ostrożność, lecz chyba za małą.

Można to łatwo naprawić.

Wykonała serię skomplikowanych, szybkich i niesłychanie przyjemnych skrętów, przy których spod kół szedł dym, a wóz na dwójce osiągał ponad dziewięćdziesiąt na godzinę.

Po ostatnim manewrze, kiedy wyprowadziła wspaniałą cobrę na prostą i uśmiechnęła się przepaszająco do sikhijskiego kierowcy, któremu znieacka zajęła drogę, nie miała już wątpliwości, że zgubiła ogon.

Przynajmniej dopóki znów nie zostanie namierzona.

Zresztą gdyby nawet rzeczywiście ją obserwowano, to czy ogon stanowił prawdziwe zagrożenie?

KSWO mogło szukać informacji na jej temat i starać się utrudniać czy spowalniać śledztwo, ale nie wyobrażała sobie, żeby rząd fizycznie skrzywdził funkcjonariusza nowojorskiej policji.

Chyba że zagrożenie nie pochodziło od samego rządu, tylko od psychopaty, który akurat pracował w rządowej instytucji, wykorzystując stanowisko do realizacji swoich urojeń i eliminacji ludzi, według jego norm, zbyt mało kochających ojczyznę.

Niewykluczone też, że zagrożenie nie miało nic wspólnego z Morenem. Dzięki Amelii Sachs wiele osób trafiło za kratki i najprawdopodobniej żadna z nich nie była z tego powodu zachwycona.

Sachs poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach.

Zaparkowała na przecznicy Central Park West i rzuciła na deskę rozdzielczą policyjny identyfikator. Wysiadając, poklepała ręką glocka, by dokładnie zapamiętać jej położenie. Wydawało się, że każdy samochód zaparkowany w pobliżu jest jasny i nijaki, a w środku siedzi tajemniczy kierowca i patrzy w jej stronę. Każda antena, każda wieża ciśnienia i rura na dachu każdego budynku w tej części Upper West Side była snajperem obserwującym jej plecy przez celownik optyczny.

Szybkim krokiem podeszła do domu i zniknęła w środku. Minęła salon, gdzie Nance Laurel ciągle stuknęła w klawisze komputerów, tak samo jak przed kilkoma godzinami, gdy policjantka wychodziła, i weszła do pokoju rehabilitacyjnego – jednej z sypialni na piętrze – gdzie ćwiczył Rhyme.

Thom czuwał obok jako asekurator, a Rhyme był przypięty w pozycji siedzącej do skomplikowanego



roweru stacjonarnego, który wykorzystywał elektrostymulację funkcjonalną. Urządzenie za pośrednictwem przewodów wysyłało do jego mięśni impulsy elektryczne imitujące sygnały z mózgu i w ten sposób zmuszało jego nogi do poruszania pedałami. Kręcił nimi zapamiętałe jak uczestnik Tour de France.

Uśmiechnęła się i pocałowała go.

– Jestem spocony – oznajmił.

Rzeczywiście był.

Znow go pocałowała, tym razem dłużej.

Choć elektrostymulacja funkcjonalna nie mogła wyleczyć go z tetraplegii, to pomagała utrzymać w dobrej formie mięśnie i układ naczyniowy, wpływając korzystnie także na stan skóry, co było istotne, aby uniknąć odleżyn, które są powszechnym utrapieniem osób z poważną niepełnosprawnością. Rhyme nieraz informował, czasem tylko po to, żeby zgorszyć zebranych, że „kaleka spędza mnóstwo czasu na dupie”.

Ćwiczenie poprawiało także funkcjonowanie nerwów.

Aerobik był elementem rehabilitacji. Drugi element polegał na rozwijaniu mięśni szyi i barków; właśnie te części jego ciała w dużym stopniu miały odpowiadać za poruszanie lewą ręką i ramieniem, tak jak w tej chwili poruszały prawą ręką, już za kilka tygodni, po operacji, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

Sachs wolałaby nie dodawać w myślach tego ostatniego zdania.

– Masz coś? – zapytał, dysząc ciężko.

Zdała mu relację z kursu limuzyną, opowiadając, jak bliski przyjaciel Morena z dzieciństwa zginął z rąk amerykańskich żołnierzy podczas inwazji na Panamę.

– Urazy mogą tkwić głęboko. – Ale Rhyme’a nigdy nie interesowały problemy psychologiczne ofiary, uważał je za niewarte uwagi hokus-pokus. Znacznie ciekawsze było to, czego się dowiedziała o Lydii, zamykaniu kont w bankach, tajemniczym spotkaniu, planowanym przez Morena dobrowolnym wygnaniu ze Stanów – „zupełnym zniknięciu” – oraz prawdopodobnym związku z wybuchami w stolicy Meksyku trzynastego maja.

– Fred będzie szukał dalej. A tobie udało się na Bahamach?

– O kant dupy potłuc – warknął, łapiąc oddech. – Nie wiem, czy to nieudolność, czy polityka, pewnie jedno i drugie, ale dzwoniłem jeszcze trzy razy i znowu kazali mi czekać, aż w końcu się rozłączyłem. Czyli dzisiaj w sumie siedem razy. Naprawdę nie znoszę, jak każą mi czekać na połączenie. Zamierzałem dzwonić do naszej ambasady, konsulatu czy co tam jest, żeby interweniowali. Ale Nance uznała, że to nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? Wiadomość mogłaby trafić do KSWO?

– Tak. Nie mogę się z nią nie zgodzić. Jest pewna, że jeżeli się dowiedzą, w tej samej minucie zaczną znikać dowody. Tylko że... – Głęboko nabrał powietrza i ręką, którą mógł poruszać, odrobinę zwiększył prędkość roweru. – ...Nie ma ani jednego dowodu.

– Zwolnij – poradził Thom.

– Ćwiczenie czy moją diatrybę? Nie sądzisz, że jest całkiem poetycka?

– Lincoln, nie przesadzaj.

Kryminalistyk buńczucznie pedałowal jeszcze przez pół minuty, po czym zmniejszył prędkość.

– Pięć kilometrów – oznajmił. – Trochę pod górkę.

Sachs wzięła ściereczkę i otarła mu krople potu ze skroni.

– Wydaje mi się, że ktoś już się dowiedział o śledztwie.

Zwrócił w jej stronę ciemne oczy jak dwa radary.

Powiedziała mu o samochodzie, który mógł ją śledzić.

– A więc nasz snajper już o nas wie? Zidentyfikowałaś go?

– Nie. Albo był naprawdę dobry, albo wyobraźnia mnie poniosła.

– Chyba w tej sprawie można ulegać paranoi, Sachs. Powinnaś o tym powiedzieć naszej przyjaciółce w salonie. Mówiłaś jej już, że święty Moreno może nie był taki święty?

– Jeszcze nie.

Zauważyła, że Rhyme przygląda się jej ze szczególną miną.

– O co chodzi? – zapytała.

– Dlaczego jej nie lubisz?

– Jesteśmy jak ogień i woda. Albo oliwa i woda.

Rhyme zachichotał.

– Mit hydrofobów! Oliwa naprawdę miesza się z wodą, Sachs. Wystarczy usunąć z wody gazy, a świetnie połączy się z oliwą.

– Powinnam wiedzieć, że z naukowcem trzeba uważać na porównania.

– Zwłaszcza kiedy nie odpowiadają na pytanie.

Odezwała się po długich pięciu sekundach.

– Nie wiem, dlaczego jej nie lubię. Po pierwsze, nie podoba mi się, kiedy ktoś chce mną ręcznie sterować. Tobie daje spokój. Może jest cięta na kobiety.

– W tej kwestii nie mam zdania.

Drapiąc się po głowie, Sachs westchnęła.

– Pójdę jej powiedzieć.

Podeszła do drzwi i przystanęła, patrząc na ciężko pracującego na rowerze Rhyme'a.

Planowana operacja budziła w niej mieszane uczucia. Zabieg był ryzykowny. Przede wszystkim tetraplegicy mają ograniczenia fizjologiczne; operacja mogła doprowadzić do poważnych komplikacji, które nie stanowiłyby żadnego zagrożenia dla osoby pełnosprawnej.

Tak, oczywiście, zależało jej na dobrym samopoczuciu partnera. Ale czy nie wiedział, że w rzeczywistości jak każdy był przede wszystkim umysłem i sercem, a nie ciałem? Że nasze fizyczne wcielenie w jakiś sposób zawsze nas rozczarowuje? Gapiono się na niego na ulicach. Zresztą nie tylko na niego; kiedy ktoś przypatrywał się Sachs, zwykle był to bardziej nieprzyjemny obserwator niż w jego przypadku.

Wróciła myślą do czasów, gdy była modelką i ze względu na urodę, wzrost i burzę rudych włosów często ją lekceważono. Złościło ją to – nawet sprawiało przykrość – że traktowano ją tylko jak luksusowy przedmiot. Narażając się na gniew matki, postanowiła zmienić zawód i wstąpiła do policji, idąc w ślady ojca.

W co wierzysz, co wiesz, jak podejmujesz decyzje, kiedy nie dajesz za wygraną... takie cechy przesądzały o wartości policjanta. Nie wygląd.

Oczywiście Lincoln Rhyme był dotknięty poważną niepełnosprawnością. Któż w jego stanie nie chciałby poprawić swego stanu zdrowia, mieć władzy w obu rękach, chodzić? Czasem jednak Sachs zastanawiała się, czy Rhyme chce się poddać ryzykownej operacji dla siebie, czy dla niej. W rozmowach rzadko poruszali ten temat, a jeśli się już pojawiał, słowa odbijały się od niego jak kule od gładkiej skały. Ale przesłanie było jasne: po co zadajesz się z kaleką, Sachs? Możesz mieć kogoś lepszego niż ja.

Przede wszystkim zdanie „możesz mieć lepszego” sugerowało, że Sachs szuka ideału, co po prostu było nieprawdą ani teraz, ani nigdy przedtem. Tylko raz zaangażowała się w poważny związek – z policjantem – który zakończył się katastrofą (choć Nick w końcu wyszedł z więzienia). Spotykała się potem z różnymi facetami, zwykle po to, żeby czymś wypełnić sobie czas, dopóki sobie nie uświadomiła, że nuda z kimś jest stokroć gorsza niż nuda w pojedynkę.

Była zadowolona ze swojej niezależności i gdyby na horyzoncie nie pojawił się Rhyme, dobrze

byłoby jej samej.

Rób, co chcesz, pomyślała. Poddaj się tej operacji albo nie. Ale zrób to dla siebie. Bez względu na decyzję, zostanę.

Przyglądała mu się jeszcze przez kilka chwil z łagodnym uśmiechem. Po chwili spoważniała i ruszyła w stronę salonu, aby spotkać się z Nadzorczynią i przekazać jej wiadomości.

Święty Moreno może nie był taki święty...

## ROZDZIAŁ 21

Gdy Sachs zapisała na tablicach informacje uzyskane od Tasha Farady, Nance Laurel, zastanowiwszy się nad tym, co usłyszała, obróciła w jej stronę swoje krzesło.

– Dziewczyna do towarzystwa? Jesteś pewna?

– Nie, ale to możliwe. Dzwoniłam do Lona. Wysłał część wywiadowców Myersa, żeby spróbowali ją znaleźć.

– Call girl. – Laurel wydawała się zakłopotana.

Powinna być bardziej skonsternowana. Informacja, że podczas pobytu w Nowym Jorku ofierze – żonatemu mężczyźnie – towarzyszyła prostytutka, nie mogła pomóc jej zyskać przychylności przysięgłych.

Sachs była jeszcze bardziej zaskoczona, gdy prokuratorka dodała jak gdyby mimochodem:

– No tak, mężczyźni czasem schodzą na manowce. To się da jakoś zręcznie załatwić.

Może postara się doprowadzić do tego, by w ławie przysięgłych zasiadło jak najwięcej mężczyzn,

k którzy prawdopodobnie będą mniej krytyczni wobec niewierności Morena. Jak się wyraziła? „Jeżeli pyta pani, czy wybieram sprawy, które moim zdaniem mogę wygrać, to odpowiedź jest twierdząca”.

– W każdym razie to dobra dla nas wiadomość – podjęła Sachs. – Może spędzili ten czas nie tylko w łóżku. Mógł ją zabrać na spotkanie ze znajomym albo zobaczyła kogoś z KSWO, kto ich śledził. Jeżeli trudni się tym profesjonalnie, będziemy mieli argument, żeby ją zmusić do mówienia. Nie zechce, żeby brać jej życie pod lupę. Poza tym niewykluczone, że wcale nie jest prostytutką, ale zajmuje się czymś innym, na przykład jakąś działalnością przestępczą.

– Z powodu tych pieniędzy. – Laurel wskazała tablicę.

– Właśnie. Przypuszczałam, że to może mieć związek z terroryzmem.

– Moreno nie był terrorystą. To już ustaliliśmy.

Ty ustaliłaś, pomyślała Sachs. Fakty tego nie potwierdzają.

– Mimo wszystko... – Też pokazała tablicę. – Decyzja, żeby już nigdy nie wrócić do Stanów, zlikwidować konta, zamknąć się w wieży z kości słoniowej... Wzmianka o wysadzeniu czegoś w Meksyku.

– To mogło dotyczyć wielu rzeczy. Na przykład prac budowlanych, rozbiórki prowadzonej przez jedną z firm Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej. – Mimo to wnioski płynące ze zdobytych informacji nie dawały Nadzorczyńi spokoju. – Kierowca zauważył, czy był obserwowany?

Sachs powtórzyła jej słowa Farady, że Moreno z niepokojem rozglądał się po ulicach.

– Mówił, czy Moreno zauważył coś konkretnego?

– Nie.

Nance Laurel podsunęła się z krzesłem naprzód i spojrzała na listę faktów, przybierając pozę dziwnie przypominającą Rhyme'a, gdy zatrzymywał wózek Storm Arrow przed tablicami.

– I nic na temat charytatywnej działalności Morena, nic, co przedstawiałoby go w korzystniejszym świetle?

– Kierowca mówił, że był dżentelmenem. I dawał wysokie napiwki.

Nie o to chyba chodziło.

– Rozumiem. – Laurel spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta wieczorem. Zmarszczyła brwi, jak gdyby się spodziewała, że jest o wiele wcześniej. Przez chwilę Sachs naprawdę sądziła, że prokuratorka bierze pod uwagę możliwość nocowania w salonie. Laurel zaczęła jednak układać sterty papierów na stole, mówiąc: – Jadę do domu. Wiem, że już późno, ale czy mogłabyś spisać swoje notatki i to, czego dowiedział się agent Dellray, a potem wysłać je...

– Do pani przez zabezpieczony serwer.

– Jeżelibyś mogła.

Jeździł tam i z powrotem przed skąpo zapisanymi tablicami i słuchał uporczywego staccata klawiatury komputera, w którą stukąła Amelia Sachs.

Nie wyglądała na zadowoloną.

Lincoln Rhyme na pewno nie miał powodów do zadowolenia. Jeszcze raz przyjrzał się tablicom. Cholerne tablice...

Sprawa opierała się wyłącznie na pogłoskach, zagadkach i domysłach.

Miękka sprawa.

Ani jeden dowód nie został zabezpieczony, poddany analizie i nie posłużył za podstawę do wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków. Sfrustrowany Rhyme westchnął.

Sto lat temu francuski kryminalistyk Edmond Locard stwierdził, że w każdym miejscu, gdzie zostaje popełnione przestępstwo, dochodzi do przeniesienia dowodów między sprawcą a miejscem zdarzenia lub sprawcą a ofiarą. Czasem ślad jest niemal niewidoczny, ale zawsze można go znaleźć... pod warunkiem że się wie, jak szukać, i wykonuje się zadanie odpowiednio cierpliwie i sumiennie.

Zasada Locarda najlepiej sprawdzała się w przypadku takiego zabójstwa jak Morena. Strzał zawsze pozostawia mnóstwo wskazówek: pociski, łuski, odciski linii papilarnych, ślady powystrzałowe, odciski stóp, mikroślady w gnieździe snajperskim...

Rhyme wiedział, że takie wskazówki istniały – ale poza jego zasięgiem. Irytująca myśl. I z każdym dniem, a nawet z każdą godziną stawały się coraz mniej wartościowe, w miarę jak ulegały rozkładowi, były zanieczyszczane i prawdopodobnie rozkradane.

Z utęsknieniem czekał na chwilę, gdy będzie mógł analizować zabezpieczone dowody własnoręcznie, oglądać, badać... dotykać. To była wielka przyjemność, której nie mógł doznawać przez wiele ciężkich lat.

Ale wydawała się coraz mniej prawdopodobna, gdy mijał czas, a z Bahamów nie było żadnych wiadomości.

Zadzwoił funkcjonariusz z wydziału informacji i zameldował, że choć w bazach danych Don Bruns lub Donald Bruns pojawia się wielokrotnie, to żadne z trafień nie zostało zaklasyfikowane jako istotne przez policyjny system wyszukiwania ukrytych zależności. Algorytm zbierał niepowiązane ze sobą informacje, takie jak nazwiska, adresy, nazwy organizacji i działalność, i analizował je za pomocą superkomputerów, aby znaleźć związki między nimi, których nie udałooby się ustalić w trakcie tradycyjnego śledztwa. Rhyme nie był szczególnie zawiedziony negatywnym wynikiem. Nie spodziewał się zbyt wiele; agenci służb rządowych na takim szczeblu – a zwłaszcza snajperzy – z pewnością często zmieniają tożsamości, za większość zakupów płacą gotówką i starają się trzymać poza zasięgiem jakichkolwiek radarów.

Zerknął w stronę Sachs, która ze wzrokiem wbitym w notes wstukiwiała do komputera notatkę dla Laurel. Pracowała szybko i precyzyjnie. Chyba ani razu nie wcisnęła klawisza cofania, żeby poprawić jakiś błąd. Przypomniawszy sobie, że gdy przed laty zaczynał służbę w policji, funkcjonariuszki nigdy nie przyznawały się, że potrafią pisać na maszynie, obawiając się, że zostaną posadzone przy biurkach i zdegradowane do roli personelu administracyjnego. Dziś to się zmieniło; każdy, kto szybciej posługiwał się klawiaturą, mógł szybciej zdobyć informacje i był sprawniejszym śledczym.

Sachs miała jednak minę udręczonej sekretarki.

Usłyszał głos Thoma:

– Chcesz...?

– Nie – odburknął Rhyme.

– Ponieważ pytanie zostało skierowane do Amelii, może pozwolimy jej odpowiedzieć? – odciął się asystent. – Chcesz coś do picia, do jedzenia?

– Nie, dzięki, Thom.

Jej odpowiedź dała Rhyme'owi poczucie małosłownej satysfakcji. On też odmówił. I wrócił do ponurych rozmyślań.

Sachs odebrała telefon. Brzęcząca w słuchawce muzyka od razu wskazała, kto dzwoni. Amelia przełączyła aparat na głośnik.

– Co masz dla nas, Rodney? – zapytał Rhyme.

– Cześć, Lincoln. Wolno mi idzie, ale wytropiłem e-mail od informatora i już wiem, że do Rumunii przyszedł ze Szwecji.

Rhyme sprawdził godzinę. W Sztokholmie był wczesny ranek. Pewnie zegar biologiczny komputerowców działa według własnych reguł.

– Tak się składa, że nawet znam administratora tego serwisu proxy – ciągnął funkcjonariusz wydziału przestępczości komputerowej. – Jakiś rok temu kłóciliśmy się o *Dziewczynę z tatuażem* i przez jakiś czas hakowaliśmy się nawzajem. Jest niezły. Ale nie tak dobry jak ja. W każdym razie wykorzystałem

swój urok osobisty i namówił go do pomocy, pod warunkiem że nie będzie musiał zeznawać.

Mimo kiepskiego nastroju Rhyme się roześmiał.

– Stare znajomości nie rdzewieją.

Być może Szarnek też się zaśmiał, choć trudno to było usłyszeć z powodu muzyki wypełniającej przerwy między słowami.

– No więc nie ma wątpliwości, że mail z rozkazem egzekucji został wysłany z Nowego Jorku i nie przechodził przez żadne rządowe serwery. Wasz informator skorzystał z dostępnego wi-fi. Albo podłączył się do czyjegoś łącza, albo do darmowego wi-fi w jakiejś kawiarni czy hotelu.

– Ile miejsc wchodzi w grę? – zapytała Sachs.

– W Nowym Jorku jest około siedmiu milionów niezabezpieczonych łącz bezprzewodowych. Mniej więcej.

– Aj.

– Aha, udało mi się wyeliminować jedno.

– Tylko jedno? Które?

– Moje. – Zaśmiał się z własnego żartu. – Ale nie przejmujcie się, szybko da się zmniejszyć tę liczbę. Trzeba tylko złamać pewien kod, a właśnie sobie wypożyczam superkomputer w Columbian. Jak tylko się czegoś dowiem, dam wam znać.

Podziękowali mu. Szarnek wrócił do swojej okropnej muzyki i ukochanych skrzynek, Sachs do bębnienia w klawiaturę, a Rhyme do anemicznych tablic.

Odezwała się jego komórka. Chwycił aparat i zobaczył na wyświetlaczu numer kierunkowy 242.

Ciekawe, pomyślał i odebrał telefon.



Halo, pan posterunkowy?

– Tak, kapitanie. – Funkcjonariusz Królewskiej Policji Bahamów Mychal Poitier zaśmiał się krótko.

– Chyba jest pan zaskoczony moim telefonem. Myślał pan, że nie zadzwonię.

– Rzeczywiście tak myślałem.

– Już późno. Może dzwonię o niewłaściwej porze?

– Nie, cieszę się, że się pan odezwał.

Gdzieś w oddali zabrzmiały dzwony. Gdzie był Poitier? Mimo późnej godziny Rhyme słyszał szmer tłumu ludzi, naprawdę dużego tłumu.

– Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, nie byłem sam. Moje niektóre odpowiedzi mogły brzmieć dziwnie.

– Zastanawiało mnie to.

– Pewnie się pan zorientował, że jest pewna niechęć do współpracy – rzekł Poitier i zamilkł, jak gdyby nie był pewien, czy to właściwe słowo.

– Owszem, zorientowałem się.

W tle huknęła muzyka: organy parowe grały klasyczny cyrkowy temat.

– I być może zaciekało pana – ciągnął Poitier – dlaczego taki młody funkcjonariusz jak ja dostał tak poważną sprawę, skoro nigdy wcześniej nie prowadziłem śledztwa w sprawie zabójstwa.

– Jest pan młody? – zapytał Rhyme.

– Mam dwadzieścia sześć lat.

W niektórych okolicznościach młody, w innych nie. Ale do pracy przy sprawie zabójstwa owszem, złotodziób.

Po stronie Poitiera rozległ się teraz głośny brzęk.

– Nie jestem w biurze – dodał starszy posterunkowy.

– Też się zorientowałem. – Rhyme parsknął śmiechem. – Jest pan na ulicy?

– Nie, nie. Pracuję wieczorami. Ochrona kasyna w hotelu na Paradise Island. Niedaleko słynnego Atlantis. Zna pan to miejsce?

Rhyme nie znał. Nigdy nie był w nadmorskim hotelu.

– Czy u was funkcjonariusze policji też mają drugi etat? – zapytał Poitier.

– Tak, część ma. Trudno się utrzymać z samej pracy w policji.

– Tak, tak, to prawda. Nie miałem ochoty tu przychodzić. Wolałbym zostać i skupić się na sprawie zaginionej studentki, ale potrzebuję pieniędzy... nie mam dużo czasu. Kupiłem kartę telefoniczną na dziesięć minut. Wyjaśnię panu, jak to się stało, że przydzielono mi sprawę Morena. Widzi pan, od jakiegoś czasu byłem na liście kandydatów do naszego centralnego wydziału detektywów. Zawsze miałem zamiar zostać detektywem. No i w zeszłym tygodniu przełożony powiedział mi, że zostałem wybrany i dostanę niższe stanowisko w wydziale. Jeszcze bardziej się zdziwiłem, że będę prowadził śledztwo – w sprawie zabójstwa Morena. Przypuszczałem, że minie co najmniej rok, zanim w ogóle wezmą pod uwagę moją kandydaturę. Ale żeby miał dostać własną sprawę? Nie do pomyslenia. No, naturalnie byłem zachwycony.

Potem powiedzieli mi, że zostałem wybrany, bo w tym momencie sprawa wymaga wyłącznie pracy administracyjnej. Za zabójstwem stał kartel. Prawdopodobnie z Wenezueli, kraju señora Morena. Snajper na pewno opuścił nasz kraj i wrócił do Caracas. Miałem zebrać dowody, przesłuchać kilku świadków w hotelu, gdzie zginął señor Moreno, i przesłać akta policji wenezuelskiej. Gdyby chcieli przyjechać do Nassau i prowadzić dalsze czynności, miałem z nimi współpracować. Potem polecieli mi pomagać starszym detektywom w prowadzeniu sprawy drugiego morderstwa, o którym panu wspomniałem.

Aha, prawnik zamordowany we własnej kancelarii...

Znów słyhać było brzęk, potem okrzyki. Co to było, ktoś wygrał w jednorękiego bandytę?

Zapadła cisza, a po chwili Poitier zawołał do kogoś stojącego w pobliżu: – Nie, nie, oni są pijani! Po prostu na nich uważaj. Jestem zajęty. Muszę dokończyć rozmowę. Gdyby zaczęli się stawiać, wyprowadź ich. Zadzwoń do Dużego Samuela. – Potem ponownie zwrócił się do Rhyme'a: – Podejrzewa pan jakieś intrygi na górze, grę ciemnych interesów, którym zależy na przerwaniu śledztwa. W pewnym sensie ma pan rację. Po pierwsze, trzeba zapytać, dlaczego kartele chciałyby go zabić. Señor Moreno był bardzo lubiany w Ameryce Łacińskiej. Kartele to przede wszystkim biznesmeni. Zabijając popularnego działacza, zraziliby do siebie ludzi, którzy są im potrzebni do pracy i przemytu narkotyków. Z informacji, które udało mi się zebrać, odniosłem wrażenie, że kartele i Moreno tolerowali się nawzajem.

– Też tak uważamy – odrzekł Rhyme.

Starszy posterunkowy milczał przez chwilę.

– Señor Moreno otwarcie krytykował Stany Zjednoczone. A jego antyamerykański Ruch Wspierania

Podmiotowości Lokalnej zdobywał coraz większą popularność. Wie pan o tym?

– Tak, wiem.

– Miał związki z organizacjami o charakterze terrorystycznym. To na pewno też nie jest dla pana niespodzianka.

– Też nam o tym wiadomo.

– Przyszło mi do głowy, że być może... – Poitier zniżył głos. – ...Jego śmierci chciał wasz rząd.

Rhyme uświadomił sobie, że nie docenił starszego posterunkowego.

– Rozumie pan, w jakiej sytuacji znaleźli się moi przełożeni, a właściwie całe Ministerstwo Bezpieczeństwa Narodowego i nasz parlament. – Poitier mówił prawie szeptem. – A jeżeli nasze śledztwo wykaże, że to prawda? Że to CIA albo Pentagon wysłało do nas snajpera, żeby zastrzelił señora Morena? I jeżeli policja odnajdzie tego człowieka i zidentyfikuje organizację, dla której pracuje? Skutki mogą być straszne. W odwecie za kompromitujące odkrycia Stany Zjednoczone mogą podjąć decyzję o zmianie polityki imigracyjnej wobec Bahamów. Albo o zmianie polityki celnej. Byłby to dla nas ciężki cios. Nasza gospodarka jest w kiepskim stanie. Potrzebujemy Amerykanów. Potrzebujemy ich rodzin, żeby dzieci się bawiły z delfinami, żeby babcie ćwiczyły aerobik w basenie, a rodzice w swym pokoju romansowali pierwszy raz od wielu miesięcy. Nie możemy stracić turystów. Absolutnie nie. A to znaczy, że nie możemy drażnić Waszyngtonu.

– Sądzi pan, że gdybyście przeprowadzili bardziej wnikliwe śledztwo, naprawdę spotkałaby was taka kara?

– To jedyne sensowne wytłumaczenie niewytłumaczalnego w inny sposób faktu, że funkcjonariusz prowadzący śledztwo w sprawie Morena – czyli ja – zaledwie dwa tygodnie temu sprawdzał, czy w nowych budynkach istnieją odpowiednie wyjścia ewakuacyjne i czy wypożyczalnie skuterów wodnych wniosły opłaty w terminie. – Głos Poitiera zabrzmiał mocniej i pojawiła się w nim nuta zdecydowania. – Muszę jednak panu powiedzieć, kapitanie, że chociaż byłem przydzielony do wydziału kontroli działalności gospodarczej i koncesji, każda kontrola i sprawa koncesji, za którą odpowiadałem, została przeprowadzona terminowo, dokładnie i uczciwie.

– W to nie wątpię.

– Dlatego znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, dostając tę sprawę, a jednak jej nie dostając, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

Zapadła cisza przerywana tylko głośnym terkotem jednorękiego bandyty w słuchawce.

Kiedy automat ucichł, Mychal Poitier szepnął:

– U nas sprawa Morena jest w suchym doku, kapitanie. Ale przypuszczam, że u was idzie pełną parą.

– Zgadza się.

– I przypuszczam, że chcecie postawić zarzut współudziału w przygotowaniu zabójstwa.

Rhyme naprawdę go nie doceniał.

– Owszem.

– Szukałem nazwiska, które mi pan podał. Don Bruns. Mówił pan, że to pseudonim.

– Tak.

– Nie było nic w żadnych naszych rejestrach. W urzędzie celnym, kontroli paszportowej, księgach gości hotelowych. Mógł się jednak bez trudu dostać na wyspę niezauważony. To całkiem łatwe. Ale są dwie rzeczy, które mogą panu pomóc. Nie zlekceważyłem zupełnie tej sprawy. Jak panu mówiłem, przesłuchałem świadków. Recepcjonista z South Cove Inn powiedział mi, że dwa dni przed przyjazdem Roberta Morena ktoś dzwonił do recepcji, żeby potwierdzić jego rezerwację. Mężczyzna mówiący z amerykańskim akcentem. Recepcjonista uznał, że to dziwne, bo zaledwie godzinę wcześniej zadzwonił ochroniarz Morena, też po to, żeby sprawdzić rezerwację. Kim był ten drugi – który dzwonił z Ameryki – i dlaczego tak interesował go przyjazd Morena?

– Zdobył pan numer telefonu?

– Dowiedziałem się tylko, że numer kierunkowy był z Ameryki. Dokładnego nie można było. Szczerze mówiąc, poradzono mi, żebym nie próbował szukać tego numeru. Druga ważna rzecz jest taka, że dzień przed zabójstwem w hotelu pojawił się ktoś, kto wypytywał o apartament, w którym mieszkał señor Moreno. Rozmawiał z pokojówką i pytał, czy ogrodnicy przychodzą regularnie, czy w oknach są zasłony, gdzie mieszka jego ochroniarz, kiedy zwykle są w pokoju. Przypuszczam, że to ten sam człowiek, który dzwonił, ale oczywiście nie wiem.

– Ma pan rysopis?

– Mężczyzna, biały, trzydzieści kilka lat, brązowe włosy. Mówił z amerykańskim akcentem. Pokojówka twierdziła, że był szczupły, ale wysportowany. I wyglądał na żołnierza.

– To on. Najpierw zadzwonił, by się upewnić, że Moreno przyjeżdża. A dzień przed zabójstwem przyszedł obejrzeć miejsce zamachu. Wie pan coś o samochodzie? Zna pan inne szczegóły?

– Niestety nie.

Pip!

Rhyme usłyszał sygnał w słuchawce i pomyślał: cholera, KSWO nas podsłuchuje.

Ale Poitier wyjaśnił:

– Zostały mi dwie minuty. Ten sygnał ostrzega, że impulsy na karcie się kończą.

– Zadzwonię do pana...

– I tak muszę już kończyć. Mam nadzieję, że te...

– Proszę zaczekać – przerwał mu pośpiesznie Rhyne. – Niech mi pan powie coś o miejscu zdarzenia. Pytałem wcześniej o kulę.

Chwila ciszy.

– Snajper oddał trzy strzały z bardzo dużej odległości, prawie dwóch kilometrów. Dwa były niecelne i pociski rozpadły się na betonowym murze. Ten, który zabił Morena, wydobyliśmy w prawie nienaruszonym stanie.

– Jedną kulę? – Rhyme nie rozumiał. – A tamte dwie ofiary?

– Nie zostały zastrzelone. To był potężny pocisk. Rozbił szybę i na wszystkich posypał się grad odłamków szkła. Ochroniarz i dziennikarz przeprowadzający wywiad z Morenem zostali poważnie pokaleczeni i zanim dowieziono ich do szpitala, wykrwawili się na śmierć.

Kula za milion dolarów...

– A łuski? Naboje?

– Prosiłem techników, żeby pojechali zabezpieczyć ślady w miejscu, z którego musiał strzelać snajper. Ale... miałem niski stopień i powiedzieli mi, że nie chcą sobie zawracać głowy.

– Zawracać głowy?

– Mówili, że teren jest nierówny, że trudno byłoby przeszukać taki skalisty brzeg. Protestowałem, ale podjęto już decyzję, żeby nie prowadzić dalej sprawy.

– Sam pan może przeszukać to miejsce. Powiem panu, jak znaleźć punkt, z którego strzelał – powiedział Rhyme.

– Mówiłem już, że sprawa została zawieszona.

Pip!

– Trzeba szukać prostych śladów. Snajperzy dużo po sobie zostawiają, nawet kiedy starają się zachować największą ostrożność. To nie potrwa długo.

Pip, pip...

– Nie mogę, panie kapitanie. Nadal nie odnaleziono tej zaginionej studentki i...

– No dobrze – przerwał mu Rhyme – ale proszę przynajmniej przesłać mi raport, zdjęcia, protokół sekcji zwłok. I gdyby mógł pan zdobyć ubrania ofiar. Zwłaszcza buty. I... kulę. Naprawdę bardzo zależy mi na tej kuli. Starannie wypełnimy dokumentację dowodową.

Poitier milczał przez chwilę.

– Nie, panie kapitanie, przykro mi, muszę kończyć.

Pip, pip, pip...

Zanim w słuchawce zapadła cisza, Rhyme usłyszał jeszcze ryk jednorękiego bandyty i głos bardzo pijanego turysty: – Super. Bulisz dwie stowy, żeby wygrać pieprzone trzydzieści dziewięć dolców.

## ROZDZIAŁ 23

Tej nocy Rhyme i Sachs leżeli w jego łóżku SunTec, które zupełnie rozłożyli.

Sachs zapewniała go, że łóżko jest nieopisanie wygodne, a on musiał jej wierzyć na słowo, ponieważ czuł tylko dotyk poszewki na poduszce. I rzeczywiście był to dotyk luksusu.

– Patrz – szepnęła.

Tuż za oknem sypialni Rhyme'a na piętrze, na parapecie, zobaczyli jakiś ruch, choć w ciemności trudno go było dostrzec.

Nagle uniosło się pióro i zniknęło z pola widzenia. Po chwili następne.

Pora kolacji.

Sokoły wędrowne mieszkały na tym albo innych parapetach w domu, odkąd Rhyme tu mieszkał. Był bardzo zadowolony, że postanowiły uwić gniazdo właśnie pod jego dachem. Jako naukowiec zdecydowanie nie wierzył w żadne znaki nadprzyrodzone, ale nie widział nic złego w symbolach. Nadawał ptakom wymiar metaforyczny, myśląc zwłaszcza o fakcie, który nie był powszechnie znany: w momencie ataku sokoły są w zasadzie nieruchome. Spadają jak wystrzelone zbite kłębki mięśni, z przygiętymi nogami i lekko złożonymi skrzydłami, przybierając opływowy kształt. Pikują z prędkością ponad trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę i zabijają ofiarę samą siłą uderzenia, zamiast rozrywać jej ciało dziobem i szponami.

Nieruchome, a jednak drapieżne.

Z parapetu uleciało następne piórko, a ptasia para pochyliła się nad daniem głównym, które do niedawna było grubym i nieostrożnym gołębiem. Sokoły na ogół prowadzą dzienny tryb życia i polują do zmierzchu, ale w mieście często są aktywne nocą.

– Mniam – powiedziała Sachs.

Rhyme parsknął śmiechem.

Kiedy przysunęła się bliżej, poczuł intensywny zapach jej włosów. Z kwiatową wonią szamponu. Amelia Sachs nie była fanką perfum. Prawą ręką przyciągnął do siebie jej głowę.

– Chcesz to pociągnąć? – zapytała. – Wykorzystać Poitiera?

– Spróbuję. Twardo odmówił dalszej współpracy. Ale na pewno czuje się sfrustrowany, że nie pozwolili mu pójść dalej.

– Co za sprawa – powiedziała.

– No i jak się czujesz zredefiniowana do roli gracza na poziomie mikro, Sachs? – szepnęła. – Wchodzisz w ten wąski kanał czy nie?

Roześmiała się głośno.

– Co to właściwie za jednostka, w której pracuje kapitan Myers? Ten Wydział do Zadań Specjalnych?

– Ty jesteś z policji. Myślałem, że wiesz.

– W życiu nie słyszałam.

Zamilkli, a po chwili ramieniem, funkcjonującym jak u każdego zdrowego człowieka, Rhyme wyczuł, że ciało Sachs sztywnieje.

– Mów – powiedział.

– Wiesz, Rhyme, ta sprawa wcale nie wygląda lepiej.

– Masz na myśli to, co mówiłaś wcześniej Nance? Że nie jesteś pewna, czy Metzger i snajper to sprawcy, których chcielibyśmy tropić?

– Właśnie.

Rhyme pokiwał głową.

– Nie mogę się nie zgodzić. Przez te wszystkie lata nie kwestionowałem żadnego śledztwa. Nie było w nich szarości. A tu są same szarości. Cały czas musimy pamiętać o jednym, Sachs. Mówię o nas.

– Jesteśmy ochotnikami.

– Aha. W każdej chwili możemy zrezygnować. Niech Myers i Laurel poszukają sobie kogoś innego.

Milczała i nie poruszała się, przynajmniej tam gdzie Rhyme potrafił wyczuć ruch.

– Ta sprawa nie podobała ci się od początku – ciągnął.



– Fakt, nie podobała mi się. I w głębi duszy dalej mam ochotę ją rzucić. Za mało wiemy, kim są gracze, co planują, jakie mają motywacje.

– Moja królowa motywów.

– Mówiąc o graczach, mam na myśli nie tylko Metzgera i Brunsę, ale też Nance Laurel i Billa Myersa. – Po chwili dodała: – Mam złe przeczucia, Rhyme. Wiem, nie wierzysz w takie rzeczy. Ale prawie całe życie zawodowe spędziłeś na zabezpieczaniu i analizie śladów. Ja pracowałam na ulicy. Istnieje coś takiego jak przeczucie.

To zdanie zawisło między nimi na minutę czy dwie, podczas gdy oboje przyglądali się samcowi sokoła, który na chwilę rozpostarł skrzydła. Ptaki tego gatunku nie są duże, ale ich dumne, królewskie sylwetki oglądane z tak bliska robiły wrażenie, podobnie jak przelotne spojrzenie przenikliwych oczu, które sokół skierował do sypialni. Mają nadzwyczajny wzrok; potrafią dostrzec zdobycz z odległości wielu kilometrów.

Symbole...

– Chcesz dalej nad tym pracować, zgadza się? – spytała.

– Rozumiem to, co powiedziałaś, Sachs. Dla mnie to jednak zagadka, którą trzeba rozwiązać. Nie mogę tego sobie odpuścić. Ale ty możesz.

Odpowiedziała szeptem bez namysłu:

– Nie, jestem z tobą, Rhyme. Jesteśmy razem. Razem.

– Świetnie, bo właśnie...

Nagle urwał, bo wargi Sachs przykryły jego usta. Zaczęła go namiętnie, niemal rozpaczliwie całować. Odrzuciła pościel i wspierała się na niego, ujmując w dłonie jego głowę. Poczul dotyk jej palców na uszach, policzku, palców, które wpijały się mocno w jego ciało, a po chwili delikatnie je gładziły. I znów stawały się silne. Głaskała jego szyję, skronie. Usta Rhyme'a zanurzyły się w jej włosach, przesunęły się za ucho, potem na podbródek, by znów odnaleźć jej wargi. Tam zatrzymały się na dłużej.

Rhyme używał sprawnej od niedawna ręki, aby obsługiwać mikroskop porównawczy Bausch & Lomb, telefon, komputer i wirówkę laboratoryjną. Nigdy jeszcze nie wykorzystał jej do tego, co zrobił teraz: przyciągnął Sachs jeszcze bliżej, chwycił jedwabną górę jej pizamy i płynnym ruchem zdjął jej przez głowę.

Przypuszczał, że gdyby spróbował, poradziłby sobie z guzikami, ale niecierpliwość mu na to nie pozwoliła.

**16 maja, wtorek**

**III**

**Kameleony**

Rhyme wyjechał wózkiem z salonu do wyłożonego marmurem korytarza przy drzwiach wejściowych.

Doktor Vic Barrington, specjalista od urazów rdzenia kręgowego, wyszedł za nim, a Thom zamknął drzwi pokoju i dołączył do nich. Lekarskie wizyty domowe należały do innej epoki, jeśli nie do innego wymiaru, ale kiedy ze względu na charakter urazu łatwiej było Mahometowi przyjść do góry, dobrzy lekarze zwykle decydowali się przybyć do pacjenta.

Barrington pod wieloma względami nie należał do tradycjonalistów. Zamiast czarnej torby lekarskiej nosił plecak Nike, a ze szpitala przyjechał na rowerze.

– Dziękuję, że przyszedł pan tak wcześnie – zwrócił się do doktora Rhyme.

Było wpół do siódmej rano.

Rhyme lubił Barringtona i postanowił mu darować, powstrzymać się od pytania, cóż to za „nagły wypadek” albo „coś” kazało mu wczoraj odłożyć umówioną wizytę. Innemu lekarzowi z pewnością nie dałby spokoju, domagając się wyjaśnień.

Barrington właśnie skończył ostatnią serię badań przed wyznaczoną na dwudziestego szóstego maja operacją.

– Zaczekam na wyniki badań krwi, ale nic nie wskazuje na to, żeby coś się zmieniło od zeszłego tygodnia. Ciśnienie jest bardzo dobre.

To było przekleństwo pacjentów z poważnymi urazami rdzenia kręgowego: atak dysrefleksji autonomicznej mógł w ciągu kilku minut spowodować skokowy wzrost ciśnienia i w przypadku braku natychmiastowej reakcji lekarza czy opiekuna doprowadzić do udaru i śmierci.

– Pojemność płuc poprawia się z każdym naszym spotkaniem i mógłbym przysiąc, że jesteś silniejszy ode mnie.

Doktor Barrington nigdy nie wciskał żadnych kitów i zadając następne pytanie, Rhyme wiedział, że otrzyma szczerą odpowiedź.

– Jakie mam szanse?

– Że odzyskasz sprawność lewego ramienia i ręki? Bliskie stu procent. Przeszczepione ścięgna i elektrody są niezawodne...

– Nie, nie to mam na myśli. Pytam o przeżycie operacji albo prawdopodobieństwo wystąpienia jakichś katastrofalnych komplikacji.

– Ach, to wygląda trochę inaczej. Dałbym ci dziewięćdziesiąt procent szans.

Rhyme zastanowił się nad tym. Wiedział, że zabieg nie przywróci sprawności jego nogom, których nic nie mogło naprawić, przynajmniej w ciągu najbliższych pięciu czy dziesięciu lat. Zaczął jednak wierzyć, że u niepełnosprawnych kluczem do normalności są ręce i dłonie. Nikt nie zwraca szczególnej uwagi na ludzi na wózkach, jeśli potrafią utrzymać nóż i widelec albo podać dłoń na powitanie. Kiedy ktoś musi cię karmić i ocierać ci brodę, sama twoja obecność wywołuje powszechne zakłopotanie, jak gdyby wszyscy zostali ochlapani błotem.

A ci, którzy nie odwracają wzroku, spoglądają z tym cholernym współczuciem. Biedak, biedak.

Dziewięćdziesiąt procent... całkiem znośnie jak na odzyskanie znacznej części życia.

– Zgoda – rzekł Rhyme.

– Jeżeli w wynikach badań krwi coś mnie zaniepokoi, dam ci znać, ale niczego takiego nie przewiduję. Trzymamy się terminu dwudziestego szóstego maja. Tydzień później będziesz mógł zacząć rehabilitację.

Rhyme uściskał dłoń doktora, a gdy lekarz ruszył do wyjścia, kryminalistyk powiedział:

– Jeszcze jedno. Czy wieczorem dzień czy dwa przed operacją mogę sobie pozwolić na drinka?

– Przed operacją powinieneś być w jak najlepszej formie – odezwał się Thom.

– Chcę też być w dobrym nastroju.

Lekarz popatrzył na Rhyme'a z namysłem.

– Alkohol nie jest zalecany do czterdziestu ośmiu godzin przed zabiegiem tego rodzaju... Ale żelazna reguła mówi, że po północy w dniu operacji żołądek ma być pusty. To, co dzieje się wcześniej, niewiele mnie obchodzi.

– Dziękuję, doktorze.

Po wyjściu Barringtona Rhyme wjechał do laboratorium i przyjrzał się tablicom. Sachs właśnie kończyła zapisywać informacje poprzedniego wieczoru uzyskane od Mychala Poitiera. Najnowsze zaznaczała grubszym flamastrem.

Przez jakiś czas patrzył na dane i fakty. Nagle krzyknął:

– Thom!

– Przecież tu jestem.

- Myślałem, że jesteś w kuchni.
- Nie. Jestem tutaj. Czego chcesz?
- Żebyś wziął telefon i zadzwonił do kilku miejsc.
- Bardzo chętnie – odparł asystent. – Ale myślałem, że wolisz dzwonić sam. – Zerknął na sprawną rękę Rhyme’a.
- Lubię dzwonić. Nie lubię, kiedy każą mi czekać na połączenie. A mam wrażenie, że właśnie to mi grozi.
- Czyli mam być twoim czekaczem zastępczym – podsumował Thom.

Rhyme myślał przez chwilę.

- To chyba dobre określenie, chociaż niezbyt zrozumiałe.

ZABÓJSTWO ROBERTA MORENA

**Pogrubiona czcionka oznacza uaktualnione informacje**

- Miejsce zdarzenia 1.
- Apartament 1200, South Cove Inn, wyspa New Providence, Bahamy (Pokój Straceń).
- 9 maja.
- Ofiara 1: Robert Moreno.
- Przyczyna śmierci: **pojedyncza rana postrzałowa klatki piersiowej.**
- Dodatkowe informacje: Moreno, 38 lat, obywatel USA, emigrant mieszkający w Wenezueli. Zaciekle antyamerykańskie poglądy. Pseudonim: Posłaniec Prawdy. **Zamierzał „zamknąć się w wieży z kości słoniowej” 24 maja. Być może ma to związek z aktem terrorystycznym planowanym na 13 maja w Meksyku, podobno pytał o „wybuchowe niespodzianki” na ten dzień.**
- Spędził trzy dni w Nowym Jorku, 30 kwietnia – 2 maja. Cel?
- **1 maja skorzystał z usług Elite Limousine.**
- **Kierowca Tash Farada (stały kierowca Wład Nikolow był chory. Próby zlokalizowania).**
- **Zamknął rachunki w American Independent Bank and Trust, prawdop. także w innych bankach.**
- **Na rogu Lexington i 52. zabrał kobietę o imieniu Lydia, która towarzyszyła mu przez cały dzień. prostytutka? Dał jej pieniądze? Próby ustalenia tożsamości.**
- **Przyczyna antyamerykańskich poglądów: jego najlepszy przyjaciel został zabity przez wojska USA podczas inwazji na Panamę w 1989.**
- **Ostatni przyjazd Morena do USA. Nie zamierzał wracać.**
- **Spotkanie na Wall Street. Cel? Miejsce?**
- Ofiara 2: Eduardo de la Rua.
- Przyczyna śmierci: **utrata krwi. Poraniony odłamkami szyby rozbitej przez pocisk.**
- Dodatkowe informacje: dziennikarz przeprowadzający wywiad z Morenem. Urodzony w Portoryko, mieszkający w Argentynie.
- Ofiara 3: Simon Flores.
- Przyczyna śmierci: **utrata krwi. Poraniony odłamkami szyby rozbitej przez pocisk.**

- Dodatkowe informacje: ochroniarz Morena. Narodowość brazylijska, mieszkający w Wenezueli.
- Podejrzany 1: Shreve Metzger.
- Dyrektor Krajowej Służby Wywiadowczo-Operacyjnej.
- Niezrównoważony psychicznie? Kłopoty z opanowaniem złości.
- Manipulował dowodami, żeby nielegalnie zatwierdzić rozkaz zadania specjalnego?
- Rozwiedziony. Absolwent prawa, Yale.
- Podejrzany 2: Snajper.
- Kryptonim: Don Bruns.
- Wydział informacji szuka danych na temat Brunsa.
- **Wynik negatywny.**
- **Prawdopodobnie mężczyzna, który pojawił się w South Cove Inn 8 maja, biały, trzydzieści kilka lat, krótko ostrzyżone brązowe włosy, amerykański akcent, szczupły, ale wysportowany. Wygląda na żołnierza. Wypytywał o Morena.**
- **Prawdopodobnie człowiek mówiący z amerykańskim akcentem, który 7 maja dzwonił do South Cove Inn, żeby potwierdzić przyjazd Morena. Numer kierunkowy USA.**
- Uzyskano spektrogram głosu.
- Na razie brak raportu z zabezpieczenia śladów na miejscu zdarzenia, raportu z sekcji zwłok, innych szczegółów.
- Za zabójstwo rzekomo odpowiadają kartele narkotykowe. Możliwość uznana za mało prawdopodobną.
- Miejsce zdarzenia 2.
- Gniazdo snajperskie Dona Brunsa, około 1800 metrów od Pokoju Straceń, wyspa New Providence, Bahamy.
- 9 maja.
- Na razie brak raportu z zabezpieczenia śladów na miejscu zdarzenia.
- Śledztwo uzupełniające.
- Ustalić tożsamość informatora z KSWO.

- NN, który ujawnił rozkaz zadania specjalnego.
- Anonimowo wysłany e-mail.
- **Ustalono, że wiadomość przesłano przez Szwecję, Rumunię i Tajwan. Wysłana z Nowego Jorku z publicznie dostępnego wi-fi, nie korzystano z rządowych serwerów.**
- **Nadawca używał starego komputera, prawdopodobnie sprzed 10 lat (iBook, dwukolorowy model Clamshell, np. biało-zielony lub biało-pomarańczowy, albo tradycyjny, kanciasty model, grafitowy, znacznie grubszy niż dzisiejsze laptopy).**
- **Ktoś w jasnym sedanie śledził det. A. Sachs.**
- **Marka i model samochodu nieustalone.**

## ROZDZIAŁ 25

Shreve Metzger wrócił na najwyższe piętro budynku KSWO z piwnicy, gdzie mieścił się dział techniczny organizacji – czyli szperacze. Idąc korytarzami i widząc, jak niektórzy pracownicy unikają jego wzroku i raptownie skręcają do toalety, choć z pewnością wcale nie musieli tam iść, pomyślał o tym, czego się właśnie dowiedział o śledztwie od swoich ludzi, którzy zbierali dane wywiadowcze za pomocą bardzo skomplikowanej techniki – co było godne tym większego podziwu, że oficjalnie nie istnieli. (KSWO nie miała żadnych kompetencji na terenie USA, nie mogła prowadzić podsłuchu telefonicznego, monitorować korespondencji elektronicznej ani włamywać się do systemów. Metzger miał na to trzy słowa: korzystać z furtek).

Zauważył, jak pracownicy szukają bezpiecznego miejsca, ale jego myśli błądziły daleko stąd. Słyszał w głowie głosy – nie, nie takie głosy, ale wspomnienia czy fragmenty wspomnień.

- *Znajdź jakiś obraz swojego gniewu. Symbol. Jakąś metaforę.*



– *Oczywiście, doktorze. Co pan poleca?*

– *To nie należy do mnie, Shreve. Sam musisz wybrać. Niektórzy wybierają zwierzęta albo czarne charaktery z seriali telewizyjnych, albo rozżarzony węgiel.*

Węgiel? – pomyślał. To było to. Miał już wyobrażenie trawiącego go gniewu. Przypomniawszy sobie zdarzenie z czasów, gdy mieszkał na północy stanu Nowy Jork, miał kilkanaście lat i jeszcze nie stracił na wadze. Chodził wtedy do gimnazjum, była jesień i stał przed ogniskiem, nieśmiało popatrując na dziewczynę obok niego. Wokół unosił się dym. Piękny wieczór. Przysunął się trochę bliżej, udając, że chce się uchronić przed gryzącym dymem. Uśmiechnął się i odezwał do dziewczyny. Powiedziała mu: „Nie podchodź za blisko ognia; masz tyle tłuszczu, że możesz się zapalić”. I odeszła.

Historyjka wymarzona dla psychiatry. Doktor Fischer był nią zachwycony, o wiele bardziej niż opowieścią, że gniew mija, ilekroć Metzger rozkaże kogoś uśmiercić.

– *Czyli Dym przez duże D... Dobry wybór, Shreve.*

Podchodząc do swojego gabinetu, zobaczył w środku Ruth, która stała nad jego biurkiem. W zwykłych okolicznościach zdenerwowałby się, widząc kogoś przebywającego bez pozwolenia w jego prywatnej przestrzeni. Ale jej na ogół wolno tu było wchodzić. Ani razu nie wyładował swojego gniewu na Ruth, w przeciwieństwie do większości osób pracujących w KSWO. Burczał na nie, a nawet krzyczał, od czasu do czasu rzucając jakimś raportem czy notesem z adresami, choć najczęściej nie bezpośrednio w obiekt wybuchu swojej wściekłości. Ale nigdy nie złościł się na Ruth. Może dlatego, że blisko z nim współpracowała. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że ta teoria się nie sprawdza; Lucinda, Katie i Seth też byli mu bliscy, mimo to wobec żony i dzieci wiele razy tracił panowanie nad sobą, na potwierdzenie czego miał orzeczenie rozwodu oraz wspomnienia łez i przerażonych oczu.

Może Ruth udawało się uniknąć jego gniewu po prostu dlatego, że nigdy nie zrobiła nic, żeby go rozzłościć.

Ale nie, to też się nie sprawdzało. Metzger potrafił się wściekać na ludzi, nawet jeśli tylko sobie wyobrażał, że go obrazili, albo przypuszczał, że mogliby go obrazić. Wciąż dźwięczały mu w głowie słowa przemowy, jaką sobie przygotował, na wypadek gdyby po meczu Katie w niedzielę wieczorem jakiś policjant zatrzymał go w drodze do biura.

„Cholerny krawężniku... Oto moja legitymacja federalna. Chodzi o sprawę związaną z bezpieczeństwem państwa, a ty mi przeszkadzasz w wykonywaniu obowiązków. Właśnie straciłeś pracę, kolego”...

Ruth wskazała kopertę, którą najwyraźniej przed chwilą położyła na jego biurku.

– Jakieś dokumenty z Waszyngtonu – powiedziała. – Do rąk własnych.

Oczywiście pytania o Morena, dlaczego tak to spieprzyliśmy. Niech to szlag, szybko działają dranie,

cholerne biurokratyczne sępy. Łatwo teoretyzować i wymądrzać się w ciemnym i chłodnym gabinecie w Waszyngtonie.

Czarnoksiężnik i jego kumple nie mieli pojęcia, jak wygląda życie na linii frontu.

Głęboki oddech.

Gniew powoli, bardzo powoli opadł.

– Dzięki. – Metzger wziął dokumenty ozdobione prostym czerwonym paskiem. Podobnie jak koperta z formularzami upoważnienia przewozu niepełnoletniego pasażera, które musiał wypełnić, odprowadzając syna na samolot, gdy Seth leciał na obóz do Massachusetts.

– Nie będziesz tęsknić za domem – zapewnił dziesięciolatek, który rozglądał się z niepokojem po lotnisku. Po chwili jednak zorientował się, że chłopiec wydawał się ponury, ponieważ wciąż towarzyszył mu ojciec. Kiedy trafił pod opiekę stewardesy, ożywił się i poweselał.

Byłe dalej od tykającej bomby, którą był tato.

Metzger otworzył kopertę i sięgnął do kieszeni po okulary.

Parsknął śmiechem. Mylił się. Informacje zawierały jedynie oceny wywiadowcze związane z potencjalnymi zadaniami specjalnymi w przyszłości. Kolejna rzecz, której był winien Dym. Przyjmowało się błędne założenia.

Przejrzał kartki, stwierdzając z zadowoleniem, że informacje dotyczą sprawy al-Baraniego, następnego w kolejce po Morenie.

Ach, al-Barani. Strasznie mu na nim zależało.

Odłożył raporty i spojrzał na Ruth.

– Dzisiaj po południu masz to badanie, zgadza się? – zapytał.

– Tak.

– Na pewno wszystko pójdzie dobrze.

– Na pewno.

Ruth usiadła przy swoim biurku, na którym stały zdjęcia jej rodziny – dwóch kilkunastoletnich córek i drugiego męża. Poprzedni zginął podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Obecny też był żołnierzem, został ranny i od miesiący leżał w niezbyt sympatycznym szpitalu dla weteranów.

Ludzie ponoszą wielkie ofiary dla kraju, który nie umie się nawet odpowiednio odwdzięczyć.

Czarnoksiężnik powinien z nią porozmawiać, przekonać się, ile poświęciła dla kraju – życie jednego

męża, zdrowie drugiego.

Metzger usiadł, żeby przeczytać informacje, ale nie potrafił się skupić. Sprawa Morena wciąż nie dawała mu spokoju.

„Dzwoniłem już do kilku miejsc. Don Bruns oczywiście wie o śledztwie. I parę innych osób. Już... pracujemy nad rozwiązaniem problemu”...

Wszystkie działania były oczywiście nielegalne, ale przebiegały dość sprawnie. Dym jeszcze trochę się rozproszył. Metzger poprosił Ruth, żeby wezwała Spencera Bostona. Następnie przeczytał zaszyfrowane wiadomości na temat prób utrudniania śledztwa.

Boston zjawił się po kilku minutach. Jak zawsze miał na sobie garnitur i krawat. Wyglądało to jak umundurowanie obowiązujące starą gwardię wywiadowczą. Dystyngowany mężczyzna instynktownie zamknął za sobą drzwi. Zanim ciężkie dębowe skrzydło się zatrzasnęło, Metzger dostrzegł jeszcze oczy Ruth zaglądające do gabinetu.

– Co masz? – spytał krótko Metzger.

Spencer Boston usiadł, strzepując ze spodni kłaczek, który okazał się zaciągniętą nitką. Przestał ciągnąć, zanim w tkaninie zdążyła się pojawić dziura. Boston wyglądał, jakby niewiele spał, co dla sześćdziesięciokilkuletniego człowieka oznaczało, że sprawiał wrażenie wymizerowanego. Ciekawe, jak ja wyglądam, pomyślał Metzger, pocierając podbródek, by sprawdzić, czy nie zapomniał się ogolić. Nie zapomniał.

Mimo kiepskiej reputacji swojego zwierzchnika Boston zawsze bez wahania przekazywał mu złe wiadomości. Doświadczenie agenta działającego w Ameryce Środkowej dało mu hart ducha i uodporniło na każdego młodszego biurokrate, choćby najbardziej drażliwego. Powiedział spokojnie:

– Nic, Shreve. Nic. Sprawdziłem każde logowanie do dokumentacji rozkazu. Wszystkie wychodzące maile, serwery FTP, poleciłem szukać informatykom. I ludziom od zabezpieczeń z Homestead. Nikt nie ściągał żadnego pliku z wyjątkiem osób z listy. Czyli ktoś prawdopodobnie zabrał rozkaz z jakiegoś biurka u nas, w Waszyngtonie albo na Florydzie, przemycił na zewnątrz i skopiował albo zeskanował w domu albo w punkcie Kinko.

W KSWO i wszystkich organizacjach współpracujących rejestrowano kopiowanie każdego dokumentu i każde logowanie do systemu.

– W Kinko. Jezu!

– Potem przejrzałem dane z weryfikacji naszego personelu – ciągnął dyrektor administracyjny. – Nie ma nic, co by świadczyło, że ktoś ma problem z zadaniami specjalnymi. Przecież większość naszych ludzi wiedziała, co robimy, zanim zostali przyjęci.

KSWO utworzono po jedenastym września głównie z myślą o dokonywaniu selektywnych eliminacji, a także o prowadzeniu podobnych operacji radykalnych, pozaprawnych, takich jak porwania czy

przekupstwa. Specjaliści biura, zanim wstąpili do KSWO, w większości mieli za sobą służbę wojskową, podczas której nieraz zabijali ludzi. Wydawało się niewyobrażalne, by któryś z nich zmienił zdanie i próbował zadenuncjować własną organizację. Jeśli chodziło o pozostałych pracowników, Boston miał rację: większość kandydatów wiedziała, co robi służba, zanim złożyli wniosek o przyjęcie.

Chyba że właśnie po to wstąpili do organizacji. Krety. Podli donosiciele.

– Trzeba szukać dalej – rzekł Metzger. – Na litość boską, nie można dopuścić do następnych przecieków. On i tak już za dużo się dowiedział.

Swoim czarnoksiężskim sposobem.

Boston zmarszczył siwe brwi.

– Chyba nie chcą... – szepnął. – Ta sprawa nas nie zniszczy, co?

Metzger miał bolesną świadomość, że kompletnie nie zna zamiarów Waszyngtonu, ponieważ od tamtego telefonu nie miał żadnej wiadomości od szefa.

„Zaczęły się jakieś dyskusje budżetowe w komisji wywiadu. Zupełnie nagle. Nie rozumiem po co”...

– Shreve, przecież nie mogą tego zrobić. Nikt nie jest lepiej od nas przygotowany do takiej roboty.

Rzeczywiście. Ale widocznie nie byli najlepiej przygotowani do utrzymywania takiej roboty w tajemnicy.

Tego Metzger nie powiedział.

– Wiesz coś więcej o śledztwie? – zapytał Boston. – O policji?

Metzger spojrział na niego czujnie.

– Niewiele. Na razie zwierają szeregi. Ubezpieczają się. – Zerknął na swój magiczny czerwony telefon, gdzie kryła się kapsułka z kwasem, który w parę sekund mógł strawić pamięć. Na ekranie nie było komunikatu o żadnej nowej wiadomości.

Wypuścił powietrze z płuc.

– Rzecz w tym, że śledztwo chyba niewiele się posuwa. Dostałem nazwiska i sprawdziłem. Policja nie uruchomiła głównych sił. Zmontowała skromną ekipę, żeby nie rzucać się w oczy. Właściwie sprawę prowadzi Nance Laurel, prokuratorka, i dwie osoby plus jakiś personel pomocniczy. Departament reprezentuje detektyw Amelia Sachs, a ten drugi, nie uwierzysz, to konsultant, Lincoln Rhyme. Jakiś czas temu zakończył służbę. Pracują w jego mieszkaniu na Upper West Side. W prywatnym domu, nie w centrali policji.

– Zaraz, Rhyme? Słyszałem o nim – rzekł Boston, marszcząc brwi. – Znana postać. Widziałem o nim

program. To najlepszy kryminalistyk w kraju.

Metzger oczywiście o tym wiedział. Wczoraj dostał notatkę z informacją, że „tym drugim” śledczym, który szuka na niego haka, jest Rhyme.

– Wiem. Ale on jest sparaliżowany.

– Jakie to ma znaczenie?

– Spencer, gdzie jest miejsce zdarzenia?

– Ach, no jasne. Na Bahamach.

– I co zrobi, będzie się tarzał w piasku, szukając łusek i śladów opon?

## **ROZDZIAŁ 26**

Oto i Karaiby.

Z dłonią na joysticku swojego ciemnoczerwonego wózka Lincoln Rhyme wyjechał z drzwi terminalu lotniska imienia Lyndena Pindlinga w Nassau i otoczyło go gorące i wilgotne powietrze, jakiego nie czuł na skórze od wielu lat.

– Zapiera dech w piersiach! – zawołał. – Ale mi się podoba.

– Zwolnij, Lincoln – ostrzegł go Thom.

Ale Rhyme ani myślał go słuchać. Był szczęśliwy jak dziecko w Wigilię. Po raz pierwszy od wielu lat znalazł się za granicą. Cieszyła go sama perspektywa podróży. Ale i nadzieja, że wyprawa przyniesie zdobycz w postaci twardych dowodów fizycznych w sprawie Morena. Postanowił tu przyjechać z powodu, do którego niemal wstydził się przyznać: intuicji, tej mętnej niedorzeczności, o

której bez końca opowiadała Amelia Sachs. Miał przecucie, że jest tylko jeden sposób, aby zdobyć tę kulę za milion dolarów i resztę dowodów: pojechać do starszego posterunkowego Mychala Poitiera i go poprosić. Osobiście.

Rhyme wiedział, że policjant szczerze się przejął śmiercią Roberta Morena i poczuł się dotknięty, że przełożeni posłużyli się nim jako pionkiem, aby zepchnąć sprawę na boczny tor.

„Każda kontrola i sprawa koncesji, za którą odpowiadałem, została przeprowadzona terminowo, dokładnie i uczciwie”...

Tak więc bez większych trudności młody funkcjonariusz powinien dać się przekonać, aby im pomógł.

Thom przystąpił do rezerwacji biletów lotniczych i hotelu, poddając się torturom długiego czekania na połączenie i wysłuchiwanie tandetnej muzyki – o czym kilka razy informował – a ponieważ niepełnosprawność Rhyme’a wymagała odpowiednich warunków podróży i zakwaterowania, zadanie było skomplikowane.

Choć okazało się, że nie tak skomplikowane, jak przypuszczali.

Oczywiście kiedy w podróż wybiera się tetraplegik, jest do pokonania parę przeszkód – trzeba zadbać o specjalne wózki przy fotelu, o odpowiednie poduszki, o zabezpieczenie wózka Storm Arrow podczas transportu, o praktyczną stronę „akcji głównomoczonej”, jak nazywał ją Rhyme, gdyby trzeba ją było przeprowadzić na pokładzie samolotu.

Podróż jednak przebiegła całkiem znośnie. W oczach Administracji Bezpieczeństwa Transportu wszyscy jesteśmy niepełnosprawni, pozbawieni zdolności poruszania się jak wszystkie przedmioty i bagaże, które na każde życzenie trzeba przenosić i przewozić. Lincoln uważał nawet, że jest w lepszej sytuacji niż większość współpasażerów, przyzwyczajonych do mobilności i niezależności.

Za strefą odbioru bagażu na parterze terminalu podjechał do krawędzi chodnika, na którym tłoczyli się turyści i miejscowi, biegnąc do samochodów, taksówek i minivanów. Spojrzał na mały ogród, gdzie rosły gatunki, których nigdy w życiu nie widział. Nie interesował się ogrodnictwem ze względów estetycznych, lecz jego zdaniem roślinność miała duże znaczenie dla analizy dowodów.

Słyszał też, że na Bahamach mają znakomity rum.

Wróciwszy do Thoma, który rozmawiał przez telefon, Rhyme zadzwonił do Sachs i zostawił jej wiadomość.

– Dolecieliśmy szczęśliwie. Właśnie... – Obrócił się z wózkiem, słysząc za sobą rozdzierający wrzask. – Chryste, ale mnie wystraszyła. To papuga. Mówi!

Klatkę postawiła tam jakaś miejscowa komisja turystyczna. Napis na tabliczce głosił, że jest to amazonka kubańska z Abaco. Hałaśliwy ptak o szarym upierzeniu z zieloną plamą na ogonie krzychał: – Dzień dobry! Cześć! *Hola!*

Rhyme nagrał Sachs jego głos.

Znów wciągnął do płuc wilgotne, słonawe powietrze z jakąś kwaśną nutą, którą po chwili zidentyfikował jako zapach dymu. Co się paliło? Nikt poza nim nie wydawał się zaniepokojony.

– Mam torby – odezwał się głos zza jego pleców.

Walizki na wózku pchał młody szczupły blondyn – funkcjonariusz policji Nowego Jorku Ron Pulaski. Wprawdzie nie zamierzali zostawać tu długo, ale charakter niepełnosprawności Rhyme’a wymagał akcesoriów. Bardzo wielu akcesoriów. Leków, cewników, rurek, środków dezynfekujących, poduszek powietrznych zapobiegających odleżynom, które mogłyby doprowadzić do infekcji.

– Co to jest? – zapytał Rhyme, gdy Thom z jednej z walizek wyciągnął niewielki plecak i zawiesił go na oparciu wózka.

– Przenośny respirator – wyjaśnił Pulaski.

– Na baterie – dodał Thom. – Z dwoma zbiornikami tlenu. Wystarczy na parę godzin.

– Po co to zabierałeś?

– Ciśnienie w kabinie na wysokości dwóch tysięcy metrów – odparł asystent, jak gdyby odpowiedź była oczywista. – Stres. Jest kilkanaście powodów, dla których nie zaszkodzi mieć go pod ręką.

– Wyglądam na zestresowanego? – Rhyme się nadał. Już dobrych parę lat temu odstawił respirator i nauczył się oddychać samodzielnie, co było powodem do największej dumy każdego tetraplegika. Ale Thom najwyraźniej zapomniał albo zlekceważył to osiągnięcie. – Nie będę go potrzebował.

– Miejmy nadzieję. Ale nie zaszkodzi mieć, prawda?

Na to Rhyme nie miał odpowiedzi. Zerknął na Pulaskiego.

– Nawiasem mówiąc, aparat ma złą nazwę. Respiracja to wymiana tlenu i dwutlenku węgla. A on wtłacza gaz do dróg oddechowych, czyli wykonuje wentylację płuc.

Pulaski westchnął.

– Zapamiętam, Lincoln.

Przynajmniej nowy porzucił irytujący nawyk zwracania się do Rhyme’a „panie kapitanie”.

– Czy to ma znaczenie? – zapytał młody policjant.

– Oczywiście – zaperzył się Rhyme. – Precyzja to klucz do wszystkiego. Gdzie ta furgonetka?

Do zadań Thoma należało także zdobycie na Bahamach pojazdu dostosowanego do przewozu niepełnosprawnych.

Asystent, który wciąż trzymał przy uchu telefon, spojrzął na Rhyme’a i skrzywił się.

– Znowu czekam na połączenie.

W końcu udało mu się z kimś skontaktować, bo kilka minut później przy krawężniku obok stanowiska dla turystycznych minibusów zatrzymał się van. Biały ford, poobijany i cuchnął starym dymem papierosowym. Okna oblepiał brud. Pulaski załadował bagaże z tyłu, a Thom podpisał formularze i wręczył je szczupłemu mężczyźnie o ciemnej karnacji, który podstawił wóz. Wymieniono karty kredytowe i pewną kwotę w gotówce, po czym kierowca oddalił się pieszo. Rhyme zastanawiał się, czy samochód nie został skradziony. Uznał jednak, że jest niesprawiedliwy.

Znalazłeś się w innym świecie, już nie na Manhattanie. Daj spokój z uprzedzeniami.

Thom zasiadł za kierownicą i ruszyli w kierunku Nassau główną dwupasmową drogą w całkiem niezłym stanie. Od strony lotniska jechało sporo pojazdów, głównie starszych samochodów amerykańskich i japońskich, zdezelowanych pikapów i minivanów. Nie było widać żadnych terenówek, co zresztą nie dziwiło w kraju drogiej benzyny, bez śniegu, lodu i gór. Dziwne było natomiast, że choć obowiązywał tu ruch lewostronny – Bahamy to dawna kolonia brytyjska – większość samochodów miała kierownicę po lewej stronie, na modłę amerykańską.

Kiedy sunęli na wschód, Rhyme widział stojące przy drodze sklepiki i małe firmy bez szyldów informujących o rodzaju oferowanych produktów czy usług, wiele zaniedbanych działek, sprzedawców owoców i warzyw handlujących bezpośrednio z samochodów; sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie zależało im na sprzedaży. Van minął kilka wielkich, chaotycznie zbudowanych domów, w większości starszych. Parę mniejszych domów i chałup wyglądało na porzucone – prawdopodobnie padły ofiarą huraganów. Prawie wszyscy miejscowi mieli bardzo ciemną skórę. Mężczyźni na ogół byli ubrani w T-shirty albo koszule z krótkimi rękawami noszone na wierzchu, dżinsy, bawełniane spodnie albo szorty. Kobiety nosiły podobne stroje, choć wiele miało na sobie proste sukienki w kwieciste wzory albo w jasnych, zdecydowanych kolorach.

– No! – wykrztusił Thom, hamując ostro. Udało mu się ominąć stojącą na drodze kozę i nie wywrócić do góry nogami ich rzeczy.

– Ale obrazek – powiedział Pulaski. I zrobił zwierzęciu zdjęcie aparatem w komórce.

Thom posłusznie kierował się wskazówkami GPS-a i zanim dotarli do centrum Nassau, skręcili z głównej drogi, oddalając się od gęstego ruchu. Przejechali wzdłuż wapiennych murów dawnego fortu. Po pięciu minutach asystent Rhyme'a wtoczył kołyszącego się na kiepskim zawieszaniu vana na parking przed skromnym, lecz ładnie utrzymanym motelem. Razem z Pulaskim podali bagaże człowiekowi z obsługi, a potem Thom poszedł do recepcji, aby ich zameldować i sprawdzić stopień dostępności motelu dla niepełnosprawnych. Po powrocie oznajmił, że wynik kontroli jest zadowalający.

– Część Fortu Charlotte – powiedział Pulaski, czytając napis na tabliczce przy ścieżce prowadzącej z motelu do fortu.

– Czego? – spytał Rhyme.



– Fortu Charlotte. Odkąd go zbudowano, nikt już nie atakował Bahamów. To znaczy wyspy New Providence. Bo na niej jesteśmy.

– Aha – odparł Rhyme bez cienia zainteresowania.

– Patrzcie! – Pulaski wskazał na jaszczurkę stojącą bez ruchu na murze obok wejścia do motelu.

– Anolis zielony, amerykański kameleon – powiedział Rhyme. – Samiczka, nosi jaja.

– Jaja? – zdumiał się młody policjant.

– Innymi słowy, jest w ciąży.

Pulaski parsknął śmiechem.

– Żartujesz.

– Żartuję? – burknął Rhyme. – Co może być zabawnego w jaszczurce spodziewającej się młodych?

– Nie, zastanawiam się tylko, skąd to wiesz.

– Bo przyjeżdżam na teren, którego nie znam, a co napisałem w pierwszym rozdziale podręcznika kryminalistyki, nowy?

– Kiedy bada się miejsce zdarzenia, trzeba znać geografię.

– Musiałem zdobyć podstawowe informacje o geologii, faunie i florze, które mogą mi się tu przydać. Fakt, że nikt nie najechał wyspy od czasów zbudowania Fortu Charlotte, jest mi do niczego niepotrzebny, więc nie zwracałem sobie nim głowy. Co innego jaszczurki, papugi, piwo Kalik i namorzyny – to może być istotne. Dlatego czytałem o nich w czasie lotu. A ty co czytałeś?

– Hm, „People”.

Rhyme prychnął drwiąco.

Jaszczurka przymrużyła oczy i obróciła głowę, ale reszta ciała pozostała nieruchoma.

Rhyme wyciągnął telefon z kieszeni koszuli. Poprzednia operacja, prawego barku i ręki, zakończyła się pomyślnie. Wprawdzie jego ruchy mogły się wydawać nieco niezdarne w porównaniu z kończyną osoby pełnosprawnej, ale były na tyle płynne, iż postronny obserwator mógł nie zauważyć, że nie są całkiem naturalne. Rhyme miał iPhone’a i poświęcił wiele godzin na opanowanie ezoterycznej sztuki operowania palcem na ekranie i uruchamiania aplikacji. Ze względu na swój paraliż miał już powyżej uszu urządzeń sterowanych głosem, wyłączył więc asystenta Siri. Z listy ostatnich połączeń jednym dotknięciem wybrał numer. W słuchawce odezwał się kobiecy głos mówiący z wyraźnym obcym akcentem: – Policja, czy mam przyjąć zgłoszenie?

– Nie, nie chciałem niczego zgłosić. Czy mógłbym rozmawiać ze starszym posterunkowym

Poitierem?

– Chwileczkę.

Na szczęście czekał bardzo krótko.

– Tu Poitier.

– Starszy posterunkowy?

– Zgadza się. Mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

– Mówi Lincoln Rhyme.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Tak. – W tym jednym słowie krył się ogromny ładunek niepewności i zaniepokojenia. Kasyna były o wiele lepszym miejscem na rozmowę niż biuro policjanta.

– Podałbym panu numer swojej karty kredytowej – rzekł Rhyme. – Albo zadzwonił do pana od siebie.

– Nie mogłem wtedy dłużej rozmawiać. A teraz jestem raczej zajęty.

– Sprawą zaginionej studentki?

– Tak jest – odparł bogato modulowany baryton.

– Ma pan jakieś tropy?

Pauza.

– Jeszcze nie. Minęły ponad dwadzieścia cztery godziny. Nie dowiedzieliśmy się niczego ani w szkole, ani w miejscu, gdzie pracowała. Ostatnio spotykała się z jakimś mężczyzną z Belgii. Wydaje się zrozpaczony, ale... – Zawiesił głos i ostatnie słowa rozwiały się jak dym. Po chwili powiedział: – Niestety, nie mogę panu pomóc w związku z pańską sprawą.

– Chciałbym się z panem zobaczyć.

Najdłuższa jak dotąd chwila milczenia.

– Zobaczyć?

– Tak.

– Jak pan to zamierza zrobić?

– Jestem w Nassau. Proponowałbym inne miejsce niż komenda policji. Możemy się spotkać, gdzie

pan sobie życzy.

– Ale... jak... pan tu jest?

– Lepiej byłoby poza biurem – powtórzył Rhyme.

– Nie. To niemożliwe. Nie mogę się z panem spotkać.

– Koniecznie muszę z panem porozmawiać – rzekł Rhyme.

– Nie, muszę kończyć, kapitanie. – W głosie Poitiera zabrzmiał ton desperacji.

– W takim razie przyjedziemy na komendę – powiedział szybko Rhyme.

– Naprawdę pan tu jest?

– Zgadza się. To sprawa dużej wagi. My traktujemy ją poważnie.

Rhyme wiedział, że sugestia, iż Królewska Policja Bahamów najwyraźniej nie traktuje jej poważnie, to wyraźny przytyk. Wciąż jednak był przekonany, że jeżeli mocno przycisnie, Poitier mu pomoże.

– Jak już mówiłem, jestem bardzo zajęty.

– Spotka się pan z nami?

– Nie, nie mogę.

Rozległ się trzask i starszy posterunkowy odłożył słuchawkę.

Rhyme spojrział na jaszczurkę, po czym skierował wzrok na Thoma i się roześmiał.

– Jesteśmy na Karaibach, nad pięknym morzem. Chodźmy trochę poharcować.

## **ROZDZIAŁ 27**

Dziwne. Po prostu dziwne.

Amelia Sachs, ubrana w granatową jedwabną bluzkę bez rękawów, czarne dżinsy i wysokie buty, weszła do laboratorium i znów uderzyła ją odmienność tej sprawy.

Podczas każdego innego dochodzenia, które trwało już od tygodnia, w laboratorium panowałby chaos. Mel Cooper, Pulaski, Rhyme i Sachs poddawaliby dowody drobiazgowej analizie, notując na tablicach fakty, wnioski i domysły, ścierając poprzednie i dopisując nowe.

Czas naglił nie mniej niż w innych przypadkach – naklejony na tablicy rozkaz egzekucji przypominał, że al-Barani, a potem kolejno siedemnastu ludzi może wkrótce zginąć – lecz pokój był cichy jak mauzoleum.

Uznała, że to niedobre porównanie.

Ale trafne. Nance Laurel nie było, a Lincoln Rhyme po raz pierwszy od swojego wypadku wyjechał z kraju. Uśmiechnęła się. Niewielu kryminalistyków zadałoby sobie tyle trudu, by zbadać miejsce zdarzenia, i z wielu powodów cieszyła się, że postanowił pojechać.

Choć jego brak wywoływał pewną dezorientację.

Dziwne...

Okropne wrażenie, chłodnej pustki.

„Mam złe przeczucia, Rhyme”...

Minęła jeden z długich stołów do badania dowodów, na którym stały narzędzia i instrumenty chirurgiczne, wiele z nich wciąż w sterylnych opakowaniach, do analizy dowodów, których nie mieli.

Sachs usiadła przy swoim prowizorycznym stanowisku pracy i zabrała się do dzieła. Zadzwoiła do stałego kierowcy Roberta Morena w Elite Limousines, Władymira Nikołowa. Miała nadzieję, że będzie wiedział, kim jest tajemnicza Lydia, być może prostytutka, być może terrorystka. W jego firmie dowiedziała się jednak, że kierowca wyjechał z miasta w ważnej sprawie rodzinnej. Zostawiła dla niego wiadomość w Elite, nagrała się też na poczcie głosowej jego prywatnego telefonu.

Postanowiła, że zajmie się tym później, jeśli sam się nie odezwie.

W zintegrowanej bazie danych śledztw stanowych i federalnych sprawdziła, czy są jakieś informacje o podejrzanym działaniu terrorystycznej i przestępczej w okolicy, gdzie pierwszego maja Tash Farada wysadził Morena i Lydię. Znalazła kilka nakazów przeszukania lokali i obserwacji, ale – jak się można było spodziewać, zważywszy na miejsce akcji – dotyczyły oszustw i wykorzystywania niejawnych danych do spekulacji w bankach i domach maklerskich. Wszystkie sprawy były dość stare i nie dostrzegła żadnego związku między nimi a Robertem A. Morenem.

Wreszcie nastąpił jakiś zwrot.

Zadzwonił jej telefon i widząc numer na ekranie, natychmiast odebrała.

– Rodney? – Ekspert z wydziału przestępczości komputerowej, który starał się namierzyć informatora.

Łubu-du, łubu-du, łubu-du, łubu-du... W tle dudnił rock. Czy on zawsze słucha muzyki? I dlaczego to nie może być jazz albo przeboje z musicali?

Łomot przycichł. Odrobinę.

– Pamiętaj, Amelio – powiedział Szarnek. – Superkomputery są naszymi przyjaciółmi.

– Postaram się nie zapomnieć. Co masz dla mnie? – Patrzyła na pusty salon, w którym drobiny kurzu unosiły się w promieniach porannego słońca jak widziane z bardzo daleka balony. Znow boleśnie odczuła nieobecność Rhyme'a.

– Mam miejsce, z którego wysłał maila. Nie będę cię zanudzał topologią sieci ani węzłami, powiem tylko, że wasz informator wysłał maila z załącznikiem z Java Hut niedaleko skrzyżowania Mott i Hester Street. Pomyśl tylko: sieć kawiarni z Portlandu w Oregonie otwiera lokal w sercu Little Italy. Co by na to powiedział ojciec chrzestny?

Zerknęła na nagłówek wydruku z wiadomością od informatora przyklejonego na tablicy.

– Data na mailu się zgadza? Mógł ją sfałszować?

– Nie, właśnie wtedy go wysłał. W treści mógł napisać datę, jaka mu się podobała, ale routery nie kłamią.

Czyli był w kawiarni jedenastego maja dwie minuty po trzynastej.

– Sprawdziłem – ciągnął policjant od cyberprzestępczości. – Można się tam podłączyć do wi-fi, nie podając żadnych swoich danych. Wystarczy się tylko zgodzić na regulamin świadczenia usług, który zajmuje trzy strony. Wszyscy się zgadzają i ani jeden człowiek w historii świata tego nie przeczytał.

Sachs podziękowała Szarnkowi i się rozłączyła. Następnie zadzwoniła do kawiarni i poprosiła o rozmowę z kierownikiem. Wyjaśniła mu, że stara się zidentyfikować osobę, która jedenastego maja wysłała przez ich wi-fi ważne dokumenty, i chce przyjechać, żeby z nim o tym porozmawiać.

– Macie w kawiarni kamery monitoringu? – zapytała.

– Tak, mamy. Są w każdym lokalu Javy. W razie jakiegoś napadu.

Nie spodziewając się zbyt wiele, zapytała:

– Jak często kasujecie wideo? – Była przekonana, że zapis obrazu z kamer co kilka godzin zastępuje

się nowym.

– Och, mamy na dysku pięć terabajtów. W sumie mieści się na nim zapis z trzech tygodni. Jakość jest dość marna, obraz czarno-biały, ale da się zobaczyć twarz.

Wstąpiła w nią otucha.

– Będę u pana za pół godziny.

Narzuciła czarną płócienną kurtkę i spięła włosy w koński ogon. Wyciągnęła z szafki glocka, jak zawsze z przyzwyczajenia sprawdziła broń, po czym przypięła kaburę do paska dżinsów. Na lewe biodro powędrowały dwa zapasowe magazynki. Właśnie zarzucała na ramię dużą torebkę, gdy usłyszała brzęczenie swojej komórki. Może to Rhyme. Wiedziała, że bezpiecznie wylądował na Bahamach, ale martwiła się, czy podróż nie odbiła się źle na jego zdrowiu.

Okazało się jednak, że dzwonił Lon Sellitto.

– Hej.

– Cześć, Amelia. Zespół z Wydziału do Zadań Specjalnych przepytał już mniej więcej połowę ludzi w budynku, z którego Moreno i kierowca zabrali Lydię. Na razie nic. Trafili na sporo różnych Lydii – kto by pomyślał? – ale to żadna z nich. Co to za problem dać dziecku na imię Tiara albo Estanzia? Cholera, o wiele łatwiej byłoby je znaleźć.

Powiedziała mu o tropie w kawiarni, dodając, że właśnie tam jedzie.

– Dobrze. Kamera, świetnie. Słuchaj, Linc naprawdę jest na Karaibach?

– Naprawdę, wylądował bezpiecznie. Nie wiem, jak go tam potraktują. Rozumiesz, dla nich jest intruzem.

– Na pewno da sobie radę.

W słuchawce zapadła cisza.

Coś było na rzeczy. Lon Sellitto czasem popadał w zadumę, ale zwykle była to głośna zaduma.

– Co jest? – zapytała.

– Dobra, w razie czego w ogóle tego nie słyszałaś.

– Mów.

– Wpadł do mnie Bill – powiedział detektyw.

– Bill Myers, kapitan?

„No i jak się czujesz zredefiniowana do roli gracza na poziomie mikro”...

– Tak.

– I co?

– Pytał o ciebie – odparł Sellitto. – Chciał wiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku. Fizycznie.

Niech to szlag.

– Bo utykałam?

– Może, nie wiem. W każdym razie pytał. Słuchaj, taki stary pierdziel jak ja na pewno ci daruje, że czasem masz gorszy dzień i zdarzy ci się potknąć. Ale jesteś dzieciakiem, Amelia. Chudym dzieciakiem. Zajrzał do twoich raportów, sprawdził udział w akcjach. Zobaczył, że często zgłaszałaś się na ochotnika do operacji taktycznych, że czasem wchodziłaś jako jedynka w zespole. Zapytał tylko, czy miałaś jakieś problemy w terenie albo czy ktoś się skarżył, że nie czuł się pewnie z tobą w czasie akcji czy aresztowania. Powiedziałem mu, że absolutnie nie. Że zawsze byłaś pierwszorzędną.

– Dzięki, Lon – szepnęła. – Zamierza skierować mnie na badania?

– Ten temat się nie pojawił. Ale to nie znaczy, że nie.

Każdy kandydat na funkcjonariusza nowojorskiej policji musi przechodzić badania medyczne, ale kiedy zostanie już przyjęty do służby – w przeciwieństwie do strażaków czy ratowników medycznych – już nigdy nie musi się im poddawać, chyba że zleci je przełożony w konkretnych przypadkach albo gdy funkcjonariusz stara się o awans. Z wyjątkiem wstępnej kontroli stanu zdrowia przed wielu laty departament już nigdy nie skierował Sachs na badania. Informacja o tym, że cierpi na artretyzm, znalazła się jedynie w kartotekach jej prywatnych ortopedów. Myers nie mógł mieć do nich dostępu, ale gdyby zlecił badania, wyszłaby na jaw prawda o jej stanie zdrowia.

A to by była katastrofa.

– Dzięki, Lon.

Rozłączyli się i Sachs przez chwilę stała bez ruchu, myśląc: Dlaczego w tym śledztwie powodem do niepokoju są nie tylko sprawcy? Wyglądało na to, że tak samo trzeba się strzec sojuszników.

Jeszcze raz sprawdziła broń i ruszyła w stronę drzwi, siłą woli powstrzymując się przed kuśtykaniem.

## ROZDZIAŁ 28

Jacob Swann dowiedział się, że komórka Amelii Sachs działa w systemie 3G. I to była dobra wiadomość. Trudniej było złamać szyfr i słuchać prowadzonych przez nią rozmów niż w przypadku sieci GPRS, ale dało się to zrobić, ponieważ w telefonii 3G stosowano pocziwy, leciwy szyfr strumieniowy A5/1.

Oczywiście jego dział techniczny nie miał na to zezwolenia.

Chociaż gdzieś w zakazie musiały się pojawić jakieś dziury, ponieważ zaledwie dziesięć minut po niezobowiązującej – i oczywiście czysto teoretycznej – rozmowie na ten temat z dyrektorem Obsługi Technicznej oczarował Swanna niski i całkiem seksowny głos Sachs płynący do niego na falach eteru.

Poznał już wiele ciekawych faktów. Część z nich miała bezpośredni związek ze sprawą Morena. Część była bardziej ogólna, choć równie istotna: na przykład, że detektyw Amelia Sachs ma jakieś problemy zdrowotne. Odnotował to w pamięci, żeby wykorzystać w przyszłości.

Uzyskał też niepokojącą informację: druga z osób prowadzących śledztwo, Lincoln Rhyme, pojechała na Bahamy. To mogło oznaczać kłopoty. Dowiedziawszy się o tym, Swann natychmiast skontaktował się ze swoimi ludźmi na miejscu – kilkoma spośród amatorów piwa Sands i Kalik na nabrzeżu – i poczynił niezbędne przygotowania.

W tej chwili nie mógł się jednak na tym skupić. Był zajęty. Kuczał w nieprzyjemnie zalatującej alejce i otwierał wytrychem zamek w drzwiach służbowych do kawiarni aspirującej do miana drugiego Starbucksa. Lokalu o nazwie Java Hut. Miał lateksowe rękawiczki w cielistym kolorze, aby nie rzucały się w oczy.

Ranek nie był chłodny, a w rękawiczkach i maskującej wiatrówce było mu jeszcze cieplej. Pocił się. Nie tak obficie jak z Annette na Bahamach. Mimo to...

I jeszcze ten straszliwy smród. Nowojorskie alejki. Czy ktoś od czasu do czasu nie mógłby ich zdezynfekować?

Wreszcie rozległ się szcęk. Swann delikatnie uchylił drzwi i zajrzał do środka. Zobaczył pusty kantorek, kuchnię, w której chudy Latynos pracowicie zmywał naczynia, a dalej część kawiarnianej sali. Lokal odwiedzało niewielu gości. Swann przypuszczał, że ponieważ była to okolica popularna



wśród turystów – pozostałość Little Italy – największy ruch panował w weekendy.

Wśliznął się do środka, przymknął za sobą drzwi i wszedł do kantorka, odchylając połę kurtki i sprawdzając, czy ma łatwy dostęp do noża.

Ach, zobaczył monitor przekazujący na żywo to, co widziało oko kamery umieszczonej w sali. Obiektyw przesuwiał się po wnętrzu tam i z powrotem, ukazując hipnotyczny czarno-biały obraz. Gdyby przewinął zapis do jedenastego maja, miałby dobry widok na donosiciela, informatora, który przesłał rozkaz egzekucji do prokuratury okręgowej.

Po chwili z boku monitora zauważył przełącznik: 1-2-3-4.

Kiedy ustawił go w ostatniej pozycji, ekran podzielił się na cztery części.

Niech to szlag.

W kawiarni zainstalowano cztery kamery. A jedna z nich właśnie rejestrowała Swanna kucającego przed komputerem. Wprawdzie w kadrze widać było tylko jego plecy, ale sam fakt budził niepokój.

Obrzucił szybkim spojrzeniem komputer i z jeszcze większym niepokojem zauważył, że nie będzie go mógł łatwo rozmontować, aby skraść twardy dysk. Duże urządzenie przymocowano do podłogi metalowymi taśmami i śrubami.

Świetnie, jak gdyby ktoś chciał kraść pięcioletni złom z Windows XP. Jego zdaniem maszyna miała się tak do bardziej zaawansowanych komputerów jak plastikowy ręczny mikser z Sears do jego robota KitchenAid za sześćset dolarów, wyposażonego w hak do wyrabiania ciasta na chleb i zestaw do robienia makaronu.

Nagle znieruchomiał. Usłyszał rozszczebiotany kobiecy głos, a potem głos Latynosa. Sięgnął po nóż Kai Shun.

Ale rozmowa ucichła, a korytarz pozostał pusty. Swann wrócił do przerwane zadania. Sprawdził taśmy i śruby. Trzymały mocno. A on nie miał przy sobie odpowiednich narzędzi, żeby rozciąć i odkręcić zabezpieczenia. Oczywiście nie mógł się za to winić. Wziął ze sobą podstawowy zestaw, do tego musiałby mieć elektryczną piłę do metalu.

Westchnął.

Uznał, że jeśli sam nie może zabrać dysku, musi się postarać, aby nie wpadł w ręce policji.

Szkoda. To nie było najlepsze wyjście, ale nie miał wyboru.

Znów dobiegły go głosy z sali.

– Przepraszam, szukam Jerry’ego.

Czy to możliwe? Tak. Brzmiało znajomo.

Pocziwy, leciwy szyfr strumieniowy A5/1...

– Jestem Jerry. To pani do mnie dzwoniła?

– Zgadza się. Amelia Sachs.

Dotarła tu szybciej, niż Swann się spodziewał.

Garbiąc się, aby plecami zasłonić przed okiem kamery swoje poczynania, sięgnął do plecaka i wyciągnął przeciwpiechotny improwizowany ładunek wybuchowy, który nie tylko mógł zniszczyć komputer, ale także zasypać zaplecze kawiarni gradem odłamków. Wahał się przez chwilę. Mógłby ustawić zegar na minutę. Lecz uznał, że będzie lepiej, jeżeli detonacja nastąpi trochę później. Żeby pani Sachs zdążyła wejść do kantorka i zacząć przewijać zapis wideo.

Uzbroił ładunek, uruchomił zapalnik czasowy i wsunął skrzynkę za komputer.

Następnie wolno się podniósł i wycofał z kantorka, uważając, by nie odwrócić się twarzą do kamery.

## ROZDZIAŁ 29

W kawiarni Java Hut pachniało mieszaniną kilkunastu aromatów – wanilii, czekolady, cynamonu, owoców, rumianku, gałki muszkatołowej... a nawet kawy.

Jerry, kierownik, był młodym patykowatym mężczyzną o skórze pokrytej tatuażami w ilości raczej niestosownej u szefa lokalu należącego do ogólnokrajowej sieci. Nawet jeżeli centrala znajdowała się w Portland. Mocno uścisnął jej rękę, obrzucając ukradkowym spojrzeniem jej biodra. Często zauważała to u mężczyzn – nie taksowali jej ciała; chcieli popatrzeć na pistolet.

W sali siedziało kilkunastu klientów pochłoniętych swoimi zajęciami – stukali w klawisze, wpatrywali się w swoje elektroniczne urządzenia. Kilka osób czytało zadrukowany papier. Tylko jedna, starsza kobieta, w milczeniu patrzyła przez okno i po prostu piła kawę.

– Podać coś pani? – zapytał Jerry. – Na koszt firmy.

Odmówiła. Chciała jak najszybciej zdobyć trop w sprawie, który wreszcie mógł ich do czegoś doprowadzić.

– Wolałabym tylko obejrzeć nagrania wideo.

– Oczywiście – odrzekł, znowu starając się dojrzeć broń. Na szczęście zapięła kurtkę. Wiedziała, że pewnie by zapytał, czy niedawno używała pistoletu. I chętnie pogadałby o kalibrach i parametrach technicznych.

Mężczyźni. Seks albo broń.

– Tu mamy jedną kamerę. – Pokazał miejsce nad kasą. – Każdemu, kto tu podchodzi, robi co najmniej jedno zdjęcie, z dość bliska. Co ten facet wysłał? Jakież poufne informacje?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Ci bankowcy. Rany, jak można ich lubić? Tu są jeszcze dwie. – Pokazał.

Jedna kamera, zamontowana na bocznej ścianie, wolno omiatała wnętrze sali jak zraszacz trawnika. Stoliki były ustawione prostopadłe do niej, co oznaczało, że choć mogła nie zarejestrować twarzy klientów en face, prawdopodobnie Sachs wyraźnie zobaczy informatora z profilu.

Świetnie.

Druga kamera podglądała niewielką wnękę po lewej stronie od wejścia, gdzie stały tylko cztery stoliki. Jej obiektyw też mógł wyraźnie pokazać klientów z boku, poza tym znajdowała się bliżej stolików niż kamera w głównej sali.

– Chodźmy zobaczyć wideo.

– W biurze. Pani przodem. – Wyciągnął ramię z wytatuowanym wielobarwnym chińskim napisem złożonym z setek znaków.

Sachs pomyślała mimochodem: Co może oznaczać napis, że był wart tyle bólu?

Nie mówiąc już o tym, jak szef kawiarni wytłumaczy to swoim wnukom.

## ROZDZIAŁ 30

Rany, alejka w ciepłe popołudnie.

Ohyda.

Alejki w Nowym Jorku miały swój urok: jak gdyby były kawałkiem historii przeniesionym w dzisiejsze czasy. Fronty kamienic i sklepów – tu, w Little Italy – zmieniały się z każdym pokoleniem, lecz zaułki między budynkami wyglądały mniej więcej tak samo jak sto lat temu. Wisiały tu wyblakłe drewniane i metalowe tabliczki z instrukcjami dla dostawców i ostrzeżeniami. *Podstawiać kliny pod koła WOZÓW!* Ceglane i kamienne odrapane mury, których nigdy nie malowano ani nie myto. Nierówne, prowizoryczne drzwi, rampy wyładunkowe, prowadzące donikąd rury i kable, których strach dotknąć.

No i ten smród.

Kiedy było gorąco tak jak dziś, pomocnik kuchenny nie cierpiał wychodzić ze śmieciami do pojemnika, który dzielili z kilkoma innymi lokalami, bo bar sushi obok wyrzucił swoje śmieci poprzedniego dnia wieczorem. Nietrudno się domyślić, jaki tam był dziś zapach.

Rybi.

Mimo wszystko w alejce jednak mu się podobało: budynek nad Java Hut. Podobno mieszkał tu ktoś sławny. Kelner Sanchez mówił mu, że to był jakiś amerykański pisarz. Chyba Mark Twain. Pomocnik potrafił całkiem dobrze czytać po angielsku i powiedział Sanchezowi, że zamierza znaleźć coś, co ten Twain napisał, ale tak się jakoś złożyło, że jeszcze nie zaczął szukać.

Wyrzucił odpadki, oczywiście wstrzymując oddech, po czym zawrócił do kawiarni. Zauważył samochód zaparkowany w alejce, dość blisko Java Hut. Czerwonawego forda torino cobra.

Zgrabne cacko.

Ale je odholują.

Pomocnik kuchenny uświadomił sobie, że ciągle wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze, a potem wciągnął, marszcząc nos. Zapach aż szczypał w gardle.

Stara, ciepła ryba.

Przez chwilę nie był pewien, czy nie wymiotuje. Ale podszedł do auta, żeby je obejrzeć. Lubił samochody. Jego szwagra aresztowano kiedyś za kradzież bardzo ładnego bmw m3, jednego z nowszych modeli. Sprawa wymagała sporo trudu. Każdy mógł ukraść taką hondę accord. Ale na m3 trzeba mieć jaja. Niekoniecznie olej w głowie. Ramon został aresztowany dokładnie dwie godziny i dwadzieścia minut później. Lecz należało mu się uznanie.

Ej, patrzcie no! W cobrze na desce rozdzielczej leżał policyjny identyfikator. Który gliniarz jeździ takim wozem? Może...

W tym momencie z tylnych drzwi Java Hut buchnęła kula ognia i dymu, a pomocnik kuchenny poczuł, że leci do tyłu. Runął na stertę kartonów przy drzwiach do Hair Cuttery. Potem sturlał się z pudeł i leżał oszołomiony na lepkim, mokrym bruku.

Jezu...

Z kawiarni wydobywał się dym i płomienie.

Pomocnik zdjął z paska komórkę i otarł z oczu łzy.

Zmrużył powieki, aby widzieć klawiaturę. Ale po chwili zdał sobie sprawę, co się stanie, jeżeli zadzwoni, nawet anonimowo.

Proszę nam podać nazwisko, adres i numer telefonu, a czy ma pan prawo jazdy albo paszport?

Może metrykę urodzenia? Zieloną kartę?

Proszę pana, mamy pański numer komórki...

Schował telefon.

Zresztą to i tak nieważne. Na pewno zadzwonił już ktoś inny. Poza tym eksplozja była tak potężna, że nikt w środku nie mógł ocaleć, a dom pana Marka Twina w ciągu kilku minut bez wątpienia zmieni się w górę dymiącego gruzu.

Van jechał Bay Street, a potem przez centrum Nassau, mijając wykończone drewnem sklepy i domy mieszkalne pomalowane na pastelowy róż, żółć i zieleń, odcienie miętowych cukierków, które Lincoln Rhyme pamiętał z Bożego Narodzenia swojej młodości.

Miasto było prawie całkiem płaskie; nad horyzontem górowały liniowce przycumowane do nabrzeża albo płynące po ich lewej stronie. Rhyme nigdy nie widział takich statków z bliska. Wznosiły się na wysokość kilkudziesięciu metrów. Centrum było czyste i uporządkowane znacznie lepiej niż teren w okolicy lotniska. W przeciwieństwie do Nowego Jorku wszędzie rosły drzewa w pełnym rozkwicie, których korzenie wybrzuszały ulice i chodniki. W tej części miasta poważny biznes – reprezentowany przez prawników, księgowych i agentów ubezpieczeniowych – mieszał się ze sklepikami oferującymi wszystko, co tylko mogło pozbawić pieniędzy turystów przyplływających tu na statkach.

Popularnym sposobem osiągnięcia tego celu były stroje piratów. Co drugie dziecko na ulicy dzierżyło plastikową szablę i nosiło czarny kapelusz z trupa czaszką i puszczelami.

Minęli jakieś budynki rządowe. Rhyme zauważył nazwę Parliament Square. Przed gmachem stał pomnik królowej Wiktorii siedzącej z berłem na tronie i spoglądającej w dal, jak gdyby myślała o ważniejszych, a może sprawiających większe kłopoty koloniach.

Van do przewozu niepełnosprawnych doskonale wtapiał się w tłum; na ulicach dominowały podobne pojazdy i minibusy, różniące się od ich samochodu tylko brakiem opuszczanej pochylni dla wózków. Tak jak poprzednio auta poruszały się w nieśpiesznym, irytującym tempie. Rhyme uznał, że przyczyną nie jest powolna jazda. Było tu po prostu za dużo pojazdów i za mało ulic i dróg.

I skuterów. Były wszędzie.

– To najlepsza trasa? – mruknął.

– Tak – odparł jego asystent, skręcając w East Street.

– Jedziemy o wiele dłużej, niż się spodziewałem.

Thom nie odpowiedział. Kierując się dalej na południe, zobaczyli bardziej zaniedbaną okolicę. Było tu więcej domów zniszczonych przez huragany, więcej chałup, kóz i kur.

Minęli tablicę:

Chroń swoje narzędzia!

ZAWSZE używaj gumy!

Rhyme musiał zadzwonić do kilku miejsc, żeby ustalić, gdzie dokładnie pracuje Mychal Poitier – oczywiście nie telefonując do samego starszego posterunkowego. Centralny Wydział Detektywów w Nassau znajdował się w innym miejscu niż komenda główna policji. Poitier dał do zrozumienia, że pracuje w wydziale, ale recepcjonistka w tej jednostce powiedziała, że chociaż został chyba tam przydzielony, nie urzęduje w siedzibie wydziału. Nie wiedziała, gdzie dokładnie ma biuro.

W końcu Rhyme zadzwonił pod numer centrali i dowiedział się, że Poitier pracuje w komendzie głównej Królewskiej Policji Bahamów na East Street.

Kiedy dotarli na miejsce, Rhyme przez zachlapanie szyby samochodu obejrzał kompleks komendy. Składał się z kilku niepodobnych do siebie budynków; jego główną część stanowił nowoczesny, jasny gmach zbudowany na planie krzyża. Otaczały go budynki pomocnicze rozrzucone bezładnie po całym terenie. W jednym z nich prawdopodobnie mieścił się areszt (sąsiednia boczna ulica nazywała się Prison Lane). Przestrzeń między budynkami zajmowały trawniki – niektóre skoszone, inne bujne i zaniedbane – oraz parkingi wysypane kamykami i piaskiem.

Wysiedli z furgonetki. W powietrzu znów unosił się ostry zapach dymu. Spoglądając na ogród za pobliską prywatną posesją, Rhyme odkrył jego źródło: płonące śmieci. Chyba wszędzie paliły się śmieci.

– Patrz, Lincoln, przydałoby się nam coś takiego. – Pulaski wskazywał front głównego budynku.

– Co? – warknął Rhyme. – Budynek, antena radiowa, klamka, areszt?

– Herb.

Królewska Policja Bahamów miała imponujące godło, które obiecywało obywatelom wysp odwagę, prawość i lojalność. Gdzie, u licha, można znaleźć wszystkie te trzy cnoty w jednym zestawie?

– Nowy, kupię ci T-shirt na pamiątkę. – Rhyme pokonał wózkiem chodnik i z fantazją wjechał do holu, nijakiego i odrapanego. Spacerowały po nim mrówki, brzęczały muchy. Najwyraźniej żaden funkcjonariusz nie pracował w cywilu; wszyscy mieli mundury, białe kurtki i czarne spodnie z ciemnoczerwonymi lampasami; nieliczne policjantki nosiły spódnice z lampasami. Umundurowania

personelu – w stu procentach ciemnoskórego – dopełniały nakrycia głowy: tradycyjne czapki policyjne albo białe hełmy korkowe.

Kilkunastu miejscowych i turystów czekało na ławkach albo w kolejce, aby porozmawiać z funkcjonariuszami i prawdopodobnie zgłosić popełnienie przestępstwa. W większości nie wyglądali raczej na poszkodowanych, ale na zdenerwowanych. Rhyme przypuszczał, że na ogół chodziło o kradzieże kieszonkowe, zgubione paszporty, lubieżne zachowania, skradzione aparaty fotograficzne i samochody.

Wiedział, że razem ze swoją skromną świtą przyciąga uwagę. Przed nim w kolejce stała para Amerykanów albo Kanadyjczyków w średnim wieku.

– Nie, nie, pan pierwszy. – Kobieta mówiła do niego jak do pięciolatka. – Bardzo prosimy.

Rhyme nie cierpiał tego protekcjonalnego tonu, a Thom, wyczuwając to, zeszywniał, prawdopodobnie spodziewając się jakiejś pouczającej tyrady, lecz kryminalistyk z uśmiechem podziękował. Zamierzał poharcować, ale z samą bahamską policją, nie z jej interesantami.

Na początku kolejki znajdował się wysoki mężczyzna o lśniącej czarnej skórze, w dzinsach i koszuli noszonej na wierzch. Właśnie zgłaszał atrakcyjnej dyżurującej funkcjonariuszce kradzież kozy.

– Mogła sama się oddalić – zasugerowała policjantka.

– Nie, nie, ktoś przeciął sznur. Zrobiłem zdjęcie. Chce pani zobaczyć? Ktoś przeciął go nożem. Mam zdjęcia! To mój sąsiad. Wiem, że to on.

Ślady po narzędziu mogły powiązać kształt nacięcia z nożem należącym do sąsiada. Konopne włókna są szczególnie lepkie, więc musiało dojść do przeniesienia mikrośladów. Niedawno padał deszcz. Na pewno pozostały jeszcze odciski butów.

Łatwa sprawa, pomyślał Rhyme, uśmiechając się do siebie. Szkoda, że nie było przy nim Sachs, żeby mógł podzielić się z nią tymi uwagami.

Mężczyźnie poradzono, żeby jeszcze poszukał kozy.

Rhyme ruszył naprzód. Dyżurna uniosła się lekko i spojrzała na niego zza lady. Zapytał o Mychala Poitiera.

– Tak, zadzwonię do niego. Jak pańska godność?

– Lincoln Rhyme.

Podniosła słuchawkę.

– Mówi konstabl Bethel z dyżurki. Chce się z panem widzieć niejaki Lincoln Rhyme i towarzyszące mu dwie osoby. – Patrzyła na staroświecki beżowy aparat, słuchając z rosnącym napięciem. – Tak, jest tutaj... Dokładnie naprzeciwko mnie.



Czyżby Poitier kazał jej skłamać, że go nie ma?

– Jeżeli jest zajęty, chętnie zaczekam – powiedział Rhyme. – Jak długo to będzie konieczne.

Jej wzrok niepewnie przemknął po twarzy Rhyme'a.

– Powiedział... – zaczęła, ale widocznie Poitier usłyszał jego słowa. – Dobrze. – Odłożyła słuchawkę. – Za chwilę przyjdzie.

– Dziękuję.

Odwrócili się i przenieśli do wolnej części holu.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziała kobieta, która ustąpiła miejsca w kolejce budzącemu litość kalece.

Rhyme poczuł na ramieniu dłoń Thoma, ale znów tylko się uśmiechnął.

Thom i Pulaski usiedli na ławce obok niego pod kilkudziesięcioma namalowanymi portretami i fotografiami dawnych komendantów i naczelników Królewskiej Policji Bahamów. Rhyme przyjrzał się galerii. Ściana pamięci wyglądała tak samo jak wszędzie: nieprzeniknione twarze wpatrzone jak królowa Wiktorja gdzieś w przestrzeń, nie na malarza czy w obiektyw. W ich oczach malowała się obojętność, ale czegoś musiały się wspólnie naogłądać przez setki lat służby.

Rhyme zastanawiał się, jak długo Poitier będzie zwlekał, gdy w głębi korytarza ukazał się młody policjant i podszedł do lady. Miał na sobie wszechobecne czarne spodnie z czerwonymi lamпасami i rozpiętą pod szyją niebieską koszulę z krótkim rękawem. Z guzika biegł łańcuszek i zniknął w kieszeni. Gwizdek? – pomyślał Rhyme. Ciemnoskóry mężczyzna, uzbrojony w półautomatyczny pistolet, był z odkrytą głową i miał gęste, ale krótko ostrzyżone włosy.

Konstabl Bethel wskazała mu Rhyme'a. Młody człowiek odwrócił się i zamrugnął oczami w bezbrzeżnym zdumieniu. Choć próbował się powstrzymać, natychmiast spojrzął na wózek i nogi Rhyme'a. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie i zmieszanie.

Rhyme wiedział, że nie tylko jego obecność wytrąciła policjanta z równowagi.

Co tam morderstwo, co tam geopolityka. Mam współpracować z kaleką?

Poitier zwlekał jeszcze chwilę, być może zastanawiając się, czy został zauważony. Uda się uciec? W końcu wziął się w garść i ruszył w ich stronę.

– Kapitanie Rhyme – powiedział swobodnym, niemal wesołym tonem. Dokładnie takim samym jak przed chwilą tamta turystka. Wyciągnął rękę, jak gdyby właściwie nie chciał jej podać, ale uznał, że nie wykonując tego gestu, popełniłby moralną gafę. Rhyme uniósł rękę i funkcjonariusz bardzo szybko ją złapał i puścił.

Tetraplegia nie jest zaraźliwa, pomyślał kwaśno Rhyme.

– To posterunkowy Pulaski z Departamentu Policji Nowego Jorku. I mój opiekun Thom Reston.

Wymieniono uściski dłoni, tym razem z mniejszą niepewnością. Ale Poitier zmierzył Thoma wzrokiem od stóp do głów. Być może nigdy nie słyszał o opiekunach niepełnosprawnych.

Starszy posterunkowy rozejrzał się po holu i zobaczył kilku funkcjonariuszy zastygłych w różnych pozach, jak dzieci bawiące się w „raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”, i przyglądających się im z ciekawością.

Zaraz skierował wzrok na wózek inwalidzki. W końcu Poitier siłą woli zmusił się, by spojrzeć prosto w oczy Rhyme’a.

Kryminalistyk początkowo był zirytowany jego reakcją, lecz po chwili ogarnęło go uczucie, którego nie doświadczył od dawna. Zawstydział się. Zawstydział się własnej ułomności. Miał nadzieję, że to przykre doznanie przeobrazi się w gniew, ale tak się nie stało. Poczł się słaby i przegrany.

Skonsternowane spojrzenie Poitiera parzyło.

Próbując stłumić to nieznośne uczucie wstydu, rzekł spokojnie:

– Muszę porozmawiać z panem o tej sprawie.

Poitier znów się rozejrzał.

– Niestety, powiedziałem już panu wszystko, co mogłem.

– Chcę zobaczyć raporty z zabezpieczenia dowodów. Chcę zobaczyć samo miejsce zdarzenia.

– To niewykonalne. Miejsce jest ogrodzone i niedostępne.

– Niedostępne dla nieupoważnionych, nie dla funkcjonariuszy wydziałów kryminalistyki.

– Ale pan... – Chwila wahania; Poitierowi udało się nie spojrzeć na jego nogi. – Tu nie jest pan funkcjonariuszem wydziału kryminalistyki, kapitanie Rhyme. Jest pan cywilem. Przykro mi.

– Niech pan pozwoli, żebyśmy pomogli w tej sprawie – odezwał się Pulaski.

– Jestem bardzo zajęty. – Poitier z ulgą spojrział na Pulaskiego, który tak jak on stał na własnych nogach. Na kogoś normalnego. – Zajęty – powtórzył, odwracając się w stronę tablicy informacyjnej, na której powieszono ulotkę z nagłówkiem ZAGINIONA. Poniżej wydrukowano zdjęcie uśmiechniętej blondynki, chyba ściągnięte z Facebooka.

– To studentka, o której pan wspominał – domyślił się Rhyme.

– Tak. Studentka, która pana...

Rhyme był pewien, że chciał powiedzieć: „która pana nie obchodzi”.

Ale Poitier nie dokończył.

Bo Rhyme oczywiście nie mógł być obiektem ataków. Był słaby. Każde złośliwe słowo mogłoby go zupełnie załamać.

Poczerwieniał.

– Chcielibyśmy przynajmniej zobaczyć kopie raportu z zabezpieczenia śladów, protokołów sekcji – rzekł Pulaski. – Obejrzymy tutaj, zamiast wynosić z komendy.

Niezły ruch, pomyślał Rhyme.

– Niestety, to nie będzie możliwe. – Poitier zaryzykował następne spojrzenie na Rhyme'a i wytrzymał tę próbę.

– Wobec tego proszę nam pozwolić szybko obejrzeć miejsce zdarzenia.

Poitier kaszlnął albo chrząknął.

– Muszę zachować je w nienaruszonym w stanie, w zależności od tego, czego się dowiemy od władz Wenezueli.

– A ja dopilnuję, żeby nikt nie zanieczyścił śladów – dodał Rhyme, wtórując Pulaskiemu.

– Niestety, przykro mi.

– Nasze śledztwo w sprawie śmierci Morena zmierza w innym kierunku niż wasze, zwrócił pan na to uwagę w naszej rozmowie. Mimo to potrzebujemy jakichś śladów, które zabezpieczyliście na miejscu.

W podtekście Rhyme mówił: w przeciwnym razie okazałoby się, że na darmo ryzykowałeś, dzwoniąc do mnie wieczorem z kasyna.

Uważał, żeby nie wspomnieć o żadnej amerykańskiej agencji bezpieczeństwa ani żadnych snajperach. Jeżeli Bahamczycy chcieli wskazać na wenezuelskich handlarzy narkotyków, nie zamierzał im w tym przeszkadzać. Ale musieli mu dać do ręki jakieś dowody.

Zerknął na fotografię zaginionej studentki.

Była całkiem atrakcyjna. Miała szczery i niewinny uśmiech.

Nagroda za udzielenie informacji wynosiła zaledwie pięćset dolarów.

– Macie zespół balistyki – szepnął do Poitiera. – Widziałem tę informację na waszej stronie internetowej. Czy przynajmniej mogę zobaczyć raport z analizy pocisku?

– Zespół nie zaczął jeszcze badań.

– Czekają na sygnał od władz Wenezueli.

– Zgadza się.

Rhyme głęboko wciągnął powietrze do płuc, starając się zachować spokój.

– Proszę...

– Starszy posterunkowy Poitier – rozległ się w holu czyjś gromki głos.

W otwartych drzwiach do jakiegoś korytarza stał mężczyzna w mundurze khaki. Jego ciemna – i sroga – twarz była zwrócona w kierunku czterech ludzi pod ścianą z portretami dowództwa.

– Starszy posterunkowy Poitier – powtórzył surowo.

Policjant odwrócił się i zdębiał.

– Tak jest.

Chwila ciszy.

– Kiedy skończy pan tę rozmowę, chcę, żeby stawił się pan w moim gabinecie.

Rhyme doszedł do wniosku, że surowy mężczyzna to bahamska wersja kapitana Billa Myersa.

– Tak jest.

Młody policjant odwrócił się, wyraźnie wstrząśnięty.

– To zastępca komendanta McPherson. Kieruje policją na całej wyspie. Proszę już wyjść. Odprawdę was do samochodu.

Eskortując ich do wyjścia z budynku, Poitier przystanął, aby niezręcznie otworzyć Rhyme'owi drzwi.

Rhyme wyjechał na zewnątrz. Thom i Pulaski trzymali się z tyłu. Skierowali się w stronę samochodu.

– Kapitanie – szepnął Poitier – bardzo dużo ryzykowałem, żeby przekazać panu informacje o telefonie, o człowieku w South Cove Inn. Miałem nadzieję, że będzie pan to sprawdzał u siebie w Stanach. Nie u nas.

– Jestem wdzięczny za to, co mi pan powiedział. Ale to za mało. Potrzebujemy dowodów.

– To niemożliwe. Prosiłem, żeby pan nie przyjeżdżał. Przykro mi, nie mogę pomóc. – Młody funkcjonariusz spojrział w stronę drzwi holu, jak gdyby szef wciąż go obserwował. Rhyme widział, że Poitier jest wściekły. Że ma ochotę wybuchnąć. Tymczasem jego reakcję można było porównać do dobrotliwego pogłaskania po głowie.

– Nic tu pan nie zdziała. Może pan spędzić miło dzień albo dwa. Pewnie rzadko może pan wy... –

Urwał w pół słowa, po czym zmienił taktykę. – Przypuszczam, że jest pan tak zajęty pracą, że rzadko ma pan okazję odpocząć. Niedaleko portu są bardzo dobre restauracje. Dla turystów.

A każda jest przystosowana dla niepełnosprawnych ze względu na starszych pasażerów statków wycieczkowych.

– Proponowałem panu, żebyśmy się spotkali gdzie indziej. – Rhyme nie dawał za wygraną. – Ale pan odmówił.

– Nie sądziłem, że pan naprawdę tu przyjedzie.

Rhyme zatrzymał wózek i zwrócił się do Thoma i Pulaskiego:

– Chciałbym zamienić z panem Poitierem dwa słowa na osobności.

Jego towarzysze poszli w kierunku samochodu.

Wzrok Poitiera ponownie prześliznął się po nogach i ciele kryminalistyka.

– Żałuję... – zaczął.

– Niech pan przestanie bawić się ze mną w ciuciubabkę – warknął Rhyme. Wstyd wreszcie zestalił się w lodowaty gniew. Policjant osłupiał. – Dał mi pan parę tropów, które są głównie warte bez dowodów rzeczowych. Nic z nimi nie mogę zrobić. Mógł pan oszczędzić na karcie telefonicznej.

– Próbowałem panu pomóc – odrzekł Poitier spokojnie.

– Próbował pan uspokoić swoje sumienie.

– Moje...

– Nie zadzwonił pan do mnie, żeby pomóc w śledztwie. Zadzwonił pan, żeby sobie poprawić samopoczucie i przekonać samego siebie, że nie jest pan beznadziejnym gliną. Rzucił pan parę ochłapów informacji i znowu zaczął mi wciskać kit o władzach Wenezueli, tak jak panu kazali.

– Nic pan nie rozumie! – Poitier dał w końcu upust złości. Jego twarz lśniła od potu, a w oczach migotała wściekłość. – Zarabia pan w Ameryce dziesięć razy więcej niż my tutaj, a jeżeli nie wystarcza, bierze pan inną pracę i zarobi tyle samo albo więcej. My nie mamy takich możliwości, kapitanie. I tak za dużo zaryzykowałem. Zdradziłem panu w zaufaniu parę faktów, a teraz... – Z jego ust przyskały kropelki śliny. – A teraz pan przyjeżdża. I mój komendant już wszystko wie! Mam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci. Bardzo je kocham. Kto panu dał prawo, żeby narażać mnie na stratę pracy?

– Pracy? – rzucił ze złością Rhyme. – Gdyby pan porządnie pracował, to chciałby pan ustalić, co się stało dziewiątego maja w South Cove Inn, kto strzelał, kto zabił człowieka na terenie, gdzie ma pan dbać o bezpieczeństwo. To ma pan robić, a nie zasłaniać się bajeczkami swoich zwierzchników.

– Nie rozumie pan, to...

– Rozumiem, że jeżeli chce pan być gliniarzem, to niech pan nim będzie. A jeżeli nie, lepiej wracać do kontroli działalności gospodarczej i koncesji.

Rhyme obrócił wózek i pomknął w stronę vana, gdzie stali Pulaski i Thom. W oknie budynku dostrzegł jakiegoś mężczyznę, który im się przypatrywał. Był pewien, że to zastępca komendanta.

## ROZDZIAŁ 32

Opuściwszy komendę policji, Thom skierował vana na północny zachód, jadąc wąskimi i nierównymi ulicami Nassau.

– Dobra, nowy, masz zadanie. Musisz zasięgnąć języka w South Cove Inn.

– Nie wyjeżdżamy?

– Oczywiście, że nie wyjeżdżamy. Chcesz posłuchać, co masz zrobić, czy będziesz mi przerywał? – Nie czekając na odpowiedź, Rhyme przypomniał młodemu policjantowi informacje, które Poitier przekazał im przez telefon poprzedniego dnia wieczorem: o telefonie od Amerykanina wpytującego o rezerwację Morena i mężczyźnie, który dzień przed zabójstwem pojawił się w hotelu i rozmawiał z pokojówką o Morenie. Zapewne Donie Brunzie, utalentowanym snajperze.

– Trzydzieści kilka lat, Amerykanin, wysportowany, szczupły, brązowe włosy – rzekł Pulaski, przypominając sobie zapis z tablicy.

– Dobrze. Nie mogę jechać sam – ciągnął kryminalistyk. – Wprowadzam za dużo zamieszania. Zaparkujemy przed hotelem i zaczekamy na ciebie. Idź do recepcji, pokaż odznakę, zapytaj o numer telefonu osoby, która dzwoniła z Ameryki, i dowiedz się wszystkiego o tym facecie, który pytał o Morena. Nie wyjaśniaj za dużo. Powiedz tylko, że jesteś z policji i badasz okoliczności zdarzenia.

– Powiem, że właśnie wyszedłem z komendy policji.

– Hm. Podoba mi się. Odpowiednio autorytatywne i równocześnie mało precyzyjne. Jeżeli zdobędziesz numer – a inna możliwość nie wchodzi w grę – zadzwonimy do Rodneya Szarnka, żeby pogadał z operatorem sieci komórkowej albo naziemnej. Wszystko jasne?

– Mowa.

– Co to znaczy „mowa”?

– Tak jest, zrobię to.

– Takie wyrażenia są puste, nic nie znaczą. – Rhyme wciąż był zły i urażony, ponieważ uważał, że Poitier ich zdradził – i to nie tylko odmawiając im pomocy.

Kiedy sunęli wyboistymi ulicami Nassau, wpadł mu do głowy pewien pomysł.

– Gdy tam będziesz, sprawdź, czy ten dziennikarz, który zginął, Eduardo de la Rúa, zostawił coś w hotelu. Bagaż, notatnik, komputer. I zrób wszystko, żeby to zdobyć.

– Jak?

– Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę mieć wszystkie notatki albo nagrania zrobione przez de la Rúa. Policja niezbyt starannie zbierała dowody. Może w South Cove Inn coś zostało.

– Może jest nagranie Morena, kiedy mówi, że ktoś go śledził.

– Niewykluczone – odparł cierpkim tonem Rhyme. – Albo nagranie głosu Morena.

Pulaski westchnął. Thom się uśmiechnął.

Młody policjant zastanawiał się przez chwilę.

– De la Rúa był dziennikarzem. Może miał aparat fotograficzny? I przed zabójstwem zrobił parę zdjęć pokoju albo terenu wokół hotelu?

– Nie pomyślałem o tym. Dobrze. Tak. Może na zdjęciu będzie ten, kto go śledził. – Nagle Rhyme’a znów ogarnęła złość. – Władze Wenezueli. Brednie.

Zabrzęczała jego komórka. Lincoln spojrzął na wyświetlacz.

Odebrał.

– Słucham pana.

Czyżby Poitiera wyrzucono z policji? Dzwonił, żeby przeprosić za to, że stracił panowanie nad sobą, kiedy znów powtarzał, że w żaden sposób nie może pomóc?

Funkcjonariusz mówił drgającym od gniewu szeptem: – Codziennie jem lunch.

– Proszę?

– Pracuję na takiej zmianie – ciągnął szorstko Poitier. – Jem lunch o trzeciej po południu. Chce pan wiedzieć, gdzie jem lunch?

– Czy chcę...

– To proste pytanie, kapitanie Rhyme – warknął starszy posterunkowy. – Chce pan wiedzieć, gdzie codziennie jem lunch?

– Owszem, chcę wiedzieć – wykrztusił Rhyme, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi.

– Jem lunch w Hurricane's na Baillou Hill Road. Niedaleko West Street. Tam właśnie jem lunch.

W słuchawce zapadła cisza. Potem rozległ się cichy trzask, ale Rhyme wyobrażał sobie, że Poitier z całej siły wdusił widełki telefonu.

– No, no. – Zrelacjonował pozostałym treść rozmowy. – Zdaje się, że jednak będzie skłonny nam pomóc.

– Albo ma zamiar nas aresztować – zauważył Pulaski.

Rhyme chciał zaprotestować, uznał jednak, że młody policjant może mieć rację.

– Na wszelki wypadek – gdybyś się nie mylił, nowy – zmieniamy plan. Thom i ja zjemy lunch i/lub zostaniemy aresztowani. Prawdopodobnie jedno i drugie. Ty sam pojedziesz do South Cove Inn. Wynajmiemy ci samochód. Thom, nie mijaliśmy przypadkiem wypożyczalni?

– Avis. Mam tam pojechać?

– Oczywiście. Przecież nie pytałem z ciekawości.

– Dobry nastrój ani na chwilę cię nie opuszcza, Lincoln. Nie męczy cię to?

– Do wypożyczalni samochodów. Proszę.

Rhyme zauważył, że dzwonił do niego Lon Sellitto. Nie odebrał z powodu „dyskusji” z Poitierem. Detektyw nie zostawił żadnej wiadomości. Rhyme oddzwonił, ale odezwała się poczta głosowa. Nagrał mu wiadomość i schował telefon.

Thom dzięki GPS-owi znalazł wypożyczalnię Avis i ruszył w jej stronę. Po kilku minutach powiedział niepewnie: – Lincoln?

– Co?



– Ktoś za nami jedzie. Na pewno.

– Nie oglądaj się, nowy! – Rhyme z oczywistych powodów spędzał niewiele czasu w terenie, ale gdy był w czynnej służbie, często pracował przy „gorących” miejscach zdarzenia – gdzie sprawca nadal mógł pozostawać w pobliżu, aby zobaczyć, kto prowadzi śledztwo, jakie ślady znalazła ekipa, a czasem nawet próbować zabić funkcjonariuszy. Instynkt, jaki w sobie wykształcił w ciągu lat pracy, wciąż go nie zawodził. Zasada numer jeden brzmiała: kiedy ktoś cię obserwuje, nigdy nie daj po sobie poznać, że zauważyłeś.

– Z przeciwka nadjeżdżał samochód – ciągnął Thom – ale kiedy go minęliśmy, zawrócił. Najpierw uznałem, że nie ma się czym przejmować, ale robimy dość duże koło, a on ciągle jest za nami.

– Opisz wóz.

– Żółty mercury z czarnym winylowym dachem. Mniej więcej dziesięcioletni.

W wieku wielu samochodów na wyspie.

Asystent Rhyme’a zerknął w lusterko.

– Jada nim dwie... nie, trzy osoby. Czarni mężczyźni. Około trzydziestu lat. T-shirty, szary i zielony. Jedna żółta koszulka bez rękawów. Nie widzę twarzy.

– Mówisz jak gliniarz z patrolu, Thom. – Rhyme wzruszył ramionami. – Po prostu policja ma nas na oku. Komendant McPherson nie jest zachwycony intruzami w mieście.

Thome znów spojrzał w lusterko wsteczne, mrużąc oczy.

– To chyba nie są gliny, Lincoln.

– Dlaczego?

– Kierowca ma kolczyki, a facet obok niego dredy.

– Kamuflaż.

– I podają sobie skręta.

– No dobra, może rzeczywiście nie gliny.

## ROZDZIAŁ 33

Niewiele jest bardziej ohydnych rzeczy od chemicznego dymu po eksplozji improwizowanego ładunku z plastycznym materiałem wybuchowym.

Amelia Sachs czuła jego zapach i smak. Zadrżała, gdy duszące wyziewy poraziły jej zmysły.

I jeszcze to dzwonienie w uszach.

Stała przed tym, co zostało po Java Hut, czekając – niecierpliwie – aż ekipa pirotechników skończy obchód. Zebrałaby ślady sama, ale fachowcy od materiałów wybuchowych z szóstego komisariatu w Greenwich Village zawsze pierwsi wchodzili na miejsce wybuchu, żeby poszukać dodatkowych ładunków, które mogły eksplodować z opóźnieniem i zabić ratowników. Była to powszechnie stosowana technika, przynajmniej w krajach, gdzie stosowano bomby jako jeden ze sposobów deklaracji politycznych. Może Don Bruns zdobył swoje umiejętności za granicą.

Sachs pstryknęła palcami nad każdym uchem i z zadowoleniem stwierdziła, że przez szum słyszy całkiem dobrze.

To, co uratowało życie jej i klientom kawiarni, z początku wzbudziło jej śmiech.

Razem z Jerryem, wytatuowanym kierownikiem Java Hut, weszli do małego, słabo oświetlonego biura, gdzie znajdował się komputer. Przysunęli sobie krzesła i Jerry wstukał hasło w starej wersji Windows.

– To program do zapisu wideo. – Uruchomił go, a potem pokazał jej, jakich poleceń ma używać do przeglądania plików mpg, do przewijania nagrań, zatrzymywania obrazu w stopklatce i zapisywania fragmentów jako oddzielne pliki, aby je przesłać albo skopiować do pamięci przenośnej.

– Rozumiem, dzięki.

Pochyliła się i spojrzała z bliska na ekran monitora podzielony na cztery części, z których każda ukazywała obraz z innej kamery: dwóch umieszczonych w sali, jednej znad kasy i jednej zainstalowanej w biurze.

Właśnie zaczęła przewijać do tyłu zapis od dziś do jedenastego maja, gdy na ekranie zauważyła jakiegoś mężczyznę wchodzącego do kantorka, w którym właśnie siedziała.

Zaraz. Coś tu nie pasuje. Zatrzymała obraz.

Co jest nie tak?

No jasne. Zaśmiała się. We wszystkich innych scenach ludzie poruszali się do tyłu, ponieważ cofała nagranie. Ale w zapisie z biura mężczyzna poruszał się do przodu, co oznaczało, że w rzeczywistości wychodził z kantorka tyłem.

Po co?

Pokazała to Jerry'emu, który w przeciwieństwie do niej nawet się nie uśmiechnął.

– Proszę spojrzeć na datę i godzinę. To było dziesięć minut temu. Nie wiem, kto to jest. Ten człowiek u nas nie pracuje.

Mężczyzna był szczupły, miał czapkę bejsbolową, która kryła chyba krótkie włosy. Był ubrany w wiatrówkę i nosił mały plecak.

Kierownik wstał i podszedł do tylnych drzwi. Sprawdził.

– Otwarte. Cholera, włamał się!

Sachs przewinęła wideo jeszcze dalej wstecz, po czym włączyła odtwarzanie. Zobaczyli, jak mężczyzna wchodzi do biura, kilka razy próbuje zalogować się do komputera, a potem usiłuje go podnieść, ale uniemożliwiają to stalowe taśmy mocujące urządzenie do podłogi. Następnie zerknął na monitor i chyba się zorientował, że jest filmowany. Zamiast się odwrócić i spojrzeć w kamerę, wycofał się z kantorka.

Sachs wiedziała, że to musiał być snajper.

Jakimś sposobem też dowiedział się o informatorze w kawiarni i przyszedł sprawdzić, czy uda mu się ustalić jego tożsamość. Zapewne usłyszał kroki Sachs i Jerry'ego zmierzających do biura. Odtwarzając ponownie wideo, Sachs zauważyła, że przed wyjściem mężczyzna wsunął za komputer jakiś mały przedmiot. Co...

Cholera, nie!

Za komputerem zostawił ładunek wybuchowy. Nie mógł skraść della, postanowił go więc zniszczyć. Próbować rozbroić ładunek czy nie? Nie, lada chwila mogło dojść do wybuchu.

– Opuścić budynek! – krzyknęła. – Bomba! W kawiarni jest bomba! Ewakuacja! Niech wszyscy wyjdą z budynku!

– Ale przecież...

Sachs chwyciła Jerry'ego za rękę pokrytą chińskimi ideogramami i pociągnęła go w stronę sali, wołając do baristów, pomocnika w kuchni i klientów, żeby uciekali. Pokazała odznakę.

– Policja, proszę się ewakuować! Jest wyciek gazu!

Tłumaczenie, skąd się wzięła bomba, byłoby zbyt skomplikowane.

Ładunek eksplodował zaraz potem, gdy wypchnęła za drzwi ostatniego klienta, upartego studenta, który się żalił, że nie dostał jeszcze dolewki.

Kiedy nastąpił wybuch, Sachs nadal była w środku. Poczowała go w piersi i w uszach, podłoga drgnęła pod jej stopami. Roztrzaskały się szyby w dwóch oknach i prawie całe wnętrze rozsypało się na kawałki. W ułamku sekundy całą kawiarnię spowił obrzydliwy gryzący dym. Sachs wyskoczyła przez drzwi, ale pozostała wyprostowana, była bowiem pewna, że gdyby rzuciła się na beton – jak w scenie z typowego thrillera – kolano nigdy by jej tego nie wybaczyło.

Przez frontowe drzwi wyszli właśnie pirotechnicy.

– Czysto – usłyszała, choć miała wrażenie, jakby porucznik mówił do niej przez kłęb gęstej waty. Wybuch naprawdę był głośny. Prędkość detonacji plastycznego materiału sięga ośmiu tysięcy metrów na sekundę.

– Co to było? – zapytała, odgadując z jego uśmiechu, że krzyczy.

– Będziemy dokładnie wiedzieli, kiedy wyślemy szczegółowe dane do biura i do ATF. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to ładunek wojskowy, znaleźliśmy odłamek w kolorach maskujących. Broń przeciwpiechotna. Ale całkiem nieźle nadaje się do wysadzania wszystkiego w pobliżu celu.

– Na przykład komputerów.

– Słucham? – Policjant nie zrozumiał.

Ponieważ słuch jej szwankował, tym razem odezwała się za cicho.

– I komputerów.

– Do niszczenia komputerów nadaje się naprawdę nieźle – odparł funkcjonariusz jednostki pirotechników. – Twardy dysk rozleciał się na tysiące kawałeczków i większość z nich się stopiła. Rozpieprzył się w drobny mak.

Podziękowała. Nadjechał bus ekipy z wydziału kryminalistyki z Queens, furgonetka załadowana sprzętem do zabezpieczania śladów. Znała dwoje funkcjonariuszy, Azjatkę i korpulentnego chłopaka z Georgii. Pomachała do nich ręką. Przyjechali jej pomóc, ale zgodnie z zasadą Lincolna Rhyme'a, zamierzała sama zrobić obchód po siatce.

Z dłońmi na biodrach obejrzała dymiące zgliszcza Java Hut.

Rany...

Amatorski ładunek wybuchowy pozostawia najbardziej charakterystyczny zapach na świecie, lecz powoduje także największe zanieczyszczenie miejsca eksplozji.

Sachs ubrała się w kombinezon z tyveku – luksusowy model produkcji Evident, który chroni człowieka przed niebezpiecznymi materiałami, a równocześnie chroni samo miejsce zdarzenia przed technikiem. Ze względu na dym nałożyła jeszcze szczelne gogle i maskę z filtrem.

W pierwszej chwili pomyślała: Jak Lincoln będzie mnie słyszał przez tę maskę?

Zaraz przypomniała sobie jednak, że nie będzie się z nim mogła kontaktować przez łącze radiowe ani wideo, jak to zwykle robiła. Była zdana na siebie.

Znów ogarnęło ją uczucie zimnej pustki.

Daj spokój, powiedziała sobie ze złością. Bierz się do roboty.

Trzymając w jednej ręce torebki na dowody, zaczęła chodzić po siatce w zrujnowanym lokalu. Skupiła się na zbieraniu fragmentów samej bomby, których było niewiele, jak uprzedził ją pirotechnik. Szczególnie wstrząsnął nią fakt, że podejrzany zamiast ładunku burzącego użył takiego, który miał zabijać ludzi.

Skoncentrowała się na trasie, którą sprawca wszedł i wyszedł: zbadła tylne wyjście, gdzie Bruns się włamał i gdzie zniszczenia spowodowane wybuchem były najmniejsze. Zebrała dziesiątki próbek z alejki i futryny drzwi – na tyle dużo, aby ustalić, jakie substancje występują powszechnie w tej części miasta. Każda nietypowa substancja mogła być dowodem pozostawionym przez sprawcę i wskazać jego dom albo miejsce pracy.

Nie była pewna, na ile to się przyda. Jak w każdej alejce Nowego Jorku było tu tyle przeróżnych śladów, że trudno będzie wyodrębnić spośród nich te istotne. Często nadmiar dowodów sprawiał taki sam kłopot jak ich brak.

Skończywszy obchód po siatce, szybko zdjęła kombinezon – nie dlatego, że obawiała się zanieczyszczenia, ale ponieważ cierpiała na klaustrofobię i denerwował ją ciasny plastik.

Oddychając głęboko, zamknęła na chwilę oczy i opanowała przykre uczucie.

Informator... jak znaleźć go teraz, gdy zapis z kamer przestał istnieć?

Zadanie wydawało się beznadziejne. Każdy, kto zacierał za sobą ślady, wysyłając e-mail przez skomplikowany system serwerów proxy, musiał starannie wybrać miejsce, z którego przesłał dokumenty. Na pewno nie był stałym klientem Java Hut, nie zapłacił też kartą kredytową. Ale nagle pomyślała: a inni klienci? Mogłaby odnaleźć kilku, którzy byli tu około pierwszej po południu jedenastego maja. Może zwrócili uwagę na iBook, komputer o niecodziennym wyglądzie. A może turyści robili sobie zdjęcia telefonem komórkowym i przypadkowo uchwycili na nich informatora.

Podeszła do zdruzgotanego Jerry'ego, szefa nieistniejącej już kawiarni, i poprosiła go o dane na temat płatności kartami kredytowymi. Kiedy wreszcie oderwał smutny wzrok od ruin, zadzwonił do centrali Java Hut. Po dziesięciu minutach miała już nazwiska kilkunastu klientów, którzy byli w lokalu w momencie wysłania maila. Podziękowała mu i przesłała te informacje Lonowi Sellitto.

Następnie zadzwoniła do detektywa.

Zapytała go, czy może przekazać funkcjonariuszom Wydziału do Zadań Specjalnych Billa Myersa prośbę, żeby sprawdzili, czy któraś z osób z listy robiła tego dnia zdjęcie w Java Hut albo czy pamięta kogoś z dziwnym staromodnym komputerem.

– Jasne, Amelia, nie ma sprawy – odparł Sellitto. – Zajmę się tym. – Stęknął. – Sprawa nabiera całkiem nowego wymiaru. Ładunek? Myślisz, że to Bruns czy jak on się tam nazywa?

– Moim zdaniem to musiał być on. Trudno to było zobaczyć na ekranie, ale mniej więcej pasował do rysopisu, który podała pokojówka z South Cove Inn. Sprząta po wykonanym zadaniu. Prawdopodobnie na polecenie Metzgera. – Zaśmiała się z goryczą. – A w Java Hut lepiej nie można było posprzątać.

– Jezu, Metzgerowi i Brunsowi kompletnie odwaliło. Tak im zależy na kontynuowaniu planu egzekucji, że zabijają niewinnych ludzi.

– Posłuchaj, Lon, chcę, żeby na razie tego nie ujawniać.

Parsknął szorstkim śmiechem.

– Jasne. Wybuch bomby na Manhattanie?

– Możemy ogłosić, że to był wyciek gazu i trwa wyjaśnianie okoliczności? Żeby utrzymać to w tajemnicy przez parę dni.

– Zrobię, co się da. Ale wiesz, jakie są te cholerne media.

– Proszę tylko o dzień czy dwa.

– Spróbuję – mruknął.

– Dzięki.

– W każdym razie słuchaj, dobrze, że dzwonicz. Chłopcy Myersa namierzili tę kobietę, z którą Moreno jeździł po mieście pierwszego maja, Lydię. Za kilka minut będą mieli jej adres i numer telefonu.

– prostytutkę?

Zachichotał.

– Kiedy z nią pogadasz, przekonasz się, że to słowo raczej do niej nie pasuje.

## ROZDZIAŁ 34

Wolno unosząc prawą dłoń do ust, Lincoln Rhyme skosztował morskiego ślimaka w cieście – chrupkiego z wierzchu i miękkiego w środku – skropionego odrobiną domowego sosu chili. Następnie sięgnął po puszkę piwa Kalik i pociągnął łyk.

Restauracja Hurricane's – ciekawa nazwa, zważywszy na miejscową pogodę – była skromnie urządzonym lokalem na zarośniętej zielskiej bocznej uliczce w centrum Nassau. Jasnoniebieskie i czerwone ściany, podłoga z wypaczonych drewnianych desek i sfatygowane zdjęcia przedstawiające miejscowe plaże – a może na Goa albo na wybrzeżu New Jersey; nie można było rozpoznać, gdzie je zrobiono. U sufitu obracało się powoli kilka wentylatorów, które ani trochę nie łagodziły upału. Drażniły tylko muchy.

Podawano tu jednak chyba najlepsze jedzenie, jakiego Rhyme kiedykolwiek próbował.

Chociaż uznał, że każde danie, które można samodzielnie nadziać na widelec, zamiast pozwalać je sobie podawać, jest z natury wyśmienite.

– Ślimak – rzekł z zadumą. – Tkanka brzuchonogów nie była dowodem w żadnej mojej sprawie. Raz skorupy ostryg. Bardzo aromatyczne danie. Mógłbyś je przyrządzić w domu?

Siedzący naprzeciwko Rhyme'a Thom wstał i poszedł poprosić kucharza o przepis. Potężna kobieta w czerwonej chuście, przypominająca marksistowską rewolucjonistkę, zanotowała mu go, instruując, żeby zawsze używał świeżych ślimaków.

– Nigdy z puszki. Przenigdy.

Dochodziła trzecia i Rhyme zaczynał się zastanawiać, czy starszy posterunkowy nie zwiódł ich zaproszeniem do restauracji, żeby po prostu czymś się zajęli, podczas gdy sam, tak jak podejrzewał Pulaski, przygotowywał się do ich aresztowania.

Rhyme postanowił się tym nie przejmować i znów poczęstował się ślimakiem i piwem.

U ich stóp zebrał o resztki szaro-czarny pies. Rhyme nie zwracał na niego uwagi, ale Thom podsuwał kundlowi kawałki smażonego ciasta i pieczywa. Pies miał opadające uszy i długi pysk.

– Już ci nie da spokoju – mruknął Rhyme. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Kelnerka, szczuplejsza i młodsza wersja kucharki, prawdopodobnie jej córka, powiedziała:

– Takie mieszańce spotyka się tylko na naszych wyspach. Kiedyś karmiono je reszkami przypalonego ryżu i groszku z dna garnków.

– I kręcą się po restauracjach? – spytał sardonycznym tonem Rhyme.

– O tak. Klienci je bardzo lubią.

Rhyme mruknął coś pod nosem i popatrzył na drzwi, gdzie lada chwila spodziewał się ujrzeć albo Mychala Poitiera, albo dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy Królewskiej Policji Bahamów z nakazem aresztowania.

Usłyszał dzwonek swojego telefonu i wyciągnął go z kieszeni.

– Nowy, co masz?



– Jestem w South Cove Inn. Mam numer człowieka, który dzwonił w sprawie rezerwacji Morena. Z centrali sieci komórkowej na Manhattanie.

– Doskonale. Pewnie telefon na kartę, nie do wykrycia. Ale Rodney będzie potrafił zawęzić poszukiwania do całkiem małego obszaru. Może znajdzie biuro, fitness club albo Starbucks, gdzie nasz snajper lubi wypić latte. To nie potrwa...

– Ale...

– Nie, sprawa jest prosta. Rodney może wyjść od stacji bazowych, a potem interpolować sygnał z sąsiednich wież. Snajper pewnie się już pozbył aparatu, lecz zarejestrowane dane powinny...

– Lincoln!

– Co?!

– To nie jest telefon na kartę i ciągle jest aktywny.

Rhyme na chwilę oniemiał. Mieli niewiarygodne szczęście.

– Możesz mnie już posłuchać? – zapytał go Ron Pulaski.

Rhyme odzyskał mowę.

– Nowy! Do rzeczy!

– Telefon jest zarejestrowany na Dona Bruns.

– Naszego snajpera.

– Właśnie. Do konta telefonicznego Bruns podał numer ubezpieczenia i adres.

– Jaki?

– Skrytkę pocztową na Brooklynie. Wykupioną przez podstawioną spółkę z Delaware. A numer ubezpieczenia jest fałszywy.

– Ale mamy telefon. Niech Rodney zacznie sprawdzać lokalizacje i aktywność numeru. W tym momencie nie możemy liczyć na założenie podsłuchu, lecz dowiedz się, czy Lonowi albo komuś innemu udałoby się przekonać sąd, żeby pozwolił skubnąć chociaż pięciosekundowy fragment rozmowy do analizy spektrograficznej.

Wtedy porównałoby się próbkę głosu z plikiem dźwiękowym przesłanym przez informatora, by potwierdzić, że z telefonu naprawdę korzysta snajper.

– I powiedz Fredowi Dellrayowi, żeby zobaczył, kto stoi za tą firmą z Delaware.

– Powiem. Mam coś jeszcze. Ten dziennikarz, de la Rua, nie zostawił nic w hotelu. Przyjechał na wywiad z torbą czy aktówką, ale na pewno zabrała ją policja razem z ciałami.

Ciekawe, czy Poitier – gdyby naprawdę się pojawił i był w nastroju do współpracy – udostępni im te rzeczy.

– Czekam, żeby porozmawiać z pokojówką o tym Amerykaninie, który przyjechał dzień przed zabójstwem. Powinna przyjść za pół godziny.

– Fachowa robota, Pulaski. Jesteś ostrożny? Rzucił ci się w oczy ten mercury, którym jechali za nami amatorzy trawki?

– Nie, patrzyłem i nic. A u was... Zaraz. Jeżeli mnie pytasz, to znaczy, że ich zgubiliście.

Rhyme rozciągnął wargi w uśmiechu. Chłopak się uczył.

## **ROZDZIAŁ 35**

A więc Lydia nie jest prostytutką – powiedziała Amelia Sachs.

– Nie – odparł Lon Sellitto. – Jest tłumaczką.

– To nie przykrywka dla pracy call girl? Na pewno?

– Na sto procent. Sprawdzona. Od dziesięciu lat jest tłumaczką, pracuje dla dużych korporacji i firm prawniczych. Mimo to zajrzałem jeszcze do kartotek. Ma czyste konto w miejskiej, stanowej, FBI, NCIC. Wygląda na to, że Moreno już wcześniej korzystał z jej usług.

Sachs zaśmiała się drwiąco.

– Pomyliłam się. Panienska z agencji, terrorystka. Rany! Jeżeli naprawdę pracuje jako tłumaczka,

Moreno nie kazałby jej uczestniczyć w żadnych nielegalnych spotkaniach, ale niewykluczone, że może wiedzieć coś ważnego. Prawdopodobnie ma o nim dużo informacji.

– Prawdopodobnie – zgodził się Sellitto.

Co dokładnie wiedziała Lydia? – zastanawiał się Jacob Swann, siedząc pochylony w swoim nissanie zaparkowanym w Midtown i słuchając tej rozmowy na żywo. Znow podłączył się do telefonu 3G Amelii Sachs, co nie było trudne. Ucieszył się, że jednak nie została zmieciona przez wybuch ładunku w Java Hut. To był trop na wagę złota.

– Jakie zna języki? – pytała Sachs. Swann zdobył numer identyfikacyjny komórki jej rozmówcy. Dowiedział się od ludzi z obsługi technicznej, że to Lon Sellitto, także funkcjonariusz nowojorskiej policji.

– Rosyjski, niemiecki, arabski, hiszpański i portugalski.

Ciekawe. Swann jeszcze bardziej pragnął poznać jej nazwisko i adres. Jeśli państwo pozwolą.

– Pojadę ją przesłuchać.

Nie mogłoby się złożyć lepiej: detektyw Sachs i świadek razem w prywatnym mieszkaniu. Plus Jacob Swann i kai shun.

– Masz długopis?

– Jestem gotowa.

Ja też, pomyślał Jacob Swann.

– Nazywa się Lydia... – zaczął Sellitto.

– Zaczekaj! – krzyknęła Sachs.

Swann skrzywił się i odsunął od ucha telefon.

– O co chodzi?

– Coś jest nie tak, Lon. Właśnie mi to przyszło do głowy. Skąd sprawca wiedział o Java Hut?

– To znaczy?

– Nie przyjechał tu za mną. Dostał się do kawiarni pierwszy. Skąd się o niej dowiedział?

– Cholera jasna. Myślisz, że podsłuchuje twój telefon?

– Możliwe.

Niech to szlag! Swann westchnął.

– Znajdę jakiś inny telefon – ciągnęła Sachs. – Stacjonarny. Zadzwonię do ciebie przez numer centrali.

– Jasne.

– Wyrzucam komórkę. Tobie radzę to samo.

Rozłączyli się i Jacob Swann usłyszał w słuchawce głuchą ciszę.

## **ROZDZIAŁ 36**

Z początku Amelia Sachs uznała, że wystarczy wyciągnąć z telefonu baterię.

Potem jednak opadły ją paranoiczne obawy, sącząc się jak woda przez źle uszczelnione ściany piwnicy w jej domu na Brooklynie, więc wrzuciła aparat do studzienki ściekowej przed dymiącą jamą pozostałą po Java Hut.

Znalazła policjanta z patrolu i wymieniła dziesięciodolarówkę – najdrobniejszy banknot, jaki miała – na drobne wartości czterech dolarów. Z najbliższego automatu zadzwoniła pod numer centrali na komendzie głównej policji i została połączona.

– Sellitto.

– Lon?

– Myślisz, że naprawdę podsłuchiwał? – zapytał.

– Wolę nie ryzykować.

– W porządku, niech ci będzie. Ale trochę mnie to wkurzyło. To była komórka z nowym Androidem. Skurwiel. A teraz jesteś gotowa?

Miała w ręku długopis, notes chybotął się na brudnej półeczce pod automatem.

– Mów.

– Tłumaczka nazywa się Lydia Foster. – Podał jej adres na Trzeciej Alei oraz numer telefonu.

– Jak zespół Myersa ją znalazł?

– Odwalili kawał czarnej roboty. Zaczęli od ostatniego piętra biurowca, przed którym umówiła się z Morenem, a potem chodzili od drzwi do drzwi przez dwadzieścia dziewięć pięter. Naturalnie trwało to całe wieki, bo trafili dopiero na trzecim piętrze. Tłumaczyła tam na zlecenie jakiegoś banku.

– Zaraz do niej zadzwonię. – Po chwili dodała: – Cholera, jak mu się udało podłączyć do naszych telefonów? Przecież nie każdy potrafi to zrobić.

– Facet ma cholernie dobre dojścia – mruknął Lon Sellitto.

– Zna też twój numer – zauważyła. – Uważaj na siebie.

Zaśmiał się szorstko.

– Linc na pewno by nie pochwalił takiego banału.

Jego słowa sprawiły, że jeszcze bardziej odczuła nieobecność Rhyme'a.

– Dam ci znać, czego się dowiedziałam – powiedziała.

Kilka minut później rozmawiała z Lydią Foster, tłumacząc jej powód telefonu.

– Ach, pan Moreno. Tak, z wielką przykrością przyjąłem tę wiadomość. W ciągu ostatniego roku trzy razy dla niego tłumaczyłam.

– Za każdym razem w Nowym Jorku?

– Zgadza się. Ludzie, z którymi się spotykał, dość dobrze mówili po angielsku, ale chciał z moją pomocą rozmawiać z nimi w ich ojczystym języku. Uważał, że dzięki temu będzie ich mógł lepiej zrozumieć. Prosił, żebym nie tylko tłumaczyła słowa, ale mówiła mu, jaki w moim odczuciu jest ich stosunek do niego.

– Spotkałam się z kierowcą, który pierwszego maja woził państwa po mieście. Powiedział, że w drodze rozmawiała pani z panem Moreno na ogólne tematy.

– Zgadza się. Był bardzo towarzyski.

Serce Sachs zabiło mocniej. Ta kobieta mogła być kopalnią informacji.

– Z iloma osobami spotkali się państwo podczas jego ostatniego pobytu w mieście?

– Chyba z czterema. Z organizacji non profit prowadzonych przez Rosjan, z osobami z Dubaju i z konsulatu Brazylii. Spotykał się też z kimś beze mnie. Ta osoba mówiła po angielsku i hiszpańsku. Nie byłam mu potrzebna, więc czekałam w Starbucksie na dole w biurówcu.

– Chciałabym przyjechać i porozmawiać z panią.

– Bardzo proszę, w miarę możliwości postaram się pomóc. Jestem cały dzień w domu. Znajdę zapisy tłumaczeń z tamtego dnia i uporządkuję.

– Ma pani wszystkie kopie?

– Każdego słowa. Zdziwiłaby się pani, ile razy klienci gubią to, co im prześlę, albo nie robią zapasowych kopii.

Jeszcze lepiej.

W tym momencie zabrzączał jej telefon, informując o nadejściu wiadomości, która była oznaczona jako pilna.

– Proszę chwileczkę poczekać – powiedziała do Lydii Foster i przeczytała SMS.

Telefon Bruna jest aktywny. Spektrografia głosu potwierdziła – to on. Namierzamy go w czasie rzeczywistym. Jest teraz na Manhattanie. Zadzwoń do Rodneya Szarnka.

Ron

– Pani Foster – powiedziała – muszę się czymś jeszcze zająć, ale niedługo u pani będę.

## ROZDZIAŁ 37

Rhyme właśnie skończył piwo Kalik w restauracji Hurricane's, gdy usłyszał za sobą głos:

– Jest pan.

Mychal Poitier.

Na niebieskiej koszuli starszego posterunkowego widniały plamy potu jak atramentowe kleksy z tablic testu Rorschacha, a jego ciemne spodnie ze szkarłatnymi lampasami były zabrudzone piaskiem i błotem. Miał ze sobą plecak. Pomachał do kelnerki, która uśmiechnęła się do niego i zdziwiła, gdy zajął miejsce przy niepełnosprawnym Amerykaninie. Nie pytając go, czego sobie życzy, od razu przekazała zamówienie do kuchni i podała mu napój kokosowy.

– Spóźniłem się, bo, przykro mi to powiedzieć, znaleźliśmy tę studentkę. Utonęła. Przepraszam na chwilę, wyślę tylko raport. – Wyciągnął z plecaka iPada w sfatygowanym skórzanym pokrowcu i włączył. Wpisał kilka słów, po czym wysłał wiadomość. – Dzięki temu będę miał dla pana trochę czasu. Powiem im, że musiałem załatwić kilka spraw związanych z jej śmiercią. – Wskazał głową iPada. – Nieszczęśliwy wypadek – rzekł z poważną miną. Rhyme'owi przyszło do głowy, że w drogówce, gdzie Poitier trafił na początku służby, a potem w wydziale kontroli działalności gospodarczej i koncesji prawdopodobnie miał niewiele okazji, by doświadczyć na własnej skórze tragedii, które zasadniczo zmieniają funkcjonariuszy organów ścigania, hartując ich albo osłabiając. – Utonęła w miejscu, które na ogół nie jest niebezpieczne, ale wygląda na to, że wcześniej piła. W jej samochodzie znaleźliśmy rum i colę. Ach, ci studenci. Wydaje im się, że są nieśmiertelni.

– Mogę zobaczyć? – poprosił Rhyme.

Poitier odwrócił ekran urządzenia i Rhyme obejrzał wolno przesuujące się zdjęcia. Ciało ofiary było upiornie blade od utraty krwi i pomarszczone od przebywania w wodzie. Większą część twarzy i szyi wyjadły ryby czy inne morskie stworzenia. Trudno było rozpoznać wiek dziewczyny. Rhyme nie przypominał sobie z ulotki, ile miała lat. Zapytał o to Poitiera.

– Dwadzieścia trzy.

– Co studiowała?

– W College’u Nassau przez jeden semestr literaturę latynoamerykańską. Poza tym pracowała – i oczywiście imprezowała. – Poitier westchnął. – Widocznie za bardzo. Dzwoniłem już do jej rodziny w Ameryce. Przyjadą po ciało. – Głos zamarł mu w gardle. – Nigdy wcześniej nie musiałem do nikogo dzwonić z taką wiadomością. To było bardzo trudne.

Miała zgrabną, wysportowaną sylwetkę, niewielki tatuaż na ramieniu – promieniste linie – i lubiła złotą biżuterię, choć na szyi, która była teraz pozbawiona skóry, nosiła srebrny naszyjnik z małych listków.

– Zaatakował ją rekin?

– Nie, prawdopodobnie barakuda. Rekiny są u nas rzadkością. Kiedy utonęła, barakudy właśnie wypłynęły na żer. Od czasu do czasu mogą ugryźć pływającego człowieka, ale nie powodują poważniejszych obrażeń. Pewnie porwał ją prąd odpływowy i utonęła. A potem ryby zabrały się do pracy.

Rhyme zauważył, że najbardziej uszkodzona została szyja. Przez strzępy ciała widać było grube tętnice. Odsłonięta została większa część czaszki.

Nabił na widelec i zjadł następnego ślimaka w cieście. Po chwili podsunął iPada policjantowi.

– Przypuszczam, że nie przyszedł nas pan aresztować.

Poitier się zaśmiał.

– W pewnym momencie przyszło mi to do głowy. Naprawdę się zdenerwowałem. Ale nie, przyszedłem znowu panu pomóc.

– Dziękuję. Gwoli sprawiedliwości powiem panu wszystko, co wiem. – I opowiedział o KSWO, o Metzgerze i snajperze.

– Pokój Straceń. Co za suche, techniczne określenie.

Wiedząc, że Poitier jest mniej więcej po jego stronie, Rhyme poinformował go, że Pulaski czeka na rozmowę z pokojówką w South Cove Inn, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o rekonesansie przeprowadzonym przez snajpera dzień przed zabójstwem Morena.

Poitier się skrzywił.

– Policjant z Nowego Jorku musi wykonywać moje obowiązki. Do czego to doszło przez politykę.

Kelnerka przyniosła mu lunch – duszone warzywa z kawałkami ciemnego mięsa, chyba drobiowego albo koziego. Do tego smażone grzanki. Poitier oderwał kawałek chleba i nakarmił nim psa. Następnie przysunął talerz i założył sobie serwetkę za koszulę, dokładnie w miejscu, gdzie do guzika przy kołnierzyku był przymocowany łańcuszek biegnący do kieszeni na piersi. Wstukał coś do iPada, po czym podniósł wzrok.



– Kiedy będę jadł, mogę opowiedzieć Thomowi o Bahamach, o ich historii i kulturze. Jeżeli chciałby posłuchać.

– Chciałbym.

Poitier przysunął iPada bliżej Rhyme’a.

– A pan, kapitanie, może zechce obejrzeć zdjęcia naszych pięknych krajobrazów. Mam je w galerii.

Gdy starszy posterunkowy i Thom pograżyli się w rozmowie, Rhyme zaczął przeglądać fotografie.

Zdjęcie rodziny – zapewne rodziny Poitiera – na plaży. Uroczą żonę i roześmiane dzieci. Potem przy grillu w towarzystwie kilkunastu osób.

Zdjęcie zachodu słońca.

Zdjęcie występu muzycznego w szkole podstawowej.

Zdjęcie pierwszej strony raportu z zabójstwa Roberta Morena.

Poitier jak szpieg sfotografował dokument aparatem iPada.

Rhyme popatrzył na starszego posterunkowego, ale policjant nie zwracał na niego uwagi, udzielając Thomowi lekcji historii kolonii i dzieląc się lunchem z psem.

Na początku znalazł się odtworzony przez Poitiera opis ostatnich dni spędzonych na ziemi przez Morena.

Razem ze swoim ochroniarzem Simonem Floresem Moreno przyjechał do Nassau w niedzielę siódmego maja wieczorem. Poniedziałek spędzili poza hotelem, prawdopodobnie na spotkaniach. Moreno nie był chyba amatorem skuterów wodnych ani pływania z delfinami. Następnego dnia, który rozpoczął o dziewiątej rano, przyjął kilku gości. Krótco po ich wyjściu, około wpół do jedenastej, zjawił się dziennikarz Eduardo de la Rua. Strzał nastąpił około jedenastej piętnaście.

Poitier zidentyfikował i przesłuchał gości Morena. Byli to miejscowi biznesmeni działający w branży rolnej i transportowej. Moreno planował założenie z nimi spółki joint venture po otwarciu na Bahamach oddziału swojego Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej. Prowadzili legalną działalność i od lat byli szanowani w świecie biznesu Nassau.

Żaden ze świadków nie zeznał, że Moreno był przez kogoś obserwowany ani że ktoś się nim szczególnie interesował – jeśli nie liczyć telefonu przed jego przyjazdem i wizyty Amerykanina w hotelu.

Następnie Rhyme przeszedł do raportu z oględzin miejsca zdarzenia. Był rozczarowany. Ekipa techników bahamskiej policji ujawniła czterdzieści siedem odcisków palców nienależących do ofiar – ale przeanalizowała zaledwie połowę z nich. Ustalono, że wszystkie pozostawił personel hotelu. Notatka w aktach informowała, że pozostałe znalezione odciski zaginęły.

Niewiele wysiłku włożono w zebranie śladów z samych ofiar. W sprawie zabójstwa dokonanego przez snajpera informacje o miejscu, gdzie została zastrzelona ofiara, na ogół nie są tak istotne, ponieważ sprawca znajdował się w dużej odległości. W tym przypadku snajper jednak był w hotelu, chociaż dzień wcześniej, i mógł nawet wśliznąć się do Pokoju Straceń, aby sprawdzić widok z okna i ustalić dogodne miejsce do oddania strzału. Niewykluczone, że zostawił jakieś ślady, nawet jeśli był w rękawiczkach. Ale w pokoju nie zabezpieczono prawie nic z wyjątkiem papierków po cukierkach i kilku niedopałków papierosów leżących obok popielniczki niedaleko zwłok ochroniarza.

Następne zdjęcia w iPadzie, przedstawiające sam Pokój Straceń, dużo wyjaśniały. Moreno został zastrzelony w salonie apartamentu. Wszystko i wszystkich w pokoju pokrywała warstwa odłamków szkła. Moreno leżał na wznak na kanapie z odchylną do tyłu głową i otwartymi ustami; na koszuli miał plamę krwi, pośrodku której widniała duża czarna kropka – rana wlotowa. Obicie kanapy oblepiała zakrzepła ciemna krew pochodząca z rozległej rany wylotowej po kuli snajpera.

Dwie pozostałe ofiary leżały niedaleko kanapy: mocno zbudowany Latynos zidentyfikowany na fotografii jako Simon Flores, ochroniarz Morena, oraz elegancki łysiejący mężczyzna z bródką, w wieku pięćdziesięciu kilku lat, dziennikarz de la Rua. Ich zakrwawione ciała były pokryte potłuczonym szkłem, a skóra rozorana i porozcinana w kilkudziesięciu miejscach.

Dalej znajdowało się zdjęcie kuli leżącej na podłodze obok niewielkiej tabliczki do oznaczania dowodów z numerem 14. Pocisk utkwiał w dywanie kilkadziesiąt centymetrów od kanapy.

Rhyme przesunął stronę, spodziewając się zobaczyć coś więcej.

Ale na następnej fotografii znów ujrzał starszego posterunkowego z żoną siedzących na leżakach.

Nie patrząc w jego stronę, Poitier powiedział:

- Nie ma nic więcej.
- A protokół z sekcji?
- Przeprowadzono jedną. Nie mamy wyników.
- Ubrania ofiar? – dopytywał się Rhyme.

Policjant w końcu skierował na niego wzrok.

- Są w kostnicy.
- Prosiłem mojego współpracownika, który jest w South Cove Inn, żeby ustalił, co się stało z aparatem fotograficznym dziennikarza, dyktafonem i innymi rzeczami, które de la Rua miał przy sobie. Powiedział mi, że trafiły do kostnicy. Bardzo chciałbym je zobaczyć.

Poitier zaśmiał się sceptycznie.

- Ja też chciałbym.

– Chciałby pan?

– Tak, słusznie się pan domyśla, kapitanie. Kiedy zacząłem o nie pytać, już zniknęły, razem z cenniejszymi przedmiotami należącymi do ofiar.

Na zdjęciu zwłok Rhyme zauważył, że ochroniarz miał zegarek Rolex, a z jego kieszeni wystawały ciemne okulary Oakley. Przy ciele dziennikarza leżało złote pióro.

– Widocznie przy oględzinach miejsca trzeba się bardzo spieszyć z zabezpieczaniem dowodów – dodał Poitier. – Właśnie się tego uczę. Pamięta pan adwokata, o którym wspominałem?

– Wybitny prawnik.

– Owszem – przytaknął Poitier. – Kiedy został zamordowany i zanim zjawili się nasi detektywi, splądrowano pół kancelarii.

– Ale ma pan kulę – zauważył Rhyme.

– Tak. Zamkniętą w naszym magazynie dowodów. Pamięta pan, że kiedy wyszliście z komendy, miałem spotkanie z zastępcą komendanta McPhersonem? Kazał mi, żebym mu dostarczył wszystkie dowody w sprawie Morena. Zamknął je i zaplombował. Nikt inny nie ma do nich dostępu. Och, zabronił mi też jakichkolwiek kontaktów z panem.

Rhyme westchnął.

– Rzeczywiście nie chcą pchnąć tej sprawy do przodu.

Z goryczą, jakiej Rhyme jeszcze nie słyszał, Poitier odrzekł:

– Ależ sprawa poszła do przodu. Została nawet zamknięta. Morena zamordowały kartele narkotykowe w odwecie. Nie wiadomo za co, przecież nikt nic nie wie o kartelach. – Policjant skrzywił się, a po chwili zniżył głos. – Kapitanie Rhyme, nie mogę pokazać panu dowodów fizycznych, chociaż miałem taką nadzieję. Ale mogę zostać pana przewodnikiem.

– Przewodnikiem?

– Tak jest. Na południowo-zachodnim brzegu New Providence mamy wspaniałą atrakcję turystyczną. Wąski cypel długości kilometra, niszczone przez huragany, który składa się przede wszystkim ze skał i plaż z brudnym piaskiem. Najciekawsze miejsca to wysypisko śmieci, zakłady obróbki metalu, często wymieniane jako truciciel środowiska, i firma, która utylizuje opony.

– Brzmi cudownie – rzekł Thom.

– Pewien amerykański turysta odwiedził ten cypel dziewiątego maja. Około jedenastej piętnaście przed południem. Miał stamtąd malownicze widoki, zwłaszcza na South Cove Inn. Widział hotel jak na dłoni, w odległości dokładnie tysiąca dziewięciuset trzydziestu metrów. Pomyślałem sobie, że jako turyście też spodobałyby się panu te widoki. Mam rację?

- Ma pan absolutną rację.
- Wobec tego powinniśmy tam pojechać. Nie będę mógł zbyt długo pracować jako przewodnik.

## ROZDZIAŁ 38

Pędząc w kierunku dolnego Manhattanu, Amelia Sachs rozłączyła się z Rodneyem Szarnkiem z wydziału przestępczości komputerowej. Rozmawiała z nim przez telefon na kartę – za który zapłaciła z własnej kieszeni, oczywiście gotówką – i była pewna, że rozmowa nie została podsłuchana przez człowieka, którego właśnie próbowali namierzyć.

Szarnek poinformował ją, że snajper KSWO właśnie rozmawia przez komórkę w okolicy Wall Street i porusza się pieszo. Podał ogólną lokalizację i jechała we wskazany przez niego rejon. Po dotarciu na miejsce miała zadzwonić, aby Rodney spróbował określić dokładniejszą pozycję snajpera.

Wcisnęła pedał sprzęgła, zredukowała bieg z międzygazem, a potem ford torino cobra pomknął naprzód, pozostawiając jak swój podpis dwa bliźniacze ślady opon na betonie.

Lawirowała wśród samochodów, dopóki nie zobaczyła w oddali korka.

Postanowiła pojechać objazdem i skręcić w przecnicę prowadzącą na wschód. Chciała zawrócić, ale by ominąć lekkomyślnego pieszego, musiała wykonać skręt o trzysta sześćdziesiąt stopni. Spróbowała jeszcze raz i po chwili mknęła bocznymi uliczkami, kierując się na wschód i południe, w stronę Wall Street.

– Psiakrew! – mruknęła, natykając się na następny korek. Skręciła w najbliższą boczną ulicę, w miarę przejezdną, okazało się jednak, że wjechała pod prąd w drogę jednokierunkową. Jej manewr wywołał panikę i kakofonię klaksonów. Kilku kierowców pokazało jej środkowy palec. Śmignęła obok taksówki, zanim kierowca zdążył zjechać na chodnik, a po chwili znalazła się na Broadwayu i skierowała się na południe. Przystawała na prawie każdym czerwonym świetle.

Praktyka ujawniania organom ścigania informacji o aktywności i lokalizacji telefonów przez operatorów sieci komórkowych budzi wiele kontrowersji. W sytuacjach zagrożenia dostawcy usług telefonicznych na ogół współpracują bez nakazów. W innym razie większość domaga się decyzji sądu. Rodney Szarnek nie chciał ryzykować, więc gdy Pulaski przekazał mu z Bahamów numer telefonu snajpera, skontaktował się z sędzią i otrzymał stosowny dokument – upoważniający policję do pięciosekundowego podsłuchu w celu uzyskania próbki głosu oraz do zlokalizowania urządzenia.

Szarnek, stosując metodę triangulacji, ustalił z grubsza współrzędne i dowiedział się, że telefon był aktywny w okolicy rogu Broadwayu i Warren Street. W tym momencie pracował nad interpolacją sygnałów z pobliskich anten. Poszukiwanie na obszarze zurbanizowanym było stosunkowo łatwe, ponieważ zbudowano tu znacznie więcej wież niż na wsi. Utrudniała mu zadanie rzecz jasna duża liczba użytkowników, spośród których musiał wyodrębnić podejrzanego.

Liczył na to, że na ślad naprowadzą go dane GPS, najbardziej miarodajne dla lokalizacji telefonu komórkowego, za których pomocą zdoła ustalić położenie snajpera z dokładnością do kilku metrów.

Wreszcie Sachs dotarła w pobliże wskazanego przez niego rejonu, skręciła z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, omijając o kilka centymetrów autobus i budkę z hot dogami, po czym z piskiem opon zatrzymała się na bocznej uliczce Broadwayu. Poczła zapach palonej gumy, nostalgiczny i kojący.

Spojrzała na setki przechodniów, z których mniej więcej co dziesiąty rozmawiał przez telefon. Czy wśród nich był snajper? Ten szczupły i młody, krótko ostrzyżony mężczyzna w spodniach khaki i roboczej koszuli? Sprawiał wrażenie wojskowego. A może tamten ponury mężczyzna o ciemnej karnacji, w źle dopasowanym garniturze, który rozglądał się podejrzliwie zza przyciemnianych okularów? Wyglądał jak płatny morderca, chociaż mógł być też księgowym.

Zastanawiała się, jak długo Bruns będzie rozmawiał. Gdyby się rozłączył, nadal będą go mogli śledzić, chyba że wyjmie baterię. Łatwiej było jednak namierzyć kogoś, kto właśnie korzystał z telefonu.

Nie zapomniała też, że to mogła być pułapka. Za dobrze pamiętała eksplozję w Java Hut. Snajper wiedział o śledztwie. Najwyraźniej wiedział też o niej; z podsłuchanej rozmowy dowiedział się o kawiarni. Znowu przebiegł jej po plecach dreszcz lęku.

Zadzwoniła jej komórka.

– Sachs.

– Mam go na GPS-ie! – wykrzyknął Rodney Szarnek z entuzjazmem nastolatka (kiedyś powiedział, że praca gliniarza jest prawie tak samo fajna jak gra w Grand Theft Auto). – To dane w czasie rzeczywistym, z serwera operatora. Idzie zachodnią stroną Broadwayu. Jest teraz przy Vesey.

– Idę. – Sachs ruszyła we wskazanym kierunku, czując ból w lewym biodrze; widocznie nie wystarczyło, że dokuczało jej kolano. Sięgnęła do tylnej kieszeni i obok sprężynowca namacała opakowanie advilu. Rozerwała je zębami, szybko połknęła tabletki i wyrzuciła pusty blister do

śmieci.

Chciała jak najszybciej zbliżyć się do celu.

– Zatrzymał się – powiedział Szarnek. – Może na światłach.

Poruszając się slalomem między przechodniami, tak samo jak wcześniej między samochodami, Sachs znalazła się bliżej skrzyżowania, na którym paliło się czerwone światło dla pojazdów i pieszych zmierzających na południe.

– Ciągle tam jest – ciągnął Szarnek. W tym momencie w jego biurze nie dudniła muzyka rockowa.

Zobaczyła, jak w odległości dziesięciu metrów zapaliło się zielone światło. Tłum ludzi czekających na chodniku ruszył na drugą stronę ulicy.

– Idzie. – Przy następnym skrzyżowaniu Szarnek oznajmił beznamiętnym głosem: – Właśnie się rozłączył.

Cholera.

Sachs przyspieszyła kroku, szukając wzrokiem kogoś, kto chowałby telefon. Nikogo takiego nie zauważyła. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to była ostatnia rozmowa, jaką snajper przeprowadził przez namierzony telefon. Był przecież zawodowcem. Musiał wiedzieć, że korzystanie z komórki wiąże się z ryzykiem. Może zamierzał wrzucić aparat do tego samego cmentarza kanalizacyjnego co ona.

Na Dey Street zapaliło się czerwone światło. Sachs musiała się zatrzymać. Stała w grupie około dwudziestu osób – biznesmenów, robotników budowlanych, studentów, turystów. Białych, Azjatów, Latynosów, czarnych i wszystkich kombinacji ras.

– Amelia? – W słuchawce odezwał się głos Rodneya Szarnka.

– Mów – powiedziała.

– Jest połączenie przychodzące. Powinien mu teraz zadzwonić telefon.

W tym momencie usłyszała brzęczenie komórki tkwiącej w kieszeni mężczyzny po prawej stronie, bardzo blisko niej.

Stali dosłownie ramię w ramię.

Pasował do skąpego rysopisu mężczyzny w South Cove Inn, który podał im Mychal Poitier, policjant z Bahamów: biały mężczyzna o wysportowanej sylwetce, szczupły. Był w wiatrówce i sznurowanych wysokich butach wypolerowanych na błysk. Czapka bejsbolowa przykrywała włosy. Sachs nie widziała, czy są brązowe; raczej ciemnoblond, ale świadkowie mogli je określić jako brązowe. Były krótko ostrzyżone.

Typ wojskowego.

– Jasne. To bardzo ciekawe – powiedziała wesoło do telefonu.

– Jesteś obok niego? – zapytał Szarnek.

– Jak najbardziej. – Nie wczuwaj się za bardzo w rolę, powiedziała sobie.

Zmieniło się światło i puściła go przodem.

Zastanawiała się, czy mogłaby coś zrobić, żeby ustalić tożsamość tego mężczyzny. Przed kilku laty prowadziła z Rhyme'em sprawę, przy której pomagała im młoda iluzjonistka. Dziewczyna opanowała do perfekcji umiejętność złodzieja kieszonkowego, ale zapewniała ich ze śmiechem, że korzysta z nich tylko na scenie – Sachs przemknęło przez myśl, że bardzo by się teraz przydała. Może sama umiałaby wsunąć palce do jego kieszeni i rąbnąć mu portfel albo jakiś kwit?

Uznała, że to niemożliwe. Nawet gdyby posiadała takie zdolności, mężczyzna wydawał się zbyt czujny i często się rozglądał.

Szli dalej Broadwayem, mijając Liberty. Nagle snajper skręcił w prawo w Zuccotti Park, w tym momencie pusty. Równocześnie Szarnek powiedział:

– Idzie na zachód przez Zuccotti.

– Masz rację. – Dalej grała swoją rolę, choć snajper prawdopodobnie jej nie słyszał.

Szła za nim na ukos przez park. Na zachodnim końcu skierował się na południe, idąc Trinity Place.

– Jak chcesz to załatwić, Amelia? – zapytał Szarnek. – Mam wezwać wsparcie?

Wahała się. Nie mogli go aresztować; mieli za mało dowodów.

– Będę mu siedzieć na ogonie, jak długo się da. – Zaryzykowała, przestając udawać i zwracając się wprost do Szarnka; snajper znalazł się już za daleko, aby mógł ją słyszeć. – Jeżeli będę miała szczęście, wsiądzie do swojego samochodu i zobaczę numery. Jeżeli nie, może będę musiała pojechać metrem do Far Rockaway. Zadzwonię.

Udając, że dalej rozmawia przez telefon, przyspieszyła, minęła snajpera, po czym przystanąła na następnym czerwonym świetle. Odwróciła się, jak gdyby pochłonięta rozmową, wycelowwała w niego obiektyw aparatu w komórce i kilka razy nacisnęła przycisk migawki. Kiedy zmieniły się światła, pozwoliła snajperowi pierwszemu przejść przez ulicę. Był zajęty swoją rozmową i chyba nie zwrócił uwagi na Sachs.

Znów ruszając za nim, zadzwoniła do Szarnka.

– W porządku, właśnie się rozłączył – poinformował ją policjant.

Widziała, jak snajper wsuwa telefon do kieszeni. Kierował się w stronę dziesięcio- czy dwunastopiętrowego budynku w ciemnym kanionie Rector Street. Zamiast wejść od frontu, ruszył do alejki wzdłuż bocznej ściany. W połowie wąskiego przejścia skręcił, nałożył na szyję smycz z identyfikatorem i wszedł przez bramę na jakiś parking najeżony groźnie wyglądającym drutem kolczastym.

Pozostając w cieniu murów, Sachs poprosiła Szarnka, żeby połączył ją z Sellitem. Powiedziała detektywowi, że znalazła snajpera i potrzebuje zespołu obserwacyjnego, żeby go dalej śledził.

– Świetnie, Amelia. Zaraz pchnę kogoś z Zadań Specjalnych.

– Wyślę parę jego zdjęć. Niech się skontaktują z Rodneyem. Namierza jego telefon i da im znać, kiedy snajper zacznie się przemieszczać. Zaczekam tu na nich. Potem pojedę przesłuchać Lydię Foster.

– Gdzie dokładnie jesteś? – zapytał Sellitto.

– Na Rector Street osiemdziesiąt pięć. Przeszedł przez bramę z boku budynku, na parking. Albo dziedziniec. Nie chciałam za blisko podchodzić.

– Jasne. Co to za budynek?

Sachs parsknęła śmiechem. Właśnie dostrzegła dyskretną tabliczkę: „Krajowa Służba Wywiadowczo-Operacyjna”.

– Jego biuro – powiedziała.

## **ROZDZIAŁ 39**

Straszna wiadomość: sympatyczny pan Moreno nie żyje.



Lydia Foster zaparzyła sobie właśnie filiżankę kawy w swoim mieszkaniu na Trzeciej Alei, wybierając spośród setek kapsulek tę o smaku orzechów laskowych, a potem wróciła do salonu, zastanawiając się, kiedy przyjedzie ta policjantka.

Lydia bardzo go lubiła. Inteligentny, uprzejmy. Prawdziwy dżentelmen. Wiedziała, że jest niezłe zbudowana i mówiono o niej, że jest atrakcyjna, ale w przeciwieństwie do wielu zleceniodawców pan Moreno nigdy z nią nie flirtował. Kiedy pierwszy raz dla niego pracowała, kilka miesięcy temu, pokazał jej zdjęcia swoich dzieci – uroczych! Czasem mężczyźni używali tej sztuczki jako preludium do zalotów, co Lydia uważała za niesmaczny chwyt, nawet jeśli stosowali go samotni ojcowie. Ale gdy zobaczyła zdjęcia jego brzdąców, zaraz potem pan Moreno pokazał jej fotografię żony i oznajmił, że nie może się doczekać rocznicy ich ślubu.

Co za miły człowiek. Grzeczny – otwierał jej drzwi samochodu, chociaż miał szofera. Czarujący. I gadatliwy. Prowadzili bardzo zajmujące dyskusje. Moreno pisał na blogach i w czasopiśmie, prowadził program radiowy, a ona zarabiała na życie, tłumacząc słowa innych. Rozmawiali o podobieństwach między językami, a nawet o aspektach technicznych: mianowniku, celowniku i dopełniaczu, o odmianach czasowników. Powiedział jej, że żywi głęboką niechęć do angielskiego, chociaż był to jego ojczysty język. Uznała, że to osobliwe. Można nie lubić ostrego brzmienia takiej czy innej mowy – na przykład niemieckiego czy xhosa – albo zniechęcić się trudnościami w jej opanowaniu, jak w przypadku japońskiego, ale Lydia nigdy nie słyszała, żeby ktoś nie lubił jakiegoś języka w ogóle.

Uważał, że angielski jest chaotyczny i leniwy (przez swoje wszystkie nieregularne konstrukcje), niejasny i nieelegancki. Okazało się jednak, że prawdziwy zarzut był nieco inny.

– I narzucają go ludziom na całym świecie. To po prostu jeszcze jeden sposób, żeby uzależnić inne narody od Stanów Zjednoczonych.

Ale pan Moreno miał bardzo zdecydowane poglądy na wiele spraw. Kiedy zaczynał perorować o polityce, nie można mu było przerwać. Lydia starała się odwozić go od tych tematów.

Będzie musiała powiedzieć policjantce o swoim wrażeniu, że pan Moreno niepokoił się o swoje bezpieczeństwo. Często się rozglądał, kiedy jechali przez miasto i szli na spotkania. Raz, kiedy wyszli z jednego spotkania i zmierzali na następne, pan Moreno nagle się zatrzymał.

– Spójrz na tego człowieka. Chyba widzieliśmy go przed tamtym biurem, prawda? Obserwuje nas?

Osobą, na którą zwrócił uwagę, był biały młody mężczyzna o posępnej twarzy, który przeglądał czasopismo. Już to wydało się Lydii dziwne, jak gdyby wzięte żywcem ze staroświeckiego kryminału, w którym prywatny detektyw śledzi podejrzanego, udając, że czyta na ulicy gazetę. Nikt nie wystaje na ulicach Nowego Jorku, czytając zadrukowany papier; wszyscy patrzą w iPhone'y i blackberry.

Lydia koniecznie musiała powiedzieć policjantce o tym incydencie; może tamten człowiek miał coś wspólnego ze śmiercią pana Morena.

Grzebiąc w segregatorach, zebrała notatki ze zleceń, które otrzymała od pana Morena w ciągu

ostatnich kilku miesięcy. Zachowała wszystkie materiały. Jako tłumaczka od czasu do czasu współpracowała z policją i systemem sądowniczym. Nauczyła się bardzo skrupulatnie przechowywać wszelkie dokumenty związane z takimi sprawami, ponieważ błędnie sformułowane pytania śledczego albo odpowiedzi podejrzanego mogły doprowadzić do skazania niewinnego człowieka albo uniewinnienia faktycznego sprawcy. Przeniosła tę staranność na swoją komercyjną działalność.

Policja dostanie prawie tysiąc stron zawierających przetłumaczone słowa i materiały dotyczące nieżyjącego pana Morena.

Rozległ się dzwonek domofonu i Lydia poszła odebrać.

– Słucham?

– Pani Foster, jestem z policji – powiedział męski głos. – Wcześniej rozmawiała pani z detektyw Sachs, zgadza się? Niestety, coś ją zatrzymało, więc poprosiła mnie, żebym przyjechał zadać pani kilka pytań na temat Roberta Morena.

– Oczywiście, proszę. Mieszkanie dwanaście B.

– Dziękuję.

Kilka minut później ktoś zapukał do drzwi. Lydia wyjrzała przez wizjer i zobaczyła trzydziestokilkuletniego sympatycznego mężczyznę w garniturze. W wyciągniętej ręce trzymał otwarty portfel ze złotą policyjną odznaką.

– Zapraszam – powiedziała, otwierając zamek i zdejmując łańcuch.

Skinął głową na powitanie i wszedł do środka.

Gdy tylko zamknęła drzwi, zauważyła, że coś jest nie tak z jego rękami. Były pomarszczone. Nie, miał na nich rękawiczki w cielistym kolorze.

Zmarszczyła brwi.

– Chwileczkę...

Zanim zdążyła krzyknąć, otwartą dłonią uderzył ją mocno w krtań.

Rzęząc, osunęła się na podłogę.

## ROZDZIAŁ 40

Czasem ludzie zastanawiali Jacoba Swanna.

Albo ktoś jest staranny, albo nie. Albo cierpliwie szorujesz stalową patelnię z miedzianym dnem, żeby usunąć najmniejszy ślad przypalenia, albo nie. Albo przygotowujesz suflet ściśle według przepisu, żeby wyrósł dziesięć centymetrów nad krawędź kokilki, albo dajesz sobie spokój i podajesz na deser Häagen-Dazs, lody o pseudoskandynawskiej nazwie produkowane w Stanach Zjednoczonych.

Stojąc nad leżącą na podłodze, zgiętą w pół i krztuszącą się Lydią Foster, myślał o Amelii Sachs.

Była na tyle sprytna, by zniszczyć swój telefon (jego technicy ustalili, że naprawdę został zniszczony, nie po prostu wykastrowany), potem jednak popełniła błąd i zadzwoniła do detektywa Sellitto z automatu znajdującego się zaledwie kilka metrów od Java Hut. Zanim to zrobiła, ci sami technicy w centrali podłączyli podsłuch do tego telefonu – i kilku innych w pobliżu (choć oczywiście oficjalnie twierdzili, że nie wiedzą, jak to zrobić, a gdyby nawet wiedzieli, nigdy by tego nie zrobili).

Czasem piekarnik nawali właśnie wtedy, gdy masz przygotowany do pieczenia comber jagnięcy – i musisz improwizować.

Jak można się było spodziewać, Sachs przekazała Lonowi Sellitto – i niechący Jacobowi Swannowi – dane Lydii Foster.

Swann bezszelestnie obszedł mieszkanie, sprawdzając, czy są sami. Miał chyba niewiele czasu. Sachs powiedziała, że się spóźni, ale prawdopodobnie wkrótce się zjawi albo zadzwoni. Zaczekać na nią? Będzie się musiał nad tym zastanowić. Oczywiście niewykluczone, że nie przyjedzie sama. Wprawdzie miał pistolet, lecz uważał strzelanie, w przeciwieństwie do cięcia nożem, za najbardziej niechlujny sposób załatwiania spraw.

Gdyby jednak Sachs była sama? Pojawiało się kilka rozwiązań.

Schował nóż i wrócił do tłumaczki. Złapał ją za włosy i kołnierz bluzki, po czym posadził ją na ciężkim krześle w jadalni i przywiązał przewodem odciętym od lampy tanim praktycznym nożem – oczywiście nie Kai Shun. Tego ostrza nie używał nawet do przecinania sznurka, którym związywał roladę wołową, jedno ze swoich ulubionych dań.

Lydia, z trudem łapiąc powietrze po uderzeniu w krtań, trzęsła się i wierzgała nogami. Z jej oczu płynęły łzy.

Jacob Swann sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął z drewnianej pochwy nóż Kai Shun. Nie zareagowała gwałtowniej niż dotąd. Przerazenie budzi w nas tylko coś zaskakującego. A ona się tego spodziewała.

„Mój mały rzeźnik”...

Kucnął obok wydającej nieludzkie dźwięki i dygoczącej Lydii.

– Bądź cicho – szepnął jej do ucha.

Pomyślał o Bahamach, gdzie był wczoraj, o Annette, która bełkotała, leżąc na polanie niedaleko plaży, wśród srebrzystych palm i namorzynów oplecionych w duszącym uścisku przez pnącza o pomarańczowych kwiatach.

Tłumaczka nie spełniła polecenia, choć trochę się uspokoiła.

– Mam kilka pytań. Będą mi potrzebne wszystkie materiały z twojej pracy u Roberta Morena. O czym rozmawialiście. I z kim się spotykaliście. Ale najpierw... z iloma policjantami rozmawiałś o Robercie Morenie? – Obawiał się, że po Amelii Sachs mógł dzwonić ktoś inny.

Pokręciła głową.

Jacob Swann oparł lewą rękę na wierzchu jej dłoni, mocno przywiązanej do oparcia krzesła.

– To nie jest liczba. Z iloma policjantami?

Znów wydała kilka dziwacznych odgłosów, a potem, gdy przesunął ostrze noża po jej palcach, szepnęła:

– Z ani... jednym.

Spojrzała w kierunku drzwi. Czyli wierzyła, że może się uratować, jeśli będzie grała na zwłokę i zdąży przyjechać policja.

Jacob Swann zacisnął palce lewej dłoni i oparł knykcie na karbach ostrza Kai Shun. Krawędź tnąca znalazła się poniżej środkowego i serdecznego palca. W ten sposób wszyscy szanujący się kucharze trzymali noże przy siekaniu i krojeniu, chroniąc końce palców przed niebezpiecznym ostrzem. Podczas krojenia trzeba bardzo uważać. Kilka razy skaleczył sobie palce. Ból był niewyobrażalny; w palcach znajduje się więcej zakończeń nerwowych niż w innych częściach ciała.

– Teraz zapytam cię jeszcze raz – szepnął.

## ROZDZIAŁ 41

Droga do gniazda snajpera na wąskim pasku lądu niedaleko South Cove Inn trwała bardzo długo.

Mychal Poitier poprowadził Thoma skomplikowaną trasą do głównej autostrady, która doprowadziła ich do celu – South West Road. Chcieli sprawdzić, czy nadal jedzie za nimi złoty mercury. Poitier zapewnił ich, że takim samochodem nie poruszają się prowadzący obserwację funkcjonariusze Królewskiej Policji Bahamów. Ogon mógł mieć coś wspólnego z Morenem albo z czymś zupełnie innym. Może dobrze ubrany bezbronny Amerykanin na wózku po prostu wzbudził zainteresowanie złodziei.

Rhyme zadzwonił do Pulaskiego, który nadal był w hotelu, i powiedział mu, gdzie ich znajdzie. Młody policjant wciąż czekał na pokojówkę, która mogła powiedzieć coś więcej o zbieraniu informacji przez snajpera dzień przed zabójstwem.

Kiedy minęli lotnisko, ruch na drodze się przerzedził i Thom przyspieszył, prowadząc vana po łagodnym łuku drogi biegnącej wokół wyspy, mijając starannie utrzymane domki, chałupki z praniem na sznurach i kozami w zagrodach, bagna, a potem rozległy obszar lasów i zieleni – park narodowy Clifton.

– Tu, proszę tu skręcić – powiedział Poitier.

Gruntowa droga, w którą wjechali, prowadziła przez otwartą zardzewiałą bramę. Biegła wzdłuż wąskiego pasa lądu wcinającego się w głąb zatoki Clifton. Cypel wznosił się kilka metrów ponad poziomem morza, gdzieniegdzie porastały go drzewa i krzewy; brzeg w niektórych miejscach był kamienisty, w innych piaszczysty. Przy drodze co pewien czas stały tablice ZAKAZ KĄPIELI. Przyczyny nie podawano, ale woda była obrzydliwie zielona i nie zachęcała do pływania.

Thom trzymał się drogi biegnącej skrajem północnego krańca cypla, obok obiektów przemysłowych, o których Poitier wspomniał wcześniej w restauracji. Pierwszym z nich, przy skrzyżowaniu South West Road i jakiejś drogi bez nazwy, było wysypisko śmieci, gdzie płonęło kilka ognisk i krążyło kilkanaście osób w poszukiwaniu czegoś, co miałoby jakąkolwiek wartość. Obok znajdowała się firma utylizacji opon, wreszcie zakład obróbki metalu złożony z kilku tak lichych bud, że wydawało

się, jakby mógł je przewrócić lada podmuch, nie mówiąc już o huraganie. Każda z firm miała ręcznie wykonany szyld ze swoją nazwą. Ogrodzenia wieńczył drut kolczasty, a za nimi krążyły czujne, krępe psy o szerokich klatkach piersiowych – zupełnie niepodobne do kundelka, z którym jedli wspólnie lunch.

W powietrzu unosiły się żółto-szare obłoki dymu, na przekór wiatrowi, za ciężkie, by mógł je rozproszyć.

Gdy Thom ostrożnie jechał podziurawioną drogą, po prawej stronie nagle rozpostarł się przed nimi widok na lazurową zatokę i olśniewająco błękitne niebo z białymi chmurkami gęstymi jak kłębki waty. W odległości mniej więcej dwóch kilometrów rysował się ląd i budynki South Cove Inn wraz z otaczającym je terenem. W którymś punkcie północnego krańca cypla, może sto metrów dalej, zajął stanowisko snajper.

– Gdzieś tu – powiedział Rhyme. Thom podjechał do zatoczki i zaparkował. Kiedy wyłączył silnik, wewnątrz samochodu wypełniły dwa dźwięki – miarowy łomot dobiegający z zakładów metalowych i cichy szum fal załamujących się na skałach przy brzegu.

– Najpierw to – powiedział Poitier. Sięgnął do plecaka, wyciągnął coś i podał Rhyme’owi. – Chce pan?

To był pistolet. Glock. Bardzo podobny do broni Amelii Sachs. Poitier sprawdził, czy jest naładowany, i odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory. Glock nie miał żadnego bezpiecznika; żeby strzelić, wystarczyło nacisnąć spust.

Rhyme popatrzył na pistolet, zerknął na Thoma, po czym wziął pistolet do prawej ręki. Nie przepadał za bronią. Prawdopodobieństwo, że jej użyje – przynajmniej w swojej specjalności kryminalistyka – było równe zeru i zawsze obawiał się chwili, gdy będzie musiał strzelić. Niechęć nie brała się z lęku przed zabiciem napastnika, ale ze świadomości, jak nawet pojedynczy strzał może zanieczyścić miejsce zdarzenia. Dym, siła podmuchu, ślady powystrzałowe, opary...

Obawy dotyczyły również tej sytuacji, ale co ciekawe, zdumiało go poczucie siły, jakie dała mu broń.

Poczucie siły u człowieka zupełnie bezradnego po wypadku.

– Tak – odrzekł.

Choć nie czuł tego palcami, glock jak gdyby wrastał mu w skórę, stając się częścią nowej ręki. Starannie wycelował przez okno w taflę wody, przypominając sobie szkolenie ze strzelania. Przyjmij założenie, że każda broń jest naładowana, nigdy nie mierz do celu, jeżeli nie jesteś gotowy postać w niego kuli, nigdy nie strzelaj, jeżeli nie widzisz dokładnie, co znajduje się za celem, nigdy nie kładź palca na spuście, dopóki nie jesteś gotowy oddać strzału.

Rhyme był dobrym strzelcem, ponieważ jako naukowiec potrafił wykorzystać fizykę i obliczyć, jak umieścić pocisk w pożądanym miejscu.

– Tak – powtórzył i wsunął glocka do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wysiedli z vana i rozejrzeli się po okolicy. Zobaczyli rury i ścieki odprowadzające wodę do oceanu, dziesiątki kopców mułu wysokości dużych mrowisk oraz wałające się pustaki, części samochodowe i rdzewiejące elementy maszyn przemysłowych.

Zakaz kąpieli...

Doprawdy.

– Przez tę mgiełkę niewyraźnie widać – powiedział Thom – a hotel jest bardzo daleko. Jak mógł stąd tak dokładnie trafić?

– Miał specjalny celownik – odparł Poitier. – Układ optyki adaptatywnej, lasery.

Jego odpowiedź rozbawiła Rhyme'a. Starszy posterunkowy najwyraźniej zbadał sprawę bardziej dogłębnie, niż się do tego przyznawał – i na pewno bardziej, niż życzyłby sobie zastępca komendanta McPherson.

– Mogło też być bardziej przejrzyste powietrze.

– Nigdy nie jest przejrzyste – odrzekł Poitier, wskazując niski komin zakładu utylizacji opon, plujący żółto-zielonym i brunatnym dymem.

Otoczeni mdlącym zapachem zgniłych jaj i rozgrzanej gumy ruszyli w stronę brzegu. Rhyme przyglądał się badawczo ziemi, szukając najlepszego punktu na gniazdo snajperskie – osłoniętego, z odpowiednim zagłębieniem, by oprzeć karabin. Nadawało się do tego co najmniej kilka miejsc.

W oględzinach nikt im nie przeszkadzał; byli prawie sami. Po drugiej stronie drogi zatrzymał się jakiś pikap. Kierowca w szarej koszulce z plamami potu, rozmawiając przez komórkę, podszedł do skrzyni wozu i zaczął wyrzucać worki ze śmieciami do rowu przy drodze. Wyglądało na to, że w pojęciu Bahamczyków śmiecenie nie jest przestępstwem. Rhyme słyszał też jakiś śmiech i okrzyki dobiegające zza ogrodzenia zakładu obróbki metalu, ale poza tym mieli cypel dla siebie.

Szukając gniazda, Thom i Poitier szli, a Rhyme jechał przez miejsca porośnięte chwastami, przez miękką ziemię i piasek. Wózek Storm Arrow niezłe zachowywał przyczepność na nierównym terenie. Poitier i Thom mogli bardziej zbliżyć się do brzegu, więc Rhyme mówił im, na co mają zwracać uwagę: wycięte zarośla, zagłębienia, ślady stóp i butów prowadzące do płaskich miejsc.

– Szukajcie też piaszczystych placków. – Nawet wyrzucona łuska pozostawia charakterystyczny ślad. – To musi być zawodowiec – wyjaśniał Rhyme. – Pewnie miał trójnog albo worki z piaskiem, żeby podeprzeć broń, ale mógł też wykorzystać kamienie i tak je zostawić. Szukajcie kamieni w dziwnych pozycjach, na przykład leżących jeden na drugim. Przy strzale z takiej odległości karabin musiał być zupełnie nieruchomy.

Zmrużył powieki – gryzący dym i wiatr drażniły go w oczy.

– Chętnie znalazłbym jakąś łuskę – powiedział. Wątpił jednak, że snajper zostawiłby po sobie taki ślad; zawodowcy zawsze je zbierali, ponieważ łuski kryły w sobie mnóstwo informacji o broni i strzelcu. Spojrzał w wodę, zastanawiając się, czy nie wrzucił jej tutaj. Morze w tym miejscu było czarne i prawdopodobnie bardzo głębokie.

– Przydałby się nurek.

– Niestety, nie możemy wezwać naszych nurków, kapitanie – rzekł z żalem Poitier. – To przecież nie jest nawet śledztwo.

– Tylko wycieczka po wyspie.

– Otóż to.

Rhyme podjechał bliżej krawędzi lądu i popatrzył w dół.

– Uważaj – ostrzegł Thom.

– Ale ja lubię nurkować – dodał Poitier. – Mógłbym tu potem wrócić i sprawdzić, czy coś leży na dnie. Pożyczę podwodne latarki z naszego przybrzeżnego posterunku.

– Zrobiłby pan to?

Starszy posterunkowy też spojrział w wodę.

– Tak. Jutro...

To, co się potem stało, rozegrało się błyskawicznie.

W mgnieniu oka.

Na dźwięk stukotu zawieszenia i syku źle pracującego silnika Rhyme, Thom i Poitier odwrócili się w stronę gruntowej drogi, którą właśnie przyjechali. Zobaczyli złotego mercurego zmierzającego prosto w ich kierunku. Tym razem w samochodzie siedziały tylko dwie osoby.

Rhyme zrozumiał. Zerknął do tyłu. Mężczyzna w szarym T-shircie, który przywiózł pikapem śmieci, przebiegł przez wąską drogę i rzucił się na wyciągającego broń Poitera. Pistolet wylądował na ziemi. Napastnik szybko zerwał się na nogi i mocno kopnął zaskoczonego policjanta w bok i w głowę.

– Nie! – krzyknął Rhyme.

Mercury zatrzymał się z piskiem hamulców. Wskoczyli z niego dwaj mężczyźni, których widzieli wcześniej, gdy samochód za nimi jechał – jeden z dreadami i w żółtej koszulce bez rękawów, a drugi niższy w zielonym T-shircie. Mężczyzna w zielonej koszulce wyrwał Thomowi komórkę z ręki i zgiał go wół potężnym ciosem w żołądek.



– Nie! – wrzasnął znowu Rhyme. Odruchowo i na próżno.

Mężczyzna w szarym T-shircie zwrócił się do towarzyszy:

– Dobra, widzicie kogoś jeszcze?

– Nie.

Dlatego właśnie rozmawiał przez komórkę. Nie przyjechał tu wcale wyrzucać śmieci. Jechał za nimi i przez telefon zawiadomił pozostałych, że ofiary dotarły na miejsce mordy.

Poitier łapał powietrze, trzymając się za bok.

– Jesteśmy funkcjonariuszami policji ze Stanów Zjednoczonych – oznajmił zdecydowanym tonem Rhyme. – Współpracujemy z FBI. Nie pogarszajcie swojej sytuacji. Po prostu stąd odjedźcie.

Zachowywali się, jak gdyby w ogóle się nie odezwał.

Mężczyzna w szarej koszulce podszedł do pistoletu Poitiera leżącego w kurzu kilka metrów dalej.

– Stój! – rozkazał Rhyme.

Mężczyzna posłuchał. Zdumiony spojrział na kryminalistykę. Pozostali napastnicy znieruchomieli. Patrzyli na glocka w dłoni Rhyme'a. Pistolet na pewno drżał, ale z tej odległości łatwo trafić w tułów.

Ten w szarym wyprostował się i lekko unióśł ręce. Patrzył na pistolet. Potem spojrział na Rhyme'a.

– W porządku. Pan to schowa.

– Cofnąć się wszyscy i położyć twarzą do ziemi.

Dwaj, którzy przyjechali złotym mercurym, zwrócili oczy na mężczyznę w szarej koszulce.

Nikt się nie ruszył.

– Nie zamierzam powtarzać. – Rhyme zastanawiał się, co siła odrzutu zrobi z jego ręką. Przypuszczał, że uszkodzi ścięgna. Chodziło jednak tylko o to, żeby po strzale zdołał utrzymać glocka w ręku. Jeśli zabije herszta, pozostali uciekną.

Myślał o rozkazie zadania specjalnego. Żadnego należytego postępowania sądowego, żadnego procesu. Obrona własna. Zabić, zanim zrobi to nieprzyjaciel.

– Chce pan mnie zastrzelić? – Mężczyzna nagle zhardział i przyglądał mu się badawczo.

Rhyme rzadko miał okazję stawać oko w oko z przeciwnikami. Zwykle spotykał ich przed sądem, gdzie zeznawał jako świadek oskarżenia. Mimo to bez zmrużenia oka wytrzymał spojrzenie herszta.

Ten w żółtej koszulce, z imponującą muskulaturą, zrobił krok naprzód, ale stanął jak wryty, gdy lufa glocka skierowała się w jego stronę.

– Dobra, facet, spoko. – Uniósł ręce.

Rhyme ponownie wycelował w herszta, który nie spuszczał wzroku z broni, trzymając ręce w górze. Uśmiechnął się.

– Tak? Chcesz do mnie strzelić? Nie jestem taki pewien. – Zbliżył się o metr. Przystanął. A potem ruszył prosto na Rhyme'a.

Nie było nic więcej do powiedzenia.

Rhyme zebrał się w sobie, mając nadzieję, że odrzut nie zniszczy rezultatów precyzyjnej operacji, mając nadzieję, że utrzyma pistolet w dłoni. Jego mózg wysłał polecenie zagięcia palca wskazującego.

Ale nic się nie stało.

Glocki – niezawodne austriackie pistolety – mają siłę nacisku spustu rzędu dwóch kilogramów.

Rhyme nie potrafił wykrzesać z siebie tyle siły, by uratować życie swojemu opiekunowi i policjantowi, który ryzykował własną pracę, żeby mu pomóc.

Mężczyzna w szarym T-shircie podchodził dalej, być może zakładając, że człowiek na wózku nie jest na tyle twardy, żeby strzelić, podczas gdy Rhyme rozpaczliwie próbował nacisnąć spust. Jeszcze większym szyderstwem był fakt, że napastnik nie podchodził z boku, ale spokojnie kroczył naprzeciwko drżącej lufy, która była wymierzona w niego.

Zamknął muskularną dłoń na pistolecie i bez trudu wyszarpnął ją z ręki Rhyme'a.

– Jakiś dziwoląg z ciebie, facet. – Cofnął się, położył stopę na piersi Rhyme'a i mocno pchnął.

Storm Arrow odtoczył się o metr i spadł z kamienistego brzegu. Rozległ się donośny plusk. Rhyme razem z wózkiem runął do wody. Głęboko nabrał powietrza i zniknął pod powierzchnią.

Woda nie była głęboka, jej kolor powodowały chemikalia i odpady. Wózek opadł o trzy metry i osiadł na dnie.

Rhyme'owi dudniło w skroniach, płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Obrócił głowę jak mógł najdalej i ustami chwycił pasek płóciennego plecaka zawieszzonego na oparciu wózka. Przyciągnął go, udało mu się objąć prawą ręką pływający pakunek i zębami rozpiąć zamek. Potem pochylił głowę, szukając ustnika przenośnego respiratora. Chwycił go mocno i wsunął między wargi.

Oczy paliły go od zanieczyszczeń, więc przymrużył powieki, ale nie zamykał ich, szukając włącznika urządzenia.

Nareszcie. Jest.

Włączył respirator.

Zapaliły się lampki. Maszyna zaszumiała i Rhyme wciągnął do płuc haust cudownego, świeżego tlenu.

Potem jeszcze jeden.

Trzeciego jednak nie było. Widocznie woda przedostała się przez obudowę i spowodowała zwarcie.

Światelka zgasły. Powietrze przestało płynąć.

W tym momencie Rhyme usłyszał inny dźwięk, stłumiony przez wodę, ale wyraźny. Właściwie dwa dźwięki.

Strzały.

Oznaczały śmierć jego przyjaciół: jednego, którego znał chyba od zawsze, i drugiego, który stał mu się bliski w ciągu zaledwie kilku minionych godzin.

Przy następnym wdechu Rhyme poczuł w ustach wodę.

Pomyślał o Amelii Sachs i jego ciało się rozluźniło.

## **ROZDZIAŁ 42**

Nie.

Och, nie.

Tuż przed piątą po południu zaparkowała przed apartamentowcem Lydii Foster na Trzeciej Alei.

Nie mogła podjechać bliżej – ulicę blokowały radiowozy policyjne i karetki.

Logika podpowiadała jej, że to niemożliwe, aby przyczyną pojawienia się pojazdów ratunkowych była śmierć tłumaczki. Sachs śledziła snajpera przez ostatnie półtorej godziny. Wciąż był w swoim biurze na dolnym Manhattanie. Odjechała dopiero wówczas, gdy pojawił się zespół obserwacyjny z wydziału Myersa. Poza tym jak snajper mógł poznać nazwisko i adres tłumaczki? Uważała, żeby dzwonić tylko z telefonów stacjonarnych i komórek na kartę.

Tak mówiła logika.

Instynkt podpowiadał jednak coś zupełnie innego: Lydia Foster nie żyje, a winę za to ponosi Sachs. Bo nigdy nie wzięła pod uwagę sytuacji, którą właśnie sobie uświadomiła: jest dwóch sprawców. Jednym był człowiek, którego śledziła na ulicach dolnego Manhattanu – wiedziała, że to snajper, bo dowodził tego spektrogram głosu – a drugim niezidentyfikowany zabójca Lydie Foster. Ktoś inny, być może partner snajpera, obserwator tworzący zwykle zespół ze strzelcem wyborowym. Albo niezależny specjalista wynajęty przez Shreve'a Metzgera do sprzątnięcia po egzekucji.

Szybko zaparkowała, rzuciła policyjny identyfikator na deskę rozdzielczą, wysiadła z samochodu i pobięła w kierunku nijakiego apartamentowca z jasną fasadą oszpeconą plamami w kolorze brudnej bieli, jak gdyby klimatyzatory płakały.

Dała nura pod taśmę policyjną i szybko podeszła do detektywa, który wydawał instrukcje zespołowi wywiadowczemu. Szczupły Afroamerykanin poznał ją, choć Sachs go nie znała, i skinął głową na powitanie.

– Lydia Foster? – Nie wiedziała, po co właściwie pyta.

– Zgadza się. To dotyczy jakiejś pani sprawy?

– Tak. Prowadzi ją Lon Sellitto, nadzoruje Bill Myers. Ja jestem od czarnej roboty.

– W takim razie zapraszam.

– Co się stało?

Zauważyła, że policjant jest wstrząśnięty i nerwowo bawi się długopisem, unikając jej wzroku.

– Muszę przyznać, że wyglądało to dość paskudnie. Była torturowana. Potem sprawca zakłuł ją nożem. Nigdy nie widziałem niczego takiego.

– Torturowana? – powtórzyła szeptem.

– Odkroił jej skórę z palców. Bardzo powoli.

Jezu...

– Jak wszedł?

– Sama go wpuściła. Nie ma śladów włamania.

Sachs ze zgrozą zrozumiała. Nieznany sprawca jednak podsłuchał rozmowę – prawdopodobnie podłączywszy się do stacjonarnego telefonu w pobliżu Java Hut – i w ten sposób dowiedział się o tłumacze. Udając glinę, pokazał jej fałszywą odznakę, podając się za współpracownika Sachs; znał już jej nazwisko.

Rozmowa z Sellitem o Lydii Foster stała się rozkazem zadania specjalnego.

Sachs ogarnął niepowstrzymany gniew na mordercę. To, co zrobił Lydii – zadając jej tyle bólu – w ogóle nie było potrzebne. Chcąc wydobyć informacje od cywila, wystarczy go tylko nastraszyć. Fizyczne tortury zawsze mijały się z celem.

Chyba że ktoś je lubi.

Chyba że precyzyjne i wprawne posługiwanie się nożem sprawia komuś przyjemność.

– Dlaczego dostaliście wezwanie? – zapytała.

– Skurwiel tak ją pociął, że krew przeciekła przez sufit. Sąsiedzi z dołu zobaczyli krew na ścianie. Zadzwonili pod dziewięćset jedenaście. Mieszkanie było splądrowane – ciągnął detektyw. – Nie wiem, czego szukał, ale przetrząsnął wszystko. Przekopał każdą szufladę. Nie ma też komputera ani komórki. Wszystko zabrał.

Materiały ze zleceń dla Morena prawdopodobnie zostały już zniszczone.

– Technicy jadą?

– Wezwałem zespół z Queens. Lada chwila powinni być.

Sachs miała podstawowy sprzęt do zabezpieczania śladów w bagażniku. Wróciła do samochodu i włożyła jasnoniebieski kombinezon, ochraniacze na buty i czepek. Postanowiła zacząć od razu. Z każdą upływającą minutą dowody ulegały degradacji.

I z każdą upływającą minutą potwór, który to zrobił, coraz bardziej się oddalał.

Chodziła po siatce.

Ubrana jak chirurg poruszała się po mieszkaniu Lydii Foster według klasycznej metody

przeprowadzania oględzin miejsca zdarzenia: krok po kroku szła od jednej ściany do drugiej, potem się odwracała, przesuwała nieco w bok i wracała. Po przejściu całego przeszukiwanego terenu sprawdzała go ponownie w ten sam sposób, tylko prostopadle do poprzedniej trasy.

Był to najbardziej czasochłonny sposób prowadzenia oględzin miejsca zdarzenia, ale zarazem najbardziej dokładny. Tak właśnie pracował Rhyme. I nalegał, aby tę samą metodę stosowali jego współpracownicy.

Oględziny i zabezpieczanie śladów to prawdopodobnie najważniejsza część zadania kryminalistyka. Ważne są zdjęcia i zapis wideo. Trasa wejścia i wyjścia sprawcy, położenie łusek, rozmieszczenie odcisków palców, plam nasienia, śladów rozprysniętej krwi. Ale w pracy kryminalistyka chodzi przede wszystkim o znalezienie kluczowego śladu. *Merci, monsieur Locard*. Kiedy się chodzi po siatce, trzeba chłonąć miejsce wszystkimi zmysłami, wąchać, słuchać, dotykać i oczywiście patrzeć. Bez przerwy się rozglądać.

Tak właśnie robiła Amelia Sachs.

Nie uważała, że ma wrodzony talent do analizy dowodów. Nie była typem naukowca. Jej umysł nie potrafił dokonywać zdumiewających dedukcji, które tak łatwo przychodziły Rhyme'owi. Ale na jej korzyść na pewno działała empatia.

Kiedy zaczęli razem pracować, Rhyme najwyraźniej dostrzegł u niej umiejętność, której mu brakowało: zdolność do wejścia w skórę sprawcy. Chodząc po siatce, Sachs odkryła, że potrafi psychicznie utożsamić się z mordercą, gwałticielem, porywaczem czy złodziejem. Czasem te makabryczne i wyczerpujące próby kosztowały ją wiele wysiłku. Ale kiedy się udało, wiedziała, że należy przeszukać miejsca, o których nie pomyślałby typowy technik – kryjówki, mało prawdopodobne drogi wejścia i wyjścia, punkty obserwacyjne.

Tam odnajdywała ślady, które w innych okolicznościach pozostałyby na zawsze ukryte.

Przyjechali technicy z wydziału kryminalistyki w Queens. Sachs nadal sama przeprowadzała czynności wstępne. Wydawałoby się, że więcej osób dokładniej przeszuka miejsce zdarzenia, ale sprawdzało się to tylko na rozległym terenie, na przykład przy wielokrotnym zabójstwie. W typowej sytuacji jeden technik jest mniej rozkojarzony – i wie, że nikt inny nie dostrzeże tego, co sam przegapi, więc tym bardziej się koncentruje.

Przy oględzinach trzeba też pamiętać o ważnej prawdzie: Masz tylko jedną szansę na znalezienie kluczowego śladu; nie możesz wrócić i spróbować jeszcze raz.

Chodząc po mieszkaniu i widząc przywiązane do krzesła zwłoki Lydii Foster, zakrwawione, z odrzuconą do tyłu głową, Sachs zapragnęła porozmawiać z Rhyme'em i powiedzieć mu, co widzi, czuje i myśli. Znowu, jak podczas chodzenia po siatce w Java Hut, niemożność usłyszenia jego głosu wywołała w niej poczucie przenikliwie zimnej pustki. Rhyme był zaledwie dwa tysiące kilometrów od niej, ale miała wrażenie, jakby przestał istnieć.

Bezwiednie pomyślała kolejny raz o operacji zaplanowanej na koniec miesiąca. Nie chciała się nad

tym zastanawiać, ale to było silniejsze od niej.

Co będzie, jeżeli Lincoln nie przeżyje?

Prowadzili niespokojne życie – przy jej zamięłowaniu do szybkości i niebezpieczeństwa i jego stanie zdrowia. Być może – prawdopodobnie – ten element ryzyka nadawał większej intensywności ich życiu, a ich związkowi bliskości. Na ogół Sachs to akceptowała. Ale teraz, gdy Rhyme był daleko, a ona prowadziła oględziny szczególnie trudnego miejsca zdarzenia, odwiedzonego przez sprawcę, który za dużo o niej wiedział, nie potrafiła pozbyć się myśli, że zawsze tylko jeden strzał albo jedno uderzenie serca dzieli ich od wiecznej samotności.

Daj spokój, upomniała się ostro. Może nawet powiedziała to na głos. Bierz się do roboty.

Okazało się jednak, że zdolność do empatii tym razem ją zawodzi. Chodząc po pokojach, czuła się zablokowana. Może jak pisarz czy artysta, który na próżno nasłuchuje głosu muzy. Nic jej nie przychodziło do głowy. Przede wszystkim nie wiedziała, kim w ogóle jest morderca. Ostatnie informacje ją zdezorientowały. Człowiek, który to zrobił, nie był snajperem, ale najprawdopodobniej innym specjalistą Metzgera. Kim był?

Nie umiała zidentyfikować się ze sprawcą też dlatego, że nie rozumiała jego motywu. Gdyby chciała wyeliminować świadków i utrudnić śledztwo, po co miałyby ich torturować, wykonując precyzyjne cięcia nożem? Rany wyglądały, jakby zdejmował skórę spokojnie, bez pośpiechu. Patrząc na kawałki ciała i krew na podłodze pod krzesłem, do którego była przywiązana Lydia, Sachs nie mogła zebrać myśli.

Czego on chciał?

Może gdyby Rhyme mówił jej do ucha, przeszukując miejsce razem z nią przez radio albo łącze wideo, wyglądałoby to inaczej, spostrzeżenia same by się nasuwały.

Ale go nie słyszała i nie potrafiła przeniknąć psychiki mordercy.

Samo przeszukanie nie trwało długo. Morderca Lydie Foster miał gumowe rękawiczki. Sachs poznała to po zmarszczkach na niektórych plamach krwi w miejscu, gdzie dotykał ciała ofiary, krojąc skórę. Uważał, żeby nie wejść w krew i nie zostawić widocznych śladów butów, a sprawdzenie gołej podłogi metodą elektrostatyczną nie ujawniło żadnych ukrytych odcisków. Sachs zebrała mikroślady, a w kieszeniach džinsów wiszących na drzwiach łazienki znalazła kilka paragonów i samoprzylepnych karteczek. Innych dokumentów nie udało się jej odszukać. Następnie przeprowadziła oględziny ciała, znów zwracając uwagę na okropne rany, niewielkie, lecz precyzyjne. Śmiertelna była pojedyncza rana kluta klatki piersiowej. Wokół nacięcia było widać sińce, jak gdyby morderca mocno obmacywał ciało, by znaleźć dostęp do serca nieosłonięty przez kości.

Po co?

Sachs wezwała przez radio kolegów z Queens, aby przyszli na górę zrobić zdjęcia i zapis wideo.

Przystanęła przy drzwiach, rzucając ostatnie spojrzenie na ofiarę.

Przepraszam cię, Lydio. Nie pomyślałam!

Powinłam przewidzieć, że założy podłuch na telefony stacjonarne w pobliżu Java Hut. Powinłam się domyślić, że może być dwóch sprawców.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. Żałowała, że nie zdążyła uzyskać informacji, których ta kobieta mogła jej udzielić. Szczegóły, jakie znała tłumaczka, i jej dokumenty musiały mieć kluczowe znaczenie. W przeciwnym razie nie byłaby tak okrutnie przesłuchiwana.

Jeszcze raz przeprosiła Lydię Foster za tę egoistyczną myśl.

Po wyjściu z budynku zdjęła kombinezon i włożyła do papierowej torby; był poplamiony krwią Lydii. Umyła ręce silnym środkiem czyszczącym. Sprawdziła glocka. Rozejrzała się, szukając zagrożeń. Widziała tylko ciemne okna, tonące w półmroku ślepe zaułki, zaparkowane samochody. Każde z tych miejsc było idealnym punktem obserwacyjnym dla sprawcy, by wziąć ją na cel.

Już miała zawiesić komórkę z powrotem na pasku, ale zatrzymała się w pół ruchu, myśląc: Naprawdę chcę pogadać z Rhyme'em.

Wcisnęła przycisk szybkiego wybierania numeru w swoim najnowszym telefonie na kartę. Od razu odezwała się poczta głosowa. Sachs wahała się, czy nagrać wiadomość, ale w końcu się rozłączyła. Nie wiedziała, co właściwie chce mu powiedzieć.

Może tylko tyle, że go jej brakuje.

## **ROZDZIAŁ 43**

Lincoln Rhyme zamrugał powiekami. Oczy piekły go jak diabli, a w ustach czuł smak słodkawego oleju i kwaśnych chemikaliów.



Właśnie odzyskał przytomność i ku swojemu zaskoczeniu wcale nie kaszłał. Na ustach i nosie miał maskę tlenową, oddychał głęboko. Bolało go jednak gardło, przypuszczał więc, że kaszłał wcześniej, kiedy był martwy dla świata.

Zorientował się, że jest w wyjątkowo nagrzej karetkie zaparkowanej na wąskim pasku lądu; w oddali widział zabudowania South Cove Inn za lekko wzburzoną niebieskozieloną zatoką. Pochylał się nad nim krępy ratownik o okrągłej czarnej twarzy, trzymał w ręku latarkę i badał mu oczy. Zdjął Rhyme'owi maskę tlenową, żeby obejrzyć nos i usta.

Z jego ciemnej twarzy niczego nie można było wyczytać. W końcu powiedział z amerykańskim, nie brytyjskim akcentem: – Woda. Niedobrze. Ścieki. Chemikalia. Różne świństwa. Ale nie wygląda tak źle. Podrażnienie. Boli?

– Piecze. Bardzo. Tak.

Składniowe staccato ratownika było zaraźliwe.

Rhyme głęboko wciągnął powietrze.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało z dwojgiem ludzi, którzy tu ze mną...

– Jak jego płuca?

Pytanie padło z ust Thoma Restona, który podszedł do otwartych tylnych drzwi karetki. Jego asystent kaszlnął gwałtownie raz, potem drugi.

Rhyme zdusił kaszel i mruknął zdumiony:

– Nic... nic ci się nie stało?

Thom wskazał na swoje oczy, które miały kolor jasnoczerwony.

– Nic poważnego. Tylko ten syf w wodzie.

Rhyme zauważył, że ma zupełnie przemoczone ubranie, i to dawało mu odpowiedzi na kilka pytań. Po pierwsze, że uratował go jego opiekun.

A po drugie, że dwa strzały, które słyszał, były przeznaczone dla Mychala Poitiera.

„Mam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci. Bardzo je kocham...”.

Rhyme'a głęboko przygnębiła śmierć młodego policjanta. Kiedy posterunkowy został zamordowany, Thom pewnie wskoczył do wody, żeby wyciągnąć Rhyme'a, a napastnicy uciekli.

Ratownik ponownie osłuchał mu klatkę piersiową.

– Zaskakujące. Pana płuca są w porządku. Widzę bliznę. Po respiratorze, to stara blizna. Jest pan w

formie. Ćwicz pan. A prawa ręka, system protetyczny. Czytałem o tym. Robi duże wrażenie.

Ale nie na tyle duże, żeby ocalić życie Mychalowi Poitierowi.

Ratownik wyprostował się i powiedział:

– Niech pan płucze oczy i usta. Wodą. Niczym innym. Z butelki. Trzy, cztery razy dziennie. I pójdzie do lekarza. Kiedy pan przyjedzie do domu. Zaraz wrócę. – Odszedł, stąpając z chrzęstem po piasku i żwirze.

– Dziękuję, Thom – powiedział Rhyme. – Dziękuję. Znowu uratowałeś mi życie, i to nie klonidyną. – Lek obniżał ciśnienie krwi po ataku dysrefleksji autonomicznej. – Próbowałem użyć respiratora.

– Wiem. Zaplątał ci się na szyi. Musiałem go zdjąć. Szkoda, że nie miałem sprężynowca Amelii.

Rhyme westchnął.

– Ale Mychal... To straszne.

Thom zdjął zawieszony w karetkce ciśnieniomierz. Sam zmierzył ciśnienie Rhyme'owi. Wzruszył ramionami.

– Nie jest tak poważnie.

– Mówisz o ciśnieniu?

– Nie, o Poitierze. Cicho bądź. Muszę słuchać pulsu.

Rhyme był pewien, że się przesłyszał; uszy nadal zatykała mu woda.

– Ale...

– Ciii... – Thom przykładał do ręki Rhyme'a zarekwirowany stetoskop.

– Powiedziałaś...

– Cicho! – Asystent po chwili skinął głową. – Ciśnienie w porządku. – Zerknął w stronę, gdzie odszedł ratownik. – Nie, żeby mi nie wierzył, ale wolałem się przekonać na...

– Co chcesz przez to powiedzieć, że z Mychalem nie jest tak poważnie?

– No, sam widziałaś. Przewrócili go na ziemię i dostał kopniaka. Ale to nic groźnego.

– Zastrzelili go!

– Zastrzelili? Nie.

– Słyszałem dwa strzały.

– Ach, to.

– Co to znaczy „ach, to”? – warknął Rhyme.

– Ten facet, który posłał cię do wody, ten w szarym T-shircie, strzelał do Rona.

– Do Pulaskiego? Co z nim?

– Też wszystko w porządku.

– Kurwa mać, co się właściwie stało?! – krzyknął Rhyme.

Thom parsknął śmiechem.

– Cieszę się, że już ci lepiej.

– Co... się... stało?!!

– Ron przyjechał tu wozem z wypożyczalni, kiedy skończył w South Cove. Powiedziałeś mu przecież, że tu nas znajdzie. Pojawił się zaraz po tym, kiedy skoczyłeś popływać. Zobaczył, co się dzieje, i podjechał prosto do faceta z pistoletem – dosłownie wcisnął gaz do dechy. Tamten dwa razy strzelił do samochodu, ale musiał dojść do wniosku, że Ron jest pierwszy i po nim zjawią się następne posiłki, a ponieważ nie mieli innej możliwości, wskoczyli do mercurego i pikapa i dali dyla.

– Czyli Mychalowi nic się nie stało?

– Tak właśnie powiedziałem.

Ulga była ogromna. Rhyme przez chwilę milczał wpatrzony w powierzchnię lekko wzburzonej wody, widząc nisko na zachodzie łuk wodnego pyłu mieniający się w blasku słońca.

– Co z wózkiem?

Thom pokręcił głową.

– Trochę gorzej.

– Gnoje – mruknął Rhyme. Nigdy nie żywił żadnego sentymentu do urzędzeń, z których korzystał zawodowo i prywatnie, ale przywiązał się do Storm Arrow ze względów praktycznych, ponieważ był to naprawdę świetny sprzęt i poświęcił sporo wysiłku, aby go opanować. Prowadzenie wózka wymaga niemałych umiejętności. Był wściekły na bandytów.

– Wypożyczę jakiś od nich – ciągnął opiekun, spoglądając na zespół ratowników. – Bez napędu. To znaczy napędzać będzie go moja skromna osoba.

Pojawiła się następna postać.

– Proszę, proszę, nowy ratuje sytuację.

– Nie wyglądasz tak źle – rzekł Pulaski. – Jesteś mokry. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem cię mokrego, Lincoln.

– Czego się dowiedziałeś w hotelu?

– Niewiele. Pokojówka potwierdziła w zasadzie wszystko, co mówił nam Poitier. Jakiś Amerykanin o wyglądzie twardziela wypytywał o Morena i apartament 1200. Powiedział, że jest przyjacielem i zamierza wydać dla niego przyjęcie. Chciał wiedzieć, kto z nim przyjedzie, jakie ma plany, kim jest jego przyjaciel – zapewne chodziło o ochroniarza.

– Przyjęcie – burknął Rhyme. Ożywił się na widok ratownika w towarzystwie krzepkich kolegów, z których jeden pchał rozklekotany wózek. – Macie odrobinę brandy czy czegoś takiego?

– Brandy?

– Leczniczej brandy.

– Leczniczej brandy? – Ratownik zmarszczył szerokie czoło. – Niech pomyślę. Przypuszczam, że lekarze czasem ją podają... ale nasza wyspa należy do Trzeciego Świata. Niestety, nie chodziłem na te zajęcia, kiedy studiowałem ratownictwo medyczne na Uniwersytecie Marylandu.

Rhyme musiał się poddać.

Ratownik jednak nie był urażony i miał wyraźnie rozbawioną minę. Dał znak pomocnikom, którzy posadzili Rhyme'a na zdezelowanym wózku. Lincoln nie pamiętał, kiedy ostatnim razem znalazł się w pojeździe pozbawionym silnika i akumulatora. Poczł się bezradny, co bardzo mu się nie podobało. Jak gdyby wrócił do czasów tuż po wypadku.

– Chcę zobaczyć Mychala – oznajmił. Instynktownie sięgnął do panelu dotykowego sterującego wózkiem, zanim zdążył sobie przypomnieć, że go nie ma. Nawet nie próbował złapać uchwytu na kole. Jeżeli nie potrafił nacisnąć cholernego spustu pistoletu, na pewno nie będzie umiał jedną ręką przesunąć swojego bezwładnego ciała w wózku po spękanym asfalcie i piasku.

Thom popchnął wózek i zbliżyli się do Poitiera. Siedział dziesięć metrów dalej na zaimpregnowanej kreozotem belce obok dwóch funkcjonariuszy bahamskiej policji, którzy przyjechali na wezwanie.

Poitier wstał.

– Kapitanie, słyszałem już, że nic panu nie grozi. To dobrze, to dobrze. Nie widać po panu prawie żadnych śladów tej przymusowej kąpieli.

– Jest mokry – powtórzył Pulaski.

Thom skwitował jego uwagę uśmiechem, a Rhyme spojrzeniem spode łba.

– Panu nic się nie stało?

– Trochę mnie zamroczyło. Podali mi coś przeciwbólowego. To moja pierwsza bójka w ciągu pięciu lat służby i nie dałem sobie rady. Zaskoczyli mnie. Zupełnie.

– Ktoś zapamiętał numery rejestracyjne? – zapytał Rhyme.

– Nie było tablic. Sprawdzanie czarno-złotych mercurych i białych pikapów nic nie da. Wozy na pewno były kradzione. Na komendzie przejrzę zdjęcia z kartoteki, chociaż to też nie ma sensu. Trzeba jednak zachować procedury.

Nagle od strony South West Road uniósł się kłęb kurzu. Szybko nadjeżdżał jakiś samochód – nie, dwa samochody.

Funkcjonariusze Królewskiej Policji Bahamów, którzy stali w pobliżu, zeszywnieli z niepokoju.

Nie dlatego, że samochody stanowiły zagrożenie fizyczne. Rhyme zobaczył, że nieoznakowany ford ma na osłonie chłodnicy pulsujące czerwone światelka. Nie zdziwił się, widząc na tylnym siedzeniu zastępcę komendanta McPhersona. Za nim jechał policyjny radiowóz.

Obydwa pojazdy zahamowały niedaleko karetek i McPherson wysiadł, z wściekłością zatraskując za sobą drzwi.

Zamaszystym krokiem podszedł do Poitiera i zapytał: – Co tu się stało?

Rhyme wyjaśnił, biorąc na siebie całą winę.

Zastępca komendanta spiorunował go wzrokiem, po czym odwrócił się i syknął gniewnie do swojego podwładnego: – Nie zamierzam tolerować takiej niesubordynacji. Powinien mi pan powiedzieć.

Rhyme spodziewał się, że młody człowiek położy uszy po sobie, ale Poitier spojrział szefowi prosto w oczy.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie, miałem się zająć sprawą zabójstwa Morena.

– Miał się pan zająć sprawą zgodnie z procedurami. Nie przewidują one włączania osób trzecich do pracy w terenie.

– Miałem trop. Tu był snajper. Powinienem sprawdzić to miejsce w zeszłym tygodniu.

– Musimy poczekać, co...

– Mają do powiedzenia władze Wenezueli – dokończył starszy posterunkowy.

– Proszę mi nie przerywać, Poitier. I proszę zmienić ton.

– Tak jest. Przepraszam, panie komendancie.

– To ważna sprawa, panie komendancie – włączył się Rhyme. – Może mieć konsekwencje dla waszego i naszego kraju.

– A pan, kapitanie Rhyme, pan... Zdaje pan sobie sprawę, że o mało nie doprowadził pan do śmierci policjanta?

Kryminalistyk umilkł.

– I do własnej – dodał ostro komendant. – Nie chcemy następnych martwych Amerykanów na Bahamach. Już nam wystarczy. – Obrócił ciężki wzrok na starszego posterunkowego. – Zostaje pan zawieszony w czynnościach służbowych, Poitier. Przeprowadzimy dochodzenie, które może się zakończyć pana zwolnieniem. W najlepszym razie zostanie pan przeniesiony z powrotem do drogówki.

Na twarzy Poitiera odmalowała się konsternacja.

– Ale...

– Pan, kapitanie Rhyme, natychmiast opuści Bahamy. Moi funkcjonariusze odeskortują pana na lotnisko razem z pańskimi towarzyszami. Zabierzemy z motelu wasze rzeczy i oddamy wam na lotnisku. Skontaktowaliśmy się już z liniami lotniczymi. Macie rezerwację na samolot odlatujący za dwie godziny. Do tego czasu jesteście zatrzymani. Pan, Poitier, odda broń i dokumenty na komendzie.

– Tak jest.

Nagle wystąpił naprzód Ron Pulaski i stanął przed zastępcą komendanta, który ważył dwa razy więcej od niego i był wyższy o kilkanaście centymetrów.

– Nie – powiedział młody policjant.

– Słucham?

– Przenocujemy w motelu – oznajmił stanowczo Pulaski. – Wyjedziemy rano.

– Co? – zdumiał się McPherson.

– Nie wyjedziemy dzisiaj.

– To nie wchodzi w grę, Pulaski.

– Lincoln o mało nie utonął. Nie wsiądzie do samolotu, dopóki nie wypocznie.

– Dopuszciliście się przestępstw...

Pulaski wyciągnął telefon.

– Mamy zadzwonić do ambasady i porozmawiać o tej sytuacji? Oczywiście musiałbym

poinformować, co tu robimy i jaką sprawę badamy.

Zapadła cisza zakłócana jedynie szczękami tajemniczej maszynerii w fabryce za ich plecami i pluskiem migoczących w słońcu fal.

Komendant zmierzył Pulaskiego wściekłym spojrzeniem.

– Zgoda – powiedział w końcu. – Ale rano odlatujecie pierwszym samolotem. Zostaniecie odeskortowani do motelu i do jutra nie wolno wam opuszczać pokoju.

– Dziękuję, panie komendancie – powiedział Rhyme. – Jestem panu wdzięczny. Przepraszam za wszystkie trudności, na jakie naraziłem pańskich ludzi. Życzę powodzenia w tej sprawie. I w sprawie morderstwa amerykańskiej studentki. – Spojrzał na Poitiera. – Pana też przepraszam.

Pięć minut później Rhyme, Thom i Pulaski odjeżdżali vanem z cypla. Za nimi podążała policyjna eskorta, która miała dopilnować, aby dotarli do motelu i tam zostali. W radiowozie siedzieli dwaj rośli i czujni funkcjonariusze o ponurych twarzach. Rhyme'owi nie przeszkadzała ich obecność; przecież tamci trzej ze złotego mercurego nadal byli na wolności.

– Cholernie dobra robota, nowy.

– Profesjonalna?

– Dużo bardziej niż profesjonalna.

Młody policjant parsknął śmiechem.

– Miałem przecucie, że chcesz zyskać na czasie.

– Nie inaczej. Bardzo podobał mi się ten numer z ambasadą.

– Improwizowałem. Co teraz robimy?

– Zaczekamy, niech kropla draży skałę – odparł zagadkowo Rhyme. – I zobaczymy, czy da się skombinować trochę bahamskiego rumu, o którym tyle słyszałem.

Amelia Sachs wtaszczyła do laboratorium w salonie domu Rhyme'a plastikową skrzynkę z dowodami zebranymi w mieszkaniu Lydii Foster.

– Dzwonił Lincoln? – zapytała Coopera, który z zaciekawieniem przyjrzał się skrzynce.

– Nie, w ogóle się nie odezwał.

Detektyw Mel Cooper, doświadczony technik laboratoryjny, oficjalnie został członkiem zespołu dzięki telefonom Lona Sellitta i kapitana Billa Myersa, którzy załatwili mu przeniesienie na „komisariat Rhyme'a”. Był łysiejącym, niewysokim i szczupłym mężczyzną w grubych okularach Harry'ego Pottera, które chyba nigdy nie znajdowały się dokładnie tam, gdzie powinny. Można by pomyśleć, że wolny czas poświęca na łamigłówki matematyczne albo lekturę „Scientific American”, ale jego życie po godzinach pracy wypełniały przede wszystkim konkursy tańca towarzyskiego, w których brał udział ze swoją olśniewająco piękną skandynawską dziewczyną, wykładowczynią matematyki na Uniwersytecie Columbia.

Nance Laurel siedziała przy swoim stole. Spojrzała obojętnie na dowody rzeczowe, a potem przeniosła wzrok na Sachs, która nie wiedziała, czy to ma być powitanie, czy objaw typowej dla niej pauzy przed zabraniem głosu.

– Pomyliłam się – oznajmiła ponuro policjantka. – Jest dwóch sprawców. – Opowiedziała o swoim błędnym założeniu. – Śledziłam snajpera. Zabójca Lydii Foster to ktoś inny.

– Jak myślisz, kto? – spytał Cooper.

– Pomocnik Bruns.

– Albo specjalista wynajęty przez Metzgera do sprzątnięcia – powiedziała Laurel. Sachs odniosła wrażenie, że w głosie prokuratorki zabrzmiał radosny ton. Dobra wiadomość dla sprawy, dobra wiadomość dla ławy przysięgłych – główny podejrzany mógł zlecić jednemu ze swoich podwładnych dokonanie tak okrutnego czynu. Ani słowa współczucia dla ofiary, żadnego wyrazu troski na twarzy.

W tym momencie Sachs szczerze nienawidziła tej kobiety.

Ciągnęła, ostentacyjnie zwracając się tylko do Mela Coopera:

– Lon zgodził się, żeby na razie trzymać się wersji o nieznanym motywie. Bomba w Java Hut ma być oficjalnie wybuchem instalacji gazowej. Uznałam, że lepiej nie informować Metzgera o postępach śledztwa.

Laurel kiwała głową.



– Dobrze.

Sachs popatrzyła na tablice, po czym zaczęła korygować zapisy w świetle nowych ustaleń.

– Nazwijmy zabójcę Lydii Foster NN 516, od dzisiejszej daty.

– Wiemy coś więcej o tożsamości snajpera? – zapytała Laurel. – Człowieka, który wszedł do KSWO?

– Nie. Lon postawił przy nim zespół obserwacyjny. Dadzą nam znać, kiedy tylko go zidentyfikują.

Kolejna pauza.

– Pytam z ciekawości – powiedziała Laurel. – Myślałaś o uzyskaniu jego odcisków palców?

– Odcisków...

– Kiedy śledziłaś snajpera. Pytam, bo kiedyś pracowałam nad pewną sprawą i detektyw prowadząca akcję pod przykryciem upuściła na ziemię ilustrowany magazyn. Podejrzany podniósł go. I mieliśmy jego odciski palców.

– No, nie pomyślałam o tym – odrzekła spokojnie Sachs.

Gdybym pomyślała, znalazłbyśmy już jego tożsamość. A nie znamy.

Laurel tajemniczo skinęła głową z nieprzeniknioną miną.

„Pytam z ciekawości”...

Nie mniej irytujące niż „jeżeli byłabyś tak miła”.

Sachs odwróciła się z lekkim grymasem, a potem podała dowody z mieszkania Lydii Foster Melowi Cooperowi, który przyjrzał się skromnej zdobyczy z takim samym rozczarowaniem, jakie odczuwała Sachs.

– To wszystko?

– Niestety. NN 516 wie, co robi. – Sachs patrzyła na zdjęcia zakrwawionych zwłok Lydii Foster, które przesłano jej z wydziału kryminalistyki w Queens, i właśnie je drukowała.

Zaciskając usta, podeszła do jednej z tablic i przykleiła na niej fotografię.

– Torturował ją – powiedziała cicho Laurel, ale to była jej jedyna reakcja.

– I zabrał wszystko, co miało związek z pracą dla Morena.

– Co takiego mogła o nim wiedzieć? – zastanawiała się prokuratorka. – Skoro przyjechał w interesach i wynajął na miejscu profesjonalną tłumaczkę, to rzecz jasna nie zabierał jej na spotkania z

przestępcami. Zeznałaby, że Moreno nie był terrorystą. Czyli mogłaby być dobrym świadkiem – dodała.

Sachs ogarnęła złość na tę kobietę, która mniej przejmowała się śmiercią Lydii Foster niż stratą jednej cegielki potrzebnej do zbudowania aktu oskarżenia przeciwko Metzgerowi. Potem przypomniała sobie budzący grozę widok ciała i smutną świadomość, że nie zdążyła uzyskać od tłumaczki cennych informacji.

– Rozmawiałam z nią krótko wcześniej. Wiem, że spotkali się z ludźmi z organizacji charytatywnych z Rosji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich i z konsulatu Brazylii. To wszystko.

Nie miałam okazji dowiedzieć się niczego więcej, pomyślała. Wciąż była na siebie wściekła. Gdyby Rhyme był na miejscu, może by się domyślił, że jest dwóch sprawców.

Daj spokój, upomniała się surowo. Trzeba dalej prowadzić sprawę.

Spojrzała na Coopera.

– Sprawdźmy, czy da się ustalić jakieś związki. Chcę wiedzieć, kto podłożył ładunek w Java Hut, Bruns czy ten drugi. Znalazłeś coś w materiałach z kawiarni?

Cooper odparł, że było niewiele wskazówek, ale rzeczywiście czegoś się dowiedział. Pirotechnicy przekazali informację, że był to zwykły ładunek przeciwpiechotny wypełniony semtexem, czeskim plastycznym materiałem wybuchowym.

– Można takie dostać na rynku bez większego trudu, jeżeli się ma odpowiednie dojścia – wyjaśnił Cooper. – Kupują go przede wszystkim wojskowi, z sił państwowych i najemnych.

Cooper sprawdził odciski palców zdjęte przez Sachs w kawiarni i przesłał je do bazy AFIS. Wynik był negatywny.

– Dałaś mi sporo niezłych próbek z Java Hut, ale było w nich niewiele śladów, które mógłbym jednoznacznie przypisać sprawcy. Znalazłem jednak dwie nietypowe substancje, co może oznaczać, że pochodziły od zamachowca. Pierwsza to zniszczony erozją wapień, koral i małe drobinki muszli – innymi słowy piasek pochodzący z jakiegoś tropikalnego miejsca. Znalazłem też fragmenty organiczne. Odchody skorupiaka.

– Czyli? – zapytała Laurel.

– Kupę kraba – wyjaśniła Sachs.

– Zgadza się – potwierdził Cooper. – Chociaż ściślej mówiąc, mogła pochodzić od homara, langusty, krewetki, kryłu albo wąsonoga. Istnieje ponad sześćdziesiąt pięć tysięcy gatunków skorupiaków. Mogę jednak powiedzieć, że odchody są typowe dla plaż na Karaibach. Ślad zawiera też osad pozostały po odparowaniu morskiej wody.

Sachs zmarszczyła brwi.

– A więc to może być człowiek, który zjawił się w South Cove Inn dzień przed śmiercią Morena. Piasek mógł się utrzymać na ubraniu przez tydzień?

– Ziarna są bardzo drobne. Tak, to możliwe. Łatwo się przylepia.

– Co jeszcze zauważyłeś, Mel?

– Coś, czego nie znalazłem na żadnym innym miejscu zdarzenia. Kwas 1,5-dikawoilochinowy.

– Co to jest?

– Cynaryna – odrzekł Cooper, czytając z elektronicznej bazy danych substancji chemicznych. – Najpowszechniej występuje jako biologicznie aktywny składnik karczochów. Nadaje im słodki smak.

– I nasz sprawca zostawił ślady tej substancji?

– Nie mogę tego powiedzieć na sto procent, ale znalazłem to na progu Java Hut, na klamce drzwi i fragmencie bomby.

Sachs skinęła głową. Karczochy. Dziwne, ale tak właśnie wyglądała praca przy zabezpieczaniu śladów na miejscu zdarzenia. Łamigłówka składała się z wielu elementów.

– Nic więcej.

– To wszystko z Java Hut?

– Aha.

– Czyli ciągle nie wiemy, kto podłożył bombę.

Razem z Cooperem odwrócili się w stronę tablicy z opisem miejsca morderstwa Lydii Foster.

– Przede wszystkim – powiedział technik, wskazując ruchem głowy zdjęcia – rany cięte. Są nietypowe, bardzo wąskie. Ale nie możemy ich sprawdzić w żadnej bazie danych.

Stany Zjednoczone, siedziba Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, były światową stolicą broni palnej. Noże używano raczej w Wielkiej Brytanii i innych krajach, gdzie obowiązywały rygorystyczne przepisy regulujące posiadanie broni, ale w Ameryce, przy powszechności pistoletów i strzelb, noże były stosunkowo rzadko używanym narzędziem zabójstw. Dlatego żadna instytucja organów ścigania nie stworzyła bazy danych ze zdjęciami ran ciętych i kłutych – przynajmniej Sachs i Rhyme o takiej bazie nie wiedzieli.

Sachs była pewna, że morderca miał rękawiczki, mimo to zdjęła odciski ze zwłok Lydii Foster i miejsca wokół nich. Nigdy nie wiadomo, czy sprawca w pewnym momencie nie zdjął rękawiczek. Ale tak jak w przypadku Java Hut wynik sprawdzenia w bazie danych daktyloskopijnych był negatywny.

– Nie spodziewałam się niczego innego – mruknęła. – Ale znalazłam włos, który nie pasował do próbek. Mam go w tej kopercie. – Podała ją technikowi. – Brązowy i krótki. Być może włos sprawcy. Pamiętam, jak Poitier mówił, że mężczyzna pytający o apartament Morena dzień przed zabójstwem miał krótkie brązowe włosy. O, jest i cebulka.

– Dobrze. Sprawdzę w CODIS.

Krajową bazę danych DNA powiększono w zawrotnym tempie. Było całkiem możliwe, że osoba, do której należał włos, znalazła się w systemie; jeśli tak, będą znali jej tożsamość, a wkrótce być może nawet obecne miejsce pobytu.

Sachs zaczęła przeglądać resztę dowodów. Wprawdzie morderca zabrał co do jednego wszystkie dokumenty, komputer i nośniki danych zawierające wszelkie informacje na temat Roberta Morena, udało jej się znaleźć coś, co mogło się okazać istotne. Paragon ze Starbucks. Z wydrukowanej u góry daty i godziny wynikało, że wydano go pierwszego maja po południu. Sachs pamiętała, że prawdopodobnie właśnie wtedy Moreno był na prywatnym spotkaniu, w którym Lydia nie uczestniczyła. Może udałoby się ustalić, do którego biura poszedł.

Postanowiła tam jutro pójść – do budynku przy Chambers Street.

Sachs i Cooper przejrżeli pozostałe ślady z mieszkania Lydii, ale niewiele udało im się wyodrębnić. Cooper sprawdził jedną próbkę w chromatografie gazowym i spojrzał na policjantkę.

– Coś mam. Roślinę. *Glycyrrhiza glabra*. Strączkowa jak fasola czy groszek. Ściślej mówiąc, lukrecja.

– Anyż, koper włoski? – spytała Sachs.

– Nie, nie mają związku, chociaż podobnie smakują.

Nance Laurel wyglądała na zdumioną.

– Niczego pan nie sprawdzał. Cynaryna, *Glycyrrhiza*... Przepraszam, ale skąd pan to wszystko wie?

Cooper poprawił na nosie okulary w czarnych oprawkach i odparł, jakby odpowiedź była oczywista:

– Pracuję z Lincolnem Rhyme'em.

Wreszcie nastąpił przełom w sprawie. Poznali prawdziwe nazwisko snajpera.

Zespół obserwacyjny kapitana Myersa z Wydziału do Zadań Specjalnych śledził go z siedziby KSWO do jego domu. Snajper wysiadł w Carol Gardens i poszedł do domu należącego do Barry'ego i Margaret Shalesów. Po sprawdzeniu danych w wydziale komunikacji zdobyli fotografię Shalesa. Był to ten sam mężczyzna, którego Sachs śledziła tego popołudnia i któremu zrobiła zdjęcie aparatem w telefonie komórkowym.

Barry Shales miał trzydzieści dziewięć lat. Był żołnierzem – ukończył służbę w lotnictwie w stopniu kapitana i został kilkakrotnie odznaczony. Obecnie jako cywil pracował w KSWO w charakterze specjalisty wywiadowczego. Jego żona była nauczycielką, a ich dwóch synków chodziło do szkoły podstawowej. Shales aktywnie działał w kościele prezbiteriańskim i udzielał się społecznie w szkole chłopców, pomagając dzieciom uczyć się czytać.

Sachs zaniepokoiła się, poznając jego życiorys. Sprawcy, których zwykle z Rhyme'em ścigała, byli zazwyczaj zatwardziałymi kryminalistami, seryjnymi zbrodniarzami, szefami przestępczości zorganizowanej, psychopatami, terrorystami. Ta sprawa różniła się jednak od innych. Shales był zapewne oddanym swojej pracy funkcjonariuszem państwowej instytucji, prawdopodobnie przykładnym mężem i ojcem. Wypełniał po prostu swoje obowiązki, nawet jeśli zdarzało mu się otrzymać polecenie zastrzelenia z zimną krwią terrorystów. Jego aresztowanie i skazanie oznaczałoby tragedię dla rodziny. Metzger mógł wykorzystywać KSWO do ochrony kraju przed urojonymi zagrożeniami i wykorzystywać specjalistów do sprzątanego po swoich operacjach. Ale Shales? Może po prostu wykonywał rozkazy.

Mimo wszystko, gdyby to nawet nie on torturował i zamordował Lydię Foster, należał do organizacji, która przypuszczalnie odpowiadała za tę zbrodnię.

Sachs zadzwoniła do Lona Sellitta, aby poinformować go o ich odkryciu. Następnie skontaktowała się z wydziałem informacji i poprosiła o wszystkie szczegóły związane z Barrym Shalesem – przede wszystkim gdzie był i co robił dziewiątego maja, w dniu zabójstwa.

Zadzwonił telefon w laboratorium, a Sachs, widząc na wyświetlaczu numer, włączyła głośnik.

– Fred?

Nie obawiała się, że NN 516 może podsłuchiwać na tej linii; Rodney Szarnek przysłał im urządzenie wykrywające każdą próbę przechwycenia rozmowy, które nazywał „pułapką na podsłuch”. Monitor pokazywał, że połączenie jest bezpieczne.

– Cześć, Amelia. Czy to prawda, co słyszysz? Twój i mój przyjaciel wygrzewa się na Karaibach?

Zdumiał się tak teatralnie, że Sachs musiała się uśmiechnąć. Cooper też. Nance Laurel zachowała kamienną twarz.

– Rzeczywiście, Fred.

– Czemuż, ach, czemuż mnie zadania służbowe rzucają do tak malowniczych kurortów jak Newark czy południowy Bronx? A pan Lincoln Rhyme siedzi sobie na plaży na koszt miasta Nowy Jork! Gdzie tu sprawiedliwość? Popija sobie babskie drinki z parasolkami i konikami morskimi z plastiku!

– Wydaje mi się, że płaci za to z własnej kieszeni, Fred. Poza tym skąd wiesz, że podają tam drinki z plastikowymi konikami morskimi?

– Nakryłaś mnie – przyznał. – Najbardziej lubię takie kokosowe. No, jak idzie sprawa? To zabójstwo na Trzeciej Alei miało jakiś związek? Lydia Foster. Widziałem komunikat.

– Niestety, tak. Chyba w ramach sprzątanego zarządzanego przez Metzgera.

– Kurwa mać – skomentował Dellray. – Facet gra grubo.

– Owszem – przytaknęła Sachs. Powiedziała mu o ich założeniu, że działają dwaj sprawcy. – Ciągłe nie wiemy, który z nich podłożył bombę w kawiarni.

– A ja dowiedziałem się paru rzeczy, które chyba was zainteresują.

– Mów. Wszystko może być ważne.

– Po pierwsze, komórka, której używał wasz snajper. Zarejestrowana na pana działającego pod pseudonimem Don Bruns, z fałszywym numerem ubezpieczenia i adresem spółki z Delaware. Firma jest głęboko ukryta, ale znalazłem powiązania ze spółkami słupami, które KSWO wykorzystywała w przeszłości. Pewnie dlatego numer jest ciągle aktywny. Rząd często myśli, że jest za sprytny, by dać się przyłapać. Albo za potężny. Ale jakby co, ode mnie tego nie słyszeliście.

– Jasne. Dzięki, Fred.

– Okazuje się też, że wasz zmarły przyjaciel, wielki Moreno, nie zamierzał użyć żadnej broni masowej zagłady, a potem ukryć się w jaskini.

Wyjaśnił, że ma na myśli tajemniczą wiadomość Roberta Morena o „zamknięciu się w wieży z kości słoniowej” dwudziestego czwartego maja.

– O co w tym chodziło? – zapytała Sachs.

– To chyba miała być jakaś przenośnia – odparł agent FBI. – Nasi ludzie w Wenezueli dowiedzieli się, że Moreno i jego rodzina dwudziestego czwartego mieli się przeprowadzić do nowego domu.

Podał szczegóły: Robert Moreno kupił dom z czterema sypialniami w wenezuelskim mieście San Cristóbal, jednym z najbardziej prestiżowych w kraju. Dom zbudowano na szczycie góry.

Wieża z kości słoniowej...

Laurel kiwała głową, wyraźnie zadowolona. Czyli Moreno mógł nie być odpowiedzią półkuli zachodniej na bin Ladena.

Trzeba dogodzić przysięgłym, pomyślała cynicznie Sachs.

– A te zamachy bombowe w Meksyku trzynastego maja? – ciągnął agent. – Mówię ci, tu się można uśmieć. Tego dnia w stolicy tylko jedno zdarzenie miało związek z Morenem: duża impreza charytatywna organizacji Klasy dla Ameryk. Nazywała się Dzień Balonów. Każdy kupował balon za dziesięć dolarów, potem go przekłuwał i wyciągał ze środka nagrodę. Mieli ponad tysiąc balonów. Moje płuca na pewno by sobie nie poradziły.

Sachs zgarbiła się na krześle i zamknęła oczy. Jezu.

„A te wybuchowe niespodzianki... Kto może je przygotować?... nadmuchać”...

– Dzięki, Fred. – Sachs się rozłączyła.

Słyszając niespodziewane wieści, Laurel zauważyła:

– Ciekawe, jak pierwsze wrażenie bywa czasem mylące. Prawda?

Chyba nie mówiła tego z satysfakcją, choć Sachs nie miała pewności.

Sachs wyciągnęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do Lincolna Rhyme’a.

– Myślę, że powinniśmy sprawić sobie kameleona – oznajmił na powitanie.

Żadnego „Cześć” ani „Co u ciebie, Sachs”.

– Mówisz o... gadzie?

– Są bardzo ciekawe. Nie widziałem jeszcze, jak zmieniają kolor. Wiesz, jak one to robią, Sachs? Za pośrednictwem hormonów wywołują zmiany w chromatoforach skóry. To naprawdę fascynujące zjawisko. Jak u was idzie sprawa?

Zrelacjonowała mu przebieg ostatnich wydarzeń.

Rhyme zastanowił się przez chwilę.

– Chyba to ma sens, dwaj różni sprawcy. Metzger nie będzie przecież wystawiał swojego gwiazdora snajpera, żeby sprzątał w Nowym Jorku. Powinienem to wziąć pod uwagę.

Ja też powinienam, pomyślała ze smutkiem.

– Wyślij mi zdjęcia Shalesa z wydziału komunikacji albo z wojska.

– Jasne. Jak tylko skończymy rozmawiać. – Następnie ponurym głosem szczegółowo opowiedziała mu o śmierci tłumaczki Morena.

– Torturował ją?

Opisała rany od noża.

– Charakterystyczna technika – ocenił. – To może być ważne.

Miał na myśli fakt, że sprawcy posługujący się nożem czy inną bronią mechaniczną, na przykład pałką, zwykle zadają ofiarom podobne rany, co często umożliwia ich identyfikację. Sachs zwróciła też uwagę na to, że jego jedyną reakcją na straszną zbrodnię była ta beznamienna, praktyczna uwaga.

Ale taki był Lincoln Rhyme. Akceptowała to, zastanawiając się przy okazji, dlaczego identyczna postawa u Nance Laurel tak bardzo ją drażni.

– A jak wy się bawicie na ciepłych Karaibach? – zapytała.

– Raczej nie posuwamy się do przodu, Sachs. Jesteśmy w areszcie domowym.

– Co?!

– Jutro powinno się to rozwiązać, tak czy inaczej. – Wyraźnie nie zamierzał mówić o tym nic więcej, jak gdyby się obawiał, że jego telefon może być na podsłuchu. – Powiniennem już kończyć. Thom przygotowuje coś na kolację. Chyba już skończył. Powinnaś spróbować kiedyś ciemnego rumu. Naprawdę niezły. Wiesz, robią go z cukru.

– Za rum raczej podziękuję. Mam nieprzyjemne wspomnienia. Chociaż chyba to nie są wspomnienia, skoro nic się nie pamięta.

– Co teraz myślisz o sprawie, Sachs? Dalej uważasz, że jest polityczna? Lepiej zostawić wszystko Kongresowi?

– Nie, już nie. Przekonał mnie widok miejsca zdarzenia w mieszkaniu Lydii Foster. To robota wyjątkowych sukinsynów. I odpowiedzialność za to. Aha, Rhyme, gdybyś słyszał coś o eksplozji improwizowanego ładunku u nas, nie martw się, nic mi się nie stało. – Opowiedziała o wybuchu, który zniszczył komputer w kawiarni, przemilczając fakt, że sama cudem przeżyła.

– Tu jest całkiem miło, Sachs – dodał Rhyme. – Może kiedyś przyjechalibyśmy tu razem... nieoficjalnie.

– Na wakacje. Dobra, Rhyme, niezły pomysł.



– Tylko nie mogłabyś tu za szybko jeździć. Na ulicach jest okropnie.

– Zawsze chciałam spróbować poszaleć na skuterze wodnym – powiedziała. – A ty mógłbyś siedzieć na plaży.

– Już się wykąpałem – wyznał.

– Poważnie?

– Tak, naprawdę. Opowiem ci później.

– Tęsknię za tobą. – Rozłączyła się, zanim zdążył powiedzieć to samo.

Albo i nie.

Nance Laurel sięgnęła po swoją komórkę. Sachs zauważyła, że prokuratorka lekko zeszywniała, patrząc na numer na ekranie. Kiedy się odezwała, ton jej głosu zdradził, że to prywatna rozmowa, zupełnie niezwiązana ze sprawą.

– Cześć... co u ciebie?

Odwróciła się od Sachs i Coopera, ale mimo to Sachs słyszała:

– Potrzebujesz ich? Myślałam, że nie będą ci potrzebne. Zapakowałam je.

Dziwne. Prokuratorka ma jakieś życie osobiste? Nie nosiła obrączki ani pierścionka zaręczynowego – zresztą miała niewiele biżuterii. Sachs przypuszczała, że jeździ na wakacje z matką albo siostrą. Trudno było sobie wyobrazić Nance Laurel w roli żony albo kochanki.

Wciąż odwrócona do nich plecami, prokuratorka powiedziała do telefonu:

– Nie, nie. Wiem, gdzie są.

Co to za ton?

Sachs wreszcie zrozumiała: Laurel wydawała się słaba, wręcz bezbronna. Rozmawiała z osobą, która ma nad nią jakąś władzę. Dawny związek nie do końca się rozpadł? Może.

Laurel rozłączyła się i siedziała przez chwilę, jak gdyby zbierając myśli. A potem wstała i wzięła torebkę.

– Muszę coś załatwić.

Dziwnie było widzieć ją tak zdenerwowaną.

– Mogę pomóc? – spytała odruchowo Sachs.

– Nie. Do zobaczenia rano... Wrócę jutro rano.

Chwyciwszy aktówkę, Laurel wyszła z salonu, skierowała się do drzwi wyjściowych i opuściła dom. Sachs zauważyła, że zostawiła nieporządek w swoim miejscu pracy – dokumenty leżały w nieładzie na całym stole, zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia wieczorem.

Kiedy Sachs patrzyła na bałagan w papierach, rzucił się jej w oczy jeden z nich. Podeszła i wzięła go ze stołu. Przeczytała:

*Od: zastępcy prokuratora okręgowego Nance Laurel*

*Do: prokuratora okręgowego Franklina Levine'a (okręg Manhattan)*

*Dot.: Sprawa przeciwko Metzgerowi i in. Aktualizacja, wtorek 16 maja*

*Badając tropy w sprawie, zidentyfikowałam szofera z firmy Elite Limousines, który 1 maja woził Roberta Morena po mieście. Kierowca nazywa się Atash Farada. Z moich ustaleń wynika kilka istotnych dla sprawy kwestii.*

*1. Robertowi Moreno towarzyszyła trzydziestokilkuletnia kobieta, prawdopodobnie z agencji albo prostytutka. Podobno wręczył jej „znaczną” sumę pieniędzy. Kobieta miała na imię Lydia.*

*2. Kierowca czekał przez kilka godzin na niego i tę osobę w umówionym miejscu na dolnym Manhattanie. Farada odniósł wrażenie, że Moreno nie chciał mu ujawnić, dokąd poszedł.*

*3. Kierowca wyraził przypuszczenie, że motywem antyamerykańskich poglądów Morena jest strata bliskiego przyjaciela, który zginął z rąk wojsk USA podczas inwazji na Panamę w grudniu 1989 roku.*

Sachs osłupiała. Notatka brzmiała niemal identycznie z e-mailem, który wysłała Laurel wcześniej, zgodnie z poleceniem Nadzorczyńni. Z wyjątkiem kilku drobnych różnic.

*Od: detektyw Amelii Sachs, NYPD*

*Do: zastępcy prokuratora okręgowego Nance Laurel*

*Dot.: Zabójstwo Morena, aktualizacja, wtorek 16 maja*

*Badając tropy w sprawie, zidentyfikowałam kierowcę z firmy Elite Limousines (Atash Farada), który 1 maja woził Roberta Morena po mieście. Rozmowa z nim ujawniła kilka faktów ważnych dla śledztwa.*

*1. Morenowi towarzyszyła trzydziestokilkuletnia kobieta, prawdopodobnie z agencji albo prostytutka. Podobno wręczył jej „znaczną” kwotę. Kobieta miała na imię Lydia.*

*2. Kierowca czekał przez jakiś czas na niego i tę kobietę w umówionym miejscu na dolnym Manhattanie. Odniósł wrażenie, że Moreno nie chciał mu ujawnić, dokąd poszli z Lydią.*

*3. Kierowca zasugerował, że motywem antyamerykańskiej działalności Morena jest strata bliskiego przyjaciela podczas inwazji na Panamę.*

Laurel ukradła moją pracę.

W dodatku była na tyle bezczelna, żeby ją zredagować.

Sachs przerzuciła kilka innych notatek, które sumiennie spisała i przesłała prokuratorce.

„Jeżeli byłabyś tak miła”...

Prawdę mówiąc, Sachs nie miała już ochoty być miła – ponieważ wszystkie informacje zostały tak spreparowane, aby stworzyć wrażenie, że Laurel dokonywała wszystkich ustaleń. Co więcej, w ani jednym dokumencie nie pojawiała się nazwisko Sachs. Rhyme był wymieniany wielokrotnie, ale

Sachs została zupełnie wycięta ze śledztwa.

Niech to szlag. O co tu chodziło?

Szukając odpowiedzi, zaczęła grzebać w stertach papierów. Były wśród nich liczne kopie opinii sądowych i streszczenia spraw.

Ale jeden dokument na dzień był inny.

I dużo wyjaśniał.

Zerknęła na Coopera, który siedział zgarbiony nad mikroskopem. Nie widział, jak buszowała w rzeczach Laurel. Wzięła odkryty przed chwilą dokument, zrobiła kserokopię i schowała do torebki. Następnie wsunęła oryginał z powrotem między papiery na stole Laurel, bardzo uważając, by położyć go dokładnie w tym samym miejscu, w którym go znalazła. Mimo że z pozoru wyglądało to na bałagan, nie zdziwiłaby się, gdyby prokuratorka przed wyjściem zapamiętała położenie każdego dokumentu i spinacza.

Chodziło o to, aby ta kobieta na pewno się nie dowiedziała, że została nakryta.

**17 maja, środa**

**IV**

## ROZDZIAŁ 46

Lepiej się pan czuje, kapitanie Rhyme?

Odczekał stosowną chwilę.

– Tak – odpowiedział zastępcy komendanta Królewskiej Policji Bahamów McPhersonowi. – Miło mi, że pan pyta. Jesteśmy spakowani i za chwilę wyjeżdżamy na lotnisko. – Rhyme miał włączony głośnik w telefonie.

Była ósma rano i Rhyme siedział w salonie gorącego i niezwykle wilgotnego apartamentu w motelu. Thom i Pulaski popijali kawę na werandzie w towarzystwie dwóch kameleonów.

– Czy mogę pana o coś spytać, kapitanie? – rozległo się po chwili w głośniku.

– Chyba tak. – Mówił urażonym, zmęczonym tonem więźnia.

– Nie rozumiem czegoś, co pan powiedział.

– Tak?

– Życzył nam pan powodzenia w sprawie morderstwa amerykańskiej studentki.

– Owszem.

– Ale ta młoda kobieta zginęła w wypadku. Poszła popływać, będąc pod wpływem alkoholu.

Rhyme milczał przez kilka sekund, jak gdyby nie rozumiał wątpliwości komendanta.

– Ach, byłbym bardzo zdziwiony, gdyby to była przypadkowa śmierć.

– Co chce pan przez to powiedzieć, kapitanie?

– Naprawdę nie mam czasu tego roztrząsać, komendancie. Niedługo musimy być na lotnisku. Zostawię panu wyjaśnienie...

– Proszę... Naprawdę pan sądzi, że studentka została zamordowana?

– Tak, jestem tego pewien.

Doszedł do tego wniosku, gdy kosztował ślimaków w cieście w Hurricane Café, oglądając makabryczne zdjęcia zwłok dziewczyny. Postanowił jednak nie dzielić się wtedy swoimi spostrzeżeniami ze starszym posterunkowym Poitierem.

– Niech pan mówi dalej – poprosił zastępcę komendanta.

– Dalej? – powtórzył zaskoczonym tonem Rhyme.

– Tak, proszę mi powiedzieć o pańskich przypuszczeniach. Są intrygujące.

Niech kropla draży skałę...

– Muszę już jechać na lotnisko. Jeszcze raz życzę powodzenia, panie komendancie.

– Chwileczkę! Proszę! Kapitanie Rhyme, może wczoraj podjąłem nieco pochopną decyzję. Nad zatoką Clifton doszło do niefortunnego incydentu. A przecież starszy posterunkowy Poitier dopuścił się niesubordynacji.

– Szczerze mówiąc, panie komendancie, doświadczenie mi mówi, że w naszej profesji najlepsze wyniki często osiągają funkcjonariusze najbardziej niesubordynowani.

– Być może. Ale mógłby mi pan zdradzić swoje przemyślenia na temat...

– Mógłbym panu pomóc... – Rhyme zawiesił głos.

– Tak?



- Ale w zamian za to chciałbym, żeby pan przywrócił do służby starszego posterunkowego Poitiera.
- Formalnie biorąc, nie został jeszcze zawieszony. Dokumenty w tej sprawie leżą na moim biurku, ale niczego jeszcze nie podpisałem.
- To dobrze. Musiałbym także uzyskać dostęp do miejsca zdarzenia w South Cove Inn, gdzie zginął Robert Moreno, i do protokołów sekcji zwłok oraz ubrań wszystkich trzech ofiar. Również do wszystkich istotnych śladów zebranych na miejscu, w szczególności kuli. Muszę zobaczyć tę kulę.

W głośniku rozległo się ciche stukanie. Zastępca komendanta wyraźnie nie był przyzwyczajony do negocjowania.

Rhyme spojrział na pozostałych, na których padły pierwsze promienie piekącego słońca. Pulaski wyszczerzył zęby w pokrzepiającym uśmiechu.

Po chwili ciszy – ciężkiej jak jaszczurka nosząca jaja, pomyślał drwiąco Rhyme – zastępca komendanta odparł: – Zgoda, kapitanie. Mógłby pan przyjechać do mnie, żeby porozmawiać o tej sprawie?

– Pod warunkiem że będzie tam mój współpracownik.

– Współpracownik?

– Starszy posterunkowy Poitier.

– Oczywiście. Zaraz to załatwię.

## **ROZDZIAŁ 47**

Gabinet zastępcy komendanta w komendzie Królewskiej Policji Bahamów był urządzonej z nieco wypłowiałym przepychem i bardziej przypominał pokój w domu niż biuro.

Roztaczała się tu atmosfera kolonialna, w której Rhyme czuł się całkiem swojsko. Jego miejsce pracy, czyli laboratorium w dawnym salonie, przypominało epokę wiktoriańską. Mimo że budynek komendy policji był młodszy, gabinet McPhersona wyglądał jak przeniesiony z dawniejszych czasów – kanapa z perkalowym obiciem, miska z dzbanem z wodą, duża dębowa szafa, lampy z żółtymi abażurami, a na ścianie portrety ludzi, którzy byli zapewne generalnymi gubernatorami albo piastowali podobne urzędy. Na wieszakach wisiały na baczność dwa galowe mundury, nieskazitelnie białe i granatowe.

Oczywiście musiały się tu znaleźć akcenty współczesności: sfatygowane szare szafki na akta, trzy telefony komórkowe leżące na praktycznym beżowym biurku oraz dwa imponujące komputery. Większą część jednej ściany zajmowała szczegółowa mapa wyspy New Providence.

W gabinecie było ciepło – klimatyzacja zmagала się z upałem – i wyjątkowo wilgotno. Rhyme domyślił się, że McPherson zwykle ma otwarte okna, a tego ranka sztucznie ochłodził gabinet przez wzgląd na gości. Jego przypuszczenie potwierdzała obecność jeszcze jednego uczestnika spotkania – kameleona siedzącego na wewnętrznym parapecie.

Rosły gospodarz w wyprasowanym mundurze khaki wstał i ostrożnie uścisnął Rhyme'owi dłoń.

– Dobrze się pan czuje, kapitanie?

– Tak. Potrzebowałem tylko odpoczynku.

– Znakomicie.

Podał rękę Pulaskiemu i Thomowi. Chwilę później do gabinetu wkroczył niepewnie Mychal Poitier. Nastąpiły kolejne powitania.

Zastępca komendanta usiadł i nagle przybrał służbową minę, spoglądając badawczo na Rhyme'a spod przymrużonych powiek.

– Porozmawiajmy o tej studentce. Mówił pan, kapitanie, że to morderstwo.

– Zgadza się, na pewno padła ofiarą zabójstwa – odrzekł Rhyme. – Zbrodnia została wcześniej zaplanowana. Wydaje mi się też, że przed śmiercią dziewczyna została pobita.

– Pobita? – Poitier pytająco przechylił głowę.

– Wskazówką jest jej biżuteria. Na zdjęciach zwłok zauważyłem, że miała złote bransoletki, złoty zegarek i złote pierścionki na palcach rąk i stóp. Oraz naszyjnik ze srebrnych listków. Nie pasował do pozostałej biżuterii.

– Co to może... – zaczął zastępca komendanta, ale zaraz zamilkł, bo Rhyme zmarszczył brwi, niezadowolony, że mu się przerywa.

– Sądzę, że napastnik ciężko ją pobił, a potem chciał ukryć ten fakt. Kiedy skończył, założył ofierze naszyjnik i ją utopił. Wiedział, że połyskujący metal zwabi padlinożerne ryby – czytałem o tym

podczas lotu. Przypuszczam, że we wszystkich przewodnikach są ostrzeżenia, żeby nie nosić nic błyszczącego. Szczególnie srebra, ponieważ przypomina rybie łuski o wiele bardziej niż złoto. Ryby zajęły się dowodami pobicia, usuwając większą część skóry twarzy. Wiemy, że morderca zaplanował to wcześniej, bo miał przy sobie srebrny naszyjnik.

– Po co to zrobił? – zapytał Poitier. – Nie było dowodów, że to napaść na tle seksualnym.

– Może zemsta. Ale mam pewne podejrzenia, które mogą zaprowadzić nas trochę dalej. Trzeba będzie porozmawiać z patologiem przeprowadzającym sekcję. Chciałbym poznać wyniki pośmiertnego badania krwi. – Widząc utkwiony w sobie wzrok zastępcy komendanta, Rhyme dodał: – Dobrze by było poznać je od razu.

– Tak. Oczywiście. – McPherson podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił. Przez chwilę rozmawiał z jakimś urzędnikiem czy asystentem, po czym oświadczył: – Nie interesuje mnie, czy przeprowadza właśnie autopsję. Kiedy do niej wróci, ciało będzie tak samo martwe. Proszę go wezwać.

Po chwili zastępca komendanta spojrzał na Rhyme'a, odsuwając słuchawkę od ucha.

– Wyniki już są. Koroner ma przed sobą protokół.

– Poziom alkoholu we krwi? – spytał kryminalistyk.

Pytanie zostało przekazane patologowi.

– Siedem dziesiątych promila.

– W oczach prawa jeszcze nie stan nietrzeźwości, ale blisko – zauważył Pulaski.

– Co piła? – zapytał szybko Rhyme.

– W samochodzie znaleźliśmy czterdziestoprocentowy rum Bacardi i coca-colę, jedno i drugie otwarte – odpowiedział Poitier.

– Zwykłą czy dietetyczną? Pytam o colę.

– Zwykłą.

– Proszę spytać koronera o pośmiertny poziom glukozy – zwrócił się do McPhersona Rhyme. – I nie chodzi mi o wynik z układu krwionośnego. Nie jest miarodajny; glikoliza zachodzi jeszcze po śmierci. Chcę znać stężenie w ciele szklistym. Nie ma tam enzymów glikolitycznych.

McPherson patrzył na niego zdumiony. Jak zresztą wszyscy obecni.

– Chodzi mi o poziom glukozy w ciele szklistym oka – ciągnął zniecierpliwiony Rhyme. – To standardowe badanie. Na pewno je przeprowadzili.

Zastępca komendanta powtórzył pytanie patologowi. Otrzymał odpowiedź, że stężenie wynosiło 4,2

miligram na decylitr.

– Normalne, dość niskie. – Kryminalistyk się uśmiechnął. – Wiedziałem. Nie piła dla przyjemności. Gdyby mieszała rum z colą, stężenie byłoby wyższe. Morderca wmusił w nią czysty rum, a potem zostawił otwartą butelkę coca-coli, żeby to wyglądało tak, jakby mieszała jedno z drugim. – Rhyme ponownie spojrzał na zastępcę komendanta. – Testy na obecność narkotyków?

Pytanie znów zostało przekazane do telefonu.

– Wszystkie wyniki negatywne.

– Dobrze! – stwierdził z entuzjazmem Rhyme. – Nareszcie jakieś konkrety. Teraz trzeba przyjrzeć się jej pracy.

– Była sprzedawczynią na pół etatu w Nassau – powiedział Poitier.

– Nie, nie mówię o tej pracy. Chodzi mi o pracę prostytutki.

– Co takiego? Skąd pan to wie?

– Ze zdjęć. – Zerknął na Poitiera. – Zdjęć zwłok, które pokazał mi pan w iPadzie. Dziewczyna miała na ręce liczne ślady po zastrzykach. Właśnie się dowiedzieliśmy, że badania na obecność narkotyków we krwi dały ujemne wyniki, skąd więc te znaki? To nie mogła być insulina; diabetycy nie wstrzykują jej sobie dożylnie w tym miejscu. Nie, istnieje prawdopodobieństwo – prawdopodobieństwo, nie pewność – że regularnie poddawała się badaniom krwi na obecność chorób przenoszonych drogą płciową.

– prostytutka. – Zastępca komendanta wyraźnie ucieszył się z tej wiadomości. Okazało się, że Amerykanka, która zginęła na jego terenie, nie była niewinną studentką. Słuchawka telefonu wisiała w jego dłoni jak nieruchome wahadło.

– Może się już pan rozłączyć – napomknął Rhyme.

McPherson odłożył słuchawkę, pożegnawszy patologa kilkoma krótkimi słowami.

– Co teraz? – zapytał Poitier.

– Trzeba się dowiedzieć, gdzie ta kobieta pracowała – rzekł Pulaski – i gdzie znajdowała klientów.

Rhyme skinął głową.

– Tak. Tam prawdopodobnie spotkała mordercę. Złota biżuteria była kosztowna i gustowna. Dziewczyna, bardzo zgrabna, wysportowana i zdrowa, miała ładne rysy. Niemożliwe, żeby włóczyła się po ulicach. Poszukajcie paragonów płatności kartą kredytową w jej torebce. Zobaczymy, gdzie kupowała sobie koktajle.

Zastępca komendanta dał znak i Mychal Poitier zadzwonił – prawdopodobnie do magazynu

dowodów albo kogoś z wydziału detektywów; przeprowadził dość długą rozmowę, po której powiedział:

– Ciekawe. Dwa pokwitowania z baru w...

Coś w jego tonie błyskawicznie nasunęło Rhyme'owi pewną myśl.

– W South Cove Inn!

– Tak, zgadza się, kapitanie. Jak się pan domyślił?

Rhyme nie odpowiadał, długo patrząc przez okno. Wszystko układało mu się w głowie.

– Jak się nazywa ta dziewczyna? – zapytał.

– Annette. Annette Bodel.

– Mam dobre wiadomości dla nas obu, panie komendancie. Dla pana: morderca pani Bodel nie pochodzi z Bahamów, ale z Ameryki – wizerunek pańskiego kraju jest uratowany. A dla mnie: chyba znaleźliśmy związek ze sprawą Morena. Pomyliłem się co do jednego – to prawda, że dziewczyna była torturowana. Ale sprawca nie użył pięści, tylko noża, krojąc jej policzek, nos albo język.

– Skąd pan to wie? – zdumiał się Poitier.

– Jeszcze nie wiem, lecz sądzę, że to prawdopodobne. Moja współpracowniczka z Nowego Jorku powiedziała mi, że człowiek, który eliminuje świadków w sprawie, posługuje się nożami. To nie jest snajper. Przypuszczam, że to pomocnik albo obserwator pracujący ze snajperem i że on był Amerykaninem, który przyjechał do South Cove Inn ósmego maja i wypytywał o apartament 1200, o Morena i jego ochroniarza. Przypuszczalnie poderwał Annette w barze hotelu, wykorzystał ją, żeby zdobyć informacje, a po zabójstwie opuścił Bahamy razem ze snajperem. Kiedy się jednak dowiedział o śledztwie, wrócił dwa dni temu, w poniedziałek, poddał dziewczynę torturom, żeby się dowiedzieć, czy komuś o nim powiedziała, a potem ją zabił.

– Powinniśmy się rozejrzeć na plaży, gdzie ją znaleziono – odezwał się Pulaski. – Przeszukać ją tym razem jako miejsce zbrodni.

McPherson spojrział na Poitiera, ale starszy posterunkowy przecząco pokręcił głową.

– Sprawca był sprytny, panie komendancie. Zabił ją w czasie odpływu. Ta część plaży jest metr pod wodą.

– Rzeczywiście sprytny. – Rhyme patrzył zastępcy komendanta prosto w oczy. – Dowody, którymi dysponujemy, nie pozostawiają prawie żadnych wątpliwości, że Robert Moreno został zastrzelony przez snajpera instytucji państwowej Stanów Zjednoczonych, a jego partner lub przynajmniej ktoś z jego organizacji sprząta ślady po tej operacji, między innymi mordując Annette Bodel w Nassau. Ta informacja wkrótce wyjdzie na jaw. Może pan zignorować wątek amerykański i trzymać się swojej wersji, jakoby za zamach odpowiadał kartel z Wenezueli. Ale potem zostanie pan uznany za jedną z

osób, które próbowały tuszować fakty. Albo może pan pomóc nam odnaleźć snajpera i jego współnika.

– Powinien pan wiedzieć, panie komendancie – wtrącił Pulaski – że człowiek, który zlecił zabójstwo, prawdopodobnie przekroczył swoje uprawnienia. Jeżeli pomoże nam pan znaleźć sprawców, rozdrażni pan Waszyngton mniej, niż pan przypuszcza.

Świetny argument, pomyślał Rhyme.

– Wyślę na cypel zespół z wydziału kryminalistyki, żeby poszukał gniazda snajpera. – McPherson obrócił szeroką twarz do Mychala Poitiera. – Pan pojedzie razem z kapitanem Rhyme’em i jego współpracownikami do South Cove Inn, żeby powtórnie przeszukać miejsce zabójstwa Morena. Proszę mu udzielić każdej możliwej pomocy. Zrozumiano?

– Tak jest, panie komendancie.

Zwracając się do Rhyme’a, powiedział:

– Wydam też polecenie, żeby udostępnić panu pełen raport z zabezpieczenia śladów na miejscu zdarzenia i z sekcji zwłok. A także dowody. Zakładam, że zależy panu na tym, kapitanie?

– Tak, zwłaszcza na dowodach. Bardzo mi na tym zależy. – Rhyme z trudem powstrzymał się przed dodaniem uwagi, że cholernie się spieszył z tą decyzją.

## **ROZDZIAŁ 48**

Znów jechali South West Road.

Thom siedział za kierownicą vana do przewozu niepełnosprawnych, wioząc do South Cove Inn Poitiera, Pulaskiego i Rhyme’a tą samą drogą, którą poprzedniego dnia jechali z potajemną wizytą na cypel wysunięty w zatokę Clifton, omal nie przyplacając tego życiem.

Mieli za plecami słońce, które mimo wczesnej pory stało już wysoko na niebie i oświetlało soczystą zieleń, czerwień i głęboką żółć roślinności. Gdzieniegdzie widać było białe kwiaty, które na pewno spodobałyby się Sachs.

„Tęsknię za tobą”...

Rozłączyła się dokładnie w chwili, gdy Rhyme nabrał powietrza, aby powiedzieć to samo. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak wybrała moment.

Zatrzymali się na chwilę przy policyjnym wydziale kryminalistyki, żeby zabrać podstawowe narzędzia do zabezpieczania śladów. Był to sprzęt wysokiej jakości. Rhyme miał wielką nadzieję, że Pulaski i Poitier znajdą w Pokoju Straceń coś, co pomoże im jednoznacznie powiązać Barry’ego Shalesa z zabójstwem i prawdopodobnie znajdą jakieś wskazówki co do tożsamości NN 516.

Wkrótce dotarli do hotelu i zatrzymali się przed frontem imponującej budowli, utrzymanej w stylu architektonicznym, który, jak przypuszczał Rhyme, można było nazwać neokolonialnym. Thom popchnął wózek inwalidzki po chodniku otoczonym zadbanymi ogrodami.

Kiedy weszli do holu, Mychal Poitier przywitał się z sympatyczną recepcjonistką. Bardziej zaciekała ją obecność mężczyzny na wózku niż funkcjonariusza policji; ci drudzy w ostatnich dniach gościli tu dość często. Parterowy obiekt wydawał się przystosowany do przyjmowania niepełnosprawnych, ale Rhyme przypuszczał, że przyjeżdżało tu niewielu takich gości, aby skorzystać z plaży i pola golfowego, które stanowiły główną atrakcję hotelu.

Kierownik był w tej chwili zajęty, lecz recepcjonistka bez wahania podała im elektroniczny klucz do apartamentu 1200.

Pulaski, który poznał ją wczoraj, skinął głową na powitanie i pokazał kobiecie zdjęcie Barry’ego Shalesa otrzymane od Sachs. Ani recepcjonistka, ani nikt inny nigdy nie widział Shalesa.

Co potwierdzało przypuszczenia Rhyme’a: ósmego maja do hotelu przyjechał NN 516 jako współnik Shalesa.

Pulaski i Poitier wzięli sprzęt do zabezpieczania śladów i cała grupa ruszyła korytarzem wskazanym przez recepcjonistkę.

Po kilku minutach marszu – hotel był dość rozległy – Thom wskazał tabliczkę.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Skręcili za róg. I zatrzymali się jak wryci.

– Chwileczkę – mruknął Poitier. – Co jest?

Rhyme miał przed sobą podwójne drzwi prowadzące do apartamentu 1200, Pokoju Straceń – miejsca zbrodni, które powinno być otoczone taśmą policyjną, opatrzone surowymi zakazami wstępu i odpowiednio zaplombowane.

Ale nie było.

Drzwi były otwarte, a pośrodku pokoju stał robotnik w poplamionym białym kombinezonie i wałkiem nakładał chyba ostatnią warstwę farby na ścianie nad kominkiem. Na podłodze apartamentu było gołe drewno. Zdjęto z niego dywany i wykładziny. Zakrwawiona kanapa i odłamki szyby zniknęły.

## **ROZDZIAŁ 49**

Jacob Swann jadł bardzo dobrze przyrządzony omlet w barze na Upper West Side, niedaleko Central Park West.

Był ubrany w dzinsy, wiatrówkę (dziś czarną), buty do biegania oraz biały T-shirt. U boku miał plecak. W tej części miasta wiele osób pracowało w miejscach, gdzie nie wymagano garniturów i



krawatów, a sztywne godziny nie były normą – na scenach i estradach, w muzeach, w galeriach. Oczywiście także w branży gastronomicznej. Swann doskonale wtapiał się w otoczenie.

Popijał gorącą, ale nie gorzką kawę. Grzankę posmarowano masłem, zanim zetknęła się ze źródłem ciepła – inny sposób był niedopuszczalny. A omlet? Swann uznał, że jest lepiej niż dobrze przyrządzony. Był pierwszorzędny.

Jajka należą do najbardziej podstępnych składników i potrafią nadać daniu niezwykle wyrafinowany smak albo doprowadzić do całkowitej katastrofy, jeżeli ktoś nie zachowa ostrożności lub zawiodą warunki – potrawa może się ścieć, stwardnieć albo opaść. Wystarczy odrobina żółtka w pianie z białek, które chcesz zapiec, a spieprzy się cały omlet norweski. Poza tym zawsze istnieje ryzyko, że w doskonałym boskim owalu namnożą się nieprzyjemne bakterie (w końcu skorupki są po to, by chronić zarodek).

Te jajka zostały jednak ubite we właściwy sposób – niezbyt starannie i bez najmniejszej odrobiny płynu – a następnie usmażone na dużym ogniu. W odpowiednim momencie, nie za wcześnie, dodano do nich świeżo posiekany estragon, szczypiorek i koperek. Skończone danie w kształcie półksiężyca było żółto-brązowo-białe, chrupkie na zewnątrz i lekko ścięte w środku.

Mimo smacznego jedzenia Swann zaczynał się trochę niecierpliwić.

Amelia Sachs siedziała w domu Lincolna Rhyme’a od kilku godzin. Zręcznie poradziła sobie z problemem podsłuchów, co parę godzin zmieniając komórkę na kartę – korzystali z nich teraz wszyscy w zespole śledczym – a w telefonie stacjonarnym zamontowała urządzenie wykrywające podsłuch, którego nie można było unieszkodliwić bez fizycznego włamania się do centrali.

Ale skoro była detektywem prowadzącym śledztwo, prędzej czy później musiała stamtąd wyjść.

Pomyślał o jej partnerze, Lincolnie Rhymie. To dopiero był szkopuł. Organizacja wydała prawie dwa tysiące dolarów, żeby go wyeliminować razem z jego pielęgniarzem i innym policjantem. Ale ludzie z nabrzeża zawalili sprawę. Pytali Swanna, czy chce, żeby spróbowali jeszcze raz, lecz kazał im czym prędzej uciekać z wyspy. Wprawdzie bardzo trudno byłoby ich powiązać ze Swannem i jego szefem, ale nie można było wykluczyć takiej możliwości.

Był pewien, że nadarzy się jeszcze okazja, by zająć się Rhyme’em. Na pewno nie potrafił poruszać się na tyle szybko, żeby umknąć przed kai shunem. Swann czytał o niepełnosprawności kryminalistyka i dowiedział się, że tetraplegik nie ma żadnego czucia w prawie całym ciele. Intrygowała go myśl, że Rhyme może siedzieć i nie czując żadnego bólu, przyglądać się, jak ktoś obdziera go ze skóry – powoli wykrwawiając się na śmierć.

Interesująca myśl: oprawiać żywe stworzenie.

Ciekawe. Będzie musiał...

Ach, jest nasza piękna Amelia.

Nie pojawiła się tam, gdzie spodziewał się ją zobaczyć – w biegnącym za domem zaułku w kształcie litery L. Widocznie wyszła frontowymi drzwiami od Central Park West. Skierowała się na zachód.

Swann miał nadzieję, że dopadnie ją w zaułku; tu w tej chwili kręciło się za dużo przechodniów, którzy spóźnieni zmierzali do pracy. Ale spotkanie z nią sam na sam było tylko kwestią czasu.

Niby mimochodem wytarł sztućce i kubek z kawą, usuwając odciski palców. Zapłacił, wsuwając pod talerz dziesięć i pięć dolarów, zamiast iść z rachunkiem do kasy. Banknoty pochodziły z reszty wydanej mu przez konsjerża w hotelu na drugim końcu miasta; gotówkę z bankomatu można bardzo łatwo namierzyć, przeprowadził więc mikrooperację prania brudnych pieniędzy, zostawiając suty napiwek, choć w granicach rozsądku.

Wyszedł już z baru i wsiadał do nissana.

Obserwował Sachs przez przednią szybę samochodu. Bacznie rozejrzała się po ulicy, nie patrząc jednak w jego stronę, tylko na miejsca, z których mógłby wyjść napastnik. Ciekawe – uniosła wzrok, przyglądając się dachom.

Nie obawiaj się, uspokoił ją w duchu Swann. Stamtąd kula nie nadleci.

Kiedy szukała kluczyków do samochodu, odchyliła się poła kurtki na biodrze i zobaczył glocka.

Uruchomił silnik w tym samym momencie co ona, aby nie usłyszała rozrusznika nissana.

Gdy torino wyjechał na ulicę, Swann ruszył za nim.

Żałował tylko, że czeka ją kula; w przepisie nie było mowy o tym, by potraktować jej jedwabiste ciało nożem Kai Shun.

## **ROZDZIAŁ 50**

Mychal Poitier rozmawiał z kierownikiem South Cove.

– Ależ myślałem, że pan wie – rzekł wysoki kędzierzawy mężczyzna w bardzo gustownym beżowym garniturze. Marszczył opalone na różowo czoło, na którym rysowały się głębokie bruzdy. Mówił z lekkim brytyjskim akcentem.

– O czym miałem wiedzieć? – mruknął Poitier.

– Dowiedzieliśmy się, że możemy otworzyć apartament, posprzątać i naprawić szkody.

– Ode mnie? Nic takiego nie mówiłem.

– Nie, nie od pana. Ale od kogoś z pańskiej komendy. Ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, żeby zdjąć plomby. Nie pamiętam jego nazwiska.

– Zadzwonił?! – spytał Rhyme. – Nie zjawił się tu osobiście?

– Nie, to był tylko telefon.

Rhyme westchnął.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– W poniedziałek.

Poitier odwrócił się i skonsternowany spojrzał na Rhyme'a.

– Wydałem wyraźne polecenie, żeby pokój pozostał zabezpieczony. Nie wyobrażam sobie, kto z komendy...

– To nie był nikt z pańskiej komendy – przerwał mu Rhyme. – Dzwonił nasz NN.

I znalazł sprzymierzeńca w osobie kierownika, który gorąco pragnął zatrzeć wszelkie ślady morderstwa, które tu popełniono. Tabliczki w korytarzach informujące o zabezpieczonym miejscu zbrodni nie służą wizerunkowi hotelu.

– Przykro mi – powiedział obronnym tonem do starszego posterunkowego.

– Gdzie jest dywan, kanapa, odłamki szkła z rozbitej szyby? – dopytywał się Rhyme. – Pozostałe meble?

– Pewnie na jakimś wysypisku śmieci. Nie mam pojęcia. Skorzystaliśmy z usług zewnętrznej firmy. Dywan i kanapa były zakrwawione, więc powiedzieli, że je spalą.

Wszystkie te płonące śmieci...

– Zaraz po zamordowaniu Annette nasz NN dzwoni do hotelu i trzask-prask, nie ma miejsca zbrodni –

rzekł Pulaski. – Jak się nad tym zastanowić, całkiem sprytne. I proste.

Rzeczywiście. Rhyme przyjrzał się nieskazitelnemu wnętrzu pokoju. Jedynym dowodem morderstwa był brak szyby w oknie, które zakleiono plastikową folią.

– Jeżeli mogę jakoś pomóc... – powiedział kierownik.

Kiedy nikt się nie odezwał, szybko się wycofał.

Thom wprowadził do apartamentu Rhyme'a, a ponieważ Pokój Straceń nie był przystosowany dla niepełnosprawnych, Poitier i Pulaski pomogli mu znieść wózek z dwóch stopni.

Bładoniebiesko-zielony pokój, w którym farba na kilku ścianach była jeszcze świeża, miał sześć na dziewięć metrów. Dwoje drzwi po prawej prowadziło do dwóch sypialni, które też okazały się puste i przygotowane do malowania. Po lewej stronie od wejścia znajdowała się w pełni wyposażona kuchnia.

Rhyme wyrzwał przez jedno z ocalałych okien. Wychodziło na wypielęgnowany ogród, nad którym górowało drzewo o gładkim pniu wysokości ponad dziesięciu metrów. Zauważył, że wszystkie niższe gałęzie do wysokości sześciu metrów nad ziemią zostały przycięte. Patrząc na wprost przez ogród pod okapem liści, wyraźnie zobaczył cypel, z którego strzelał Barry Shales i gdzie omal nie zginęli ludzie obecni teraz w apartamencie.

Przyjrzał się drzewu spod przymrużonych powiek.

Może jednak mamy miejsce zbrodni.

– Nowy! – krzyknął Rhyme.

– Już, Lincoln.

Pulaski stanął obok niego. I zaraz podszedł Mychal Poitier.

– Zauważyłeś coś nietypowego w tym miejscu?

– Cholernie trudny strzał. To duża odległość. No i zamglenie, które musiało przeszkadzać w celowaniu.

– Taki sam scenariusz widzieliśmy wczoraj z drugiego brzegu – burknął Rhyme. – Tu nic się nie zmieniło. Przecież nie o tym mówię. Pytam, czy nie widzisz nic dziwnego w ogrodzie.

Młody policjant przez chwilę przyglądał się widokowi za oknem.

– Snajper miał pomoc. Gałęzie.

– Zgadza się. Ktoś wyciął niższe gałęzie – wyjaśnił Rhyme, zwracając się do Poitiera – żeby snajper miał czystą linię strzału. Powinniśmy przeszukać ogród.

Starszy posterunkowy pokręcił głową.

– Dobra teoria, kapitanie, ale nie. Wie pan, co to jest? Trujące drzewo. Zna je pan?

– Nie.

– Jak sama nazwa wskazuje, przypomina jadowitą roślinę w rodzaju sumaka. Gdyby na przykład go spalić, dym będzie przypominał gaz łzawiący. Gdyby ktoś dotknął liści, mógłby trafić do szpitala z poważnym podrażnieniem. Te drzewa bardzo ładnie kwitną, więc w tutejszych hotelach nie wycina się ich, tylko podcina, zostawiając wyższe gałęzie, żeby ludzie nie mogli ich dotknąć.

– Blisko, ale niezupełnie – mruknął Rhyme. Nie cierpiał sytuacji, gdy waliła się całkiem solidna hipoteza. A wraz z nią nadzieja, że da się zebrać porządne ślady. – Zrób parę zdjęć – powiedział do Pulaskiego. – Zbierz próbki z wykładziny tuż za drzwiami, próbki ziemi z klombów przy chodniku przed wejściem, zdejmij odciski z klamek. Pewnie to na nic, ale skoro już tu jesteśmy...

Rhyme przyglądał się, jak młody człowiek zbiera dowody i umieszcza w foliowych torebkach, dokładnie zapisując, skąd pochodzi każda próbka. Następnie Pulaski zrobił chyba sto zdjęć. Ujawnił trzy odciski palców. Kiedy skończył, włożył wszystko, co zebrał, do dużej papierowej torby.

– Coś jeszcze, Lincoln?

– Nie – odburknął Rhyme.

Zabezpieczanie śladów w Pokoju Straceń i hotelu trwało chyba najkrócej w historii kryminalistyki.

W drzwiach pojawił się jeszcze jeden umundurowany funkcjonariusz, o okrągłej twarzy i bardzo ciemnej karnacji. Zerknął na Rhyme'a z niejakim podziwem. Być może po komendzie Królewskiej Policji Bahamów zaczął ostatnio krążyć należący do Poitiera egzemplarz podręcznika kryminalistyki Rhyme'a. A może po prostu był pod wrażeniem, że znalazł się w tym samym pokoju co zagadkowy glina z Ameryki, który serią prostych dedukcji zmienił sprawę utonięcia zaginionej studentki w sprawę morderstwa.

Z szacunkiem skinął głową Poitierowi. Miał w rękach grubą teczkę i dużą torbę na zakupy.

– Od komendanta McPhersona. Kopie wszystkich raportów z oględzin miejsca zdarzenia, zdjęcia i protokoły z sekcji zwłok.

Starszy posterunkowy wziął teczkę i podziękował. Wskazał torbę.

– Ubrania ofiar?

– Tak. I buty. Także dowody, które zebrano tu zaraz po zabójstwie. Ale muszę panu powiedzieć, że większość zaginęła. Tak twierdzi administrator kostnicy. Nie wie, jak to się stało.

– Nie wie, jak to się stało – powtórzył drwiąco Poitier.

Rhyme przypomniał sobie, że między hotelem a kostnicą zniknęły zegarki i inne cenne przedmioty, na przykład aparat fotograficzny i dyktafon Eduarda de la Rui.

– Przykro mi.

– Wiadomo już coś o łuskach? – spytał Poitier, spoglądając przez okno na cypel na drugim brzegu zatoki. Od dwóch godzin pracowali tam nurkowie i policjanci wyposażeni w wykrywacze metalu.

– Niestety, nie. Wygląda na to, że snajper pozbiierał łuski i nadal nie wiemy, gdzie było gniazdo.

Poitier wzruszył ramionami.

– Pojawilo się gdzieś nazwisko Barry’ego Shalesa? – W drodze do hotelu polecił wydziałowi informacji sprawdzić, czy służba celna albo graniczna odnotowała wjazd snajpera do kraju. Chciał też znać dane o transakcjach przeprowadzonych kartami kredytowymi.

– Nie. Nigdzie.

– Dziękuję, konstablu.

Policjant zsalutował, niepewnie skinął głową Rhyme’owi, po czym odwrócił się i wyprężony jak struna wymaszerował z apartamentu.

Rhyme poprosił Thoma, aby podwiózł go bliżej Poitiera, i zajrzał do torby. Znajdowały się w niej trzy opakowane w folię zawiniątka, szczelnie zaklejone i opatrzone skrupulatnie wypełnionymi kartami ewidencyjnymi. Niezdarnie sięgnął do środka i wyciągnął niewielką kopertę leżącą na wierzchu. Wewnątrz tkwiła kula. Rhyme ocenił, że jest nieco większa niż powszechnie stosowana przez snajperów amunicja, Lapua kalibru .338. To był prawdopodobnie coraz popularniejszy kaliber .416. Rhyme przyjrzał się badawczo zdeformowanemu kawałkowi miedzi i ołowiu. Jak wszystkie pociski, nawet tak dużego kalibru, wydawał się zaskakująco niewielki, by wyrządzić tak straszliwe szkody i w ułamku sekundy zakończyć ludzkie życie.

Odłożył kopertę na miejsce.

– Nowy, odpowiadasz za to. Wypełnij karty.

– Już się robi. – Pulaski wpisał swoje nazwisko do kart ewidencyjnych.

– Będziemy się z tym obchodzić bardzo ostrożnie – zapewnił Poitiera Rhyme.

– Wątpię, czy te dowody do czegoś się nam przydadzą. Jeżeli aresztujecie Shalesa i jego nieznanego współnika, nie sądzę, żeby wasze sądy odesłały je nam z powrotem.

– Mimo wszystko to są dowody. Postaramy się, by wróciły do was w komplecie.

Poitier rozejrzał się po pustym pokoju.

– Przykro mi, że nie ma pan swojego miejsca zdarzenia, kapitanie.

Rhyme zmarszczył brwi.

– Ależ mam. I proponuję, żebyśmy tam pojechali jak najszybciej, zanim też coś się z nim stanie. Łap za wózek, Thom. Jedziemy.

## ROZDZIAŁ 51

Przypominał ropuchę.

Henry Cross był krępy, miał ciemną karnację i kilka widocznych brodawek, które zdaniem Amelii Sachs można było bez trudu usunąć. Duża głowa zwieńczona gęstymi czarnymi włosami. Szerokie usta. Wielkie dłonie o nierównych paznokciach. Kiedy Cross mówił, od czasu do czasu brał grube niezapalone cygaro i wtykał je sobie do ust, żeby z zapalem gryźć jego koniec. Obrzydliwy nawyk.

– To wredne, że Roberto zginął. Wredne – powiedział, kręcąc głową. Mówił z lekkim akcentem, chyba hiszpańskim; Lydia Foster wspominała, że płynnie mówił po hiszpańsku i po angielsku – jak Moreno.

Był dyrektorem fundacji Klasy dla Ameryk, która we współpracy z kościołami budowała szkoły i zatrudniała nauczycieli w ubogich rejonach Ameryki Łacińskiej. Sachs pamiętała, że w tę działalność zaangażował się Moreno.

Wybuchowe niespodzianki...

– Ruch Wspierania Podmiotowości Lokalnej Roberta to jedna z największych organizacji, które nas zasilają – rzekł Cross. Wycelował gruby palec w galerię zdjęć na porysowanej ścianie. Pokazywały biura fundacji w Caracas, Rio de Janeiro i Managui. Na jednym z nich Moreno otaczał ramieniem uśmiechniętego śniadego mężczyznę na budowie. Obaj mieli na głowach kaski. Obok stała niewielka grupka miejscowych, którzy najwyraźniej bili im brawo. – Był też moim przyjacielem – mruknął

Cross.

– Długo pan go znał?

– Może pięć lat.

– Współczuję panu tej straty. – Tego zdania uczyli instruktorzy na akademii policyjnej, ale kiedy Amelia Sachs wypowiadała te słowa, mówiła szczerze.

– Dziękuję. – Westchnął.

Małe ciemne biuro znajdowało się w budynku przy Chambers Street na dolnym Manhattanie. Fundacja była jedynym przystankiem w podróży Morena do Nowego Jorku, jaki Sachs udało się namierzyć – dzięki paragonowi ze Starbucksa, który znalazła w mieszkaniu Lydii Foster. Sachs sprawdziła księgę gości biur w budynku, gdzie mieściła się kawiarnia, i zobaczyła, że pierwszego maja Moreno odwiedził fundację.

– Robertowi podobało się, że nie jesteśmy instytucją charytatywną. Wolimy się nazywać dystrybutorem środków. Moja organizacja nie rozdaje pieniędzy ubogim. Finansujemy szkoły, które uczą ludzi pewnych umiejętności, żeby mogli wyjść z biedy własną pracą. Nie mam cierpliwości do nikogo, kto tylko wyciąga rękę. To mi naprawdę działa na nerwy...

Cross umilkł, uniósł dłoń i parsknął śmiechem.

– Zupełnie jak Roberto. Od razu zaczynam wygłaszać kazania. Przepraszam. Ale mówię tak, bo mam takie doświadczenia, bo nieraz ubrudziłem sobie przy tym ręce, bo wiem, co to jest życie w okopach. Kiedyś pracowałem w żegludze i zauważyłem, że większość ludzi chce ciężko pracować. Chce się doskonalić. Ale nie da się tego zrobić bez dobrej edukacji, a tamtejsze szkoły były, przepraszam za wyrażenie, gówniane. Chciałem to zmienić. Tak poznałem Roberta. Zakładaliśmy właśnie biuro w Meksyku, a Roberto był w mieście i rozmawiał z jakąś grupą rolników. Znaleźliśmy nic porozumienia. – Na szerokich ustach pojawił się nikły uśmiech. – Władza w ręce ludu... Trzeba przyznać, że to wcale nie taki głupi pogląd. Roberto robił swoje przez mikrobiznes; ja zająłem się edukacją.

Chociaż bardziej przypominał właściciela fabryki guzików z dzielnicy mody albo prawnika specjalizującego się w sprawach o odszkodowania z tytułu uszczerbku na zdrowiu niż dyrektora fundacji.

– A więc przyszła pani w sprawie tych narkotykowych bandytów, którzy go zabili? – warknął Cross. Przez chwilę zawzięcie gryzł koniec cygara, po czym odłożył je na szklaną popielniczkę w kształcie liścia klonu.

– Na razie jesteśmy na etapie zbierania informacji – odrzekła wymijająco Sachs. – Badamy szczegóły jego niedawnego przyjazdu do Nowego Jorku, kiedy się z panem spotkał. Może mi pan powiedzieć, gdzie jeszcze wtedy był?



– Mówił, że ma spotkania w innych organizacjach non profit, trzech czy czterech. Wiem, że do niektórych potrzebował tłumacza, jeżeli ta informacja może pani pomóc.

– Wspominał, o które organizacje chodzi?

– Nie, wpadł tylko zostawić czek i zapytać o parę nowych projektów, nad którymi pracowaliśmy wspólnie. Chciał, żeby któryś nazwał jego imieniem. Klasę. Nie całą szkołę. Widzi pani, taki był właśnie Roberto. Realista. Przekazywał pewną kwotę, nie żadne miliony dolarów, więc wiedział, że nie nazwą całej szkoły jego imieniem. Wystarczała mu jedna klasa. Skromny człowiek, rozumie pani? Ale zależało mu na jakimś uznaniu.

– Obawiał się o swoje bezpieczeństwo?

– Oczywiście. Zawsze się obawiał. Był typem, który wali prawdę prosto z mostu. – Smutny uśmiech. – Mówił, że nie cierpi tego polityka czy tamtego prezesa, nie bał się mówić tego na antenie ani pisać na blogach. Nazywał się Posłańcem, głosem sumienia. Narobił sobie wielu wrogów. Takich jak na przykład ci pieprzeni bandyci od narkotyków, przepraszam za wyrażenie. Mam nadzieję, że trafią na krzesło elektryczne albo dostaną śmiertelny zastrzyk.

– Wspominał o tym, że kartele czy gangi są dla niego zagrożeniem?

Cross odchylił się na krześle i przez chwilę się zastanawiał.

– Konkretnie nie. Ale mówił, że ktoś go śledzi.

– Proszę powiedzieć coś więcej.

Cross przesunął palcem po dwóch pieprzykach na szyi.

– Mówił o jakimś facecie, który jest, ale go nie ma, rozumie pani? Podobno chodził za nim po ulicach.

– Podał rysopis?

– Biały. Wygląd twardziela. Nic więcej.

Sachs od razu pomyślała o Barrym Shalesie i NN 516.

– Ale to nie wszystko. Był jeszcze samolot. Tego bał się najbardziej.

– Samolot?

– Roberto dużo podróżował. Mówił mi, że trzy czy cztery razy zauważył ten sam prywatny odrzutowiec w kilku miastach – na małych lotniskach, tam gdzie prywatny odrzutowiec bardziej rzuca się w oczy. Na Bermudach, Bahamach, w Caracas, gdzie mieszkał. W paru miastach w Meksyku. Mówił, że to dziwne, bo zawsze wyglądało to tak, jakby samolot już tam był, zanim Roberto wylądował. Jak gdyby ktoś znał plan jego podróży.

Z podsłuchu rozmów telefonicznych? Ulubionego zajęcia Metzgera, Shalesa i NN 516.

Zęby zmiażdżyły cygaro.

– A dlaczego zwrócił na niego uwagę? Powiedział, że prywatne odrzutowce zwykle są białe. Ale ten był niebieski.

– Jakież litery, cyfry, oznaczenia?

Wzruszył ramionami.

– O tym nie mówił. Zdziwiłem się, jak można kogoś śledzić odrzutowcem. Przecież to sporo kosztuje.

– Pamięta pan coś jeszcze?

– Przykro mi.

Sachs wstała i podała mu rękę, myśląc o tym, jak zawiała droga, która zaczęła się od kierowcy limuzyny, dała jej solidny trop. Choć zagadkowy.

Niebieski odrzutowiec.

Cross westchnął, patrząc na inne zdjęcie ukazujące go w towarzystwie Morena, tym razem w dżungli. Otaczali ich radośni robotnicy. Znów łopaty, kaski i błoto.

– Wie pani, przyjaźniliśmy się, ale muszę powiedzieć, że nigdy go do końca nie rozgryżłem. Zawsze zżymał się na Amerykę, nie znosił tego kraju. Nie mógł przestać o tym gadać. Powiedziałem mu kiedyś: „Daj spokój, Roberto. Dlaczego gardzisz jedynym państwem na świecie, w którym wolno ci wygadywać takie rzeczy i gdzie nie zastrzelą cię za to szwadrony prawdy w ciemnym zaułku ani nie odstawią cię w środku nocy do tajnego więzienia? Opuść sobie”.

Z grubych wilgotnych warg wyrwał się gorzki śmiech.

– Ale nie chciał mnie słuchać.

Jacob Swann zatrzymał samochód przecnicę przed wozem Amelii Sachs, niedaleko domu Lincolna Rhyme'a.

Jechał za nią do centrum, gdzie miała spotkanie na Chambers Street, a potem szukał okazji do oddania strzału. Było jednak za dużo ludzi. To wieczny problem na Manhattanie. Teraz wróciła i dynamicznie parkowała przy krawężniku w tym samym niedozwolonym miejscu przy ślepym zaułku.

Rozejrzał się po ciemnej alejce. Nareszcie pustej. Tak, to będzie odpowiednie miejsce i czas. Dłonią w lateksowej rękawiczce chwycił sig sauera i poprawił go, by móc go szybko wyciągnąć.

Nie zamierzał jej zabić. Uznał, że spowodowałoby to za duże zamieszanie – za dużo policji, obława, zainteresowanie prasy. Postanowił strzelić jej w plecy albo nogi.

Plan był taki, że kiedy Sachs wysiadzie, on zaparkuje na drugiego, wyskoczy z samochodu, strzeli do niej, a potem odjedzie, zatrzymując się kilka skrzyżowań dalej, żeby jeszcze raz zmienić tablice rejestracyjne.

Sachs wysiadła z forda torino, znów się rozejrzała, trzymając rękę przy biodrze. Jej uważne spojrzenie zatrzymało Swanna, który skulił się za kierownicą. Gdy ruszyła przed siebie, otworzył drzwi samochodu, ale zatrzymał się w pół ruchu. Sachs nie skierowała się do zaułka prowadzącego do domu Rhyme'a ani w stronę Central Park West, ale przeszła na drugą stronę ulicy – do chińskiej restauracji.

Obserwował, jak wchodzi do środka, śmieje się, rozmawiając z kobietą przy kasie. Przejrzała menu. Chciała zamówić coś na wynos. Uniosła wzrok i po chwili pomachała do jednego z pomocników kelnerów. Chłopak odpowiedział uśmiechem.

Swann podjechał bliżej, kilka samochodów dalej zauważył puste miejsce. Zaparkował i wyłączył silnik. Wsunął dłoń pod kurtkę, jeszcze raz upewniając się, że łatwo sięgnąć po pistolet. Sig sauer jest bardziej nieporęczny niż glock; ma mechanizm wyposażony w blokady i bezpieczniki, ale jest ciężki, co daje pewność, że następne strzały po pierwszym będą precyzyjne; lżejsze pistolety wymagają staranniejszego celowania przed każdym kolejnym strzałem.

Nadal obserwował Sachs przez brudną szybę.

Atrakcyjna kobieta.

Długie rude włosy.

Wysoka.

I szczupła. Bardzo szczupła. Czyżby nie lubiła jeść? Nie wyglądała na miłośniczkę gotowania. Danie na wynos z chińskiej knajpki, z taką ilością soli, na starym tłuszczu? Wstyd, Amelio. Przez kilka następnych miesięcy będziesz siedzieć w domu, zajadając puddingi i galaretki, żeby wrócić do zdrowia.

Wyszła po dziesięciu minutach, niosąc torbę z jedzeniem i jak grzeczna ofiara zmierzając prosto do ciemnego zaułka.

Przystanęła u jego wylotu i zajrzała do torby, być może sprawdzając, czy włożyli dodatkową porcję ryżu, ciasteczko z wróżką lub pałeczki. Wreszcie ruszyła w kierunku domu Rhyme'a, wciąż grzebiąc w papierowej torbie.

Swann wyjechał na ulicę, ale zaraz musiał ostro zahamować, ponieważ przed samochodem śmignął rowerzysta i zatrzymał się, jak gdyby myślał, czy ma zawrócić, czy jechać dalej do Central Parku. Swann był wściekły, ale nie chciał na siebie zwracać uwagi trąbieniem. Poczzerwieniał na twarzy i czekał.

Rowerzysta ruszył dalej – wybierając piękną wiosenną zieleń parku – a Swann wcisnął gaz, żeby jak najszybciej znaleźć się przy zaułku. Zwłoka sporo go kosztowała. Idąc szybkim krokiem, Sachs dotarła do zagięcia litery L i skręciła w lewo, w stronę tylnego wejścia do domu.

Żaden problem. Nawet lepiej. Swann zaparkuje, pójdzie za nią i strzeli, gdy Sachs będzie podchodzić do drzwi. Geometria zaułka stłumi wystrzały i rozniesie odgłosy w różnych kierunkach. Ktokolwiek je usłyszy, nie będzie miał pojęcia, skąd dobiegły.

Swann rozejrzał się po ulicy. Żadnych glin. Niewielki ruch. Kilku przechodniów pogrążonych we własnych myślach.

Wjechał do wylotu zaułka, zaparkował i wysiadł. Wyciągając broń, ale chowając ją pod wiatrówką, ruszył po bruku w głąb uliczki.

Powtarzał w duchu: dwa strzały, nisko w plecy i w okolicę kolana. Mimo że znacznie bardziej wolał używać noża, był dobrym strzelcem. Będzie musiał...

– Przepraszam – rozległ się za nim kobiecy głos. – Mógłby mi pan pomóc? – Usłyszał brytyjski akcent.

Szczupła i atrakcyjna kobieta w wieku około trzydziestu lat, ubrana w strój do joggingu, stała między nim a otwartymi drzwiami nissana.

– Nie jestem stąd. Próbuję znaleźć zbiornik w Central Parku. Tam jest ścieżka dla biegaczy...

W tym momencie zobaczyła.

Odchyliła się poła wiatrówki. Kobieta zobaczyła pistolet.

– O Boże! Niech mi pan nie robi krzywdy! Niczego nie widziałam! Przysięgam!

Zaczęła się odwracać, ale Swann był szybszy; błyskawicznie zastąpił jej drogę. Kobieta nabrała powietrza, żeby krzyknąć, ale otwartą dłonią uderzył ją w krtań. Upadła na beton, znikając z oczu dwojga ludzi po drugiej stronie ulicy, którzy się o coś kłócili.

Swann spojrział w głąb ciemnego kanionu między pobliskimi budynkami. Czy Sachs już weszła do budynku?

Może nie. Nie wiedział, jak daleko za domem Rhyme'a biegnie zaułek.

Ale musiał podjąć decyzję w parę sekund. Popatrzył na kobietę, która ciężko łapała oddech, tak samo jak Annette na Bahamach i Lydia Foster w tym mieście.

Hnn, hnn, hnn... Dłonie przy szyi, szeroko otwarte oczy, rozchylone usta.

Zastanawiał się – tak czy nie?

Musisz wybrać.

Zdecydował: tak.

## **ROZDZIAŁ 53**

Amelia Sachs stała w zaułku za domem, z glockiem w dłoni wycelowanym w miejsce, gdzie ciemny kanion skręcał w prawo i łączył się z przecinającą miasto ulicą.

Torba z daniem z chińskiej restauracji leżała na bruku, a Sachs stała w postawie strzeleckiej: stopy równoległe, palcami skierowane w stronę przeciwnika, lekko wychylona naprzód, trzymając mocno pistolet jedną ręką, a drugą otaczając kabłąk spustowy, aby broń była stabilna. Dominująca ręka była sztywna; jeśli mięśnie nie są napięte, odrzut może nie wyrzucić łuski i nie załadować następnego naboju do komory. Zacięty zamek oznacza śmierć. Strzelec i broń muszą być partnerami.

No, chodź! – powiedziała w duchu Sachs do przeciwnika. Chodź, pokaż się! To oczywiście był NN 516. Wiedziała, że to nie Barry Shales; snajper był nadal pod obserwacją zespołu Lona Sellitta.

Kilka razy zwróciła dziś uwagę na jasnego sedana. Najpierw w pobliżu biura Henry’ego Crossa na Chambers Street. Potem w drodze do domu i jeszcze raz piętnaście minut temu. Nie widziała samochodu wyraźnie, ale prawdopodobnie był to ten sam wóz, który jechał za nią od domu Tasha Farady w Queens.

Widząc, że samochód parkuje przed przecznicą, zastanawiała się, jak to rozegrać. Gdyby zadzwoniła do centrali albo próbowała sama doprowadzić do konfrontacji z nim na ulicy, wywiązałyby się strzelanina, a to nie było nic dobrego w gęsto zamieszkaną część miasta.

Postanowiła więc zwabić go do ślepego zaułka. Weszła do chińskiej restauracji po danie na wynos, żeby miał okazję ją zauważyć. Przed wyjściem wsunęła do torby broń. Potem ruszyła na drugą stronę ulicy, uważając, żeby nie wyjść mu pod lufę, i skręciła do zaułka, udając, że ogląda zamówione danie, a w rzeczywistości patrząc kątem oka, kiedy przeciwnik wykona ruch.

Pobiegła do zakrętu, słysząc, jak samochód podjeżdża i się zatrzymuje. W tym momencie rzuciła jedzenie na ziemię i chwyciła broń.

Teraz czekała, aż cel się pokaże.

Wjedzie dalej? Prawdopodobnie nie. Łatwo mógłby go zablokować jakiś samochód dostawczy albo wóz do przeprowadzek.

Wysiadł i szybkim krokiem zmierzał w jej stronę?

Miała suche dłonie, szeroko otwarte oczy – nigdy nie mruży się ich podczas strzelania. I trzeba skupić wzrok tylko na dwóch rzeczach, na celu i muszce. Nie ma co patrzeć na szczerbinę na końcu komory. Nie da się zobaczyć wszystkiego z równą ostrością.

No, chodź!

Oddychała równo.

Gdzie on jest? Skrada się, żeby wyskoczyć zza załomu muru i przyjąć postawę strzelecką taką jak ona?

A jeżeli przewidział, że czeka tu na niego? Może złapał jakiegoś przechodnia, żeby wepchnąć go do zaułka i odwrócić jej uwagę. Albo żeby użyć go jako tarczy, licząc na to, że Sachs zareaguje i zastrzeli niewinną osobę.

Wdech, wydech, wdech...

Słyszała jakiś głos? Stłumiony krzyk?

Co to było? Ostrożnie ruszając naprzód, podkradła się do drugiej odnogi litery L. Przystanąła,

przywierając plecami do ceglanego muru.

Gdzie on jest, do cholery? Też unosił broń, celując dokładnie w miejsce, gdzie pojawi się Sachs, jeśli zrobi krok naprzód?

Dobra, idź. Trzymaj się nisko i bądź gotowa do strzału. Sprawdź, co się znajduje za celem.

Raz... dwa...

Już!

Wyskoczyła do głównej części zaułka, unosząc broń i przypadając do ziemi na ugiętych nogach.

W tym momencie lewe kolano całkowicie odmówiło posłuszeństwa.

Zanim zdążyła wyraźnie zobaczyć miejsce, gdzie mógł na nią czyhać sprawca, upadła bokiem na bruk. Udało się jej zdjąć palec ze spustu, nim posłała gdzieś kulę na oślep. Obróciła się na wznak i leżała oszołomiona, zupełnie bezbronna.

Nawet wzrok ją zawiódł. Do oczu napłynęły jej łzy.

Siłą woli opanowała ból i z trudem odwróciła się na brzuch, kierując wylot lufy w głąb zaułka, skąd miał ją zaatakować NN 516. Skąd mógł wycelować i posłać jej pocisk z wydrążonym wierzchołkiem.

Ale go tam nie było.

Zacisnęła powieki, by pozbyć się wilgoci z oczu, po czym energicznie przetarła je rękawem.

Pusto. Zaułek był pusty. 516 zniknął.

Dźwignęła się na nogi, schowała pistolet do kabury i rozmasowała sobie kolano. Pokuśtykała na ulicę i zaczęła wypytywać przechodniów. Ale nikt nie zwrócił uwagi na żaden jasny samochód, nikt nie widział mocno zbudowanego mężczyzny o brązowych włosach i posturze żołnierza, który podejrzanie się zachowywał, nikt nie widział żadnej broni.

Stojąc z dłońmi na biodrach, rozglądała się na zachód i wschód. Wszędzie panował spokój, wszystko wyglądało normalnie. Typowy dzień na Upper West Side.

Wróciła do zaułka, starając się nie utykać. Rany, ale bolało. Podniosła z bruku torbę z chińszczyzną i wrzuciła do kubła na śmieci.

Do jedzenia upuszczonego na ziemię w nowojorskich alejkach nie stosuje się reguły pięciu sekund.

## ROZDZIAŁ 54

Miał pan rację, kapitanie! – zawołał Mychal Poitier z werandy na piętrze przed mieszkaniem Annette Bodel w Nassau. – Boczne okno zostało podważone łomem. Włamał się tu Barry Shales albo pański NN, albo przed, albo po jej śmierci.

Rhyme uniósł wzrok, spoglądając w niebo. Nie widział starszego posterunkowego, tylko zarys palmy kołyszącej się ospale obok dachu budynku, w którym mieszkała Annette, studentka i prostytutka.

To właśnie było drugie miejsce zdarzenia, o którym mówił. Wiedział, że morderca Annette musiał tu przyjść, by poszukać informacji, jakie mogła mieć o nim i jego wizycie w South Cove w zeszłym tygodniu. Poitier i jego ludzie byli tu wcześniej – kiedy dostali wiadomość o jej zaginięciu – ale sprawdzali tylko, czy w mieszkaniu jest dziewczyna albo jej zwłoki. Zamki w drzwiach nie nosiły żadnych śladów włamania, więc policjanci dalej już nie badali.

– Raczej po! – zawołał Rhyme. Podczas torturowania Annette zabójca prawdopodobnie pytał między innymi o notesy z adresami i pliki komputerowe, w których mogła się znaleźć wzmianka o nim. I oczywiście o terminarze. Wszystko to z pewnością zniknęło, ale Rhyme miał nadzieję, że sprawca pozostawił po sobie jakiś ślad.

W pobliżu stała niewielka gromadka miejscowych o opalonych i ciemnych twarzach, przyglądając się ich grupie. Rhyme przypuszczał, że powinni rozmawiać dyskretniej, ale od Poitiera dzieliło go ponad siedem metrów, więc musieli do siebie krzyżeć.

– Niech pan tam nie wchodzi. Ron się tym zajmie. – Odwrócił się. – Jak idzie, nowy?

– Jestem prawie gotowy, Lincoln. – Pulaski wkładał kombinezon i przygotowywał podstawowy sprzęt do zabezpieczania śladów. To wszystko dostali od bahamskiej policji.

Rhyme nawet nie brał pod uwagę możliwości, by samemu przeprowadzić oględziny, choć wcześniej go kusiło. W budynku nie było windy, a wniesienie ciężkiego wózka po rozchybotanych i wąskich schodach raczej nie wchodziło w grę. Poza tym Pulaski był dobry. Prawie tak dobry jak Amelia Sachs.

Stanął przed Rhyme'em, jak gdyby czekając na instrukcje. Ale kryminalistyk powiedział po prostu:



– Idź. Wiesz, co robić.

Młody człowiek skinął głową i pobiegł po schodach na górę.

Przejsie po siatce zajęło mu około godziny.

Kiedy wyszedł z budynku, niosąc kilka torebek z zabezpieczonymi próbkami, zapytał Rhyme'a i Poitiera, czy chcą na miejscu przejrzeć dowody. Rhyme wahał się przez chwilę, lecz w końcu postanowił zabrać wszystko do Nowego Jorku i tam przeprowadzić analizy.

Częściowo dlatego, że lubił współpracę z Melem Cooperem.

Częściowo dlatego, że tęsknił za Sachs, choć nie zdradziłby tego nikomu – prócz niej samej.

– Jak wygląda nasz rozkład lotów? – zapytał Thoma.

Opiekun spojrzał do telefonu.

– Jeżeli w ciągu pół godziny dotrzemy na lotnisko, możemy zdążyć na następny samolot.

Rhyme spojrzał na starszego posterunkowego.

– To najwyżej dwadzieścia minut drogi – powiedział Poitier.

– Nawet w osławionym bahamskim ruchu? – spytał kpiąco Rhyme.

– Mam czerwone koguty.

Pulaski skierował się do vana, wciąż w kombinezonie, ochraniaczach butów i czepku.

– Przebierz się, nowy. W tym stroju przestraszyłbyś pasażerów.

– No tak, racja.

Koguty rzeczywiście pomogły i wkrótce znaleźli się w terminalu. Wysiedli z vana i gdy Pulaski zajął się bagażami, a Thom oddaniem samochodu, Rhyme został z Poitierem. Na lotnisku roiło się od turystów i miejscowych, w powietrzu unosił się kurz, a z pobliskiej budowy dobiegał ciągły łomot i wizg. Wszędzie krążył wciąż ten sam zapach – dymu płonących śmieci.

Rhyme zaczął mówić, ale stwierdził, że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Wreszcie udało mu

się ustawić je w szyku.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało w gnieździe snajpera. Komendant miał rację. Omal pan nie zginął przeze mnie.

Poitier machnął ręką.

– Nie jesteśmy bibliotekarzami czy dentystami, kapitanie. Nie wszyscy z nas wracają codziennie wieczorem do domu.

– Mimo to zachowałem się nie tak profesjonalnie, jak powinienem. Powinienem przewidzieć ten atak.

– Od niedawna jestem prawdziwym policjantem, kapitanie, ale można chyba powiedzieć, że w tym zawodzie nie da się wszystkiego przewidzieć. Nasza robota to naprawdę szaleństwo. Marne pieniądze, ciągłe zagrożenie, na górze polityka, na ulicach chaos.

– Będzie pan dobrym detektywem.

– Mam nadzieję. Na pewno czuję się bardziej na miejscu niż w kontroli działalności gospodarczej i koncesjach.

Wzrok Rhyme'a przyciągnęły błyskające światła. Usłyszał też syrenę. W kierunku lotniska mknął policyjny radiowóz, omijając slalomem inne pojazdy.

– Ach, ostatni dowód – rzekł Poitier. – Już się martwiłem, że nie zdążą go dowieźć.

Rhyme nie miał pojęcia, co to może być za dowód. Mieli przecież wszystko, co się dało znaleźć w miejscu zabójstwa Morena i w mieszkaniu Annette Bodel. Nurkowie przerwali poszukiwania łuski po pocisku wystrzelonym przez Barry'ego Shalesa.

Starszy posterunkowy przywołał gestem radiowóz.

Za kierownicą siedział młody konstabl, z którym widzieli się w South Cove Inn. Wysiadł z papierową torbą na dowody w rękę i zasalutował, zwracając się pomiędzy dwóch patrzących na niego mężczyzn.

Rhyme opanował nedorzeczną chęć, by odwzajemnić gest.

Poitier wziął torbę i podziękował funkcjonariuszowi. Konstabl ponownie przytknął wyprostowane palce do czoła, wszedł do radiowozu i odjechał, znów włączając światła i syrenę, mimo że wykonał zadanie.

– Co to jest?

– Nie wie pan? – spytał Poitier. – Pamiętam, w swoim podręczniku instruował pan funkcjonariuszy, żeby w trakcie przeprowadzania oględzin miejsca zdarzenia zawsze zwracali uwagę na zapach.

Rhyme zmarszczył brwi i powąchał torbę.

Unosił się z niej aromat smażonych ślimaków w cieście.

## ROZDZIAŁ 55

Szu, szu...

Jacob Swann popijał w kuchni vermentino, lekkie przyjemne włoskie wino z Ligurii. Wrócił do ostrzenia noża Kai Shun, ale nie swojego ulubionego. To był model Deba o ostrzu długości dwudziestu jeden centymetrów, przeznaczony do filetowania i wycinania dużych płatów mięsa.

Szu, szu, szu...

Przesuwał nóż z jednej strony na drugą na kamieniu Arkansas, ostrząc w swoim własnym stylu. Nigdy okrężnym ruchem.

Była mniej więcej ósma wieczorem. Z gramofonu dobiegał jazz. Grał gitarzysta Larry Coryell. Mistrzowsko wykonywał standardy, własne kompozycje, a nawet klasyczne utwory. Jego interpretacja *Pawany na śmierć infantki* była niezrównana.

Swann stał w fartuchu przy bloku rzeźniczym umieszczonym na kuchennej wyspie. Niedawno dostał z centrali SMS-a z pochwałą za dzisiejszą pracę, który potwierdzał, że postąpił słusznie, odkładając atak na Sachs. Shreve Metzger przekazał kolejne informacje, ale w tym momencie nie było nic do zrobienia. Swann miał wolny wieczór. I zamierzał to wykorzystać.

Światła były przyćmione, rolety spuszczone, zasłony zasunięte.

W mieszkaniu panowała w pewnym sensie romantyczna atmosfera. Swann spojrzął na siedzącą niedaleko kobietę. Miała rozpuszczone włosy i była ubrana w jeden z jego czarnych T-shirtów i jego bokserki w kratę. Wydawało mu się, że czuje kwiatową woń z domieszką aromatu przypraw. Zapach

i smak są ze sobą nierozzerwalnie związane. Nigdy nie gotował nic znaczącego, kiedy był przeziębiony albo miał zapalenie zatok. Szkoda wysiłku. Wtedy jedzenie traktuje się po prostu jako paliwo.

Grzech.

Kobieta, Carol Fiori – nazywała się dziwnie jak na Brytyjkę – też na niego popatrzyła. Cicho płakała. Od czasu do czasu wydawała dźwięk „hnn, hnn”. Była biegaczką, która zaczepiła go w zaułku i udaremniła plan unieszkodliwienia Amelii Sachs. Zadał jej cios w krtani i wrzucił ją do bagażnika. Potem szybko pojechał do domu. Uznał, że policjantką zajmie się później.

Po przyjeździe na Brooklyn zaciągnął Carol do domu. Chociaż początkowo twierdziła, że podróżuje z „przyjaciółmi”, okazało się, że w rzeczywistości jest sama i jeździ po Stanach od miesiąca, myśląc o napisaniu artykułu o swoich przygodach.

Sama...

Zastanawiał się, co zrobić ze swoją zdobyczą.

Już wiedział.

Tak czy nie?

Tak.

Przestała błagalnie na niego patrzeć i błagalnie szeptać. Zwróciła wilgotne oczy na nóż Deba sunący po kamieniu – szu, szu. Od czasu do czasu potrzasała głową. Swann przywiązał jej ręce i nogi i la Lydia Foster do bardzo ładnego i wygodnego krzesła w dziewiętnastowiecznym stylu ośrodków misyjnych.

– Proszę – powiedziała bezgłośnie, nie odrywając wzroku od ostrza. A więc jeszcze miała nadzieję go przebłagać.

Sprawdził nóż, ostrożnie próbując kciukiem krawędź tnącą. Stawiała odpowiedni opór; doskonała ostrość. Wypił jeszcze łyk wina, po czym zaczął wyciągać z lodówki składniki.

Jacob Swann zaczął doceniać wartość posiłków, kiedy był chłopcem, na długo przed college'em, na długo przed wojskiem i na długo przed pracą, jaką podjął po służbie wojskowej. Zawsze mógł liczyć na to, że chwile poświęcone na przygotowanie i zjedzenie kolacji spędzi z matką i ojcem.

Zwalisty Andrew Swann nie był człowiekiem surowym ani agresywnym, ale po prostu nieobecnym, pogrążonym w rozmyślaniach nad swoimi projektami, obowiązkami i rozrywkami, które miały związek przede wszystkim z jego pracą w świecie hazardu Atlantic City. Młody Jacob nigdy się nie dowiedział, co dokładnie robił ojciec – biorąc pod uwagę swoje obecne zajęcie, mógłby przypuszczać, że był po stronie egzekutorów. Jeśli w grę by wchodziły geny. Ale Jacob i jego matka nie mieli żadnych wątpliwości, że ojciec lubi jeść i ceni sztukę kulinarną.

Marianne nie miała wrodzonego talentu do gotowania, prawdopodobnie nawet tego nie cierpiała. Zaczęła doskonalić swoje umiejętności, gdy tylko zaczęła się spotykać z Andrew. Jacob podsłuchiwał kiedyś, jak opowiadała swojej przyjaciółce o jednym z pierwszych dań, jakie mu zaserwowała.

– Co to jest? – spytał ostro Andrew.

– Hamburger, fasola i...

– Mówiłaś, że umiesz gotować.

– Przecież ugotowałam. – Pokazała na patelnię.

Andrew cisnął serwetkę, wstał od stołu i wyszedł do kasyna.

Tak więc nazajutrz kupiła książkę kucharską firmowaną nazwiskiem Betty Crocker i zabrała się do pracy.

Popołudniami w ich domu, jednym z identycznych budynków w osiedlu, mały Jacob przyglądał się, jak matka gorączkowo przyrządza potrawkę z kurczaka albo smaży dorsza. Zmagiła się z potrawami, walczyła z nimi. Nie nauczyła się podstawowych zasad i reguł (w końcu wszystko opiera się na fizyce i chemii). Atakowała każdy przepis, jak gdyby nigdy wcześniej nie widziała steku, flądry czy górki schłodzonej mąki. Jej sosy były grudkowate, dziwacznie przyprawione i zawsze przesolone – choć nie dla Andrew, więc być może nie były aż tak słone.

W przeciwieństwie do swojego syna Marianne ogromnie się denerwowała podczas przygotowywania każdego posiłku i zawsze wypijała więcej niż kieliszek wina. I odrobinę whiskey. Albo tego, co akurat było w barku.

Ale ciężko pracowała i udało się jej stworzyć dania na tyle nadające się do spożycia, żeby zatrzymać Andrew w domu na mniej więcej godzinę. Zawsze jednak nieuchronnie następował moment ostatniego szczęku widelczyka deserowego o porcelanę, ostatniego łyku kawy – Andrew nie sączył jej powoli – po którym ojciec wstawał i znikał. W piwnicy, żeby pracować nad swoimi tajnymi projektami biznesowymi, w miejscowym barze, z powrotem w kasynie. Albo żeby przelecieć sąsiadkę, domyślał się Jacob, kiedy już wiedział, co to znaczy.

Po lekcjach lub w weekendy, jeśli akurat nie wgniatał w matę przeciwnika w walce zapaśniczej albo nie brał udziału w drużynowym konkursie strzeleckim w szkole, Jacob kręcił się po kuchni, przerzucając książki kucharskie i siedząc obok matki, która robiła straszny bałagan, chlapiąc wszędzie mlekiem i sosem pomidorowym, miotając się na pobojuwisku wśród rozsypanego maku, ziół, mąki pszennej i kukurydzianej, wśród kawałków jelit. Czasem wśród rozlanej krwi.

Kiedy się zdarzało, że zadanie ją przerosło, prosiła, żeby jej pomógł, usuwając chrząstki, filetuując mięso albo krojąc eskalopki. Uznała widocznie, że chłopiec będzie miał większą ochotę posługiwać się nożem niż trzepaczką.

– Ślicznie, kochanie. Świetna robota. Mój mały rzeźnik!

Coraz bardziej przejmował inicjatywę, instynktownie naprawiając gulasz, siekając coś drobniej, we właściwym momencie zmniejszając ogień, zanim doszło do katastrofy. Matka głaskała go po policzku i dolewała sobie wina.

Swann spojrział na kobietę przywiązaną do krzesła.

Wciąż był na nią zły, że tego popołudnia zepsuła mu plany.

Wciąż płakała.

Wrócił do pracy nad trzydaniową kolacją. Na przystawkę – szparagi na parze z wody i wermutu, aromatyzowane świeżymi liśćmi laurowymi i szczyptą szałwii. Pędy położy na roszponce i lekko skropi sosem holenderskim własnej roboty – ważne było słowo „lekkie”, ponieważ ilekroć żółtko spotyka się z masłem, istnieje ryzyko, że się przesadzi. Sekret przyrządzenia szparagów to oczywiście czas. Rzymianie mieli powiedzenie: Jeśli robi się coś w czasie potrzebnym do ugotowania szparagów, to znaczy, że robi się to szybko.

Swann wypił łyk wina i zmieszał wodę z wermutem. Następnie ściął potrzebne zioła ze skrzynki na oknie.

Kiedy matka odeszła – wino plus sto trzydzieści kilometrów na godzinę, bez zapiętego pasa bezpieczeństwa – gotowaniem zajął się szesnastoletni Jacob.

Zostali sami, ojciec i syn.

Nastolatek robił to samo co matka, zatrzymując Andrew w domu posiłkami, różnica polegała jednak na tym, że chłopcu gotowanie bardzo się podobało i robił to znacznie lepiej. Zaczął podawać kilka dań – tworząc coś w rodzaju menu degustacyjnego – aby dłużej być z ojcem. Niebawem ujawniła się jeszcze jedna różnica. Jacob odkrył, że bardziej podoba mu się gotowanie niż godzina spędzona na jedzeniu; zdał sobie sprawę, że nie przepada za ojcem, który nie miał ochoty rozmawiać o rzeczach interesujących Jacoba: o grach wideo, kickboxingu, zapasach, polowaniu, broni palnej i walce na gołe pięści. Andrew nie miał ochoty rozmawiać o niczym, jeśli nie dotyczyło to Andrew.

Pewnego razu, gdy Jacob miał osiemnaście lat, ojciec wrócił do domu w towarzystwie pięknej, naprawdę pięknej blondynki. Chwalił się przed nią, jakim dobrym kucharzem jest „mój chłopak”. Jak gdyby popisował się tandetnym sygnetem na małym palcu. Powiedział do Jacoba:

– Przygotuj Cindi coś pysznego, dobra? Przygotuj coś pysznego dla ślicznej pani.

Jacob wiedział już wtedy, co to jest bakteria *E. coli*. I chociaż chciał zobaczyć, jak dwudziestoczteroletnia Cindi krztusi się na śmierć własnymi wymiocinami albo przynajmniej zbiera się jej na torsje, nie potrafił się zmusić do tego, by celowo zepsuć danie. Kobieta nie mogła się nachwalić kurczaka cordon bleu. Nie rozbił mięsa tłuczkiem, ale pokroił filety w cieniutkie płyty, którymi następnie owinął ser Gruyère i plastry szynki – w swojej wersji przepisu – parmeńskiej.

*Mały rzeźnik...*

Krótko potem kraj zaatakowali terroryści. Kiedy Jacob wstępował do wojska, padło pytanie o uzdolnienia i zainteresowania, ale nie chciał zdradzać, że potrafi gotować, obawiając się, że na najbliższe cztery lata skierują go do kuchni w stołówkach. Wiedział, że gotowanie do podgrzewaczy dla tysiąca żołnierzy naraz nie będzie mu sprawiało żadnej przyjemności. Chciał przede wszystkim zabijać ludzi. Albo sprawiać im cierpienie. Albo jedno i drugie. Nie widział wielkiej różnicy między istotą ludzką a zwierzęciem przeznaczonym na ubój. Przecież bydło i owce są niewinne, a bez wahania się je zabija, kroi na kawałki; każdy człowiek natomiast ma coś na sumieniu, a jednak bardzo niechętnie używamy przeciw niemu noża czy ołowiu.

No, większość z nas.

Znów przyjrzał się Carol. Była ładnie umięśniona, ale blada. Może najczęściej ćwiczyła na siłowni albo smarowała się kremem z mocnym filtrem, kiedy uprawiała jogging. zaproponował jej wino. Przecząco pokręciła głową. Gdy podsunął jej wodę, wypła połowę butelki, którą przytrzymał jej przy ustach.

Drugim daniem tego wieczoru miała być wariacja na temat *pommes Anna*. Obrane i pokrojone na plasterki ziemniaki, ułożone w kształcie spirali i usmażone na maśle i oliwie, doprawione dużą ilością soli morskiej i pieprzu. Pośrodku zamierzał nałożyć porcję *crème fraîche* ubitej z odrobiną ni mniej, ni więcej, tylko świeżego syropu klonowego. Na koniec kawałeczki czarnych trufli. Chciał usmażyć ziemniaki na ogniu, a potem zapiec wierzch pod grillem.

Ziemniaki, syrop klonowy i trufle. Kto by pomyślał?

No tak, zgłodniał już trochę.

Kiedy Jacob miał niewiele ponad dwadzieścia lat, jego ojciec zmarł – można powiedzieć, że z powodu problemów gastrycznych. Nie były to wrzody ani nowotwór. Dostał cztery dziewięciomilimetrowe kule w brzuch.

Młody żołnierz poprzysiągł zemstę, ale nic z tego nie wyszło. Wielu ludzi mogło Andrew zabić – okazało się, że oszukiwał i prowadził podwójną grę, gdzie tylko się dało, choć powinien wiedzieć, że w Atlantic City tego robić nie należy. Odnalezienie zabójców trwałoby wieki. Poza tym, prawdę mówiąc, Jacob nie był aż tak przybity. Co więcej, gdy po pogrzebie urządził stypę, wśród współpracowników ojca, których między innymi podejmował, mógł być morderca. Na przyjęciu jednak zemścił się w pewien subtelny sposób. Głównym daniem było *penne alla puttanesca*, ostra, pomidorowa potrawa, której nazwa po włosku oznacza „w stylu dziwki”. Przyrządził ją na cześć obecnej dziewczyny ojca, którą już nie była Cindi.

Dziś na trzecie, główne danie Jacob Swann szykował coś wyjątkowego. Zadanie związane z Morenem było trudne, chciał się więc trochę rozpieścić.

Zamierzał przyrządzić swoją wersję *veronique* z winogronami pokrojonymi w krążki i szalotkami posiekanymi równie cienko, w sosie *beurre blanc* – do którego używał nieco mniej wina (*octu nigdy* nie dolewał) ze względu na dodatek winogron.

Wyjątkowe mięso pokroił na niemal przezroczyste medaliony, oprószył je mąką typu 450, a potem szybko obsmażył na mieszance oliwy i masła (zawsze używał ich razem, rzecz jasna; samo masło pali się szybciej niż przewrócony tankowiec).

Znów podsunął Carol wodę. Nie była zainteresowana. Poddawała się.

W garnku do gotowania na parze bulgotała woda z wermutem, ziemniaki ładnie brązowiały pod grillem, oliwa z masłem powoli się rozgrzewała, uwalniając swoje cudowne aromaty.

Swann przetarł deskę, na której pokroił mięso do dania głównego.

Ale zanim wziął się do pracy, otworzył i nalał wino. Sauvignon blanc z Nowej Zelandii, Cloudy Bay, jedno z najlepszych pod słońcem. Wahał się, czy nie wybrać musującego pelorusa z tej samej winnicy, nie sądził jednak, by udało mu się opróżnić samemu całą butelkę, a bąbelki były oczywiście nietrwałe.

**18 maja, czwartek**

**V**

**Kula za milion dolarów**



## ROZDZIAŁ 56

Opaliłeś się – powiedział Sellitto.

– Nie opaliłem się.

– Ależ tak. Powinieneś używać kremów z filtrem, Linc.

– Przecież wcale się nie opaliłem – mruknął Rhyme.

– Chyba jednak tak – dorzucił Thom.

Dochodziła ósma rano. Thom, Pulaski i Rhyme przyjechali z lotniska LaGuardia późno, prawie o jedenastej wieczorem, i opiekun nalegał, żeby Rhyme natychmiast położył się spać. Sprawa mogła zacząć do rana.

Nikt nie podejmował dyskusji; kryminalistyk był wyczerpany. Podtopienie dało mu się we znaki. Jak zresztą cała podróż. Ale to bynajmniej nie przeszkodziło Rhyme'owi wezwać Thoma z samego rana. Gdy tylko obudził się wpół do siódmej, wcisnął guzik znajdujący się przy łóżku. (Opiekun nazywał to urządzenie „aparatem z Downtown Abbey”, a Rhyme nie bardzo rozumiał, o co mu chodzi).

W salonie panował gwar, byli już tu bowiem Sellitto, Cooper i Sachs. A w drzwiach ukazał się właśnie Ron Pulaski, który rzeczywiście miał opaloną twarz. Nance Laurel miała przyjechać później, ponieważ rano musiała się pojawić w sądzie w innej sprawie.

Lincoln Rhyme siedział na nowym wózku, Merits Vision Select. Szarym z czerwonymi błotnikami. Dostarczono go i zmontowano poprzedniego dnia, zanim wrócił z Bahamów. Thom zadzwonił z Nassau do firmy ubezpieczeniowej i wynegocjował szybki zakup. („Nie wiedzieli, co powiedzieć – relacjonował – kiedy jako powód zniszczenia podałem zanurzenie w wodzie głębokości trzech metrów”).

Rhyme wybrał ten model, bo dobrze się sprawdzał w jeździe terenowej. Jego dawna niechęć do publicznego pojawiania się zniknęła bez śladu – głównie z powodu wyjazdu na Bahamy. Chciał więcej podróżować i znów chciał osobiście prowadzić oględziny. Więc potrzebował wytrzymałego wózka.

Merits został nieco zmodyfikowany, aby go dostosować do indywidualnych potrzeb Rhyme’a – zamontowano pas przytrzymujący nieruchomą lewą ręką oraz panel dotykowy pod funkcjonującym serdecznym palcem lewej dłoni, a także oczywiście uchwyt na kubek, na tyle duży, by zmieściła się tam szklaneczka z whisky i kubek z kawą. Rhyme teraz popijał kawę przez grubą słomkę. Spoglądał na tablice z informacjami, które zebrała Sachs podczas jego nieobecności.

– Tracimy czas. – Ruchem głowy wskazał rozkaz egzekucji. – Jeżeli nic z tym nie zrobimy, za dzień czy dwa pan al-Barani przeniesie się na łono Abrahama. Zobaczmy. – Zaczął jeździć tam i z powrotem przed tablicami z analizą dowodów zabezpieczonych przez Sachs w zrujnowanej kawiarni Java Hut i w mieszkaniu Lydii Foster.

– Niebieski samolot? – zapytał, patrząc na notatkę.

Sachs powtórzyła to, czego się dowiedziała od Henry’ego Crossa. Że Morena prawdopodobnie śledził prywatny odrzutowiec, latając za nim – a raczej przed nim – po Stanach i krajach Ameryki Środkowej i Południowej.

– Sprawdza to jeden z ludzi z Wydziału do Zadań Specjalnych kapitana Myersa, ale bez większego powodzenia. Nie ma żadnej bazy danych samolotów według koloru. Chociaż jeżeli niedawno został kupiony, pośrednicy mogą mieć dokumenty sprzedaży ze zdjęciami. Ciągłe szuka.

– W porządku. Spójrzmy na to, co znaleźliśmy na Bahamach. Numer jeden, Pokój Straceń.

Rhyme opowiedział Sachs i Cooperowi, jak NN 516 albo Barry Shales zniszczył miejsce zdarzenia w hotelu, ale że udało mu się coś zdobyć, między innymi wstępny raport miejscowej policji, a także zdjęcia, które Sachs przykleiła na osobnej tablicy wraz z dość marnym raportem z oględzin miejsca sporządzonym pierwotnie przez bahamskich policjantów.

Przez następne pół godziny Sachs i Cooper starannie rozpakowywali i analizowali buty i ubrania trzech ofiar, które rano dziewiątego maja były w apartamencie 1200. Każdą z plastikowych toreb otwierali nad dużą płachtą sterylnego papieru, każdą sztukę odzieży i każdy but uważnie oglądali, wytrząsali i zdrapywali z nich najdrobniejsze ślady.

Na butach Morena, jego ochroniarza i dziennikarza de la Rui znaleźli włókna odpowiadające wykładzinie w hotelu oraz drobinki ziemi takiej samej jak w próbkach pobranych z chodnika i terenu

przed hotelem. W ubraniach kryły się podobne ślady oraz fragmenty ostatniego posiłku, prawdopodobnie śniadania; zginęli jeszcze przed lunchem. W ubraniu Morena i ochroniarza Cooper znalazł drobiny pieczywa, dżemu i okruchy bekonu, a na marynarce dziennikarza ziele angielskie i jakiś nieokreślony sos chili. Moreno i jego ochroniarz mieli też ślady ropy naftowej na butach, mankietach i rękawach, prawdopodobnie po poniedziałkowym spotkaniu poza hotelem; na New Providence nie było wielu rafinerii, więc być może zjedli kolację niedaleko portu. Ochroniarz miał na koszuli ślad popiołu z papierosa.

Informacje trafiły na tablicę i Rhyme zarejestrował ten fakt, ale nie zwrócił szczególnej uwagi na żaden z tych dowodów; przecież w chwili oddania strzału zabójca znajdował się dwa kilometry dalej. NN 516 był w hotelu, ale jeżeli nawet zakradł się do Pokoju Straceń, nie pozostał po tym żaden ślad.

– Teraz protokół sekcji zwłok – powiedział.

Tu też nie było żadnych niespodzianek. Moreno zginął w wyniku rozległej rany postrzałowej klatki piersiowej, a dwaj pozostali w wyniku utraty krwi spowodowanej licznymi ranami ciętymi, które zadały im odłamki szkła różnej wielkości, głównie szerokości trzech czy czterech milimetrów i długości dwóch do trzech centymetrów.

Cooper obejrzał niedopałki papierosów i papierki po cukierkach, które w Pokoju Straceń zabezpieczył wcześniej zespół kryminalistyki Poitiera, ale nie przyniosły żadnych istotnych informacji. Były to niedopałki papierosów z paczki marlboro znalezionej przy ciele ochroniarza, a cukierki pochodziły z koszyczka dla gości przygotowanego dla Morena po jego przyjeździe. Jak można się było spodziewać, odciski palców zdjęte przez Pulaskiego nie figurowały w żadnej bazie danych.

– Zajmijmy się mieszkaniem prostytutki, Annette Bodel.

Pulaski nieźle się sprawił, zbierając dużo śladów z okolic, gdzie szperał morderca, wraz z próbkami porównawczymi, aby wyeliminować każdy ślad, który prawdopodobnie nie pochodził od niego. Cooper zbadał dowody, od czasu do czasu sprawdzając próbkę w chromatografii gazowej sprzężonej ze spektrometrem masowym. W końcu oznajmił: – Po pierwsze, mamy paliwo do silników dwusuwowych.

Stosowano je na przykład w skuterach śnieżnych i piłach łańcuchowych. Olej smarujący silnik mieszano bezpośrednio z benzyną.

– Może do skutera wodnego – rzekł Rhyme. – Dziewczyna pracowała w sklepie ze sprzętem do nurkowania. Tego śladu mógł nie zostawić sprawca, ale będziemy o tym pamiętać.

– I piasek – dodał technik. – Razem z osadem wody morskiej. – Porównał skład chemiczny z wpisami na tablicy dotyczącymi śladów zabezpieczonych w dwóch poprzednich miejscach. – Aha, w zasadzie taki sam jak ten, który Amelia znalazła w Java Hut.

Rhyme uniósł brew.

– Ach, jednoznaczny związek z Bahamami. Wiemy, że NN 516 był w mieszkaniu Annette, i mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że to on ósmego maja był w South Cove. Mamy coś, co go łączy z Lydią Foster?

– Brązowe włosy – zauważył Pulaski. – Poitier mówił, że takie miał mężczyzna, który był w South Cove Inn tuż przed śmiercią Morena.

– To poszlaka, nie dowód. Rób swoje, Mel.

Technik patrzył w okular mikroskopu.

– Coś dziwnego. Jakaś błona, pomarańczowa. Sprawdzę w chromatografie.

Po kilku minutach miał wyniki badania, które głośno odczytał: – DHA, C22:6n-3 – kwas dokozaheksaenowy.

– Rybi olej – powiedział Rhyme, patrząc na ekran wyświetlający obraz z mikroskopu. – A ta błona w prawym górnym rogu? Moim zdaniem ikra. Może jadł kawior.

– I odrobina C<sub>8</sub>H<sub>8</sub>O<sub>3</sub> – dodał Cooper.

– Tu się poddaję – mruknął Rhyme.

Sprawdzenie trwało trzydzieści sekund.

– Wanilina.

– Jak w ekstrakcie z wanilii?

– Zgadza się.

– Thom! Thom, chodź! Gdzie, u licha, jesteś?

Dobiegł ich głos opiekuna:

– Czego chcesz?

– Ciebie. W tym pokoju.

Asystent Rhyme'a wkroczył do salonu, opuszczając podwinięte rękawy.

– Jak mógłbym się oprzeć tak uprzejmemu wezwaniu?

Sachs parsknęła śmiechem.

Rhyme zmarszczył brwi.

– Przyjrzyj się tablicom, Thom. Uruchom swoje zdolności kulinarne. Powiedz mi, co sądzisz o tych

trzech pozycjach, wiedząc, że kwas dokozaheksaenowy i C<sub>8</sub>H<sub>8</sub>O<sub>3</sub> to odpowiednio kawior i wanilia.

Opiekun przez chwilę patrzył na tablice. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Wygląda znajomo... Zaraz. – Podeszedł do najbliższego komputera, otworzył stronę „New York Timesa” i zaczął ją przeszukiwać. Rhyme nie widział, co dokładnie czyta. – Ciekawe.

– Hm, mógłbyś się z nami podzielić tym, co budzi w tobie ciekawość?

– W tamtych dwóch miejscach – u Lydii Foster i w Java Hut – były ślady karczocha i lukrecji, tak?

– Zgadza się – potwierdził Cooper.

Thom obrócił ekran w ich stronę.

– Jeżeli połączyć te składniki z kawiozem i wanilią, będziemy mieli bardzo drogie danie podawane w Patchwork Goose. Niedawno był o tym artykuł w dziale o kuchni.

– Patchwork... co to jest, do cholery? – mruknął Sellitto.

– Jedna z najbardziej wykwintnych restauracji w mieście – wyjaśniła Sachs. – Podają siedem czy osiem dań w ciągu czterech godzin i do każdego dobierają wino. Robią dziwne rzeczy, na przykład używają do gotowania ciekłego azotu i palników butanowych. Oczywiście nigdy tam nie byłam.

– Tak jest – rzekł Thom, wskazując ekran. – A to jedno z tych dań: pstrąg z karczochem gotowanym w bulionie z lukrecji, przybrany ikrą i waniliowym majonezem. Wasz sprawca zostawił ślady tych składników?

– Zgadza się – przytaknęła Sachs.

– Czyli pracuje w tej restauracji? – zapytał Sellitto.

Thom przecząco pokręcił głową.

– Wątpię. W takim lokalu poświęca się na pracę sześć dni w tygodniu, po dwanaście godzin na dobę. Nie miałby czasu, żeby być zawodowym mordercą. I wątpię, żeby był klientem. Nie sądzę, żeby składniki przeniosły się i zostały na jego ubraniu przez kilka godzin. Bardziej prawdopodobne, że przyrządził tę potrawę w domu. Na podstawie przepisu ze strony internetowej.

– Dobrze, dobrze – szepnął Rhyme. – Teraz już wiemy, że NN 516 pojechał piętnastego maja na Bahamy, żeby zabić Annette Bodel, podłożył ładunek wybuchowy w Java Hut i zamordował Lydię Foster. Prawdopodobnie to on był w South Cove Inn tuż przed zabójstwem Morena. Pomagał Barry’emu Shalesowi przygotować zamach.

– I wiemy, że lubi gotować – dodała Sachs. – Czyżby kiedyś był profesjonalistą? To może być ważna informacja.

Cooper wyciągnął komórkę i odebrał telefon; Rhyme nie słyszał dzwonka i zastanawiał się, czy technik miał włączoną wibrację, czy on wciąż ma w uszach wodę po kąpieli na Bahamach. Oczywiście w każdym razie ciągle go piekły.

Technik podziękował rozmówcy i oznajmił:

– Sprawdzili cebulkę brązowego włosa, którą Amelia znalazła u Lydii Foster. To był wynik analizy w CODIS. Nic. NN nie figuruje w żadnych kartotekach DNA.

Gdy Sachs zapisywała na tablicy ostatnie ustalenia, Rhyme rzekł: – Nareszcie do czegoś doszliśmy. Ale żeby mieć Metzgera w garści, potrzebujemy karabinu snajperskiego, a żeby namierzyć karabin, potrzebujemy kuli. Przyjrzyjmy się jej.

## **ROZDZIAŁ 57**

Choć ludzie od ponad tysiąca lat likwidowali się wzajemnie za pomocą broni palnej, analiza kryminalistyczna pocisków i urządzeń przeznaczonych do ich miotania jest nauką stosunkowo młodą.

Chyba pierwszym przypadkiem zastosowania jej w praktyce była sprawa w połowie dziewiętnastego wieku w Anglii, gdy śledczy zmusili mordercę do przyznania się do winy, dopasowując kulę do formy, z której została odlana. W 1902 roku nie kto inny jak Oliver Wendell Holmes, występując jako rzeczoznawca, pomógł prokuratorom skazać podejrzanego, porównując kulę wystrzeloną w ramach eksperymentu z broni podejrzanego z pociskiem znalezionym w ciele ofiary.

Prawdziwe narodziny nauki nastąpiły jednak dopiero w 1925 roku, gdy Calvin Goddard, lekarz i ekspert kryminalistyki, opublikował artykuł pod tytułem *Balistyka*. Goddarda do dziś uważa się za ojca balistyki.

Stosując zasady sformułowane przez Goddarda przed dziewięćdziesięciu laty, Rhyme miał przed sobą trzy zadania. Po pierwsze, zidentyfikować kulę. Po drugie, na podstawie tej informacji zidentyfikować rodzaj broni, z której mogła zostać wystrzelona. I po trzecie, ustalić związek kuli z

konkretną sztuką broni, którą będzie można następnie powiązać ze strzelcem, w tym przypadku z Barrym Shalesem.

Zespół zajął się pierwszą kwestią. Samą kulą.

Sachs w rękawiczkach i masce otworzyła plastikową torebkę z kulą, zniekształconym podłużnym kawałkiem miedzi i ołowiu. Obejrzała go.

– Ciekawy pocisk. Nietypowy. Po pierwsze, bardzo duży. Trzysta granów.

Masę pocisku wystrzeliwanego z broni mierzy się w granach. Trzysta granów to ponad dziewiętnaście gramów. Większość strzelb myśliwskich, karabinów bojowych, a nawet snajperskich strzela o wiele mniejszymi pociskami, o masie około stu osiemdziesięciu granów, czyli jedenastu gramów.

Sachs zmierzyła kulę kalibromierzem, płaskim metalowym krążkiem z wyciętymi otworami o różnych średnicach.

– Rzadki kaliber, duży. Czterysta dwadzieścia.

Rhyme zmarszczył brwi.

– Nie czterysta szesnaście? – To była jego pierwsza myśl, gdy zobaczył kulę w Pokoju Straceń. Nabój .416 został niedawno opracowany przez znaną firmę Barrett Arms jako nowa wersja amunicji .50 używanej przez snajperów na całym świecie. Niektóre państwa i stany w USA zakazały stosowania naboju .50 przez cywilnych użytkowników, .416 prawie wszędzie były jeszcze legalne.

– Nie, zdecydowanie większy. – Sachs zbadała pocisk pod mikroskopem w niewielkim powiększeniu. – Skomplikowana konstrukcja. Góra bez płaszcza, ale z plastikowym wierzchołkiem. Zmodyfikowany spitzer.

Producenci amunicji zaczęli uwzględniać aerodynamikę przy projektowaniu pocisków mniej więcej w tym samym czasie, gdy pojawiły się samoloty. Pocisk typu Spitzer – tak po niemiecku nazywano amunicję z zastrzonym wierzchołkiem – opracowano do strzelania długodystansowego. Opływowy kształt znacznie poprawiał celność; wadą był fakt, że przy osiągnięciu celu pocisk pozostawał nietknięty i powodował znacznie mniejsze uszkodzenia niż tępo zakończona kula, która grzybkowała w ciele przeciwnika.

Niektórzy producenci amunicji wpadli na pomysł, aby otwór w przedniej części pocisku zaczopować ostrym plastikowym wierzchołkiem, który nadawał mu opływowy kształt spitzera, ale w momencie trafienia w cel rozpadał się, umożliwiając deformację pocisku.

Takiego właśnie rodzaju amunicji użył Barry Shales, aby zabić Roberta Morena.

Sachs dodała, że opływowy pocisk miał tylne ścięcie – zwężał się w tylnej części jak regatowy jacht, by jeszcze bardziej zmniejszyć opór powietrza podczas lotu.

– Duży, ciężki, celny jak diabli – podsumowała. Wskazała zdjęcie z miejsca zdarzenia ukazujące Morena leżącego na kanapie w Pokoju Straceń na tle rozprysniętej krwi i tkanek. – I zabójczo skuteczny.

Poskrobała pocisk i zbadała część osadów powystrzałowych – gazu i cząsteczek pozostałych po zapłonie prochu.

– Najlepszy z najlepszych – powiedziała. – Słonka Federal 210 do strzelania precyzyjnego, proch Hodgdon Extreme Extruded – odporny na najbardziej skrajne temperatury i warunki. Ferrari wśród amunicji.

– Kto to produkuje? – Pytanie było ważne.

Poszukiwania w internecie dały bardzo niewiele wyników. Takich naboji nie mieli w ofercie najwięksi producenci, jak Winchester, Remington czy Federal, ani żaden z detalicznych sprzedawców amunicji. Sachs znalazła jednak wzmiankę o istnieniu tajemniczego pocisku na jakimś mało znanym forum strzeleckim i dowiedziała się, że może ją produkować firma z New Jersey, Walker Defense Systems. Z informacji na stronie wynikało, że choć Walker nie produkuje karabinów, wytwarza spitzery kalibru .420 z plastikowym wierzchołkiem i tylnym ścięciem.

– Sprzedają je tylko wojsku, policji... i służbom federalnym – przeczytała Sachs.

Pierwszy cel – identyfikacja pocisku – został osiągnięty. Zespół skupił się na ustaleniu typu broni, z której go wystrzelono.

– Pomyślmy – zaczął Rhyme. – Broń powtarzalna, samopowtarzalna, automat? Pojedynczy strzał, trzystrzałowa seria? Sachs, jak sądzisz?

– Snajperzy nigdy nie strzelają seriami, za trudno jest ustabilizować lufę po odrzucie przed następnym dalekim strzałem. Jeżeli to była broń powtarzalna, nie mógł oddać trzech strzałów. Gdyby pierwszy był niecelny, ostrzegłby ofiarę, która miałaby szansę się ukryć. Moim zdaniem samopowtarzalna.

– Chyba nie tak trudno będzie ustalić – odezwał się Sellitto. – Na świecie jest może jeden czy dwa rodzaje broni, z której można wystrzelić taki nabój. Czyli jest dość unikatowa.

– Dość unikatowa – burknął Rhyme zjadliwym tonem. – Coś jak trochę w ciąży.

– Linc – odparł dobrodusznie Sellitto – nie myślałeś kiedyś o tym, żeby uczyć w podstawówce? Dzieciaki by cię uwielbiały.

Rhyme wiedział jednak, że Sellitto w zasadzie ma rację. Im rzadszy pocisk, tym mniej typów broni, z której można go wystrzelić. Taki wniosek ułatwiał identyfikację karabinu i powiązanie go z Barrym Shalesem.

Dwie cechy charakterystyczne pocisku pozwalające ustalić jego związek z bronią, z której został wystrzelony, to kaliber, który już znali, oraz ślady po gwincie.



Wszystkie lufy współczesnej broni palnej mają wycięte wewnątrz wyżłobienia, by nadać pociskowi ruch obrotowy i jeszcze dokładniej skierować go do celu – czyli są gwintowane. Producenci broni wykonują te wyżłobienia (wypukłe części to pola, wklęsłe – bruzdy) w różnych konfiguracjach, w zależności od typu broni, rodzaju amunicji, jaka ma być do niej używana, i jej przeznaczenia. Tak zwany skręt gwintu może nadać pociskowi rotację zgodną z ruchem wskazówek zegara albo przeciwną, szybszą albo wolniejszą, w zależności od liczby obrotów, jakie nabój wykonuje w przewodzie lufy.

Z oględzin pocisku wynikało, że broń Barry’ego Shalesa nadawała pociskowi rotację przeciwną do ruchu wskazówek zegara, a kula wykonywała pełny obrót co dziesięć cali.

Nietypowe, pomyślał Rhyme; gwint na ogół ma mniejszy skok, o współczynniku około 1:7 albo 1:8.

– Czyli w grę wchodzi długa lufa? – zapytał Coopera.

– Aha. Bardzo długa. Dziwne.

Znając rzadki kaliber i gwintowanie, zwykle bez większego trudu można ustalić markę samopowtarzalnych karabinów o takich cechach charakterystycznych. Bazy danych balistycznych porównywały wszystkie te informacje i proste przeszukanie zasobów komputerowych dawało wyniki w ciągu kilku sekund.

Ale w tej sprawie nic nie było takie jak zwykle.

Sachs uniosła wzrok znad komputera i oznajmiła:

– Zero trafień. Nie ma danych o żadnym producencie broni, który produkuje taki karabin.

– Możemy powiedzieć coś jeszcze o tej broni? – zapytał Rhyme. – Popatrzmy na zdjęcia z miejsca zdarzenia, na ciało Morena. Zobaczmy, czy da się z tego wyciągnąć jakieś wnioski.

Technik kryminalistyki podsunął wyżej okulary i kołysząc się w przód i w tył, przypatrywał się fotografiom. Jeżeli ktoś mógł mieć jakieś ważne spostrzeżenia, to na pewno Mel Cooper. Działał w Międzynarodowym Stowarzyszeniu do spraw Metod Identyfikacji, organizacji z niemal stuletnią historią, i miał najwyższe certyfikaty w każdej dziedzinie, jakie można było uzyskać od Stowarzyszenia: tworzenia portretów pamięciowych, traseologii, fotografii i obrazowania kryminalistycznego, identyfikacji i analizy daktyloskopijnej – a także analizy plam krwawych, którą żywo interesował się również Rhyme.

Cooper potrafił czytać z fotografii z miejsca zdarzenia jak lekarz ze zdjęcia rentgenowskiego.

– Popatrzcie na ten rozprysk. – Dotknął zdjęcia przedstawiającego krew i fragmenty ciała na kanapie i podłodze. – Strzelił z tysiąca ośmiuset metrów, zgadza się?

– Mniej więcej – przytaknął Rhyme.

– Amelia, jaka byłaby prędkość pocisku takiej wielkości?

Wzruszyła ramionami.

– Wylotowa jakieś osiemset trzydzieści metrów na sekundę. A przy trafieniu w cel? Moim zdaniem z pięćset pięćdziesiąt.

Cooper pokręcił głową.

– Kiedy ten pocisk trafił Morena, musiał lecieć z prędkością ponad dziewięciuset metrów na sekundę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Sachs.

– Bez dwóch zdań.

– Szybko. Bardzo szybko. To potwierdza, że karabin miał wyjątkowo długą lufę, a w naboju był duży ładunek prochowy. Zazwyczaj pocisk takiej wielkości ma około trzech gramów materiału miotającego. Gdyby w grę wchodziła taka prędkość, musiałby mieć ze dwa razy więcej, a to oznacza też wzmocnioną komorę zamkową.

W tej części karabinu znajduje się nabój w momencie oddania strzału. Komora jest grubsza od lufy, aby wytrzymać początkowe ciśnienie rozprężających się gazów i nie dopuścić do rozerwania broni, gdy strzelec naciska spust.

– Jakież wnioski?

– Tak – powiedziała Sachs. – Barry Shales albo ktoś z KSWO zrobił tę broń samodzielnie.

Rhyme skrzywił usta.

– Czyli nie da się ustalić, że KSWO czy Shales kupił karabin o konkretnym numerze seryjnym. Cholera.

Jego trzecie zadanie, czyli powiązanie pocisku z Shalesem za pośrednictwem broni, zostało właśnie znacznie utrudnione.

– Ciągłe czekamy na wiadomości z wydziału informacji – zauważyła Sachs. – Może trafią na jakiś trop Shalesa i dowiedzą się, że kupował części broni albo narzędzia.

Rhyme wzruszył ramionami.

– W takim razie zobaczymy, czy kula coś nam jeszcze powie. Ślady linii papilarnych, Mel?

Odciski palców mogą pozostać na wystrzelonym pocisku, nawet gdy przebił ciało, a czasem i ścianę.

Pod warunkiem że Barry Shales dotykał amunicji gołymi rękami. Okazało się jednak, że nie. Sachs w okularach ochronnych sprawdziła pocisk źródłem światła o zmiennej długości fali.

– Nic.

– Mikroślady?

Pocisk oglądał teraz Cooper.

– Fragmenty szklanego pyłu z rozbitej szyby. – Pęsetą zdjął drobiny jakiegoś materiału, po czym uważnie obejrzał je pod mikroskopem.

– Roślina – odgadł Rhyme, patrząc na monitor.

– Tak, zgadza się. – Technik sprawdził skład chemiczny. – Urushiol. Alergen podrażniający skórę. – Uniósł głowę. – Sumak jadowity?

– Ach, trujące drzewo. Rosło za oknem Pokoju Straceń. Pocisk musiał przejść przez liść, zanim trafił Morena.

Technik znalazł też włókno identyczne z materiałem, z którego była zrobiona koszula Morena, oraz ślady krwi odpowiadającej krwi ofiary.

– Poza tym i osadem powystrzałowym na pocisku nie ma nic więcej – stwierdził.

Rhyme odwrócił swój nowy wózek w stronę tablic.

– Ron, mógłbyś uzupełnić nasze dzieło swoim eleganckim charakterem pisma z katolickiej szkoły? Muszę zwizualizować sobie ogólny obraz sytuacji – dodał, nie mogąc się powstrzymać od żargonu godnego ich nieobecnego zwierzchnika, kapitana Billa Myersa.

## **ROZDZIAŁ 58**

## **Pogrubiona czcionka oznacza uaktualnione informacje**

- Miejsce zdarzenia 1.
- Apartament 1200, South Cove Inn, wyspa New Providence, Bahamy (Pokój Straceń).
- 9 maja.
- Ofiara 1: Robert Moreno.
- Przyczyna śmierci: pojedyncza rana postrzałowa klatki piersiowej.
- Dodatkowe informacje: Moreno, 38 lat, obywatel USA, emigrant mieszkający w Wenezueli. Zaciekle antyamerykańskie poglądy. Pseudonim: Posłaniec Prawdy. **Ustalono, że „zamknięcie się w wieży z kości słoniowej” i „wybuchowe niespodzianki” nie mają związku z żadnym aktem terrorystycznym.**
- **Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia sprzed wejścia do hotelu, ślady ropy naftowej.**
- **Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: drobinę pieczywa, dżemu i bekonu; również ślady ropy naftowej.**
- Spędził trzy dni w Nowym Jorku, 30 kwietnia – 2 maja. Cel?
- 1 maja skorzystał z usług Elite Limousine.
- Kierowca Tash Farada (stały kierowca Wład Nikołow był chory. Próby zlokalizowania).
- Zamknął rachunki w American Independent Bank and Trust, prawdopodobnie także w innych bankach.
- **Jeździł po mieście w towarzystwie tłumaczki Lydii Foster (zamordowanej przez NN 516).**
- Przyczyny antyamerykańskich poglądów: jego najlepszy przyjaciel został zabity przez wojska USA podczas inwazji na Panamę w 1989.

- Ostatni przyjazd Morena do USA. Nie zamierzał wracać.
- Spotkanie na Wall Street. Cel? Miejsce?
- **Brak informacji o dochodzeniach w sprawie działalności terrorystycznej w okolicy.**
- **Spotkał się z nieznanymi osobami z organizacji charytatywnych z Rosji i Emiratów (Dubaj) oraz z konsulatu Brazylii.**
- **Spotkał się z Henrym Crossem, prezesem fundacji Klasy dla Ameryk. Cross zeznał, że Moreno spotykał się z przedstawicielami innych organizacji charytatywnych, nie wiedział jakich. Morena obserwował jakiś mężczyzna, biały, „o wyglądzie twardziela”. Śledził go też prywatny odrzutowiec? Niebieski, próba identyfikacji.**
- Ofiara 2: Eduardo de la Rua.
- **Przyczyna śmierci: utrata krwi. Poraniony odłamkami szyby szerokości 3–4 mm, długości 2–3 cm.**
- **Dodatkowe informacje: dziennikarz przeprowadzający wywiad z Morenem. Urodzony w Portoryko, mieszkający w Argentynie.**
- **Zaginął aparat fotograficzny, dyktafon, złoty długopis, notesy.**
- **Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia sprzed wejścia do hotelu.**
- **Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: ziele angielskie i sos chili.**
- Ofiara 3: Simon Flores.
- **Przyczyna śmierci: utrata krwi. Poraniony odłamkami szyby szerokości 3–4 mm, długości 2–3 cm.**
- **Dodatkowe informacje: ochroniarz Morena. Narodowość brazylijska, mieszkający w Wenezueli.**
- **Zaginął zegarek Rolex i ciemne okulary Oakley.**
- **Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia sprzed wejścia do hotelu, ślady ropy naftowej.**
- **Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: drobiny pieczywa, dżemu i bekonu; również ślady ropy naftowej i popiołu z papierosa.**
- **Chronologia pobytu Morena na Bahamach.**
- **7 maja. Przyjazd do Nassau z Floresem.**
- **8 maja. Spotkania poza hotelem przez cały dzień.**

- **9 maja, godz. 9 rano. Spotkanie z dwoma mężczyznami na temat nowego oddziału Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej na Bahamach. 10.30 – przyjazd de la Rui. Moreno ginie o 11.15.**
- Podejrzany 1: Shreve Metzger.
- Dyrektor Krajowej Służby Wywiadowczo-Operacyjnej.
- Niezrównoważony psychicznie? Kłopoty z opanowaniem złości.
- Manipulował dowodami, żeby nielegalnie zatwierdzić rozkaz zadania specjalnego?
- Rozwiedziony. Absolwent prawa, Yale.
- Podejrzany 2: NN 516.
- **Ustalono, że to nie snajper.**
- Prawdopodobnie mężczyzna, który pojawił się w South Cove Inn 8 maja, biały, trzydzieści kilka lat, krótko ostrzyżone brązowe włosy, amerykański akcent, szczupły, ale wysportowany. Wygląda na żołnierza. Wypytywał o Morena.
- **Być może wspólnik snajpera albo specjalista wynajęty przez Metzgera do posprzątania i zatrzymania śledztwa.**
- **Ustalono, że jest sprawcą zabójstwa Lydii Foster i Annette Bodel oraz zamachu bombowego w Java Hut.**
- **Kucharz z zawodu lub zamilowania, o dużych umiejętnościach.**
- **Podejrzany 3: Barry Shales.**
- **Ustalono, że to snajper (kryptonim Don Bruns).**
- **39 lat, były żołnierz sił powietrznych, odznaczony.**
- **Specjalista wywiadowczy w KSWO. Żona nauczycielka, mają dwóch synów.**
- Człowiek, który 7 maja dzwonił do South Cove Inn, żeby potwierdzić przyjazd Morena, **z telefonu zarejestrowanego na Dona Bruns, przez fikcyjną spółkę KSWO.**
- **Wydział informacji szuka danych na temat Shalesa.**
- Uzyskano spektrogram głosu.
- Raport z oględzin miejsca zdarzenia, protokół sekcji zwłok, inne szczegóły.

- **Miejsce zdarzenia uprzątnięte i zanieczyszczone przez NN 516, praktycznie bezużyteczne.**
- **Informacje ogólne: pocisk przebił i roztrzaskał okno wysokie na całą ścianę; na zewnątrz ogród, trujące drzewo z gałęziami przyciętymi do wysokości około 7 metrów. Widok z gniazda snajpera zasłaniały mgła i dym.**
- **Znaleziono 47 odcisków palców; zbadano połowę, wynik negatywny. Pozostałe zaginęły.**
- **Zabezpieczono papierki po cukierkach.**
- **Zabezpieczono popiół z papierosów.**
- **Pocisk utkwił za kanapą, na której znaleziono ciało Morena.**
- **Śmiertelna kula.**
- **Kaliber .420, produkcji Walker Defense Systems, New Jersey.**
- **Spitzer z tylnym ścięciem.**
- **Wyjątkowo wysokiej jakości.**
- **Wyjątkowa prędkość i siła rażenia.**
- **Rzadki.**
- **Broń: produkcji własnej.**
- **Ślady na pocisku: włókno z koszuli Morena i liść trującego drzewa.**
- **Miejsce zdarzenia 2.**
- **Gniazdo snajperskie Dona Brunsa, około 1800 metrów od Pokoju Straceń, wyspa New Providence, Bahamy.**
- **9 maja.**
- **Nie udało się odnaleźć łusek ani innych śladów lokalizacji gniazda snajperskiego.**
- **Miejsce zdarzenia 2A.**
- **Mieszkanie 3C, Augusta Street 182, Nassau, Bahamy.**
- **15 maja.**
- **Ofiara: Annette Bodel.**

- **Przyczyna śmierci: do ustalenia, prawdopodobnie uduszenie, asfiksja.**
- **Podejrzany: według ustaleń NN 516.**
- **Ofiara prawdopodobnie była torturowana.**
- **Ślady:**
- **Piasek zbliżony do piasku znalezionej w Java Hut.**
- **Kwas dokozaheksaenowy – rybi olej. Prawdopodobnie ikra lub kawior. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.**
- **Paliwo do silnika dwusuwowego.**
- **C<sub>8</sub>H<sub>8</sub>O<sub>3</sub>, wanilina. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.**
- **Miejsce zdarzenia 3.**
- **Java Hut, skrzyżowanie Mott i Hester Street.**
- 16 maja.
- Wybuch improwizowanego ładunku w celu zniszczenia dowodów związanych z informatorem.
- Brak ofiar śmiertelnych, kilka osób niegroźnie rannych.



- Podejrzany: według ustaleń NN 516.
- Ładunek typu wojskowego, przeciwpiechotny, odłamkowy. Materiał wybuchowy: semtex. Dostępny na rynku uzbrojenia.
- Zlokalizowano klientów, którzy byli w kawiarni razem z informatorem, zbieranie informacji, zdjęć.
- Ślady:
  - Piasek z regionu tropikalnego.
  - Miejsce zdarzenia 4.
  - Mieszkanie 230, Trzecia Aleja 1187.
  - 16 maja.
  - Ofiara: Lydia Foster.
  - Przyczyna śmierci: utrata krwi, wstrząs w wyniku ran od noża.
  - Podejrzany: według ustaleń NN 516.
  - Brązowy i krótki włos (pochodzący od NN 516), przesłany do CODIS do analizy.
  - Ślady:
    - Glycyrrhiza glabra – lukrecja. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.
    - Cynaryna, chemiczna substancja zawarta w karczochach. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.
    - Ślady tortur.
    - Skradziono wszystkie materiały związane z pracą dla Roberta Morena 1 maja.
  - **Brak telefonu komórkowego i komputera.**
  - **Paragon ze Starbucksa, gdzie Lydia czekała na powrót Morena z prywatnego spotkania 1 maja.**
  - Za zabójstwo rzekomo odpowiadają kartele narkotykowe. Możliwość uznana za mało prawdopodobną.
  - Śledztwo uzupełniające.
  - Ustalić tożsamość informatora z KSWO.

- NN, który ujawnił rozkaz zadania specjalnego.
  - Anonimowo wysłany e-mail.
  - Ustalono, że wiadomość przesłano przez Szwecję, Rumunię i Tajwan. Wysłana z Nowego Jorku z publicznie dostępnego wi-fi, nie korzystano z rządowych serwerów.
  - Nadawca używał starego komputera, prawdopodobnie sprzed 10 lat (iBook, dwukolorowy model Clamshell, np. biało-zielony lub biało-pomarańczowy, albo tradycyjny, kanciasty model, grafitowy, znacznie grubszy niż dzisiejsze laptopy).
  - Ktoś w jasnym sedanie śledził det. A. Sachs.
  - Marka i model samochodu nieustalone.
- 
- Mamy tu parę zagadek – mruknął w zamyśleniu Rhyme, patrząc na białe tablice, pochłonięty analizą faktów. Na wpół szeptem spytał: – Lubimy zagadki, nowy?
  - Wydaje mi się, że lubimy, Lincoln.
  - Święta racja. A dlaczego?
  - Bo nie pozwalają nam popaść w samozadowolenie. Każą nam się zastanawiać, a kiedy się zastanawiamy, możemy coś odkryć.

Uśmiech.

- No więc co mamy, co mamy? Po pierwsze, NN 516. Zebraliśmy przeciwko niemu mnóstwo dowodów – w sprawie morderstwa Annette na Bahamach, bomby w Java Hut i morderstwa Lydii Foster. Jeżeli... przepraszam; kiedy go zidentyfikujemy, będziemy go mogli bez trudu oskarżyć o podłożenie materiałów wybuchowych i morderstwo.

Przyjrzyjmy się teraz zarzutom o współudział. Shalesa i Metzgera można powiązać ze sprawą – obaj pracują w KSWO. Znamy też kryptonim Shalesa, Don Bruns, bo pojawia się na rozkazie egzekucji. Musimy tylko poznać ostatni kawałek układanki; zdobyć dowód, że Barry Shales był dziewiątego maja na Bahamach. Wtedy będziemy mieli ich obu w rękę.

Patrząc na tablice, Rhyme szeptał sam do siebie:

– Żaden dowód fizyczny nie świadczy, że tam był. Możemy udowodnić, że dzień przed zabójstwem w South Cove pojawił się NN, ale nie Shales. – Spojrzał w stronę Sachs. – Jak idzie eksploracja danych? Wiemy coś o wyjazdach Shalesa?

– Zadzwoń do wydziału informacji. – Wyciągnęła komórkę.

Niewiele nam potrzeba, pomyślał Rhyme. Wnioski mogą wyciągnąć sami przysięgli – po to są poszlaki. Ale konieczna jest jakaś podstawa do wyciągnięcia wniosków. Przysięgli mogą uznać kogoś za winnego spowodowania wypadku po pijanemu i uciezki, nawet jeśli nazajutrz rano jest trzeźwy i wszystkiego się wypiera, ale barman zezna, że godzinę przed wypadkiem facet wypił kilkanaście piw, a ława przysięgłych uzna jego zeznanie za wiarygodne.

Nadajniki pobierania opłat E-ZPass, karty kredytowe, znaczniki RFID w identyfikatorach pracowników, karty do metra, rejestry Administracji Bezpieczeństwa Transportu, dokumenty służby celnej, kamery monitoringu miejskiego i sklepowego... do wykazania, że podejrzany był w konkretnym miejscu, można wykorzystać dziesiątki źródeł informacji.

Zauważył, że Sachs szybko coś notuje. To dobrze. Miał wrażenie, że szczęście im dopisało.

Coś musiało potwierdzać obecność Barry'ego Shalesa na Bahamach dziewiątego maja.

Patrząc na tablicę, Sellitto wypowiedział głośno myśl Rhyme'a: – Musi coś być. Wiemy, że strzelał Shales.

Amelia Sachs rozłączyła się i z zaskoczoną miną, jaką rzadko się u niej widziało, poinformowała go: – Otóż nie, Lon, to nie on strzelał.

## **ROZDZIAŁ 59**

Pół godziny później w domu Rhyme'a zjawiała się Nance Laurel.

– Niemożliwe – wyszeptała.

– To nie jest snajper – powiedziała Sachs. – Proszę, niech pani sama zobaczy.

Rzuciła na stół przed Laurel plik dokumentów z większą siłą, niż zdaniem Rhyme'a wymagały tego okoliczności. Z drugiej jednak strony tym kobietom nie była pisana przyjaźń. Już wcześniej spodziewał się zązartej walki między nimi jak łowca burz, który zauważywszy sine chmury zasnuwające horyzont, myśli: w powietrzu wisi tornado.

Wydział informacji policji nowojorskiej odkrył, że Barry Shales w dniu zabójstwa Morena na pewno nie był na Bahamach. Cały dzień spędził w Nowym Jorku – co więcej, od wielu miesięcy nie wyjeżdżał z kraju.

– Przeszukali kilkanaście źródeł, porównali wszystkie dane. Poprosiłam, żeby sprawdzili jeszcze raz. Sprawdzili trzykrotnie. Czytnik RFID potwierdza, że o dziewiątej rano wszedł do biura KSWO, a potem wyszedł na lunch, chyba o drugiej. Był w Bennigan, zapłacił kartą kredytową. Zweryfikowano jego własnoręczny podpis. Potem poszedł do bankomatu – skan obrazu z kamery dał pozytywny wynik. Rozpoznany na podstawie sześćdziesięciu charakterystycznych punktów twarzy. Wrócił do biura około trzeciej. Wszedł o wpół do siódmej.

– Dziewiątego maja? Na pewno?

– Na sto procent.

Rozległ się dziwny dźwięk przypominający syczenie węża. To był oddech Nance Laurel.

– Co nam teraz zostaje? – zapytała Sachs.

– NN 516 – odrzekł Pulaski.

– Nie mamy nic, co by wskazywało, że to snajper – dodał Sellitto. – Wydaje się, że to jego pomocnik albo sprzątac. Ale można mu postawić zarzuty.

– Mamy alternatywną sprawę – powiedział Rhyme. – Dajemy sobie spokój z zabójstwem Morena. Udowadniamy, że Metzger kazał NN 516 zabić Lydię Foster i podłożyć ładunek w kawiarni. Przynajmniej zostanie zarzut współudziału w przygotowaniu przestępstwa. Metzgerowi prawdopodobnie może grozić wyrok z paragrafu za zabójstwo drugiego stopnia.

Ale na twarzy Laurel malowało się powątpiewanie.

– Takiej sprawy nie chcę.

– „Nie chcę”? – powtórzyła Sachs tonem rozpieszczonej dziewczynki.

– Zgadza się. Moja sprawa dotyczy przygotowania selektywnej eliminacji przez Metzgera i jego snajpera. – Rhyme pierwszy raz usłyszał, jak pani prokurator ze zdenerwowania podnosi głos. – Podstawą tego oskarżenia był rozkaz egzekucji. – Utkwiła wzrok w dokumencie przyklejonym do

tablicy, jak gdyby ją zdradził.

- Przecież tak czy inaczej będziemy mieli Metzgera w garści – odparowała z rozdrażnieniem Sachs.
- Czy to ważne, za co?

Nie zwracając na nią uwagi, prokuratorka odwróciła się i podeszła do okna salonu. Spojrzała na Central Park.

Amelia Sachs patrzyła na nią. Rhyme świetnie wiedział, o czym myśli.

„Nie chcę”...

„Moja sprawa”...

Rhyme skierował oczy na Laurel. Patrzyła na drzewo, bagienny dąb dwubarwny, *Quercus bicolor*, grube i niezbyt wysokie, które dobrze rosło na Manhattanie. Rhyme wiedział o tym nie dlatego, że interesował się hodowlą drzew, ale ponieważ kiedyś znalazł mikroskopijny fragment liścia dębu dwubarwnego w samochodzie Reggiego Kellehera, pseudonim Szambo, szczególnie nieprzyjemnego opryszka z Hell's Kitchen. Kawałek liścia razem z okruchem lepkiej ziemi był dowodem, że Kelleher był na polanie w Prospect Parku, gdzie znaleziono pozbawione głowy zwłoki barona narkotykowego z Jamajki.

Kiedy Rhyme przyglądał się drzewu, naszała go pewna myśl.

Szybko odwrócił się w stronę tablic z dowodami i patrzył na nie przez bardzo długą chwilę. Zdawał się nie słyszeć ludzi, którzy coś do niego mówili. Nie zwracał na nich uwagi, mruczając pod nosem.

Po chwili zawołał przez ramię:

- Sachs! Sachs! Szybko! Musisz gdzieś pojechać.

## ROZDZIAŁ 60

Na całym świecie interes wojenny kręcił się coraz wolniej i niektóre budynki w siedzibie Walker Defense Systems w New Jersey były zamknięte na głucho.

Sachs zauważyła jednak, że musiał funkcjonować jeszcze jakiś rynek broni masowej – i indywidualnej – zagłady; na parkingu stało kilkanaście luksusowych mercedesów, bmw i audi.

I jeden aston martin.

Kurczę, pomyślała Sachs. Ależ miałabym ochotę przejechać się tym vanquishem – wyobraziła sobie, że uwalnia moc drzemiącą pod maską samochodu na wewnętrznej drodze firmy.

W budynku w stylu lat pięćdziesiątych zgłosiła się do recepcji i zaprowadzono ją do poczekalni.

Wnętrze przywodziło na myśl słowo „sterylne” w dwojakim sensie: wystrój był surowy i minimalistyczny, ozdobiony paroma szaro-czarnymi obrazami, reklamami produktów, których przeznaczenia nie bardzo potrafiła się domyślić. I sterylne w drugim znaczeniu: czuła się jak wirus, którego badacze traktują z nieufnością i trzymają w izolacji, dopóki nie dowiedzą się o nim czegoś więcej.

Zamiast „People” czy „Wall Street Journal” z wiadomościami z zeszłego tygodnia, na czas oczekiwania wybrała sobie wydany na lśniącym papierze folder firmy, opisujący szczegółowo jej ofertę, w tym systemy naprowadzania rakiet, nawigację żyroskopową, opancerzenie, amunicję... można tu było znaleźć wszystko.

Owszem, być może przedsiębiorstwo zmniejszyło zatrudnienie, ale folder poza siedzibą główną pokazywał imponujące obiekty na Florydzie, w Teksasie i Kalifornii. Za granicą firma miała oddziały w Abu Zabi, São Paulo, Singapurze, Monachium i Mumbaju. Sachs podeszła do okna i przyjrzała się rozległemu terenowi.

Wkrótce w holu pojawił się trzydziestokilkuletni mężczyzna. Przywitał ją. Był wyraźnie zaskoczony, że detektyw nowojorskiej policji może tak wyglądać, i nie bardzo umiał się powstrzymać od flirtowania, prowadząc ją przez labirynt równie sterylnych korytarzy do gabinetu dyrektora. Z czarującym uśmiechem wypytywał ją o pracę – jak to jest być gliną w Nowym Jorku, jaka była jej najciekawsza sprawa, czy ogląda *Zagadki kryminalne* albo *Mentalistę*, jaką nosi broń.

Przypominał jej wytatuowanego kierownika Java Hut.

Mężczyźni...

Kiedy stało się jasne, że ten kierunek rozmowy do niczego nie doprowadzi, zaczął jej opowiadać o osiągnięciach firmy. Uprzejmie kiwała głową, natychmiast zapominając o wszystkich podawanych przez niego szczegółach. Zmarszczył brwi, zerkając na jej nogę; Sachs zorientowała się, że utyka, i błyskawicznie zmusiła się do normalnego chodu.

Po długiej wędrówce dotarli do narożnego pokoju w parterowym budynku. Gabinetu Walkera. Znad

imponującego biurka uniosła głowę brunetka z lakierowaną fryzurą, spoglądając hardym wzrokiem – prawdopodobnie oburzona, że jej szefowi postanowiła złożyć wizytę policja. Sachs zauważyła, że wiele półek na regałach w sekretariacie zajmowała kolekcja plastikowych i ołowianych żołnierzyków. Całe armie. Co za udręka ścierać tu kurze, pomyślała.

Bawidamek, który ją przyprowadził, szukał chyba sposobu, żeby się z nią umówić, ale nic mu nie przyszło do głowy. Odwrócił się i wyszedł.

– Szef czeka na panią – powiedziała sekretarka.

Gdy Sachs przestąpiła próg gabinetu Harry’ego Walkera, nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

Można się spodziewać, że producent broni będzie miał surową, wąską i podejrzliwą twarz, może wręcz twarz sadysty. Człowieka, który knuje, jak sprzedać amunicję Rosjanom, równocześnie wysyłając ją czeczeńskim separatystom. Szef Walker Defense Systems był jednak pulchnym sześćdziesięcioletkiem o rysach cherubina. Akurat siedział po turecku na podłodze, montując różowy trójkołowy rowerek.

Walker miał na sobie białą koszulę, która wyraźnie wybrzuszała się nad paskiem beżowych spodni. Nosił krawat w niebieskie i czerwone prążki. Gdy weszła, uśmiechnął się naturalnie i wstał – z pewnym trudem, ponieważ w jednej ręce ścisnął śrubokręt, a w drugiej instrukcję montażu.

– Detektyw Sachs. Amanda?

– Amelia.

– Jestem Harry.

Skinęła głową.

– Dla wnuczki. – Spojrzał na rowerek. – Skończyłem MIT. Opatentowałem dwieście nowoczesnych systemów broni. Ale czy potrafię złożyć rowerek Hello Kitty? Chyba z największym trudem.

Każdy element leżał osobno na podłodze, opatrzony samoprzylepną karteczką z opisem.

– Pracuję przy samochodach – powiedziała Sachs. – Zawsze zostaje mi jakaś śrubka, nakrętka albo sworzeń. Ale bez nich wszystko całkiem dobrze działa.

Odłożył narzędzie i instrukcję na biurko, po czym zasiadł za nim. Sachs zajęła krzesło, na które zaprosił ją gestem.

– Czym mogę pani służyć? – Wciąż się uśmiechał, tak jak tamten mężczyzna z kierownictwa firmy, który przyprowadził ją z holu, ale w przypadku Walkera nie była to próba flirtu. W jego uśmiechu kryło się zaciekawienie i rezerwa.

– Pańska firma jest jednym z najstarszych producentów broni i amunicji w kraju.

– No tak, dzięki Wikipedii... czemu miałbym zaprzeczać?

Usadowiła się wygodniej na krześle obitym beżową skórą. Zerknęła na fotografie na ścianach przedstawiające jakichś ludzi na strzelnicy, mniej więcej w czasach pierwszej wojny światowej.

– Przedsiębiorstwo założył mój pradziadek – powiedział Harry Walker. – Dość niezwykły człowiek. Mówię, jak gdybym go znał. Ale zmarł, zanim się urodziłem. Wynalazł system odrzutu wykorzystywany do przeładowania broni automatycznej. Oczywiście kilku innych wynalazców też na to wpadło, a dziadek po prostu nie zdążył pierwszy do urzędu patentowego. Ale wykonał najlepsze, najbardziej skuteczne modele.

Sachs nie wiedziała o wkładzie Walkera seniora do konstrukcji broni, lecz była pod wrażeniem. Istniało kilka sposobów oddania serii strzałów, ale najpopularniejszym stało się przeładowanie na zasadzie odrzutu. Utalentowany strzelec uzbrojony w broń powtarzalną może posyłać pociski do celu co kilka sekund. Współczesna broń maszynowa potrafi wypluć dziewięćset kul na minutę, a niektóre osobliwe modele jeszcze więcej.

– Zna się pani na broni? – zapytał Walker.

– Strzelam hobbystycznie.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Jakie ma pani zdanie na temat Drugiej Poprawki? – Prowokacyjne pytanie pod maską zwykłego zaciekawienia.

Nie wahała się z odpowiedzią.

– Można ją różnie interpretować: czy dotyczy milicji, czy praw obywatelskich.

Krótką Drugą Poprawką do Konstytucji gwarantowała milicji prawo do posiadania broni. Nie precyzowała, czy takie prawo mają wszyscy obywatele.

– Czytałam uwagi George’a Masona – ciągnęła Sachs – i osobiście uważam, że miał na myśli wyłącznie milicję. – Uniosła rękę, nie dopuszczając do głosu Walkera, który chciał jej przerwać. – Ale potem dodał: „Kim jest milicja? Dziś składa z całej ludności, z wyjątkiem kilku funkcjonariuszy publicznych”. To oznacza, że prawo stosuje się do wszystkich; w tamtych czasach każdy obywatel był potencjalnym członkiem milicji.

– Zgadzam się z panią! – rozpromienił się Walker. – To prawie dosłowny cytat. A więc nie krępujcie naszych praw. – Pokiwał głową.

– Nie tak szybko – dodała przekornie Sachs. – To nie koniec sporu.

– Nie?

– Konstytucja daje nam wiele praw, ale równocześnie pozwala Kongresowi regulować nasze życie



na tysiące sposobów. Żeby prowadzić samochód, pilotować samolot albo sprzedawać alkohol, trzeba mieć urzędowe pozwolenie. Nie można głosować, jeżeli nie skończyło się osiemnastu lat. Dlaczego nie mielibyśmy dostawać zezwolenia na posiadanie albo używanie broni? Nie mam nic przeciwko temu. I to wcale nie kłóci się z Drugą Poprawką.

– Ale kiedy dostaniemy licencje – odparł pogodnie Walker, czerpiąc wyraźną przyjemność z dyskusji – Waszyngton będzie wiedział, gdzie jest broń, i jego ludzie przyjdą w środku nocy, żeby ją nam odebrać. Przecież potrzebujemy broni, żeby ich przed tym powstrzymać, nie sądzi pani?

– Waszyngton ma głowice jądrowe – odparowała Sachs. – Jeżeli będzie chciał odebrać nam broń, na pewno odbierze.

Walker skinął głową.

– To prawda. Chyba trochę odchodzimy od tematu. Jak mogę pani pomóc?

– Zabezpieczyliśmy pocisk na miejscu zdarzenia.

– Przypuszczam, że naszej produkcji.

– Jesteście jedyną firmą, która produkuje spitzera .420 z tylnym ścięciem, zgadza się?

– Ach tak, to nasza nowa amunicja snajperska. Wyśmienity nabój. Moim zdaniem lepszy niż .416. Szybki. Szatańsko szybki. – Nagle zmarszczył brwi z widocznym zaskoczeniem. – I ten pocisk został użyty w przestępstwie?

– Zgadza się.

– Amunicja nie jest dostępna na otwartym rynku. Sprzedajemy ją tylko służbom rządowym, wojsku i policyjnym oddziałom antyterrorystycznym. Nie wiem, jak przestępca mógł zdobyć taki pocisk – chyba że sam pochodzi z tej klienteli. Gdzie dokładnie go użył?

– W tym momencie nie mogę panu tego ujawnić.

– Rozumiem. A co chce pani wiedzieć?

– Potrzebuję tylko pewnych informacji. Próbujemy znaleźć karabin, z którego wystrzelono pocisk, ale bez rezultatów. Przypuszczamy, że taką broń robi się na zamówienie.

– Owszem. Ładunki są za duże do zwykłych karabinów dostępnych na rynku, nawet z wymienionym oprzyrządowaniem. Większość strzelców znajduje kogoś, kto zbuduje im broń. Niewielka część potrafi zrobić to samodzielnie.

– Zna pan kogoś, kto się tym zajmuje?

Uśmiechnął się przekornie.

– W tym momencie nie mogę pani tego ujawnić.

Zaśmiała się.

– I pewnie ta sama zasada dotyczy klientów, którym sprzedaje pan tę amunicję?

Walker spoważniał.

– Jeżeli ktoś się włamał do któregoś z naszych magazynów... – wskazał pobliskie budynki – ...i pociski zostały użyte do popełnienia przestępstwa, chętnie bym pani pomógł. Ale nie mogę udzielać żadnych informacji o klientach. We wszystkich umowach mamy klauzule poufności, a w większości przypadków obowiązują nas dodatkowe wymogi bezpieczeństwa narodowego. Ujawniając pani informacje tego rodzaju, sam popełniłbym przestępstwo. – Na jego twarzy odmalował się niepokój. – Może mi pani jednak powiedzieć, co się właściwie stało? To było zabójstwo?

Sachs wahała się przez chwilę.

– Tak.

Twarz Walkera pozostała nieruchoma.

– Przykro mi. Naprawdę. Firmie nie wychodzi to na dobre, kiedy ktoś niewłaściwie używa naszego produktu i zdarza się jakaś tragedia.

Co nie oznaczało, że zamierza jej pomóc. Uniósł się zza biurka i wyciągnął rękę.

Sachs też wstała.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

Walker wziął instrukcję i śrubokręt, po czym wrócił do montowania rowerka.

Po chwili uśmiechnął się i uniósł jakąś nakrętkę.

– A kiedy kupuje się harleya davidsona, od razu jest złożony.

– Powodzenia, panie Walker. Proszę zadzwonić, gdyby coś pan sobie przypomniał. – Podała mu wizytówkę, choć podejrzewała, że zanim dotrze do holu, Walker wyrzuci ją do śmieci.

Nieważne.

Wiedziała już wszystko, co jej było potrzebne.

## ROZDZIAŁ 61

Sachs zdjęła kurtkę w ciemnym salonie Rhyme'a, gdzie unosił się zapach substancji, z których chromatograf gazowy wypalił obciążające dowody, i pokazała folder z Walker Defense.

Ron Pulaski przykleił go na tablicy. Błyszcząca broszurka znalazła się obok rozkazu egzekucji.

– No i...? – spytał Rhyme. – Jak to wyglądało?

– Dość krótki, ukryty między dwoma budynkami, ale zobaczyłam z okna w gabinecie Walkera. Na jednym końcu był rękaw, lotniczy wskaźnik wiatru, a na drugim mały hangar.

Zadanie Sachs nie polegało na zdobyciu informacji o klientach ani nazwisk ludzi produkujących karabiny o długich lufach, ponieważ Rhyme wiedział, że Walker na pewno ich nie wyjawia. Miała dowiedzieć się jak najwięcej o produktach firmy – więcej niż ujawniały niejednoznaczne dane na wymuskannej stronie internetowej. Przede wszystkim miała się dowiedzieć, czy jest tam odcinek asfaltu czy betonu, który można wykorzystać jako pas startowy; Google Earth okazał się do tego mało przydatny.

– Wspaniale – rzekł Rhyme.

Jeśli chodziło o pozostałą ofertę, była dokładnie taka, na jaką liczył: oprócz amunicji firma sprzedawała przyrządy i urządzenia naprowadzające, systemy sterowania i nawigacji.

– Żyroskopy, systemy celownicze wyposażone w GPS, radary SAR i tak dalej – mówiła Sachs.

Kryminalistyk przeglądał folder.

– No dobrze, mamy odpowiedź – powiedział wolno. – Wracamy do poprzedniej sprawy. Barry Shales naprawdę zabił Roberta Morena. Był tylko trochę dalej od celu niż tysiąc osiemset metrów. Ściślej mówiąc, kiedy nacisnął spust, był tu, w Nowym Jorku.

Sellitto pokręcił głową.

– Powinniśmy się domyślić. Shales nie był w piechocie ani oddziałach specjalnych. Służył w lotnictwie.

Według hipotezy Rhyme'a, którą potwierdziła właśnie Sachs, Barry Shales był pilotem samolotu bezzałogowego.

– Wiemy, że używał kryptonimu Don Bruns, a Bruns zabił Morena. Dane pokazują, że w dniu jego śmierci był w siedzibie KSWO na dolnym Manhattanie. Musiał pilotować drona w jakimś centrum sterowania. – Umilkł, marszcząc brwi. – Cholera, to jest właśnie Pokój Straceń z rozkazu egzekucji. Nie chodziło o apartament, gdzie zginął Moreno, ale kokpit drona czy jak to się nazywa, gdzie siedzi pilot.

Sachs ruchem głowy wskazała folder.

– Walker produkuje amunicję, celowniki, systemy stabilizacji, nawigacji i radary. Zbudowali albo uzbroili wyspecjalizowany samolot bezzałogowy, który ma na pokładzie karabin.

– Popatrzcie na rozkaz egzekucji! – rzucił z rozdrażnieniem w głosie Rhyme. – Po Pokoju Straceń jest kropka, nie przecinek. To nie jest apartament 1200, tylko zupełnie inne miejsce. Tak, teraz wszystko ma sens – ciągnął. – Jaki jest największy problem z atakiem dronów?

– Straty uboczne – powiedziała Sachs.

– Właśnie. Rakieta likwiduje terrorystów, ale równocześnie zabija niewinnych ludzi. To bardzo psuje image Ameryki. KSWO zamówiła w Walter Defense drona, który minimalizuje straty uboczne. Uzbrojonego w precyzyjny karabin na bardzo duże pociski.

– Ale spieprzyli sprawę – zauważył Sellitto. – Były straty uboczne.

– W zabójstwie Morena zawinił przypadek – rzekł Rhyme. – Kto mógł przewidzieć, że rozbite szkło okaże się śmiertelne?

Sellitto parsknął śmiechem.

– Wiesz, Amelia, miałaś rację. To rzeczywiście była kula za milion dolarów. Dosłownie. Cholera, jak pomyśleć o cenie dronów, pewnie za dziesięć milionów dolarów.

– Jak to odgadłeś? – zapytała Nance Laurel.

– Odgadłeś? – powtórzyła cierpkim tonem Sachs.

Ale Rhyme nie potrzebował żadnych obrońców. Cieszył się z trafnej dedukcji i chętnie wyjaśnił.

– Pomyślałem o drzewach. Na pocisku był ślad liści trującego drzewa. Widziałem takie drzewo pod oknem apartamentu. Wszystkie gałęzie do wysokości jakichś siedmiu metrów były przycięte – bo hotel nie chciał, żeby ktokolwiek dotykał liści. To musiało oznaczać, że pocisk trafił Morena pod ostrym kątem z góry – prawdopodobnie czterdziestu pięciu stopni. Za dużym, jeżeli strzelec znajdował się na cyplu i celował wyżej, żeby skompensować siłę grawitacji. Czyli pocisk musiał nadlecieć z powietrza.

Jeżeli Shales strzelał przez drzewa, musiał użyć jakiegoś czujnika podczerwieni albo radaru, żeby, nazwijmy to, zobaczyć Morena przez liście. Ciekawiło mnie też, dlaczego na kuli nie było żadnych zanieczyszczeń – od dymu i różnych świństw, które unosiły się w powietrzu nad cyplem. Gorący pocisk musiałby złapać mnóstwo śladów. A nie złapał.

– Nawiasem mówiąc, Lincoln – odezwał się Pulaski – to są BSP, bezzałogowe statki powietrzne. Nie drony.

– Dziękuję, że mnie poprawiasz. Precyzja jest najważniejsza. Jesteś prawdziwą skarbnicą wiedzy.

– Z Discovery Channel.

Rhyme zaśmiał się i ciągnął:

– To tłumaczy też, dlaczego nurkowie Mychala Poitiera nie znaleźli żadnych łusek. Spadły gdzieś na pełnym morzu. A może dron zatrzymuje łuski. Dobrze, bardzo dobrze. Nareszcie do czegoś doszliśmy.

– Broń była znacznie bliżej niż tysiąc osiemset metrów – powiedział Cooper. – Stąd taka duża prędkość pocisku.

– Przypuszczam, że BSP nie mógł być dalej niż jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt metrów, żeby oddać tak precyzyjny strzał – dodał Rhyme. – Ludzie na ziemi mogli go w ogóle nie zauważyć. Prawdopodobnie miał kamuflaż. I niewielki silnik – pamiętacie, dwusuwowy. Z tłumikiem, żeby nie było go słychać.

– Wystartował z pasa u Walkera w New Jersey? – zapytał Pulaski.

Rhyme przecząco pokręcił głową.

– Tamten pas na pewno jest wykorzystywany do testowania dronów. KSWO wysłał swoją maszynę z jakiejś bazy wojskowej zlokalizowanej najbliżej Bahamów.

Laurel poszperała w notatkach.

– Niedaleko Miami jest biuro KSWO. – Uniosła wzrok. – Obok bazy lotniczej Homestead.

Sachs wskazała folder.

– Walker ma tam swój oddział. Pewnie do obsługi i konserwacji.

– Pamiętacie, co wcześniej mówił Lincoln? – odezwała się szorstko Laurel. Zwracała się do wszystkich obecnych.

– Aha – odparł Sellitto, nerwowo mieszając kawę, jakby w ten sposób mogła się zrobić słodsza; wsypał tylko połowę torebeczki cukru. – Nie potrzebujemy już zarzutu o współudział. Kiedy Barry Shales nacisnął spust, był w Nowym Jorku. Czyli mówimy teraz o zabójstwie drugiego stopnia. A Metzger jest współwinny.

– Bardzo dobrze, detektywie, tak jest – powiedziała Laurel, jak gdyby była nauczycielką i chwaliła ucznia przed resztą piątej klasy.

## ROZDZIAŁ 62

Shreve Metzger odchylił nieco głowę do tyłu, żeby przez dolne soczewki okularów wyraźniej zobaczyć słowa wyświetlone na ekranie magicznego telefonu.

Rozmowy budżetowe idą pełną parą. Na razie dyskusja. Decyzja jutro. Nie czuję, skąd wiatr wieje.

I co ja, do ciężkiej cholery, mam zrobić z tą pieprzoną niby-informacją? – zapytał w duchu Czarnoksiężnika. Przygotować CV czy nie? Powiedzieć wszystkim, że zostaną ukarani, bo są patriotami i nie zgadzają się na zło, które chce zniszczyć najwspanialszy kraj na świecie? Czy nie?

Czasami Dym bywał rzadki, drażniący. Czasami przypominał atramentową skłębioną chmurę, jaką widać podczas katastrofy samolotu albo wybuchu w fabryce chemicznej.

Metzger zniszczył cyfrowo wiadomość, po czym sztywnym krokiem ruszył do kawiarni na dole, kupił latte dla siebie, a dla Ruth mochaccino z mlekiem sojowym. Wrócił i postawił jej kawę na biurku, między zdjęciem jednego męża żołnierza a drugiego męża żołnierza.

– Dziękuję – powiedziała sekretarka, obracając na niego niewiarygodnie niebieskie oczy. W kącikach pojawiły się zmarszczki uśmiechu. Mimo swojego wieku była atrakcyjna w najszerszym znaczeniu tego słowa. Metzger nie wierzył w duszę ani ducha, ale gdyby wierzył, chyba właśnie to najbardziej pociągałoby go w Ruth.

Można też po prostu powiedzieć, że ma dobre serce.

A pracuje u kogoś takiego jak ja...

Rozpędził Dymny cynizm.

– Przeszłam to badanie, wszystko w porządku – poinformowała go.

– Wiedziałem – odparł Metzger. – Byłem pewien. Mogłabyś poprosić do mnie Spencera?

Wszedł do gabinetu, ciężko opadł na krzesło i wypił łyk kawy, złoścąc się, że kartonowy kubek jest za gorący. To mu przypomniało inne zdarzenie: uliczny sprzedawca, u którego kupił kawę, potraktował go nieuprzejmie. Metzger wciąż sobie wyobrażał, jak odnajduje jego budkę i z impetem wjeżdża w nią samochodem. Do tamtego zdarzenia doszło trzy lata temu.

„Nie czuję, skąd wiatr wieje”.

Dmuchał na kawę. Jakbym zionął Dymem, pomyślał.

Odpuść sobie.

Zaczął sprawdzać maile wyciągnięte z gąszczy zaszyfrowanych danych. Jedna wiadomość budziła niepokój. Niedobre wieści o śledztwie w sprawie Morena, komplikacje. Dziwne, ale zamiast doprowadzić go do szału, informacja wywołała w nim ogromne zmęczenie.

Rozległo się pukanie w futrynę drzwi. Wszedł Spencer Boston i usiadł.

– Co masz na temat naszego informatora? – zapytał bez żadnych wstępów Metzger.

– Wygląda na to, że wynik badania wariografem pierwszej grupy jest negatywny. To byli ludzie, którzy parafowali albo widzieli RZS. Są jeszcze setki innych, którzy mogli się wśliznąć do jakiegoś biura i zdobyć kopię.

– Czyli cała góra kierownictwa jest czysta?

– Zgadza się. U nas i w ośrodkach.

KSWO miała trzy ośrodki dowództwa BSP: w Pendleton w Kalifornii, Fort Hood w Teksasie i

Homestead na Florydzie. Mimo że BSP wystartował z Homestead, kopia rozkazu egzekucji Morena trafiła do wszystkich.

– Nawiasem mówiąc, też zaliczyłem ten test – dodał Boston.

Metzger uśmiechnął się lekko.

– W ogóle mi to nie przyszło do głowy. – Mówił prawdę.

– Zasada obowiązuje wszystkich, i źródło informacji, i agenta.

– A Waszyngton? – spytał Metzger.

O rozkazie wiedziało co najmniej kilkanaście osób w stolicy. Łącznie z kluczowymi członkami personelu Białego Domu, rzecz jasna.

– Tu jest trudniej. Opierają się. W którym miejscu śledztwa są gliny? – zapytał Boston.

Metzger poczuł ogarniający go Dym.

– Najwyraźniej Rhyme’owi udało się jednak dostać na Bahamy. – Wskazał telefon, który do niedawna przechowywał pewne e-maile. – Cholerny piasek nie odstraszył go tak, jak się spodziewaliśmy.

– Co? – Oczy Bostona, zwykle na wpół przysłonięte opadającymi powiekami, otworzyły się szeroko.

– Wydarzył się chyba jakiś wypadek – wyjaśnił rzeczowym tonem Metzger. – Ale w niczym mu nie przeszkodził.

– Wypadek? – Boston przyjrzał mu się badawczo.

– Zgadza się, Spencer, wypadek. Ale Rhyme wrócił i ostro zabrał się do roboty. Ta kobieta też.

– Prokuratorka?

– No tak. Ona. Ale chodziło mi o detektyw Sachs. Nic nie może jej powstrzymać.

– Jezu.

Choć jego obecne plany powinny ją powstrzymać dość skutecznie.

Tak samo jak Laurel.

Obawy Bostona były tak widoczne, że rozzłościło to Metzgera.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Rhyme coś znalazł – rzekł lekceważąco. – Był na miejscu zdarzenia po tygodniu, a tamtejsza policja chyba nie grzeszy fachowością.



Nagle wróciło przykre wspomnienie sprzedawcy kawy. Metzger pomyślał, że zamiast taranować mu budkę, lepiej byłoby oblać się gorącą kawą i wezwać policję, twierdząc, że zrobił to sprzedawca, niech go aresztują.

Dym pozbawia człowieka rozsądku.

Z zamyślenia wyrwał go Boston.

– Sądziś, że powinieneś zaalarmować kogoś jeszcze?

Zaalarmować – Metzger nie lubił tego słowa. Sugerowało niepokój i lęk przed groźącym niebezpieczeństwem. Wolał słowo „uprzedzić”.

– Nie w tym momencie.

Uniósł wzrok i dostrzegł stojącą w progu Ruth.

Dlaczego, u diabła, Boston nie zamknął drzwi?

– Tak?

– Shreve, dzwoni dyrektor operacyjny.

Na konsoli telefonicznej Metzgera błyskała dioda.

Nie zauważył tego.

Odebrał.

– Słucham, Metzger.

– Panie dyrektorze, mamy al-Baraniego. – Szef operacyjny był jeszcze młodszy od Metzgera i jego głos wyraźnie to zdradzał.

Nagle Dym się rozwiął. Zniknął tak samo jak Nance Laurel, Lincoln Rhyme i prawie wszystkie inne ciemne punkty w jego życiu. Raszid był następny w kolejce RZS, zaraz po Morenie. Metzger szukał go od bardzo dawna.

– Gdzie?

– W Meksyku.

– A więc taki ma plan. Gnida znalazł się bliżej, niż sądziliśmy.

– Tak jest, spryciarz z niego. Jest tymczasowo w kryjówce kartelu Matamore w Reynosie. Czasu mamy niewiele. Przesłać szczegóły do SKN i Teksasu?

– Tak.

– Panie dyrektorze, wie pan, że Waszyngton wprowadził poprawki do RZS?

– Jakiego rodzaju? – zaniepokoił się Metzger.

– Pierwotnie rozkaz przewidywał minimalizację strat ubocznych, ale ich nie zakazywał. Ten zakazuje. Jeżeli ucierpi jakakolwiek inna osoba, nawet gdyby została ranna, zgoda będzie uchylona.

Uchylona...

Czyli gdyby ktokolwiek zginął wraz z Raszidem, nawet zastępca przywódcy Al-Kaidy, który miał za chwilę wcisnąć guzik odpalający raketę z głowicą jądrową, przekroczyć zakres swoich obowiązków służbowych.

I już po mnie.

Nie będzie miało znaczenia, że zginęła ostatnia kanalia i ocalono życie co najmniej tysiącu niewinnych ludzi.

Może to element tych „budżetowych” narad.

– Panie dyrektorze?

– Zrozumiałem.

Rozłączył się i przekazał Bostonowi wiadomość.

– Raszid? Myślałem, że ten sukinsyn do samego zamachu będzie się ukrywał w San Salvador. Zapłacił za ochronę gangowi Mara Salvatrucha alias MS-13. Miał jakieś lokum w szóstej dzielnicy, niedaleko Soyapango. Jeżeli chcesz zniknąć, to jest wymarzone miejsce.

Nikt nie znał Ameryki Środkowej lepiej niż Spencer Boston.

W komputerze pojawiła się informacja o nadejściu wiadomości. Metzger otworzył szyfrowane maile i przeczytał nowy rozkaz zadania specjalnego, odpowiednio poprawiony wyrok śmierci na Raszida al-Baraniego. Przeczytał go raz jeszcze, po czym dodał swój elektroniczny podpis i numer PIN, zatwierdzając rozkaz.

Ten człowiek tak jak Moreno wyemigrował ze Stanów Zjednoczonych, do niedawna mieszkał w Afryce Północnej i krajach rejonu Zatoki Perskiej.

Od paru lat figurował na liście osób obserwowanych, ale uznano, że nie stanowi aktywnego zagrożenia, więc była to dość luźna obserwacja. Nigdy nie dopuścił się żadnego czynu, który można mu było udowodnić, miał jednak tak samo zaciekle antyamerykańskie poglądy jak Moreno. I także widywano go w towarzystwie grup aktywnie zaangażowanych w działalność terrorystyczną.

Metzger przewijał analizę wywiadowczą dołączoną do RZS, podając Bostonowi szczegóły. Al-

Barani przebywał w niewielkim mieście Reynosa w Meksyku, na granicy z Teksasem. Tamtejsze źródła informacji wywiadu amerykańskiego, z których korzystała KSWO, twierdziły, że miał się spotkać w tym mieście z ważnym człowiekiem z największego kartelu północno-wschodniego Meksyku. Terrorysty nawiązali bliską współpracę z kartelami z dwóch powodów: po pierwsze, aby wspierać napływ narkotyków do Ameryki, co było zgodne z ich ideologią niszczenia zachodnich społeczeństw i instytucji, a po drugie, ponieważ kartele były niewiarygodnie dobrze wyposażone.

– On ma się tym zająć?

– Oczywiście. – On, Bruns, czyli Shales. Był najlepszy z całej ekipy. Metzger napisał do niego wiadomość z rozkazem, aby zameldował się w Pokoju Straceń.

Następnie odwrócił ekran komputera i razem z Bostonem zaczęli oglądać zdjęcia zrobione przez obserwatorów na ziemi oraz z satelity. Kryjówka w Reynosie znajdowała się w dość dużym zakurzonej parterowym budynku pomalowanym beżową farbą, która już wypłowiła, z jasnozieloną stolarką okienną i drzwiową. Dom stał pośrodku małej piaszczystej działki. Wszystkie okna były okratowane i zasłonięte. Samochód – jeżeli był – zapewne stał schowany w garażu.

Metzger ocenił sytuację.

– Trzeba użyć rakiety. Za mała widoczność dla KDZ.

Projekt pod nazwą „karabin dalekiego zasięgu”, polegający na zamontowaniu na dronie specjalnie zbudowanego w tym celu karabinu snajperskiego, zrodził się w głowie Metzgera. KDZ był oczkiem w głowie KSWO. Takie rozwiązanie służyło dwóm celom. Radykalnie zmniejszało ryzyko śmierci niewinnych osób, które w wypadku ataku raketowego zawsze były zagrożone. Dawało też Metzgerowi okazję zlikwidowania znacznie większej liczby wrogów; przy odpalaniu rakiety trzeba rozważyć, a po fakcie zwykle nie ma wątpliwości, kto wysłał pocisk Hellfire: armia amerykańska, CIA lub inna służba wywiadowcza. A pojedynczy strzał z karabinu? Strzelcem mógł być każdy. Wystarczy parę razy wspomnieć o zamachowcu pracującym dla przeciwnej partii politycznej, grupy terrorystycznej albo – powiedzmy – dla południowoamerykańskiego kartelu, a miejscowe władze i prasa nie będą już dalej szukać. Przecież ofiarę mógł zastrzelić nawet zazdrosny współmałżonek.

Od samego początku Metzger zdawał sobie jednak sprawę, że drony z KDZ nie zawsze będą się sprawdzać. W przypadku Raszida, gdy cel był niewidoczny, trzeba użyć rakiety z dziewięciokilogramową głowicą burzącą.

Boston patrzył w okno. Roztargnionym gestem przeczesał palcami siwe włosy i bawił się nitką wystającą z guzika przy mankiecie. Metzger zastanawiał się, dlaczego dyrektor administracyjny w biurze zawsze chodzi w marynarce.

– Co jest, Spencer?

– Czy to dobry moment na następny RZS? Po tym, co się stało z egzekucją Morena?

– Te informacje są pewne. Raszid jest winny jak wszyscy diabli. Mamy opinię z Langley, od Mosadu

i SIS.

– Chodzi mi o to, że nie wiemy, jaka część kolejki wyciekła. Może tylko rozkaz dotyczący Morena; może więcej, razem z Raszidem. Był następny na liście, pamiętasz? O jego śmierci będzie głośno w mediach. Może ta cholerna prokuratorka też będzie nas za to ścigać. Mamy grząski grunt pod nogami.

Były to oczywiste kwestie, ale Metzger odczuwał potrzebę działania i w związku z tym był wolny od Dymu.

W żadnym wypadku nie chciał tracić tego poczucia ulgi, spokoju i wolności.

– Jeżeli go nie zlikwidujemy, dobrze wiesz, co Raszid zaplanował w Teksasie albo Oklahomie.

– Moglibyśmy skontaktować się z Langley i załatwić ekstradycję.

– Porwać go? Po co? Nie chcemy od niego żadnych informacji, Spencer. Od Raszida chcemy tylko, żeby go już nie było.

– No dobrze – ustąpił Boston. – Ale co z ryzykiem strat ubocznych? Mamy odpalić hellfire na dom bez danych wizualnych?

Metzger przeglądał ocenę wywiadowczą, dopóki nie znalazł raportu z obserwacji. Zaktualizowanego przed dziesięcioma minutami. „Poza Raszidem w kryjówce nie ma nikogo. Obiekt od tygodnia jest pod stałą obserwacją DEA i meksykańskich Federales, którzy czekają na kurierów. Wcześniej nikt tam nie wchodził, dopiero dziś rano pojawił się Raszid. Według informacji wywiadu lada chwila ma się spotkać z człowiekiem z kartelu. Po jego wyjściu zrównamy dom z ziemią”.

## **ROZDZIAŁ 63**

Raszid al-Barani często oglądał się za siebie.

Dosłownie i w przenośni.

Wysoki, łysiejący czterdziestolatek ze starannie przyciętą hiszpańską bródką wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo – ze strony Mosadu, CIA i tej służby bezpieczeństwa z Nowego Jorku, KSWO. Prawdopodobnie także ze strony paru osób w Chinach.

Nie mówiąc o więcej niż kilku jego współwyznawcach. Ostro krytykował fundamentalistów islamskich za ich słabość intelektualną przejawiającą się w ślepej wierności wobec średniowiecznej filozofii, która nie przystawała do realiów dwudziestego pierwszego wieku. Publicznie potępiał też umiarkowanych wiernych za tchórzostwo, z jakim się zarzekali, że islam to właściwie prezbiterianizm, tyle że z inną świętą księgą. Oni jednak po prostu obrzucali go obelgami na blogach; nie zamierzali obłożyć go fatwą.

Pragnął nowego porządku, całkowicie odmienionej koncepcji wiary i społeczeństwa. Jeśli miał jakiś wzorzec, nie był to az-Zawahiri ani bin Laden. Raczej skrzyżowanie Karola Marksa z Tedem Kaczynskim, Unabomberem, który dziwnym trafem studiował na jego uczelni – Uniwersytecie Michigan.

Al-Barani był przekonany, że trzeba usunąć raka, a świat sam się naprawi.

Komórkami tworzącymi kolejne przerzuty były rzecz jasna Stany Zjednoczone Ameryki. Od kryzysu na rynku kredytów hipotecznych przez Irak, uwłaczającą marchewkę pomocy zagranicznej, rasistowskie diatriby chrześcijańskich kaznodziejów i polityków po kult konsumpcji, ten kraj był głównym hamulcem postępu cywilizacji. Al-Barani ukończył politologię i wyjechał stamtąd, postanawiając już nigdy nie wracać.

Tak, z powodu tych poglądów wrogowie ostrzyli sobie na niego zęby jak wygłodniałe wilki. Nawet kraje, które nie lubiły Ameryki, potrzebowały jej.

W tym momencie czuł się jednak w miarę bezpiecznie, czekając na spotkanie z sojusznikiem w wielkim parterowym domu w meksykańskim mieście Reynosa.

Oczywiście nie mógł go nazwać przyjacielem. Jego relacje ze spryciarzami z kartelu Matamoros miały charakter symbiozy, ale ich motywy diametralnie się różniły. Raszid kierował się ideologią, walcząc z amerykańskim kapitalizmem i społeczeństwem (a także poparciem dla Izraela, ale to rozumiało się samo przez się). Kartel miał w pewnym sensie zupełnie odmienny cel, pragnąc zarobić wielkie pieniądze właśnie na tym społeczeństwie. Chodziło im jednak mniej więcej o to samo. Przemycić na teren kraju jak najwięcej narkotyków. I zabić każdego, kto próbowałby ich przed tym powstrzymać.

Popijając mocną herbatę, spojrzął na zegarek. Jeden z bossów kartelu miał w ciągu godziny przysłać do Raszida swojego nadwornego konstruktora bomb. Ten człowiek miał dostarczyć wszystko, czego potrzeba do zbudowania wyjątkowo sprytnego ładunku, który za dwa dni zabije regionalną dyrektorkę DEA w Brownsville w Teksasie wraz z jej rodziną i wszystkimi osobami na pikniku, jakie znajdą się w pobliżu.

Al-Barani siedział przy stoliku pochylony nad blokiem żółtych kartek i ściskając w dłoni automatyczny ołówek, rysował schematy bomby.

Reynosa to miasto nieładne, bure i brudne, pełne podupadłych fabryczek, lecz dom był duży i całkiem sympatyczny. Kartel przeznaczył sporą kwotę na jego utrzymanie. Dom miał porządną klimatyzację, pełną lodówkę, spory zapas herbaty i wody w butelkach, wygodne meble i grube rolety we wszystkich oknach. Tak, zupełnie niezły dom.

Choć od czasu do czasu głośny.

Raszid poszedł do pokoju w głębi, zapukał, po czym otworzył drzwi. Jeden z ochroniarzy kartelu, przysadzisty ponurak o nazwisku Norzagaray, powitał go skinieniem głowy.

Na podłodze przed telewizorem siedzieli zakładnicy kartelu, małżeństwo krępych Meksykanów z dwojgiem dzieci. Ojciec i matka mieli ręce skrępowane cienkim kablem, na tyle luźno, by mogli samodzielnie pić i jeść. Nie na tyle luźno jednak, aby mogli zaatakować porywaczy.

Zdaniem Raszida powinni mocniej związać kobietę. To ona stanowiła zagrożenie; w niej było więcej wściekłości. Widział to, kiedy pocieszała córeczkę, małą dziewczynkę o ciemnych kręconych włosach. Mężczyzna i kilkunastoletni syn bardziej się bali.

Raszid dowiedział się od swoich kontaktów, że może skorzystać z domu, ale będzie go musiał dzielić z zakładnikami, których trzymano tu od ośmiu czy dziewięciu dni. W tym czasie mała firma należąca do ojca usiłowała zebrać dwa miliony dolarów okupu, którego zażądał narkotykowy baron – z powodu nieposłuszeństwa mężczyzny wobec kartelu.

– Mógłbyś trochę ściszyć? – poprosił Norzagaraya al-Barani, wskazując telewizor, gdzie pokazywano kreskówkę.

Ochroniarz spełnił prośbę.

– Dziękuję. – Raszid uważnie przyjrzał się rodzinie, której strach nie sprawiał mu żadnej przyjemności. Nie pochwalał przestępstw dla zysku. Popatrzył na nastolatka, a potem na piłkę futbolową w kącie pokoju. Była w barwach klubu América, drużyny z meksykańskiej stolicy.

– Lubisz piłkę nożną?

– Tak.

– Na jakiej pozycji grasz?

– W pomocy.

– Ja też w twoim wieku grałem na środku boiska. – Raszid się nie uśmiechał. Nigdy tego nie robił, ale mówił cichym głosem. Patrzył na nich jeszcze przez chwilę. Wiedział, że negocjacje już się kończą i jutro rodzina będzie wolna. Ucieszyła go ta wiadomość. Ci ludzie nie byli wrogami. Ojciec nie pracował w amoralnej, wyzyskującej ludzi amerykańskiej firmie. Był tylko drobnym

biznesmenem, który nadepnął na odcisk kartelowi. Al-Barani chciał ich pocieszyć, że wyjdą cało z opresji. Ale to nie była jego sprawa.

Zamknął drzwi i wrócił do schematów bomby. Analizował je przez dłuższą chwilę. Wreszcie doszedł do wniosku, że po pierwsze, nikt spośród osób, które znajdują się w pobliżu ładunku przedstawionego na rysunkach, nie będzie mógł przeżyć, a po drugie – pozwolił sobie na nieskromną myśl – schematy wyglądały równie elegancko jak terakotowe płytki zellidż, kamień węgielny sztuki marokańskiej.

## ROZDZIAŁ 64

Te same dowody, które, jak wcześniej sądziliśmy, uniewinniają Shalesa – mówił Lincoln Rhyme – bo świadczyły, że w chwili zabójstwa był w Nowym Jorku, teraz pomagają nam go oskarżyć: telefony z jego komórki do South Cove Inn z pytaniem o przyjazd Morena, metadane, które świadczą, że w momencie śmierci Morena był w centrali KSWO w Nowym Jorku. Potrzebujemy jednak czegoś więcej. Musimy znaleźć dowód na to, że siedział przy drążku sterowym drona. Przepraszam cię, nowy – BSP. Jak to można zrobić?

– Sprawdzić w kontroli ruchu lotniczego na Florydzie i na Bahamach – powiedziała Sachs.

– Dobrze.

Sachs zadzwoniła do ich łącznika z FBI, Freda Dellraya, przekazała prośbę i odbyła z nim dość długą rozmowę. Wreszcie odłożyła słuchawkę.

– Fred dzwoni do naszej administracji lotnictwa i wydziału lotnictwa cywilnego w Nassau. Ale podsunął mi inny pomysł. – Zaczęła stukać w klawisze komputera.

Rhyme nie widział wyraźnie ekranu. Wydawało mu się, że ogląda jakąś mapę.

– No... – szepnęła.

– O co chodzi? – zniecierpliwiał się Rhyme.

– Fred zasugerował, żebyśmy spróbowali się przyjrzeć samemu Pokojowi Straceń.

– Co? – burknął Sellitto. – Jak?

Widocznie przez Google.

Sachs się uśmiechnęła. Wyświetliła na ekranie satelitarne zdjęcie kwartału ulic na dolnym Manhattanie, w którym znajdowała się siedziba KSWO. Za budynkiem rozciągał się parking oddzielony od ulicy imponującym ogrodzeniem, przy którym postawiono budkę strażniczą. W rogu można było zobaczyć dużą prostokątną bryłę przypominającą kontener, jaki widzi się przyśrubowany do platformy naczepy i przewożony po autostradach ciągnikiem siodłowym. Obok wznosiła się trzymetrowa antena skierowana w górę.

– Fred mi powiedział, że to stacja kontroli naziemnej. SKN. Mówił, że większość BSP steruje się z przenośnych obiektów takich jak ten.

– Pokój Straceń – rzekł Mel Cooper.

– Doskonale – odezwała się Laurel. – Mogłabyś mi to wydrukować? – zwróciła się do Sachs.

Rhyme zauważył, jak Sachs się zjeżyła i po krótkim wahaniu kciukiem i palcem wskazującym – z kropką zaschniętej krwi za paznokciem – mocno uderzyła w klawiaturę. Drukarka ożyła.

Kiedy wypłuła dokument, Laurel szybko wyciągnęła go z tacy i dołączyła do swoich akt.

Zabrzęczał telefon Sachs.

– Jeszcze raz Fred – oznajmiła, włączając głośnik.

– Tylko nikogo nie obrażaj, Fred! – zawołał Rhyme.

– Słyszę. No, no, ale ci się dostała sprawa. Powodzenia. Hej, widzisz za oknem jakiś dziwny samolocik wiszący w powietrzu? Może trzeba opuścić rolety, co?

Rhyme uznał, że wbrew intencjom Dellraya żart nie był zabawny, zważywszy na talent Barry’ego Shalesa do strzelania kulami za milion dolarów.

– Dobra, dane z radarów. Wysłałem wam zrzuty ekranu. Z tego, co odtworzyliśmy, dziewiątego maja rano namierzono mały samolot bez transpondera lecący na wschód przez Atlantycką, na południe od Miami.

– Tam jest baza Homestead – zauważył Sellitto.

– Święta racja. Samolot wykonywał przelot bez planu lotu, zgodnie z przepisami dla lotów z widocznością. Lecił z niewielką prędkością – sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Czyli z



prędkością typową dla dronów. Wszyscy nadążamy?

– Zrozumieliśmy, Fred. Mów dalej.

– Z Miami do Nassau jest jakieś trzysta kilometrów. Dokładnie godzinę i pięćdziesiąt dwie minuty później kontrola ruchu powietrznego w Nassau namierzyła niewielki samolot bez transpondera na wysokości dwustu metrów, który wszedł w zasięg radaru. – Dellray umilkł na chwilę. – A potem się zatrzymał.

– Zatrzymał?

– Myśleli, że doszło do przeciągnięcia. Ale nie zniknął z ekranu.

– Zawisł w powietrzu – powiedział Rhyme.

– Tak przypuszczam. Domyślili się, że skoro samolot nie ma transpondera, to jest ultralekki model – jedna z tych konstrukcji własnej roboty, które potrafią się unosić w miejscu jak ptaki na przeciwnym wietrze. Nie znajdował się w kontrolowanej przestrzeni powietrznej, więc przestali się nim interesować. Było cztery po jedenastej.

– Moreno zginął o jedenastej szesnaście – powiedziała Sachs.

– A o jedenastej osiemnaście samolot zawrócił i zniknął z ekranu radaru. Dwie godziny i pięć minut później mały samolot bez transpondera wszedł w przestrzeń powietrzną Stanów Zjednoczonych i skierował się w stronę południowego Miami.

– To ten – rzekł Rhyme. – Dzięki, Fred.

– Pooowodzenia. I zapomnij, że w ogóle mnie znasz.

Trzask!

Nie był to rozstrzygający dowód, ale jak wszystkie elementy sprawy stanowił mocną cegiełkę do zbudowania winy podejrzanego.

Nance Laurel odebrała telefon. Ktoś inny mógłby kiwać głową albo jakoś inaczej zdradzać treść przekazywanych wiadomości, jednak jej upudrowana twarz przypominała maskę.

– Jest jakiś problem z inną sprawą, którą prowadzę – oznajmiła po chwili. – Muszę jechać przesłuchać zatrzymanego. Niedługo powinnam wrócić. Wolałabym zostać, ale muszę się tym zająć.

Chwyciła torebkę i wyszła.

Sachs też odebrała telefon. Słuchała, notując coś.

Rhyme odwrócił się od niej i jeszcze raz przyjrzał się tablicom.

– Chcę czegoś więcej – narzekał. – Jakiegoś dowodu, że dronem sterował Shales.

– Proście, a będzie wam dane – usłyszał głos Sachs.

Uniósł brew.

– Mamy trop informatora – wyjaśniła. – Jeżeli ktoś może poświadczyć, że dziewiątego maja w Pokoju Straceń był Barry Shales, to na pewno on.

Sachs z przyjemnością stwierdziła, że wywiadowcy kapitana Myersa, którzy przesłuchiwali klientów Java Hut obecnych w kawiarni, gdy informator przesłał rozkaz egzekucji, znaleźli kilku świadków.

Komputer wydał dźwięk i Sachs spojrzała na ekran.

– Poczta przychodząca – oznajmiła.

Otworzyła załącznik.

– Dzisiaj ludzie znacznie częściej płacą kartami kredytowymi i debetowymi niż kiedyś. Nawet jeżeli rachunek wynosi tylko kilka dolarów. To nam oczywiście pomaga. Wywiadowcy rozmawiali ze wszystkimi, którzy płacili za coś kartą jedenastego około pierwszej po południu. W większości nic nie wskórali, ale jeden z klientów zrobił zdjęcie. – Wydrukowała dołączone fotografie. Uznała, że wcale nie tak tragiczne, choć daleko im było do zdjęć w wysokiej rozdzielczości z kartoteki policyjnej. – To musi być on.

Przeczytała notatkę od funkcjonariusza:

– „Zdjęcie zrobił turysta z Ohio. Fotografował żonę, która siedziała naprzeciwko. W tle widać mężczyznę – obraz jest niewyraźny, bo obiekt szybko się odwraca i unosi rękę, żeby zasłonić twarz. Pytałem turystów, czy mają lepsze ujęcie. Nie mieli, a inni klienci i bariści nie zwrócili na niego uwagi”.

Rhyme przyjrzał się fotografii. Dwa stoliki za uśmiechniętą kobietą siedział domniemany informator. Biały. Mocno zbudowany, w niebieskim garniturze w dziwnym odcieniu, prawie granatowym. Na głowie miał czapkę bejsbolową – podejrzane, biorąc pod uwagę oficjalny strój – ale wydawało się, że ma jasne włosy. Na stole przed nim stał otwarty duży laptop.

– To on – zawyrokowała Sachs. – Ma iBooka. – Ściągnęła z sieci zdjęcia wszystkich modeli.

– Garnitur nie leży na nim dobrze – zauważył kryminalistyk. – Jest tani. Widzicie na stoliku torebki słodzika Splenda i mieszadło? Mamy potwierdzenie, że to on.

– Jak to? – zdziwił się Sellitto. – Ja też używam splendy.

– Nie chodzi o sam słodzik, tylko fakt, że jest na stole. Ludzie najczęściej słodzą kawę przy stanowisku z mlekiem i wyrzucają puste torebki razem z mieszadłami. Mają mniej bałaganu na stole. On zabiera śmieci ze sobą. Nie chce na niczym zostawić odcisków palców.

W miejscach, gdzie podaje się jedzenie, na większości przedmiotów, nawet papierowych, dobrze zachowują się ślady linii papilarnych z powodu zawartego w posiłkach tłuszczu.

– Co jeszcze o nim wiemy? – zapytał Pulaski.

– Ty mi powiedz, nowy.

– Popatrzcie na jego prawą rękę – rzekł młody policjant. – Stulona, jakby trzymał w niej tabletkę. Może boli go głowa albo plecy. Zaraz, przecież jest pudełko. Na stole z boku, widzicie?

Rzeczywiście, niebiesko-złote pudełko.

– Chyba masz rację – powiedział Rhyme. – Zwróćcie też uwagę, że pije herbatę – widzicie torebkę na serwetce? Herbatę w kawiarni? Widać, że jest jasna, może ziołowa. To nic nadzwyczajnego, ale można przypuszczać, że ma kłopoty żołądkowe. Sprawdźcie dwukolorowe pudełka leków na nadkwaśność, refluks i niestrawność.

Po chwili Cooper oznajmił:

– To może być zantac w najsilniejszej wersji. Trudno powiedzieć.

– Nie chodzi o ostateczne odpowiedzi – stwierdził spokojnie Rhyme. – Potrzebny nam tylko kierunek. Czyli prawdopodobnie ma coś z brzuchem.

– Pewnie przez stres związany z ujawnieniem tajnych dokumentów rządowych – podsunął Mel Cooper.

– Wiek? – zastanawiał się na głos Rhyme.

– Nie wiadomo – odparł młody policjant. – Jak to można określić?

– Nie proszę cię, żebyś strzelał na chybił trafił, nowy. Widzimy, że jest krępy, że ma problemy żołądkowe. Niewykluczone, że jest blondynem, ale i niewykluczone, że ma siwe włosy. Tradycyjnie się ubiera. Można przypuszczać, że jest w średnim wieku albo nawet starszy.

– Jasne. Rozumiem.

– No i postawa. Trzyma się prosto jak struna, chociaż nie jest młody. To sugeruje przeszłość

wojskową. Albo nadal służy w armii i ubrał się po cywilnemu.

Kiedy patrzyli na zdjęcie, Sachs zachodziła w głowę: po co ujawniłeś rozkaz egzekucji? Jaki w tym miałaś interes?

Osoba z sumieniem...

Jesteś patriotą czy zdrajcą?

Zastanawiała się też: I gdzie, do cholery, jesteś?

Sellitto odebrał telefon. Sachs zauważyła, że jego zaciekawiona z początku twarz spochmurniała. Zerknął na pozostałych, po czym odwrócił się.

– Co? – spytał szeptem. – Ktoś dał dupy. Nie możesz mi tego tak po prostu powiedzieć. Muszę znać szczegóły.

Wszyscy zwrócili na niego wzrok.

– Kto? Chcę wiedzieć kto! Dobra, dowiedz się i daj mi znać.

Rozłączył się i spojrzał w stronę Sachs, ale nie na nią, z czego odgadła, że to ona była przedmiotem rozmowy.

– Co jest, Lon?

– Lepiej wyjdźmy. – Wskazał korytarz.

Sachs spojrzała na Rhyme'a.

– Nie, tutaj. O co chodzi? Kto dzwonił?

Sellitto wahał się przez chwilę.

– Mów, Lon – powiedziała z naciskiem.

– W porządku. Przykro mi, Amelia. Jesteś odsunięta od sprawy.

– Co?

– Właściwie to jesteś na przymusowym urlopie. Musisz się zameldować u...

– Co się stało? – warknął Rhyme.

– Do końca nie wiem. Dzwoniła moja sekretarka. Powiedziała, że wiadomość przyszła z biura szefa detektywów. Oficjalny raport jest w drodze. Nie wiem, kto za tym stoi.

– Ale ja wiem – rzuciła ze złością Sachs. Jednym szarpnięciem otworzyła torebkę i zajrzała do

środką, sprawdzając, czy jest tam kopia dokumentu, który poprzedniego dnia wieczorem znalazła na stole Nance Laurel. Wtedy miała skrupuły.

Teraz już nie.

## ROZDZIAŁ 65

Shreve Metzger przejechał dłonią po starannie przystrzyżonych włosach, przypominając sobie pierwszy dzień po zakończeniu służby w wojsku.

Jakiś cywil na ulicy Buffalo nazwał go skinheadem. I mordercą dzieci. Facet był pijany. Pacyfista. Gnojek. Wszystko razem.

Metzgera szybko ogarnął Dym, choć wtedy jeszcze go tak nie nazywał, zresztą w ogóle tego nie nazywał. Złamał temu człowiekowi co najmniej cztery kości, zanim poczuł ulgę. Więcej niż ulgę – niemal seksualną rozkosz.

Czasami to wspomnienie wracało, tak jak w tej chwili, kiedy przypadkiem dotknął swoich włosów. Nic więcej ponad to. Przypominał sobie niewidzące, lekko zezowate oczy tamtego faceta. Krew, mocno spuchniętą szczękę.

No i ten sprzedawca kawy. Nie, wjechać mu w budę, oparzyć go, zabić, nie myśleć o konsekwencjach. Co za nieopisana satysfakcja!

Pomocy, doktorze Fischer!

Ale w tym momencie Dym nie zasnuwał mu głowy. Metzger był w wielkiej euforii. Eksperci wywiadu i obserwacji przekazywali mu informacje na temat działań Raszida al-Baraniego.

Terrorysta – następny na liście zadań specjalnych – odbywał właśnie spotkanie z dostawcą materiałów wybuchowych kartelu Matamoros. Metzger oddałby wszystko, żeby można było poprawić

RZS, uwzględniając i jego, ale ten człowiek był obywatelem Meksyku i chcąc uzyskać zgodę na ewaporowanie go, musiałby się wdać w drobiazgowy dyskusje z szuchami w Meksyku i Waszyngtonie. Z nimi należało postępować bardzo ostrożnie.

„Rozmowy budżetowe idą pełną parą. Na razie dyskusja. Decyzja jutro. Nie czuję, skąd wiatr wieje”...

Odebrał następny telefon z wiadomością o locie BSP pod dowództwem Barry’ego Shalesa siedzącego za sterami w SKN, przyczepie za oknem gabinetu Metzgera. Samolot wystartował nie z Homestead jak do zadania z Morenem, ale z obiektu KSWO niedaleko Fort Hood w Teksasie. Wszedł w przestrzeń powietrzną Meksyku z błogosławieństwem Federales, w przeciwieństwie do operacji z Morenem na Bahamach, i przy bezchmurnym niebie zmierzał w kierunku celu.

Znów zadzwonił telefon. Widząc numer na ekranie, Metzger zeszywniał i zerknął na drzwi prowadzące do sekretariatu. W wąskiej szparze między ich uchylonym skrzydłem a futryną widział dłonie Ruth. Pisała na komputerze. Słońce wpadające przez niewielkie okno odbijało się od jej skromnego pierścionka i imponujących obrączek.

Wstał, zamknął drzwi i dopiero wtedy odebrał.

– Tak?

– Znalazłem ją – zameldował męski głos.

Żadnych nazwisk ani kryptonimów.

Ją.

Nance Laurel.

– Gdzie?

– W areszcie, przesłuchuje podejrzanego. Nie w tej sprawie, w jakiejś innej. Potwierdziłem, to ona. Jest tam teraz prawie całkiem sama. Czy mam...?

Nie musiał kończyć zdania.

Metzger wahał się, rozważając za i przeciw.

– Tak.

Rozłączył się.

Być może, niewykluczone, że to wszystko się skończy.

I ponownie skupił uwagę na Meksyku, gdzie miał zginąć wróg państwa. Shreve’a Metzgera przepełniała radość.

## ROZDZIAŁ 66

Gdzie jest Nance Laurel? – spytała Sachs krągłej Afroamerykanki na piątym piętrze nowojorskiego aresztu.

Funkcjonariuszka służby więziennej zeszywniała i zerknęła z pogardą na jej odznakę. Sachs przypuszczała, że powitała ją niezbyt uprzejmie, w dodatku dość ostrym tonem. Ale to nie było zamierzone. Wszystko przez Nance Laurel.

– Pokój numer pięć. Zostawić broń. – Pracownica aresztu wróciła do lektury „People”. Magazyn pisał o skandalu, który wybuchł wśród pseudocelebrytów, a może autentycznych celebrytów. W każdym razie Sachs nigdy o tych ludziach nie słyszała.

Chciała przeprosić tę kobietę za niegrzeczność, ale właściwie nie wiedziała jak. Nagle znów poczuła złość na Laurel, wsunęła glocka do szafki i głośno zatrzaskała drzwiczki, na co z ust pani aresztu wydobył się krytyczny syk. Rozległ się brzęczyk otwierający drzwi. Sachs weszła do ponurego korytarza. W tej części więzienia przestępcy oskarżeni o poważne zbrodnie omawiali swoje sprawy z adwokatami i dyskutowali o ugodzie z prokuratorami.

W powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego, farby i moczu.

Sachs minęła kilkoro drzwi prowadzących do pustych pomieszczeń. Zajrzała przez brudną szybkę do pokoju przesłuchań numer pięć i zobaczyła mężczyznę w kajdankach, ubranego w pomarańczowy kombinezon. Siedział przy stole przyśrubowanym do podłogi naprzeciwko Laurel. W rogu pilnował ich strażnik więzienny, potężny mężczyzna, którego czaszka, wygolona niemal do gołej skóry, lśniła od potu. Z założonymi na piersi rękami przyglądał się więźniowi jak biolog badający okaz jadowitego, ale martwego insekta.

Drzwi miały zamek zatrzaskowy; aby otworzyć je od zewnątrz lub od środka, trzeba było mieć klucz, więc Sachs załomotała w drzwi otwartą dłonią.

To też pewnie było za ostre, ponieważ wszyscy w pokoju podskoczyli i obrócili się w jej stronę. Strażnik nie miał broni, ale jego dłoń natychmiast powędrowała do gazu pieprzowego u pasa. Zobaczył Sachs, widocznie poznał, że to policjantka, i się uspokoił. Więzień przyjrzał się jej badawczo, a zaskoczenie na jego twarzy ustąpiło miejsca pożądaniu.

Przestępca seksualny, domyśliła się Sachs.

Laurel mocno zacisnęła usta. Wstała. Strażnik otworzył drzwi i wypuścił ją, po czym znów je zatrzasnął i wrócił do pilnowania.

Kobiety poszły na koniec korytarza.

– Coś nowego na temat Metzgera albo Shalesa? – spytała Laurel.

– Dlaczego mnie pani pyta? Przecież ja nie odgrywam w sprawie żadnej roli.

– Detektywie, co pani opowiada?

Sachs nie zaczęła od wiadomości o zawieszeniu, którą właśnie przekazał jej Sellitto. Postanowiła przedstawić fakty chronologicznie.

– Wycięła pani moje nazwisko ze wszystkich notatek, ze wszystkich maili. Zastąpiła pani moje nazwisko swoim.

– Ależ...

– Dla wygranej w wyborach wszystko, zgadza się, pani deputowana?

Sachs podetkała jej pod nos kopię dokumentu, który wyciągnęła z tajnych akt Laurel. Była to petycja o wpisanie Laurel na listę kandydatów na urząd deputowanego z jej okręgu. Zgromadzenie było niższą izbą legislatury stanu Nowy Jork.

Prokuratorka spuściła wzrok.

– Ach...

Trafiona, zatopiona.

Ale już po chwili ze spokojem spojrzała Sachs prosto w oczy.

– Wycięłaś mnie z dokumentów, żeby sobie przypisać wszystkie zasługi – warknęła Sachs. – Po to jest ta sprawa, Nance? „Twoja” sprawa. Nie „nasza sprawa” czy po prostu „sprawa”. Zależało ci na oskarżonych, o których będzie głośno w mediach, żebyś i ty była gwiazdą. Co z tego, że NN 516 torturował niewinną kobietę. Nie jest ci potrzebny. Chcesz ustrzelić najwyższego urzędnika, jakiego się da.

Żeby to osiągnąć, kazałaś mi biegać po mieście i szukać dobrych rzeczy w życiorysie Morena. Kiedy



znalazłam coś istotnego, przywłaszczałaś to sobie, doklejając własne nazwisko.

Prokuratorka w ogóle nie wyglądała na zbitą z tropu.

– Dotarłaś do mojego wniosku o wpisanie na listę kandydatów?

– Nie, nie musiałam. Miałam to, petycję z podpisami. – Znow pokazała kserokopię.

– To jest pismo z poparciem dla kandydatury – odparła Laurel. – Trzeba jeszcze złożyć oficjalne zgłoszenie.

W głowie Sachs rozległ się dzwonek alarmowy, który włączał się zwykle, gdy dręczyła ją myśl, że być może przeoczyła coś na miejscu zdarzenia. Coś o fundamentalnym znaczeniu. Milczała.

– Nie kandyduję do zgromadzenia.

– Przecież petycja...

– Zgadza się, została złożona. Ale zmieniłam zdanie. Nie zgłosiłam swojej kandydatury w wyborach.

Znow zapadła cisza.

– Owszem, chciałam startować w prawyborach demokratów – ciągnęła Laurel – ale partia uznała, że mam zbyt dogmatyczne poglądy. Złożyłam wniosek jako kandydat niezależny, ale po jakimś czasie zrezygnowałam.

Dzwonek...

Co ciekawe, to Laurel odwróciła wzrok. Nie Sachs, ale ona wyglądała na bardziej zmieszaną. Choć zwykle trzymała się prosto jak struna, teraz się zgarbiła.

– W zeszłym roku zimą przeżyłam bardzo trudne rozstanie. Ten mężczyzna... w każdym razie myślałam, że się pobierzemy. Rozumiem, nie zawsze dobrze się układa. Ale ból nie mijał. – Zaciskała szczęki, a jej wąskie usta drżały. – To było męczące.

Sachs przypomniała sobie, co zauważyła, gdy Laurel odebrała telefon w domu Rhyme'a.

Słaba, wręcz bezbronna...

– Pomyślałam, że muszę spróbować czegoś innego. Wystartować w wyborach, poświęcić się polityce. Zawsze tego chciałam. Mam bardzo zdecydowane poglądy na temat państwa i roli rządu. W szkole średniej i w college'u byłam w samorządzie szkolnym i studenckim. To były dla mnie szczęśliwe lata i chyba chciałam do nich wrócić. Uznałam jednak, że jestem lepszą prokuratorką, niż byłabym politykiem. Tu jest moje miejsce.

Wskazała pokój przesłuchań.

– Wiesz, kto tam siedzi? Sprawca napaści na tle seksualnym. Trafił tu, bo molestował trzy gimnazjalistki. Poprzedni prokurator nie miał czasu na sprawę i zamierzał go oskarżyć o inną czynność seksualną. Wykroczenie. Nie chciało mu się zadawać sobie więcej trudu. Ale znam takich ludzi jak ten. Później zgwałci jedenastolatkę, a następnym razem zgwałci i zabije. Przejęłam sprawę i stawiam zarzut obcowania płciowego przy użyciu przemocy.

– Przepięknie kategorii B.

– Właśnie. I zamierzam doprowadzić do skazania. Mam talent do takich spraw, nie do polityki. Chcę powstrzymać gwałcicieli i ludzi takich jak Shreve Metzger, którzy chowają się pod skrzydełkiem rządu i robią, co im się żywnie podoba, mając w dupie konstytucję.

Brzydkie słowo. Była wściekła. Sachs podejrzewała, że tak wygląda prawdziwa Nance Laurel, rzadko widoczna pod zapiętym na ostatni guzik żakietem i grubą warstwą makijażu, jak gdyby nałożonego sprayem.

– Zgadza się, Amelio, wycięłam twoje nazwisko z notatek i maili. Ale tylko i wyłącznie dla twojego dobra. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będziesz chciała być wymieniana. Kto by chciał? – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, jak niebezpieczne jest to oskarżenie? Przy najdrobniejszym błędzie każdemu grozi koniec kariery. Waszyngton może się odciąć od Metzgera i Barry’ego Shalesa i zostawić ich na pastwę losu. Mogą też urządzić sobie swój własny Gettysburg i mnie zaatakować. Jeżeli to zrobią, a ja przegram w sprawie immunitetu, będzie po mnie. Federalni będą naciskać Albany, żeby się mnie pozbyli, a prokurator generalny zrobi to bez wahania. Natychmiast. To samo spotka wszystkich zaangażowanych w sprawę.

„Moją sprawę”...

– Chciałam chronić ciebie i pozostałych. W żadnej notatce nie wymieniam nazwiska Lona Sellitta. Ani Rona Pulaskiego.

– Ale ktoś z nas będzie musiał zeznawać w sądzie – zauważyła Sachs – żeby przedstawić dowody. – Nagle zrozumiała. – Lincoln.

– Jest konsultantem – odrzekła Laurel. – Nie da się go zwolnić.

– Nic z tego nie rozumiałam – powiedziała Sachs. Przeprasiła za swój wybuch.

– Nie, nie, powinnam wam wcześniej ujawnić moją strategię.

Sachs poczuła wibrowanie telefonu i spojrzała na ekran. Przyszedł SMS od Lona Sellitta.

A. Właśnie się dowiedziałem. Rozkaz zawieszenia przyszedł z centrum. Kpt. Myers. Uważa, że ukryłaś prawdę o swoim zdrowiu. Zdobył dokumentację medyczną od twojego prywatnego lekarza. Kupiłem ci jeszcze tydzień przy sprawie Morena. Ale do 28 maja musisz zrobić pełne badania.

A więc to tak. Laurel nie miała nic wspólnego z odsunięciem jej na boczny tor. Dzięki Bogu, że wcześniej nie wyrąbała jej, co myśli. Ale jak Myers zdobył jej prywatną dokumentację medyczną? Przecież nigdy nie korzystała z ubezpieczenia w departamencie. Za wizyty u ortopedy płaciła z własnej kieszeni właśnie z tego powodu – żeby nie dowiedział się o nich nikt z Centrali.

– Coś się stało? – zapytała Laurel, wskazując telefon.

– Nie, wszystko w porządku.

W tym momencie rozległ się brzęczyk na końcu korytarza. Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich trzydziestokilkuletni, wysportowany mężczyzna w ciemnym garniturze. Spojrzał zaskoczony na dwie kobiety. Potem ruszył w ich stronę, spoglądając na drzwi prowadzące do pustych pokoi.

Sachs spędziła tu sporo czasu. Znała wielu funkcjonariuszy i strażników. Detektywów oczywiście też. A tego człowieka nigdy nie widziała.

Może adwokat dewianta, którego przesłuchiwała Laurel. Ale mina prokuratorki świadczyła, że też go nie poznaje.

Sachs znów odwróciła się do Laurel.

– Mam jednak wiadomość. Przed moim wyjściem znaleźliśmy trop informatora.

– Naprawdę? – Laurel uniosła brwi.

Sachs opowiedziała o zdjęciach zrobionych przez turystów, na których znalazł się amator herbaty i słodzika cierpiący na problemy żołądkowe. O jego garniturze w dziwnym odcieniu. O prawdopodobnych związkach z wojskiem.

Laurel o coś zapytała, ale w Sachs odezwał się instynkt i przestała jej słuchać.

Mężczyzna, którego wpuszczono do skrzydła aresztu, zdecydowanym krokiem zmierzał w ich kierunku.

– Znasz tego faceta? – szepnęła Sachs.

– Nie. – Laurel zaniepokoiła się na widok napięcia malującego się na jej twarzy.

W wyobraźni Sachs rozegrał się scenariusz podyktowany przez instynkt: to nie był Barry Shales – wiedzieli, jak wygląda – ale czy to mógł być NN 516? Była bardzo ostrożna przy korzystaniu z komórek, lecz kto wie, do czego była zdolna KSWO. Niewykluczone, że NN ją namierzył – albo śledził Laurel. Może zabił strażniczkę przy wejściu i sam sobie otworzył.

Sachs przeanalizowała sytuację. Miała przy sobie sprężynowiec, ale jeżeli to naprawdę NN, jest uzbrojony. Ujrzała w pamięci straszne rany, jakie nóż pozostawił na ciele Lydii Foster. Ten człowiek mógł mieć też pistolet. Chcąc użyć sprężynowca, musiała pozwolić, żeby podszedł blisko.

Ale mężczyzna zwolnił i się zatrzymał. Zanim zdołałaby wyciągnąć nóż i zaatakować, otworzyłby ogień. Przyjrzał się uważnie obu kobietom, zwracając gładką twarz ku jednej i ku drugiej.

– Nance Laurel?

– To ja. Kim pan jest?

Nie miał żadnego powodu, aby odpowiadać na to pytanie.

Obrzucił Sachs taksującym spojrzeniem i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Sachs zacisnęła dłonie w pięści i napięła mięśnie, przygotowując się do skoku.

Zdążę złapać go za rękę, kiedy ją wysunie, wyciągnąć sprężynowiec i otworzyć?

Ugięła nogi, czując przeszywający ból. Była gotowa rzucić się na niego.

Zastanawiała się tylko, czy tak samo jak w zaułku za domem Rhyme’a kolano też odmówi jej posłuszeństwa i rozciągnie się jak długa na środku korytarza, dając mężczyźnie aż nadto czasu, żeby je obie zastrzelił albo pokroił nożem.

Zanim Sachs rzuciła się na niego, zobaczyła, że zamiast glocka czy noża ma w ręku kopertę.

Zmarszczył brwi, zauważywszy dziwną pozycję Sachs, po czym podszedł bliżej i podał kopertę Laurel.

– Kim pan jest? – powtórzyła prokuratorka.

Odpowiedzi nadal nie usłyszała. Mężczyzna rzekł:

– Poproszono mnie, żebym to pani oddał. Powinna pani wiedzieć, zanim zrobi pani następny krok.

– Zanim zrobię następny krok?

Nie dodając nic więcej, wskazał kopertę.

Laurel wyciągnęła z niej jedną kartkę. Sądząc po wolnym ruchu oczu, czytała metodycznie, słowo po słowie. Wydawało się, że zaciska zęby.

Spojrzała na mężczyznę.

– Pracuje pan w Departamencie Stanu?

Milczał, ale Sachs odniosła wrażenie, że odpowiedź jest twierdząca. O co tu chodziło?

Prokuratorka zerknęła na dokument.

– Jest autentyczny? – zapytała, przyglądając się uważnie posłańcowi Departamentu Stanu.

– Poproszono mnie, żebym doręczył zastępczyni prokuratora okręgowego Laurel dokument, którego treść mnie nie dotyczy, nie interesuje i nie jest mi znana.

Pięknie złożone zdanie, pomyślała drwiąco Sachs. Spodobałoby się Rhyme'owi.

– Shreve Metzger kazał to panu doręczyć, zgadza się? – pytała Laurel. – Sfalszował dokument? Proszę odpowiedzieć. Jest prawdziwy?

Posłaniec już się nie odezwał. Odwrócił się, jak gdyby kobiety przestały istnieć, i odszedł. Na końcu korytarza zatrzymał się i został wypuszczony.

– Co to jest? – spytała Sachs.

– Czy w raporcie uzyskanym od Freda Dellraya nie znalazła się informacja, że tuż przed zabójstwem Morena widziano go w ambasadach czy konsulatach amerykańskich albo w ich okolicach?

– Zgadza się. W Meksyku i Kostaryce. Po wyjeździe z Nowego Jorku drugiego maja.

Obawy Sachs rozwiały się jeszcze bardziej, gdy obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła zaglądającą przez drzwi okrągłą, ciemną twarz strażniczki, całej i zdrowej, zupełnie obojętnej wobec gościa. Po chwili kobieta wróciła do swojej dyżurki i swoich celebrytów.

– Jeżeli ktoś sądził, że Moreno zamierza zorganizować zamach na ambasadę, to się mylił – powiedziała Laurel z westchnieniem. – Szukał ambasady, ale po to, żeby w przyspieszonym trybie zrzec się obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Zrobił to czwartego maja w San José w Kostaryce. Zrzeczenie miało skutek natychmiastowy, ale dokumenty trafiły do bazy danych Departamentu Stanu dopiero dzisiaj rano. – Westchnęła. – W chwili śmierci Robert Moreno nie był obywatelem USA, ale Wenezueli.

– Dlatego mówił kierowcy limuzyny z Nowym Jorku, że już nie może wrócić do Ameryki – powiedziała Sachs. – Nie z powodu żadnych planów terrorystycznych. Byłby persona non grata i nie wpuszczono by go z zagranicznym paszportem.

Laurel wyjęła telefon. Jej twarz jeszcze nigdy nie wydawała się taka wymizerowana. Po co ten cały makijaż? – zastanowiła się kolejny raz Sachs. Prokuratorka wcisnęła przycisk szybkiego wybierania. Dziewiątkę? Jedynekę? Nie było widać.

Odeszła na bok, chwilę cicho rozmawiała. Wreszcie schowała komórkę i przez minutę stała odwrócona do Sachs plecami. Telefon zadzwonił. Znów kilka zdań i wróciła do Sachs.

– Mój szef właśnie rozmawiał z prokuratorem generalnym w Albany. Bez względu na to, czy Shreve Metzger i jego egzekutor przekroczyli swoje uprawnienia, nie ma powodu stawiać mu żadnych zarzutów, skoro ofiara nie jest obywatelem USA. Dostałam polecenie umorzenia sprawy. – Wbiła wzrok w podłogę. – Czyli to koniec.

– Przykro mi – powiedziała Sachs. Mówiła szczerze.

## ROZDZIAŁ 68

W chłodnym i ciemnym wnętrzu kryjówki w Reynosie w Meksyku Raszid al-Barani dokończył listę elementów bomby i podsunął ją Grubasowi.

Zaczął tak nazywać w myślach głównego eksperta kartelu od materiałów wybuchowych, gdy pół godziny wcześniej zakurzony mężczyzna o brudnych włosach wtoczył się do domu. Przewisko było pogardliwe, ale trafne – facet naprawdę był potężny. Chwilę później Raszid żałował, że tak niechętnie pomyślał o jego posturze i zwyczajach higienicznych; człowiek kartelu okazał się nie tylko chętny do współpracy, ale i wyjątkowo utalentowany. Raszid dowiedział się, że jego dziełem były niektóre z bardziej skomplikowanych ładunków wybuchowych rozmieszczonych na półkuli zachodniej w ciągu kilku ostatnich lat.

Grubas schował do kieszeni listę zakupów opracowaną wspólnie z Raszidem i powiedział po hiszpańsku, że wieczorem wróci ze wszystkimi niezbędnymi częściami i narzędziami.

Al-Barani był zadowolony, wiedząc, że jego broń skutecznie wypełni swoje zadanie – zabije regionalną dyrektorkę DEA Barbarę Summers i każdego z obecnych na kościelnym pikniku, kto znajdzie się w promieniu dziesięciu metrów od niej, może nawet dalej, w zależności od tego, ile osób będzie czekało w kolejce przy punkcie z lodami, gdzie miał się znaleźć ładunek.

Ruchem głowy wskazał pokój, gdzie przetrzymywano meksykańskich zakładników.

– Jego firma zebrała pieniądze na okup? – zapytał Grubasa.

– Tak, tak, to potwierdzona wiadomość. Rodzina już wie. Mogą wyjść dzisiaj wieczorem, kiedy ostatnia część zostanie przelana. – Uważnie przyjrzał się Raszidowi. – To przecież tylko biznes.

– Tylko biznes – powtórzył Raszid, myśląc: Nie, nie tylko.

Grubas poszedł do kuchni, gdzie otworzył lodówkę i ku zaskoczeniu al-Baraniego wyciągnął nie piwo, ale dwa kubeczki greckiego jogurtu. Przypatrując się Arabowi, otworzył obydwie, po czym plastikową łyżeczką zjadł jeden i drugi, stojąc na środku pomieszczenia. Następnie otarł usta papierowym ręcznikiem, wrzucił do śmieci opakowania i pociągnął łyk wody z butelki.

– Do zobaczenia niedługo, señor. – Podał mu rękę i wyszedł, człapiąc w butach, których obcasy miał ścięte ukośnie.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Raszid podszedł do okna i wyjrzał. Grubas wsiadł do mercedesa, który obniżył się z lewej strony. Zamruczał silnik Diesla i czarny samochód ruszył przez podjazd, zostawiając za sobą chmurę kurzu.

Al-Barani stał przy oknie dziesięć minut. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć, że ktoś go obserwuje, nie widział sąsiadów, którzy by zerkali z niepokojem na dom, mijając go. Nie zauważył żadnej opadającej gwałtownie zasłony w oknie. Psy stały spokojnie, nie słychać też było żadnego szczekania sygnalizującego obecność niewidocznych intruzów w pobliżu.

Usłyszał głosy dobiegające z pokoju w głębi. A potem cichy dźwięk, którego z początku nie rozpoznał, nierówny, o rosnącym i opadającym natężeniu i wysokości. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznał płacz dziecka. Małej dziewczynki. Dowiedziała się, że wraca do domu, ale nie cieszyła się z tego powodu. Wolą być tutaj, ze swoim pluszakiem, łóżkiem, kocem.

Pomyślał o swojej siostrze, która razem z dwiema koleżankami ze szkoły zginęła w Gazie. Siostra... niewiele starsza od tej dziewczynki. Nie zdążyła się rozplakać.

Wypił jeszcze łyk herbaty i obejrzał schematy bomby, słuchając żałobnego zawodzenia dziewczynki, które przez ścianę wydawało się jeszcze bardziej rozdzierające, jak gdyby była duchem uwięzionym na wieczność w zakurzonej grobowcu.

## ROZDZIAŁ 69

Nazwa „Pokój Straceń” przywodziła na myśl coś rodem z filmów science fiction albo centrum operacyjne z serialu *24 godziny*, ale stacja kontroli naziemnej Krajowej Służby Wywiadowczo-Operacyjnej była obskurnym pomieszczeniem przypominającym magazyn w średniej firmie ubezpieczeniowej albo agencji reklamowej. Mieściła się w przyczepie długości dwunastu i szerokości czterech i pół metra i była podzielona na dwie części. Z parkingu KSWO wchodziło się do biura. Przy ścianie piętrzyły się kartony w różnym wieku, opatrzone enigmatycznymi napisami, niektóre puste, inne pełne dokumentów, papierowych kubków albo środków czystości. Dalej było centrum łączności, w tym momencie puste. Komputery. W rogu stało brązowe krzesło i szare poobijane biurko, na którym leżały w nieładzie stare dokumenty bez klauzuli tajności, jak gdyby sekretarkę zmęczyło szukanie dla nich miejsca we właściwej szufladzie i dała sobie spokój. Na podłodze stała miotła, pudło pustych butelek po vitaminwater i zepsuta lampa. Gazety. Żarówki. Obwody drukowane. Przewody. Czasopismo „Runner’s World”.

Dekorację stanowiły mapy Karaibów, Meksyku, Kanady i Ameryki Środkowej oraz Iraku, a także kilka plakatów administracji do spraw BHP ostrzegających przed pochylaniem się i podnoszeniem dużych ciężarów, a także przed piciem zbyt małej ilości wody w upalne dni.



W pomieszczeniu panował półmrok; rzadko zapalano górne lampy. Jak gdyby niedostatek światła służył tajemnicom, sprawiając, że łatwiej ich dochować.

Często jednak nie zwracało się uwagi na kiepski stan biura, ponieważ przez grubą szklaną ścianę było widać drugą połowę przyczepy: stację sterowania BSP.

Ludzie tacy jak Barry Shales, piloci i operatorzy czujników pokładowych, zwykle nazywali stację kontroli kokpitem, co nikomu nie przeszkadzało, choć nie pochwalano określenia „dron”.

„Bezzałogowy statek powietrzny” brzmiał bardziej elegancko i oficjalnie. Ten termin z pewnością był lepszy – z punktu widzenia public relations – od nazwy, jakiej używali między sobą członkowie załóg pilotujących BSP: SZN, czyli skurwiele z nieba.

Barry Shales, ubrany w spodnie z kantem i niebieską koszulę w kratkę z krótkimi rękawami, bez krawata, siedział w wygodnym wyściełanym fotelu obitym beżową skórą, który bardziej przypominał fotel kapitana Kirka ze *Star Trek* niż siedzenie w kokpicie odrzutowca. Przed sobą miał metalowy pulpit o wymiarach metr na pół metra, najeżony dziesiątkami pokręteł, przycisków, przełączników i wskaźników. Znajdowały się też na nim dwa drążki sterowe. Na razie ich nie dotykał. Samolotem bezzałogowym N-397 sterował autopilot.

Zgodnie z procedurą na tym etapie wykonywania zadania specjalnego pełną kontrolę nad lotem miał komputer, którego rola polegała tylko na doprowadzeniu latawca w pobliże celu. Shalesowi nie przeszkadzał fakt, że w tym momencie przypadła mu funkcja drugiego pilota. Dzisiaj miał kłopoty z koncentracją. Wciąż myślał o swoim poprzednim zadaniu.

Przy którym KSWO popełniła taki błąd.

Przypomniał sobie dane o substancjach chemicznych do bomby Morena – nitrometanie, oleju napędowym, nawozie sztucznym – która miała zmienić siedzibę firmy naftowej w Miami w ziejący krater. Dane o wściekłych atakach Morena na Amerykę, nawoływaniu do zamachów na obywateli. Dane o rekonesansie, jaki przeprowadzał w ambasadach w Meksyku i Kostaryce, planując wysadzić je w powietrze, Byli tak pewni...

A tak bardzo się pomylili.

Mylili się też, zakładając, że unikną strat ubocznych. Śmierci de la Rui i ochroniarza.

Głównym punktem programu karabinu dalekiego zasięgu, który wdrożono w KSWO, była minimalizacja, a najlepiej eliminacja strat ubocznych, czego nie dałoby się osiągnąć w przypadku ataku raketowego.

I co się stało przy pierwszym wykorzystaniu tej broni w prawdziwym zadaniu?

Zginęli niewinni ludzie.

Shales poprowadził BPS nad zatoką Clifton na Bahamach, wycelował przez liście drzewa rosnącego przed hotelem, namierzył Morena za pomocą czujnika podczerwieni i radaru, dwa razy upewnił się,

że to on, wziął poprawkę na wiatr i odległość i oddał strzał dopiero wówczas, gdy cel stanął sam przy oknie.

Był przekonany, że zginie tylko Moreno.

Ale o jednym szczególe nie pomyślał ani on, ani nikt inny: szyba okienna.

Komu przyszłoby do głowy, że szkło okaże się tak śmiertcionośne?

To nie była jego wina... Ale jeśli w to wierzył, jeśli wierzył, że nie jest winien żadnemu przestępstwu, to dlaczego pół poprzedniej nocy wymiotował w toalecie?

„To tylko jakaś mała grypa, kochanie... Nie, nie, nic mi nie jest”.

I dlaczego miał coraz większe kłopoty ze snem?

Dlaczego był coraz bardziej poruszony, zamyślony, przygnębiony?

Co ciekawe, choć nie ma chyba bezpieczniejszej pod względem fizycznym formacji w wojsku niż piloci dronów, to właśnie wśród nich odnotowuje się najwięcej przypadków depresji i zespołu stresu pourazowego we wszystkich rodzajach sił bezpieczeństwa, wojskowych i cywilnych. Siadali przy konsoli wideo w Kolorado czy Nowym Jorku, zabijali kogoś oddalonego o dziesięć tysięcy kilometrów, a potem odbierali dzieci z treningu gimnastyki czy piłki nożnej, jedli kolację i siadali w swoich domach na przedmieściu, aby obejrzeć *Taniec z gwiazdami*. Taka sytuacja powodowała nieopisany mętlik w ich głowach.

Zwłaszcza gdy współtowarzyszy broni piekło pustynne słońce albo rozrywały ich na kawałki bomby domowej roboty.

No, pilocie, powiedział, jak ostatnio zaczął sobie powtarzać, skup się. Wykonujesz zadanie. Zadanie specjalne.

Sprawdził ekrany pięciu monitorów. Środkowy, który wyświetlał zielone linie, ramki i znaki, był połączeniem typowych urządzeń pokładowych samolotu: sztucznego horyzontu, prędkościomierza pokazującego prędkość rzeczywistą i względem ziemi, żyroskopowego wskaźnika kursu, radia, GPS-u, wskaźników paliwa i stanu silników. Powyżej znajdowała się tradycyjna mapa topograficzna, jak z atlasu Randa McNally'ego. U góry po lewej miał monitor z informacjami – raportem o stanie pogody, wiadomościami i innymi komunikatami.

Poniżej znajdował się ekran, który Shales mógł przełączyć z obrazu zwykłego radaru na radar z syntetyczną aperturą. Po prawej, na poziomie oczu, miał obraz w wysokiej rozdzielczości widziany przez obiektyw kamery umieszczonej na pokładzie drona. W tej chwili był dzień, choć oczywiście była też możliwość oglądania obrazu noktowizyjnego.

Ekran pokazywał przesuwaną się w dole burą pustynię.

Ale przesuwała się powoli. Drony to nie F-16.

Oddzielny metalowy panel pod monitorami służył do sterowania uzbrojeniem. Nie miał żadnych wymyślnych monitorów, był czarny, praktyczny i porysowany.

W zadaniach dronów na całym świecie, zwłaszcza w warunkach bojowych, załoga składa się z pilota i operatora czujników. Ale w KSWO sterowano BSP w pojedynkę. To był pomysł Metzgera; nikt nie wiedział dokładnie, co się za tym kryje. Niektórzy sądzili, że chodzi o to, aby ograniczyć liczbę ludzi, którzy wiedzieli o programie zadań specjalnych, i w ten sposób zminimalizować ryzyko przecieku informacji.

Shales uważał jednak, że powód jest inny: dyrektor KSWO zdawał sobie sprawę, jak niekorzystnie te zadania odbijają się na psychice pilotów, i wolał narażać na taki stres jak najmniej osób. Wiadomo było, że niektórzy pracownicy nie wytrzymali presji. A to mogło mieć dalekosiężne skutki dla nich, dla ich rodzin... i oczywiście dla samego programu.

Barry Shales spojrział na odczyty wskaźników. Wcisnął przycisk i zapaliło się kilka innych światełek.

Powiedział do mikrofonu:

- BSP trzy dziewięć siedem do Centrum Teksas.
- Mów, trzy dziewięć siedem – padła natychmiastowa odpowiedź.
- Uzbrojenie gotowe.
- Przyjąłem.

Odchylił się na krześle i uderzyła go inna myśl. Metzger mówił mu, że ktoś „bada” sprawę Morena. Zapytał go o szczegóły, ale szef z lekceważącym uśmiechem odparł, że to drobiazg. Wszystkim się już zajęli. Poleciał ludziom podjąć odpowiednie środki ostrożności. Nie ma się czym przejmować... Cóż, każdy uśmiech na twarzy Metzgera budził podejrzenia.

Shales poczuł, jak ogarnia go ten sam ślepy gniew, który, jak dobrze wiedział – jak wiedzieli wszyscy – dręczył dyrektora KSWO. Kto badał tę sprawę? Policja, Kongres, FBI?

A potem Metzger zaskoczył go, mówiąc, że on też powinien podjąć odpowiednie środki ostrożności.

– To znaczy?

– Pamiętaj, że byłoby lepiej, gdyby mniej było... hm, „dowody” to takie brutalne słowo. Ale wiesz, o co mi chodzi.

Wtedy Shales postanowił nie kasować zawartości telefonu, który zarejestrowano na nazwisko Dona Brunsa. Dane – maile oraz wiadomości tekstowe od Metzgera – były szyfrowane, ale Shales uznał, że rozsądnie będzie, jeżeli dowody nie znikną. Wydrukował też dziesiątki dokumentów i ukradkiem wyniósł z KSWO.

To było jego ubezpieczenie.

Zrodziła się w nim myśl: Może pora rzucić tę wariacką robotę? Miał trzydzieści dziewięć lat, skończył Akademię Sił Powietrznych i podyplomowo inżynierię i nauki polityczne. Mógłby pójść wszędzie.

Czy jednak rzeczywiście?

Z takim życiorysem?

Poza tym nie mógłby znieść myśli, że już nie pomaga bronić kraju.

Ale jak pomagam państwu, przypadkowo zabijając znanego dziennikarza i ochroniarza wykonującego swoje obowiązki w trakcie wykonywania wyroku na nieprzyjemnym, ale niewinnym krzykaczu? Co...

– Centrum Teksas do trzy dziewięć siedem.

Jak gdyby ktoś przestawił w nim przełącznik – Barry Shales był gotów do akcji.

– Trzy dziewięć siedem.

– Masz dziesięć minut do celu.

Centrum dowodzenia niedaleko Fort Hood znało dokładną pozycję drona.

– Zrozumiałem.

– Widzialność?

Zerknął na monitor po prawej.

– Trochę mgły, ale całkiem dobra.

– Informuję cię, trzy dziewięć siedem, obserwatorzy na ziemi meldują, że obiekt jest sam w budynku. Osoba, która przyjechała przed godziną, już wyszła.

Obiekt...

– Przyjąłem, Centrum Teksas. Przejmuję samolot – powiedział Shales, wyłączając autopilota. – Zbliżam się do przestrzeni powietrznej Lucio Blanco.

Było to lotnisko w Reynosie.

– Kontrola lotów sojusznika została powiadomiona o twoim przelocie.

– Przyjąłem. Schodzę na sześćset metrów. Opuszczam deflektory.

Deflektory redukowały poziom decybeli silnika drona do około jednej dziesiątej normalnego natężenia dźwięku. Można ich było jednak używać tylko przez krótki czas, ponieważ zwykle

powodowały przegrzanie silników i w konsekwencji utratę mocy, która mogła być niebezpieczna podczas złych warunków atmosferycznych. Ale było bezchmurnie i prawie bezwietrznie, więc samolotowi nic nie groziło.

Pięć minut później 397 znalazł się na wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów i w odległości ośmiuset metrów od domu, w którym Raszid al-Barani projektował lub może nawet konstruował bombę.

– Przechodzę w zawis.

Delikatnie poruszał drążkiem. Omiótł budynek laserem.

– Potwierdź współrzędne.

Podał długość i szerokość geograficzną, aby zostały porównane z wielkościami określającymi położenie celu w systemie KSWO – żeby się upewnić.

– Centrum Teksas do trzy dziewięć siedem, jest zgodność geodanych. Potwierdzam cel. Podaj swój PIN.

Shales wyrecytował dziesięć cyfr swojego numeru identyfikacyjnego, by centrum zweryfikowało, czy naprawdę jest osobą, za którą się podaje, i czy ma upoważnienie do wystrzelenia rakiety.

– Tożsamość potwierdzona, trzy dziewięć siedem. Zezwolenie na zrzut ładunku.

– Zrozumiałem. Trzy dziewięć siedem.

Uchylił osłonę na dźwigni uzbrojenia pocisku Hellfire i wcisnął przycisk.

Patrzył na dom na ekranie, lecz nie naciskał jeszcze guzika odpalającego raketę.

Przesuwał wzrokiem po oknach, drzwiach, kominie, pasmach kurzu na chodniku, kaktusie. Szukał jakiegoś śladu. Znaku, że nie powinien odpalać śmiertelnośnego ładunku.

– Trzy dziewięć siedem, zrozumiałeś? Zezwolenie na zrzut ładunku.

– Przyjąłem, Centrum Teksas. Trzy dziewięć siedem.

Wziął głęboki oddech.

Pomyślał: Moreno...

Po czym uniósł osłonę na przycisku wysyłającym raketę do celu i wdusił go.

Nie rozległ się żaden dźwięk, tylko obraz na ekranie lekko się zakołysał, gdy BPS wystrzelił czterdziestopięciokilogramowy pocisk. Zielona lampka potwierdziła odpalenie rakiety. Druga oznaczała uruchomienie napędu.

– Centrum Teksas, ładunek zrzucony. Trzy dziewięć siedem.

– Przyjąłem – powiedział zupełnie bezbarwnym tonem.

Nie pozostało już nic więcej do roboty poza obserwowaniem, jak budynek znika w słupie ognia i dymu. Skierował wzrok na obraz wideo.

I zobaczył, jak otwierają się drzwi z tyłu domu i na podwórko między domem a garażem wychodzą dwie osoby. Jedną z nich był al-Barani. Drugą kilkunastoletni chłopiec. Zamienili parę słów, a potem zaczęli kopać piłkę.

## **ROZDZIAŁ 70**

Barry Shales doznał szoku, jak gdyby ktoś mu wymierzył potężny cios.

Złamał paznokieć, wbijając palec w czerwony przycisk pośrodku panelu sterowania uzbrojeniem, opatrzony prostym napisem STOP.

W ten sposób wysłał sygnał rozbrajający głowicę. Ale pocisk Hellfire, wielka masa metalu i paliwa pędząca z prędkością tysiąca czterystu kilometrów na godzinę w stronę budynku z niemal idealną precyzją, mógł bez trudu zabić wszystkich w środku, nawet gdyby nie doszło do detonacji ładunku.

Shales wcisnął guzik autopilota drona i przeszedł na ręczne sterowanie rakieta, kierując nią za pomocą małego trackballa umieszczonego na panelu uzbrojenia.

W dziobie rakiety, niedaleko ładunku kumulacyjnego, znajdowała się kamera, ale przy tej prędkości i niewielkiej rozdzielczości obiektywu nie pozwalała na zbyt precyzyjne kierowanie. Chcąc nie dopuścić do tego, by śmiertelny walec trafił w dom, Shales musiał polegać tylko na radarze drona i danych z meksykańskiej kontroli naziemnej.

Zerknął na monitor po prawej – pokazujący obraz z kamery drona, która wciąż była wycelowana w

piłkarzy na podwórku. Zobaczył, że Raszid al-Barani przystanął i spojrział w niebo. Zmrużył oczy. Może coś usłyszał albo dostrzegł jakiś błysk.

Nastolatek, który miał właśnie kopnąć zakurzoną piłkę, też się zatrzymał, nieufnie patrząc na Araba.

Barry Shales zobaczył za ich plecami małą dziewczynkę, która pojawiła się w drzwiach.

– Centrum Teksas do trzy dziewięć siedem, mamy odczyt odchylenia ładunku od toru. Proszę o informacje.

Shales zignorował komunikat, skupiając się na próbach wyprowadzenia pocisku poza tereny zamieszkałe, co nie było łatwe, ponieważ hellfire mknął z dwa razy większą prędkością niż jakikolwiek odrzutowiec pasażerski. Ta część Reynosy nie była tak gęsto zaludniona jak na wschodzie, ale i tak znajdowało się tu dużo domów, budynków komercyjnych i samochodów na drogach. Radar podawał pozycję samolotów pasażerskich w pobliżu, które Shales mógł ominąć, ale system nie pokazywał, co jest na ziemi – a właśnie tam musiał zrzucić raketę. I to bardzo szybko; niebawem skończy się paliwo, a Shales straci kontrolę nad pociskiem.

– Trzy dziewięć siedem? Zrozumiałeś?

Nagle na małym ekranie ukazującym widok z kamery na dziobie obraz zanikł. Rakieta weszła w strefę zachmurzenia. Leciła na oślep.

– Jezu Chryste...

Barry Shales, który co niedzielę chodził do kościoła z żoną i synami, nigdy nie rzucał pochopnie tych słów.

– Centrum Teksas do trzy dziewięć siedem, czekam na informacje.

Informuję cię, żebyś mnie pocałował w dupę, pomyślał ze złością.

Mgła rozstąpiła się na chwilę i zobaczył, że pocisk zmierza prosto w kierunku osiedla.

Nie, nie...

Lekko poruszył trackballem, zmieniając kurs dalej na zachód.

Ekran znów zasnuła mgielka.

Zerknął na radar. Przedstawiał teren, ale nie był to obraz satelitarny, tylko tradycyjna mapa, która nie dawała żadnych odpowiedzi, co znajduje się na ziemi przed raketą.

Już tylko sekundy pozostały do chwili, gdy skończy się paliwo i pocisk spadnie na ziemię. Ale gdzie? W sypialni dziecka, w szpitalu, w pełnym ludzi biurówcu?

Zaświtał mu pewien pomysł. Na moment oderwał dłoń od kulki sterującej raketą i szybko wstukał

coś na klawiaturze komputera.

Na monitorze informacyjnym u góry po lewej otworzyło się okno Firefoxa. Było to rażące złamanie procedur. Nie wolno było uruchamiać komercyjnej przeglądarki w stacji kontroli naziemnej podczas misji drona. Ale Shalesowi nic innego nie przyszło do głowy. Błyskawicznie otworzył Mapy Google i kliknął widok satelitarny. Wyświetlił się obraz terenu wokół Reynosy – domy, roślinność, drogi, sklepy.

Spoglądając na zmianę na panel radaru i mapę, dopasowując do siebie drogi i inne punkty orientacyjne, ustalił w przybliżeniu pozycję hellfire'a.

Chryste! Rakieta znajdowała się właśnie nad następnym zabudowanym terenem mieszkalnym na północny zachód od Reynosy. Ale według Google'a dalej na zachód rozciągał się duży obszar beżowo-żółtej pustyni.

– BSP trzy sie...

Shales zerwał słuchawki z mikrofonem i rzucił na bok.

Prawa dłoń wróciła na trackball.

Delikatnie, delikatnie – bardzo łatwo było przesadzić.

Patrząc to na radar, to na Google, zobaczył, że hellfire skręca i oddala się od domów. Potem pocisk wziął kurs prosto na zachód, nad pustynię.

Nagle wysokość i prędkość zaczęły gwałtownie spadać. Skończyło się paliwo. Shales nie mógł już nic zrobić; stracił kontrolę nad rakieta. Otarł dłonie o spodnie. Patrzył w ekran z obrazem z kamery na dziobie hellfire'a. Wciąż widział tylko zachmurzenie.

Wysokościomierz pokazał 300 metrów.

200.

180...

Co zobaczy, kiedy hellfire zderzy się z ziemią? Bezludną pustkę? A może autobus z dziećmi jadącymi



na wycieczkę? Rolników patrzących w przerażeniu na coś spadającego na nich z nieba?

Po chwili mgiełka się roziała i Shales wyraźnie zobaczył cel pocisku.

Bez względu na to, jaki hałas i efekty wizualne towarzyszyły upadkowi rakiety w odległości prawie trzech tysięcy kilometrów od Pokoju Straceń KSWO, tu jedynym skutkiem była bezgłośna zmiana obrazu na monitorze: zniknął widok jałowej ziemi i zarośli, a pojawiło się czarno-białe śnieżenie jak na ekranie telewizora, kiedy burza uszkodzi kabel.

Shales odwrócił się do pulpitu sterowniczego drona, wyłączył automatycznego pilota. Spojrzał na monitor z obrazem z kamery nadal skierowanej na podwórko za domem. Wciąż były tam dzieci. Chłopiec delikatnie kopnął piłkę dziewczynce, która pędziła za nią jak terier za zwierzyną. W drzwiach stała jakaś kobieta, przyglądając się im bez cienia uśmiechu.

Jezu Chryste, powtórzył w duchu, nie próbując się nawet zastanawiać, kim byli ani jak się znaleźli w domu, który, jak zapewniał „znakomity” wywiad, zajmował tylko terrorysta.

Zmniejszył obraz kamery.

Brama garażu była otwarta. Al-Barani zniknął. To oczywiście było do przewidzenia. Terrorysta podejrzewał, co się dzieje.

Shales podniósł słuchawki i umieścił na głowie. Podłączył z powrotem wtyczkę.

– ...miałeś, trzy dziewięć siedem?

– Trzy dziewięć siedem do Centrum Teksas – warknął do mikrofonu. – Misja przerwana przez operatora. Wracam do bazy.

## **ROZDZIAŁ 71**

Masz ochotę na szkocką? – zapytał Rhyme ze środka salonu, gdzie znajdował się mikroskop porównawczy. – Chyba dobrze by ci zrobiła.

Nance Laurel uniosła wzrok znad swojego stołu w rogu pokoju, gdzie pakowała akta, i zmarszczyła brwi, aż warstwę podkładu na czole przecięła głęboka bruzda. Spodziewał się wykładu o tym, jak nieprofesjonalnym zachowaniem jest picie podczas pracy.

– Z jakiej destylarni? – spytała.

– Glenmorangie – odparł Rhyme. – Dwunasto-albo osiemnastoletnia.

– Może coś bardziej torfowego? – zastanawiała się głośno, zaskakując go jeszcze bardziej. Sachs też spojrzała na nią zdziwiona i rozbawiona.

– Nie. Spróbuj. Będzie ci smakowała.

– Dobrze. Osiemnastoletnią. Z odrobiną wody.

Rhyme chwycił butelkę i niezdarnie nalał. Laurel sama dodała sobie wody. Jego bionicznej ręce brakowało subtelności.

– Sachs? – spytał.

– Nie, dziękuję. Wezmę sobie coś innego. – Porządkowała torebki i pudła z dowodami, bo nawet w przypadku spraw, które się rozsypywały, wszystko należało skrupulatnie skatalogować i przechować.

– Thom i Mel?

Technik odrzekł, że wystarczy mu kawa.

Thom również odmówił. Ostatnio polubił manhattan z burbonem, ale wytłumaczył Rhyme'owi, że drinkami, które sporządza się według przepisu, można się raczyć tylko w weekend, kiedy praca raczej nie będzie przeszkadzać. Wyciągnął butelkę francuskiego chardonnay z lodówki, w której często przechowywano próbki krwi i tkanek. Uniósł butelkę w stronę Sachs.

– Czytasz mi w myślach – powiedziała.

Otworzył i nalał.

Rhyme pociągnął łyk aromatycznej whisky.

– Dobra, nie?

– Dobra – zgodziła się Laurel.

Rhyme jeszcze raz przeczytał list o zrzeczeniu się przez Morena obywatelstwa amerykańskiego. Był równie zły jak Laurel, że ten formalny szczegół wywrócił do góry nogami całą sprawę.

– Tak nienawidził swojego kraju, że zrezygnował z obywatelstwa? – zapytał Pulaski.

– Najwidoczniej – odparła Laurel.

– Dość tego, chłopcy i dziewczynki – upomniał ich Rhyme i pociągnął następny łyk. – Wygrali pierwszą rundę. Albo pierwszą kwartę czy jaką jeszcze życzyście sobie sportową metaforę. Ale pamiętajcie chyba, że wciąż mamy sprawcę. NN 516 odpowiedzialnego za podłożenie bomby w kawiarni i zabójstwo Lydii Foster. Sprawa podlega wydziałowi Sellitta. Lon na pewno skorzysta z naszej pomocy.

– Ale to już nie będzie moja sprawa – zauważyła Nance Laurel. – Dostałam polecenie, żeby wrócić do normalnej pracy.

– Kupa bredni! – wyrzucił z siebie Ron Pulaski, zaskakując Rhyme'a gwałtownością reakcji. – Moreno jest tym samym człowiekiem, którym był, kiedy go zastrzelili. Niewinną ofiarą. Co z tego, że nie był amerykańskim obywatelem?

– Kupa bredni, Ron – przytaknęła Laurel, choć w jej głosie było więcej rezygnacji niż złości. – Zgadzam się w stu procentach.

Dokończyła whisky i podeszła do Rhyme'a. Uścisnęła mu rękę.

– To był dla mnie zaszczyt pracować z tobą.

– Na pewno jeszcze będziemy współpracować.

Blady uśmiech. Ale jakiś głęboki smutek w jej twarzy powiedział mu, iż jest przekonana, że jej kariera prokuratorska dobiegła końca.

– Miałabyś czasem ochotę zjeść ze mną kolację? – spytała Sachs. – Mogłybyśmy obgadać rząd. I facetów – dodała na tyle głośnym szeptem, by Rhyme ją usłyszał.

– Tak, chętnie.

Wymieniły się numerami telefonów. Sachs musiała sprawdzić swój nowy numer. W ciągu ostatnich dni kupiła kilka aparatów na kartę.

Następnie prokuratorka starannie poskładała dokumenty, segregując je za pomocą spinaczy i karteczek samoprzylepnych.

– Prześlę wam kopie akt sprawy NN.

Wzięła aktówkę do jednej ręki, drugą dźwignęła torbę z papierami i obrzuciwszy pokój ostatnim spojrzeniem, nie mówiąc ani słowa, wyszła, stukając twardymi obcasami o drewno, a potem marmur w korytarzu. I już jej nie było.

## ROZDZIAŁ 72

Jacob Swann uznał z niejakim żalem, że nie może zgwałcić Nance Laurel, zanim ją zabije.

Właściwie mógłby. I nawet może miałby ochotę. Ale nie byłoby to rozsądne posunięcie. Gwałt zostawia o wiele za dużo dowodów. Minimalizacja liczby śladów samego morderstwa jest żmudnym zadaniem – należy się upewnić, że nie zostawiło się potu, łez, śliny, włosów i zrzucanych codziennie setek tysięcy komórek skóry, by nie wpadły w ręce jakiegoś nadmiernie skrupulatnego technika przeprowadzającego oględziny miejsca zbrodni.

Nie mówiąc już o odciskach palców wewnątrz lateksowych rękawiczek albo na skórze.

Potrzebne było inne rozwiązanie.

Sączył bardzo słodko-gorzka kubańską kawę w restauracji przy Henry Street na Brooklynie. Naprzeciwko stał czteropiętrowy budynek bez windy, w którym mieszkała prokuratorka. Nie było portiera. Dobrze.

Swann postanowił, że tym razem upozoruje motyw morderstwa; poza oskarżaniem patriotów, którzy likwidowali podłych zdrajców, Laurel wysłała za kratki wielu gwałcicieli. Sprawdził listę prowadzonych przez nią spraw zakończonych wyrokami skazującymi – wyjątkowo imponującą – i dowiedział się z niej, że wśród osób, które dzięki Nance Laurel trafiły do więzienia, były dziesiątki seryjnych gwałcicieli i innych przestępców seksualnych. Nietrudno przyjąć założenie, że któryś z podejrzanych po wyjściu na wolność chciał się zemścić. Albo mógł to zrobić ktoś z rodziny więźnia.

Laurel padnie ofiarą własnej przeszłości.

Owszem, dostał wiadomość z centrali, że śledztwo w sprawie śmierci Morena zostało umorzone. Ale to nie oznaczało, że sprawa już więcej nie wypłynie. Laurel była takim typem człowieka, że po zakończeniu pracy w służbie państwowej mogła zacząć pisać listy albo artykuły w prasie czy internecie o tym, co się stało, o KSWO, o programie zadań specjalnych.

Lepiej było się jej pozbyć. Zresztą Swann zdetonował bombę w Little Italy oraz zakłuł nożem tłumaczkę i kierowcę limuzyny. Laurel mogła zostać wezwana choćby po to, żeby pomóc w zbadaniu tych spraw. Musiała zginąć, a wszystkie jej akta musiały ulec zniszczeniu.

Snuł fantazje. Nie o seksie, ale o upozorowaniu gwałtu, do którego podchodził jak do przepisu kulinarnego. Planowanie, przygotowanie, realizacja. Zamierzał włamać się do mieszkania, ogłuszyć ją ciosem w głowę (nie uderzy w krtań; oczywiście nie mogło być żadnych powiązań z panią Lydią Foster), zerwać z niej ubranie, postarać się, żeby na jej piersiach i łonie powstały krwiaki od silnych uderzeń (nie od ugryzień, choć go kusilo; znów to kłopotliwe DNA). Potem chciał ją zatłuc na śmierć i spenetrować jakimś przedmiotem.

Nie miał czasu, by odwiedzać księgarnię dla dorosłych z kabinami wideo ani kina porno, żeby zebrać odrobinę czyjegoś DNA i nanieść na jej ciało. Ukradł z kubła na śmieci za pobliską kamienicą parę poplamionych i podartych majtek – sądząc po rozmiarze, należących do nastolatka. Zamierzał wepchnąć pod jej paznokcie włókna z bielizny, mając nadzieję, że chłopak onanizował się w ciągu ostatnich kilku dni. Co było dość prawdopodobne.

Tyle dowodów powinno wystarczyć.

Zanurzył język w kawie, delektując się intensywnym doznaniem w ustach; to mił, że doświadczamy różnych smaków różnymi częściami języka: osobno słony, kwaśny, słodki, gorzki. Jeszcze jeden łyk. Czasami Swann używał kawy do gotowania – raz przyrządził meksykański sos *mole* do wieprzowiny, dodając osiemdziesięcioprocentowego kakao i espresso. Kusilo go, by zgłosić danie do konkursu,

lecz uznał, że takie wyjście z cienia nie jest dobrym pomysłem.

Kiedy kolejny raz układał plan dla Nance Laurel, zauważył ją.

Ukazała się po drugiej stronie ulicy, wyszła zza rogu. Miała na sobie granatowy kostium i białą bluzkę. W małych, pulchnych dłoniach niosła staroświecką aktówkę, brązową i sfatygowaną, oraz dużą torbę na dokumenty. Ciekawe, czy jedno i drugie to prezenty od rodziców, którzy, jak dowiedział się Swann, także byli prawnikami. Oboje działali w drugorzędnej kategorii tej profesji. Matka była obrońcą z urzędu. Ojciec zajmował się prawami ubogich.

Spełniali dobre uczynki, pomagali społeczeństwu, pomyślał Swann. Tak jak ich córeczka.

Laurel szła ze wzrokiem wbitym w chodnik, z trudem dźwigając wypchaną papierami torbę. Choć jej twarz była nieprzeniknioną maską, można było na niej dostrzec ledwie widoczne oznaki depresji, tak jak włoska pietruszka w zupie tylko sugeruje swój smak, nie wychodząc na pierwszy plan. W przeciwieństwie do wyrazistej kolendry.

Przyczyną ponurego nastroju była niewątpliwie katastrofa sprawy Morena. Swann prawie jej współczuł. To oskarżenie miało być jej największą chlubą, a tak musiała wrócić do codzienności i wysyłać za kratki José, Shariqua, Billy'ego i Roya za prochy, gwałty i broń. I wysłuchiwać: „To nie ja. Żeby tak jutra nie doczekał. Nie wiem. Naprawdę nie wiem, skąd się to wzięło”...

Tyle że oczywiście nie poprowadzi już ani jednej sprawy.

Jutro będzie zimna i nieruchoma jak kawał rostbefu.

Nance Laurel znalazła klucze, otworzyła drzwi i weszła do budynku.

Swann zamierzał dać jej dziesięć do piętnastu minut. Niech straci czujność.

Podstawił sobie pod nos małą, grubą filiżankę, powąchał i jeszcze raz wsunął język do ciepłej kawy.

Co wiemy o ostatnim z naszych dziesięciu małych Murzynków? – zapytał z roztargnieniem Lincoln Rhyme. Problem z obywatelstwem Morena, który doprowadził do klęski Nance Laurel, tylko podsycił jego łowieckie żądze. – Nie obchodzi mnie, czego chce Albany, chcę dopaść naszego NN 516. Jest zbyt niebezpieczny, żeby pozostawać na wolności. Co wiemy? – Przejrzał notatki na tablicach. – No dobrze, wiemy, że był na Bahamach w momencie zamachu. Wiemy, że zabił studentkę prostytutkę Annette Bodel. Wiemy, że podłożył bombę, żeby zniszczyć ślady prowadzące do informatora. Wiemy, że zabił Lydię Foster. Wiemy, że śledził po mieście naszą Sachs. Jaki możemy z tego wyciągnąć wniosek?... Sachs!

– O co chodzi?

– Co z tym drugim kierowcą, którego zwykle brał Moreno? Udało ci się z nim skontaktować?

– Nie. Nie zadzwonił.

Tak się często zdarzało, kiedy dzwoniła policja z prośbą o kontakt.

Powodem zwykle była niechęć do mieszania się do czegośkolwiek.

Czasem w grę wchodziły inne przyczyny.

Jeszcze raz zadzwoniła do kierowcy i przecząco pokręciła głową. Po chwili wybrała inny numer – Rhyme domyślił się, że Elite Limousines. Spytała, czy w firmie mieli jakieś wiadomości od swojego pracownika. Po krótkiej rozmowie odłożyła słuchawkę.

– Odkąd wyjechał zobaczyć się z chorym krewnym, w ogóle się nie odzywał.

– Nie wierz w to. Być może mamy trzecią ofiarę naszego NN. Pulaski, dowiedz się, gdzie on mieszka. Jedź tam, weź zespół z najbliższego posterunku i sprawdź mieszkanie.

Młody policjant wyciągnął komórkę i zadzwonił do dyspozytorni.

Rhyme jeździł tam i z powrotem przed tablicami. Nie sądził, by kiedykolwiek miał podobną sprawę, w której dowody były tak skąpe i fragmentaryczne.

Strzępki informacji, okruchy, spostrzeżenia, zwroty o sto osiemdziesiąt stopni.

Nic więcej...

Cholera.

Podjechał do półki, gdzie stały butelki whisky. Wziął glenmorangie i niezdarnie nalał następnego drinka, po czym nałożył na szklaneczkę przykrywkę ze słomką i wypił łyk.

– Co ty robisz? – zapytał Thom, stając w drzwiach.

– Co robię, co robię? Dziwne zdanie. Zazwyczaj zaimek pytający „co” otwiera zdanie, w którym mówiący nie potrafi wysnuć żadnych wniosków co do obserwowanej sytuacji. – Spory łyk. – Chyba zmarnowałeś całkiem dobre zdanie, Thom. Przecież widzisz chyba, co robię.

– Już dość wypiteś.

– To z kolei zdanie oznajmujące, które ma znacznie więcej sensu. Jest zasadne. Nie zgadzam się z nim, ale nie mogę mu nic zarzucić pod względem logiki.

– Lincoln! – Thom ruszył naprzód.

Rhyme spiorunował go wzrokiem.

– Ani mi się waż...

– Chwileczkę – odezwała się Sachs.

Czyżby chciała wziąć stronę Thoma w sporze o alkohol? Nie, kiedy Rhyme odwrócił wózek, zobaczył, że ona nie patrzy na niego ani na jego opiekuna, ale na tablice. Podeszła do nich (zauważył, że nie krzywi się ani nie utyka, szła prosto i energicznie). Lekko zmrużyła oczy. To było jej spojrzenie drapieżnika. Nadawało wysokiej kobiecie groźny wygląd, a Rhyme uważał je za bardzo pociągające.

Odstawił whisky. Wzrokiem skanował tablice. Przeoczył jakieś fakty? Sachs wyciągnęła jakiś wniosek, który mu umknął?

– Widzisz coś na temat NN 516?

– Nie, Rhyme – szepnęła. – To coś innego. Coś zupełnie innego.

## **ROZDZIAŁ 74**



Nancyann Olivia Laurel siedziała na kanapie w swoim mieszkaniu w Brooklyn Heights. Brązowy pokrowiec z JCPenny przykrywał niebieską tapicerkę, wytartą na gładko wiele lat temu przez jej rodzinę i przyjaciół rodziny.

Używane rzeczy. Sporo ich tu było. Wróciło do niej pewne wspomnienie. Kiedyś zobaczyła, jak jej ojciec ukradkiem grzebie w szparach kanapy, szukając monet, które wypadły gościom z kieszeni. Miała wtedy może osiem lat i gdy nieoczekiwanie weszła do pokoju, ojciec obrócił wszystko w żart, w zabawę.

Tyle że to nie była żadna zabawa i Laurel dobrze o tym wiedziała. Nawet dzieci mogą się wstydzić rodziców.

Wciąż czując w ustach dymny smak whisky, rozejrzała się po domu. Po swoim domu. Należał tylko do niej. Ogarnął ją refleksyjny nastrój. Mimo że otaczały ją tu wytarte sprzęty z drugiej ręki – a może właśnie dlatego – mieszkanie było przytulne, nawet takiego smutnego dnia jak dziś. Zadała sobie wiele trudu, aby tak było. Ściany pokryte dziesiątkami warstw farby, jeszcze od czasów Theodore’a Roosevelta, miały kremowy odcień. Ozdoby stanowiły kompozycja ze sztucznych jedwabnych kwiatów z bazaru w Chelsea oraz jesienny wieniec z targu na Union Square. Miała też obrazy i grafiki, część oryginałów, część reprodukcji, a wszystkie współbrzmiały z jej osobowością. Konie, farmy, górskie strumienie, martwe natury. Nie miała pojęcia, dlaczego akurat te przypadły jej do gustu, ale od razu wiedziała, że coś jej się podoba i jeżeli miała gotówkę do wydania, kupowała. Draperie z alpaki w kolorowe prostokąty. Kilka lat temu zaczęła robić na drutach, ale nie mogła znaleźć czasu ani ochoty, by dokończyć szale dla siostrzenic swoich koleżanek.

Co teraz? – pomyślała.

Co teraz...

Czajnik gwizdał już od jakiegoś czasu. Przenikliwie. Dopiero teraz Laurel usłyszała. Weszła do niewielkiej kuchni i włożyła torebkę herbaty z dzikiej róży do kubka – granatowego z zewnątrz i białego w środku.

Powinna się przebrać.

Później.

Patrzyła na czajnik przez całą minutę. Wyłączyła palnik, ale nie zalała wrzątkiem herbaty. Wróciła na kanapę.

Co teraz?

Śledztwo zakończyło się w najgorszy z możliwych sposobów. Gdyby udało się jej doprowadzić do skazania Metzgera i Barry’ego Shalesa, to zupełnie by zmieniło jej świat. Zupełnie zmieniło jej życie. Nie sposób opisać znaczenia, jakiego nabrała dla niej ta sprawa. Na studiach fascynowały ją historie o największych sławach systemu prawniczego Ameryki – adwokatach, prokuratorach i sędziach. Clarence Darrow, William O. Douglas, Felix Frankfurter, Benjamin Cardozo, Earl Warren... i wielu,

wielu innych. Często myślała o Louisie D. Brandeisie.

„Konstytucja federalna to prawdopodobnie największy eksperyment człowieka”...

Nic nie mogło się równać z wymiarem sprawiedliwości i Laurel z całego serca pragnęła być częścią tej doskonałej maszyny, odcisnąć swoje piętno na amerykańskim prawie.

Chwilę największej dumy przeżyła w dniu wręczenia dyplomów. Przypomniała sobie, jak patrzyła na publiczność. Jej ojciec był sam. Matka uczestniczyła w rozprawie przed sądem apelacyjnym w Albany – najwyższą instancją odwoławczą w stanie – starając się o uchylenie wyroku za morderstwo, który wydano na bezdomnego.

Jej nieobecność na uroczystości Laurel poczytywała sobie za największy zaszczyt.

Sprawa Morena miała stanowić uzasadnienie podobnych ofiar. Zgoda, miała też pomóc jej wyrobić sobie nazwisko. Amelia miała nosa, kiedy wpadła na trop jej planów politycznych. Mimo że nazwisko Laurel nie pojawiło się na żadnej liście wyborczej, ambicje pozostały.

Nawet przegrana w procesie Metzgera przyniosłaby jej w pewnym sensie sukces. Zostałby ujawniony Pokój Straceń KSWO. Być może wystarczyłoby to do unicestwienia programu egzekucji. Spragnione sensacji media i jeszcze bardziej wygłodniaли kongresmeni rzuciliby się na KSWO jak stado sępów.

Laurel zostałaby złożona w ofierze – jej kariera musiałaby się zakończyć – ale przynajmniej miałaby satysfakcję, że zbrodnie Metzgera ujrzały światło dzienne.

A teraz, kiedy szef umorzył sprawę? Nie, z tego nie mogło wyniknąć nic dobrego.

Przypuszczała, że ich informator zniknął i nikt się nie dowie o następnych ofiarach w kolejce. Następnych po Raszidzie al-Baranim.

Co ją czekało w przyszłości? To pytanie skwitowała śmiechem. Wróciła do kuchni i wreszcie zaparzyła herbatę. Dodała dwie kostki cukru, usprawiedliwiając się kwaskowatością dzikiej róży. Tak, przyszłość: okres bezrobocia wypełniony powtórkami *Kronik Seinfelda* i obiadami złożonymi z jednej albo i dwóch mrozonek Lean Cuisine. O kieliszek za dużo wina Kendall-Jackson. Komputerowe szachy. A potem rozmowy kwalifikacyjne. I praca w którejś z dużych firm z Wall Street.

Zaczynała tracić ducha.

Pomyślała o Davidzie, co zdarzało się jej często. Właściwie ciągle.

– Nance, domagasz się ode mnie odpowiedzi? Dobra. Powiem ci. Jesteś typem belferki. Rozumiesz, co mam na myśli? Nie umiem spełnić takich oczekiwań. Chcesz, żeby wszystko było perfekcyjne, akuratne. Poprawiasz, czepiasz się drobiazgów. Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. Zmusiłaś mnie.

Zapomnij o nim.

Masz swoją pracę.

Tyle że właśnie jej nie masz.

Na regale z książkami – który wypełniała w połowie literatura prawnicza, a w połowie powieści, plus jedna książka kucharska – stało jej zdjęcie z Davidem. Oboje się uśmiechali.

Niżej leżało pudełko szachów. Drewnianych, nie plastikowych.

Wyrzucić je, powiedziała sobie.

Wyrzucę.

Nie, jeszcze nie teraz.

No dobrze, dość tego. Widziałaś, jak najbardziej zdeprawowani dewianci seksualni i mordercy użalali się nad sobą. Chyba nie zamierzasz ich naśladować? Przecież masz dużo innych spraw. Bierz się do roboty. Powinnaś...

Z korytarza dobiegł jakiś hałas.

Stuk, trzask, stłumiony łomot.

Potem cisza.

Pani Parsons upuściła na podłogę torbę z zakupami. Albo pan Lefkowitz wyprowadza swojego pudełka i próbuje sobie poradzić z laską i smyczą.

Laurel spojrzała na telewizor, potem na kuchenkę mikrofalową i na sypialnię.

Wyciągnij to cholerne streszczenie sprawy przeciwko Gonzalezowi i zacznij je redagować.

Nagle podskoczyła na dźwięk dzwonka.

Podeszła do drzwi.

– Kto tam?

– Detektyw Flaherty, policja.

Nigdy o nim nie słyszała, ale na Manhattanie pracowały tysiące funkcjonariuszy. Wyjrzała przez wizjer. Biały mężczyzna w garniturze, szczupły, trzydzieści kilka lat. Trzymał przed sobą otwartą legitymację, ale widziała tylko błysk odznaki.

– Jak pan wszedł do środka? – zapytała przez drzwi.

– Ktoś wychodził. Wcisnąłem guzik domofonu, ale nikt nie odbierał. Zamierzałem zostawić pani wiadomość, lecz pomyślałem sobie, że sprawdzę.

Czyli domofon znowu zepsuty.

– Dobrze, chwileczkę. – Zdjęła łańcuch i odkręciła zamek, otwierając szeroko drzwi.

Dopiero kiedy mężczyzna stanął na progu, Nance Laurel pomyślała, że powinna go chyba poprosić, aby wsunął legitymację pod drzwiami, żeby mogła ją dokładnie obejrzeć.

Ale czego się obawiać? Sprawa i tak skończona. Nie jestem dla nikogo zagrożeniem.

## **ROZDZIAŁ 75**

Barry Shales nie był potężnie zbudowany.

Często mówiono o nim „krępy”.

Miał siedzącą pracę, przy panelach i ekranach monitorów, z rękami na drążkach sterowych BSP i klawiaturze komputera.

Ale ćwiczył z hantlami i sztangą – bo lubił.

Uprawiał jogging – bo lubił.

Były kapitan sił powietrznych wyznawał też pogląd, całkowicie nieuzasadniony, że im bardziej lubi się ćwiczyć, tym lepiej reagują mięśnie.

Kiedy więc wpadł do gabinetu Shreve’a Metzgera, mijając zaniepokojoną Ruth, sekretarkę czujną jak pies obronny, wziął szeroki zamach i przyładował swojemu szefowi, chudy mężczyzna zachwiał się i ciężko osunął na podłogę.

Dyrektor KSWO opadł na jedno kolano, wymachując rękami i próbując złapać się biurka. Z blatu zsunęły się dokumenty.

Shales zrobił krok naprzód, znów biorąc zamach, ale się zawahał. Jeden cios wystarczył, by rozładować gniew, jaki kipiał w nim od chwili, gdy na podwórku domu na obskurnym meksykańskim przedmieściu zobaczył improwizowany mecz piłki nożnej między kilkunastoletnim chłopcem a obiektem, który kazano mu rozerwać na molekuly.

Opuścił pięść. Nie miał jednak najmniejszej ochoty pomagać Metzgerowi się podnieść. Stał z założonymi na piersi rękami i przyglądał się obojętnie, jak wstrząśnięty szef niezdarnie wstaje, przyciskając dłoń do policzka, i zbiera rozsypane papiery. Na kilku szarych segregatorach Shales dostrzegł pieczętkę informującą o poufności dokumentów. Takiej pieczętki nie znał, mimo że miał certyfikat dostępu do niebotycznie niejawnych danych.

Zauważył też, że Metzger w pierwszym odruchu nie troszczy się o własne obrażenia, ale o bezpieczeństwo tajnych dokumentów.

– Barry... Barry!

Szef spojrział za plecy Shalesa i pokręcił głową. Zszokowana Ruth stała w progu jak wryta, niczym dron w zawisie. Metzger uśmiechnął się do niej i wskazał drzwi. Po chwili wahania wyszła, zamykając je za sobą.

Uśmiech zniknął z twarzy szefa.

Shales podszedł do okna i głęboko odetchnął. Spojrział w dół na fałszywy kontener Maersk ustawiony na parkingu KSWO. Widok stacji kontroli naziemnej, z której przed kilkoma minutami omal nie zabił co najmniej trojga niewinnych cywilów, na nowo rozniecił w nim gniew.

Odwrócił się do Metzgera. Dyrektor nie skulił się ze strachu ani nie błagał o litość. Nie reagował, ani fizycznie, ani słownie, tylko znów dotknął policzka i przyjrzał się plamie czerwieni na palcach.

– Wiedziałaś? – zapytał Shales.

– O stratach ubocznych w Reynosie? Nie. – Jako szef KSWO musiał obserwować atak w czasie rzeczywistym. – Oczywiście, że nie.

– Wystrzeliłem, Shreve. Hellfire był już w powietrzu! Co o tym myślisz? Tylko dziesięć sekund dzieliło nas od zamordowania chłopca i dziewczynki, i kobiety, która pewnie była ich matką. I diabli wiedzą kogo jeszcze, kto tam był w środku.

– Widziałeś dokumentację dołączoną do RZS. Program obserwacji Raszida al-Baraniego był stuprocentowo szczelny. Dostawaliśmy raporty z DEA i federalnych w Meksyku – mieli dom na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Od tygodnia nikt tam nie wchodził ani stamtąd nie wychodził. Kto by się zaszywał na całe siedem dni, Barry? Słyszałaś o czymś takim? Ja nie. – Metzger usiadł. – Do diabła, nie jesteśmy Panem Bogiem. Robimy, co możemy. Sam narażałem tyłek. Gdyby zginął ktoś

jeszcze, to by był koniec mojej kariery. I prawdopodobnie koniec całej KSWO.

Pilot miał lekko zapadnięte policzki, które wklęśły jeszcze bardziej, gdy jego wąskie usta rozciągnął lodowaty uśmiech.

– Wariujesz, co, Shreve?

Chodziło mu o to, że Metzger jest wściekły, ale z reakcji szefa, który spojrzał na niego spod przymrużonych powiek, mogło wynikać, iż zrozumiał, że Shales podejrzewa go o utratę zmysłów.

– Wariuję?

– Jesteś zły, że nie poleciałem za samochodem Raszida. Że zostałem przy rakiemie i sprowadziłem ją na ziemię.

Chwila ciszy.

– Nie było zgody na likwidację pojazdu Raszida.

– Pieprzyć oficjalne zgody. Myślisz, że byłoby lepiej, gdyby hellfire spadł tam, dokąd leciał, a ja powinienem namierzyć samochód i wypuścić na niego drugi pocisk.

Wzrok Metzgera mówił, że tak, tego właśnie chciał.

– Barry, to brudny biznes. Zdarzają się straty uboczne, bratobójczy ogień, samobójstwa i po prostu zwykle cholerne błędy. Ludzie giną, bo wprowadzamy do programu adres West Main Street 100, a obiekt naprawdę jest na East Main Street 100.

– Ciekawe słowo na określenie człowieka, co? Obiekt.

– Daj spokój. Łatwo nabijać się z rządowego żargonu. Ale to rząd chroni nas przed takimi ludźmi jak al-Barani.

– To będzie ładnie brzmiało w przesłuchaniach przed Kongresem, Shreve. – Nagle Shales wyrzucił z siebie: – Kurwa, majstrowałeś przy dowodach do rozkazu na Morena, bo chciałeś rozwalić gnoja, który ci się nie podobał! Który twoim zdaniem miał za mało patriotycznych uczuć.

– Wcale tak nie było! – wrzasnął Metzger, pryskając śliną.

Zaskoczony wybuchem szefa Shales patrzył na niego przez chwilę. Potem sięgnął do kieszeni i cisnął na biurko smycz z identyfikatorem.

– Dzieci, Shreve. Dzisiaj o mały włos nie wysadziłem w powietrze dwojga dzieci. Mam dość. Odchodzę.

– Nie. – Metzger wychylił się do przodu. – Nie możesz odejść.

– Dlaczego?

Shales spodziewał się, że szef powoła się na zapisy w umowie, na względy bezpieczeństwa. Dyrektor odrzekł jednak:

– Bo jesteś najlepszy, Barry. Nikt nie potrafi sterować latawcem tak jak ty. Nikt nie potrafi strzelać tak jak ty. Kiedy zaplanowałem program RZS, wiedziałem, że jesteś do niego stworzony, Barry.

Shales przypomniał sobie szczerzące zęby w uśmiechu sprzedawcę samochodów, który cały czas zwracał się do niego po imieniu, bo widocznie nauczono go w szkole dla uśmiechniętych sprzedawców samochodów, że to urabia potencjalnego kupca i przełamuje jego opór.

Wyszedł z salonu bez samochodu, na którym bardzo mu zależało.

– W projekcie chodziło przede wszystkim o eliminację strat ubocznych! – krzyknął.

– Nie przeciwiczyliśmy scenariusza ze strzałem przez okna panoramiczne! A powinniśmy. Nikomu nie przyszło to do głowy. Tobie przyszło? Pomyliliśmy się. Co mam ci jeszcze powiedzieć?

Przepraszam.

– Mnie? Powinieneś chyba przeprosić żonę i dzieci Roberta Morena albo rodzinę tego dziennikarza, de la Rui, albo ochroniarza. Im przeprosiny należą się bardziej niż mnie, nie sądzisz, Shreve?

Metzger podsunął identyfikator Shalesowi.

– Przeżyłeś ciężkie chwile. Odpocznij przez jakiś czas.

Zostawiając identyfikator na biurku, Shales wyszedł z gabinetu.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałem, Ruth.

Sekretarka patrzyła na niego bez słowa.

Pięć minut później przeszedł przez bramę siedziby KSWO i alejką skierował się w stronę ulicy biegnącej z północy na południe.

Kiedy znalazł się na chodniku, nagle zrobiło mu się lekko i przepełniło go poczucie niejasnej satysfakcji.

Postanowił zadzwonić po opiekunkę do dziecka i zabrać Margaret na kolację. Powie jej, że właśnie został bez pracy. Mógłby...

Obok z piskiem opon zahamował ciemny sedan. Wskoczyli z niego dwaj mężczyźni.

Przez chwilę Shales myślał, że Shreve Metzger wezwał specjalistów – załatwił RZS, w którym jako obiekt do eliminacji wskazano Barry'ego Shalesa, stanowiącego zagrożenie dla jego ukochanego programu egzekucji.

Podchodzący do niego mężczyźni nie wyciągnęli jednak berett ani sig sauerów z tłumikiem. Owszem, w ich dłoniach błysnęło coś metalowego – ale złotego. Odznaki Departamentu Policji Nowego Jorku.

– Barry Shales? – zapytał starszy z nich.

– Ale... tak, Shales.

– Detektyw Brickard. A to detektyw Samuels. – Odznaki i legitymacje zniknęły. – Jest pan aresztowany.

Zaskoczony Shales parsknął krótkim śmiechem. Nie dostali jeszcze wiadomości, że śledztwo się zakończyło.

– Nie, to jakaś pomyłka.

– Proszę się odwrócić i wyciągnąć ręce do tyłu.

– Ale pod jakim zarzutem?

– Morderstwa.

– Nie, nie, przecież sprawa Morena... została umorzona.

Detektywi spojrzeli po sobie.

– Nic nie wiem o żadnym Morenie – rzekł Brickard. – Proszę. Ręce do tyłu. Natychmiast.

## **ROZDZIAŁ 76**

Może być ciężko sprzedać to przysięgłym – powiedział Lincoln Rhyme o teorii, na której opierała się nowa sprawa przeciwko Metzgerowi i Shalesowi.



Nie była to jego teoria, lecz Amelii Sachs. Był zachwycony hipotezą i dumny z Sachs, że ją postawiła. W głębi duszy uwielbiał, gdy ludzie – przynajmniej niektórzy ludzie – okazywali się bardziej spostrzegawczy niż on.

Sachs zerknęła na swój brzęczący telefon.

– SMS.

– Od Nance?

– Nie. – Spojrzała na Mela Coopera, który patrzył na nią pytająco, potem na Rona Pulaskiego, wreszcie na Rhyme'a. – Barry Shales jest aresztowany. Nie stawiał oporu.

Tak więc podjęli działania zgodnie z teorią, którą Sachs wysnuła z prostego wpisu na tablicy z dowodami.

*Ofiara 2: Eduardo de la Rúa.*

*Przyczyna śmierci: utrata krwi. Poraniony odłamkami szyby szerokości 3–4 mm, długości 2–3 cm.*

*Dodatkowe informacje: dziennikarz przeprowadzający wywiad z Morenem. Urodzony w Portoryko, mieszkający w Argentynie.*

*Zaginął aparat fotograficzny, dyktafon, złoty długopis, notesy.*

*Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia przed wejścia do hotelu.*

*Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: ziele angielskie i sos chili.*

Na tej podstawie doszła do genialnego w swej prostocie wniosku. Ludzie urodzeni w Portoryko są obywatelami Stanów Zjednoczonych.

Zatem Barry Shales w zamachu dziewiątego maja w South Cove Inn jednak zabił Amerykanina.

Przełożony Nance Laurel, prokurator okręgowy, wydał decyzję o umorzeniu sprawy tylko dlatego, że Moreno nie był obywatelem amerykańskim. Ale de la Rua był. Nawet nieumyślne spowodowanie śmierci w pewnych okolicznościach może uzasadniać postawienie zarzutu morderstwa.

– Możemy w każdym razie liczyć co najmniej na zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci – ciągnęła Sachs. – Shales przypadkowo zabił de la Ruę, mordując z premedytacją Morena. Oddając strzał, powinien brać pod uwagę, że może zginąć ktoś jeszcze z obecnych w pokoju.

– Niezła analiza, Amelio – odezwał się kobiecy głos. – Myślałaś kiedyś o studiach prawniczych?

Rhyme odwrócił się i zobaczył Nance Laurel, która wносиła do salonu aktówkę i torbę dokumentów. Za nią ukazał się policjant, znajomy Sachs, Bill Flaherty. Poprosili go, żeby przywiózł panią prokurator. Rhyme uznał, że będzie bezpieczniej przysłać jej eskortę. Nadal niepokoił się tym, że NN 516 jest na wolności, zwłaszcza że mieli szansę wznowić sprawę Morena.

Laurel podziękowała Flaherty'emu, który skinął głową wszystkim obecnym i wyszedł.

– No i co? – zwrócił się do prokuratorki Rhyme. – Jak myślisz? Co z naszą sprawą? Z prawnego punktu widzenia?

– Cóż... – Usiadła przy swoim stole. Znów wyciągnęła dokumenty i zaczęła je układać. – Prawdopodobnie możemy postawić Barry'emu Shalesowi zarzut zabójstwa drugiego stopnia. Mamy na to zapis w kodeksie karnym. Kto w zamiarze pozbawienia życia człowieka powoduje śmierć osoby trzeciej, jest winien zabójstwa drugiego stopnia – zacytowała z pamięci. – Lecz Amelia ma rację, nie wykluczam nieumyślnego zabójstwa. Oskarżymy go o przestępstwo mniejszej wagi, chociaż jestem pewna, że udałoby mi się utrzymać cięższy zarzut.

– Dziękuję, że wróciłaś – powiedziała Sachs.

– Nie, to ja ci dziękuję, że uratowałaś naszą sprawę.

Naszą sprawę!

– To Amelia wpadła na tę myśl – rzekł Lon Sellitto.

– Ja zupełnie tego nie skojarzyłem – przyznał Rhyme.

Sellitto dodał, że kontaktował się już z kapitanem Myersem, który – z pewną niechęcią – pozwolił sformułować nowe zarzuty. Prokurator stanowy też wstępnie wyraził zgodę.

– Teraz trzeba się zastanowić, jak się do tego zabierzemy – powiedziała Laurel. Zaskoczyła Rhyme'a, nie tylko rozpinając żakiet, ale i zdejmując. Umiała się uśmiechać, umiała pić whisky, umiała się rozluźnić. – Po pierwsze, chciałabym poznać jakieś informacje. Kim był ten dziennikarz?

Dane o nim zbierał Ron Pulaski.

– Eduardo de la Rúa, lat pięćdziesiąt sześć – powiedział. – Żonaty. Niezależny dziennikarz i bloger. Urodzony w Portoryko, amerykański paszport. Ale od dziesięciu lat mieszkał w Buenos Aires. W zeszłym roku zdobył *Premio a la Excelencia en el Periodismo*, czyli nagrodę za wybitne osiągnięcia w dziennikarstwie.

– Mówisz też po hiszpańsku, nowy? – przerwał mu Rhyme. – Nie przestajesz mnie zdumiewać. Do tego masz dobry akcent.

– *Nada*.

– Ha – odezwał się Sellitto.

– Ostatnio – ciągnął młody policjant – de la Rúa pisał w „Diario Semanal Negocio de Argentina”.

– Tygodniku Argentyny – spróbował przetłumaczyć Rhyme.

– Prawie. Ekonomicznym Tygodniku Argentyny.

– Oczywiście.

– Pisał cykl o amerykańskich przedsiębiorstwach i bankach, które zaczynają działalność w Ameryce Łacińskiej. Od miesięcy dręczył Morena prośbami o wywiad na ten temat – chciał go zapytać o alternatywny pogląd, dlaczego nie należy zachęcać firm amerykańskich do uruchamiania oddziałów w tym regionie. Wreszcie Moreno się zgodził i de la Rúa poleciał do Nassau. Wiemy, co się potem stało.

– Shales jest aresztowany – poinformowała prokuratorkę Sachs.

– To dobrze – odparła Laurel. – Jak wyglądamy z dowodami?

– Ach, z dowodami – odrzekł w zamyśleniu Rhyme. – Z dowodami. Musimy tylko udowodnić, że szybę w oknie roztrzaskał pocisk, a przyczyną śmierci dziennikarza były odłamki szkła. Jesteśmy prawie u celu. Mamy drobiny szkła na kuli i na ubraniu de la Rui. Chętnie zobaczyłbym jeden z tych kawałków, które go zraniły i doprowadziły do wykrwawienia. – Spojrzał na Laurel. – Przysięgli uwielbiają broń, prawda?

– Zgadza się, Lincoln.

– Sprawdzimy w kostnicy na Bahamach? – spytała Sachs. – Patolog ma chyba jeszcze to szkło, nie?

– Miejmy nadzieję. Ludzie mogli ukraść rolexa i okulary Oakley, ale przypuszczam, że lepkie ręce nie zagrażają stłuczonym szybom. Zadzwońię do Mychala i sprawdzę, co się da zrobić. Mógłby nam je przesłać ze złożonym pod przysięgą oświadczeniem, że odłamki zostały wyjęte z ciała i były przyczyną śmierci. Albo niech sam przyjedzie zeznawać.

– Świetny pomysł – powiedział Thom. – Mógłby u nas zostać na jakiś czas.

Rhyme z irytacją wypuścił powietrze.

– No jasne. Mamy mnóstwo czasu na życie towarzyskie. Może wezmę go na wycieczkę po Nowym Jorku. Wiecie, że nie byłem w Statui Wolności od... nigdy nie byłem. I nie zamierzam tego zmieniać.

Thom się roześmiał, czym rozdrażnił Rhyme'a jeszcze bardziej.

Kryminalistyk wyświetlił na ekranie komputera zdjęcia z sekcji zwłok i przejrzał je.

– Najlepszy byłby kawałek z żyły albo tętnicy szyjnej, albo z tętnicy udowej – mruknął. – Te musiały być śmiertelne. Zadzwoń do Mychala rano. Teraz jest za późno. Nie chcę mu przeszkadzać w drugiej pracy.

Mógłby zadzwonić teraz, ale chciał porozmawiać ze starszym posterunkowym na osobności. Rzeczywiście zastanawiał się wcześniej nad zaproszeniem Poitiera do Nowego Jorku w niedalekiej przyszłości, a to byłby dobry pretekst.

Poza tym, pomyślał z ironią, owszem, zamierzał pokazać Poitierowi miasto. Na trasie wycieczki nie będzie jednak Statuy Wolności.

## **ROZDZIAŁ 77**

Jacob Swann nie rozumiał, co się stało.

Jego plany wobec Nance Laurel pokrzyżował nieoznakowany samochód policyjny, który zatrzymał się przed jej mieszkaniem na Brooklynie – dokładnie w chwili, gdy Swann miał wstać, by udać się z wizytą do zastępczyni prokuratora okręgowego i odegrać swój scenariusz zemsty.

Detektyw w cywilu wyprowadził ją z domu bardzo szybko – było jasne, że dzieje się coś ważnego.

Coś, co miało związek ze sprawą Morena, która rzekomo już została zamknięta? Coś innego?

Jechał do domu swoim nissanem. Zagadkę wyjaśnił mu SMS z centrali. Cholera. Shreve Metzger informował go, że wznowiono sprawę, choć w innej, osobliwej postaci. Barry Shales został aresztowany za zabójstwo nie Roberta Morena, ale Eduarda de la Ruy, dziennikarza, który przeprowadzał z nim wywiad w chwili, gdy pocisk roztrzaskał okno apartamentu na milion maleńkich odłamków szkła.

Ponieważ de la Ruy był obywatelem Stanów Zjednoczonych – *Hola, Puerto Rico!* – przywrócono pani Nance Laurel funkcję prokuratora nadzorującego śledztwo.

Metzgerowi nie postawiono jeszcze zarzutów, ale niewykluczone, że wkrótce to nastąpi. Zostanie oskarżony o co najmniej jedno albo dwa przestępstwa; Shalesa aresztowano rzecz jasna po to, żeby przycisnąć go, by wydał swojego szefa.

Czy łatwo zabić kogoś w areszcie? – zastanawiał się Swann. Podejrzał, że wcale nie tak łatwo, przynajmniej bez pomocy kogoś z wewnątrz, a ta byłaby niewiarygodnie kosztowna.

Swanna poinformowano, że będą potrzebne dodatkowe działania. Miał czekać na instrukcje. Jutro zapowiadał się pracowity dzień, ale ponieważ było już późno, wątpił, czy któreś z tych poleceń będzie wymagało od niego wychodzenia w nocy z domu.

To akurat dobrze.

Mały rzeźnik był głodny i miał ochotę napić się wina. Myślał z lubością o kieliszku czy dwóch hiszpańskiego albariño i porcji *veronique* przyrządzonej poprzedniego wieczoru, która starannie opakowana czekała w lodówce. Nie było na świecie takiego szefa kuchni – nawet w restauracjach szczyjących się trzema gwiazdkami Michelina – który bez względu na to, co głosił publicznie, nie doceniałby resztek.

**19 maja, piątek**

**VI**

**Dym**

## **ROZDZIAŁ 78**

Kapitanie Shales...

– Nie służę już w wojsku. Jestem cywilem.

Był piątkowy ranek. Nance Laurel i pilot drona siedzieli w pokoju przesłuchań w areszcie. I to na tym samym piętrze, gdzie prokuratorka rozmawiała z Amelią Sachs, kiedy posłaniec Departamentu

Stanu tak skutecznie utracił sprawę zabójstwa Morena.

– Panie Shales, usłyszał pan, jakie prawa panu przysługują, zgadza się? – Laurel postawiła przed nimi dyktafon na liszajowatym stole. Ciekawe, ile inwektyw, kłamstw, usprawiedliwień i błagań o litość słyszała ta sfatygowana elektroniczna skrzynka. Za dużo, by je zliczyć.

Shales obojętnym wzrokiem spojrział na urządzenie.

– Tak.

Nie wiedziała, jak odgadnąć jego zamiary, a umiejętność odgadywania zamiarów oskarżonego była bardzo ważnym elementem jej pracy. Czy się złamie, czy będzie grać na zwłokę, czy zdradzi choć odrobinę istotnych informacji, czy będzie czekał na odpowiedni moment, żeby zacząć ją dusić?

Wszystko to zdarzało się od czasu do czasu.

– I rozumie pan, że w każdej chwili może pan przerwać tę rozmowę?

– Tak.

Nie kończył jej jednak i nie domagał się adwokata. Wyczuła, że gdzieś w głębi duszy chce jej wszystko powiedzieć, chce się przyznać – choć na razie wciąż się otaczał grubymi murami obronnymi.

Zauważyła coś jeszcze: owszem, Shales był wyszkolonym zabójcą, teoretycznie takim samym jak Jimmy Bonittollo, który wpakował kulkę w łeb Franka Carsona, ponieważ Carson wtargnął na jego terytorium, gdzie Jimmy rozprawiał alkohol. Ale w rzeczywistości istniała między nimi różnica. W przeciwieństwie do Bonittolla w niebieskich oczach Shalesa można było dostrzec cień żalu. Nie z powodu tego, że został złapany, bo nikt nigdy się z tego nie cieszył, ale żalu, ponieważ Shales rozumiał, że Robert Moreno zginął w efekcie błędu.

– Chcę wyjaśnić, dlaczego tu jestem – powiedziała cicho Laurel.

– Myślałem... że sprawa została umorzona.

– Dochodzenie w sprawie śmierci Roberta Morena nie będzie miało dalszego ciągu. Wszczęliśmy śledztwo w sprawie śmierci Eduarda de la Rui.

– Tego dziennikarza.

– Zgadza się.

Ledwo dostrzegalnie skinął głową. Milczał.

– Otrzymał pan od Shreve'a Metzgera rozkaz zabicia Roberta Morena w formie rozkazu zadania specjalnego wydanego przez Krajową Służbę Wywiadowczo-Operacyjną.

– Nie będę odpowiadał na to pytanie.

Wcale nie zadałam pytania, pomyślała. Po chwili podjęła: – Ponieważ zamierzał pan zabić Morena i zabił go pan, śmierć każdego człowieka będąca następstwem tego czynu – nawet jeśli miał pan nadzieję tego uniknąć – zostanie uznana za morderstwo.

Odwrócił głowę i wydawało się, że studiuje rysę na ścianie. Zdaniem Laurel przypominała błyskawicę.

I wtedy się zorientowała: On wygląda jak David! Miała to samo wrażenie, gdy zobaczyła asystenta Rhyme'a, Thoma. Ale spojrzenie Shalesa w tym momencie podziało jak wstrząs elektryczny: pilot z rysów i wyrazu twarzy przypominał Davida o wiele bardziej.

„Belferka”...

Słowo padło pod wpływem chwili.

Mimo to...

David, jej jedyny prawdziwy chłopak. Nigdy nie było innego.

Głęboki oddech i Laurel, już opanowana, podjęła: – Zdaje pan sobie sprawę, że Robert Moreno nie był w rzeczywistości zaangażowany w żaden spisek mający na celu zamach na budynek American Petroleum w Miami? I że substancje chemiczne, które sprowadził na Bahamy, naprawdę były przeznaczone do celów rolniczych i komercyjnych dla jego Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej?

– Na to pytanie też nie będę odpowiadał.

– Uzyskaliśmy dane o pańskich połączeniach telefonicznych, ustaliliśmy pana miejsce pobytu, mamy informacje z kontroli ruchu powietrznego o dronie, zdjęcia stacji kontroli naziemnej na parkingu KSWO...

– Nie będę... – zawiesił głos. – Nie będę odpowiadał. – Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Zupełnie jak David.

„Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. Zmusiłaś mnie”...

Instynkt podpowiadał jej, że należy się wycofać. Natychmiast.

– Chcę zacząć z panem współpracować, panie Shales – powiedziała ciszej. – Mogę mówić panu Barry?

– Chyba tak.

– Jestem Nance. Chcę coś wypracować. Uważamy, że jesteś ofiarą tej sprawy. Że nie przekazano ci



wszystkich informacji na temat Roberta Morena, które prawdopodobnie powinieneś znać, kiedy wydano rozkaz egzekucji.

Dostrzegła jakiś błysk w jego oczach.

Niech to szlag, tak samo niebieskich jak oczy Davida.

– Możliwe nawet – ciągnęła – że część tych informacji celowo zmanipulowano, żeby mocniej uzasadnić zabójstwo Morena. Co o tym sądzisz?

– Trudno analizować dane wywiadowcze. To złożona rzecz.

Ach, żadnych nazwisk, stopni, numerów seryjnych. Nie ma wątpliwości: Shales wie, że Metzger majstrował przy informacjach wywiadowczych, i to go gryzło.

– Z pewnością. Ale przypuszczalnie łatwo nimi manipulować. Czy nie tak było w tym przypadku?

– Chyba nie można tego wykluczyć. – Shales się zaczerwienił. Laurel odniosła wrażenie, że żyły na jego skroniach i szyi są bardziej widoczne niż przedtem.

Doskonale.

Strach był świetnym narzędziem perswazji.

Jeszcze lepszym była nadzieja.

– Spróbujmy coś wypracować.

Lekko uniósł ramiona. Mógł ocenić stopień oporu. Wciąż był dość wysoki.

Z Davidem grała w szachy. Lubili grać w niedzielę rano, po śniadaniu i po... po tym, co często zdarzało się po śniadaniu.

Uwielbiała tę rozrywkę. Był odrobinę lepszy od niej, co wzmagало przyjemność.

Teraz, pomyślała. To jest ten moment.

– Barry, gra idzie o wysoką stawkę. Śmierć Morena i pozostałych na Bahamach to jedno. Ale bomba w kawiarni, morderstwo Lydii Foster to...

– Co?!

– Bomba i morderstwo świadków. – Laurel wyglądała na zdumioną.

– Chwileczkę. O czym pani mówi?

Milczała przez chwilę. Potem, badawczo przyglądając się jego twarzy, odrzekła: – O człowieku, który próbuje powstrzymać dochodzenie, specjaliście, bo tak ich się chyba nazywa. Zabił jednego

świadka na Bahamach i jednego w Nowym Jorku. Zdetonował bombę, żeby zniszczyć komputer z dowodami, i omal nie zabił kilku osób, w tym detektywa nowojorskiej policji. Nie znasz tych faktów?

– Nie...

Goniec na b3. Szach.

– Ależ tak – szepnęła.

Odwrócił wzrok, szepcząc:

– Drobne kroki...

Nie wiedziała, co to znaczy.

Wiedziała jednak, że pilot nie udaje. Shales o różowych policzkach i niewiarygodnie starych, przejmująco niebieskich oczach nic nie wiedział o NN 516. Absolutnie nic. Shreve Metzger zupełnie go oszukał.

Pracuj nad tym...

– Barry, mamy niezbity dowód na to, że ten człowiek był na Bahamach w czasie ataku twojego drona. Sądziliśmy, że to twój partner.

– Nie, pracuję sam. Czasem KSWO ma swoje źródła informacji na ziemi... – Głos mu zamarł.

– Które wysyła na miejsce Shreve Metzger.

To nie było pytanie.

– Czasami.

– Czyli to przede wszystkim on manipulował dowodami. I próbował przerwać śledztwo.

– Wiecie, jak się nazywa? – spytał Shales.

– Nie, w tym momencie jego tożsamość jest nieznana.

– Proszę mi powiedzieć – szepnął Shales – kim jest ta Lydia Foster?

– Tłumaczką Morena w Nowym Jorku. Zamordował ją właśnie ten nieznany sprawca. Eliminował świadków.

– A bomba to ten wybuch gazociągu, o którym mówili w wiadomościach?

– Zgadza się, tak to przedstawiono. Ale to była eksplozja bomby. Chodziło o to, żeby zabić śledczych i zniszczyć dowody.

Pilot uciekł spojrzeniem w bok.

– I zginęły dwie osoby?

– Od ciosów nożem. Obie najpierw były torturowane.

Nie odpowiedział. Utkwił oczy w zadrapaniu na stole wielkości dziesięciocentówki.

– Barry, dwa dni przed zabójstwem Morena dzwoniłeś do South Cove Inn. Ze swojego służbowego telefonu zarejestrowanego na Dona Brunsa.

Jeśli nawet się zdziwił, nie dał tego po sobie poznać.

– Wiem, po co dzwoniłeś – powiedziała cicho Laurel. – Nie zamierzałeś potwierdzać rezerwacji Morena. Źródła informacji CIA albo KSWO mogłyby same zweryfikować, czy tam na pewno będzie. Chciałeś się upewnić, czy będzie sam. Czy nie przyjedzie z żoną i dziećmi. Chciałeś być pewien. Żeby nie było strat ubocznych.

Pilotowi lekko zadrżała warga. Odwrócił wzrok.

Laurel szepnęła:

– To mi mówi, że od początku miałeś wątpliwości co do tego zadania. Nie chciałeś, żeby skończyło się tak, jak się skończyło. – Patrząc mu w oczy, dodała szeptem: – Współpracuj z nami, Barry.

David mówił jej kiedyś, że w trakcie partii szachów nadchodzi chwila niepokojącej pewności. Nagle rozumiesz, że strategia, którą realizowałeś z pełnym przekonaniem o jej słuszności, okazuje się całkowicie zła, a przeciwnik prowadził grę zupełnie inaczej – błyskotliwie i z polotem, przewyższając cię przenikliwością. Przegrana może nie nastąpi w następnym ruchu czy dziesięciu ruchach, ale jest nieunikniona.

„Zobaczy to w twoich oczach – tłumaczył David. – Coś się zmienia. Wiesz, że przegrasz, i twój wzrok mówi przeciwnikowi, że to rozumiesz”.

Właśnie to dostrzegła u Barry’ego Shalesa.

Zrozumiała, że on się złamie. Wyda mi Shreve’a Metzgera! Mordercę, który wykorzystuje państwowy wywiad, żeby zabijać, kogo mu się żywnie podoba.

Szach i mat...

Shales oddychał szybko.

– Dobrze. Proszę... proszę mi powiedzieć, na czym to by miało polegać?

– Możemy...

Rozległo się łomotanie do drzwi.

Laurel podskoczyła.

Przy okienku stał mężczyzna w dopasowanym garniturze, spoglądając obojętnie to na nią, to na Shalesa.

Nie, nie, nie...

Znała tego człowieka. Był jednym z najbardziej nieustępliwych – i bezwzględnych – adwokatów w mieście. Czyli jednym z najlepszych. Występował jednak przede wszystkim w sądzie federalnym w Nowym Jorku w imieniu spółek stowarzyszonych z siedzibą w Waszyngtonie. Ciekawe, że się tu pojawił zamiast obrońcy, który potrafił sobie radzić w brutalnym świecie stanowych sądów pierwszej instancji w Nowym Jorku.

Strażnik otworzył drzwi.

– Dzień dobry, pani Laurel – powiedział uprzejmie prawnik.

Znała go dzięki jego renomie. Ale skąd on ją znał?

Coś tu nie grało.

– Kim...? – zaczął Shales.

– Jestem Artie Rothstein. Zaangażowano mnie, żebym pana bronił.

– Shreve pana zaangażował.

– Nic więcej nie mów, Barry. Zostałeś poinformowany, że masz prawo do adwokata i nie musisz niczego mówić?

– Zosta... tak, ale chcę...

– Nie, nie chcesz, Barry. W tym momencie nie chcesz nic robić.

– Ale właśnie się dowiedziałem, że Shreve...

– Barry – powiedział Rothstein cicho. – Radzę ci milczeć. To bardzo ważne. – Odczekał chwilę, po czym dodał: – Chcemy zapewnić jak najlepszą opiekę prawną tobie i twojej rodzinie.

– Mojej rodzinie?!

Cholera. A więc tak gra.

– Sprawa nie dotyczy twojej rodziny, Barry – oświadczyła stanowczym tonem Laurel. – Twoi najbliżsi w ogóle nas nie interesują.

Rothstein zwrócił w jej stronę swoją okrągłą, pobrużdżoną twarz, na której malowało się zdumienie.

– Przecież ledwie musnęliśmy sprawę, Nance. – Spojrzał na Shalesa. – Nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku pójdzie oskarżenie. Mam teorię, że należy brać pod uwagę każdą ewentualność. I postaram się, aby nie pozostawić bez pomocy ciebie i żadnej innej osoby zamieszanej w tę sprawę... – w jego głosie zabrzmiał ton oburzenia – ...sprawę opartą na całkowicie błędnych założeniach. No, Barry?

Pilotowi zadrżała szczeka. Szybko spojrzał na Nance, a potem spuścił wzrok i skinął głową.

– Przesłuchanie zakończone – oznajmił Rothstein.

## ROZDZIAŁ 79

Dom Rhyme'a wypełnił poranny blask słońca.

Okna wychodziły na wschód i do salonu wpadały migoczące pasma światła przesączającego się przez gęste liście.

Zebrał się tu zespół: Cooper, Sellitto, Pulaski. Sachs również. I Nance Laurel, która właśnie wróciła z aresztu z przykrą wiadomością, że Shales miał się przyznać i wydać Metzgera, gdy zjawił się adwokat wynajęty przez KSWO albo kogoś z Waszyngtonu, zastraszył go i skłonił do milczenia.

Powiedziała jednak:

– Mimo to uda mi się postawić zarzuty. Tym razem nic mnie nie powstrzyma.

Kiedy Rhyme zerknął na swój telefon, właśnie w tym momencie aparat zadzwonił. Kryminalistyk ucieszył się, patrząc na wyświetlacz. Odebrał.

– Jak się pan miewa, Poitier?

– Dobrze, kapitanie. Dziękuję. Miło mi było odebrać wiadomość od pana dziś rano. Tęsknimy za chaosem, który pan tu wywołał. Musi pan koniecznie wrócić. Niech pan przyjedzie na wakacje. I dziękuję za zaproszenie. Na pewno przyjadę do Nowego Jorku, ale dopiero kiedy będę miał urlop. Niestety, nie zdobyłem dla pana żadnych dowodów. W kostnicy nic nie udało się znaleźć. Nie mam nic, co mógłbym doręczyć panu osobiście.

– Nie ma kawałków szkła ze zwłok de la Rui?

– Nie. Rozmawiałem z lekarzem, który przeprowadzał sekcję. Ani w ciele de la Rui, ani ochroniarza nie było żadnych szklanych odłamków, kiedy ich przywieziono. Widocznie zostały usunięte przez ratowników, którzy usiłowali ocalić im życie.

Ale Rhyme pamiętał zdjęcia z apartamentu 1200. Ofiary miały liczne rany, plamy krwi były naprawdę wielkie. Musiało zostać trochę odłamków. Podjechał bliżej tablic i przyjrzał się zdjęciom z sekcji zwłok, niedbałym cięciom, sklepieniom czaszki umieszczonym na miejscu po odpiłowaniu, cięciom w kształcie litery Y na klatkach piersiowych i brzuchach.

Coś tu było nie tak.

Odwrócił się i krzyknął, nie zwracając się do nikogo konkretnego: – Protokół z sekcji! Chcę natychmiast zobaczyć protokół z sekcji zwłok de la Rui! – Nie potrafił jednocześnie rozmawiać przez telefon i obsługiwać komputera.

Mel Cooper spełnił jego żądanie i po chwili monitor obok Rhyme'a wyświetlił zeskanowany dokument.

*Na zwłokach ofiary stwierdzono obecność około 35 ran ciętych w wielu miejscach klatki piersiowej, brzucha, ramion, twarzy i ud, przede wszystkim z przodu, przypuszczalnie spowodowanych przez odłamki szyby z okna na miejscu zdarzenia, którą strzaskał pocisk. Rany różniły się rozmiarem, ale większość miała około 3–4 mm szerokości i 2 do 3 cm długości. Sześć wyżej wymienionych ran powstało w szyjnych naczyniach krwionośnych oraz tętnicy udowej, co wywołało obfity krwotok.*

Rhyme słyszał oddech w słuchawce. Po chwili: – Kapitanie Rhyme, czy coś się stało?

– Muszę kończyć.

– Czy mam zrobić coś jeszcze?

Rhyme nie odrywał oczu od Nance Laurel, która patrzyła na niego pytająco.

– Nie, dziękuję, Poitier. Zadzwonię do pana później.

Rozłączył się i podjechał bliżej monitora, przyglądając się dokładniej. Potem znów zbliżył się do tablic.

– Co jest, Rhyme? – spytała Sachs.

Westchnął. Kiedy się do nich odwrócił, spojrzał na Laurel.

– Przepraszam. Pomyliłem się.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Linc? – zapytał Sellitto.

– De la Rua nie był przypadkową ofiarą. Był celem zamachu.

– Lincoln, przecież wiemy, że Shales zamierzał zastrzelić Morena – zauważyła Laurel. – De la Rua zginął od odłamków szkła rozbitego przez pocisk wystrzelony przez Shalesa.

– A właśnie że nie – odparł cicho Rhyme.

## **ROZDZIAŁ 80**

*BSP osiem dziewięć dwa do Centrum Floryda. Cel zidentyfikowany i namierzony. Podczerven i SAR.*

*– Przyjąłem, osiem dziewięć dwa... Zgoda na użycie KDZ.*

*– Zrozumiałem. Osiem dziewięć dwa.*

Sześć sekund później nie było już Roberta Morena.

Barry Shales siedział w celi sam, zgarbiony. Ławka była twarda, w dusznym pomieszczeniu unosiła się kwaśna woń potu.

Wracał pamięcią do zadania likwidacji Morena, myśląc w szczególności o bezcielesnych głosach z Centrum Floryda. Ludzi, których nigdy nie poznał.

Tak jak nigdy nie widział BSP, którym leciał na tę misję, nigdy nie dotknął jego kadłuba tak jak F-16. Nigdy nie widział na własne oczy żadnego BSP.

Zdalne sterowanie.

Żołnierz i broń.

Żołnierz i cel.

Zdalne sterowanie.

Zdalne.

*– W pokoju są chyba dwie, nie, trzy osoby.*

*– Możesz zidentyfikować Morena?*

*– Nie... razi mnie światło. Już lepiej. Tak. Mogę zidentyfikować obiekt. Widzę go.*

Myśli Shalesa wirowały jak samolot, który wpadł w korkociąg. Straszna wiadomość, że zabił trzy niewinne osoby, potem aresztowanie i zarzut morderstwa. A potem informacja, że Shreve Metzger sprowadził specjalistę, aby posprzątał po operacji, zabijając świadków, podkładając bombę.

Wszystko to razem uświadamiało mu, że to, co robił dla KSWO, było z gruntu złe.

Barry Shales wykonywał loty bojowe w Iraku. Zrzucał bomby, strzelał raketami i miał parę potwierdzonych trafień podczas wspierania operacji lądowych. Kiedy bierzesz udział w prawdziwych działaniach bojowych, nawet jeżeli większe szanse są po twojej stronie, jak w większości amerykańskich operacji wojskowych, zawsze istnieje ryzyko, że ktoś może cię zestrzelić – stingerem, ogniem kałasznikowa. Wystarczyłby jeden pocisk z kurdyjskiego moździerza.

To jest walka. Na tym polega wojna.



I to jest uczciwe. Bo wiesz, kim są nieprzyjaciele. Łatwo ich zidentyfikować. To ci wkurwieni, którzy chcą cię zabić.

Zupełnie inaczej było jednak w Pokoju Straceń, tysiące kilometrów od wroga, w grubym kokonie danych wywiadowczych, które mogły być mniej lub bardziej dokładne (albo zmanipulowane). Skąd się dowiedzieć, że rzekomy wróg to naprawdę wróg? Jak to w ogóle można wiedzieć?

A potem wracasz do domu, odległego o czterdzieści minut drogi, i otaczasz się ludźmi, być może tak samo niewinnymi jak ci, których zabiłeś w ciągu jednej dziesiątej sekundy.

„Aha, kochanie, wstąp gdzieś po nyquil dla dzieci. Sammy ma katar. Zapomniałam kupić”.

Shales zamknął oczy, kołysząc się na ławce.

Wiedział, że ze Shreve'em Metzgerem jest coś nie tak – wybuchowość, chwile, gdy tracił panowanie nad sobą, raporty wywiadowcze, które uznawał za niewłaściwe, kazania o świętości Ameryki. Kiedy zaczynał jakąś proamerykańską tyradę, do złudzenia przypominał Roberta Morena, tylko o skrajnie odmiennych poglądach.

Ale nikt nie posłał dyrektorowi KSWO pocisku .420.

Jeszcze zaangażowanie specjalisty do sprzątnięcia, podłożenia bomby, zabijania świadków.

Torturowania...

Nagle, siedząc w ponurym pomieszczeniu zalatującym moczem i środkiem dezynfekcyjnym, Barry Shales uświadomił sobie, że przytłacza go poczucie winy. Duchy mężczyzn i kobiet z osławionej kolejki, ludzi, których zabił, płynęły ku niemu, żeby wciągnąć go w ciemną jak atrament toń krwi. Całe lata występował pod innym nazwiskiem – Don Bruns, Samuel McCoy, Billy Dodd... Od czasu do czasu, kiedy w sklepie albo holu kina Marg zawołała go po imieniu, wahał się przez chwilę, nie wiedząc, do kogo się zwraca.

Wydaj Metzgera, powtarzał sobie. W telefonie Dona Brunsa jest dość informacji, żeby wsadzić szefa KSWO do pudła na długo – gdyby się okazało, że majstrował przy informacjach i wynajął specjalistę do zlikwidowania świadków w tej sprawie. Mógłby podać Laurel kod do szyfru, zapasową kopię klucza oraz inne telefony i dokumenty, które przechowywał.

Przypomniał sobie o adwokacie. Ten człowiek w ogóle mu się nie podobał. Rothstein został chyba zaangażowany przez firmę z Waszyngtonu. Ale prawnik nie chciał zdradzić, przez jaką. Kiedy rozmawiali po wyjściu Laurel, nagle się zdekoncentrował, zaczął odbierać i wysyłać SMS-y, wyjaśniając Shalesowi, jak będzie przebiegać sprawa. Wyraźnie zmienił postawę: jak gdyby bez względu na to, co powie czy zrobi, Shales i tak miał przesrane.

Dziwne, że prawnik niewiele wiedział o Shrevie Metzgerze, choć dobrze znał KSWO. Shales odniósł wrażenie, że Rothstein spędza więcej czasu w Waszyngtonie niż tutaj. W tym momencie miał dla niego prostą radę: nie mów nikomu ani słowa na żaden temat. Będą cię próbowali złamać, Nance

Laurel to wredna dwulicowa baba, rozumiesz, dwulicowa, Barry. Nie wierz w ani jedno jej słowo.

Shales wyraził przypuszczenie, że Metzger, próbując zatuszować sprawę, mógł się dopuścić czegoś złego.

– Myślę, że na przykład mógł kogoś zabić.

– To nie nasz problem.

– Nasz – zaprotestował Shales. – Właśnie nas dotyczy.

Adwokat odebrał następną wiadomość. Przez długą chwilę patrzył na ekran. Powiedział, że musi już iść. Niedługo się skontaktuje.

I wyszedł.

A Barry Shales został przyprowadzony tutaj i umieszczony w cichym, cuchnącym pomieszczeniu.

Mijały chwile odmierzane tysiącami uderzeń jego serca, minęła cała wieczność, zanim usłyszał brzęczyk drzwi na końcu korytarza. A potem odgłos kroków zbliżających się do celi.

Może to strażnik z wezwaniem na następne spotkanie. Z kim? Z Rothsteinem? Czy z Nance Laurel, która zaproponuje mu konkretne warunki ugody?

W zamian za wydanie Shreve'a Metzgera.

Wszystko mówiło mu, że powinien przyjąć propozycję. Umysł, serce, sumienie. Myślał też o męce takiego życia: musiałby patrzeć na Marg i chłopców przez brudną szybę. Nigdy nie zobaczyłby, jak jego synowie zdobywają sportowe umiejętności, nigdy nie widziałby ich w świąteczne poranki. Dorastając, musieliby znosić szyderstwa, że mają ojca w więzieniu.

Osaczyła go beznadziejność sytuacji i tamowała dech w piersiach. Miał ochotę wrzeszczeć. Ale sam był temu winien. To on postanowił wstąpić do KSWO i przyciśnięciem guzika zabijać ludzi na drugim końcu świata.

Ostatecznie jednak doszedł do wniosku: nie zdradza się towarzyszy broni. Wszystko jedno, czy mają rację, czy błędzą. Westchnął. Metzgerowi nic nie groziło, w każdym razie z jego strony. Na najbliższe dwadzieścia czy trzydzieści lat domem Shalesa będą cele takie jak ta.

Przygotowywał się do przekazania Nance Laurel wiadomości, której na pewno nie chciała usłyszeć, gdy kroki na zewnątrz umilkły i szcęknęły otwierane drzwi.

Shales parsknął krótkim ponurym śmiechem. Wyglądało na to, że wizyta w ogóle go nie dotyczy. Rosły czarnoskóry strażnik wprowadził drugiego więźnia, jeszcze potężniej zbudowanego niż on, brudnego, z włosami gładko zaczesanymi do tyłu. Już od wejścia buchnęła woń jego potu, roznosząc się po celi jak fale na spokojnej powierzchni stawu.

Mężczyzna badawczo popatrzył na Shalesa spod przymkniętych powiek, po czym odwrócił się, by zerknąć na strażnika, który obrzucił ich obu krótkim spojrzeniem, zamknął drzwi i oddalił się w głąb korytarza. Nowy więzień odchrząknął i splunął na podłogę.

Pilot drona wstał i odsunął się w kąt celi.

Drugi więzień nie ruszył się z miejsca, stojąc z odwróconą głową. Shales czuł jednak, że uwagi tego mężczyzny nie umyka żaden jego ruch, żadna zmiana pozycji na ławce, żaden jego oddech.

Mój nowy dom...

## ROZDZIAŁ 81

Jesteś pewien? – zapytała Laurel.

– Tak – odrzekł Rhyme. – Barry Shales jest niewinny. On i Metzger nie są odpowiedzialni za śmierć de la Rui.

Laurel zmarszczyła brwi.

– Po prostu... czegoś nie zauważyłem – powiedział kryminalistyk.

– Czego, Rhyme? – spytała Sachs.

Patrzył, jak twarz Nance Laurel zmienia się w nieruchomą maskę; w ten sposób prokuratorka reagowała na stres. Cenna sprawa znów rozsypywała się na jej oczach.

„Tym razem nic mnie nie powstrzyma”...

– Gadaj, Linc – zniecierpliwził się Sellitto. – Co się dzieje, do cholery?

Mel Cooper milczał zaciekawiony.

– Przyjrzyjcie się ranom. – Rhyme powiększył zdjęcia z sekcji zwłok, skupiając się na obrażeniach na twarzy i szyi dziennikarza.

Następnie zestawiał z nimi drugie zdjęcie – zrobione na miejscu zdarzenia. De la Rua leżał na plecach, z tych samych ran sączyła się krew. Był przysypany odłamkami szkła. Ale żaden z nich nie wbijał się w ranę.

– Czemu o tym nie pomyślałem? – mruknął Rhyme. – Popatrzcie na wymiary ran w protokole autopsji. Popatrzcie! Mają tylko kilka milimetrów szerokości. Odłamek szkła musiałby być znacznie grubszy. Poza tym jak to możliwe, że są tak regularne? Patrzyłem na nie, ale ich nie widziałem.

– Zginał od ciosów nożem – stwierdził Sellitto, kiwając głową.

– Najprawdopodobniej – powiedział Rhyme. – Ostrze noża ma od jednego do trzech milimetrów grubości.

Sachs:

– Morderca rzucił na ciało de la Rui trochę szkła, żeby wyglądało to tak, jakby był przypadkową ofiarą.

Popijając słodką kawę, Sellitto mruknął:

– Cholernie sprytnie. No i zabił też ochroniarza, w ten sam sposób. Bo miałby świadka. Ale kto to zrobił?

– To jasne – odparł Rhyme. – NN 516. Wiemy, że w chwili ataku drona był w pobliżu apartamentu 1200. I pamiętajcie, że jego ulubioną bronią jest nóż.

– Wiemy też coś jeszcze – dodała Sachs. – Jest specjalistą. Nie robił tego dla przyjemności. Pracuje dla kogoś. Dla kogoś, komu zależało na śmierci tego dziennikarza.

– Zgadza się – przytaknął Rhyme. – Chcemy dostać jego szefa. – Znów utkwiał oczy w tablicy. – Tylko, kurczę, kto to jest?

– Metzger – odezwał się Pulaski.

– Może – odrzekł wolno Rhyme.

– Ktokolwiek to jest – powiedziała Laurel – to wiedział, że Moreno będzie na Bahamach i że ma zostać wykonany rozkaz egzekucji. Znał datę.

– Nowy, zabierz się do pracy nad motywem. Będiesz naszym specem od argentyńskiego dziennikarza. Komu zależało na jego śmierci?

– Mam sprawdzić, o czym pisał artykuły, czy poruszał jakieś kontrowersyjne sprawy? – spytał Pulaski.

– Tak, oczywiście. I komu nadepnał na odcisk. Ale chcę też znać jego życie osobiste. Kogo znał, w co inwestował, co robiła jego rodzina, dokąd jeździł na wakacje, jakie miał nieruchomości.

– Czyli wszystko? Co jadł na obiad, kogo bieliznę znalazła u niego żona, jaką miał naklejkę na tylnym zderzaku?

– Daruję ci użycie dopełniacza zaimka „kto” zamiast zaimka „czyj” – mruknął Rhyme. – Ale nie pozwolę, żebyś mówił „tylni”.

– Przepraszam. Powinienem powiedzieć: „Czym się odżywiał, z kim dzielił sypialnię, jaki nadruk umieścił na swoim samochodzie” – odparował młody funkcjonariusz.

W salonie rozległ się śmiech.

– W porządku, Ron, pewnie sobie na to zasłużyłem. Tak, chcę wiedzieć wszystko, co ci się uda znaleźć.

Przez godzinę, a potem drugą Pulaski z pomocą Sachs grzebali w szczegółach życia osobistego i zawodowego dziennikarza, ściągając wszystkie artykuły i wpisy na blogach, jakie udało im się znaleźć.

Wydrukowali wszystko i położyli na stole przed Rhyme’em.

Młody policjant rozłożył materiały, a kryminalistyk zaczął przeglądać te, które były po angielsku. Po chwili wezwał Pulaskiego.

– Ron, bądź naszym Berlitzem.

– Kim?

– Przetłumacz nagłówki. – Wskazał artykuły, które de la Rúa napisał po hiszpańsku.

Spędzili następną godzinę na lekturze tych materiałów. Rhyme zadawał pytania, a Pulaski szybko i dokładnie tłumaczył.

Wreszcie Rhyme uniósł wzrok i popatrzył na tablice.

## Pogrubiona czcionka oznacza uaktualnione informacje

- Miejsce zdarzenia 1.
- Apartament 1200, South Cove Inn, wyspa New Providence, Bahamy (Pokój Straceń).
- 9 maja.
- Ofiara 1: Robert Moreno.
- Przyczyna śmierci: pojedyncza rana postrzałowa klatki piersiowej.
- Dodatkowe informacje: Moreno, 38 lat, obywatel USA, emigrant mieszkający w Wenezueli. Zaciekle antyamerykańskie poglądy. Pseudonim: Posłaniec Prawdy. Ustalono, że „zamknięcie się w wieży z kości słoniowej” i „wybuchowe niespodzianki” nie mają związku z żadnym aktem terrorystycznym.
- Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia sprzed wejścia do hotelu, ślady ropy naftowej.
- Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: drobinę pieczywa, dżemu i bekonu; również ślady ropy naftowej.
- Spędził trzy dni w Nowym Jorku, 30 kwietnia – 2 maja.
- 1 maja skorzystał z usług Elite Limousine.
- Kierowca Tash Farada (stały kierowca Wład Nikołow był chory. Próby zlokalizowania. **Prawdop. zabójstwo**).
- Zamknął rachunki w American Independent Bank and Trust, prawdop. także w innych bankach.
- Jeździł po mieście w towarzystwie tłumaczki Lydii Foster (zamordowanej przez NN 516).
- Przyczyny antyamerykańskich poglądów: jego najlepszy przyjaciel został zabity przez wojska USA

podczas inwazji na Panamę w 1989.

- Ostatni przyjazd Morena do USA. Nie zamierzał wracać.
- Spotkanie na Wall Street.
- Brak informacji o dochodzeniach w sprawie działalności terrorystycznej w tej okolicy.
- Spotkał się z nieznanymi osobami z organizacji charytatywnych z Rosji i Emiratów (Dubaj) oraz z konsulatu Brazylii.
- Spotkał się z Henrym Crossem, prezesem fundacji Klasy dla Ameryk. Cross zeznał, że Moreno spotykał się z przedstawicielami innych organizacji charytatywnych, nie wiedział jakich. Morena obserwował jakiś mężczyzna, biały, „o wyglądzie twardziela”. Śledził go prywatny odrzutowiec? Niebieski, próba identyfikacji.
- **Brak tropów.**
- Ofiara 2: Eduardo de la Rua.
- Przyczyna śmierci: utrata krwi. **Rany zadane nożem.**
- Dodatkowe informacje: dziennikarz przeprowadzający wywiad z Morenem. Urodzony w Portoryko, mieszkający w Argentynie.
- Zaginął aparat fotograficzny, dyktafon, złoty długopis, notesy.
- Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia sprzed wejścia do hotelu.
- Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: ziele angielskie i sos chili.
- Ofiara 3: Simon Flores.
- Przyczyna śmierci: utrata krwi. **Rany zadane nożem.**
- Dodatkowe informacje: ochroniarz Morena. Narodowość brazylijska, mieszkający w Wenezueli.
- Zaginął zegarek Rolex i ciemne okulary Oakley.
- Na butach włókna odpowiadające wykładzinie w korytarzu hotelowym, ziemia sprzed wejścia do hotelu, ślady ropy naftowej.
- Na ubraniu pozostałości po śniadaniu: drobinę pieczywa, dżemu i bekonu; również ślady ropy naftowej i popiołu z papierosa.
- Chronologia pobytu Morena na Bahamach.

- 7 maja. Przyjazd do Nassau z Floresem.
- 8 maja. Spotkania poza hotelem przez cały dzień.
- 9 maja, godz. 9 rano. Spotkanie z dwoma mężczyznami na temat nowego oddziału Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej na Bahamach. 10.30 – przyjazd de la Rui. Moreno ginie o 11.15.
- Podejrzany 1: Shreve Metzger.
- Dyrektor Krajowej Służby Wywiadowczo-Operacyjnej.
- Niezrównoważony psychicznie? Kłopoty z opanowaniem złości.
- Manipulował dowodami, żeby nielegalnie zatwierdzić rozkaz zadania specjalnego?
- Rozwiedziony. Absolwent prawa, Yale.
- Podejrzany 2: NN 516.
- Ustalono, że to nie snajper.
- Prawdopodobnie mężczyzna, który pojawił się w South Cove Inn 8 maja, biały, trzydzieści kilka lat, krótko ostrzyżone brązowe włosy, amerykański akcent, szczupły, ale wysportowany. Wygląda na żołnierza. Wypytywał o Morena.
- Być może wspólnik snajpera albo specjalista wynajęty przez Metzgera do posprzątania i zatrzymania śledztwa.
- Ustalono, że jest sprawcą zabójstwa Lydii Foster i Annette Bodel oraz zamachu bombowego w Java Hut.
- Kucharz z zawodu lub zamiłowania, o dużych umiejętnościach.
- **Podejrzany 3: Barry Shales.**
- **Ustalono, że to snajper (kryptonim Don Bruns).**
- **39 lat, były żołnierz sił powietrznych, odznaczony.**
- **Specjalista wywiadowczy w KSWO. Żona nauczycielka, mają dwóch synów.**
- Człowiek, który 7 maja dzwonił do South Cove Inn, żeby potwierdzić przyjazd Morena, **z telefonu zarejestrowanego na Dona Brunsza przez fikcyjną spółkę KSWO.**
- **Wydział informacji szuka danych na temat Shalesa.**



- Uzyskano spektrogram głosu.
- **Pilot drona; wystrzelił pocisk, który zabił Morena.**
- **Administracja lotnictwa i kontrola ruchu powietrznego na Bahamach – dowód przelotu i obecności drona na Bahamach.**
- Raport z oględzin miejsca zdarzenia, protokół sekcji zwłok, inne szczegóły.
- Miejsce zdarzenia uprzątnięte i zanieczyszczone przez NN 516, praktycznie bezużyteczne.
- Informacje ogólne: pocisk przebił i roztrzaskał okno wysokie na całą ścianę; na zewnątrz ogród, trujące drzewo z liśćmi przyciętymi do wysokości około 7 metrów. Widok z gniazda snajpera zasłaniała mgła i dym.
- Znaleziono 47 odcisków palców; zbadano połowę, wynik negatywny. Pozostałe zaginęły.
- Zabezpieczono papierki po cukierkach.
- Zabezpieczono popiół z papierosów.
- Pocisk **wystrzelony z drona** utkwiał za kanapą, na której znaleziono ciało Morena.
- Śmiertelna kula.
- Kaliber .420, produkcji Walker Defense Systems, New Jersey.
- Spitzer z tylnym ścięciem.
- Wyjątkowo wysokiej jakości.
- Wyjątkowa prędkość i siła rażenia.
- Rzadki.
- Broń: produkcji własnej.
- Ślady na pocisku: włókno z koszuli Morena i liść trującego drzewa.
- Miejsce zdarzenia 2.
- **Gniazda snajperskiego nie było; pociski wystrzelone z drona. Pokój Straceń to stacja sterowania drona.**
- **Miejsce zdarzenia 2A.**
- Mieszkanie 3C, Augusta Street 182, Nassau, Bahamy.

- 15 maja.
- Ofiara: Annette Bodel.
- Przyczyna śmierci: do ustalenia, prawdopodobnie uduszenie, asfiksja.
- Podejrzany: według ustaleń NN 516.
- Ofiara prawdopodobnie była torturowana.
- Ślady:
  - Piasek zbliżony do piasku znalezionej w Java Hut.
  - Kwas dokozaheksaenowy – rybi olej. Prawdopodobnie ikra lub kawior. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.
  - Paliwo do silnika dwusuwowego.
  - C<sub>8</sub>H<sub>8</sub>O<sub>3</sub>, wanilina. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.
- **Miejsce zdarzenia 3.**
  - Java Hut, skrzyżowanie Mott i Hester Street.
- 16 maja.
- Wybuch improwizowanego ładunku w celu zniszczenia dowodów związanych z informatorem.
- Brak ofiar śmiertelnych, kilka osób niegroźnie rannych.
- Podejrzany: według ustaleń NN 516.
- Ładunek typu wojskowego, przeciwpiechotny, odłamkowy. Materiał wybuchowy: semtex. Dostępny na rynku uzbrojenia.
- Zlokalizowano klientów, którzy byli w kawiarni razem z informatorem, zbieranie informacji, zdjęć.
- Ślady:
  - Piasek z regionu tropikalnego.
- Miejsce zdarzenia 4.
  - Mieszkanie 230, Trzecia Aleja 1187.
- 16 maja.

- Ofiara: Lydia Foster.
- Przyczyna śmierci: utrata krwi, wstrząs w wyniku ran od noża.
- Podejrzany: według ustaleń NN 516.
- Brązowy i krótki włos (pochodzący od NN 516), przesłany do CODIS do analizy.
- Ślady:
  - Glycyrrhiza glabra – lukrecja. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.
  - Cynaryna, chemiczna substancja zawarta w karczochach. Składnik dania z nowojorskiej restauracji.
  - Ślady tortur.
  - Skradziono wszystkie materiały związane z pracą dla Roberta Morena 1 maja.
  - Brak telefonu komórkowego i komputera.
  - Paragon ze Starbucksa, gdzie Lydia czekała na powrót Morena z prywatnego spotkania 1 maja.
  - Śledztwo uzupełniające.
    - Ustalić tożsamość informatora z KSWO.
    - NN, który ujawnił rozkaz zadania specjalnego.
    - Anonimowo wysłany e-mail.
      - Ustalono, że wiadomość przesłano przez Szwecję, Rumunię i Tajwan. Wysłana z Nowego Jorku z publicznie dostępnego wi-fi, nie korzystano z rządowych serwerów.
    - Nadawca używał starego komputera, prawdopodobnie sprzed 10 lat (iBook, dwukolorowy model Clamshell, np. biało-zielony lub biało-pomarańczowy, albo tradycyjny, kanciasty model, grafitowy, znacznie grubszy niż dzisiejsze laptopy).
- **Profil:**
  - **Prawdopodobnie mężczyzna w średnim wieku.**
  - **Używa słodzika Splenda.**
  - **Były żołnierz?**
  - **Ubrany w tani garnitur w nietypowym niebieskim odcieniu.**
  - **Używa iBooka.**

– **Prawdopodobnie ma problemy żołądkowe, zażywa zantac.**

– Ktoś w jasnym sedanie śledził det. A. Sachs.

– Marka i model samochodu nieustalone.

No jasne, jasne...

– Chyba mam. Muszę jeszcze raz porozmawiać z Mychalem Poitierem. Thom, sprowadź vana.

– Va...

– Vana! Wybierzemy się na przejażdżkę. Sachs, jedziesz z nami. Jesteś uzbrojona, prawda? Aha, niech ktoś zadzwoni do aresztu. I poleci zwolnić Barry'ego Shalesa. Facet przeszedł już swoje.

## **ROZDZIAŁ 82**

Chudy pięćdziesięciolatek spędził całe życie w Departamencie Więziennictwa.

Zawodowe, nie był bowiem więźniem, ale strażnikiem. Praca nawet mu się podobała – lubił prowadzić ludzi przez Grobowiec.

Ta nazwa – oficjalnie Centrum Zatrzymań na Manhattanie – sugerowała coś znacznie gorszego niż w

rzeczywistości. Jej historia sięgała dziewiętnastego wieku i pasowała do więzienia wzorowanego na egipskim mauzoleum, zbudowanego na niefachowo wypełnionych bagnach (co wzmagało charakterystyczny zapach i choroby panujące w budynku) i znajdującego się w osławionej manhattańskiej dzielnicy Five Points, określanej wówczas jako „najniebezpieczniejsze miejsce na ziemi”.

W istocie Grobowiec był dzisiaj po prostu aresztem, tylko strasznie wielkim.

Meldując się przez interkomy i podając hasło na ten dzień, strażnik kroczył korytarzem prowadzącym do oddzielnych cel przeznaczonych dla szczególnych więźniów.

Takich jak człowiek, którego miał za chwilę zobaczyć. Barry Shales.

W ciągu dwudziestu ośmiu lat służby nauczył się nie wyrabiać sobie żadnego zdania o swoich podopiecznych. Dzieciobójcy czy przestępcy w białych kołnierzykach, winni defraudacji pieniędzy ludzi, których prawdopodobnie powinno się okraść... dla niego nie było różnicy. Jego zadanie polegało na pilnowaniu porządku i dbaniu o to, aby system działał bez zakłóceń. A także na łagodzeniu cierpień, których ci ludzie tu doświadczali.

W końcu to nie było więzienie, ale tymczasowy areszt, gdzie pozostawali zatrzymani aż do zwolnienia za kaucją, przewiezienia na wyspę Rikers albo, co zdarzało się wcale nie tak rzadko, dożywotniego wyjścia na wolność. Wobec wszystkich obowiązywała tu zasada domniemania niewinności. W ten sposób funkcjonował kraj.

Ale człowiek w celi, do której teraz zmierzał, był inny i strażnik miał na jego temat swoje zdanie. Uważał jego uwięzienie za prawdziwą tragedię.

Niewiele wiedział o przeszłości Barry'ego Shalesa. Wiedział jednak, że to były pilot wojskowy, który walczył w Iraku. A teraz pracował dla rządu federalnego.

Mimo to został aresztowany pod zarzutem morderstwa. Ale nie swojej żony, jej kochanka czy kogoś takiego. Zabił jakiegoś cholernego terrorystę.

Został aresztowany, chociaż był żołnierzem, chociaż był bohaterem.

Dlaczego się tu znalazł? Z powodów politycznych. Aresztowano go, bo partia, która nie była u władzy, musiała dopieprzyć tej, która rządziła, i ukarać biedaka dla przykładu.

Strażnik stanął przed drzwiami celi i zajrzał przez okienko.

Dziwne.

W celi był jeszcze jeden więzień, o którym strażnik nie wiedział. Nie rozumiał dlaczego. Powinni go umieścić w drugiej pustej celi obok. Nowy więzień siedział trochę z boku, tępo patrząc przed siebie. Jego wzrok wzbudził niepokój strażnika. Oczy potrafią powiedzieć wszystko o zamkniętych tu ludziach, znacznie więcej niż głupoty, które wygadywali.

A co z Shalesem? Leżał na ławce na boku, odwrócony plecami do drzwi. Nie ruszał się.

Strażnik wstukał kod i drzwi otworzyły się z elektrycznym brzękiem.

– Hej, Shales?

Żadnego ruchu.

Drugi więzień wciąż wpatrywał się w ścianę. Groźny skurwiel, pomyślał strażnik, a był człowiekiem, który nigdy nie używał tego wyrażenia ot tak sobie.

– Shales? – Strażnik podszedł bliżej.

Nagle pilot drgnął i usiadł. Powoli się odwrócił. Przykrywał dłońmi oczy. Płakał.

Nie miał się czego wstydzić. Tutaj co dzień widzi się takie rzeczy.

– Wstawaj, Shales – rzekł strażnik. – Mam dla ciebie wiadomość, która chyba ci się spodoba.

## **ROZDZIAŁ 83**

Siedząc przy swoim biurku, Shreve Metzger usłyszał syrenę, ale się tym nie przejął.

W końcu to Manhattan. Zawsze gdzieś słyhać syreny. Tak samo słyszy się nawoływania, klaksony, czasem jakiś wrzask, krzyk mew. Strzały z rur wydechowych... w każdym razie staccato huków, które prawdopodobnie były strzałami z rur wydechowych.

Po prostu tło miejskiego życia.

Prawie w ogóle nie zwrócił na to uwagi, zwłaszcza teraz, gdy próbował ugasić szalejący pożar wzniecony przez rozkaz likwidacji Roberta Morena.

Kłębił się wokół niego chaos, tornado płomieni: Barry Shales i ten cholerny informator, wredna prokuratorka i ludzie w rządzie i poza rządem, którzy opracowali program rozkazów zadań specjalnych.

Niebawem do tłącego się żaru wpadnie nowa porcja suchej podpałki: media.

A nad tym wszystkim będzie się unosił Czarnoksiężnik.

Ciekawe, jakie decyzje zapadają właśnie na konferencji budżetowej.

Metzger zorientował się, że syreny umilkły.

I że umilkły tuż pod jego biurem.

Wstał i wyjrzał przez okno. Popatrzył na ogrodzony parking, gdzie stała stacja kontroli naziemnej.

Nieoznakowany samochód z błyskającymi niebieskimi światłami, policyjny radiowóz i jakiś van – może brygady antyterrorystycznej. Wszystkie drzwi otwarte. Policjantów nigdzie nie było.

Shreve Metzger wiedział jednak, gdzie są. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Chwilę później jego przewidywania zostały potwierdzone, kiedy za pośrednictwem bezpiecznej linii zadzwonił do niego strażnik z dołu i rzekł niepewnie: – Panie dyrektorze... Jacyś panowie z policji chcą się z panem zobaczyć.

## **ROZDZIAŁ 84**

Lincoln Rhyme widział, że Shreve Metzger jest zdziwiony.

Może rozdrażnił go fakt, że kryminalistyk jeździ na wózku. Ale przecież musiał to wiedzieć. Mistrz wywiadu na pewno zbierał teczkę na wszystkich zaangażowanych w śledztwo w sprawie Morena.

Może zdziwił się, że paradoksalnie to Rhyme był w lepszej formie niż dyrektor KSWO. Rhyme zwrócił uwagę, jak niegroźnie wygląda Metzger: rzadkie włosy, wąła postura, grube okulary w beżowych ramkach ze śladami palców na obu szklach. Rhyme spodziewałby się, że człowiek, który zarabia na życie, zabijając od czasu do czasu ludzi, będzie bardziej żyłasty i groźny. Metzger przyjrzał się muskularnej sylwetce Rhyme'a, gęstym włosom, kanciastej twarzy. Zamrugał oczami z zagadkowym wyrazem twarzy godnym Nance Laurel.

Usiadł za biurkiem i zwrócił wzrok – tym razem bez zaskoczenia – na Sachs i Sellitta. Laurel nie przyszła. Rhyme jej wyjaśnił, że to sprawa policji, nie prokuratury. Poza tym istniało prawdopodobieństwo, choć niewielkie, że spotkanie może być dla nich niebezpieczne.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Gabinet był raczej nijaki. Niewiele ozdób, na zabałaganionym regale stało kilka książek, których chyba nigdy nikt nie czytał – grzbiety były zupełnie gładkie. Szafki na akta były wyposażone w duże zamki cyfrowe i skanery źrenic. Praktyczne meble, które do siebie nie pasowały. Na suficie bezgłośnie pulsowała czerwona lampka, oznaczająca, jak domyślał się Rhyme, że na terenie są goście bez certyfikatu dostępu do niejawnych informacji, więc wszystkie poufne materiały należy schować albo przykryć.

Co Metzger sumiennie uczynił.

Cichym i opanowanym głosem dyrektor KSWO powiedział: – Jak się państwo domyślają, nic nie powiem.

Lon Sellitto – najstarszy stopniem funkcjonariusz – chciał odpowiedzieć, ale Rhyme przerwał mu kpiąco: – Powołuje się pan na klauzulę supremacji, tak?

– Nie muszę udzielać żadnych odpowiedzi.

Metzger złamał własne śluby milczenia.

Nagle zaczęły mu drżeć ręce, oczy się zwęziły, oddech stał się szybszy. W ułamku sekundy. Przemiana wyglądała niepokojąco. Nastąpiła błyskawicznie i nieubłaganie jak atak nieruchomego węża, który nieoczekiwanie skacze, by zatopić zęby w myszy.

– Myślicie, że możecie tak sobie wejść i... – Musiał zamilknąć. Zacisnął szczęki.

„Ma problemy emocjonalne. Głównie z opanowaniem gniewu”...

– Hej, trochę luzu, jasne? – włączył się Sellitto. – Gdybyśmy cię chcieli aresztować, Metzger, już byłbyś aresztowany. Posłuchaj go.

Rhyme nie bez sentymentu przypomniał sobie czasy, kiedy byli „spartnerowani”, jak nazywał to Sellitto. Ich technika nie polegała na graniu dobrego i złego gliny, ale gładkiego w obejściu i szorstkiego.

Metzger się uspokoił.



– W takim razie... – Sięgnął do szuflady.

Rhyme zauważył, że Sachs zeszywniała, a jej dłoń przesunęła się w kierunku pistoletu. Ale szef KSWO wyciągnął tylko obciążki do paznokci. Po chwili je odłożył.

Sellitto skinął głową Rhyme'owi na znak, że oddaje mu głos.

– Mamy do czynienia z sytuacją, którą należy... rozwiązać. Pańska organizacja wydała rozkaz zadania specjalnego.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Proszę sobie darować. – Rhyme zniecierpliwionym gestem uniósł rękę. – Rozkaz przeciwko człowiekowi, który wydaje się niewinny. Ale to nie nasza sprawa. To sprawa pana, pańskiego sumienia i – przypuszczalnie – temat zapewne trudnych przesłuchań w Kongresie. Przyjechaliśmy tu, bo musimy znaleźć człowieka, który zabija świadków związanych ze sprawą Morena.

– Jeżeli sugeruje pan, że KSWO...

– Wezwała specjalistę? – dokończyła za niego Sachs.

Metzger znów drgnął. Pewnie się zastanawiał: Skąd znają to określenie? Skąd w ogóle znają te szczegóły?

– Nie wydałem takiego rozkazu – wyrzucił z siebie. – Nigdy nikomu nie rozkazałem tego zrobić.

Biurokratyczny eufemizm: „tego zrobić”.

– Popatrz na swoje ręce, Metzger – warknął Sellitto. – Popatrz. Masz kajdanki? Ja nie widzę. Widzisz kajdanki?

– Wiemy, że to ktoś inny – ciągnął Rhyme. – Właśnie dlatego tu jesteśmy. Musi nam pan pomóc go odnaleźć.

– Pomóc? – odparł Metzger, uśmiechając się przelotnie. – A dlaczegoż miałbym pomagać ludziom, którzy usiłują zniszczyć ważną instytucję rządową? Instytucję, która wykonuje niezbędną pracę, żeby ochronić obywateli przed naszymi wrogami?

Rhyme posłał mu sardoniczne spojrzenie i dyrektor KSWO chyba się zorientował, że przesadził z retoryką.

– Dlaczegoż miałby pan pomóc? – powtórzył Rhyme. – Przychodzą mi do głowy dwa powody. Po pierwsze, żeby nie pójść siedzieć za utrudnianie pracy organom ścigania. Zorganizował pan kampanię przeciwko śledztwu. Dotarł pan, prawdopodobnie wykorzystując swoje wpływy w Departamencie Stanu, do dokumentu, w którym Moreno zrzekł się obywatelstwa. Ciekawie byłoby sprawdzić, czy zrobił pan to odpowiednimi kanałami. Jesteśmy pewni, że polecił pan Barry'emu Shalesowi, personelowi KSWO i zleceniobiorcom, z którymi prowadzi pan interesy, zniszczyć

dowody programu użycia dronów do zadań specjalnych. Wygrzebał pan różne haki na prowadzących śledztwo. Zakładał pan nielegalne podsłuchy, przechwytywał e-maile, pożyczał dane z wywiadu elektronicznego od przyjaciół z Langley i Fort Meade.

– Wykraść pan prywatną dokumentację medyczną – dodała ostrym tonem Sachs.

Rozmawiali z Rhyme'em o tym, jak kapitan Bill Myers zdobył od ortopedy informacje na temat jej stanu zdrowia. Doszli do wniosku, że ktoś z KSWO włamał się do komputera i przesłał dokumentację przełożonym Sachs.

Metzger spuścił wzrok. Nieme potwierdzenie.

– A drugi powód, żeby nam pomóc? Pan i KSWO zostaliście podstępem nakłonieni do morderstwa. I tylko my możemy wam pomóc wskazać sprawcę.

Rhyme bez reszty skupił na sobie uwagę Metzgera.

– Co takiego?

– Słyszałem pogłoski – odparł Rhyme – że wykorzystuje pan swoje stanowisko do zabijania każdego, kogo uzna za osobę bez uczuć patriotycznych i o antyamerykańskich poglądach. Mam inne zdanie. Sądzę, że naprawdę uznał pan Morena za zagrożenie – ponieważ ktoś chciał, żeby pan tak myślał, i przekazał panu fałszywe informacje. Dlatego wydał pan RZS i zlikwidował go pan. Pańska decyzja dała prawdziwemu sprawcy okazję do tego, żeby zaatakować prawdziwy cel.

Metzger przez chwilę zbierał myśli.

– No jasne! Moreno zostaje zastrzelony, reszta osób w pokoju jest ogłuszona, przestraszona. Sprawca wślizguje się do apartamentu i zabija człowieka, o którego mu naprawdę chodziło. De la Rue, tego dziennikarza. Ujawnił jakiś skandal, korupcję albo coś w tym rodzaju i komuś zależało na jego śmierci.

– Nie, nie, nie – zaprzeczył Rhyme, lecz zaraz przytaknął. – Zgoda, sam tak z początku myślałem. Ale potem zrozumiałem, że się mylę. – Powiedział to takim tonem, jakby przyznawał się do winy. Prawdę mówiąc, wciąż był na siebie zły, że tak pochopnie wyciągnął wniosek, nie analizując wszystkich faktów.

– W takim razie kogo...? – Zdezorientowany Metzger uniósł ręce.

Odpowiedzi udzieliła mu Amelia Sachs.

– Simona Floresa. Ochroniarza Morena. To on od początku był celem.

## ROZDZIAŁ 85

De la Rua był publicystą w czasopiśmie biznesowym – wyjaśnił Rhyme. – Przejrzeliśmy jego artykuły i dowiedzieliśmy się, co go interesowało. Reportaże o zwykłych ludziach, analizy biznesowe, ekonomia, inwestycje. Żadnych artykułów śledczych czy demaskatorskich. Nic kontrowersyjnego.

W życiu osobistym dziennikarza Pulaski nie znalazł niczego, co mogłoby stanowić motyw dla zabójcy. De la Rua nie angażował się w żadne podejrzane transakcje ani w działalność przestępczą, nie miał wrogów i nie miał na sumieniu żadnego odstępstwa od zasad moralnych – nie było żadnych sporów co do tego, z kim dzielił sypialnię (wszystko wskazywało na to, że tylko z żoną, tą samą przez dwadzieścia trzy lata).

– Kiedy więc nie znalazłem motywu – ciągnął Rhyme – musiałem zadać pytanie: Co wydaje się dziwne? Wróciłem do dowodów. I kilka minut później coś mi się rzuciło w oczy. Powinienem raczej powiedzieć, że rzucił mi się w oczy brak czegoś. Zegarka ochroniarza, który został skradziony po egzekucji. Sam fakt kradzieży nie był niczym szczególnym. Ale dlaczego ochroniarz nosił rolexa za pięć tysięcy dolarów?

Metzger miał skonsternowaną minę.

– Jego szef, Robert Moreno, nie był bogaty; był działaczem i dziennikarzem. Na swoich pracownikach prawdopodobnie nie oszczędzał, ale żeby któryś z nich mógł z wypłaty kupić rolexa? Uznałem, że raczej nie. Pół godziny temu dostałem profil ochroniarza od naszego kontaktu w FBI. Flores miał na kontach w karaibskich bankach sześć milionów dolarów. Co miesiąc dostawał pięćdziesiąt tysięcy z anonimowego rachunku na Kajmanach.

Metzgerowi rozbłyły oczy.

– Ochroniarz kogoś szantażował.

Człowiek na stanowisku dyrektora takiej instytucji jak KSWO powinien być bystry, ale był to wyjątkowo trafny wniosek.

Rhyme z uśmiechem skinął głową.

– Sądzę, że to prawda. Przypomniałem sobie, że w dniu ataku w South Cove Inn w Nassau doszło do innego morderstwa. Adwokata. Mój kontakt w bahamskiej policji przekazał mi listę jego klientów.

– Oczywiście ochroniarz był jednym z klientów adwokata – rzekł Metzger. – Flores oddał adwokatowi na przechowanie obciążające informacje. Ale szantażowany nie miał już ochoty płacić albo skończyły mu się pieniądze, więc wezwał fachowca – tego specjalistę – żeby zabił ochroniarza, zabił adwokata, ukradł informacje i je zniszczył.

– Otóż to. Kancelaria adwokata po zabójstwie została splądrowana.

Sellitto zerknął z ukosa na Metzgera.

– Niezły jest, Linc. Powinien zostać szpiegiem.

Dyrektor KSWO zmierzył go chłodnym spojrzeniem, po czym zapytał: – A jak się dowiedzieć, kto był szantażowany?

– Kto panu przesłał fałszywe informacje na temat Morena, że planuje zamach na American Petroleum Drilling and Refining? – spytała Sachs.

Metzger odchylił się do tyłu, omiatając wzrokiem sufit.

– Nie mogę mówić o konkretach. To poufne. Powiem tylko, że pochodziły ze źródeł w Ameryce Łacińskiej – naszych i innej amerykańskiej służby bezpieczeństwa. Z zaufanych źródeł.

– Czy ktoś mógłby ujawnić im fałszywe dane, a oni z kolei przekazali je panu? – zasugerował Rhyme.

Z twarzy Metzgera zniknął wyraz niepewności.

– Tak, ktoś, kto wiedział, jak działa siatka wywiadowcza, ktoś z kontaktami. – Usta mu znów złowroźnie zadrgały. Błyskawicznie przechodził od równowagi do wściekłości. To budziło niepokój. – Ale jak go znaleźć?

– Zastanawiałem się nad tym – odparł Rhyme. – I wydaje mi się, że kluczem jest informator, osoba, która była źródłem przecieku RZS.

Metzger się skrzywił.

– Zdrajca.

– Co pan zrobił, żeby go znaleźć?

– Szukam go dzień i noc, ale bez rezultatu. Wykluczaliśmy z kręgu podejrzanych wszystkich naszych ludzi, którzy mieli dostęp do RZS. Ostatnia badanie wariografem przeszła moja sekretarka. Ma... – Zawahał się. – Ma powody do niezadowolenia z rządu. Ale badanie przeszła pomyślnie. Zostało jeszcze kilka osób w Waszyngtonie, które trzeba sprawdzić. Uważamy, że to musiało się zdarzyć tam. Może w którejś bazie wojskowej.

– Homestead?

Chwila ciszy.

– Nie mogę powiedzieć.

– Kto prowadził wewnętrzne dochodzenie? – zapytał Rhyme.

– Mój dyrektor administracyjny, Spencer Boston. – Metzger umilkł, widząc przenikliwe spojrzenie Rhyme'a, a potem na moment spuścił wzrok. – Nie jest podejrzany. Co mógłby zyskać? Poza tym pozytywnie przeszedł badanie.

Sachs:

– Kim on właściwie jest? Jaką ma przeszłość?

– Spencer to były żołnierz, odznaczony, były agent CIA – działał głównie w Ameryce Środkowej. Nazywano go ekspertem od zmiany władzy.

Sellitto spojrzał na Rhyme'a.

– Pamiętasz, dlaczego Robert Moreno stał się taki antyamerykański? Po inwazji na Panamę. Zginął tam jego najlepszy przyjaciel.

Rhyme nie odpowiedział, ale przeglądając w pamięci tablice dowodów, zapytał dyrektora KSWO: – Czyli ten Boston musiał być przeszkolony w oszukiwaniu wariografów?

– Formalnie biorąc, chyba tak, ale...

– Pije herbatę? I używa słodzika Splenda? Aha, ma może tani niebieski garnitur w mało eleganckim jasnym odcieniu?

Metzger utkwiał w nim wzrok. Po chwili: – Pije herbatę ziołową z powodu wrzodów...

– Ach, kłopoty żołądkowe. – Rhyme zerknął na Sachs, która w odpowiedzi skinęła głową.

– Z jakimś słodzikiem, nigdy z cukrem.

– A garnitur?

Metzger westchnął.

– Robi zakupy w Sears. Tak, z jakiegoś powodu podoba mu się taki dziwny odcień niebieskiego. Nigdy tego nie rozumiałem.

## **ROZDZIAŁ 86**

Ładny dom – powiedział Ron Pulaski.

– Ładny. – Sachs rozglądała się, czując się trochę nieswojo.

– Gdzie właściwie jesteśmy? W Glen Cove?

– Albo w Oyster Bay. Są tuż obok siebie.

Północne wybrzeże Long Island stanowiło mozaikę małych miejscowości, bardziej pagórkowatych i lesistych niż na południu. Sachs niezbyt dobrze znała te tereny. Była tu raz przed kilku laty w związku ze sprawą chińskiego handlarza żywym towarem. A wcześniej pamiętała pościg policyjny tutejszymi krętymi drogami. Nie trwał długo: szesnastoletnia Amelia bez trudu umknęła patrolowi policji z okręgu Nassau, który przerwał nielegalny wyścig w pobliżu Garden City (z łatwością wygrała,

zostawiając za sobą dodge'a).

– Denerwujesz się? – spytał Pulaski.

– Aha. Jak zawsze przed zatrzymaniem. Zawsze.

Amelia Sachs uważała, że jeżeli w takim momencie człowiek nie jest spięty, to coś musi być z nim nie tak.

Z drugiej jednak strony, odkąd aresztowanie pobłogosławił Lon Sellitto, a wyżej kapitan Myers, ani razu nie wbiła sobie paznokcia w ciało, nie rozorała skórki ani – dziwne – nie poczuła pulsującego bólu w biodrze ani kolanie.

Mieli częściowy strój do akcji taktycznej – kamizelki kuloodporne i czarne czapki – ale byli uzbrojeni tylko w swoją krótką broń.

Zbliżali się do domu Spencera Bostona.

Godzinę wcześniej Shreve Metzger i Rhyme ułożyli plan zatrzymania. Metzger poinformował swojego dyrektora administracyjnego, że odbędą się przesłuchania w sprawie spartaczonego zadania likwidacji Morena. Chciał zorganizować spotkanie z prawnikami KSWO w prywatnym miejscu; czy mogli skorzystać z domu Bostona i czy on mógłby wysłać gdzieś rodzinę na resztę dnia?

Boston się zgodził i natychmiast pojechał do siebie.

Podchodząc do dużego budynku w stylu kolonialnym, Sachs i Pulaski przystanęli, spoglądając na skoszone trawniki, otaczające ich lasy, przystrzyżone krzewy i troskliwie, z niemal obsesyjną starannością wypielęgnowane ogrody.

Młody policjant oddychał jeszcze szybciej. Sachs zauważyła, jak w roztargnieniu pociera bliznę na czole. Była to pamiątka po ciosie, jaki otrzymał od sprawcy przy ich pierwszej wspólnej sprawie przed kilku laty. Odniósł wtedy poważne obrażenia głowy i z powodu tego zdarzenia omal nie pożegnał się z mundurem – a to mogłoby go załamać; praca policjanta była treścią jego życia i podstawą jego psychiki, wiążąc go mocno z jego bratem bliźniakiem, który także był gliną. Ale dzięki wsparciu i przykładowi Lincolna Rhyme'a przeszedł intensywną rehabilitację i pozostał w służbie.

Obrażenia były jednak ciężkie i Sachs wiedziała, że stres pourazowy nadal od czasu do czasu się odzywa.

Dam sobie radę? Wytrzymam napięcie?

A odpowiedzią na te pytania było staccato przypominające tykanie zegara: tak, nie, tak, nie. Uśmiechnęła się.

– Chodźmy zgarnąć bandytę.

– Zgoda.

Szybko podeszli do drzwi i stanęli po obu stronach, trzymając ręce blisko broni, ale jej nie dotykając.

Skinęła głową.

Pulaski zastukał.

– Policja. Otwierać!

Ze środka dobiegły jakieś dźwięki.

– Co? – odezwał się głos. – Kto tam?

– Policja! – powtórzył Pulaski. – Otwierać albo sami wejdziemy.

– Jezu! – rozległo się zza drzwi.

Minęła chwila. Na tyle długa, by Boston mógł chwycić pistolet, choć raczej się nie spodziewali, że to zrobi.

Czerwone drewniane drzwi otworzyły się i zza moskitiery wyjrzał dystyngowany siwowłosy mężczyzna. Z roztargnieniem potarł najbardziej widoczną zmarszczkę na suchej, pobrużdżonej twarzy.

– Proszę pokazać ręce, panie Boston.

Uniósł je z westchnieniem.

– To po to Shreve mnie tu sprowadził. Nie będzie żadnego zebrania, tak?

Sachs i Pulaski weszli do środka i zamknęli drzwi.

Boston przeczesał palcami bujne włosy, ale zaraz sobie przypomniał, że powinien trzymać ręce na widoku. Cofnął się, dając do zrozumienia, że nic im nie grozi z jego strony.

– Jest pan sam? – spytała Sachs. – A rodzina?

– Jestem sam.

Sachs szybko przeszukała dom, Pulaski został z informatorem.

Kiedy wróciła, Boston zapytał:

– O co chodzi? – Próbował udawać oburzenie, ale nic z tego nie wyszło. Wiedział, po co przyszli.

– O przeciek RZS do prokuratury okręgowej. Sprawdziliśmy listy pasażerów. Jedenastego maja był pan na wakacjach w Maine, a rano przyleciał pan do Nowego Jorku, poszedł do Java Hut ze swoim iBookiem, wysłał do prokuratury zeskanowany rozkaz egzekucji, a po południu poleciał z powrotem.  
– Opowiedziała o namierzeniu e-maila, o herbacie, słodziku i niebieskim garniturze, po czym dodała:



– Dlaczego? Dlaczego ujawnił pan rozkaz?

Boston usiadł na kanapie. Wolno sięgnął do kieszeni, wyciągnął opakowanie tabletek na nadkwaśność i niezdarnie otworzył. Zaczął je ssać.

Sachs usiadła naprzeciw niego; Pulaski podszedł do okien i spojrzął na wypielęgnowany trawnik.

Spencer Boston spojrzął na nich spod zmarszczonych brwi.

– Jeżeli zostanę oskarżony, to na podstawie ustawy o szpiegostwie. Zarzut federalny. Wy ścigacie przestępstwa stanowe. Po co przyszliście?

– Są pewne konsekwencje wynikające z prawa stanowego – odpowiedziała wymijająco. – Teraz niech pan nam powie, dlaczego ujawnił pan rozkaz egzekucji. Bo uznał pan, że wymagają tego zasady moralne i trzeba powiedzieć światu, że wasza organizacja zabija amerykańskich obywateli?

Parsknął śmiechem mocno zaprawionym goryczą.

– Sądzi pani, że kogoś to obchodzi? Obama nie miał żadnych oporów, żeby zlikwidować al-Awlakiego, prawda? Wszyscy uważają, że to uzasadnione – wszyscy z wyjątkiem waszej prokuratorki.

– I...? – zapytała.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Jesteście młodzi. Oboje. Nie zrozumiecie.

– Proszę powiedzieć – nie ustępowała Sachs.

Boston utkwiał w niej płonące oczy.

– Jestem w KSWO od samego początku, od dnia, w którym powstała. Byłem w wywiadzie wojskowym, byłem w CIA. Organizowałem siatki źródeł informacji, kiedy Shreve Metzger imprezował w Cambridge i New Haven. Odegrałem zasadniczą rolę w zwalczaniu różowej rewolucji – socjalistów rządzących w latach dziewięćdziesiątych i na początku nowego wieku. Władzy Hugo Cháveza w Wenezueli, Luli w Brazylii, Néstora Kirchnera w Argentynie, Vázqueza w Urugwaju, Evo Moralesa w Boliwii. – Zmierzył Sachs obojętnym spojrzeniem. – Wie pani w ogóle, co to za ludzie?

Najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi.

– Zaaranżowałem dwie zmiany władzy w Ameryce Środkowej i jedną w Południowej. Piłem w podłych barach, dawałem w łapę dziennikarzom, podlizywałem się politykierom w Caracas i Buenos Aires. Chodziłem na pogrzeby, kiedy moi informatorzy ginęli w prawdziwych albo sfingowanych wypadkach i nikt się nie dowiedział, jakimi byli bohaterami. Zebrałem o pieniądze w Waszyngtonie, dogadywałem się z chłopakami z Londynu, Madrytu i Tokio... A kiedy trzeba było wyznaczyć

nowego dyrektora KSWO, kogo wybrali? Shreve'a Metzgera, gówniarza, który nie umie panować nad sobą! To powinienem być ja. Mnie się to należało! Zasługuję na to!

– A więc kiedy się pan zorientował, że Shreve pomylił się z Morenem, postanowił pan to wykorzystać, żeby go zniszczyć. Ujawnił pan rozkaz egzekucji i informacje wywiadowcze. Spodziewał się pan, że zajmie jego stanowisko.

– Mógłbym zarządzać organizacją sto razy lepiej od niego – mruknął ze złością.

– Jak pan oszukał wariograf? – spytał Pulaski.

– Och, to abecadło w moim fachu. Rozumiecie! O to mi chodzi. Ta praca nie polega na naciskaniu guzików i grach komputerowych. – Opadł na kanapę. – Cholera, aresztujcie mnie i skończmy z tym wreszcie.

## **ROZDZIAŁ 87**

Skanuję – szepnął głos w słuchawce. – Brak transmisji, brak sygnału.

Prawdopodobnie nie musieli szeptać. Mężczyźni byli na zalesionym terenie na tyle daleko od domu Spencera Bostona, że nikt stamtąd nie mógł ich usłyszeć.

– Przyjąłem – potwierdził Jacob Swann, myśląc, że komunikat brzmi trochę śmiesznie.

Brak transmisji, brak sygnału. Dobra wiadomość. Gdyby w okolicy byli inni funkcjonariusze ubezpieczający zatrzymanie Bostona, skaner Bartletta musiałby wychwycić wymianę informacji. Bartlett, najemnik, był tępy jak kołek, ale znał się na swoim sprzęcie i potrafił znaleźć sygnał mikrofalowy albo radiowy w ołowianej skrzynce.

– Widziano kogoś?

– Nie, jechali sami. Detektyw Sachs i umundurowany gliniarz.

To miało sens, pomyślał Swann, tylko ci dwoje bez wsparcia. Boston był źródłem przecieku i prawdopodobnie zdrajcą, ale nie stanowił zagrożenia; trudno się było spodziewać, by stawiał opór podczas aresztowania. Mógł kogoś zabić pociskiem Hellfire w Jemenie albo zrujnować komuś karierę polityczną w ultrakatolickim kraju Ameryki Południowej, rozpuszczając plotki, że jest gejem. Prawdopodobnie jednak nie miał nawet pistoletu; dwoje policjantów w zupełności wystarczyło, by go zatrzymać.

Swann przekradł się między drzewami, zbliżając się z boku do domu Bostona i trzymając się z dala od okien.

Sprawdził glocka zaopatrzonego w tłumik i dodatkowe magazynki w lewej kieszeni spodni bojówek. U pasa oczywiście miał nóż Kai Shun. Naciągnął na twarz czarną kominiarkę z nomexu.

Niedaleko drwale rozdrabniali drzewo, które przed chwilą ścięli. Towarzyszył temu wizg i ryk pił. Jacob Swann był zadowolony z tego akompaniamentu. Hałas stłumi odgłosy ataku; choć jego zespół miał tłumiki, nie mógł wykluczyć, że któreś z dwojga policjantów w domu zdąży przed śmiercią oddać strzał.

– Meldujcie – powiedział przez radio.

– Na pozycji – powiedział Bartlett, a po chwili taką samą wiadomość przekazał drugi członek zespołu, Xu, barczysty Azjata, który od chwili, kiedy spotkali się w wyznaczonym miejscu, powiedział coś konkretnego tylko raz, poprawiając Jacoba Swanna wymawiającego jego nazwisko.

– Xu. Mówi się „szu”, jak *shoe*3.

3\* *Shoe* – but.

Ja bym zmienił, pomyślał Swann.

– Sprawdź wewnątrz – powiedział do Bartletta.

Po chwili:

– Trzy osoby, wszystkie na parterze. Na prawo od wejścia, dwa do dwóch i pół metra, siedzi. Na prawo od wejścia, metr, półtora, siedzi. Na lewo od wejścia, metr, półtora, stoi. – Ich spec od elektroniki skanował dom czujnikiem podczerwieni i radarem SAR.

– Widać kogoś w pobliżu obiektu? – zapytał Swann.

– Nie – zameldował Shoe. Budynki po obu stronach domu Bostona znajdowały się poza zasięgiem czujnika podczerwieni, ale było w nich ciemno. Bramy garaży zamknięte. Wczesne popołudnie – dzieci nie wróciły jeszcze ze szkoły, rodzice z pracy i zakupów.

Znów rozległ się jazgot rębaka.

– Wchodzimy – zakomenderował Swann.

Dwaj pozostali potwierdzili przyjęcie rozkazu.

Bartlett i Swann mieli wejść od frontu. Shoe tylnymi drzwiami. Zastosują dynamiczne wejście i będą strzelać bez ostrzeżenia. Amelia Sachs zginie, a nie tylko dołączy do świata sparaliżowanych, w którym przebywał już Rhyme.

Zostawiając w krzakach plecak, Jacob Swann pochylony wszedł na trawnik. Bartlett był ponad pięć metrów od niego, bliżej domu. Też miał kominiarkę na twarzy. Skinął głową.

Piętnaście metrów od domu... dwanaście.

Patrzył w okna. Ale zespół szturmowy trzymał się z boku i nie można go było zobaczyć z miejsca domu, w którym według zapewnień Bartletta siedziało lub stało troje ludzi.

Dziesięć metrów.

Rozglądał się po trawie, przyglądał się domom.

Nikogo.

Dobrze, dobrze.

Siedem metrów...

I nagle uderzył huragan.

Potężny, zapierający dech w piersiach strumień powietrza.

Co to, co to, co...?

Helikopter nowojorskiej policji zatoczył łuk i zniżył się, dotykając płozami ogrodu przed domem.

Swann i Bartlett zamarli, gdy smukły śmigłowiec ustawił się burtą do nich, a dwaj funkcjonariusze jednostki specjalnej wymierzili w nich automaty H&K.

Rębak. Niech to szlag. To policja go zamówiła – żeby zagłuszyć silniki helikoptera.

Niech to wszyscy diabli.

Pułapka. Od początku się nas spodziewali.

## ROZDZIAŁ 88

Rzucić broń! Położyć się twarzą do ziemi! Bo będziemy strzelać.

Głos brzęczał z głośnika umieszczonego na pokładzie helikoptera. Albo gdzieś na ziemi. Trudno powiedzieć.

Był donośny. I brzmiał rzeczowo. Dowódca mówił serio.

Swann zauważył, że Bartlett natychmiast spełnił rozkaz, rzucając daleko swój H&K, unosząc ręce i padając na ziemię. Jacob Swann spojrział ponad nim przed siebie. Okno na piętrze za domem Bostona było otwarte, z niego snajper mierzył w stronę ogrodu za domem. Celował do Shoe.

Głos z góry:

– Ty, na nogach. Rzuć broń i kładź się na ziemi. Już!

Wahanie.

Swann spojrział na dom.

Cisnął broń na ziemię i położył się na brzuchu, czując ostrą woń trawy. Przypominała mu ostry likier Chartreuse, który wykorzystywał do jednego z niewielu przygotowywanych przez siebie deserów – brzoskwiń w galaretkę na bazie chartreuse, dziesiątego i ostatniego dania w menu dla pasażerów pierwszej klasy „Titanica”. W dłoni trzymał breloczek z pilotem. Nacisnął raz lewy przycisk, a potem przytrzymał przez trzy sekundy prawy. I zamknął oczy.

Materiał wybuchowy w niedaleko ukrytym plecaku wybuchł z większą siłą, niż się spodziewał. To był ładunek przewidziany tylko na ewentualność, gdyby trzeba było odwrócić uwagę wroga, zmusić go do obejrzenia się za siebie. Ale ładunek umieszczony na skraju drzew eksplodował wielką kulą ognia. Helikopter przechylił się na bok. Nie został uszkodzony, a pilot natychmiast ustabilizował maszynę, ale zakołysała się na tyle, aby utrudnić strzelcom celowanie.

Jacob Swann błyskawicznie zerwał się na nogi, przeskoczył rozciągniętego na brzuchu Bartletta i pędem ruszył w stronę domu, trzymając w ręku granat dymny. Wrzucił niewielki cylinder przez okno, już rozbite siłą wybuchu bomby, i wskoczył za nim przez pustą ramę.

Wylądował z hukiem na niskim stoliku, rozrzucając miseczki ze słodyczami, figurki i zdjęcia w ramach, po czym stoczył się na podłogę.

Eksplozja zaskoczyła Bostona, Sachs i tego drugiego policjanta, a kiedy do pokoju wpadł granat dymny, rozbiegli się, gorączkowo szukając osłony, spodziewając się najwyraźniej nie dymu, ale następnego wybuchu.

Zakładnicy. Tylko taki pomysł przyszedł Swannowi do głowy. Zyska trochę na czasie i wynegocjuje sobie wyjście.

Pierwszy zobaczył go Boston. Gwałtownie kaszląc, usiłował zaatakować, ale dostał pięścią w krtań i zgiął się wpół.

– Amelia! – odezwał się głos z drugiej strony plującego dymem granatu. To ten młody glina. – Gdzie on jest?

Wreszcie Swann zobaczył policjantkę, która leżąc na boku, kaszłała i rozglądała się spod przymrużonych powiek. W ręku miała glocka. Postanowił go zdobyć – przed domem nie zdążył podnieść swojego pistoletu. Przypomniawszy sobie, jak utykała i od czasu do czasu się krzywiła, przypomniał sobie też, jak wspominała o swoich problemach zdrowotnych, o których dowiedział się z podsłuchu jej telefonu. Kiedy próbowała się podnieść i wziąć go na cel, zobaczył, jak jej piękną twarz wykrzywia grymas bólu. Chwila zwłoki wystarczyła, by skoczył naprzód i rzucił się na nią, zanim zdążyła wystrzelić.

– Amelia! – krzyknął znowu głos z głębi domu.

Zaczęli się mocować. Była zaskakująco silna.

– Cicho, Ron! – krzyknęła. – Nic już nie mów!

Chroniła go. Wiedziała, że kiedy Jacob Swann wyrwie jej broń, strzeli w kierunku, z którego dobiegały krzyki.

Bolesnie uderzyła go pięścią w ucho, wypuła chemiczny dym i runęła na napastnika całym ciężarem ciała. Swann próbował chwycić ją za gardło, lecz odepchnęła jego rękę i wymierzyła mu następny sierpowy w okolice ucha.

– Uciekaj, Ron! Sprowadź pomoc! Tutaj nic nie możesz zrobić!

– Idę po wsparcie. – Tupot oddalających się kroków. Trzasnęły drzwi z tyłu domu.

Swann zaatakował ją łokciem, celując w brzuch, ale zdążyła się obrócić i uniknąć obezwładniającego ciosu w splot słoneczny. Kiedy uderzyła go pięścią blisko nerki, ból przeniknął go aż do zębów. Nadal zaciskając palce na nadgarstku ręki, w której trzymała glocka, wymierzył jej potężny cios w twarz lewą dłonią zwiniętą w pięść. Stęknęła.

Myśląc o jej słabym punkcie, wbił kolano w jej kolano i Sachs zachłysnęła się od krzyku. Ból musiał być dotkliwy. Na moment straciła inicjatywę, a jego szponiasta dłoń przesunęła się bliżej broni. Już prawie ją miał. Jeszcze parę centymetrów.

Znów kopnął ją w staw. Tym razem wydała z siebie przenikliwy wrzask, jeszcze bardziej rozluźniając palce zaciśnięte na pistolecie. Jacob Swann rzucił się na broń.

Zdążył dotknąć rękojeści glocka – i w tym momencie odchyliła rękę do tyłu, wypuszczając pistolet, który poleciał w głąb pokoju, znikając w dymie.

Cholera...

Szarpali na sobie ubranie, wymieniali ciosy proste i ciosy z boku, turlali się po podłodze, walcząc zaciekle. Swann czuł zapach potu, dymu, lekką woń perfum. Próbował postawić Sachs na nogi, co przy jej uszkodzonym kolanie dałoby mu przewagę. Ona wiedziała jednak, że dla niej oznaczałoby to koniec, walczyła więc dalej na ziemi, bijąc i szarpiąc.

Usłyszał dobiegające z zewnątrz głosy, które wzywały go do wyjścia. Zespoły taktyczne nie chciały ryzykować wejścia, skoro dom wypełniał dym, w którym ich słynna detektyw była niewidzialna. Mogli też zakładać, że Swann ma ukryty uzi albo pistolet MAC-10 i otworzy ogień do pierwszych kilkunastu funkcjonariuszy, którzy pojawią się w drzwiach.

Swann i Sachs kaszleli spoceni i wyczerpani.

Pochylił się w jej stronę, jak gdyby chciał ją ugryźć; kiedy szybko się cofnęła, zmienił kierunek i wyrwał się z uścisku. Zerwał się z podłogi, stając na ugiętych nogach, twarzą do niej. Sachs była bardziej zdyszana i obolała od niego. Klęczała, trzymając się za kolano. W oczach miała łzy, które wycisnął ból i gryzące opary. Wyglądała jak widmo.

Musiał zdobyć pistolet. I to szybko. Gdzie on jest? Na pewno niedaleko. Ale gdy ruszył naprzód, Sachs wstała, na przemian zaciskając dłonie w pięści i wyginając je w szpony.

Znieruchomiała i z grymasem na twarzy złapała się za biodro, które tak jak kolano musiało być źródłem cierpienia.

Teraz! Ból ją dekoncentruje. Teraz, w krtań!

Swann skoczył naprzód, biorąc zamach lewą ręką i celując otwartą dłonią w miękką białą szyję.

I nagle rękę, którą chciał zadać cios, przeszył straszny ból, promieniujący od dłoni do barku.

Cofnął się gwałtownie, patrząc na strużki krwi spływające spomiędzy palców, patrząc na błysk stali w jej rękę, patrząc na spokój w jej oczach.

Co... co...?

Trzymała przed sobą sprężynowiec. Swann zorientował się, że nie chwyciła się za biodro z bólu, ale chciała znaleźć i otworzyć broń. Nie pchnęła go nożem; sam się nadział – chcąc uderzyć ją z całej siły w krtań, trafił otwartą dłonią prosto w ostrą klingę.

„Mój mały rzeźnik”...

Sachs odsunęła się, przyjmując postawę nożownika stojącego do ulicznej bójki, gotowa do skoku.

Swann ocenił uszkodzenia. Ostrze rozcięło do kości dłoń między kciukiem a palcem wskazującym. Bolało jak diabli, ale rana była w zasadzie powierzchowna. Ściągnęła pozostały nietknięte.

Wyszarpnął kai shun i stanął w podobnej pozycji co ona. Nie był to jednak wyrównany pojedynek. Swann zabił nożem dwadzieścia kilka osób. Sachs prawdopodobnie świetnie strzelała, ale nie posługiwała się z taką samą wprawą białą bronią. Swann zrobił krok naprzód, trzymając nóż ostrzem do góry, jakby zamierzał wypatroszyć wiszące ciało ubitego jelenia.

Poczuł znajomy dotyk rękojeści kai shuna, znajomy ciężar, zobaczył matowy połysk, ręcznie kutą powierzchnię klingi.

Natarł na policjantkę, celując nisko i widząc w wyobraźni cięcie od podbrzusza do mostka...

Ale Sachs nie odskoczyła, nie odwróciła się i nie uciekła, tak jak przewidywał. Nie ruszyła się z miejsca. Swój nóż – chyba włoski – też trzymała ostrzem do góry. Spokojnie przesuwiała wzrok między klingą kai shuna, jego oczami i różnymi punktami na jego ciele, które mogła zaatakować.

Znieruchomiał, cofnął się o metr i zmienił pozycję, strząsając krew z lewej dłoni. Po chwili natarł jeszcze raz, markując pchnięcie, ale przewidziała to i bez trudu zrobiła unik, szybkim ruchem zadając cios sprężynowcem i omal nie zdzierając mu skóry z policzka. Wiedziała, co robi, a co gorsza w jej oczach nie było nawet cienia niepewności, choć wyraźnie było widać, że ból nie zelżał.

Zmuś ją, by poruszyła nogą. To jej słaby punkt.

Zaatakował jeszcze raz i jeszcze raz, nie próbując wcale pchnąć ani ciąć, ale spychając ją do tyłu, żeby przenosiła ciężar ciała na drugą nogę i obciążała stawy.

Wtedy popełniła błąd.

Cofnęła się o parę metrów i odwróciła nóż, chwytając go za klingę. Zamierzała nim rzucić.

– Odłóż to! – zawołała, kaszląc ochryple i ocierając łzy z oczu drugą ręką. – Połóż się na podłozie!

Swann przyjrzał się jej uważnie przez zasłonę dymu, obserwując pilnie broń. Bardzo trudno



opanować sztukę rzucania nożem, która ma sens tylko przy dobrej widoczności i dobrze wyważonej broni – i to pod warunkiem, że trenowało się kilkaset godzin. Gdyby nawet udało się trafić w cel, zwykle rana jest niegroźna, choć co innego pokazywano w filmach. Jacob Swann wątpił, czy kiedykolwiek ktoś zginął od ciosu zadanego rzuconym nożem. Białą bronią można zabić tylko wówczas, kiedy przetnie się ważne naczynia krwionośne, i nawet wtedy śmierć nie następuje od razu.

– No już! – wrzasnęła. – Na ziemię!

Lecący nóż może jednak odwrócić uwagę przeciwnika, a trafiając w cel, może sprawić niewiarygodny ból czy wręcz wykluć oko. Kiedy więc Sachs próbowała się ustawić w odpowiedniej odległości, Jacob Swann poruszał się z boku na bok i jeszcze bardziej się kulił, aby stać się niewielkim ruchomym celem.

– Nie będę powtarzać.

Chwila ciszy. W jej oczach nie pojawił się żaden błysk.

Rzuciła sprężynowcem w jego stronę.

Zmrużył oczy i zrobił unik.

Chybiła. Nóż trafił w kredens z porcelaną metr od Swanna i rozbił małą szybkę. Półmisek w środku zsunął się ze stojaka i stłukł. Swann błyskawicznie przyjął pozycję, lecz Sachs popełniła jeszcze jeden błąd i nie doprowadziła ataku do końca.

Rozluźnił się. Sachs stała wychylona do przodu z opuszczonymi rękami, dysząc ciężko i kaszląc.

Już ją miał w garści. Znajdzie glocka, wynegocjuje jakieś warunki ucieczki. Mogliby nawet skorzystać z helikoptera, czemu nie.

– Teraz – szepnął – zrobisz, co po...

Poczuł przyciśniętą do skroni lufę pistoletu. Spojrzał w bok.

Widocznie wrócił ten młody policjant, Ron. Nie, nie... Swann zrozumiał. Głina w ogóle nie wyszedł. Krążył po zadymionym domu, ostrożnie szukając przeciwnika.

Sachs w ogóle nie zamierzała atakować go sprężynowcem. Grała na czas i mówiła, żeby wskazać policjantowi drogę. Nie chciała, żeby Ron wychodził. Jej słowa oznaczały coś wręcz przeciwnego i zrozumiał ją doskonale.

– Rzuć to! – usłyszał Swann. Wiedział, że gliniarz naprawdę jest gotowy wpakować mu kulę w mózg.

Poszukał odpowiedniego miejsca, aby kai shun nie zgiął się ani nie wyszczerbił. Ostrożnie rzucił go na kanapę.

Młody policjant nałożył Swannowi kajdanki. Sachs podeszła do kanapy, nadal krzywiąc się z bólu, i

podniosła nóż. Obejrzała go z pewnym uznaniem. Potem zbliżyła się do Swanna, chwyciła maskę z nomexu i zdarła mu z twarzy.

## ROZDZIAŁ 89

Van do przewozu niepełnosprawnych przejechał slalomem między pojazdami ratunkowymi i zaparkował przy krawężniku niedaleko domu Spencera Bostona. Lincoln Rhyme podczas akcji był w bazie kilka ulic dalej. Ze względu na niezdolność do władania bronią, o której przekonał się na Bahamach, uznał, że lepiej będzie trzymać się z dala od potencjalnego pola bitwy.

Zresztą Thom i tak nie pozwoliłby mu się tam zbliżyć.

Stara kwoka.

W ciągu kilku minut został wypuszczony z samochodu i podjechał swoim nowym wózkiem, który całkiem mu się podobał, do Amelii Sachs.

Przyjrzał się jej bacznie. Widział, że jest obolała, choć próbowała to ukryć. Ale nie miał wątpliwości, że cierpi.

– Gdzie Ron?

– W domu chodzi po siatce.

Rhyme skrzywił się, patrząc na tłące się drzewa i bukszpan, na dym unoszący się nad okazałym budynkiem. Wentylatory strażaków rozproszyły już najgorsze opary.

– Nie przewidziałem, że użyje ładunku i granatu, Sachs. Przepraszam.

Był na siebie wściekły, że nie wziął tego pod uwagę. Powinien się po NN 516 spodziewać wszystkiego.

– Mimo to ułożyłeś dobry plan, Rhyme – odrzekła krótko Sachs.

– No, w każdym razie odniósł skutek – przyznał z pewną dozą skromności, choć niewielką.

Kryminalistyk nie podejrzewał Spencera Bostona o nic więcej poza ujawnieniem rozkazu egzekucji. Rzeczywiście, jak zauważyła Sachs, zarówno Boston, jak i Moreno mieli związki z Panamą. Ale nawet jeżeli Boston miał swój udział w inwazji, Moreno był wtedy małym chłopcem. Nie mogli się znać. Nie, Panama łączyła ich przypadkowo.

Rhyme uznał jednak, że dyrektor administracyjny Metzgera może być wspaniałą przynętą, ponieważ człowiek, który stał za całą intrygą – szef NN 516 – będzie chciał też zabić informatora.

Na tym właśnie miała polegać pomoc, o którą zwrócił się do Shreve'a Metzgera. Odkąd w zeszły weekend dyrektor KSWO dowiedział się o śledztwie, kontaktował się ze wszystkimi osobami zaangażowanymi w projekt RZS, polecając im odmawiać współpracy z policją i pozbyć się wszystkich dowodów. Zaszifrowane wiadomości i maile trafiały do osób w samej KSWO, ale także do pracujących dla niej przedsiębiorców, personelu wojskowego i funkcjonariuszy w Waszyngtonie. Dlatego właśnie szef NN 516 tyle wiedział o sprawie. Metzgerowi tak bardzo zależało na kontynuowaniu programu egzekucji, że wysyłał do wszystkich informacje o tym, co się działo, niemal w czasie rzeczywistym. Szef z kolei przekazał je NN 516.

Ale kto to właściwie był?

Pod naciskiem Rhyme'a godzinę temu Metzger skontaktował się z tymi samymi ludźmi i powiedział im, że zidentyfikowano Spencera Bostona jako źródło przecieku rozkazu i powinni zniszczyć wszystkie dowody, jakie ich z nim łączą.

Rhyme podejrzewał, że autor planu, który miał na celu zabójstwo ochroniarza Morena, wysłał NN 516 do Glen Cove, żeby zlikwidował Bostona.

Tak więc dyrektor administracyjny KSWO razem z Sachs i Pulaskim czekali w domu. Funkcjonariusze z Nowego Jorku i policji okręgowej Nassau ukryli się w pobliżu, w pogotowiu był także helikopter jednostki antyterrorystycznej. Na pomysł wykorzystania hałaśliwego rębaka, który miał zagłuszyć silniki śmigłowca, wpadł Ron Pulaski.

Chłopak był na fali.

Rhyme przyjrzał się NN 516, który siedział ze skutymi rękami i nogami na trawniku przed domem Bostona dziesięć metrów od niego. Miał zabandażowaną rękę, ale rana nie wyglądała na poważną. Krępy mężczyzna spokojnie patrzył na funkcjonariuszy, a potem skupił całą uwagę na znajdującym się niedaleko ogrodzie ziołowym.

– Ciekawe, kiedy uda się nam ustalić, dla kogo pracuje – powiedział do Sachs Rhyme. – Nie sądzę, żeby chętnie wskazał nam mózg całego planu.

– Nie musi – odrzekła Sachs. – Wiem, dla kogo pracuje.

– Wiesz? – zdumiał się Rhyme.

– Dla Harry’ego Walkera. Z Walker Defense Systems.

Kryminalistyk parsknął śmiechem.

– Skąd to wiesz?

Ruchem głowy wskazała sprawcę.

– Pamiętasz, jak pojechałam do firmy, żeby poszukać pasa startowego? To on wyszedł do mnie na korytarz i zaprowadził mnie do Walkera. Nawiasem mówiąc, próbował mnie podrywać.

## ROZDZIAŁ 90

Nazywał się Jacob Swann i był dyrektorem ochrony w Walker Defense Systems.

Służył w wojsku, lecz armia wyrzuciła go z hukiem za nadgorliwość w przesłuchiowaniu podejrzanych w Iraku. Nie podtapiał rebeliantów, ale kilku z nich usunął kawał skóry. Oraz inne części ciała. „Umiejętnie i powoli”, jak odnotowano w raporcie.

Z zebranych danych wynikało, że mieszka samotnie na Brooklynie, kupował drogie urządzenia kuchenne i często odwiedzał wykwintne restauracje. W zeszłym roku dwa razy trafił na szpitalny oddział ratunkowy. Raz z raną postrzałową, którą, jak twierdził, zadał mu niezauważony przez niego myśliwy, kiedy wybrał się na poszukiwanie sarniny. Za drugim razem trzeba było opatrzyć głęboko rozcięty palec, który podobno skaleczył nożem, krojąc cebulę vidalia podczas przygotowywania jakiegoś dania.

Ponieważ znali już jego hobby, Rhyme przypuszczał, że pierwsze było kłamstwem, a drugie przypuszczalnie prawdą.

Przy policyjnej taśmie zatrzymał się samochód – stara honda, która wymagała odwiedzin u blacharza.

Wysiadła z niej Nance Laurel w białej bluzce i granatowym kostiumie, skrojonym tak samo jak szary. Pocierała policzek i Rhyme zastanawiał się, czy właśnie poprawiała makijaż. Zastępczyni prokuratora okręgowego podeszła do nich i spytała Sachs, czy nic jej się nie stało.

– Wszystko w porządku. Doszło do małej szarpaniny. Ale on bardziej ucierpiał. – Sachs wskazała na Swanna. – Usłyszał już swoje prawa. Nie poprosił o adwokata, ale nie ma ochoty współpracować.

– Przekonamy się – odrzekła Laurel. – Porozmawiajmy z nim. Być może będę potrzebowała twojej pomocy, Lincoln. Przyprowadzimy go tutaj.

– Nie ma potrzeby. Wózek Merits podobno najlepiej się sprawdza na nierównym terenie. Zobaczmy.

Bez wahania pomknął wózkiem przez trawnik prosto w kierunku sprawcy.

Dołączyły do niego Nance Laurel i Sachs. Prokuratorka spojrzała na Swanna.

– Nazywam się...

– Wiem, kim pani jest.

Zrobiła charakterystyczną pauzę.

– Jacob, wiemy, że za całą sprawą stoi Harry Walker. To on kazał ci dostarczyć fałszywe informacje, żeby skłonić KSWO do wykonania wyroku na Robercie Morenie, co z kolei miało ci umożliwić zamordowanie jego ochroniarza Simona Floresa, który szantażował Walkera. Kiedy to się stało, byłeś w South Cove Inn i czekałeś na atak drona. Zaraz potem, zanim na miejsce dotarli ratownicy, dostałeś się do apartamentu 1200 i ciosami noża zabiłeś Floresa i Eduarda de la Ruę. Następnie pojechałeś do kancelarii adwokata Floresa w Nassau, którego torturowałeś i zamordowałeś, a potem skradłeś dokumenty oddane mu na przechowanie przez Floresa – dokumenty, których upublicznienia obawiał się Walker.

Kiedy wszczęłam śledztwo, Metzger przekazał Walkerowi nowe informacje o sprawie i nazwiska – żeby zniszczyć dowody i mieć się na baczności przed policjantami prowadzącymi dochodzenie. Ale Walker kazał ci zrobić coś więcej – zlikwidować świadków i śledczych. Zabiłeś Annette Bodel, Lydię Foster i kierowcę Morena, Włada Nikołowa... – Laurel spojrzała w stronę Sachs i Rhyme'a. – Funkcjonariusze z Queens znaleźli ciało w piwnicy jego domu.

Swann zerknął tylko na swoją zabandażowaną rękę i milczał.

– Ze swoimi współnikami z Nassau – ciągnęła Laurel – ułożyłeś plan, aby zabić na Bahamach kapitana Rhyme'a i współpracujące z nim osoby... A teraz to. – Popatrzyła wokół na zdewastowany fragment przedmieścia przypominający pole walki.

Szczegółowość informacji podanych przez Nance Laurel w tak beznamiętny sposób musiała zaskoczyć Swanna, ale po krótkiej chwili wahania odrzekł spokojnie:

– Po pierwsze, jeśli chodzi o ten incydent... – Wskazał dom Bostona. – Wszyscy trzej mamy federalne zezwolenia trzeciej klasy na posiadanie broni i pozwolenie na noszenie ukrytej broni ważne w stanie Nowy Jork. W mojej pracy w Walker Defense zajmuję się kwestiami bezpieczeństwa narodowego. Przyjechaliśmy tu, ponieważ otrzymaliśmy sygnał, że Spencer Boston był źródłem przecieku poufnej informacji. Moi współpracownicy i ja chcieliśmy to po prostu sprawdzić i z nim porozmawiać. Nagle zostaliśmy zaatakowani przez jednostkę specjalną. Podawali się za funkcjonariuszy nowojorskiej policji, ale skąd mam to wiedzieć? Żaden z nich nie okazał legitymacji.

Amelia Sachs parsknęła śmiechem.

– I ja mam uwierzyć? – spytała Laurel.

– Ważniejsze, pani Laurel, czy uwierzy w to ława przysięgłych. Przypuszczam, że to całkiem prawdopodobne. A jeżeli chodzi o pozostałe przestępstwa, o których pani wspomniała... to tylko spekulacje. Ręczę, że nie macie na mnie żadnych dowodów.

Prokuratorka popatrzyła na Rhyme'a, który podjechał bliżej. Dostrzegł, że Swann intensywnie przygląda się jego niewrażliwym nogom i lewej ręce. Był autentycznie zaintrygowany, ale Rhyme nie miał pojęcia, o czym myśli ani jaki ma być cel tych oględzin.

Kryminalistyk z kolei obrzucił podejrzanego taksującym spojrzeniem i się uśmiechnął. Często reagował w ten sposób na arogancję sprawców.

– Nie macie żadnych dowodów, żadnych dowodów – powiedział w zadumie. – Och, chyba jednak coś mamy, Jacob. Motywy nie bardzo mnie obchodzą, ale muszę przyznać, że mamy dwa całkiem dobre. Zabiłeś Lydię Foster i kierowcę limuzyny, bo pomyślałeś, że ktoś może poruszyć temat, dlatego podczas tej podróży Morenowi nie towarzyszył Simon Flores. A wtedy my też zaczęlibyśmy się zastanawiać, dlaczego go tu nie było. Annette Bodel zamordowałaś natomiast dlatego, że mogła zeznać, że widziała cię na Bahamach, kiedy doszło do ataku.

Swann popatrzył na niego zdumiony, lecz szybko otrząsnął się z zaskoczenia i zaintrygowany przechylił głowę.

Ignorując go, Rhyme mówił dalej, kierując wzrok w stronę nieba:

– Teraz bardziej obiektywne dowody: mamy krótki brązowy włos znaleziony w mieszkaniu Lydii Foster. Możemy zrobić przymusowe badania DNA i jestem pewien, że wynik będzie pozytywny. Aha, ciągle pracujemy nad ustaleniem pochodzenia tego srebrnego naszyjnika, który kupiłeś Annette Bodel – żeby przyciągnąć barakudy i ukryć fakt, że ją torturowałeś i zabiłeś. Na pewno ktoś widział, jak go kupowałeś.

Swann lekko rozchylił wargi. Czubkiem języka dotknął kącika ust.

– Znaleźliśmy też ziele angielskie i sos chili na ubraniu Eduarda de la Rúa – ciągnął Rhyme. – Myślałem, że to resztki śniadania, które zjadł dziewiątego maja. Ale znając twoje upodobanie do sztuki kulinarnej, zastanawiam się, czy nie gotowałeś czegoś poprzedniego wieczoru. Może

przyszykowałeś Annette kolację. Ciekawe, czy gdybyśmy zbadali twoją walizkę i ubrania, znaleźlibyśmy podobne ślady.

Ř propos jedzenia... odkryliśmy pewne ślady w dwóch miejscach Nowego Jorku: kiedy się je połączy, powstaje podobno niezwykle interesujące danie przyrządzone między innymi z karczocha, lukrecji, rybiej ikry i wanilii. Czyżbyś czytał przepis, który ukazał się niedawno w „New York Timesie”? Zdaje się, że Patchwork Goose to całkiem niezła restauracja. Powinieneś też wiedzieć, że mam biegłego, który zaświadczy, co tam się podaje.

Rhyme wiedział, że Thom byłby zachwycony określeniem „biegły”.

Swann milczał jak grób. Wydawał się otępiały.

– Sprawdzamy też, czy miałeś dostęp do pewnego rodzaju ładunku wybuchowego, który podłożono w Java Hut. Poza tym i tutaj, i w mieszkaniu Annette Bodel w Nassau znaleziono piasek ze śladami morskiej wody. Zażądamy okazania twoich ubrań i butów, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie zostało tam parę ziarenek. Zajrzymy też do twojej pralki. Hm, mamy coś jeszcze?

– Paliwo do dwusuwów – przypomniała Sachs.

– Ach tak, dziękuję. W jednym z miejsc zostawiłeś ślady paliwa do silników dwusuwowych i z pewnością znajdziemy tę samą mieszankę w twoim biurze w Walker Defence albo w bazie wojskowej Homestead, jeżeli byłeś tam przed albo po ataku z dziewiątego maja. Za ten ślad paliwa jestem ci szczególnie wdzięczny; na jego podstawie ustaliliśmy, że KSWO używa dronów, a nie żywych snajperów. Przepraszam, BSP.

Ale odchodzę od tematu. Weźmy twoje ciekawe narzędzie... – Rhyme widział torebkę z japońskim nożem kucharskim. – Przeprowadzimy porównawcze badania mechanoskopijne z ranami zadanymi Lydii Foster, de la Rui, Floresowi i adwokatowi na Bahamach. No i oczywiście kierowcy limuzyny.

Jeszcze? Proszę bardzo. Sprawdzamy dane o płatnościach twoimi kartami kredytowymi, wypłatach z bankomatów i połączeniach telefonicznych. – Nabrał powietrza. – Wezwiemy też wydział techniczny Walker Defense do okazania dokumentów, żeby sprawdzić, kogo szpiegowali i o kim zbierali informacje. Na tym chyba zakończę przedstawianie dowodów. Pani prokurator?

Nastąpiła charakterystyczna pauza, którą Rhyme zaczął uważać za całkiem sympatyczną manierę. Po chwili Laurel powiedziała tonem komendy wojskowej:

– Rozumiesz, do czego to prowadzi, Jacob? Musisz zeznawać przeciwko Harry’emu Walkerowi. Jeżeli to zrobisz, coś wspólnie wypracujemy.

– Co to znaczy „wypracujemy”? Ile lat?

– Oczywiście nie mogę powiedzieć z całą pewnością, ale prawdopodobnie w grę wchodzi trzydzieści.

– Czyli niewiele mogę zyskać, co? – spytał, patrząc na nią spokojnie.

– Druga możliwość jest taka, że nie będę się sprzeciwiać ekstradycji na Bahamy – odparła. – I resztę życia spędzisz w ich więzieniu.

To chyba dało Swannowi do myślenia. Wciąż jednak milczał.

Formalnie biorąc, Rhyme’a to nie dotyczyło, ale uznał, że powinien dodać coś od siebie.

– Kto wie, Jacob – rzekł z nutą rozbawienia w głosie. – Może pani prokurator Laurel dowie się, czy nie mógłbyś dostać pracy w kuchni w zakładzie, do którego trafisz. – Wzruszył ramionami. – Tak tylko pomyślałem.

Laurel skinęła głową.

– Zrobię, co się da.

Swann spojrział na zasmrodzony dymem dom Spencera Bostona. Potem odwrócił się do nich.

– Kiedy mielibyśmy porozmawiać?

W odpowiedzi Nance sięgnęła do torebki i wyciągnęła sfatygowany dyktafon.

## **ROZDZIAŁ 91**

Handel bronią nie wygląda już tak jak kiedyś – mówił Swann. – Wojny się kończyły i Walker Defense miał kłopoty, poważne kłopoty.

– Faktycznie – powiedziała do Rhyme’a Sachs. – Widziałam, że część budynków była zamknięta na głucho.

– Tak jest. Dochody zmniejszyły się o sześćdziesiąt procent i firma znalazła się pod kreską. Pan Walker przyzwyczał się do pewnego standardu życia. Jego były żony też. Tak samo jak obecna, która



jest młodsza od niego o trzydzieści lat. Bez odpowiednich środków pewnie by nie miała ochoty z nim być.

– Ten aston martin na parkingu należał do niego? – spytała Sachs.

– Tak. Ma takie trzy.

– Ach, trzy.

– Ale to nie wszystko. Pan Walker uważał – tak samo jak ja – że firma pracuje dobrze, robi dobre rzeczy dla kraju. Karabin do drona to tylko jeden przykład. Nasza praca była ważna. Firma musiała utrzymać płynność.

– Nie było już tylu zamówień z kraju co kiedyś – ciągnął Swann. – Pan Walker mocniej wszedł na inne rynki. Ale jest na nich spora nadwyżka broni. Popyt niewielki. Postanowił go więc trochę pobudzić.

– Przekupując oficerów sił zbrojnych i ministrów obrony w krajach Ameryki Łacińskiej, tak? – odezwała się Nance Laurel.

– Właśnie. Tak samo jak w Afryce i na Bałkanach. Trochę na Bliskim Wschodzie, ale tam trzeba uważać. Nikt nie chce, by ujawniono, że sprzedaje broń rebeliantom, którzy walczą z amerykańskimi żołnierzami. No więc Simon Flores, ochroniarz Morena, służył w brazylijskiej armii. Firma pana Walkera w Ameryce Łacińskiej ma siedzibę w São Paulo, więc Flores był dobrze poinformowany o łapówkach. Kiedy skończył służbę wojskową, zabrał ze sobą mnóstwo dowodów – tyle, żeby pana Walkera wsadzić za kratki na resztę życia. Zaczął go szantażować.

Poznał Morena i spodobała mu się jego działalność. Moreno zatrudnił go jako ochroniarza. Flores uznał chyba, że to będzie dobra przykrywka. Mógł podróżować z Morenem po całych Karaibach, kupować nieruchomości, inwestować pieniądze, składać je w zagranicznych bankach, cały czas bawiąc się w żołnierza jako ochroniarz. – Zerknął w stronę Rhyme’a. – Miał pan rację. Flores uznał, że nie byłoby rozsądnie przyjeżdżać na nasze terytorium pierwszego maja. A pan Walker obawiał się, żeby ten temat nie został poruszony.

– I przekazałeś fałszywe dane na temat Morena? – zapytała Sachs.

– Nie, nie były fałszywe. Powiedziałbym raczej, że wybiórcze. Położyłem nacisk na materiały do bomby z nawozu azotowego. Potem KSWO wydała RZS z datą wykonania dziewiątego maja, a ja pojechałem do Nassau zaczekać na fajerwerki. Byliśmy pewni, że temat przestanie istnieć, ale dowiedzieliśmy się o waszej sprawie przeciwko Metzgerowi i Barry’emu Shalesowi. Pan Walker kazał mi za wszelką cenę zatrzymać śledztwo. Och, Metzger nie miał pojęcia o moich działaniach. Tak, chciał, żeby Walker i wszyscy inni dostawcy pozbyli się dowodów i usunęli e-maile, ale nic więcej.

– Dobrze, tyle na początek wystarczy – oznajmiła Laurel. Skinęła głową Amelii Sachs. – Można go już odwieźć do aresztu.

Sachs miała jednak pytanie.

– Dlaczego u Walkera wyszedłeś po mnie do holu? Przecież to było ryzykowne. Mogłabym cię rozpoznać, kiedy mnie śledziłeś.

– Tak, ryzykowne. – Swann wzruszył ramionami. – Ale była pani dobra. Parę razy pokrzyżowała mi pani plany. Chciałem się przyjrzeć z bliska. Przekonać się, czy ma pani jakieś problemy. – Wskazał jej kolano. – No i się przekonałem. Gdyby w domu Bostona nie była pani o krok przede mną, mogłoby się skończyć inaczej.

Sachs wezwała kilku umundurowanych funkcjonariuszy, którzy pomogli Swannowi wstać i zaczęli go prowadzić do granatowo-białego pojazdu. Nagle przystanął i się odwrócił.

– Jeszcze jedna rzecz. W moim domu, w piwnicy... jest kobieta. Nazywa się Carol Fiori. Brytyjska turystka.

– Co? – zdumiała się Sachs. Do Laurel dopiero po chwili dotarło, co powiedział.

– To długa historia, w każdym razie jest w piwnicy.

– W piwnicy... Nie żyje? Jest ranna?

– Nie, nie. Cała i zdrowa. Może trochę znudzona. Siedzi przykuta kajdankami.

– Co z nią zrobiłeś, zgwałciłeś? – zapytała Laurel.

Swann wydawał się urażony takim podejrzeniem.

– Przygotowałem dla niej kolację, nic więcej. Szparagi, *pommes Anna* i moją własną wersję *veronique* – z ekologicznej cieleciny z winogronami i sosem *beurre blanc*. Sprowadzam to mięso ze specjalnej farmy w Montanie. Najlepsze na świecie. Nic w ogóle nie tknęła. Spodziewałem się tego. Ale chciałem spróbować. – Wzruszył ramionami.

– Co zamierzałeś z nią zrobić? – spytała Sachs.

– Nie wiem – odrzekł Swann. – Naprawdę nie wiem.

Kiedy Shreve Metzger dowiedział się, że miejsce zostało zabezpieczone, przez zadbane uliczki wyruszył służbowym samochodem z bazy do oddalonego o kilka przecznic domu swojego dyrektora administracyjnego.

Swojego przyjaciela.

Swojego Judasza.

Metzger ze zdumieniem zobaczył, że uroczy dom na przedmieściu, gdzie przed dwoma tygodniami zaproszono go na kolację, wygląda jak jedno z pól bitwy, które pamiętał z Iraku, jeśli nie liczyć bujnych trawników i zaparkowanych na uliczce obok lexusów i mercedesów. Drzewa się tliły, z okien domu Bostona unosiły się smużki dymu. Zapach zapewne weźre się w ściany na całe lata i nie pomoże nawet malowanie. O meblach i ubraniach w ogóle nie ma co wspominać.

Metzgera wypełnił jego własny Dym. Po raz setny tego dnia przemknęła mu przez głowę myśl: Jak mogłeś mi to zrobić, Spencer?

Zawsze gdy ktoś go znieważył – od niegrzecznego sprzedawcy kawy po tego zdrajcę – czuł zaciskające się jak stalowe imadło przemożne pragnienie, aby złapać drania, strzaskać mu kości, zabić!

Ale myśląc, że Boston nie będzie już miał takiego życia jak dotąd, Metzger uznał, że to wystarczająca kara. Dym się rozrzędził.

Czy to dobry znak, doktorze Fischer?

Prawdopodobnie. Ale czy spokój zostanie z nim na dłużej? Może tak, może nie. Dlaczego każda istotna walka musi trwać przez całe życie? Walka o utrzymanie wagi, o miłość, walka z gniewem...

Pokazał legitymację miejscowym policjantom, dał nura pod taśmą i ruszył w kierunku Lincolna Rhyme'a i Amelii Sachs.

Po słowach powitania poznał motyw, jaki skłonił jego dyrektora administracyjnego do ujawnienia RZS. Przyczyną jego grzechu nie był głos sumienia, ideologia ani pieniądze. Boston zrobił to po prostu dlatego, że został pominięty przy nominacji na szefa KSWO.

Metzger był w szoku. Po pierwsze, Boston zupełnie się nie nadawał na to wysokie stanowisko. Mimo wątlej postury i pozbawionych wyrazu oczu Metzger był mordercą. Najważniejsze jest to, co rozprasza twój Dym.

Spencer Boston z kolei był pracowitym i pedantycznym profesjonalistą, ekspertem od bezpieczeństwa narodowego, organizatorem, negocjatorem, graczem, człowiekiem, który załatwiał sprawy na ciemnych ulicach Managui czy Rio de Janeiro. Który nie miał pistoletu i chyba nie wiedziałby, jak go używać – ani by się nie odważył.

Co by zrobił z instytucją taką jak KSWO, której jedynym celem było likwidowanie ludzi?

Metzger wiedział jednak, że ambicje nie wywodzą się z logiki.

Pożegnał się chłodno z Rhyme'em i Sachs. Miał nadzieję na spotkanie oko w oko ze Spencerem Bostonem, ale Sachs poinformowała go, że dyrektor administracyjny pojechał do żony i dzieci do Larchmont. Nie został jeszcze oficjalnie aresztowany. Wciąż toczyły się dyskusje, jakie właściwie popełnił przestępstwo, jeśli w ogóle złamał prawo. Zresztą gdyby postawiono mu zarzuty, będą dotyczyły prawa federalnego, nie stanowego, więc rola policji Nowego Jorku była niewielka.

Nie miał tu nic więcej do roboty.

Spencer, jak mogłeś...

Shreve Metzger gwałtownie odwrócił się w stronę swojego samochodu.

I o mały włos nie zderzył się z niewysoką zastępczynią prokuratora okręgowego Nance Laurel.

Oboje zamarli, stojąc w odległości paru centymetrów od siebie.

Metzger milczał.

– Tym razem miał pan szczęście – powiedziała Laurel.

– Co to właściwie znaczy?

– Moreno zrzekł się obywatelstwa. Dlatego umorzono sprawę. To był jedyny powód.

Shreve Metzger zastanawiał się, czy ona każdemu tak spokojnie patrzy w oczy. Prawdopodobnie każdemu z wyjątkiem osoby, którą kocha. Tu byli tacy sami. Ciekawe, skąd, u licha, przyszło mu do głowy coś takiego.

– Jak udało się panu tego dokonać? – ciągnęła.

– Czego?

– Moreno naprawdę zrzekł się obywatelstwa? Te dokumenty z ambasady w Kostaryce były autentyczne?

– Oskarża mnie pani o utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości?

– Temu akurat na pewno jest pan winien – odparła. – To nie ulega wątpliwości. Postanowiliśmy nie

wysuwać tych zarzutów. Chcę się tylko dowiedzieć czegoś więcej o dokumentach zrzeczenia się obywatelstwa.

Oznaczało to, że odbyły się rozmowy telefoniczne między Waszyngtonem a Albany z poleceniem, by nie stawiać zarzutu utrudniania działaniom wymiarowi sprawiedliwości. Metzger zastanawiał się, czy to ma być pożegnalny prezent od Czarnoksiężnika. Pewnie nie. Taka sprawa nikomu nie wyszłaby na dobre.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat, pani prokurator. Proszę się zwrócić do Departamentu Stanu.

– Kim jest Raszid al-Barani?

A więc znała co najmniej dwie pozycje z kolejki RZS – Morena i al-Baraniego.

– Nie mogę z panią rozmawiać o operacjach KSWO. Nie ma pani odpowiedniego certyfikatu.

– Czy on nie żyje?

Metzger nie odpowiedział. Spokojnie wytrzymywał jej spojrzenie.

– Jest pan przekonany o winie al-Baraniego? – naciskała dalej.

Dym zakłębił się i zaczął się przesączać przez jego skórę jak przez pękniętą skorupkę jajka.

– Walker mnie wykorzystał – szepnął ostro. – Wykorzystał KSWO.

– Dał się pan wykorzystać. Usłyszał pan o Morenie to, co chciał pan usłyszeć, i przestał zadawać pytania.

Dym, gęste chmury Dymu.

– Co się stało, pani prokurator? Zawiedziona, że skończyło się rutynowym zabójstwem? Prezes firmy produkującej broń wydaje parę zleceń? Nuda. CNN nie zaciekawia się sprawą tak, jak mogłoby się zainteresować, gdyby do pudła trafił dyrektor federalnej agencji bezpieczeństwa.

Nie podjęła rękawicy.

– A Raszid al-Barani? Jest pan przekonany, że nie popełniono w jego sprawie błędów?

Metzger wbrew woli przypomniał sobie, jak Barry Shales – i on – omal nie wysadził w powietrze dwojga dzieci w Reynosie w Meksyku.

Wezbrała w nim ochota, żeby Laurel uderzyć. Albo zaatakować ją werbalnie, szydząc z jej wzrostu, szerokich bioder, przesadnego makijażu, bankructwa rodziców, nieudanego związku – tego się tylko domyślał, ale na pewno miał rację. Jego złość przez lata odcisnęła się sińcami i pręgami tylko na kilku osobach; słowami skrzywdził całe rzesze. To przez Dym. Dym odbierał ludzkie uczucia.

Po prostu odejść.

Odwrócił się.

– Jakie przestępstwo popełnił Raszid? – zapytała ze spokojem Laurel. – Mówił o Ameryce coś, co się panu nie podobało? Nakłaniał ludzi, żeby zaczęli kwestionować wartości i zasady moralne naszego kraju? ... Ale czy fundamentem Ameryki nie jest prawo do zadawania takich pytań?

Metzger zatrzymał się w pół kroku, odwrócił i warknął:

– Zdania prosto z naiwnych blogów, które są pełne takich banałów. – Znów stanął przed nią. – O co pani chodzi? Dlaczego tak się pani nie podoba to, co robimy?

– Bo robicie źle. Stany Zjednoczone to państwo praw, a nie ludzi.

– Rząd praw – poprawił ją. – John Adams. Ładnie brzmi. Ale kiedy przeanalizować to zdanie, nie wydaje się już takie proste. Rząd praw. Zgoda. Proszę pomyśleć: prawa wymagają interpretacji i przekazywania władzy na coraz niższe szczeble. Ludziom takim jak ja – którzy podejmują decyzje, jak stosować te prawa.

– Prawa nie przewidują sytuacji, w której ignoruje się właściwy przewód sądowy i arbitralnie dokonuje się egzekucji obywateli – odparowała.

– W moich działaniach nie ma nic arbitralnego.

– Nic? Zabija pan ludzi, których podejrzewa pan o zamiar popełnienia przestępstwa.

– No dobrze, pani prokurator. Co w takim razie można powiedzieć o policjancie na ulicy? Widzi człowieka w ciemnej alejce z czymś, co przypomina pistolet. Wygląda na to, że człowiek zamierza do kogoś strzelić. Policjant ma prawo zabić, zgadza się? Gdzie tu jest właściwy przewód sądowy, uzasadniony powód rewizji i konfiskaty, gdzie prawo do konfrontacji ze stroną oskarżającą?

– Ach, ale Moreno nie miał broni.

– Czasem ten facet w alejce ma tylko telefon komórkowy. I tak zostaje zastrzelony, bo postanowiliśmy dać policji prawo do wydawania wyroków. – Zaśmiał się gardłowo i ponuro. – A czy pani nie postępuje tak samo?

– To znaczy? – nasrożyła się.

– Gdzie mój właściwy przewód sądowy? Co z Barrym Shalesem?

Zmarszczyła brwi.

– Czy w trakcie dochodzenia zbierała pani dane na mój temat? – ciągnął. – Albo Barry'ego? Uzyskała pani poufne informacje na przykład od FBI? Czy „przypadkowo” nie weszła pani w posiadanie wiadomości przechwyconych przez Agencję Bezpieczeństwa?

Niezręczna chwila wahania. Czyżby rumieniła się pod tą białą maską?

– Każdy dowód, jaki przedstawiam przed sądem, spełnia absolutnie wszystkie warunki Czwartej Poprawki.

Metzger się uśmiechnął.

– Nie mówię o procesie. Mówię o nieuzasadnionym zbieraniu informacji w ramach śledztwa.

Laurel była zaskoczona. Nie odpowiedziała.

– Widzi pani? – szepnął. – Oboje interpretujemy, wydajemy wyroki, podejmujemy decyzje. Żyjemy w świecie pełnym szarości.

– Chcesz usłyszeć jeszcze jeden cytat, Shreve? Blackstone: „Lepiej, żeby dziesięciu winnych uszło kary, niż gdyby jedna niewinna osoba ją odcierpiała”. Tak właśnie działa mój system, pilnuje, żeby niewinni nie stali się ofiarami. Twój nie. – Wyciągnęła ze sfatygowanej torebki kluczyki. – Będę cię obserwować.

– W takim razie niecierpliwie czekam na spotkanie w sądzie, pani prokurator.

Odwrócił się i wrócił do samochodu. Usiadł za kierownicą, próbując się uspokoić, nie oglądając się za siebie. Oddychał.

Odpuść.

Pięć minut później drgnął na dźwięk dzwonka telefonu. Zobaczył na wyświetlaczu numer Ruth.

– Cześć.

– Hm, Shreve. Słyszałam. To o Spencerze... to prawda?

– Niestety. Później opowiem ci więcej. Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon.

– W porządku. Ale dzwonię w innej sprawie. Dostaliśmy wiadomość z Waszyngtonu.

Od Czarnoksiężnika.

– Chciał się umówić na rozmowę z tobą jutro po południu.

Plutony egzekucyjne zbierają się chyba o świcie?

– Zgoda – powiedział. – Prześlij mi szczegóły. – Przeciągnął się. Chrupnął staw. – Ruth?

– Tak?

– W jakim był nastroju?

Chwila ciszy.

– Sądząc po głosie... chyba nie za dobrym, Shreve.

– W porządku, Ruth, dziękuję.

Rozłączył się i spojrział na krzątanicę wokół domu Spencera Bostona. W powietrzu wciąż unosiły się kwaśne chemiczne opary.

Dym...

I już. Czy Moreno był winny, czy nie, to już nie miało znaczenia; Waszyngton miał mnóstwo powodów, żeby rozwiązać KSWO. Metzger wybrał na dyrektora administracyjnego informatora, a na dostawcę broni skorumpowanego prezesa, który kazał torturować i zabijać ludzi.

To koniec.

Metzger westchnął i wrzucił bieg, myśląc: Przepraszam cię, Ameryko. Robiłem wszystko co w mojej mocy.

**20 maja, sobota**

**VII**



## ROZDZIAŁ 93

O dziewiątej rano w sobotę Lincoln Rhyme jeździł po salonie i dyktował raport z zabezpieczenia i analizy dowodów do procesu Walkera i ugody ze Swannem.

Zwrócił też uwagę na wpis w kalendarzu na dużym monitorze.

Operacja piątek 26 maja. Być w szpitalu o 9 rano.

Po północy ŻADNEGO alkoholu. Nic. Ani kropli.

Uśmiechnął się, czytając drugą linijkę, autorstwa Thoma.

W domu panowała cisza. Jego asystent był w kuchni, a Sachs w swoim mieszkaniu na Brooklynie. Miała jakieś kłopoty z piwnicą i czekała na fachowca. Wieczorem umówiła się też z Nance Laurel – na drinka i kolację.

I obgadywanie facetów...

Rhyme cieszył się, że wbrew wszelkim przewidywaniom jednak zostały przyjaciółkami. Sachs nie miała ich wielu.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Rhyme usłyszał kroki Thoma w korytarzu. Po chwili opiekun wrócił w towarzystwie wysokiej postaci w brązowym garniturze, białej koszuli i zielonym krawacie, którego odcienia nie sposób było opisać.

Kapitan Departamentu Policji Nowego Jorku Bill Myers. Wydział do Zadań Specjalnych. Cokolwiek to mogło być.

Po powitaniach gość przybrał wylewny ton, prawiąc Rhyme'owi komplementy z powodu rozwiązania sprawy.

– W życiu nie przysłaby mi do głowy taka możliwość – mówił.

– Też byłem zaskoczony, że tak to się skończyło.

– Nie dziwię się. Wyciągnął pan całkiem przyzwoite wnioski.

Słowo „przyzwoity” określa tylko to, co jest społecznie akceptowane i nieobsceniczne, nie oznacza tego samego co „niezły” lub „dobry”. Ale nie da się zmienić człowiekowi języka, więc Rhyme nie puścił pary z ust. Zorientował się, że zapadła długa cisza, a Myers przygląda się chromatografowi gazowemu ze skupieniem, którego nie uzasadniały okoliczności – ani sam sprzęt.

Po chwili kapitan rozejrzał się po laboratorium i zobaczył, że są sami.

Wtedy Rhyme zrozumiał.

– Chodzi o Amelię, zgadza się, Bill?

Żałował, że użył jej imienia. Żadne z nich dwojga nie było przesądne, ale przestrzegali niepisanej

tradycji: nigdy nie zwracali się do siebie po imieniu.

– Tak. Rozmawiał z tobą Lon? O moich kłopotach z jej problemami zdrowotnymi?

– Rozmawiał.

– Naświetle ci problem – rzekł Myers. – Zostawiłem jej trochę czasu, żeby dokończyła sprawę, i poleciłem później zrobić badania. Ale postanowiłem nie iść tą drogą. Przeczytałem raport z zatrzymania w Glen Cove, kiedy razem z posterunkowym Pulaskim zdjęła Jacoba Swanna. W raporcie lekarz napisał, że jej kolano zupełnie odmówiło posłuszeństwa, kiedy podejrzany zauważył, że ją boli, i kopnął ją albo uderzył w staw. Gdyby na miejscu nie było Pulaskiego, zginęłaby. Spencer Boston prawdopodobnie też, może jeszcze kilku funkcjonariuszy z jednostki specjalnej podczas dynamicznego wejścia.

– Zatrzymała sprawcę, Bill – zauważył krótko Rhyme.

– Miała szczęście. Według raportu potem prawie nie mogła chodzić.

– Już się dobrze czuje.

– Dobrze?

Nie. Rhyme nie odpowiedział.

– Koń, jaki jest, każdy widzi, Lincoln. Nikt o tym nie rozmawia, ale to kłopotliwy fakt. Amelia naraża siebie i innych na niebezpieczeństwo. Chciałem porozmawiać o tym z tobą w cztery oczy. Zebraliśmy się i uradziliśmy decyzję. Awansujemy ją i zdejmujemy z terenu. Będzie nadzorować działania w wydziale specjalnym. Dostanie stopień sierżanta. Ale wiem, że będzie opór z jej strony.

Rhyme był wściekły. Kapitan mówił o jego Sachs, używając wyświechtanych powiedzeń.

Mimo to milczał.

– Musisz ją do tego przekonać, Lincoln – ciągnął kapitan. – Nie chcemy jej stracić, jest za dobra. Ale departament nie może jej trzymać, jeżeli będzie się upierała, że chce pracować w terenie. Jedyne wyjście to posadzić ją za biurkiem.

A co mogłaby robić po zakończeniu służby w policji? Zostać niezależnym konsultantem tak jak on? Ale to nie było w stylu Sachs. Znakomicie przeszukiwała miejsca zdarzenia, w czym pomagały jej wrodzona empatia i upór. Musiała jednak być gliniarzem w terenie, nieuwiązanym do laboratorium jak on. Kryminalistyka oczywiście nie była jej jedyną specjalnością; gdyby nie mogła popędzić na akcję uwalniania zakładników albo do zatrzymania na gorącym uczynku sprawcy napadu, uszłaby.

– Porozmawiasz z nią, Lincoln?

– Porozmawiam – odrzekł wreszcie.

– Dziękuję. Wiesz, że to dla jej dobra. Chcemy dla niej jak najlepiej. Skorzystają na tym wszyscy dookoła.

Kapitan uścisnął mu rękę i wyszedł.

Rhyme patrzył na stół, przy którym niedawno siedziała Sachs, pracując nad sprawą Morena. Wydawało mu się, że czuje woń jej ulubionego mydła z gardenią, chociaż było to chyba wspomnienie zapachu.

Porozmawiam...

Nagle odwrócił wózek i podjechał do tablic, przyglądając im się uważnie jak zawsze, czerpiąc przyjemność z elegancji i intrygującej natury dowodów.

## ROZDZIAŁ 94

Studzięciostopowy drobnicowiec, pyrkocząc silnikiem Diesla, sunął przez Morze Karaibskie, szeroką turkusową taflę wody, która była kiedyś domem piratów i szlachetnych okrętów wojennych, a dziś jest autostradą dla turystów i placem zabaw dla jednego procentu najbogatszych.

Statek płynął pod banderą Dominikany i miał trzydzieści lat. Silnik Detroit 16–149 napędzający jedną śrubę pozwalał mu rozwinać porządną prędkość trzynastu węzłów. Zanurzenie wynosiło piętnaście stóp, ale dziś dzięki lekkiemu ładunkowi powierzchnia wody sięgała dość nisko.

Nad nadbudówką wznosił się wysoki maszt, mostek był przestronny, ale zagracony sprzętem nawigacyjnym z drugiej ręki, przykręconym albo przywiązany do pokładu. Statek miał staroświeckie drewniane koło sterowe ze szprychami.

U steru stał krępy pięćdziesięciodwuletni Enrico Cruz. Tak się naprawdę nazywał, choć większość ludzi znała go tylko pod pseudonimem Henry'ego Crossa, nowojorczyka, który kierował kilkoma organizacjami non profit, a z nich największa i najbardziej znacząca nazywała się Klasy dla Ameryk.

Cruz był dziś na pokładzie sam, ponieważ człowiek, który miał mu towarzyszyć, został zamordowany przez rząd Stanów Zjednoczonych w apartamencie 1200 w South Cove Inn na Bahamach. Jeden strzał w klatkę piersiową sprawił, że Robert Moreno nie mógł wyruszyć w rejs z przyjacielem.

Cruz i Moreno znali się od dziesiątków lat, odkąd najlepszy przyjaciel Morena i brat Cruza José został zamordowany – tak, to właściwe słowo – przez amerykański śmigłowiec bojowy w Panamie podczas inwazji w 1989 roku.

Od tego czasu współpracowali, prowadząc razem wojnę z krajem, który beztrząsco najechał Panamę, jego ojczyznę, uznając, że dyktator, którego popierał od wielu lat, jest jednak niedobry.

W swojej kampanii przeciwko Stanom Zjednoczonym różnili się tylko metodą działania. Moreno bez ogródek i publicznie potępiał Amerykę, podczas gdy Cruz pozostawał anonimowy, co pozwalało mu organizować zamachy i zdobywać broń oraz pieniądze tam, gdzie mogły się przydać najbardziej. Ale trzon bezimiennego ruchu stanowili obaj, Cruz i Moreno.

Doprowadzili do śmierci blisko trzystu obywateli amerykańskich i obcokrajowców, którzy hołdowali zachodnim wartościom: biznesmenów, profesorów, polityków, funkcjonariuszy służb antynarkotykowych, dyplomatów i ich rodzin.

Były to pojedyncze, niewielkie zamachy, aby władze nie mogły ustalić żadnych związków między nimi. Ale na dziś planowali zupełnie inną akcję: potężne uderzenie wymierzone w polityczne, społecznie i biznesowe serce Ameryki. Moreno przygotowywał się do tego od wielu miesięcy – zerwał się obywatelstwa, zerwał wszystkie więzy łączące go ze Stanami Zjednoczonymi, przeniósł pieniądze ze Stanów na Kajmany, kupił dom na wenezuelskim pustkowiu – wszystko z myślą o dzisiejszej akcji.

Jaką bronią chcieli się posłużyć? Statkiem, który właśnie przecinał morskie fale.

Cruz jako rodowity Panamczyk przez prawie całe dzieciństwo i młodość obracał się w świecie żeglarzy; wiedział, jak kierować statkiem takiej wielkości. Poza tym dziś nie trzeba więcej niż podstawowych umiejętności przy sterze. Wystarczy sprawna załoga w maszynowni, a na mostku autopilot i GPS. I tyle. Czarną robotę doprowadzenia statku do miejsca przeznaczenia wykonywał komputer. Szli na północny zachód ku północy przez metrowe fale. Niebo miało barwę czystego błękitu, wiał wiatr o stałej sile, kropelki wody mieniły się jak w kalejdoskopie.

Statek nie miał już swojej nazwy. Został kupiony przez sieć prawdziwych, choć mało znanych firm, a dziś występował tylko pod numerem rejestracyjnym. Kiedyś jego podstawowe dane przechowywał plik w jakiejś komputerze w Dominikanie oraz wpis w papierowym rejestrze, ale dawno zostały skasowane i fizycznie wycięte.

Statek był anonimowy.

Cruz zastanawiał się, czy przed wypłynięciem z Nassau nie urządzić nieoficjalnego chrztu, aby mu nadać żeńską formę imienia jego przyjaciela – „Roberta”. Uznał jednak, że lepiej będzie nazywać go po prostu statkiem. Wypłowieciała czarno-szara farba przecinały żyłki rdzy. W jego oczach był jednak

piękny.

Cruz popatrzył na cel, do którego zmierzali, czarny punkt w odległości kilku kilometrów. GPS wyregulował system nawigacji, biorąc poprawkę na wiatr; nowy kurs został automatycznie przekazany do steru. Statek zareagował. Przyjemnie było czuć, jak taka wielka maszyna posłusznie wypełnia polecenia.

Otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna. Szczupły, czarnoskóry, z okrągłą, ogoloną na zero głową. Bobby Cheval miał na sobie dzinsy i drelichową koszulę z obciętymi rękawami, która wyglądała jak kamizelka. Był boso. Spojrzał na horyzont.

– Szkoda, co? – powiedział. – Nie zobaczy tego. Smutne.

Cheval był głównym kontaktem Morena na Bahamach.

– Może zobaczy – odparł Cruz. Nie wierzył w życie pozagrobowe i wiedział, że jego drogi przyjaciel Robert Moreno był tak samo zimny i martwy jak serce rządu, który go zabił, ale chciał pocieszyć Chevala noszącego na szyi krzyżyk z końskiego włosia.

Cheval, który miał stać na czele Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej na Bahamach, kiedy organizacja zacznie tam działać, odegrał znaczącą rolę w opracowaniu planu dzisiejszego wydarzenia.

– Jakież statki? Ślady obserwacji? – spytał Cruz.

– Nie, nie. Nic.

Cruz był pewien, że nikt nie podejrzewał, co się stanie. Byli bardzo ostrożni. Jediną chwilę niepokoju przeżył w tym tygodniu, gdy do jego biura Klas dla Ameryk przy Chambers Street przyszła ta seksowna ruda policjantka, żeby zapytać o pobyt Morena w mieście pierwszego maja. Z początku był zaskoczony, ale miał w życiu do czynienia z naprawdę nikczemnymi ludźmi – na przykład agentami Al-Kaidy i buntownikami ze Świetlistego Szlaku – trudno więc było go wytrącić z równowagi. Opowiedział detektyw Sachs prawdziwą historię o „białym facecie”, który śledził Roberta, na pewno z KSWO, oraz nieprawdziwą historię o tajemniczym prywatnym odrzutowcu.

Odwrócił jej uwagę niebieskim samolocikiem. Robertowi na pewno by się to spodobało.

– Łódź gotowa? – spytał Chevala.

– Tak. Jak blisko podpłyniemy, zanim zejdziemy z pokładu?

– Wystarczą dwa kilometry.

Pięciu członków załogi miało wtedy wsiąść do ślizgacza i skierować się w przeciwną stronę. Dalszą drogę statku będą śledzić w komputerze. W razie awarii GPS-u i autopilota mogli sterować zdalnie; na mostku była zamontowana kamera, aby widzieli, jak statek zbliża się do celu.

Właśnie na niego patrzyli.

Miami Rover był jedyną w tym rejonie platformą wiertniczą należącą do American Petroleum Drilling and Refining, zainstalowaną pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Florydy. Nazwa brzmiała nieco ironicznie; platforma nigdzie nie wędrowała<sup>4</sup>, a jedyną podróż odbyła tu z Teksasu, z prędkością około czterech węzłów.

<sup>4</sup> *Rove* – włączyć się, błąkać, wędrować.

Przed kilkoma miesiącami Moreno i Cruz postanowili, że ta firma naftowa będzie celem ich największej dotychczas akcji – wysłania najbardziej czytelnego „sygnału”; American Petroleum ukradł duże obszary ziemi w Ameryce Południowej i przesiedlił tysiące ludzi, oferując im żalosne zakwaterowanie w zamian za podpisy na aktach przeniesienia własności, których większość z nich nie potrafiła przeczytać. W zeszłym miesiącu Moreno zorganizował serię demonstracji w Stanach Zjednoczonych i innych miejscach. Protesty służyły dwóm celom. Po pierwsze, wyciągały na światło dzienne przestępstwa AmPet. Ale po drugie, utwierdzały wszystkich w przekonaniu, że Moreno tylko dużo mówi. Kiedy władze przekonały się, że nie planuje nic więcej poza demonstracjami, prawie całkiem przestały się nim interesować.

I nikt nie badał tropów, które mogłyby doprowadzić do ujawnienia tego, co miało dziś nastąpić – zderzenia statku z platformą Miami Rover. W momencie uderzenia miały eksplodować pięćdziesięciopięciogalonowe beczki wypełnione mieszanką oleju napędowego, nawozu i nitrometanu, niszcząc platformę.

Ale Moreno i Cruz uznali, że to nie wystarczy, choć posłuży sprawie. Śmierć około sześćdziesięciu robotników, zburzenie największej platformy wiertniczej na południowym wschodzie? Przypominało to samobójczy zamach tego żalosego faceta, który uderzył swoim samolotem w budynek urzędu skarbowego w Austin. Zabił kilka osób. Spowodował niewielkie uszkodzenia. Zakłócił ruch na ulicach.

Niebawem w stolicy Teksasu życie wróciło do normy.

To, co miało się tu stać, będzie znacznie gorsze.

Po pierwszym wybuchu, który zniszczy platformę, statek szybko zatoni. Na rufie znajdowała się druga bomba, która opadnie na dno w pobliżu głowicy odwiertu. Zapalnik hydrostatyczny zdetonuje następny ładunek, który zniszczy nie tylko osłonę, ale i pierścieniowe głowice przeciwerupcyjne. Z pozbawionego głowic odwiertu do oceanu popłynie ropa z prędkością stu dwudziestu tysięcy baryłek dziennie, ponad dwa razy więcej niż po katastrofie Deepwater Horizon w Zatoce Meksykańskiej.

Resztę zadania wykonają prądy i wiatr, które poniosą plamę ropy dalej, powodując zniszczenia większej części wschodniego wybrzeża Florydy i Georgii. Może nawet sięgną do Karoliny. Trzeba będzie zamknąć porty, żegluga i turystyka zostaną przerwane na nieokreślony czas, odczują to kieszenie milionów ludzi.

– Amerykanie chcą ropy do swoich samochodów, klimatyzatorów i kapitalistycznych firm – mówił

Roberto. – No więc dostaną. Będą mogli tonąć w ropie, którą im damy!

Czterdzieści minut później statek znalazł się w odległości trzech kilometrów od platformy Miami Rover.

Enrico Cruz ostatni raz sprawdził wskazania GPS-a, po czym razem z Chevałem opuścili mostek.

– Wszyscy do łodzi – zakomenderował Cruz.

Pobiegł do cuchnącej ładowni dziobowej, gdzie chlupotała szlamowata woda, i sprawdził główną bombę. Wszystko w porządku. Uzbroid ją. To samo zrobił z drugą, która miała zniszczyć głowice przeciwwybuchowe.

Wybiegł na kołyszący się pokład. Rzucił okiem nad dziobem. Tak, szli prosto na platformę. Przyjrzał się potężnej konstrukcji – wznosiła się dobre trzydzieści metrów nad powierzchnią. Nie było widać żadnych robotników. Jak zwykle. Nikt na platformie nie tracił czasu, leniuchując na rozgrzanym w słońcu metalowym pokładzie, wpatrując się w puste morze. Ciężko pracowali w środku albo spali, czekając na następną zmianę.

Cruz podbiegł do burty i zszedł po sznurkowej drabince do motorówki, gdzie czekał Cheval i pozostali członkowie załogi.

Zawarczał silnik.

Ale zanim odpłynęli, Cruz pocałował opuszki swoich palców, potem dotknął plam rdzy na kadłubie i szepnął:

– To dla ciebie, Roberto.

## **ROZDZIAŁ 95**



Gromadka pasażerów na pokładzie dziobowym statku pasażerskiego pozowała do zdjęć Jimmy'emu z New Jersey, nazywanemu tak dla odróżnienia od Jima z Cleveland i Jima z Londynu (Brytyjczyk wolał, żeby mówiono mu „James”, ale ponieważ był na wakacjach, chętnie przystał na warunki pozostałych).

Zaprzyjaźnili się w ciągu paru dni, które upłynęły, odkąd liniowiec wypłynął z Hamilton na Bermudach, i lekko wstawieni spędzili pierwsze popołudnie na znajdowaniu zaskakujących podobieństw swoich zawodów, liczby dzieci... i imion.

Czterech Jimów, dwie Sally.

Jim z Kalifornii był na dole, ale nie pomagały ani plaster, ani dramamine, więc nie mógł się znaleźć na fotografii.

Jim z New Jersey ustawił wszystkich na tle nadburcia, jak powiedział, choć nikt nie wiedział, co to właściwie jest – on też – ale słowo brzmiało bardzo żeglarsko i zabawnie.

– Nikt nie śpiewa piosenki z „Titanica”.

Często się to słyszało, zwłaszcza że bary były otwarte do późnej nocy, ale prawda była taka, że bardzo niewiele osób potrafiło wykonać ckliwy utwór tak jak Céline Dion.

– To Floryda? – zapytał ktoś. Jim z New Jersey przypuszczał, że któraś Sally.

Zobaczył ciemną linię na horyzoncie, ale to pewnie była tylko warstwa chmur.

– Chyba jeszcze nie.

– A tam? To jakiś budynek.

– Ach, platforma wiertnicza. Pierwsza w tej części Atlantyku. Nie oglądałaś wiadomości? Jakiś rok temu. Znaleźli ropę między Nassau a Florydą.

– Znaleźli? Kto? Zawsze mówi się „oni”. Zrobisz w końcu to zdjęcie? Margarita mi się topi.

– US Petroleum, American Petroleum Drilling. Nie pamiętam.

– Nie cierpię tego – mruknęła Sally z Chicago. – Widzieliście ptaki w zatoce? Całe oblepione ropą. To było okropne. Aż się rozplakałam.

– Przez parę miesięcy nie można było kupić dobrych krewetek.

Fotograf skończył ustawiać modeli na tle nadburcia i zaczął naciskać migawkę canona.

Pstryk, pstryk, pstryk, pstryk, pstryk...

Tyle razy, żeby na pewno nie uchwycić kogoś z zamkniętymi oczami.

Kiedy dowód wspaniałych wakacji został utrwalony na krzemowej karcie, turyści spojrzeli w morze i rozmowy zeszyły na kolację, zakupy w Miami, hotel Fontainebleau i czy posiadłość Versacego jest jeszcze otwarta dla zwiedzających?

– Podobno miał prysznic na osiem osób – powiedział Jim z Londynu.

Claire wyraziła powątpiewanie.

– Jasna cholera! – krzyknął Jim z New Jersey.

– Kochanie! – upomniała go żona.

Ale aparat znów powędrował w górę i zanim dobiegł ich huk eksplozji, wszyscy odwrócili głowy i utkwili spojrzenia w ogromnym grzybie, który uniósł się chyba na trzysta metrów.

– Jezu! To ta platforma!

– Nie, nie!

– Boże! Niech ktoś gdzieś zadzwoni!

Pstryk, pstryk, pstryk, pstryk...

## **ROZDZIAŁ 96**

Jakie zniszczenia?

Shreve Metzger w dzinsach i białej koszuli z długimi rękawami, która w połowie wystawała ze spodni, pochylił się nad monitorem komputera, wpatrując się w chmurę dymu i mgły na Morzu Karaibskim.

– Nic nie zostało – powiedziała operatorka łączności z KSWO siedząca przy pulpicie obok niego,

młoda kobieta z włosami ściągniętymi w tak ciasny kok, że musiał jej sprawiać ból. Miała obojętny głos.

Na ekranie było wyraźnie widać, że rzeczywiście pozostała tylko plama ropy i jakieś szczątki.

I dym. Mnóstwo dymu.

Lincoln Rhyme i Amelia Sachs oraz Metzger i operatorka znajdowali się w zewnętrznym pomieszczeniu stacji kontroli naziemnej KSWO w kontenerze przy Rector Street na dolnym Manhattanie. Na parkingu.

Rhyme przyglądał się kawałkom drewna, plastiku i połyskującej plamie ropy w miejscu, gdzie jeszcze pół minuty temu był dominikański studzięciostopowy drobnicowiec, którego przyjaciel Roberta Morena Henry Cross alias Enrico Cruz prowadził w kierunku Miami Rover, platformy wiertniczej należącej do American Petroleum Drilling and Refining, niedaleko wybrzeża Florydy.

Operatorka dotknęła słuchawek.

– Dyrektorze, mamy informacje o drugiej eksplozji, pod wodą. Na głębokości około dwudziestu pięciu metrów.

Chwilę później na ekranie wysokiej rozdzielczości zobaczyli bulgotanie wody na powierzchni. To wszystko. Rhyme przypuszczał, że bez względu na wielkość drugiej bomby, która miała zniszczyć głowicę wiertniczą, taka ilość wody musiała znacznie złagodzić siłę wybuchu.

Spojrzał przez szklaną ścianę dzielącą kontener na pół: to był Pokój Straceń stacji kontroli naziemnej. W przyćmionym świetle rysowała się sylwetka człowieka, który właśnie spowodował zniszczenia – i ocalił życie ludzi pracujących na platformie, a także dużą część wschodniego wybrzeża Florydy.

Barry Shales, nie wiedząc, że jest obserwowany, był w sterowni drona. Rhyme'owi przypominało to kokpit samolotu. Shales, lekko wychylony do przodu, wyraźnie dość rozluźniony, siedział na wygodnym fotelu z beżowej skóry, mając przed oczami pięć monitorów. Zaciskał dłonie na drążkach, choć od czasu do czasu przekręcał lub naciskał któreś z około setki pokręteł, gałek, przełączników i klawiszy komputerowych.

Rhyme zauważył, że ktoś zamocował do fotela pas bezpieczeństwa, który rozpięty zwisał na podłogę. Na pewno jakiś żart.

Shales przebywał sam w pomieszczeniu, które było chyba dźwiękoszczelne, prawdopodobnie po to, żeby nie rozpraszały go głosy współpracowników – lub gości, którymi dziś byli Rhyme i Sachs. Wysyłanie śmiertelnych sygnałów z nieba niewątpliwie wymagało najwyższego skupienia.

Operatorka, która również miała bezpośrednie połączenie z ochroną American Petroleum na platformie, sama także stukwała w klawisze, zadawała pytania i przekazywała odpowiedzi Metzgerowi, Rhyme'owi i Sachs.

– Jest potwierdzenie braku uszkodzeń Miami Rover i głowicy przeciwwybuchowej. Nikt nie odniósł obrażeń, nie licząc bólu uszu.

Nic dziwnego, gdy potężna bomba z nawozu azotowego eksploduje w odległości kilometra.

Przeglądając dowody pół godziny temu, Rhyme nagle uświadomił sobie, że to i owo się nie zgadza. Zadzwoił do kilku osób i doszedł do wniosku, że niebawem może dojść do zamachu. Skontaktował się z Metzgerem. Nastąpiły gorączkowe narady w Waszyngtonie i siedzibie KSWO. Podważanie myśliwców wojskowych wymagało zbyt długiej procedury i decyzji z Pentagonem włącznie; uzyskanie zgody mogło trwać godzinami.

Metzger oczywiście miał rozwiązanie. Zwrócił się z prośbą do Barry’ego Shalesa, który jechał właśnie do biura po swoje rzeczy – Metzger wyjaśnił, że pilot postanowił opuścić KSWO.

Słyszając o strasznych skutkach, jakie mógłby spowodować atak, i o tym, że już za kilka minut nadejdzie wyznaczona godzina, były oficer sił powietrznych niechętnie zgodził się pomóc. Wystartował z bazy Homestead dronem, który znalazł się tuż nad drobnicowcem i stanął w zawisie. Statek był najwyraźniej pusty; widzieli, jak załoga wsiadła na pokład motorówki i uciekła. Kiedy radiowe komunikaty wzywające drobnicowca do zmiany kursu pozostały bez odpowiedzi, Shales wystrzelił rakietę Hellfire, która trafiła w dziobową ładownię, gdzie, jak zakładał Rhyme, mogła się znajdować bomba.

W dziesiątkę.

Shales skierował drona w inną stronę i zaczął śledzić małą łódź motorową z załogą, która przed dwudziestoma minutami porzuciła statek. Na monitorze ukazał się czarny ślizgacz z długim dziobem, który mknął po falach, oddalając się od platformy i miejsca wybuchu.

W głośniku zamontowanym na suficie Rhyme usłyszał głos Barry’ego Shalesa:

– BSP cztery osiem jeden do Centrum Floryda. Mam w zasięgu drugi cel i namierzam. Odległość od celu tysiąc osiemset metrów.

– Zrozumiałem, cztery osiem jeden. Zmniejsz odległość do tysiąca metrów.

– Przyjąłem, Centrum Floryda. Cztery osiem jeden.

Rhyme ujrzał na monitorze Henry’ego Crossa i marynarzy, którzy porzucili statek i uciekali przed niebezpieczeństwem. Z mowy ciała wynikało, że są zaniepokojeni i nie wiedzą, co się dzieje. Najprawdopodobniej nie słyszeli drona i nie widzieli pocisku, sądzeni więc, że przedwczesną eksplozję spowodowała jakaś usterka bomby. Może myśleli: Boże, przecież to się mogło stać, kiedy byliśmy na pokładzie.

– Cztery osiem jeden do Centrum Floryda. Odległość tysiąc. Druga jednostka na celu. Przy tej prędkości za dziesięć minut zdążą do Harrogate Cay i będą pod osłoną. Proszę o wskazówki.

– Przyjąłem. Wzywamy ich na głównych częstotliwościach. Na razie brak odpowiedzi.

– Zrozumiałem. Cztery osiem jeden – odrzekł spokojnie Shales.

Rhyme z niepokojem zerknął na Sachs. Jej twarz wyrażała ten sam niepokój. Czyżby mieli oglądać samowolną egzekucję sześciu osób?

Zostali przyłapani na akcie terrorystycznym, ale niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Poza tym czy wszyscy byli terrorystami? – pomyślał Rhyme. A jeżeli jest wśród nich niewinny marynarz, który nie miał pojęcia o ładunku i misji?

Nagle zrozumieli w całej ostrości istotę sporu między Shreve'em Metzgerem a Nance Laurel.

– Cztery osiem jeden, tu Centrum Floryda. Brak odpowiedzi na wezwanie. Masz zezwolenie na zrzut ładunku.

Rhyme zobaczył, jak Barry Shales sztywnieje.

Przez chwilę siedział zupełnie bez ruchu, po czym wyciągnął rękę i uchylił klapkę na przycisku w panelu, który miał przed sobą.

Shreve Metzger powiedział do leżącego przed nim mikrofonu:

– Barry. Strzel z karabinu przez dziób.

Shales powiedział z głośnika:

– BSP cztery osiem jeden do Centrum Floryda. Nie zrzucam ładunku. Przechodzę w tryb KDZ.

– Zrozumiałem, cztery osiem jeden.

W Pokoju Straceń Barry Shales manipulował drążkiem, wpatrując się w ekran z pędzącą motorówką. Dotknął czarnego panelu. Po krótkiej chwili w upiornej ciszy metr przed dziobem łodzi wzbily się po kolei trzy wąskie słupy wody.

Wąski ślizgacz pruł dalej, choć wszyscy na pokładzie rozglądali się dookoła. Kilku marynarzy wyglądało na bardzo młodych, mogli mieć nie więcej niż kilkanaście lat.

– Centrum Floryda do cztery osiem jeden. Prędkość celu bez zmian. Nadal masz zezwolenie na zrzut ładunku.

– Zrozumiałem. Cztery osiem jeden.

Przez chwilę nic się nie działo. Ale nagle łódź gwałtownie przechyliła się i zwolniła, a potem zatrzymała się na wodzie. Dwóch marynarzy wskazywało niebo, chociaż daleko od obiektywu kamery. Nie widzieli drona, ale wszyscy zrozumieli, gdzie jest nieprzyjaciel.

Niemal jednocześnie podnieśli ręce.

To, co potem nastąpiło, wyglądało komicznie. Woda była wzburzona, a łódź mała. Próbowali utrzymać równowagę, ale bali się, że jeśli opuszczą ręce, z nieba spadnie na nich śmierć. Przypominali grupkę pijanych usiłujących tańczyć.

– Centrum Floryda do BSP cztery osiem jeden. Ścigani się poddają. Marynarka wezwała patrolowiec typu Cyclone, „Firebrand”. Idzie z prędkością trzydziestu węzłów. Przytrzymaj cel na wodzie do jego przybycia, około trzech minut.

– Zrozumiałem. Cztery osiem jeden.

## ROZDZIAŁ 97

Barry Shales zamknął drzwi do Pokoju Straceń i nie zwracając uwagi na Shreve’a Metzgera, podszedł do Rhyme’a i Sachs. Skinął głową.

Policjantka wyraziła podziw dla umiejętności, jakimi się wykazał za sterami drona.

– Przepraszam, BSP.

– Tak – odparł obojętnym tonem, odwracając oczy. Jednym z powodów jego powściągliwości mógł być fakt, że stał przed dwojgiem ludzi, którzy wcześniej zamierzali postawić mu zarzut morderstwa. Choć po namyśle Rhyme uznał, że nie. Pilot po prostu był bardzo zamknięty w sobie.

Może ktoś z takimi umiejętnościami jak on psychicznie i emocjonalnie częściej przebywa w zupełnie innym miejscu.

Shales zwrócił się do Rhyme’a:

– Musieliśmy działać dość szybko. Nie miałem okazji zapytać, jak pan się domyślił, że planowali zamach na platformę.

– Były pewne dowody, które pozostawały zagadką – odparł kryminalistyk.

– Ach tak, ktoś mówił, że jest pan carem dowodów.

Rhyme uznał, że nawet mu się podoba to trafne określenie. Będzie je musiał zapamiętać.

– Szczególnie parafina z rozgałęzioną cząsteczką, węglowodór aromatyczny, cykloalkan... aha, i parę alkenów.

Shales dwa razy zamrugał.

– Używając powszechniej znanej nazwy, ropa naftowa – wyjaśnił Rhyme.

– Ropa naftowa?

– Właśnie. Na butach i ubraniu Morena i jego ochroniarza znaleziono jej śladowe ilości. Musiały się tam znaleźć przed pańskim atakiem dziewiątego maja, kiedy przebywali poza South Cove Inn na jakichś spotkaniach. Wcześniej to zlekceważyłem – na Bahamach są rafinerie i magazyny ropy. Ale potem uświadomiłem sobie coś jeszcze: rano w dniu zamachu Moreno spotkał się z jakimiś biznesmenami w sprawie rozpoczęcia dostaw i prac rolniczych w ramach jego Ruchu Wspierania Podmiotowości Lokalnej. Dowiedzieliśmy się też wcześniej, że przed kilkoma tygodniami do jego firm przywieziono nawóz, olej napędowy i nitrometan. Jeżeli firmy jeszcze nie zaczęły działać, po co miałyby kupować chemikalia?

– Powiązał pan ropę naftową i prawdopodobieństwo budowy bomby.

– Ze wstępnych informacji o planach Morena na dziesiątego maja wiedzieliśmy o tej platformie. Ponieważ Moreno tak otwarcie występował przeciwko American Petroleum Drilling and Refining, może jednak firma istotnie była celem – nie tylko protestów, ale i zamachu. Myślę, że w niedzielę albo w poniedziałek poszedł spotkać się z robotnikami z platformy – może chciał zebrać aktualne informacje o ochronie. Aha, i jeszcze coś nie miało sensu. Sachs pierwsza na to wpadła.

– Kiedy Moreno przyjechał do Nowego Jorku – powiedziała – miał tylko jedno spotkanie, na które nie zabrał tłumaczki – z Henrym Crossem, szefem fundacji Klasy dla Ameryk. Dlaczego? Większość spotkań wydawała się niewinna – Moreno nie pozwoliłby jej tłumaczyć, gdyby rozmowa dotyczyła czegoś nielegalnego. Ale spotkanie z Crossem? Jeżeli było niewinne, dlaczego Lydia Foster nie mogła w nim uczestniczyć, nawet jeśli nie musiała tłumaczyć? Z tego wniosek, że nie było aż tak niewinne. Cross powiedział mi o tajemniczym niebieskim samolocie, który często widział Moreno. Otóż nie mogliśmy znaleźć informacji o żadnych niebieskich odrzutowcach, które lądowały albo startowały, kiedy Moreno był na lotnisku.

– Fundacja Klasy dla Ameryk – podjął Rhyme – miała biura w Nikaragui, skąd dostarczono olej napędowy, nawóz i nitrometan. To za dużo jak na zbieg okoliczności. Sprawdziliśmy Crossa i okazało się, że naprawdę nazywa się Cruz i łączy go z Morenem wspólna przeszłość. To brat Cruza był najlepszym przyjacielem Morena, który zginął podczas inwazji na Panamę. Przez to Moreno stał się wrogiem Stanów Zjednoczonych. Zebraliśmy dane o podróżach i kartach kredytowych Cruza i

dowiedzieliśmy się, że wczoraj wyjechał z Nowego Jorku do Nassau.

Mój kontakt z bahamskiej policji odkrył, że on i Moreno miesiąc temu wyczarterowali statek. Dzień rano wyszedł z portu. Policja zrobiła nalot na magazyn, przy którym statek był przycumowany, i znalazła ślady składników materiałów wybuchowych. To mi wystarczyło. Zadzwoiłem do Shreve'a. On zadzwonił do pana.

– Czyli Moreno jednak nie był niewinny – wyszeptał Shales, spoglądając na Metzgera.

– Zlikwidował pan przestępcę, pilocie – odrzekła Sachs.

Shales spojrział na swojego szefa. Wyraz jego niebieskich oczu był niejednoznaczny. Można w nich było wyczytać sprzeczne informacje. Jedna z nich brzmiała: miałeś rację, Shreve. Jednak miałeś rację.

– To nie był jego jedyny projekt tego rodzaju – dodał Rhyme. Powiedział im o fragmencie przechwyconej rozmowy, który podczas pierwszego spotkania w poniedziałek przeczytała im Nance Laurel.

„Mam w planach znacznie więcej takich sygnałów”...

– Barry – odezwał się Metzger. – Chcę odprowadzić naszych gości. Mógłbyś potem przyjść pogadać do mojego gabinetu? Proszę.

Chwila milczenia godna Nance Laurel. Wreszcie pilot skinął głową.

Metzger towarzyszył im do wyjścia, potem przez parking, i serdecznie im podziękował.

Za bramą Rhyme zjechał z chodnika pochylnią w kierunku vana czekającego po drugiej stronie ulicy. Za kierownicą siedział Thom. Sachs zeszła z krawężnika. Rhyme zobaczył, że się skrzywiła, cicho sycząc z bólu.

Ukradkiem zerknęła w jego stronę, sprawdzając, czy zauważył jej grymas, a potem szybko odwróciła głowę.

To go zabolalo. Jak gdyby właśnie go okłamała.

Odplacił jej tym samym: udał, że nic nie zauważył.

Do samochodu został im jeszcze kawałek. Nagle Rhyme zatrzymał wózek Merits pośrodku chodnika.

Odwróciła się do niego.

– O co chodzi, Rhyme?

– Sachs, musimy o czymś porozmawiać.



## ROZDZIAŁ 98

O umówionej godzinie zadzwonił telefon.

Cokolwiek by o nim mówić, Czarnoksiężnik był punktualny.

Shreve Metzger, siedząc za swoim biurkiem w prawie pustym w sobotnie popołudnie biurze KSWO, spojrział na mrugające światełko swojego magicznego telefonu, słuchając z uwagą dzwonka. Uznał, że brzmi jak głos ptaka. Wahał się, czy odebrać.

I pogodzić się z tym, że już nigdy do niego nie zadzwoni.

– Metzger.

– Shreve! Co u ciebie? Słyszałem, że bardzo ciekawie się dzieje. Long Island. Kiedyś byłem członkiem Meadowbrook, wiedziałeś? Nie grasz w golfa, co?

– Nie.

Powstrzymał się od tytułowania.

Głos w słuchawce znów stał się czarnoksiężski, cichy i ochryply.

– Rozmawialiśmy o zarzutach przeciwko Spencerowi.

– Moglibyśmy mu wytoczyć sprawę... gdybyśmy chcieli. – Metzger zdjął swoje nijakie okulary, przetarł szkła i nałożył je z powrotem. W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, ujawnienie poufnych materiałów nie było w tym kraju przestępstwem, chyba że szpiegowało się dla innego państwa.

– Hm, tak, oczywiście trzeba będzie przeanalizować priorytety.

Czarnoksiężnik miał niewątpliwie na myśli public relations. Być może rozsądniej byłoby nie ruszać

tej sprawy, chyba że dowiedziałyby się o niej media.

Metzger wyciągnął obciążki do paznokci. Ale nie miał już czego obcinać. Obracał je w roztargnieniu na biurku. Po chwili schował.

– Dobrze poradziliście sobie z tym incydentem na Florydzie. Ciekawe, że złe dane zmieniły się w dobre. Czary. David Copperfield. Houdini.

– Wszyscy siedzą w areszcie.

– Bardzo miło mi to słyszeć. – Jak gdyby zdradzając mu hollywoodzką plotkę, Czarnoksiężnik rzekł:  
– Mam ci coś do powiedzenia, Shreve. Słuchasz?

Jak wesoło ogłosisz mi wyrok śmierci?

– Tak. Słucham.

– Miałem telefon od znajomego z Langley. O pewnej osobie, która niedawno była w *Mexico*.

– Pewien osobnik – powtórzył Czarnoksiężnik. – Pamiętasz go?

– W Reynosie – powiedział Metzger.

– Właśnie. I wiesz co? Odpoczywa teraz pod Santa Rosa, niedaleko Tijuany.

– Naprawdę?

– Owszem. I najwyraźniej nadal planuje dostarczać tę swoją specjalność w najbliższej przyszłości. Bardzo bliskiej.

Czyli al-Barani przeniósł się na zachodnie wybrzeże, żeby się tam ukryć.

– Widziano go z jakimiś współpracownikami, ale ci znajomi rano wyjadą. I nasz przyjaciel jutro cały dzień będzie całkiem sam w przytulnym domku. Dobra wiadomość jest taka, że miejscowa izba turystyki nie ma absolutnie nic przeciwko naszemu przyjazdowi. Zastanawiam się, czy mógłbyś sporządzić jakieś skorygowane plany podróży i przesłać nam do akceptacji. Szczegóły są w drodze.

Nowy RZS?

Czyli mnie nie wyrzuca?

– Oczywiście, zaraz się tym zajmę. Ale...

– Tak? – zainteresował się Czarnoksiężnik.

– Co z tymi naradami? – zapytał Metzger. – Na temat budżetu?

Cisza.

– Och, komisja zajęła się innymi sprawami. – Po chwili Czarnoksiężnik rzekł surowym tonem: – Gdyby były jakieś problemy, wspomniałbym ci o nich, nie sądzisz?

– Z pewnością. Oczywiście.

Trzask!

**26 maja, piątek**

**VIII**

**Kiedy jesteś w ruchu...**

## ROZDZIAŁ 99

Poranek przed operacją.

Rhyme w towarzystwie Sachs i Thoma szybko jechał szpitalnym korytarzem do poczekalni sali operacyjnej oddziału chirurgii, gdzie pacjenci mogą się spotykać z rodziną i przyjaciółmi, dopóki nie przyjdą po nich, żeby położyć ich pod nóż.

– Nie cierpię szpitali – oświadczyła Sachs.

– Naprawdę? Dlaczego? – Rhyme był w całkiem dobrym nastroju. – Personel bywa uroczy, jedzenie wyśmienite. Najnowsze numery czasopism. I wszystkie te cuda i wyczyny nowoczesnej medycyny... Wybacz kiepski rym.

Sachs parsknęła krótkim śmiechem.

Czekali zaledwie pięć minut, po których do pokoju wkroczył lekarz i podał wszystkim dłoń, uważnie przyglądając się pracującym stawom prawej ręki i palców Rhyme'a.

– Dobrze – pochwalił. – Bardzo dobrze.

– Staram się, jak mogę.

Lekarz wyjaśnił to, co wszyscy już wiedzieli: że operacja potrwa trzy godziny, może trochę dłużej. Należy oczekiwać, że będzie konieczna godzina pobytu na sali pooperacyjnej. Zaraz po zakończeniu operacji przyjdzie do nich chirurg i opowie, jak przebiegła.

Emanując pewnością siebie, doktor poszedł się umyć i przebrać.

Pojawiła się pielęgniarka, ładna Afroamerykanka w stroju operacyjnym ozdobionym pieskami, i przedstawiła się z szerokim uśmiechem. Może się wydawać straszne, że usypiają człowieka,

otwierają, a potem składają z powrotem. Niektórzy medycy nie rozumieją tej traumy, ale ta kobieta na pewno rozumiała i starała się rozwiązać wszystkie obawy. W końcu zapytała: – Gotowa?

Amelia Sachs pochyliła się i pocałowała Rhyme'a w usta. Potem wyprostowała się i utykając, poszła z pielęgniarką w głąb korytarza.

– Będziemy w sali pooperacyjnej, kiedy się obudzisz! – zawołał za nią Rhyme.

Przystanęła.

– Nie wygłupiaj się. Wracaj do domu. Rozwiąż jakąś sprawę czy coś.

– Będziemy w pooperacyjnej – powtórzył, kiedy zniknęła za zamykającymi się drzwiami.

Po chwili ciszy spytał Thoma:

– Nie masz przypadkiem przy sobie jakiejś miniaturki whisky? Z lotu do Nassau?

Uparł się, żeby jego asystent przemycił na pokład buteleczki szkockiej, chociaż dowiedział się, że w pierwszej klasie można dostać tyle alkoholu, ile dusza zapagnie – lub ściślej mówiąc, na ile pozwoli opiekun.

– Nie i nie dałbym ci, nawet gdybym miał. Jest dziewiąta rano.

Rhyme spojrzał na niego spode łba.

Jeszcze raz popatrzył na drzwi, za którymi zniknęła Sachs.

„Nie chcemy jej stracić, jest za dobra. Ale departament nie może jej trzymać, jeżeli będzie się upierała, że chce pracować w terenie”...

Tak, posłuchał próśb Billa Myersa i porozmawiał z Sachs.

Choć przekazał jej nieco inną wiadomość, niż życzył sobie kapitan.

Dla Amelii Sachs nie wchodziły w grę ani praca za biurkiem w policji, ani wcześniejsza emerytura, ani zajęcie konsultanta. Aby uniknąć tego koszmaru, pozostawało tylko jedno wyjście. Rhyme skontaktował się z doktorem Vikiem Barringtonem i dostał od niego nazwisko najlepszego chirurga w mieście specjalizującego się w leczeniu ostrych przypadków artretyzmu.

Lekarz powiedział, że być może będzie umiał pomóc; rozmowa Rhyme'a z Sachs przed siedzibą KSWO w sobotę dotyczyła możliwości poddania się przez nią zabiegowi, który by poprawił sytuację... i pozwolił jej dalej pracować w terenie. Nie siedzieć za biurkiem, jak proponował Myers.

Ponieważ Sachs nie cierpiała na reumatoidalne zapalenie stawów – chorobę układu odpornościowego, która dotyka wszystkich stawów – ale na znacznie częściej spotykaną chorobę

zwyrodnieniową, była na tyle młoda, by operacja biodra i kolana dała jej co najmniej kilkanaście lat normalnego życia, zanim konieczna będzie wymiana stawu.

Po długim wahaniu w końcu się zgodziła.

Rhyme przyglądał się około dziesięciu osobom w poczekalni, parom, samotnym i rodzinom. Niektórzy siedzieli bez ruchu, inni prowadzili ożywioną rozmowę, inni byli wyraźnie zdenerwowani, niektórzy odprawiali całe rytuały odwracania uwagi: mieszali kawę, otwierali szeleszczące opakowania cukierków i chrupek, czytali czasopisma, pisali SMS-y albo grali w gry wideo na telefonach.

Rhyme zauważył, że w przeciwieństwie do nowojorskich ulic absolutnie nikt nie poświęca mu więcej niż milisekundę uwagi. Siedział na wózku; to był szpital. Tutaj to było normalne.

– Mówiłeś doktorowi Barringtonowi, że odwołujesz swoją operację? – spytał go Thom.

– Mówiłem.

Asystent milczał przez chwilę. „Times” w jego rękach nieco opadł. Jak na dwóch ludzi, których okoliczności i profesja połączyły tak nierozzerwalnymi i w pewnym sensie intymnymi więzami, nigdy nie czuli się swobodnie, rozmawiając o sprawach natury osobistej. Zwłaszcza Lincoln Rhyme. Zdziwił się jednak, że całkiem spokojnie może się przyznać przed Thomem: – Wtedy na Bahamach coś się stało.

Patrzył na dwoje ludzi w średnim wieku, którzy nieszczercze pocieszali się nawzajem. Czyj los ich niepokoił? Starszego ojca? A może małego dziecka?

Różnica była ogromna.

– Na tym cyplu, gdzie szukaliśmy gniazda snajpera – ciągnął Rhyme.

– Gdzie wskoczyłeś do wody, żeby sobie popływać.

Kryminalistyk przez chwilę się nie odzywał, przeżywając nie okropność tamtego zetknięcia się z wodą, ale chwile tuż przedtem.

– Mogłem łatwo wydedukować, że ten złoty mercury znowu się pojawi.

– Jak?

– Pamiętasz faceta w pikapie? Który wyrzucał śmieci do rowu?

– Tego, który okazał się przywódcą.

– Zgadza się. Dlaczego pojechał na sam koniec cypla, żeby wyrzucić worki? Kilometr wcześniej było otwarte wysypisko, zaraz przy South West Road. Poza tym kto rozmawia przez komórkę, dzwigając ciężkie worki? Mówił tamtym w mercurym, gdzie jesteśmy. No i miał szary T-shirt – a

wcześniej powiedziałeś mi, że tak jest ubrany jeden z tych w mercurym. Nie powiązałem tych tropów. Widziałem je, ale ich nie powiązałem. Wiesz dlaczego?

Asystent przecząco pokręcił głową.

– Bo miałem broń. Pistolet, który dał mi Mychal. Nie musiałem analizować sytuacji. Nie musiałem używać umysłu. Wystarczyło strzelić.

– Tylko że nie umiałeś.

– Tylko że nie umiałem.

Pojawił się lekarz w wytartym stroju chirurga i wszystkie oczy chciwie opadły go jak sokół atakujący gołębia. Doktor znalazł rodzinę, której szukał, i przekazał jej chyba pomyślną wiadomość.

– Często się zastanawiałem – mówił dalej do Thoma Rhyme – czy wypadek jakoś mnie poprawił. Zmusił do tego, żebym myślał lepiej, jaśniej, żebym szybciej wyciągał wnioski. Bo musiałem. Nie miałem innego wyjścia.

– I teraz wydaje ci się, że odpowiedź brzmi „tak”.

Skinął głową.

– Na Bahamach przez mój błąd o mały włos nie zginęliście z Mychalem. To już się nie powtórzy.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że przeszedłeś już swoją ostatnią operację?

– Zgadza się. Jak brzmiała kwestia z tego filmu, który mi kiedyś kazałeś obejrzeć? „Człowiek musi znać swoje ułomności”.

– Clint Eastwood. – Thom zamyślił się nad tym. – To prawda, ale można też powiedzieć: „człowiek musi znać swoje mocne strony”.

– Cholerny z ciebie optymista. – Rhyme uniósł prawą rękę i przyjrzał się palcom. Opuścił ramię. – Tyle wystarczy.

– No i dobrze, Lincoln.

Rhyme pytająco uniósł brew.

– Inaczej straciłbym u ciebie robotę – wyjaśnił Thom. – Na pewno nigdy nie znalazłbym tak samo trudnego pracodawcy.

– Cieszę się – burknął Rhyme – że tak wysoko zawiesiłem poprzeczkę.

Potem temat zniknął jak płatek śniegu na gorącej masce samochodu. Zamilkli.

Dwie godziny później otworzyły się drzwi bloku operacyjnego i wyszedł z nich inny lekarz. Znow wszystkie oczy skierowały się na człowieka w zielonym stroju, ale tym razem był to chirurg operujący Sachs i od razu podszedł do Rhyme'a i Thoma.

Gdy pozostali wrócili do swojej kawy z automatu, czasopism i SMS-ów, chirurg spojrział na Thoma i Rhyme'a.

– Wszystko się udało – powiedział. – Czuje się dobrze. Wybudziła się. Pyta o was.

## **PRZEPISY JACOBA SWANNA**

Czytelnicy, którzy pragną osobiście doświadczyć zdolności Jacoba Swanna – kulinarnych, nie morderczych – znajdą na mojej stronie [www.jefferydeaver.com](http://www.jefferydeaver.com) link do przepisów na dania wspomniane w tej książce, z których wiele to moje wersje klasycznych potraw.

J.D.

## **PODZIĘKOWANIA**



Osoby, którym chcę podziękować, to: Mitch Hoffman, Jamie Raab, Lindsey Rose, David Young i wszyscy moi przyjaciele z Grand Central Publishing, a także mój stały zestaw: Madelyn Warcholik, Deborah Schneider, Cathy Gleason, Julie Deaver, Jane Davis, Will i Tina Andersonowie. Bez was nie dałbym rady!